

ROBERT LUDLUM & PATRICK LARKIN

WEKTOR MOSKIEWSKI

(The Moscow Vector)

Przekład Jan Krasko

WEKTOR MOSKIEWSKI

(The Moscow Vector)

Przekład Jan Krasko

14 lutego Moskwa ">PROLOG

14 lutego Moskwa

Wzdłuż Twerskiej, szerokiej, wielopasmowej ulicy przecinającej jedno z najruchliwszych centrów handlowo - finansowych stolicy Rosji, leżały sterty śniegu czarnego od samochodowych spalin. Wieczór był bardzo mroźny i opatuleni w palta przechodnie potracali się wzajemnie na oblodzonych chodnikach, tonących w jaskrawym blasku latarni. W obydwu kierunkach jezdnią sunął sznur samochodów, ciężarówek i autobusów. Grube opony pojazdów miesiły z chlupotem błotnistą maź z soli i piasku, którymi wysypano asfalt, żeby zapewnić im jako taką przyczepność.

Doktor Nikołaj Kirjanow szedł szybko prawą stroną ulicy, robiąc wszystko, żeby wtopić się w gęsty tłum. Ale ilekroć ocierał się o niego ktoś, kto szedł w przeciwnym kierunku -

wszystko jedno, czy był to ktoś młody, czy stary, kobieta czy mężczyzna - patolog gwałtownie drżał, zamierał i kurczył się w sobie, walcząc z paniczną chęcią ucieczki. Mimo przenikliwego zimna czoło miał zlane potem wypływającym struzkami spod grubej, futrzanej czapki.

Pod pachą niósł płaskie kolorowe pudełko. Co chwilę mocno je ścisnął, z trudem opierając się pokusie, żeby ukryć je za pazuchą palta. Chociaż walentynki pojawiły się w rosyjskim kalendarzu stosunkowo niedawno, bardzo szybko zyskiwały na popularności, dlatego na Twerskiej roiło się od mężczyzn z bombonierkami i prezentami dla żon, przyjaciółek czy kochanek.

Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzał sobie w duchu Kirjanow. Nic mi nie grozi. Nikt nie wie, co stamtąd wynieśliśmy. Nikt nie zna naszych planów.

W takim razie, dlaczego boisz się własnego cienia? - spytał oschle, cichutki, wewnętrzny głos. A te dziwne, ukradkowe spojrzenia współpracowników? A te ledwo słyszalne trzaski w słuchawce? Już o tym zapomniałeś?

Patolog zerknął przez ramię, nieomal przekonany, że zobaczy tam oddział

umundurowanych milicjantów. Ale zobaczył tylko tłum zajętych własnymi sprawami moskwian, przechodniów takich samych jak on, ludzi, którzy pragnęli jak najszybciej uciec od zimna. Nie zwalnając kroku, z ulgą odwrócił głowę i prawie wpadł na niską, przysadzistą kobietę z naręczem wypełnionych żywnością paczek.

Kobieta łypnęła na niego spode łba i zakłęła pod nosem.

- Prastitie, babuszka - wykrztusił, schodząc jej z drogi. Rozwścieczona megiera splunęła mu pod nogi i spiorunowała go wzrokiem. Szybko uciekł, słysząc, jak w uszach pulsuje mu krew.

Kilkadziesiąt metrów dalej, w gęstniejącym zmroku zobaczył jaskrawy neon na tle wielkich,

masywnych, ciemnoszarych bloków i hoteli z czasów Stalina. Odetchnął. Nareszcie.

Był już blisko baru, gdzie umówił się z Fioną Devin, sympatyczną, zachodnią dziennikarką.

Odpowie na jej pytania, przekaże paczkę.

Wróci do swego małego mieszkanca i władze o niczym się nie dowiedzą.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

Wtem ktoś popchnął go w plecy, ktoś na niego wpadł i Kirjanow poczuł, że sunie przed siebie, jak na łyżwach. Gwałtownie zamachał rękami, stracił równowagę, upadł na plecy, uderzył

głową w pokryty lodem chodnik i zalała go fala rozżarzonego do białości bólu, w której utonęły wszystkie świadome myśli. Oszołomiony długo leżał, jęcząc i nie mogąc się poruszyć.

Wtem z przesyconej bólem chmury wychynęła czyjaś ręka. Wychynęła i dotknęła jego ramienia. Kirjanow skrzywił się i otworzył oczy.

Tuż obok klęczał mężczyzna w kosztownym, wełnianym palcie. Był w rękawicach, miał jasne włosy i skruszoną minę.

- Bardzo pana przepraszam - mówił. - Tak mi przykro. Nic panu nie jest? Zagapiłem się, straszna ze mnie niezdara. - Chwycił go za rękę i mocno ścisnął. - Pomogę panu usiąść...

Kirjanow poczuł, że w ramię wbija mu się coś cienkiego i ostrego jak igła. Otworzył usta, żeby krzyknąć i z przerażeniem stwierdził, że nie może oddychać, że sparaliżowało mu płuca. Na próżno próbował wciągnąć choćby haust, choćby pół haustu powietrza, którego tak rozpaczliwie teraz potrzebował. Posłuszeństwa odmawiały kolejne partie mięśni, drgały mu ręce i nogi.

Umierając ze strachu, podniósł wzrok.

Na cienkich ustach blondyna pojawił się cień uśmiechu. Pojawił się i zniknął.

- Da swidania, doktor - wymamrotał nieznajomy. - Trzeba było słuchać rozkazów i trzymać język za zębami.

Tkwiąc w ciele, które nie słuchało już poleceń mózgu, Nikołaj Kirjanow leżał sztywno na chodniku i nieruchomymi, szeroko rozwartymi ustami bezgłośnie krzyczał. Otaczający go świat szybko pogrążał się w ciemności, całkowitej i bezbrzeżnej. Serce zatrzepotało mu gwałtownie i...

stanęło.

Blondyn przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem z pełnym niepokojem zdumieniem spojrzął na krąg gapiów, których przyciągnęło to małe uliczne zamieszanie.

- Ma chyba jakiś atak - powiedział.

- Może uderzył się w głowę? - rzuciła elegancko ubrana młoda kobieta.

- Trzeba zadzwonić na pogotowie. Albo na milicję.

- Tak, tak, ma pani rację - odparł szybko blondyn. Ostrożnie zdjął grubą rękawicę i z kieszeni palta wyjął telefon komórkowy. - Już dzwonię.

Dwie minuty później przy krawężniku zatrzymała się czerwono - biała karetka. Migotliwe światło omyło grupkę gapiów i na ziemi oraz na ścianach pobliskich domów zatańczyły zniekształcone cienie. Z samochodu wyskoczyło dwóch krzepkich sanitariuszy ze złożonymi noszami, a za nimi wysiadł młody, wyraźnie znużony mężczyzna w wygniecionej białej kurtce i cienkim, czerwonym krawacie. Mężczyzna niósł ciężką, czarną walizeczkę.

Przykucnął obok Kirjanowa i przyglądał mu się przez chwilę. Potem poświecił mu w oczy cieniutką latarką i sprawdził puls. Jeszcze potem ciężko westchnął i pokręcił głową.

- Nie żyje, biedaczyna. Nic tu po mnie. - Popatrzył po twarzach gapiów.

- Co się tu stało? Widział ktoś? Blondyn wymownie wzruszył ramionami.

- To był zwykły wypadek - odparł. - Wpadliśmy na siebie. Poślizgnął się i upadł.

Próbowałem mu pomóc, ale... ale nagle przestał oddychać. To wszystko.

Lekarz zmarszczył brwi.

- Nu da... Obawiam się, że będziecie musieli pojechać z nami do szpitala. Trzeba wypełnić kilka druczków. No i złożyć zeznanie na milicji. - Popatrzył na pozostałych gapiów. - A wy? Widzieliście coś?

Odpowiedziała mu głucha cisza. Spuszczone oczy, obojętne twarze - pojedynczo, po dwóch, po trzech, ludzie powoli odchodzili i ukradkiem znikali w mroku. Zaspokoiwszy niezdrową ciekawość, nie chcieli niepotrzebnie ryzykować i tracić czasu, odpowiadając na kłopotliwe pytania w którymś z ponurych, obskurnych moskiewskich szpitali czy na milicyjnym posterunku. Lekarz prychnął cynicznie i z pogardą. Dał znak sanitariuszom.

- Załadujcie go. Szybko. Zimno dziś jak cholera.

Sanitariusze dźwignęli trupa z ziemi, położyli go na noszach i zanieśli do karetki. Jeden z nich, ubrany na biało lekarz oraz blondyn wsiedli od tyłu, drugi sanitariusz zajął miejsce obok kierowcy. Trzasnęły drzwiczki, zamigotały niebieskie światła: karetka włączyła się do gęstego ruchu i odjechała.

Z dala od wścibskich oczu gapiów, lekarz wprawnie przeszukał kieszenie zmarłego. Za pazuchą znalazł szpitalny identyfikator i portfel. Otworzył go, zamknął, rzucił na podłogę i łypnął spode łba na pozostałych.

- Nic. Czysty jest, sukinsyn.

- Zajrzyj do tego - zaproponował oschle blondyn, podając mu bombonierkę Kirjanowa.

Lekarz zerwał kolorowy papier, otworzył pudełko i na trupa spadł deszcz żółtych kopert wypełnionych dokumentami. Lekarz szybko przejrzał ich zawartość i zadowolony kiwnął głową.

- Kserokopie przypadków - mruknął. - Wszystkich - dodał z uśmiechem. - Wszyściutkich.

Możemy zameldować, że operacja się powiodła.

Blondyn zmarszczył czoło.

- Nie. Chyba nie.

- Jak to nie?

- A gdzie próbki krwi i tkanek, które ukradł? - spytał uszczypliwie blondyn, mrużąc zimne, szare oczy.

Lekarz spojrzał na pustą bombonierkę.

- Kurwa mać. - Skonsternowany podniósł wzrok. - Ktoś mu pomagał. I ten ktoś ma próbki.

- Na to wygląda - odrzekł blondyn. Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał zakodowany numer. - Tu Moskwa Jeden. Połączcie mnie natychmiast z Pragą Jeden. Mamy problem.

ROZDZIAŁ 1

15 lutego Praga, Czechy

Podpułkownik Jonathan „Jon” Smith przystanął w cieniu starej, gotyckiej wieży na wschodnim końcu mostu Karola. Most, długi na ponad pięćset metrów, zbudowano przed z górą sześciuset laty. Przecinał Wełtawę, łącząc Stare Miasto, praską starówkę, z Małą Straną. Smith zastygł bez ruchu i długo mu się przyglądał.

W pewnej chwili zmarszczył brwi. Wolałby inne miejsce, miejsce bardziej ruchliwe i naturalne. Tramwaje, pociągi elektryczne i samochody jeździły mostami szerszymi i nowszymi, most Karola zaś zarezerwowano wyłącznie dla tych, którzy mieli ochotę przejść na drugi brzeg piechotą. Tego mrocznego, ponurego popołudnia był prawie wyludniony.

Przez większą część roku ów historyczny kamienny most stanowił główną atrakcję miasta; jego elegancja - tudzież piękno - przyciągała hordy turystów oraz ulicznych sprzedawców. Lecz Praga tonęła teraz w zimowej mgle, w gęstym, mroźnym, wilgotnym obłoku cuchnącego smogu, który utknął w krętej dolinie jak w potrzasku. Mgła zacierała wdzięczne kontury renesansowych i barokowych pałaców, kościołów i domów.

Drżąc z zimna, Jon zapiął krótką, skórzaną kurtkę i wszedł na most. Wysoki, szczupły i wysportowany, miał czterdzieści kilka lat, przenikliwe, niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe.

Echo jego kroków odbijało się początkowo od wysokiego do pasa murku, lecz szybko ucichło w ciągnącej od wody mgle, która przetaczała się powoli przez most, stopniowo pochłaniając jego brzegi i końce. Co i raz wyłaniali się z niej spieszący do domu urzędnicy, sprzedawcy i właściciele sklepów, którzy - nawet na niego nie zerknąwszy - mijali go i znikali w wilgotnych oparach tak szybko, jak się pojawili.

Jon szedł przed siebie. Wzdłuż mostu majaczyły sylwetki trzydziestu posągów, trzydziestu milczących świętych w coraz bardziej gęstniejącej mgle. Posągi stały parami, dokładnie naprzeciwko siebie, wspierając się na podtrzymujących przejście filarach z piaskowca.

Wskazywały mu drogę, były jego przewodnikami. Doszedłszy do środka mostu, ponownie przystanął i spojrzał na spokojną twarz Jana Nepomucena, katolickiego księdza, który zginął na torturach w 1393, i którego zmasakrowane ciało zrzucano stąd do rzeki. Część brązowego reliefu, upamiętniającego jego męczeńską śmierć, błyszczała nawet we mgle, wypolerowana rękami niezliczonych przechodniów, którzy dotykali jej na szczęście.

Pod wpływem nagłego impulsu Smith nachylił się i też musnął palcami jedną z wypukłych figur.

- Jonathan? Nie wiedziałem, że jest pan przesądny - powiedział czyjś spokojny, zmęczony głos.

Lekko zmieszany Jon odwrócił się z uśmiechem.

- Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Jak się masz, Walentin.

Doktor Walentin Pietrenko podszedł bliżej; w rękę kurczowo ścisnął czarną dyplomatkę.

Kilka centymetrów niższy od Smitha i nieco od niego tęższy, na czubku nosa miał grube okulary.

Nerwowo mrugał.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać. Tu, na moście, nie na konferencji. Wiem, że to dla pana duża niedogodność...

- Ależ skąd. - Jon uśmiechnął się krzywo. - Niech mi pan wierzy, że wolę to niż wysłuchiwanie odgrzewanych pomysłów z referatu Koźlika na temat epidemii tyfusu i zapalenia wątroby w Dolnym Wisimistanie.

W oczach Pietrenki błysnęły iskierki rozbawienia. Błysnęły i zgasły.

- To prawda, doktor Koźlik nie jest zbyt porywającym mówcą. Ale jego teorie są z gruntu słuszne.

Jon kiwnął głową, cierpliwie czekając, aż Rosjanin wyjaśni, dlaczego tak bardzo zależało mu na tym potajemnym spotkaniu. Obydwaj brali udział w międzynarodowej konferencji na temat chorób zakaźnych w Europie Wschodniej i Rosji; karmiąc się straszliwymi warunkami higieny komunalnej i fatalnym stanem systemu ochrony zdrowia, zaniedbywanego przez dziesiątki lat panowania systemu komunistycznego, w krajach należących kiedyś do sowieckiego imperium niczym pożar lasu szerzyły się choroby, które na Zachodzie dawno już wypleniono.

Jako eksperci, obydwaj byli mocno zaangażowani w walkę z narastającym kryzysem. Jon, wybitny biolog molekularny - między innymi - pracował w USAMRIID, Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych w Fort Detrick w stanie Maryland. Walentin Pietrenko był z kolei uznanym specjalistą od chorób rzadkich i pracował w Głównym Szpitalu Klinicznym w Moskwie. Na gruncie zawodowym znali się od kilku lat i z czasem zaczęli darzyć się wzajemnym szacunkiem zarówno za umiejętności, jak i dyskrecję. Dlatego kiedy dzień wcześniej wyraźnie zdenerwowany Pietrenko odciągnął go na bok i poprosił o rozmowę poza murami centrum kongresowego, Smith zgodził się bez wahania.

- Potrzebuję pomocy, Jon - zaczął w końcu Rosjanin. Z trudem przełknął ślinę. - Jestem w posiadaniu niezmiernie ważnych informacji, które muszą dotrzeć do władz medycznych na Zachodzie.

Jon zmrużył oczy.

- Informacji na jaki temat, Walentin?

- Na temat epidemii nieznannej choroby w Moskwie. Choroby zupełnie nowej, czegoś, czego... czego nigdy dotąd nie widziałem. Czegoś, czego się boję - dodał ciszej.

Smitha przeszedł lekki dreszcz.

- Proszę mówić dalej. - Pietrenko westchnął.

- Na pierwszy przypadek natknąłem się dwa miesiące temu. Małe dziecko, siedmioletni chłopiec. Miał silne bóle i wysoką gorączkę, której za nic nie dało się zbić. Ci, którzy go początkowo leczyli, wzięli to za zwykłą gripę, ale jego stan gwałtownie się pogarszał. Zaczęły wypadać mu włosy. Prawie na całym ciele pojawiły się krwawiące wrzody i bolesna wysypka.

Dostał silnej anemii. W końcu posłuszeństwa odmówił cały organizm, wszystkie najważniejsze narządy, wątroba, nerki i... serce.

- Chryste... - mruknął Jon, wyobrażając sobie, jak potworne katusze musiał cierpieć chory malec. Zmarszczył czoło. - Walentin, te symptomy wskazują na silne napromieniowanie.

Pietrenko kiwnął głową.

- Tak początkowo myśleliśmy. - Wzruszył ramionami. - Rzecz w tym, że nie mogliśmy znaleźć żadnych dowodów, że chłopiec miał kontakt z materiałami promieniotwórczymi. Na pewno nie miał

go w domu. Ani w szkole. Ani nigdzie indziej.

- To było zaraźliwe? - spytał Smith.

- Nie. - Rosjanin zdecydowanie pokręcił głową. - Nie zachorował nikt z jego otoczenia.

Ani rodzice, ani koledzy, ani lekarze, którzy go leczyli. - Skrzywił się. - Przeprowadziliśmy wiele testów, ale żaden nie wykazał, że może to być infekcja wirusowa czy bakteryjna, a wszystkie testy toksykologiczne wypadły negatywnie. Nie znaleźliśmy żadnego śladu trucizny czy szkodliwych substancji chemicznych, które mogłyby poczynić aż takie spustoszenia. Jon cicho zagwizdał.

- Paskudnie.

- Tak, to było straszne. - Wciąż ściskając dyplomatkę, Rosjanin zdjął okulary i nerwowo je przetaił. - Ale jakiś czas później w szpitalu zaczęli pojawiać się następni, wszyscy z tymi samymi potwornymi symptomami. Najpierw pewien starzec, były aparatczyk komunistyczny.

Potem kobieta w średnim wieku. Wreszcie młody mężczyzna, krzepki robotnik, który zawsze był zdrowy jak koń. W ciągu ledwie kilku dni umarł w straszliwych męczarniach.

- Było ich tylko czworo? Pietrenko uśmiechnął się smutno.

- O czworgu wiem - odrzekł cicho. - Ale może być ich więcej. Ministerstwo Zdrowia postawiło sprawę jasno: ani mnie, ani moi kolegom nie wolno zadawać zbyt wielu pytań, żeby

„nie wywoływać niepotrzebnej paniki”. I nie prowokować sensacyjnych doniesień w mediach.

Oczywiście poszliśmy z tym jeszcze wyżej; jakoś się przebiliśmy. Chcieliśmy, żeby władze wszczęły śledztwo na szeroką skalę, ale nam odmówiono. Zabroniono nam nawet o tym rozmawiać. Dyskusje? Proszę bardzo, ale tylko w wąskim kręgu wprowadzonych w sprawę naukowców. - Smutek w jego oczach pogłębił się jeszcze bardziej. - Jeden z wysokich kremlofskich urzędników powiedział mi wprost, że cztery niewyjaśnione przypadki to błahostka, „statystyczny szum”.

Zasugerował, żebyśmy skupili się raczej na AIDS i innych chorobach, które zabijają tylu mieszkańców Matki Rosji. Wszystkie fakty związane z tymi tajemniczymi zgonami zostały utajnione i pogrzebane w biurokratycznych archiwach.

- Idioci. - Smith zacisnął zęby. Tajemnica i zmowa milczenia to przekleństwo nauki.

Wszelkie próby utajnienia nowej choroby z powodów politycznych mogły przecież doprowadzić do wybuchu katastrofalnej w skutkach epidemii. - Może. - Pietrenko wzruszył ramionami. - Ale ja nie zamierzam brać udziału w tym spisku. Dlatego przyniosłem panu to. - Poklepał czarną dyplomatkę. - Są tu wszystkie informacje na temat czterech znanych nam ofiar wraz z próbkami tkanek i krwi. Mam nadzieję, że pan i pańscy koledzy poznają mechanizm choroby, zanim będzie za późno.

- A jeśli dowie się o tym pański rząd? - spytał Smith. - Mocno się panu oberwie?

- Nie wiem - przyznał Rosjanin. - Dlatego chciałem przekazać to panu w tajemnicy. -

Ciężko westchnął. - Warunki w moim kraju szybko się pogarszają, Jon. Bardzo się boję, że nasi przywódcy doszli do wniosku, że łatwiej jest rządzić siłą i strachem niż perswazją i rozsądkiem.

Smith spojrział w dal. Wiadomości z Rosji śledził z narastającym niepokojem. Ich prezydent, Wiktor Dudarew, pracował w dawnym KGB, Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, i przez kilka lat stacjonował w Niemczech Wschodnich. Po upadku Związku Radzieckiego szybko nawiązał współpracę z postępowymi siłami reformatorskimi. W

nowej Rosji błyskawicznie awansował, najpierw zostając szefem FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, potem premierem rządu, wreszcie prezydentem. Przez cały ten czas wielu mocno wierzyło, że jest szczerym zwolennikiem demokratycznych reform.

Tymczasem Dudarew oszukał i ich, i wszystkich pozostałych. Objąwszy urząd, zrzucił

maskę, demonstrując twarz człowieka bardziej zainteresowanego zaspokojeniem ambicji własnych niż ustanowieniem prawdziwej demokracji. Skupiał coraz więcej władzy w rękach swoich i w rękach wiernych mu lizusów. Nakładał kaganiec na nowe, niezależne spółki medialne i narzucał im rządową kontrolę. Korporacje, których właściciele sprzeciwiali się Kremlowi, rozwiązywał oficjalnymi dekretemi, a ich majątek konfiskował podczas procesów sądowych wytaczanych na podstawie sfabrykowanych zarzutów. Politycznych rywali zmuszał do milczenia albo niszczył za pomocą posłusznej rządowi prasy.

Satyrycy nadali mu przydomek Car Wiktor. Lecz żart ten szybko przestał być śmieszny i wszystko wskazywało na to, że powoli staje się złowrogą rzeczywistością.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby nie mieszać w to pańskiego nazwiska - obiecał Jon. - Ale kiedy dojdzie do przecieku, władze na pewno trafią do pana. A do przecieku dojdzie prędzej czy później. - Zerknął na niego i dodał: - Może powinien pan upublicznić te dane osobiście? Tak byłoby bezpieczniej.

Pietrenko uniósł brew.

- To znaczy, że miałbym poprosić o azyl polityczny? Smith kiwnął głową.

- Nie, chyba nie. - Pietrenko wzruszył ramionami. - Mimo wszystkich moich wad, jestem Rosjaninem i Rosjaninem pozostanę. Nie porzucę ojczyzny ze strachu. - Uśmiechnął się smutno.

- Poza tym, jak to powiadają filozofowie? Żeby zatriumfowało zło, wystarczy tylko, żeby ci dobrzy nic nie robili. Myślę, że to prawda. Dlatego wrócę do Moskwy i zrobię, co się da, żeby moim małym, ale własnym sposobem rozpędzić gęstniejący mrok. Przynajmniej spróbuję.

- Prosim, możecie me pomoci? - Stłumione słowa dobiegły z gęstej mgły.

Smith i Pietrenko odwrócili się zaskoczeni.

Kilka kroków dalej stał młody mężczyzna o hardej, surowej twarzy. Miał wyciągniętą rękę. Żebrał, prosił ich o pieniądze. W jego długich, tłustych, zmierzwiionych, kasztanowych włosach błyszczała maleńka, srebrna czaszka, kolczyk na prawym uchu. Prawą rękę miał ukrytą za pazuchą długiego, czarnego palta. Tuż za nim stało dwóch innych, podobnie ubranych i równie ponurych mężczyzn. Oni też mieli w uszach kolczyki w kształcie ludzkiej czaszki.

Smith zrobił odruchowo krok do przodu i zasłonił ciałem drobniejszego Rosjanina.

- Prosił - odparł. - Nerozumim. Mluvite anglicky?

Długowłosego mężczyzna powoli opuścił rękę.

- Amerykanin?

Coś w jego głosie sprawiło, że Smithowi zjeżyły się włosy na karku.

- Tak.

- To dobrze - rzucił beznamiętnie tamten. - Amerykanie są bogaci. A ja biedny. - Zerknął

na Pietrenkę, przeniósł wzrok z powrotem na Jona i w drapieżnym uśmiechu odsłonił białe zęby.

- Dlatego da mi pan walizeczkę kolegi. Jako mały prezent, tak?

- Jon - szepnął nerwowo Pietrenko. - To nie są Czesi. Długowłosego go usłyszał. Beztrosko wzruszył ramionami.

- Doktor Pietrenko ma rację. Gratuluję przenikliwości umysłu. - Jednym płynnym ruchem wyjął spod palta nóż i błyskawicznie go otworzył. Nóż był ostry jak brzytwa. - Mimo to poproszę o walizeczkę. Szybciutko.

Niech to szlag, pomyślał Jon, chłodno obserwując jego kolegów, którzy już zachodzili ich z boków. Cofnął się pół kroku - i oparł plecami o kamienną balustradę. Niedobrze. Nie miał

broni, napastnicy przewyższali ich siłą, w dodatku dopadli ich na spowitym mgłą moście.

Naprawdę niedobrze.

Jakiegolwiek nadzieje na to, że będą mogli oddać im dyplomatkę i spokojnie odejść, ulotniły się jak dym, kiedy tamten swobodnie i z całkowitą pewnością siebie wypowiedział

nazwisko Pietrenki. To nie był zwykły napad. Może się mylił, ale ci ludzie wyglądali na zawodowców, a dobrze wyszkolony zawodowiec nie pozostawia żadnych świadców.

Zmusił się do uśmiechu.

- Cóż, oczywiście. Skoro tak do tego podchodzicie... Nic nie musi się nikomu stać, prawda?

- Absolutnie, przyjacielu - odparł z okrutnym uśmiechem nożownik. - Absolutnie.

Dlatego proszę powiedzieć doktorowi, żeby dał nam walizeczkę.

Czując, że serce zaczyna bić mu coraz szybciej i szybciej, Jon wziął głęboki oddech. Do krwi wpłynęła potężna dawka adrenaliny i otaczający go świat zwolnił bieg. Smith przykucnął.

Sprężył się do skoku. Teraz!

- Policji! - ryknął. - Policji! - Krzyk zburzył ciężką od mgły ciszę.

- Ty durniu! - warknął długowłosy. Ścisnął nóż, rzucił się do przodu i zaatakował go ciosem od dołu.

Jon odruchowo odchylił się w lewo. Ostrze śmignęło tuż obok twarzy. Za blisko. Za blisko! Kantem dłoni zadał napastnikowi błyskawiczny cios w odsłonięty nadgarstek, w mieszczące się tam zakończenia nerwów.

Długowłosy głucho stęknął. Nóż wyfrunął spomiędzy sparaliżowanych palców i zaklekotał na chodniku. Jon zrobił szybki obrót i ze wszystkich sił grzmotnął go łokciem w twarz. Chrupnęła kość, trysnęła fontanna krwi. Długowłosy jęknął, zatoczył się do tyłu i przyklęknął na jedno kolano, chwytając się za zmiażdżony nos.

Do ataku przeszedł drugi napastnik. Z ponurą gębą minął powalonego przywódcę i błysnął nożem. Smith zrobił szybki unik, lekko przykucnął i prostując się, zadał mu silny cios w bok, pod żebra. Mężczyzna zgiał się wpół i zatoczył do przodu. Zanim zdążył dojść do siebie, Jon chwycił go za kołnierz kurtki i głową naprzód pchnął na kamienną balustradę. Oszołomiony, a może ciężko ranny nożownik runął na ziemię i znieruchomiał.

- Uważaj! - Przerażliwy krzyk Pietrenki.

Smith odwrócił głowę. Na oślep wymachując dyplomatką, Rosjanin opędzał się rozpaczliwie od trzeciego zbira. Lecz nagle dziki błysk w jego oczach zgasł, ustępując miejsca przerażeniu. Pietrenko spojrzał w dół. Z brzucha sterczał mu wbity po rękojeść nóż.

Wtem huknął strzał i przez most przetoczyło się echo.

Dokładnie na środku czoła Pietrenki wykwitła mała, czerwona plamka. Z potylicy trysnęła fontanna krwi mieszanej z odłamkami kości i fragmentami mózgu - takiego spustoszenia mógł dokonać jedynie ciężki pocisk wystrzelony z bardzo bliskiej odległości.

Rosjanin przewrócił oczami. Wciąż ściskając w ręku dyplomatkę, zatoczył się bezwładnie, oparł ciężko o balustradę, przechylił się i spadł z mostu do rzeki.

Kątem oka Jon dostrzegł jakiś ruch. Pierwszy napastnik, ten długowłosy, próbował wstać.

Miał zakrwawioną twarz, krew ściekała mu na nieogolony podbródek. Z jego ciemnych oczu biła czysta nienawiść, a w rękę trzymał pistolet, rosyjskiego makarowa. Po nierównym chodniku toczyła się powoli dymiąca łuska.

Jon zeszywniał, wiedząc, że jest za późno. Tamten był za daleko, zdecydowanie poza zasięgiem. Odwrócił się błyskawicznie i głową naprzód skoczył z mostu we mgłę. Zdążył jeszcze usłyszeć kilka wystrzałów. Kula świsnęła mu tuż koło ucha, druga rozerwała palto i jego ramię zalała fala gorącego bólu.

Przebił powierzchnię rzeki w białym rozbryzgu wody i piany i pogрузił się w lodowatych, czarnych jak atrament odmętach. Zanurzał się w absolutnej ciszy i kompletnej ciemności. Początkowo schodził niemal pionowo w dół, lecz już po chwili porwał go wartki prąd

- porwał, szarpnął rękami i nogami, targnął rozerwanym paltem, pchnął go, obrócił i powlókł na północ, poza masywne filary kamiennego mostu.

Płuca płonęły mu żywym ogniem, rozpaczliwie domagając się powietrza. Jon wygiął się w łuk, mocno wierzgnął i przez wzburzoną, zimną jak lód wodę zaczął przebijać się do góry.

Trwało to całe wieki, lecz wreszcie wychynął na powierzchnię i przez długą chwilę młócił nogami wodę, ciężko dysząc, krztusząc się i pompując do płuc tlen, którego tak bardzo domagał się organizm.

Wciąż niesiony silnym prądem odpłynął jeszcze dalej. Most Karola zniknął w tumanach kłębiącej się mgły, lecz on wyraźnie słyszał czyjś krzyk, czyjeś spanikowane głosy. Ludzie, przechodnie. Strzelanina musiała wyrwać ich z południowego odrętwienia. Jon wypluł wodę i skręcił.

Płynął teraz w stronę wschodniego brzegu, prawie w poprzek głównego nurtu, który próbował powlec go dalej. Musiał jak najszybciej wyjść z wody. Musiał wyjść już zaraz, teraz, bo czuł, że jeszcze trochę i przeraźliwe zimno wyssie z niego wszystkie siły. Mokry chłód, bijący z przemoczonego do suchej nitki ubrania, coraz bardziej wgryzał się w ciało, coraz głośniejszczękały mu zęby.

Przez nieskończenie długie, pełne rozpaczny minuty tonący we mgle brzeg zdawał się tuż -

tuż, na wyciągnięcie coraz bardziej zmęczonej ręki, jednak wciąż poza jej zasięgiem. Zdając sobie sprawę, że szybko kończy mu się czas, zrobił jeszcze jeden desperacki wysiłek. Zmusił do pracy nogi, wyrzucił przed siebie omdlewające ręce i nagle jego palce utkwiły w warstwie piachu i mułu. Podciągnął się i wypełznął na wąski skrawek uschniętej trawy. Trawa, starannie przystrzyżone drzewa - był na małym, nadbrzeżnym skwerku.

Dygocząc z zimna i bólu, który przeszywał każdy mięsień ciała, przetoczył się na plecy i znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w monotonne, szare niebo. Mijały minuty. Pozwalał im płynąć,

zbyt osłabiony, żeby iść dalej.

W pewnej chwili usłyszał stłumione sapnięcie. Krzywiąc się z bólu, odwrócił głowę i zobaczył niską, drobną staruszkę w grubym futrze. Patrzyła na niego ze strachem i zdumieniem.

Za jej nogami krył się mały piesek, który obwąchiwał go ciekawie, choć z daleka. Z każdą mijającą sekundą powietrze gęstniało i ciemniało.

- Policji - wychrypiał Jon, szczękając zębami. Staruszka wytrzeszczyła oczy.

Sięgnąwszy do zakamarków pamięci, Smith przywołał na pomoc swój łamany czeski i wyszeptał:

- Zvolejte policii.

Zanim zdążył dodać coś więcej, tężejący mrok wessał go i pochłonął.

ROZDZIAŁ 2

Kwatera główna Północnego Dowództwa Operacyjnego, Czernihów, Ukraina Przez setki lat Czernihów, zwany książęcym miastem, był ufortyfikowaną stolicą jednego z księstw w centrum Rusi Kijowskiej, luźnej konfederacji utworzonej przez wikingów zwanych Waregami, niepodzielnych panów ziem, które później miały wejść w skład Rosji i Ukrainy. Kilka z wznoszących się tu pięknych soborów, cerkwi i klasztorów pochodzi z XII i XIII wieku, a ich złociste kopuły i wieżycy dodają spokojnej elegancji monotonnej skądinąd linii nieba nad miastem. Z pobliskiego Kijowa - sto czterdzieści kilometrów na południe od Czernihowa - co roku przyjeżdżają tu setki autobusów wyładowanych po brzegi turystami, którzy chcą pogapić się trochę na prastare zabytki i dzieła sztuki.

Niewielu z nich zwraca zapewne uwagę na samotny kompleks budynków z betonu i stali na peryferiach miasta. Kompleks ten, otoczony drutem kolczastym i pilnie strzeżony przez uzbrojonych po zęby żołnierzy, pochodzi jeszcze z czasów sowieckich, a obecnie mieści się tu kwatera główna jednego z trzech najważniejszych członów strukturalnych ukraińskiej armii: Północne Dowództwo Operacyjne. Słońce już dawno zaszło, lecz niemal w całym kompleksie płonęły światła. Na rozległym parkingu, wokół oświetlonego reflektorami dwupiętrowego budynku kwatery głównej, roilo się od samochodów z poradcami wszystkich najważniejszych jednostek dowódczych.

Major Dmitrij Poliakov, młody, wysoki oficer, stał pod ścianą zatłoczonej sali odpraw.

Wybrał to miejsce specjalnie, żeby przez cały czas mieć na oku swego szefa, generała -

porucznika Aleksandra Marczuka, głównodowodzącego PDO. Stał tam i co chwilę zerkał na teczkę pod pachą, upewniając się po raz setny, czy są w niej wszystkie raporty i wersje robocze rozkazów, których generał mógł potrzebować na odprawie. Zwołano ją w trybie pilnym, ale Poliakov wiedział, że Marczuk, profesjonalista do szpiku kości, żołnierz twardy i wymagający, oczekuje od starszego

doradcy wojskowego pełnej gotowości bojowej o każdej porze nocy i dnia.

Generał, starsi oficerowie, dowódcy brygad i dywizji, siedzieli po trzech stronach dużego, prostokątnego stołu konferencyjnego. U szczytu stołu wisiała szczegółowa mapa strefowo -

operacyjna. Przed każdym oficerem leżała teczka z dokumentami. Przed każdym stała też popielniczka i szklanka gorącej herbaty. W większości popielniczek tliły się papierosy.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że Rosjanie i Białorusini drastycznie zaostrzyli środki bezpieczeństwa wzdłuż granicy - mówił sprawozdawca, pełny pułkownik. Postukał w mapę wskaźnikiem. - Zamknęli wszystkie mniejsze przejścia graniczne od Dobrianki, tu, na północy, aż po Charków na wschodzie. Samochody są odprawiane tylko na posterunkach na głównych arteriach komunikacyjnych i tylko po dokładnej kontroli. Co więcej, moi odpowiednicy z Dowództwa Zachodniego i Południowego donoszą, że identyczne środki zastosowano również w ich rejonie.

- To nie wszystko - wtrącił ponuro jeden ze starszych oficerów siedzących na drugim końcu stołu, dowódca sił wsparcia i osłony, nowo utworzonej formacji, w której skład wchodziły pancerne jednostki rozpoznania naziemnego, śmigłowce zwiadowcze i szturmowe oraz oddziały piechoty uzbrojonej w pociski przeciwpancerne. - Moi żołnierze z wysuniętych posterunków obserwacyjnych donoszą, że w kilku miejscach wzdłuż granicy działają rosyjskie siły rozpoznania w sile kompanii i batalionu. Wygląda na to, że próbują namierzyć posterunki wartownicze wojsk ochrony pogranicza.

- Nie możemy też zapominać o pogłoskach na temat ruchów wojsk, które przekazali nam Amerykanie - dodał inny pułkownik. Skrzyżowane rogi myśliwskie na jego naramiennikach mówiły, że służy w wojskach łączności, ale była to jedynie przykrywka. Tak naprawdę pułkownik był szefem wywiadu wojskowego Północnego Dowództwa Operacyjnego.

Oficerowie pokiwali głową. Amerykański attache wojskowy w Kijowie rozpowszechniał

meldunki wywiadowcze, które sugerowały, że z baz wokół Moskwy zniknęła część elitarnych wojsk powietrzno - desantowych, kilka batalionów czołgowych oraz brygada piechoty zmechanizowanej. Meldunków tych nie można było potwierdzić, ale mimo to je rozpowszechniano.

- Jakie jest stanowisko Moskwy w tej sprawie? - spytał dowódca dywizji pancernej siedzący obok dowódcy wywiadu. - Jak to oficjalnie tłumaczą?

- Kreml twierdzi, że są to tylko zwykłe środki ostrożności, zapobiegawcze działania antyterrorystyczne - odparł powoli generał Marczuk, gasząc papierosa. Miał ochryply głos, a wysoki kołnierz jego marynarki był mokry od potu.

Zaniepokojony Poliakov zmarszczył brwi. Chociaż generał miał już pięćdziesiąt lat, zawsze był człowiekiem silnym jak koń. Zawsze, ale nie teraz. Teraz był chory - bardzo chory.

Od rana miał silne wymioty. Mimo to uparł się, żeby zwołać wieczorną odprawę.

- To tylko grypa, Dmitri - wychrypiał. - Wyjdę z tego. Sytuacja militarna wymaga mojej pełnej uwagi. Znasz zasady: obowiązek przede wszystkim.

Jak na dobrego żołnierza przystało, Poliakov kiwnął tylko głową i bez szemrania wykonał rozkaz. Bo co innego mógł zrobić? Ale teraz, patrząc na swego dowódcę, zaczynał

żałować, że nie namówił go na wizytę u lekarza.

- A my? - rzucił drwiąco dowódca dywizji. - Wierzmy naszym dobrym rosyjskim przyjaciołom i sąsiadom? Wierzmy w te... zapobiegawcze działania antyterrorystyczne?

Marczuk wzruszył ramionami. Zdawało się, że nawet najmniejszy ruch kosztuje go dużo wysiłku.

- Terroryzm to poważne zagrożenie - odparł. - Czeczeni i inni atakują kiedy i gdzie tylko mogą. Dobrze o tym wiemy. - Gwałtownie zakaszłał, złapał oddech i z wyraźnym trudem mówił

dalej: - Ale ani nasz rząd, ani sami Rosjanie nie przedstawili nam jak dotąd żadnych informacji, które usprawiedliwiałyby aktywność na tak wielką skalę.

- W takim razie, co robimy? - mruknął jeden z oficerów.

- Zabezpieczymy się - opadł ponuro Marczuk. - Tak, my też. Choćby tylko po to, żeby car Wiktor i jego moskiewscy kołesi zaczęli pogrywać z nami uczciwie. Mała demonstracja siły powinna skłonić Kreml do przemyśleń i zapobiec głupocie. - Wstał i stanął przodem do mapy.

Miał szarą twarz i złane potem czoło. Lekko się zachwiał.

Poliakov zrobił krok w jego stronę, ale generał odprawił go ruchem ręki.

- Nic mi nie jest, Dmitri - wymamrotał. - Zakręciło mi się w głowie, to wszystko.

Jego podwładni wymienili niespokojne spojrzenia. Marczuk uśmiechnął się krzywo.

- Co się stało, panowie? Nigdy w życiu nie widzieliście chorego na grypę? - Znowu zakaszłał, tym razem dłużej, suchym, męczącym kaszlem. Wyczerpany pochylił głowę, przez chwilę ciężko oddychał, wreszcie podniósł wzrok i uśmiechnął się słabo. - Spokojnie. Obiecuję, że nie będę na was chuchał.

Ten i ów nerwowo zachichotał.

Doszedłszy do siebie, generał pochylił się do przodu i przytrzymał stołu.

- Posłuchajcie uważnie - zaczął, walcząc o każde wypowiedziane słowo. - Rozkazuję, żeby poczynając od dzisiejszego wieczoru, wszystkie podlegające mi dywizje i brygady przeszły na wyższy stopień gotowości bojowej. Trzeba odwołać i zawiesić wszystkie przepustki i urlopy.

Wezwać do jednostki wszystkich żołnierzy, którzy z tego czy innego powodu się od niej oddalili, i to natychmiast. Rozkazuję, żeby do jutra rano każdy sprawny czołg, każdy opancerzony transporter piechoty i każde działo samobieżne zostało w pełni uzbrojone i zatankowane. To samo odnosi się do wszystkich innych środków transportu naziemnego oraz do zdolnych do lotu śmigłowców. Kiedy to załatwicie, jednostki wyruszą bezzwłocznie do wyznaczonych rejonów dyslokacyjnych na specjalne manewry zimowe.

- Postawienie tak dużej liczby żołnierzy i sprzętu w stan pełnej gotowości bojowej będzie kosztowne - zauważył spokojnie szef sztabu. - Niezwykle kosztowne. Parlament zacznie zadawać pytania. Poważne pytania. Obrona ma w tym roku bardzo okrojony budżet...

- Pieprzyć budżet! - warknął Marczuk. Był tak zirytowany, że aż się wyprostował. -

Pieprzyć polityków z Kijowa! Naszym zadaniem jest bronić ojczyzny, a nie martwić się o jakieś tam budżety. - Jeszcze bardziej poszarzała mu twarz. Miotany falą straszliwego bólu zachwiał

się, zadrżał, powoli zgiął się wpół i runął na stół. Na podłogę spadła popielniczka, zasypując wystrzępiony dywan popiołem i niedopałkami.

Wstrząśnięci oficerowie zerwali się na równe nogi i stłoczyli wokół chorego dowódcy.

Poliakow przepchnął się przez nich, nie zważając na to, że są wyżsi stopniem. Dotknął

ostrożnie jego ramienia, przytknął rękę do czoła i gwałtownie ją zabrał. Wytrzeszczył oczy.

- Matko święta - wyszeptał. - On cały płonie!

Ktoś rzucił:

- Przewróćcie go na plecy. Rozluźnijcie krawat i kołnierzyk. Nie ma czym oddychać!

Poliakow wraz z innym doradcą szybko rozpięli Marczukowi marynarkę i rozerwali koszulę. Kiedy ukazała się szyja i naga pierś, oficerowie zaniemówili z przerażenia. Niemal każdy centymetr kwadratowy skóry generała pokrywały otwarte, krwawiące wrzody.

Poliakow spazmatycznie przełknął ślinę, walcząc z mdłościami. Odwrócił głowę.

- Wezwijcie lekarza! - krzyknął przerażony tym, co zobaczył. - Na miłość boską, niech ktoś wezwie lekarza!

Kilka godzin później siedział pochylony na ławce przed drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej w obwodowym szpitalu klinicznym. Przybity patrzył zaczerwienionymi oczami na popękane kafelki podłogowe, nie zwracając uwagi na skrzekliwe, zupełnie niezrozumiałe komunikaty z głośników, które wzywały lekarzy i pielęgniarki do tego czy innego skrzydła gmachu.

W jego polu widzenia pojawiły się nagle wypolerowane na błysk buty. Major westchnął, podniósł wzrok i zobaczył wąską, posępną twarz jakiegoś oficera. Oficer patrzył na niego z wyraźną

dezaprobatą. Poliakov wpadł w złość, lecz zerknąwszy na jego białe - czerwone naramienniki z dwiema złotymi gwiazdkami generała - porucznika, zerwał się na równe nogi.

Głowa do góry, pierś do przodu: stanął na baczność.

- Poliakov, starszy doradca Marczuka - warknął tamten. To było stwierdzenie, nie pytanie.

Major sztywno kiwnął głową.

- Tak jest.

- Tymoszenko - przedstawił się chłodno oficer. - Generał - porucznik Tymoszenko.

Prezydent i minister obrony narodowej przysłali mnie tu z Kijowa z rozkazem objęcia dowództwa.

Major z trudem ukrył zdumienie. Było powszechnie wiadomo, że Tymoszenko jest starym, twardogłowym partyjniakiem, jednym z setek partyjniaków, których po odzyskaniu niepodległości Ukraina odziedziczyła w spadku po rozpadającym się Związku Radzieckim. Jako dowódca połowy miał fatalną reputację. Jego podwładni, ci, którzy u niego wytrzymali, z goryczą twierdzili, że generałowi bardziej zależy na bezmyślnym pruskim drylu niż na prawdziwej gotowości bojowej. Ostatnimi czasy przerzucano go ze stanowiska na stanowisko w Ministerstwie Obrony: na każdym zagorzale przerzucał papiery z jednej strony biurka na drugą, nieustannie pilnując, żeby wpływowi politycy uważali go za niezastąpionego.

- Co z Marczukiem? - spytał.

- Wciąż jest nieprzytomny, panie generale - odparł niechętnie Poliakov.

- Lekarze mówią, że jego stan gwałtownie się pogarsza. Nie reaguje na żadne leki.

- Rozumiem. - Tymoszenko pociągnął nosem i rozejrzał się z pogardą po mrocznym korytarzu. Po chwili przeniósł wzrok z powrotem na majora.

- Co wywołało tę niefortunną chorobę? Przed wyjazdem z Kijowa słyszałem jakieś bzdury o zatruciu substancją promieniotwórczą.

- Na razie nie wiadomo - odrzekł Poliakov. - Lekarze przeprowadzają kompleksowe badania, ale wyniki będą nieprędko, może nawet za kilka dni.

Tymoszenko uniósł brew.

- W takim razie proponuję, żebyście przestali łązić po tych korytarzach jak zagubiony piesek. Generał Marczuk przeżyje albo nie przeżyje. Jestem całkowicie przekonany, że będzie tak bez względu na waszą tu obecność czy nieobecność. - Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu. -

Tymczasem wygląda na to, że ja też będę potrzebował doradcy, przynajmniej do chwili, aż znajdę oficera sprawniejszego i godniejszego niż wy.

Major z trudem zniósł tę obelgę. Obojętnie skinął głową i odparł:

- Tak jest. Postaram się, panie generale.

- To dobrze. Na parkingu czeka samochód. Możecie zabrać się ze mną do sztabu. A kiedy już tam dojedziemy, załatwcie mi jakąś kwaterę. I oby była wygodna. Jutro z samego rana zabierzcie rzeczy z kwatery Marczuka.

- Ale...

Tymoszenko przeszył go spojrzeniem.

- Tak? - warknął. - O co chodzi, majorze?

- Ale co z Rosjanami? - spytał Poliakov, nie próbując nawet ukryć zaskoczenia. - Co z sytuacją na granicy? Generał Marczuk zamierzał rozśrodkować nasze wojska i wysłać je do rejonów koncentracji na manewry.

Tymoszenko zmarszczył brwi. - Tak, wiem. - Wzruszył chuderlawymi ramionami. -

Odwołałem jego rozkazy zaraz po przyjeździe. - Szyderczo pokręcił głową. - To chyba oczywiste. Manewry na pełną skalę w środku zimy? A straty w sprzęcie? A koszty eksploatacyjne? I wszystko to przez te paranoidalne plotki o Rosjanach? Kompletnie szaleństwo.

Nie wiem, co ten Marczuk sobie myślał. Pewnie zgłupiał od gorączki. Już same rachunki za paliwo byłyby nie do przyjęcia.

Z tymi słowami nowy dowódca Północnego Dowództwa Operacyjnego odwrócił się na pięcie i odszedł. Major Poliakov patrzył za nim z narastającym przerażeniem.

Pentagon

Idąc cichym labiryntem korytarzy, kapral Matthew Dempsey z pentagońskiej policji wesoło pogwizdywał. Trafiła mu się nocna zmiana, jego ulubiona. Pentagon nigdy nie zasypiał i spod niektórych drzwi wciąż widać było światło, ale mniej więcej o północy cichł tak męczący za dnia hałas i ustawała wrzawa.

Nagle zaskrzeczało radio. Matthew poprawił tkwiącą w uchu słuchawkę.

- Dempsey? Tu Milliken. Matthew podniósł nadajnik.

- Melduję się, panie sierzancie.

- Miałem telefon z centrali. Dyspozytorka mówi, że zadzwonił do nich ktoś z biura dyrektoriatu wsparcia Połączonego Komitetu Szefów Sztabów DIA. Bezpośrednio stamtąd, rozumiesz? Wybrał

numer, ale nie powiedział i nie odłożył słuchawki. Dyspozytorka słyszy jego oddech, ale facet milczy. Idź tam i sprawdź.

Dempsey zmarszczył czoło. Biura DIA, Wywiadowczej Agencji Obrony - cholernie delikatna sprawa. W normalnych okolicznościach mógł tam wejść tylko ktoś z zezwoleniem na dostęp do najtajniejszych informacji. W razie konieczności Matthew miał prawo złamać przepisy, ale łamiąc przepisy, wsadziłby kij w mrowisko, a raczej w gniazdo os. Nawet gdyby okazało się, że alarm był fałszywy, wymagłoby go na przesłuchaniu i straciłby kilka godzin na wypełnianiu papierków.

Westchnął i potruchtał korytarzem.

- Już idę - zameldował.

Przystanął pod zewnętrznymi drzwiami kompleksu Wywiadowczej Agencji Obrony. Nad drzwiami świeciła się jaskrawoczerwona lampka. Każdy, kto spróbowałby je otworzyć, uruchomiłby alarm w całym gmachu. Matthew zmarszczył czoło, wyjął z kieszeni specjalną elektroniczną przepustkę, którą wydano mu, gdy obejmował służbę, i przeciągnął ją przez czytnik. Światło zmieniło się na żółte, co oznaczało, że ma prawo wejść do środka.

Przekręcił klamkę i znalazł się w kolejnym korytarzu, z tym że ten prowadził w głąb budynku. Po jego obu stronach ciągnął się rząd przeszklonych, dźwiękoszczelnych drzwi.

Matthew przyspieszył kroku i starając się nie zaglądać do mijanych po drodze pokoiów, bezszelestnie ruszył do tych, za którymi był ktoś, kto mógł potrzebować pomocy.

Dyrektoriat Wywiadu Bieżącego - Rosja. Tak głosił napis na wiszącej na nich tabliczce.

Matthew służył w pentagońskiej policji na tyle długo, by wiedzieć, że pracujący tu ludzie odpowiadali bezpośrednio przed sekretarzem obrony i Połączonym Komitetem Szefów Sztabów, przekazując im meldunki o znaczących wydarzeniach wojskowych i politycznych. Zadaniem tych najwyższej klasy specjalistów - analityków było opracowywanie i kompilowanie informacji dostarczanych przez agentów terenowych i przez satelity oraz informacji przechwyconych z radia, rozmów telefonicznych i przekazów komputerowych.

- Policja! - krzyknął, wchodząc do środka. - Jest tu kto? Halo? Rozejrzał się powoli i ostrożnie. Labirynt biurek, krzesel, szafek na akta i komputerów. Słaby głos dyspozytorki, która wciąż próbowała nawiązać kontakt z milczącym rozmówcą, doprowadził go do biurka w kącie sali.

Na blacie i na wyłożonej wykładziną podłodze wałały się dziesiątki zdjęć satelitarnych.

Matthew robił, co mógł, mimo to nie potrafił nie zerknąć na przyklejone do nich etykiety: 4. DYWIZJA PANCERNA.

NAROFOMIŃSK

WOJSKOWY OBÓZ SZKOLENIOWY.

NASŁUCH

45. BRYGADA SPECNAZU.

ANALIZA RUCHU KOLEJOWEGO

MOSKIEWSKI OKRĘG WOJSKOWY.

Na wszystkich widniały czerwone stemple: Ścisłe tajne i Ścisłe tajne specjalnego przeznaczenia.

Matthew wykrzywił twarz. Pięknie. Wpadł jak śliwka w kompot.

Stojący na biurku komputer cichutko mrucał sam do siebie. Wygaszacz ekranu ukrył

zawartość dokumentu, nad którym pracował jego właściciel, a Matthew nie chciał dotykać niczego, co walało się na blacie. Dlatego spojrzał w dół.

Obok przewróconego krzesła leżał starszy mężczyzna. Jego twarz i szyję pokrywały dziwne plamy. Głucho jęknął. Zatrzepotał powiekami, otworzył oczy, ale zaraz je zamknął i ponownie stracił przytomność. W rękę wciąż ścisnął słuchawkę telefonu. Wypadały mu kłaki gęstych, siwych włosów, tworząc na głowie ohydne, łyse placki pokryte jaskrawoczerwoną wysypką.

Matthew przyklęknął, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wziął go za rękę i sprawdził puls. Był

bardzo słaby i nierówny. Matthew zaklął i chwycił nadajnik.

- Sierżancie? Mówi Dempsey. Niech pan przyśle tu sanitariuszy, i to szybko!

10 lutego, Moskwa

Z górujących nad miastem bogato zdobionych wieżyc i wieżyczek Kotelniczskiej roztaczał się wspaniały widok na zachód, na rzekę Moskwę i na czerwone mury, złociste kopuły i wieże Kremla. Na ścianach wieżowca rósł las talerzy anten satelitarnych, radiowych i krótkofalowych. Kotelniczka była jedną z potężnych Siedmiu Sióstr Stalina, jednym z siedmiu gigantycznych bloków, które obłąkany, żądny władzy dyktator kazał wznieść wokół miasta w latach pięćdziesiątych, żeby zlikwidować poniżającą według niego różnicę w ilości drapaczy chmur w Ameryce i Związku Radzieckim.

Kiedyś mieszkali tu komunistyczni aparaczkcy i dyrektorzy wielkich zjednoczeń przemysłowych, teraz natomiast bogaci obcokrajowcy i przedstawiciele nowej rosyjskiej elity rządowo - gospodarczej, ci, których stać było na luksusowy apartament i astronomiczny czynsz sięgający kilku tysięcy dolarów miesięcznie. Czynsz w apartamentach na najwyższym piętrze, bezpośrednio pod środkową wieżycą, zwieńczoną gigantyczną czerwoną gwiazdą, był tak wysoki, że płacić go mogli jedynie najbogatsi i najpotężniejsi z bogatych. Żeby ściągnąć z lokatorów jeszcze więcej pieniędzy, poddasze wieżowca przebudowano na luksusowe, prestiżowe biura.

Przy oknie jednego z takich biur stał wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna. Jego blond włosy były poprządkane pasemkami siwizny, której kolor był prawie taki sam jak kolor jego lodowato szarych oczu. Ze zmarszczonym czołem patrzył na ciemne miasto. Długa, zimowa noc wciąż trzymała

Moskwę w lodowatym uścisku, lecz niebo zaczynało już blednąć.

Na biurku zadzwonił telefon wyposażony w urządzenie zabezpieczające przed podsłuchem. Ożył podłączony do aparatu wyświetlacz elektroniczny, identyfikując rozmówcę.

Mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Moskwa Jeden. Mów.

- Tu Praga Jeden - zaczął nosowy, lekko przytłumiony głos. - Pietrenko nie żyje.

Jasnowłosa mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Świetnie. A materiały, które ukradł ze szpitala? Karty chorobowe i próbki biologiczne?

- Przepadły - zameldował ponuro głos. - Były w dyplomatce, która wpadła do rzeki razem z nim.

- W takim razie sprawa jest zamknięta.

- Niezupełnie - odparł powoli Praga Jeden. - Zanim go dorwaliśmy, umówił się na spotkanie z jakimś lekarzem, Amerykaninem, uczestnikiem tej samej konferencji. Zaskoczyliśmy ich w trakcie rozmowy.

- No i?

- Amerykanin wymknął się z zasadzki - przyznał niechętnie Praga Jeden. - Zatrzymała go czeska policja.

Blondyn zmrużył oczy.

- Dużo wie?

Jego rozmówca głośno przełknął ślinę.

- Nie jestem pewny. Naszym zdaniem, Pietrenko zdążył mu coś powiedzieć. Nie ma wątpliwości, że zamierzał przekazać mu też materiały i próbki.

Mężczyzna zacisnął palce na słuchawce.

- Kim jest ten Amerykanin? Wścibski jakiś...

- Nazywa się Smith, Jonathan Smith. Według spisu uczestników konferencji, jest lekarzem wojskowym, podpułkownikiem, specjalistą od chorób zakaźnych. Pracuje w jednym z amerykańskich instytutów badawczych.

Smith? Blondyn zmarszczył czoło. Miał wrażenie - bardzo ulotne i niejasne - że skądś to nazwisko zna. Tylko skąd? Nie wiedzieć czemu rozdzwoniły mu się w głowie dzwonki alarmowe. Dzwonki, co prawda, ciche, ale jednak. Niecierpliwie machnął ręką. Miał teraz inne zmartwienia.

- Co robi czeska policja?

- Przeszukuje dno rzeki.

- Chcą wyłowić tę dyplomatkę?

- Nie. Mamy informacje prosto z komendy głównej. Szukają trupa Pietrenki. Amerykanin milczy, nie wiadomo dlaczego.

Jasnowłosa mężczyzna spojrział w ciemne okno.

- Znajdą Pietrenkę? Albo tę dyplomatkę?

- Trup prędzej czy później wypłynie - odparł Praga Jeden. - Ale jestem przekonany, że dyplomatka przepadła na dobre. Wełtawa jest szeroka i ma silny prąd. - Obyś miał rację -

powiedział cicho blondyn. - Obyś miał rację... Zapadła niezręczna cisza.

- Co robimy z tym Smithem? - spytał wreszcie Praga Jeden. - Może narobić nam poważnych kłopotów.

Blondyn zamknął oczy. Fakt, co racja, to racja. Amerykanin mógł na razie milczeć, ale istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że koniec końców wszystko wyśpiewa Czechom, a Czesi pobiegną z tym do amerykańskich służb wywiadowczych. CIA zacznie zwracać baczniejszą uwagę na wszelkie doniesienia o tajemniczych chorobach, a do tego ani on, ani jego przełożeni nie mogli dopuścić. Przynajmniej na razie.

Kiwnął głową. Cóż, niechaj tak będzie. Otwarty atak na Smitha to rzecz ryzykowna i niebezpieczna. Gdyby jankes zniknął albo umarł, praska policja zaczęłaby zadawać jeszcze bardziej kłopotliwe pytania na temat morderstwa Pietrenki i powiadomiłaby Waszyngton. Ale Smith żywy był potencjalnie jeszcze groźniejszy.

- Zlikwidujcie go, jeśli to możliwe - rozkazał zimno. - Tylko zróbcie to ostrożnie i starannie. Tym razem nie chcę żadnych świadków.

ROZDZIAŁ 3

Praga

W małym pokoju przesłuchań na zapleczu praskiej komendy głównej przy Konwiktskiej 14 nie było prawie mebli. Stały tam tylko dwa plastikowe krzesła i stary drewniany stół z blatem porysowanym, powgniatanym i poprzypalanym setkami papierosowych niedopałków, które na nim gaszono. Jon siedział sztywno na krześle. Był w pożyczonych spodniach i bluzie od dresu. Każdy, najlżejszy nawet ruch przypominał mu o bolesnych sińcach i zadrapaniach.

Zmarszczył brwi. Jak długo jeszcze zamierzali go tu trzymać? W pokoju nie było zegara, a jego zegarek szlag trafił w lodowatych wodach Wełtawy. Podniósł wzrok. Słabe światło, sączące się przez malutkie, umieszczone wysoko okno, wskazywało, że wstał już świt.

Słumił ziewnięcie. Zgarnęli go z brzegu Wełtawy i natychmiast przesłuchali na okoliczność brutalnego ataku, podczas którego zginął Walentin Pietrenko; sprowadzili też lekarza, który opatrzył draśnięcie na ramieniu. Jego rzeczy, łącznie z portfelem, paszportem i hotelowymi kluczami, zostały „oddane na przechowanie”. Zanim go przesłuchano i pocerowano, minęła północ, więc dali mu talerz zupy i „zapropowali”, żeby skorzystał z koi w jednej z pustych cel. Uśmiechnął się krzywo na wspomnienie tej długiej, zimnej i niemal bezsennej nocy.

Przynajmniej nie zamknęli drzwi na klucz, dając mu do zrozumienia, że nie jest aresztowany, tylko zatrzymany „celem złożenia stosownych zeznań”.

Gdzieś niedaleko były dzwony, najpewniej te w kościele Świętej Urszuli, wzywając wiernych na poranne nabożeństwo i dzieci na lekcje do pobliskiej szkoły zakonnej. Jakby na umówiony znak, otworzyły się drzwi i do celi wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o wyblakłych oczach. Nienagannie skrojony i wyprasowany mundur, jasnoszare spodnie, niebieska koszula, starannie zawiązany krawat, ciemnoszara marynarka - był funkcjonariuszem praskiej policji miejskiej, potężniejszej z dwóch organizacji policyjnych rywalizujących ze sobą w stolicy Czech.

Inspektor Tomas Karasek - takie nazwisko miał na identyfikatorze. Przysunął sobie krzesło i usiadł dokładnie naprzeciwko.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - rzucił swobodnie wyraźną, zrozumiałą angielszczyzną.

Podsunał mu kilka policyjnych portretów pamięciowych. - Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o tych szkicach. Sporządzono je na podstawie pańskich wczorajszych zeznań. Dostrzega pan jakieś podobieństwo do mężczyzny, który miał według pana zabić doktora Pietrenkę?

Jon przyjrzał się rysunkom. Pierwszy pokazywał twarz mężczyzny o długich, zmierzwionych włosach i ciemnych, groźnych oczach, tego z kolczykiem w kształcie czaszki w uchu. Drugi był identyczny, z tym że rysownik dodał plaster na złamanym nosie i kilka sińców dookoła.

- Tak, to on. Na sto procent.

- W takim razie to Rom - rzucił chłodno Karasek. Postukał palcem w szkice. - Po waszemu Cygan.

Zaskoczony Smith podniósł wzrok.

- Już go zidentyfikowaliście?

- Nie po nazwisku - odparł inspektor. - Nie mamy w kartotekach nikogo, kto pasowałby do tego rysopisu. Ale ten kolczyk w uchu, te włosy, ubranie... Wszystko wskazuje na to, że to jeden z nich. - Wykrzywił twarz. - Cyganie mają przestępstwo we krwi. Od maleńkości wychowują dzieci na złodziejasków, kieszonkowców i żebraków. To urodzeni awanturnicy, szumowiny i pasożyty.

Policjant dał pokaz niewiarygodnej wprost nietolerancji - Smith z trudem ukrył odrazę.

Bez względu na ich rzeczywiste wady i przywary, Romowie, lud pozbawionych korzeni biedaków, był często wykorzystywana jako kozioł ofiarny przez bogatsze, bardziej osiadłe i zadomowione społeczeństwa, wśród których żyli i wędrowali. Była to stara gra, często gra śmiertelnie niebezpieczna.

- Śmierć doktora Pietrenki trudno porównać z drobną kradzieżą - odparł ostrożnie, powstrzymując gniew. - To było morderstwo z zimną krwią. Zapomniał pan, że ci ludzie znali jego nazwisko? To sprawa zbyt osobista, jak na zwykłych bandziorów.

Karasek wzruszył ramionami.

- Mogli namierzyć go przed hotelem i pójść za nim aż na most. Cygańskie gangi często polują na turystów, zwłaszcza jeśli zwietrzą bogaty łup.

Zabrzmiała w tym dziwnie fałszywa nutka. Jon pokręcił głową.

- Chyba nie wierzy pan w te bzdury.

- Nie? W takim razie, w co mam wierzyć? - spytał spokojnie inspektor. Zmrużył oczy i spojrzał na niego ponad stołem. - Ma pan jakąś teorię, pułkowniku? Może zechce się pan nią podzielić?

Smith milczał. Wkroczył na niebezpieczny teren. Nie mógł powiedzieć wszystkiego policji. Był pewien, że Pietrenkę zamordowano, bo ktoś nie chciał, żeby dokumentacja chorobowa i próbki tkanek przedostały się na Zachód, ale nie miał na to konkretnych dowodów; zarówno Rosjanina, jak i jego dyplomatkę pochłonał nurt Wełtawy. Natomiast próba przeforsowania pomysłu, że było to morderstwo polityczne, mogła wciągnąć go w wielotygodniowe śledztwo i zmusić do ujawnienia umiejętności oraz kontaktów, których poprzysiągł nigdy nie zdradzić.

- Przeczytałem pańskie zeznanie bardzo uważnie - ciągnął Karasek. - I muszę powiedzieć, że w kilku miejscach jest dość... mgliste i niepełne.

- Mgliste?

- Tak. Weźmy choćby pańskie spotkanie z doktorem Pietrenko. Amerykański oficer i rosyjski naukowiec umawiają się na moście: to dość dziwne. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Jestem amerykańskim oficerem, ale moja praca ma charakter czysto medyczny i naukowy - odparł sztywno Jon. - Jestem lekarzem, a nie komandosem z oddziałów specjalnych.

- Oczywiście. - Karasek uśmiechnął lekko, ale tylko samymi ustami, bo oczy wciąż miał

zimne jak lód. - Amerykańscy lekarze wojskowi muszą być świetnie wyszkoleni, to godne pozazdroszczenia. Nie znam specjalisty od chorób zakaźnych, który potrafiłby stawić czoło trzem uzbrojonym napastnikom jednocześnie.

- Miałem szczęście.

- Szczęście? - powtórzył Karasek i znacząco zawiesił głos. - Wybacz pan, ale wolałbym usłyszeć coś bardziej sensownego. Coś, co wyjaśniłoby, co pan i doktor Pietrenko robiliście na moście Karola.

- To żadna tajemnica - odparł Smith, załując, że musi kłamać. - Po dwóch dniach wykładów i sympozjów chciałem zrobić sobie krótką przerwę. Doktor Pietrenko też. Poza tym, obydwaj chcieliśmy zwiedzić Pragę. Postanowiliśmy zacząć od mostu. Uznaliśmy, że to dobre miejsce.

Karasek sceptycznie uniósł brew.

- Podziwialiście widoki? - spytał. - We mgle? Jon nie odpowiedział.

Karasek przyjrzał mu się i ciężko westchnął.

- Cóż, dobrze. Nie widzę powodów, żeby dłużej pana zatrzymywać.

- Zwinnie wstał, podszedł do drzwi, nacisnął kłamekę, nagle przystanął i się odwrócił. -

Jeszcze jedno. Pozwoliliśmy sobie odebrać pańskie rzeczy z hotelu. Czekają na dole, u oficera dyżurnego. Na pewno zechce pan ogolić się i przebrać przed wyjazdem na lotnisko. Najbliższy samolot do Nowego Jorku via Londyn odlatuje dopiero za kilka godzin.

Jon zmrużył oczy.

- Ach, tak?

- Jestem przekonany, że w tych jakże przykrych okolicznościach zechce pan skrócić pobyt w naszym kraju - wyjaśnił inspektor. - Oczywiście bardzo nam przykro, ale cóż, to zupełnie zrozumiała decyzja.

- Czy to rozkaz? - spytał spokojnie Smith.

- Oficjalny? Ależ skąd. Nasze rządy są bliskimi sojusznikami, prawda?

- Karasek wzruszył ramionami. - Proszę potraktować to jako wyraźną, acz nieoficjalną sugestię. Praga to spokojne miasto i jej rozkwit zależy w dużej mierze od rozwoju ruchu turystycznego. Dlatego nie tolerujemy tu kowbojskich strzelanin. Ani w naszych malowniczych uliczkach, ani na zabytkowych mostach.

Jon uśmiechnął się posępnie.

- A więc jest pan szeryfem, a ja rewolwerowcem, którego wypędza pan z miasta, zanim zdąży narobić więcej kłopotów. Tak?

Przez twarz inspektora po raz pierwszy przemknął lekki uśmiech szczerego rozbawienia.

- Coś w tym rodzaju, pułkowniku.

- Będę musiał skontaktować się z moimi przełożonymi - oznajmił stanowczo Jon.

- Naturalnie. - Karasek odwrócił się do drzwi i lekko podniósł głos: - Antonin! - zawołał.

- Przynies tu telefon naszego amerykańskiego przyjaciela.

Milczący sierżant przyniósł komórkę, którą znaleźli pod wodoszczelną podszewką jego skórzanej kurtki.

Smith podziękował mu skinieniem głowy, otworzył i włączył aparat. Zapłonął mały, kolorowy ekran. Na ekranie zamrugały ikonki, co oznaczało, że urządzenie przeprowadza szybki test, sprawdzając, czy żaden z obwodów nie jest uszkodzony i czy nikt nie próbował w nich grzebać w poszukiwaniu kodów czy podprogramów.

- Bardzo ciekawy sprzęt - zauważył chłodno inspektor. - Nasi elektronicy byli zaskoczeni jego niektórymi funkcjami, zwłaszcza tymi bardziej zaawansowanymi.

- Zaskoczeni? - odparł z kamienną twarzą Jon. - Naprawdę? W tej chwili to najmodniejsza komórka w Stanach. Następnym razem zabiorę instrukcję obsługi.

Pokonany Karasek uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

- Mam szczerą nadzieję, że następnego razu nie będzie, panie pułkowniku - odrzekł. -

Życzę szczęśliwej podróży.

Smith zaczekał, aż zamknie za sobą drzwi, wcisnął guzik i przytknął aparat do ucha.

Kilka sekund ciszy, wreszcie sygnał.

- Proszę chwileczkę poczekać. - Grzeczny, kobiecy głos, krótki, elektroniczny sygnał, potem drugi: potwierdzenie, że rozmowa jest szyfrowana. - Linia jest czysta.

- Mówi podpułkownik Jonathan Smith, dzwonię z Pragi - zaczął ostrożnie Jon. - Wiem, że u was jest bardzo późno, ale muszę rozmawiać z generałem Fergusonem. To ważne. I bardzo pilne.

Ci, którzy go podsłuchiwali, mogli bez trudu sprawdzić, że generał brygady Daniel Ryder Ferguson jest dyrektorem Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych. Rzecz w tym, że numer, pod który zadzwonił, nie należał do instytutu. Zanim wygenerowany przez komórkę sygnał dotarł do Waszyngtonu, został automatycznie przekierowany do kwatery głównej Tajnej Jedyńki.

Jon prowadził podwójne życie. Przez większość czasu pracował jawnie i otwarcie jako naukowiec i lekarz w instytucie. Zdarzało się jednak, że pracował również dla Tajnej Jedyńki, starannie zakamuflowanej organizacji podlegającej bezpośrednio prezydentowi Stanów Zjednoczonych. O jej istnieniu nie wiedział nawet żaden z kongresmanów. Nie wiedział o niej nikt z dowództwa sił zbrojnych ani wywiadu. Luźno skupiona wokół kwatery głównej Tajna Jedyńka składała się z sieci agentów terenowych, wybitnych specjalistów o wielu umiejętnościach i bogatej wiedzy. Podobnie jak Smith, byli to ludzie nieskrępowani więzami rodzinnymi i zobowiązaniami osobistymi, które mogłyby utrudnić im pracę.

- Generał już wyszedł, panie pułkowniku - odrzekła Maggie Templeton, ich dyspozytorka, błyskawicznie wchodząc w rolę; zwrot, którego użył: „I bardzo pilne”, oznaczał, że Smith ma poważne kłopoty. - Ale mogę pana połączyć z oficerem dyżurnym.

- Z oficerem dyżurnym? - powtórzył głośno Jon. - Dobrze, bardzo proszę.

- Chwileczkę.

Znowu kilka sekund ciszy i znajomy głos:

- Dzień dobry, Jon.

Smith wyprostował się sztywno.

- Dzień dobry, panie pułkowniku.

Nathaniel Frederick Klein, szef Tajnej Jedyńki, oschle zachichotał.

- Pułkowniku? Zwykle jesteś mniej oficjalny. Rozumiem, że praskie ściany mają uszy.

Maggie uprzedziła mnie, że masz kłopoty.

Jon z trudem ukrył uśmiech. Był pewien, że ich rozmowę - a raczej jego głos podsłuchuje co najmniej jeden ukryty mikrofon. Inspektor Karasek nie darzył go zbytnim zaufaniem.

- Tak jest - odparł. - Dzwonię z posterunku policji w Pradze. Wczoraj po południu próbowało mnie zabić trzech mężczyzn. Zabili mojego kolegę, rosyjskiego naukowca Walentina Pietrenkę.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- Rozumiem - powiedział wreszcie Klein. - Dobrze, że o tym meldujesz. To poważna sprawa. Bardzo poważna sprawa. Proszę o szczegóły.

Jon opisał mu pokrótce przebieg ataku na moście Karola, trzymając się tego, co zeznał

czeskiej policji. Gdyby rzeczywiście ukryli tu gdzieś mikrofon, nie chciał dawać im powodów do

dalszych przesłuchań. Wiedział, że Fred Klein, człowiek niezwykle inteligentny, na pewno dopowie sobie całą resztę.

- Ludzie, którzy was zaatakowali, byli zawodowcami - stwierdził beznamiętnie Klein. -

Członkami bojówki, grupy uderzeniowej wyszkolonymi do walki wręcz.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości - potwierdził Smith.

- To byli Rosjanie?

Jon odtworzył w myśli głos długowłosego mężczyzny z kolczykiem w uchu. Kiedy napastnik przestał udawać żebraka i przeszedł na angielski, w jego angielszczyźnie słychać było leciutki, trudny do wychwycenia akcent. Tylko jaki? Smith wzruszył ramionami.

- Możliwe. Ale nie mogę dać za to głowy.

Klein milczał przez chwilę.

- Gdzie pracował doktor Pietrenko?

- W głównym szpitalu klinicznym w Moskwie. Był specjalistą od chorób zakaźnych, wybitnym ekspertem, jednym z najlepszych w branży.

- W głównym szpitalu klinicznym? - myślał na głos Klein. - To ciekawe. Bardzo ciekawe...

Jon uniósł brew. Działający w cieniu Klein miał nieograniczony dostęp do niewyobrażalnie bogatych zasobów informacji i analiz. Czyżby inne służby wywiadowcze, amerykańskie lub zachodnie, badały już wybuch tajemniczej epidemii w Moskwie?

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł. - Tutejsza policja też tak uważa.

- I pewnie zadają ci bardzo kłopotliwe pytania, co? Jak udało ci się ujść z życiem, i tak dalej.

- Można tak powiedzieć - odrzekł sztywno Jon. - Jeśli doda pan do mojej persona słowa non grata, będzie pan miał pełny obraz sytuacji. Wysyłają mnie pierwszym samolotem do Londynu.

- Co jest zapewne nieco żenujące, ale nie tragiczne. Nie wpłynie to ani na twoją karierę, ani cię nie zdekonspiruje. Ale do rzeczy. Myślisz, że tamci wciąż ci zagrażają?

Smith zmarszczył czoło. Zastanawiał się nad tym prawie przez całą noc. Zamordowali Pietrenkę: jak daleko jeszcze mogli się posunąć? Czy likwidując Rosjanina, zakończyli misję czy też kazano im również zabić wszystkich tych, z którymi naukowiec się kontaktował?

- To możliwe - odparł. - Mało prawdopodobne, ale możliwe.

- Rozumiem - mruknął Klein i w słuchawce zapadła cisza. Odezwał się niecałą minutę później. -

Dam ci wsparcie. Małe, ale w tak krótkim czasie nie załatwię niczego więcej, a nie chcę, żebyś był sam. Możesz posiedzieć tam jeszcze z godzinę?

- Nie ma sprawy.

- Dobrze. Zadzwoń, kiedy będziesz wychodził z posterunku. - Klein zawahał się lekko i dodał: - Nie daj się zabić, Jon. Zwariowałbym od wypełniania tych wszystkich papierków.

- Postaram się, panie pułkowniku - odrzekł z uśmiechem Smith.

Z posterunku policyjnego przy Konwiktskiej wyszedł spiesznie mężczyzna w grubym, brązowym palcie, rękawicach, futrzanej czapce i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem ruszył w stronę rzeki.

W jednej z bocznych uliczek czekał na niego czarny mercedes. Chociaż parkując w tym miejscu, łamał przepisy, na przedniej szybie miał dyplomatyczną naklejkę, która powstrzymywała stróżów prawa przed interwencją, przynajmniej jak dotąd. Mimo że dzień był

pochmurny,

samochodu

były

przesłonięte

ciemnymi

osłonami

przeciwsłonecznymi.

Mężczyzna otworzył przednie drzwiczki i usiadł za kierownicą. Zdjął czapkę i okulary, rzucił je na skórzany fotel pasażera i nerwowo przyglądał ręką sterczące, kasztanowe włosy.

- No i? - spytał ponury głos z tylnego siedzenia. - Czego się dowiedziałeś?

Mężczyzna - Rumun nazwiskiem Dragomir Ilionescu - zerknął w górne lusterko.

Siedzący z tyłu mężczyzna był ledwo widoczny.

- Policja wciąż go przetrzymuje - odparł. - Ale niedługo go wypuszczą. Tak jak pan przewidywał, odsyłają go do kraju. Leci do Londynu, a stamtąd do Nowego Jorku.

- Pod obstawą?

- Nie. Na lotnisko ma jechać sam.

- Można zaufać temu twojemu informatorowi? Ilionescu wzruszył ramionami.

- Jak dotąd mnie nie zawiódł. Nie ma powodu, żeby miał zawieść teraz.

- Znakomicie. - Siedzący w półmroku mężczyzna uśmiechnął się zimno, błyskając zębami.

- W takim razie zapewnimy panu pułkownikowi bardzo ekscytującą podróż. Powiadom resztę grupy. Mają być gotowi do natychmiastowego wyjazdu. Wiedzą, co robić.

Ilionescu posłusznie sięgnął po telefon, wcisnął przycisk uruchamiający urządzenie szyfrujące i... lekko się zawahał.

- Czy warto aż tak ryzykować? - spytał. - Przecież Pietrenko nie żyje, a materiały, które ukradł, przepadły w rzece. Zadanie główne zostało wykonane. Jeden Amerykanin mniej, jeden więcej, co to za różnica?

Siedzący z tyłu mężczyzna pochylił się do przodu i na jego ogolonej na łyso głowie zatańczyły promienie wpadającego przez okno światła. Pochylił się i ostrożnie, bardzo ostrożnie dotknął grubego opatrunku na zmiażdżonym nosie. Na plastrze widniały brązowe plamy zakrzepłej krwi.

- Uważasz, że ten, kto mi to zrobił, jest tylko lekarzem? - spytał cicho.

- Zwykłym lekarzem?

Ilionescu z trudem przełknął ślinę.

- No, więc?

Spocony Rumun pokręcił głową.

- Widzę, że masz trochę rozsądku. To dobrze. Dlatego kimkolwiek ten Smith jest, trzeba go zlikwidować. - Mężczyzna groźnie zniżył głos.

- Poza tym, ostatnie rozkazy z Moskwy są jasne i wyraźne, prawda? Żadnych świadków.

Mam nadzieję, że pamiętasz, jakie kary grożą za wpadkę czy niepowodzenie. Pamiętasz?

Ilionescu nerwowo odchrząknął. Na wspomnienie makabrycznych zdjęć, które mu pokazywano, zadrgało mu lewe oko. Ponuro kiwnął głową.

- Pamiętam.

- W takim razie do roboty. - Z tymi słowami George Liss, kryptonim Praga Jeden, ponownie ukrył twarz w mroku.

ROZDZIAŁ 4

Pod Briańskiem, Rosja

Cztery podwójnie usterzone myśliwce szturmowe Su - 34 leciały z rykiem nad porośniętymi lasem falistymi wzgórzami na zachód od Briańska. Dzięki zaawansowanym systemom radarowym mogły zejść tuż nad wierzchołki najwyższych drzew i szczyty słupów wysokiego napięcia. Za maszynami buchały fontanny świetlistych flar, pułapek cieplnych, które opadając powoli na ziemię, miały zmylić ścigające je rakiety typu ziemia - powietrze.

Samoloty gwałtownie zadarły nos i na chwilę zwiększyły pułap lotu, żeby ich systemy pokładowe namierzyły cele, przekazały dane ukrytym w pociskach komputerom i obliczyły współrzędne punktu zrzutu. Kilka sekund później dziesiątki precyzyjnie sterowanych bomb i pocisków oderwało się spod skrzydeł i poszybowało w dół, w stronę odległego lasu. Wszystkie cztery maszyny momentalnie zrobiły ostry zwrot w prawo i zanurkowały, żeby wyjść poza zasięg radarów wroga. Opuściły strefę ataku i zniknęły na północy.

Z lasu buchnęły olbrzymie gejzery ognia, oślepiających, pomarańczowych i czerwonych płomieni. Siła wybuchu roztrzaskała lub wyrwała z korzeniami dziesiątki drzew, które koziółkując, poszybowały ponad sto metrów dalej. Wiatr niósł kłęby dymu i deszcz lżejszych odłamków.

Na dachu starego, betonowego bunkra na zboczu pobliskiego wzgórza z lornetkami w ręku stało

sześciu wysokich oficerów wojsk lądowych i lotniczych. Pilnowało ich ponad stu po zęby uzbrojonych komandosów z wojsk powietrzno - desantowych w białych panterkach i kamizelkach kuloodpornych. Między drzewami za bunkrem, niewidoczne w podczerwieni, bo zamaskowane specjalnymi siatkami, stały naszpikowane elektroniką ruchome punkty dowodzenia. W lesie wiły się wiązki kabli optycznych, łączących zabezpieczoną przed podsłuchem sieć dowodzenia. Żeby zapewnić całkowitą tajność operacyjno - strategiczną tym specjalnym manewrom - nadano im kryptonim „Zimowa Korona” - łączność radiowa, komórkowa i naziemna została mocno ograniczona.

Prowadzący nasłuch pułkownik spojrzał na stojącego tuż obok niskiego, szczupłego mężczyznę. Wśród stłoczonych na dachu obserwatorów tylko on był w cywilnym ubraniu, w czarnym palcie i szaliku. Wiatr potargał mu rzadkie, kasztanowe włosy.

- Panie prezydencie - zameldował cicho. - Według komputera, wszystkie symulowane stanowiska baterii artyleryjskich i ruchome stacje radarowe zostały zniszczone.

Nie odrywając lornetki od oczu, prezydent Wiktor Dudarew lekko skinął głową.

- Bardzo dobrze - wymamrotał.

Nad pobliskimi wzgórzami przemknęła z rykiem potężnych silników eskadra myśliwców szturmowych, ultranowoczesnych Su - 39. Śmignęły nad bunkrem, gwałtownie skrzyły, obniżyły lot, wpadły do szerokiej doliny, a gdy się tam znalazły, z podwieszonych pod skrzydłami zasobników wystrzeliły setki niekierowanych pocisków raketowych, ciągnąc za sobą smugi ognia i dymu. Wschodni skraj lasu zniknął w serii przetaczających się jak grom eksplozji.

- Wszystkie wyrzutnie raketowe nieprzyjaciela zostały zniszczone lub poważnie uszkodzone - zameldował pułkownik.

Prezydent ponownie kiwnął głową. Przesunął lornetkę w lewo i spojrzał na zbocze doliny.

Wśród narastającego łoskotu wirników nadleciał stamtąd sznur szaro - białych śmigłowców transportowych Mi - 17 z żołnierzami Specnazu na pokładzie. Pędząc z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę, flotylla pomalowanych w zimowe barwy ochronne maszyn przemknęła nad bunkrem i zniknęła w kłębach gęstego dymu nad skoszonym przez pociski lasem.

Dudarew zerknął na pułkownika.

- No i?

- Nasze siły specjalne przełamały linię obrony nieprzyjaciela i kierują się obecnie ku celom głównym, kwaterom dowódczym, parkom paliwowym, wyrzutniom pocisków dalekiego zasięgu i temu podobnym - zameldował jego doradca wojskowy, pułkownik Piotr Kirczenko.

Poprawił słuchawki, podniósł wzrok i dodał: - Pierwsze jednostki naszych głównych naziemnych sił uderzeniowych zajmują pozycję.

- Znakomicie. - Prezydent skierował lornetkę na odległe ujście doliny. Zobaczył tam setki małych, szybko poruszających się kropeczek, które wydostawszy się na otwarty teren, w ciągu kilku minut rozpełzły się niemal po całym dnie doliny. Były to gąsienicowe wozy zwiadowcze BRM - 1, maszyny uzbrojone w działka kaliber 73 mm, pociski raketowe i karabiny maszynowe.

Za nimi sunęły mocniej opancerzone czołgi T - 90, stalowe bestie uzbrojone w działa kaliber 125 mm. Pokryte prostopadłościennymi kostkami materiału wybuchowego, które wybuchając po trafieniu pociskiem kumulacyjnym, rozpraszają strumień rozgrzanych gazów i niemal trzykrotnie zwiększają odporność na pociski typu HEAT, wyposażone w zakłóczacze podczerwieni oraz anty laserowy system aerozolowy do zwalczania kierowanych pocisków przeciwpancernych, były znaczącym krokiem naprzód w porównaniu ze starszymi czołgami typu T - 72. Zaprojektowany w oparciu o doświadczenia bojowe z niekończącej się wojny w Czeczenii T - 90 był

najnowocześniejszym rosyjskim czołgiem. Jego wspomagany komputerowo system kontroli ognia i celownik termiczny pod względem celności i siły ognia stawiał go na równi z amerykańskim Abramsem.

Dudarew uśmiechnął się do siebie, obserwując jadące z dużą prędkością czołgi. Wywiad Zachodni myślał, że większość tych maszyn stacjonowała na Dalekim Wschodzie, na granicy z Chińską Republiką Ludową. Jak bardzo się mylili...

Od objęcia urzędu prezydenta Rosji Wiktor Dudarew, były agent KGB, usilnie pracował, żeby odbudować i zreformować upadające siły zbrojne. Wyrzucił z wojska tysiące skorumpowanych, leniwych i politycznie niepewnych oficerów. Bez pardonowo rozwiązał

dziesiątki słabo wyposażonych lub źle zorganizowanych dywizji pancernych i zmotoryzowanych.

Zachował jedynie najlepsze i kazał utrzymywać je w ciągłej gotowości bojowej. Coraz więcej i więcej pieniędzy - pochodzących głównie ze stale wzrastającej sprzedaży ropy naftowej - szło na utrzymanie małych, elitarnych jednostek, których dowódcy i żołnierze byli o wiele lepiej wyszkoleni i opłacani niż ci z masowego zaciągu w czasach Związku Radzieckiego.

Dudarew spojrzął na zegarek i klepnął pułkownika w ramię.

- Pora jechać, Piotrze - mruknął. Kirczenko kiwnął głową.

- Tak jest, panie prezydencie.

Gdy odwrócili się, żeby odejść, stojący najbliżej generałowie trzasnęli obcasami i zaszalutowali. Dudarew żartobliwie pogroził im palcem.

- Spocznijcie, panowie - powiedział. - Pamiętajcie, żadnych ceremonii. Przecież mnie tu nie ma. Ani nigdy nie było. Według kremłowskiego biura prasowego, wyjechałem na dwudniowy urlop do mojej pod moskiewskiej daczy. - Uśmiechnął się smutno i jeszcze raz spojrzął na setki wozów zwiadowczych i czołgów sunących z rykiem przez dolinę. - To też się nie dzieje - dodał. -

To tylko sen. „Zimowa Korona” to manewry na papierze, zwykle ćwiczenia sztabowe. Prawda?

Generałowie zachichotali, grzecznie i z obowiązku.

Zgodnie z podpisanymi przez Rosję traktatami rozbrojeniowymi, wszystkie manewry wojskowe na wielką skalę powinny być zapowiedziane z wielotygodniowym, a nawet wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Manewry pod kryptonimem „Zimowa Korona” rażąco te traktaty naruszały. Nie powiadomiono ani jednego ze stacjonujących w Moskwie zagranicznych attache wojskowych. Każdą fazę ćwiczeń przeprowadzono w starannie wybranym i dokładnie obliczonym czasie, żeby amerykańskie satelity szpiegowskie nie zauważyły tysięcy żołnierzy i setek pojazdów manewrujących w lasach i na pokrytych śniegiem polach.

Równie ściśle i wyrafinowane środki ostrożności miały obowiązywać podczas wielkich ćwiczeń, które zaplanowano na peryferiach Federacji Rosyjskiej, na granicy z Gruzją, Azerbejdżanem i dysydenckimi republikami azjatyckimi. Każdego, kto zacząłby zadawać kłopotliwe pytania na ten temat, poinformowano by, że są to po prostu „specjalne ćwiczenia antyterrorystyczne” sił szybkiego reagowania. Zanim prawda wyjdzie na jaw, będzie za późno. O

wiele za późno.

Z towarzyszącym mu krok w krok pułkownikiem Kirczenką prezydent zszedł na dół

schodami wyciętymi w zboczu wzgórza za bunkrem. U stóp schodów cierpliwie czekał krępy, siwowłosa mężczyzna. Podobnie jak Dudarew, miał na sobie ciemnobrązowe palto i mimo silnego mrozu, był bez czapki.

- Idź sprawdź, czy wszystko przygotowane do odjazdu - rzucił prezydent do pułkownika.

- Zaraz przyjdę.

Kirczenko kiwnął głową i odszedł, nie oglądając się za siebie. Część jego obowiązków polegała na tym, że wiedział, kiedy zniknąć, czego nie widzieć i nie słyszeć.

- Co powiesz, Aleksieju? - zaczął Dudarew. - Słucham.

Aleksiej Iwanow, stary, zaufany towarzysz z KGB, kierował obecnie mało znanym wydziałem FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa, następczyni dawnego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Na oficjalnych schematach, rozprowadzanych przez rosyjski rząd, wydział ten nosił nudną i nijaką nazwę: Wydział Koordynacji Projektów Specjalnych.

Jednakże wtajemniczeni nazywali to mroczne królestwo Trzynastym Dyrektoriatem i trzymali się odeń z daleka.

- Nasi przyjaciele meldują, że Hydra ruszyła zgodnie z harmonogramem - zaczął Iwanow.

- Zastosowanie pierwszych odmian operacyjnych przynosi spodziewane efekty.

- Bardzo dobrze. - Dudarew podniósł wzrok. - A te przecieki, które tak bardzo cię niepokoiły?

Iwanow nachmurzył czoło.

- Zostały... uszczelnione. Tak mi przynajmniej doniesiono. Prezydent uniósł brew.

- A więc nie wiesz tego na pewno?

Szef Trzynastego Dyrektoriatu wzruszył potężnymi ramionami.

- Meldunki są wiarygodne; nie mam powodu w to wątpić. Ale przyznaję, że nie podoba mi się ta zabawa w zdalne sterowanie. Jest zbyt... niedoskonała. - Zmarszczył brwi. - Może nawet niebezpieczna.

Dudarew klepnął go w ramię.

- Rozchmurz się, Aleksieju. Stare metody odeszły w przeszłość, trzeba iść z duchem czasu. Dzisiaj modna jest decentralizacja i podział władzy, prawda?

Złodowaciał mu wzrok. - Poza tym, Hydra jest bronią, której najlepiej używać z bezpiecznej odległości. Potem łatwo się wszystkiego wyprzeć. Dobrze mówię?

Iwanow ciężko skinął głową.

- Tak, to prawda.

- W takim razie róbcie swoje zgodnie z planem. Znasz harmonogram. W razie potrzeby weź na celownik naszych przyjaciół. Ale nie interweniuj, chyba że nie będzie innego wyjścia.

Jasne?

- Tak jest, panie prezydencie - zgodził się niechętnie Iwanow. - Oby pańska wiara była uzasadniona.

Rozbawiony prezydent uniósł brwi.

- Wiara? - powtórzył, rozciągając usta w krótkim, zimnym uśmiechu. - Mój drogi Aleksieju, powinieneś już mnie znać. Ja nie wierzę, w nic ani w nikogo. Wiara jest dla głupców i prostaków. Człowiek mądry dobrze wie, że światem rządzą jedynie fakty i siła.

Tbilisi, Gruzja

Stolica Gruzji leży w czymś w rodzaju naturalnego amfiteatru, ponieważ ze wszystkich stron otaczają ją wysokie wzgórza zwieńczone prastarymi fortecami, rozpadającymi się klasztorami i gęstymi lasami. W słoneczny dzień na północnym horyzoncie widać stąd ośnieżone szczyty Kaukazu, ostro kontrastujące z bladoniebieskim niebem.

Sara Rousset, korespondentka „New York Timesa” opierała się o balustradę balkonu na najwyższym piętrze pięciogwiazdkowego Marriotta.

Miała dopiero trzydzieści kilka lat, lecz jej niegdyś kasztanowe włosy były prawie siwe; to, że wyglądała starzej, zyskiwało jej przychylną wydawców i potencjalnych informatorów.

Zamknawszy jedno oko, drugim spojrzała w celownik aparatu cyfrowego i zaczęła fotografować olbrzymi tłum, który wypełniał szerokie, wysadzone drzewami aleje.

Zrobiła najazd na drobną, siwowłosą kobietę z różową flagą w rękach. Na drzewcu powiewały czarne wstążki, a jej pomarszczona twarz spływała łzami. Jednym lekkim ruchem palca Sara uwieczniła ten wymowny obraz i zapisała go w pamięci aparatu. Pójdzie na pierwszą stronę, pomyślała. Jako ilustracja mojego wstępniaka.

- Cudownie... - wymamrotała, wciąż robiąc zdjęcia.

- Słucham? - rzucił chłodno stojący obok wysoki mężczyzna o kwadratowej szczęce; był szefem misji w ambasadzie amerykańskiej.

- Ci wszyscy ludzie - wyjaśniła Sara, ruchem głowy wskazując gęsty, milczący tłum Gruzinów. Pod morzem flag, szturmówek i transparentów sunął powoli w kierunku gmachu parlamentu. - Tysiące ludzi na tym zimnie. Może nawet dziesiątki tysięcy. A wszyscy zjednoczeni w bólu, smutku i modlitwie za jednego, schorowanego człowieka. - Pokręciła głową.

- Będzie z tego wspaniały artykuł.

- Raczej narodowa tragedia - odparł cierpko jej towarzysz. - Na pewno dla Gruzji, niewykluczone, że i dla całego Kaukazu.

Sara opuściła aparat i spojrzała na niego spod długich rzęs.

- Naprawdę? Mógłby pan wyjaśnić dlaczego? Chciałabym, żeby zrozumieli to moi czytelnicy.

- Wyjaśnić... anonimowo? - spytał cicho szef misji.

- Nie ma sprawy, może być anonimowo. - Sara uśmiechnęła się lekko. - Powiedzmy, że jest pan „zachodnim ekspertem od gruzińskiej polityki”.

- Dobrze - zgodził się dyplomata. I ciężko westchnął. - Panno Rousset, musi pani zrozumieć, że dla tych ludzi prezydent Jaszwili jest kimś więcej niż tylko zwykłym politykiem.

Jest symbolem demokracji, rewolucji róż, pokoju, dobrobytu, może nawet ciągłości narodowej.

Wskazał ręką odległe wzgórze.

- Przez setki lat ten targany wojną region przechodził z rąk do rąk. Biły się o niego największe imperia, Persja, Bizancjum, Arabowie, Turcy i Mongołowie, wreszcie zawładnęli nim Rosjanie. Po upadku Związku Radzieckiego Gruzja była politycznym i gospodarczym wrakiem pustoszonego przez nieustanne walki etniczne, korupcję i chaos. Wybuch rewolucji róż wyniósł

na stanowisko Michaiła Jaszwilego, który zaczął to wszystko naprawiać i zmieniać. Pokazał tym ludziom, jak smakuje prawdziwa demokracja, jak wyglądają pierwsze od ośmiuset lat prawdziwie demokratyczne rządy.

- A teraz umiera - wtrąciła Sara. - Ma raka?

- Możliwe. - Dyplomata wzruszył ramionami. - Ale nikt nie wie tego na pewno. Według moich informatorów lekarze nie zdołali ustalić, co go zabija. Wiedzą tylko, że jeden po drugim, przestają funkcjonować wszystkie najważniejsze narządy ciała.

- A dalej? - zastanawiała się na głos Sara. - Co będzie dalej, po jego śmierci?

- Nic dobrego.

- Inni też się oderwą? - drążyła Sara. - Tak jak Południowa Osetia i Abchazja? - Po zaciekłych, wieloletnich walkach, które kosztowały życie tysięcy ludzi, regiony te ogłosiły się

„autonomiczną republiką”. - A może eskalacja konfliktu doprowadzi do wybuchu kolejnej wojny domowej? - Przekazywanie korespondencji bezpośrednio ze strefy działań wojennych było ryzykowne, lecz otwierało drogę do dziennikarskiej sławy. A Sara Rousset zawsze była ambitna.

- Możliwe - odparł dyplomata. - Jaszwili nie ma następcy, kogoś, komu zaufałyby wszystkie partie, frakcje polityczne, narodowości i grupy etniczne w Gruzji.

- A co z Rosjanami? W Tbilisi wciąż mieszka wielu rodowitych Rosjan, prawda? Gdyby doszło do wybuchu walk, czy Kreml przysłałby tu wojsko, żeby je zdławić?

Dyplomata wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o to - odrzekł - wiem tyle co pani.

ROZDZIAŁ 5

Blaty Dra, Waszyngton D.C.

Prezydent Samuel Adams Castilla wprowadził gościa do ciemnego Gabinetu Owального i zapalił światło. Jedną ręką rozluźnił starannie zawiązaną muszkę i rozpiął smoking.

- Niech pan siada, Bill - rzucił cicho, wskazując dwa fotele przed marmurowym kominkiem. - Kieliszek czegoś mocniejszego?

William Wexler, poprzednio senator, a obecnie dyrektor wywiadu narodowego, mężczyzna szczupły, elegancki i zadbany, energicznie pokręcił głową.

- Nie, nie, dziękuję. - Uśmiechnął się wylewnie, żeby nie urazić prezydenta. - Pańscy kelnerzy byli dzisiaj bardzo hojni. Kieliszek więcej i mógłbym się upić.

Castilla chłodno kiwnął głową. Niektórzy członkowie jego personelu, ci odpowiedzialni za imprezy towarzyskie, wyznawali niewypowiedzianą zasadę, że wszystkim gościom na oficjalnych kolacjach w Białym Domu trzeba dać sznur, żeby się na nim powiesili - sznur, a w tym przypadku alkohol, cysterne alkoholu, którym można by upić do nieprzytomności cały pułk amerykańskiej piechoty morskiej. Ludzie mądrzy na tyle, żeby oprzeć się pokusie, odsuwali kieliszek, zanim było za późno. Tych, którzy mądrzy nie byli, nie zapraszano już do Białego Domu bez względu na ich wpływy czy popularność.

Prezydent zerknął na ozdobny, osiemnastowieczny zegar tykający cicho na zakrzywionej ścianie gabinetu. Już dawno minęła północ. Ponownie wskazał Wexlerowi fotel i usiadł

naprzeciwko.

- Najpierw chciałbym panu podziękować, że zechciał pan zostać.

- To żaden kłopot, panie prezydencie - odparł Wexler głębokim, dźwięcznym barytonem zawodowego polityka. Uśmiechnął się, odsłaniając rząd bielutkich zębów. Chociaż przekroczył już sześćdziesiątkę, na jego mocno opalonej twarzy widniało ledwie kilka zmarszczek. -

Ostatecznie jestem tu po to, żeby służyć panu pomocą.

Pomocą, pomyślał Castilla. Pomocą... Kongres, poruszony serią głośnych i szkodliwych w skutkach wpadek, po raz pierwszy od z górą pięćdziesięciu lat postanowił ostatnio zreorganizować amerykański wywiad i utworzyć nowe stanowisko ministerialne: stanowisko dyrektora wywiadu narodowego. W teorii, DNI miał koordynować działania skomplikowanej sieci całego wywiadu, rywalizujących ze sobą agencji, departamentów, wydziałów i biur. W

praktyce jednak Centralna Agencja Wywiadowcza, Federalne Biuro Śledcze, Wywiadowcza Agencja Obrony i Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wciąż prowadziły między sobą zacieklą biurokratyczną wojnę, wojnę, która poważnie ograniczała władzę nowego dyrektora.

Pokonanie tego potężnego instytucjonalnego oporu wymagało zatrudnienia człowieka sprytnego i obdarzonego silną wolą i Castilla zaczynał mieć poważne wątpliwości, czy Wexlerowi tych cech nie brakuje. Nie było tajemnicą, że on proponował kogoś innego, ale kongresmani zwarli szyki i oświadczyli, że albo jeden z nich, albo żaden. Dyrektor wywiadu narodowego dysponował budżetem przekraczającym czterdzieści miliardów dolarów, dlatego senatowi, jak i Izbie Reprezentantów bardzo zależało, żeby stanowisko to objął ktoś, komu ufali.

Wexler przez ponad dwadzieścia lat był senatorem jednego z mniejszych stanów Nowej Anglii i przez ten czas zdołał zgromadzić na swoim koncie wiele skomplikowanych, choć w sumie mało

ważnych ustaw i wyrobić sobie reputację porządnego, pracowitego członka przeróżnych komisji nadzorujących działalność sił zbrojnych i agencji wywiadowczych. Przez te wszystkie lata zdobył też wielu przyjaciół. Wrogów miał ledwie kilku.

Znakomita większość senatu uważała, że doskonale nadaje się na szefa organizacji skupiającej cały wywiad. Natomiast Castilla był w głębi ducha całkowicie przekonany, że Wexler jest człowiekiem boleśnie ugrzecznionym, popychadłem, którym kierują dobre intencje.

Co z kolei oznaczało, że reformy, których celem miało być usprawnienie i wzmocnienie wywiadu, mogą utonąć w stertach papieru, wzbogacając amerykańską biurokrację.

- Co mogę dla pana zrobić, panie prezydencie? - spytał dyrektor, przerywając ciszę. Jeśli był zaskoczony, że Castilla odciągnął go na kolacji na bok i poprosił o spotkanie o tak niezwyklej porze, dobrze to ukrywał.

- Chcę, żeby zmienił pan kierunek działania naszego wywiadu - wypalił bez ogródek Castilla. Czy mu się to podobało czy nie, zdawał sobie sprawę, że musi to zrobić za jego pośrednictwem, że po prostu nie ma innego wyboru.

Wexler uniósł brew.

- To znaczy?

- Musimy skupić się na rozwoju sytuacji polityczno - militarnej w Rosji i na wydarzeniach w graniczących z nią krajach. Będzie to wymagało znacznych przesunięć w przydziale czasu satelitarne, zmiany priorytetów satelitów zwiadu elektronicznego SIG - INT

oraz modyfikacji planów analitycznych.

- Mamy skupić się na... Rosji? - powtórzył Wexler. Był zdumiony.

- Tak, na Rosji.

- Przecież zimna wojna już się skończyła - zaprotestował dyrektor.

- Podobno - odparł oschle Castilla i pochylił się do przodu. - Niech pan posłucha, Bill.

Przez ostatnie dwa lata z wielu nadrzędnych powodów geopolitycznych daliśmy naszemu przyjacielowi Dudarewowi sporo luzu.

Odpuściliśmy mu, chociaż musieliśmy tym samym przymknąć oko na szereg kroków, które przedsięwziął przeciwko swojemu własnemu narodowi. Zgadza się? Wexler niechętnie skinął głową.

- Kłopot w tym, że podczas gdy nam ręce wiązał Afganistan, Irak i kilka innych punktów zapalnych na całym świecie, on nieustannie budował i umacniał autokratyczne rządy w Rosji, koronując się na

najwyższego władcę wszystkiego i wszystkich, którzy mu podlegają. I to mi się nie podoba. Nie podoba mi się ani trochę.

- Rosjanie są bardzo użytecznymi sojusznikami w walce z al - Kaidą i innymi grupami terrorystycznymi - zauważył Wexler. - CIA i Pentagon twierdzą, że przysłali nam dużo cennych informacji, które zdobyli, przesłuchując czeczeńskich jeńców.

Castilla wzruszył ramionami.

- Jasne. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale do diabła, nawet ostatni bandzior pomoże ci zabić grzechotnika. Oczywiście pod warunkiem, że utknęliście na dnie tego samego wąwozu. Co jeszcze nie znaczy, że możesz odwrócić się do niego tyłem.

- Sugeruje pan, że Rosja ponownie staje się czynnym wrogiem Stanów Zjednoczonych? - spytał ostrożnie Wexler.

Castilla z trudem powstrzymał gniew.

- Sugeruję, że nie zamierzam krążyć na oślep wokół kogoś takiego jak Dudarew.

Tymczasem analizy wywiadowcze, które dostają z CIA i innych agencji, do złudzenia przypominają wycinki z gazet.

Dyrektor pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- To samo powiedziałem moim ludziom - odparł. - Przekazałem nawet ten zarzut odpowiednim komitetom koordynującym współpracę między agencyjną.

Castilla nachmurzył czoło. Komitety koordynujące współpracę między agencyjną?

Zarządzanie za pomocą kartek, karteczek i karteluszków? I to ma być ten bicz na CIA i cały amerykański wywiad? Cudownie. Po prostu cudownie. Zacisnął zęby.

- No i?

- Wygląda na to, że... że są pewne kłopoty w wydziale analiz - odparł z wahaniem Wexler. - Nie znam jeszcze szczegółów, ale doniesiono mi, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni kilku naszych najlepszych specjalistów od spraw rosyjskich ciężko zachorowało.

Prezydent zmrużył oczy i przez kilka sekund przyglądał mu się bez słowa.

- Będzie lepiej, jeśli mi pan o tym opowie, Bill - powiedział wreszcie. - Wszystko, od samego początku.

Moskwa

Wstał dzień. Blade promienie zimowego słońca odbijały się od skutej lodem rzeki i od szyb samochodów i ciężarówek sunących powoli w obydwu kierunkach przez mosty widoczne z okien wieżowca Kotelniczjeska. Trąbienie klaksonów słycać było nawet tu, na dwudziestym trzecim piętrze gmachu. Trwała poranna godzina szczytu.

Jasnowłosy mężczyzna siedział przy biurku, szybko przeglądając zaszyfrowane e - maile z ostatnich kilkunastu godzin. Większość była krótka i zwykle zawierała jedynie nazwisko, tytuł, lokalizację i aktualny status celu.

MARCZUK,

A.

GŁÓWNODOWODZĄCY

PÓŁNOCNEGO

DOWÓDZTWA

OPERACYJNEGO, UKRAINA - ZAINFEKOWANY. STAN: KRYTYCZNY.

BRIGHTMAN, H. ANALITYK SIG - INT, CHELTENHAM, WIELKA BRYTANIA -

ZAINFEKOWANY. STAN: ZMARŁ.

JASZWILI, M. PREZYDENT, GRUZJA - ZAINFEKOWANY. STAN: KRYTYCZNY.

SUNDQUIST, P. STARSZY ANALITYK POLITYCZNY CIA, LANGLEY, USA -

ZAINFEKOWANY. STAN: ZMARŁ.

HAMILTON, J. KIEROWNIK A2 (ROSJA), AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO, FORT MEADE, USA - ZAINFEKOWANY. STAN: KRYTYCZNY.

Lista była znacznie dłuższa i zawierała ponad trzydzieści nazwisk kobiet i mężczyzn. Z

narastającą satysfakcją doczytał ją do końca. Opracowanie i wyprodukowanie idealnej broni biologicznej, którą nazwali Hydram, zajęło wiele lat mozolnej pracy. Hydra, zdalnie sterowany zabójca doskonały... Wybór celów dla jej pierwszych odmian oraz opracowanie sposobów niezauważalnego ich dostarczenia wymagało wielomiesięcznych przygotowań. Kolejne miesiące trwało zdobycie materiałów niezbędnych do wyprodukowania konkretnego, ściśle wyspecjalizowanego szczepu. I wreszcie cały ten skomplikowany i niebezpieczny plan zaczął przynosić owoce.

Patrząc wstecz, pomyślał obojętnie, próby wstępne, te, które przeprowadzili w Moskwie, były całkowicie zbędnym marnotrawstwem środków. Groziły też dekonspiracją, ale twórca Hydry bardzo na nie nalegał, twierdząc, że kontrolowane testy w sterylnym laboratorium nigdy nie zastąpią prób na żywych ludziach. Tylko poprzez atak na przypadkowe cele mogli zyskać pewność, że lekarze, ci, spoza ścisłego kręgu wtajemniczonych, nie będą w stanie wykryć Hydry ani wyleczyć zainfekowanych nią ofiar.

Moskwa Jeden pokręcił głową. Wulf Renke był człowiekiem błyskotliwym, bezwzględny i jak zwykle postawił na swoim. Sponsorzy projektu w końcu ulegli, chcąc sprawdzić, jak jego śmiałe twierdzenia mają się do rzeczywistości. Miały się bardzo dobrze, ale dużo ich to kosztowało: Kirjanow i Pietrenko podnieśli alarm i stanęli na głowie, żeby ostrzec Zachód.

Z drugiej strony, jakie to miało teraz znaczenie? Obydwaj już nie żyli. A wkrótce dołączy do nich jedyny Amerykanin, z którym podzielili się swoimi obawami.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

Po pierwszym sygnale odpowiedział mu czysty, zimny głos:

- No i?

- Pierwsza faza dobiega końca - zameldował spokojnie jasnowłosey.

- Powiadomił pan Iwanowa?

- Wczoraj wieczorem, zanim wyjechał na „Zimową Koronę”, przekazałem mu raport wstępny. Ze szczegółami zapozna się po powrocie do Moskwy.

- Rozumiem, że nasz przyjaciel z Trzynastego Departamentu był zadowolony?

- Przypuszczam, że o wiele bardziej zadowolony byłby na pańskim czy moim miejscu -

odparł ironicznie Moskwa Jeden.

- Na pewno. Na szczęście jego pan i władca jest człowiekiem rozsądniejszym i dużo zgodniejszym. Dobrze. Kiedy możemy rozpocząć następną fazę? Nasi wojskowi przyjaciele muszą się przygotować.

Moskwa Jeden zerknął na ekran monitora, na e - mail przesłany przez samego Wulfa Renkego, i doszedł do wniosku, że zanim wyśle przez kuriera kolejny szczep Hydry, powinien porozmawiać z naukowcem osobiście.

- Będę potrzebował samolotu - odrzekł. - Z Szeremietiewa - 2. Dziś wieczorem.

- Załatwione.

- W takim razie jutro rano powinienem być już w laboratorium.

ROZDZIAŁ 6

Praga

Z torbą i laptopem na ramieniu Smith przebił się przez tłum policjantów wracających do pracy po porannej przerwie na kawę. Przez otwarte drzwi wdzierало się do holu zimne powietrze przyprawione zapachem spalin z labiryntu wąskich uliczek praskiej starówki.

Wyszedłszy na ulicę, natychmiast poczuł, że osacza go siarczasty mróz. Przystanął, żeby pochuchać na ręce, z żalem wspominając swoją skórzaną kurtkę, teraz porwaną, do cna przemoczoną i zupełnie bezużyteczną. Przed wyjściem z posterunku przebrał się w dżinsy i czarny golf, ale cienka, szara wiatrówka, którą miał na sobie, nie zapewniała żadnej ochrony przed przeszywającym zimnem. Chuchając na ręce, czujnie lustrował wzrokiem najbliższą okolicę.

Jest, pomyślał. Tam.

Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko posterunku, o drzwiczki taksówki, czeskiej skody, opierał się niedbale potężnie zbudowany brodac. Na pokrytej brudem i błotem karoserii było tyle zadrapań i wgłęć od stłuczek i zderzeń, że trudno było powiedzieć, gdzie kończy się oryginalny lakier, a zaczyna podkład. Taksówkarz zauważył go, zatrąbił klaksonem, splunął na ziemię i powoli się wyprostował.

- Hej tam! - zawołał po angielsku z silnym obcym akcentem. - Potrzebuje pan taksówki?

- Może - odparł ostrożnie Smith, ruszając w jego stronę. Czyżby ten brodaty olbrzym był

obiecany kontakt? - Ile weźmie pan za kurs na lotnisko?

Pytanie było całkiem naturalne. Niezależni, nigdzie nie zrzeszeni prascy taksówkarze słynęli z tego, że podwajali, a nawet potrajali opłatę, naciągając nieostrożnych i naiwnych turystów. Krótki kurs do Ruzyny, na jedyne międzynarodowe lotnisko w Pradze, mógł kosztować fortunę.

Brodacz uśmiechnął się szeroko, odsłaniając poźółkłe od papierosów zęby.

- Od bogatego biznesmena? - spytał - Tysiąc koron. - Zniżył głos. - Ale od naukowca? Od biednego profesora? Nic. Podrzucę pana za darmo.

Jon odetchnął. „Ale od naukowca? Od biednego profesora?” - tak brzmiało hasło wybrane przez Kleina. Wbrew pozorom oznaczało to, że ten nieokrzesany, hałaśliwy taksówkarz pracuje dla Tajnej Jedyńki i że ma pomóc mu wyjechać z Czech w jednym kawałku.

- Dobra - odparł. - Umowa stoi. Jedziemy. Rozejrzał się jeszcze raz i wszedł do samochodu.

Taksówkarz wcisnął się za kierownicę i skoda zakołysała się pod jego ciężarem.

- Podobno chce pan dojechać na lotnisko szybko i dyskretnie - rzucił brodac, zerkając na niego przez ramię.

- Zgadza się.

- I że komuś bardzo zależy na tym, żeby pan tam nie dojechał, tak? Jon bez słowa kiwnął głową.

Brodacz rozciągnął usta w uśmiechu.

- Nie się pan nie martwi, profesorze. Wszystko będzie dobrze. Na Waclawie Maseku można polegać. - Rozpiął jaskrawo czerwoną kurtkę narciarską, pokazał mu rękojeść pistoletu w kaburze pod pachą i puścił do niego oko. - Na Waclawie Maseku i jego małym przyjacielem.

Smith zmarszczył czoło. Szef Tajnej Jedyńki ostrzegwał go, żeby nie spodziewał się cudów. „Zdążę ściągnąć tylko jednego człowieka - powiedział. Nie jest agentem. Jest zwykłym kurierem, ale można na nim polegać”.

Klein musiał uaktualnić jego akta, i to koniecznie. Brodaty olbrzym za bardzo się chwalił, zbyt chętnie wymachiwał bronią. Takie zachowanie mogło wpakować go w kłopoty. Wyraźnie się bał i próbował to w ten sposób ukryć. Bał się albo był zbyt agresywny i szukał okazji, żeby za wszelką cenę dowieść, że nadaje się do trudniejszych i bardziej satysfakcjonujących zadań.

Jon milczał. Pokonali labirynt uliczek starówki, przejechali na drugi brzeg Wełtawy i skręcili w krętą drogę na wschód od Hradczan, zamku, potężnego kompleksu prastarych kościołów, klasztorów, wież i budynków rządowych. Masek nieustannie gadał, komentował, pokazywał mu widoki, wulgarnie wyzywał innych kierowców i powtarzał, że na pewno zdążą.

Denerwuje się, pomyślał Smith. Zdecydowanie. Mimo swoich gabarytów, jest małym, przerażonym człowieczkiem. Może i dobry z niego kurier, ale Fred nie powinien być wyciągać go z cienia i powierzać mu tego zadania. Zaraz, chwila, bądź sprawiedliwy: ten facet prawdopodobnie wie, że ktoś próbował cię zabić i że może spróbować ponownie.

Ciężko westchnął. Do diabła, ostatecznie on też był zdenerwowany. Spojrzał w okno, szukając odprężenia w widoku starannie wypielęgnowanych ogrodów po obu stronach ulicy. Nad wierzchołkami drzew górował pokryty niebiesko - zieloną patyną dach Belwederu, pięknego, renesansowego pałacu, niegdyś letniej rezydencji czeskich królów. Zjechali ze wzgórza na północ od Hradczan, minęli ruchliwe rondo i skręcili w szeroki bulwar. Smith usiadł prosto. Byli na Evropskiej, nowoczesnej przelotówce prowadzącej prosto na lotnisko. Po lewej stronie ciągnęła się szachownica podmiejskich zabudowań, domów, szkół i małych fabryk, po prawej zaś, nad rzędami domów i sklepów, piął się ku niebu łańcuch trzech wzgórz zwieńczonych sosnami, dębami i bukami. Las ten ciągnął się na północ i wschód, aż do brzegów Weltawy.

Masek przyspieszył, przekraczając dozwoloną prędkość. Migające na poboczu znaki mówiły, że do lotniska zostało ledwie kilka kilometrów.

Chwilę później za nagimi gałęziami drzew po północnej stronie przelotówki mignęło wąskie, sztuczne jezioro. Za jeziorem krajobraz był dziki i surowy, porośnięty ciemnym lasem i pełen wapiennych skał.

- To Divoka a Ticha Sarka, dolina Dzikiej, Cichej Sarki, miejsce, gdzie zrodziło się wiele strasznych legend - powiedział uroczyście Masek, ruchem głowy wskazując mroczny wąwóz na drugim brzegu szarozielonego jeziora. - Kiedyś, u zarania dziejów, mężczyźni i kobiety toczyli tam podobno okrutną wojnę o absolutną władzę i panowanie. Jedna z legend mówi, że dziewczyna imieniem Sarka zwabiła do doliny wodza wrogiego plemienia. Kochała się z nim, upiła go mocnym trunkiem i zabiła, kiedy zasnął.

- Niezbyt wesołe miejsce - rzucił z uśmiechem Smith. Masek wzruszył potężnymi ramionami.

- Dzisiaj to rezerwat przyrody. Latem przyjeżdża tam na piknik wielu prażan, zwłaszcza w upały. Kąpią się, opalają... My, Czesi, jesteśmy nie tylko romantyczni, ale i praktyczni.

Jadące przed nimi samochody zaczęły nagle błyskać czerwonymi światłami hamowania i zwalniać. Jezdnię przegradzał rząd pomarańczowych pachołków odcinający lewy pas ruchu. Na stojącej na poboczu przenośnej tablicy elektronicznej mrugał ostrzegawczy napis po czesku.

- Cholera - zaklął Masek. Zdjął nogę z pedału gazu i gwałtownie zahamował. Taksówka szybko wytraciła prędkość. Marszcząc brwi i mamrocząc pod nosem, Masek skręcił na zatłoczony prawy pas i wcisnął się między stare volvo i nowiutkiego audi. Z tyłu roztrąbiły się klaksony.

Jon pochylił się do przodu.

- Remont drogi? - spytał spokojnie. - Czy jakiś wypadek?

- Ani jedno, ani drugie - odparł Masek, nerwowo zagryzając wargę. - Ten napis mówi, że to blokada policyjna i że mogą nas skontrolować.

- Szukają czegoś - Podenerwowany Masek pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Może narkotyków? Pijanych kierowców? Kradzionych rzeczy? A może tylko

sprawdzają światła i opony? - Ręce trzymał na kierownicy i zaciskał je tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. - Mogą polować na wszystko. Bardzo lubią wlepić mandaty i ściągać kasę.

Taksówka powoli sunęła do przodu. Byli mniej więcej sto metrów od drogowskazu z napisem: Divoka Sarka. Wyasfaltowany zjazd przechodził w o wiele węższą, krętą drogę, która zniknęła w lesie. Przed drogowskazem stał policjant w czapce z daszkiem, czarnej, zimowej kurtce i w niebieskich spodniach, rytmicznie wymachując jaskrawo pomarańczową pałką. Co jakiś czas wchodził na jezdnię z podniesioną ręką, wskazywał ten czy inny samochód, wykrzykiwał coś i podkreślając rozkaz szybkim ruchem pałki, nakazywał kierowcy zjechać z przelotówki.

Jon przyglądał mu się uważnie, próbując ustalić, na jakiej zasadzie dokonuje wyboru, ale nie ustalił nic. Zmarszczył brwi. Znudzony policjant przepuszczał większość samochodów i ciężarówek i zatrzymywał je na chybił trafił, pojedynczo lub parami. Była to zatem zwykła wrywkowa kontrola.

Prawdopodobnie.

- Niech to szlag - mruknął Masek, gdy policjant wskazał ich pałką. Trafiony, zatopiony.

Masek spochmurniał jeszcze bardziej i gwałtownie szarpnął kierownicą w prawo. Skręcili i dołączyli do rzędu samochodów, które czekały już na zjeździe.

Jon zerknął w tylne okno. Tuż za nimi skręcił czarny mercedes z przyciemnionymi szybami. Smith zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

Wjechali do lasu. Przez gąszcz nagich gałęzi sączyło się blade światło dnia. Posterunek kontrolny był już niedaleko. Na poboczu, za kolejnym rzędem pomarańczowych pachołków, parkowały dwie nieoznakowane skody. Przy samochodach stało dwóch umundurowanych policjantów, którzy pytali o coś kierowców, by po chwili odprawić ich ruchem ręki.

Jeden z nich podszedł do taksówki. Miał ziemistą, wychudzoną twarz, beznamiętne oczy i wydawał się za stary jak na swój stopień. Nachylił się i mocno zastukał w okno od strony kierowcy.

Masek opuścił szybę.

Policjant wyciągnął rękę.

- Prawo jazdy i licencja - warknął po czesku.

Coraz bardziej zdenerwowany Masek pospiesznie wręczył mu dokumenty. Policjant przejrzał je, kiwnął głową i pogardliwym ruchem ręki rzucił mu je na kolana. Zajrzał na tylne siedzenie i uniósł brew.

- A to kto? Zagranicznik? Jon milczał.

- Nikt ważny - mruknął Masek. - Amerykanin, chyba jakiś biznesmen. Wiozę go na lotnisko. - Pocił

się jak mysz, miał mokre czoło. - Spiesz się na samolot.

- Bez paniki. - Policjant obojętnie wzruszył ramionami. - Zdąży.

- To możemy już jechać? - spytał z nadzieją Masek. Policjant pokręcił głową.

- Jeszcze nie, przyjacielu. Masz pecha. Władze znowu nasiliły kampanię na rzecz polepszenia stanu technicznego pojazdów samochodowych, zwłaszcza taksówek. A to znaczy, że czeka cię dokładna kontrola. - Spojrzał w stronę kolegi. - Edward! Bierzmy go.

Jon zmrużył oczy. Jego profil. Coś w profilu policjanta poruszyło ukrytą strunę i struna ta wydała cichy, lecz bardzo niepokojący dźwięk. Przyjrzał mu się uważniej i na płatku małżowiny usznej dostrzegł małą dziurkę. Dziwne. Ilu czeskich policjantów, mężczyzn w średnim wieku, nosi po służbie kolczyk?

Czech spojrzał na Maseka.

- Niech pan podjedzie tam i zaparkuje. - Wskazał mu miejsce między dwiema nie oznakowanymi skodami. - Załatwimy was najszybciej, jak się tylko da.

- Tak. Tak. Oczywiście. - Masek słuźalczo kiwnął potężną głową, skręcił na trawiaste pobocze, ostrożnie wjechał tyłem między samochody i sięgnął do kluczyka w stacyjce. Trzęsły mu się ręce.

- Nie! - rzucił Smith, wciąż zerkając w okno. - Na razie me wyłączaj. - Policjanci rozmawiali z kierowcą czarnego mercedesa. Za mercedesem nie czekał już żaden samochód.

Leśna droga była zupełnie pusta.

Zirytowany pokręcił głową. Przeoczył coś? Ale co? Małe dzwonki alarmowe w jego głowie dzwoniły coraz głośniej i głośniej - Nie, zdecydowanie nie lubił przykrych niespodzianek.

Musiał coś zrobić. I to zaraz, teraz.

- Daj pistolet - powiedział. - Szybko.

- Pistolet? - Zaskoczony olbrzym wytrzeszczył oczy i ostrożnie spojrzał przez ramię. - Po co?

- Powiedzmy, że chcę uniknąć nieszczęśliwego wypadku - odparł Jon. Mówił cicho i spokojnie. Nie było sensu go straszyć, przynajmniej na razie, do chwili, aż ustali, dlaczego instynkt walki lub ucieczki tak mocno dobija się do bram jego świadomości. - Masz pozwolenie na broń?

Masek niechętnie pokręcił głową.

- Cudownie. Po prostu cudownie. - Smith zmarszczył czoło. - Posłuchaj, sam widzisz, że ci tam chcą się do czegoś przyczepić. Mandat za brak świateł hamulcowych może człowieka wkurzyć, i to jak cholera, ale czy naprawdę chcesz, żeby znaleźli u ciebie spluwę, na którą nie masz pozwolenia?

Brodacz zbladł jeszcze bardziej. Zdawało się, że zbladła nawet jego długa, wystrzępiona broda. Głośno przełknął ślinę.

- Nie, nie chcę - wychrypiał. - Kary za takie coś są bardzo... surowe.

- To daj mi go - powtórzył z naciskiem Jon. - Spróbuj to jakoś załatwić.

Masek szybko rozpiął kurtkę, a następnie kaburę. Dygotały mu ręce.

Smith czym prędzej chwycił pistolet, żeby przerażony olbrzym go nie upuścił. Był to CZ

- 52, czeski pistolet samopowtarzalny strzelający pociskami kaliber 7,62 mm, takimi samymi jak rosyjski Tokariew. Jeszcze do niedawna był standardową bronią żołnierzy państw Układu Warszawskiego, a teraz, jako broń z demobilu, trafił do rąk prywatnych obywateli, zarówno drogą legalną, jak i nielegalną.

Jon sprawdził, czy jest zabezpieczony, i wyjął magazynek. Osiem nabojów, standard.

Wsunął magazynek do rękojeści i spojrzał w okno.

Policjanci wyprostowali się, przyciszonym głosem zamienili kilka słów i ruszyli w ich stronę.

Smith zeszywniał.

Ich twarze pokrywała teraz nieprzenikniona, kamienna maska, na której nie widać było choćby cienia emocji, jakby jakaś straszliwa siła starła z niej wszelkie ślady człowieczeństwa, pozostawiając jedynie martwy kształt, pozbawiony życia i osobowości. Starszy z nich, ten, który sprawdzał Masekowi papiery, sięgnął niespiesznie do kabury u pasa.

I nagle Jona olśniło. Wiedział już, skąd go zna.

Widział go na moście Karola. Był to ten sam człowiek, przed którym bronił się Pietrenko, na oślep wymachując dyplomatką, człowiek, który wbił mu nóż w brzuch. Podobnie jak jego dwaj towarzysze, on też miał w uchu srebrny kolczyk w kształcie ludzkiej czaszki, stąd dziurka w małżowinie.

Policyjna blokada była zasadzką, starannie wybranym i zaaranżowanym miejscem kaźni.

Wszystko znieruchomiało, czas przestał płynąć. Trwało to bardzo długo, lecz w końcu zadziałał instynkt przetrwania i do zastygłego bez ruchu świata powróciło poczucie ruchu i zdolność działania. Jon gwałtownie otrzeźwiał.

- Jedź! - wrzasnął. - To zasadzka! Szybko! Szybko!

Przerażony Masek wrzucił wsteczny i kopnął pedał gazu, rozpaczliwie próbując wydostać się pomiędzy blokujących im drogę samochodów. Smith wcisnął bezpiecznik pistoletu i trzasnął zamkiem, wprowadzając nabój do komory.

I raptem rzuciło nim do przodu, bo taksówka wpadła na parkującą przed nimi skodę i znieruchomiała. Zazgrzytał metal, zabrzączało szkło. Silnik zakrzuszył się i zgasł.

Próbując go odpalić, roztrzęsiony Masek to szarpał się z dźwignią zmiany biegów, to z kluczykiem w stacyjce.

Ale Jon zdał sobie sprawę, że jest już za późno. Jeden z „policjantów” wyjął z kabury rosyjskiego makarowa i - jak na filmie puszczonego w zwolnionym tempie - niespiesznie wycelował. Ten drugi też miał w ręku pistolet.

Jon rzucił się w bok, w stronę drzwiczek, i w tym samym momencie w drzazgi poszła lewa szyba. Posypało się szkło roztrzaskane serią kilku wystrzelonych jeden po drugim pocisków.

Jeden z nich trafił Maseka w skroń, tuż nad lewym uchem. Pędząc z prędkością ponad trzystu trzydziestu metrów na sekundę, rozerwał mu głowę. Na deskę rozdzielczą i na siedzenie pasażera trysnęła fontanna krwi i odłamki kości.

Kolejny przebił oparcie fotela, wrywając zeń gąbkę i sprężyny. Przebił, zrykoszetował do stalowej ramy samochodu, odbił się od dachu i spadł na podłogę w deszczu iskier, rozgrzanych do białości metalowych odłamków i dymiących strzępów materiału. Chryste! Jon szarpnął klamką i pchnął tylne drzwiczki.

Rzucił się na ziemię, przetoczył w prawo, przykucnął za tylnym kołem samochodu i zaryzykował szybkie zerknięcie przez ramię. Kilka kroków dalej teren gwałtownie opadał. Rósł

tam gęsty las, prastare dęby i buki, strzeliste i nagie na tle posępnego, zachmurzonego nieba. W lesie nie było prawie żadnego poszycia, nie licząc niskich, młodych drzewek i zwiędłych chwastów. Kiepsko, pomyślał chłodno Smith. Mógł kryć się tylko za pniami drzew. Wystawiłby się na odstrzał jak kaczka. Jeśli miał już uciekać, musiał najpierw zdobyć nad nimi choćby minimalną przewagę.

Huknęły kolejne wystrzały i trafiony kilkoma pociskami samochód gwałtownie się zakołysał. Znowu posypało się szkło, znowu zazgrzytał rozdarty metal. Kule zrykoszetowały od bloku silnika i ramy i z przenikliwym jękiem poszybowały do góry, ścinając gałązki i łamiąc gałęzie.

Jon nabrał powietrza. Raz. Dwa. I trzy. Teraz!

Wyprostował się z pistoletem w rękach, zmrużonymi oczami spojrzął w lewo i w prawo, wypatrując tych, którzy próbowali go zabić. Tam! Ledwie kilka metrów dalej stał jeden z fałszywych policjantów, ten starszy. Stał i raz po raz pociągał za spust, metodycznie ostrzeliwując taksówkę od przodu ku tyłowi.

Jon odwrócił się w jego stronę. Muszka, szczerbinka - przyrządy celownicze ułożyły się w jedną linię przeszywającą pierś bandyty. Spust i lekki ruch palca - pistolet szczeknął i odbił

mocno do góry, gdy odskakujący do tyłu zamek wprowadził do komory kolejny nabój. Znowu muszka,

znowu szczerbinka i spust - Jon wymierzył ponownie i oddał drugi strzał.

Trysnęła krew. Wysoko, szerokim łukiem. Dwukrotnie trafiony napastnik odwrócił się w jego stronę. Z niedowierzaniem rozdziawił usta. A potem powoli opadł na kolana, pochylił się do przodu i jak kłoda runął na ziemię. Na czarnym asfalcie rozlała się kałuża czerwonej krwi.

Jego kolega momentalnie zanurkował w krzaki na skraju drogi. Upadł i prawie nie celując, natychmiast zaczął się ostrzeliwać. Strzelał na oślep, chcąc przydusić Smitha ogniem.

Jedna kula zaświstała mu tuż koło ucha. Druga rozorała kufer skody, rzeźbiąc ognistą smugę w spękanym lakierze i zardzewiałym metalu.

Jon nie zwracał na to uwagi. Przesunąwszy ręce w prawo, skupił wzrok na przyrządach celowniczych i na leżącym na ziemi mężczyźnie. Wymierzył i dwukrotnie pociągnął za spust.

Pierwszy pocisk chybił o włos, wzbijając w powietrze fontannę odłamków asfaltu, żwiru i mchu.

Ale drugi zerwał tamtemu wierzch głowy.

Na polance zapadła złowieszcza cisza.

Smith powoli wypuścił powietrze zdumiony, że jeszcze żyje. Serce waliło mu jak młotem i dopiero po kilku sekundach nieco zwolniło. Co teraz?

Wtem usłyszał cichy trzask samochodowych drzwiczek. Mercedes. Wsiadali ci z mercedesa. Odwrócił się, wciąż stojąc za podziurawioną kulami taksówką i zobaczył dwóch mężczyzn w grubych, brązowych kurtkach, którzy chowali się właśnie za swoją wielką, luksusową limuzyną. Obydwaj byli uzbrojeni jak na wojnę. Każdy ścisnął w rękach mały pistolet maszynowy MP5K Hecklera & Kocha.

Jon wykrzywił usta. Jeden z nich miał na twarzy szeroki plaster, pod którym kryły się niewątpliwie resztki zmiażdżonego nosa. Nożownik z mostu Karola. Tak więc miał przed sobą dwóch kolejnych bandziorów i w żaden sposób nie mógł ich zaskoczyć.

Spojrzał na pistolet. Wystrzelił cztery naboje. W magazynku pozostały jeszcze tylko cztery. Pokręcił głową. Kiepsko. Cztery naboje to stanowczo za mało na dwóch zbirów uzbrojonych w pistolety maszynowe wypluwające pociski o dużej sile penetracji, które mogły poszatkować karoserię taksówki i zmienić ją w stertę pociętego metalu.

Tu czekała go tylko śmierć. Musiał uciekać.

Przykucnął. A potem, tuż przy ziemi, ruszył w kierunku stromego zbocza schodzącego na dno mrocznego wąwozu Dzikiej Sarki.

Georg Liss powoli się wyprostował, nie odrywając oka od muszki i szczerbinki na krótkiej lufie MP5K. Położył palec na spuście.

Na wąskiej drodze za poszatowaną kulami taksówką, stojącą niezdarnym skosem na poboczu, nic się nie poruszało. Pociemniała mu twarz. Na ziemi leżało jego dwóch najlepszych agentów. Obydwaj nie żyli, obydwu zastrzelił ten przeklęty Amerykanin. Z frustracji opadły mu kąciki ust. Najpierw most Karola, gdzie omal nie doszło do katastrofy, a teraz to. Zasadzka, którą osobiście obmyślił i zaplanował, była zasadzką doskonałą: wystarczyło tylko zabić dwóch nieuzbrojonych ludzi, zaszlachtować ich jak owce w rzeźni. Tymczasem cały plan legł w gruzach. Ten Smith zrobił tu krwawą jatkę. Skąd, u diabła, wziął pistolet?

Stał bez ruchu, czujnie obserwując wrak taksówki i czekając na... na coś, na cokolwiek, na jakiś cel, do którego mógłby strzelić. Nagle usłyszał szelest liści na skraju lasu za drogą.

Amerykanin już uciekał, już wiał w kierunku doliny. Co powiedzieliby ci z Moskwy, gdyby im się wymknął? A raczej, co by mu zrobili?

- Dragomir! - warknął do kierowcy. - Wywołaj Eugena i ściągnij go tu z przelotówki. -

Ruchem głowy wskazał dwóch martwych agentów w policyjnych mundurach. - Zapakujcie ich do kufra, weźcie bagaż Amerykanina i już was tu nie widzę. Jedźcie na lotnisko. Jeśli zobaczycie po drodze Smitha, zabijcie go. Jeśli nie, przywarujcie w kryjówce. Odezwę się później.

- Co robimy z samochodami? - spytał Rumun.

- Nic. - Liss zacisnął zęby. - Niech tu zostaną. Są czyste.

- Tak jest. - Ilionescu kiwnął głową i z wahaniem dodał: - A ty? Gdzie idziesz?

Praga Jeden łypnął na niego spode łba.

- Ja? - Podniósł wyżej pistolet. - Na polowanie. Mam coś do załatwienia z naszym kłopotliwym doktorkiem.

Jon pędził w dół stromej, porośniętej drzewami zbocza. Chociaż ślizgał się na łachach nagiej ziemi i potykał o mokre kamienie, biegł przed siebie na złamanie karku, wykorzystując siłę grawitacji i o włos omijając pnie drzew i nisko zwisające gałęzie, które wyrastały przed nim jak spod ziemi. Wiedział, że pędzi za szybko, lecz czyhające za plecami niebezpieczeństwo nie pozwalało mu wyhamować.

Wreszcie stało się to, co prędzej czy później musiało się stać: wpadł w stertę mokrych liści, potknął się i upadł. Upadł ciężko, z rozpędem i natychmiast zaczął zsuwać się i staczać, zdążył tylko zakląć. Staczał się na łeb na szyję, rozpaczliwie orząc rękami ziemię, żeby choć trochę wyhamować i zwolnić. Na próżno. Grzmotnął barkiem w pień starego, artretycznie powyginanego dębu. Jego lewy bok załała fala przenikliwego bólu. Siła uderzenia pozbawiła go tchu.

Zamroczony, przez kilka nieskończenie długich sekund leżał bez ruchu, próbując się pozbierać.

Wstawaj, rozkazał w końcu mózg. Jeśli chcesz przeżyć, musisz natychmiast wstać.

Zdyszany powoli usiadł. Nadwężone mięśnie dziko zaprotestowały, a zakończenia nerwów wysłały lawinę rozpaczliwych - i jakże bolesnych - sygnałów do mózgu. Wstał tylko dzięki sile woli. Rozprostował brudne, podrapane i obolałe palce i nagle znieruchomiał.

Pistolet! Gdzie jest pistolet?

Odwrócił się na pięcie, powiódł wzrokiem po zboczu wzgórza i z głucho bijącym sercem ruszył z powrotem, starannie przeczesując pas zrytej ziemi i rozrzucone liście.

Tam! Pistolet leżał pod drzewem, strzelistym bukiem, na którym wciąż wisiało kilka czerwonych, pomarańczowych i brązowych liści. Nachylił się, podniósł go, obejrzał, szybko oczyścił z ziemi lufę i kurek.

I wtedy na szczycie wzgórza zaszczekał pistolet maszynowy, wypluwając serię trzech pocisków. Kule świsnęły tuż obok i na wysokości pasa wbiły się w pień drzewa, rozsiewając deszcz ostrych drzazg i kawałków kory. Jon rzucił się odruchowo na ziemię i przetoczył za pień.

Kolejna seria pocisków rozorała mech po jego prawej stronie.

Z wyciągniętym przed siebie pistoletem Smith przetoczył się szybko w lewo, prawie nie celując, oddał strzał w stronę szczytu wzgórza i poturlał się dalej. Wyhamował i przykucnął za sąsiednim drzewem. Heckler & Koch zaszczekał ponownie, ponownie zaświstały kule. Z kilku mniejszych drzew i grubszych gałęzi posypały się drzazgi. Kolejne kule zrykoszetowały na gałęziach w głębi wąwozu, wzbijając w powietrze fontanny ziemi i ostrych kamyków.

Jon zaryzykował i szybko wyjrzał zza pnia. Przed oczyma mignął mu mężczyzna w brązowej kurtce i futrzanej czapce, schodzący ostrożnie zboczem. Na szurzej twarzy miał

szeroki plaster.

Smith zabrał głowę. Niech to szlag. Tamten był jakieś sto metrów dalej. Na pistolet za daleko - zwłaszcza na pistolet z ledwie trzema nabojami w magazynku. Będzie musiał uciekać, zejść z linii strzału, biec dopóty, dopóki się od niego nie oderwie i nie znajdzie lepszej pozycji strzeleckiej.

Ze zmarszczonym czołem spojrzał za siebie, gorączkowo analizując możliwości. Żadna nie była zbyt obiecująca.

Kilka kroków dalej teren opadał jeszcze bardziej, gwałtownie przechodząc w strome, nachylone pod kątem czterdziestu stopni urwisko, które kończyło się na dnie wąwozu Dzikiej Sarki. Jon pokręcił głową. Gdyby potoczył się w tamtą stronę, za nic nie zdołałby wyhamować. A na to nie mógł sobie pozwolić zwłaszcza teraz, gdy po piętach deptał mu uzbrojony przeciwnik.

Pozostawało mu tylko jedno.

Wziął głęboki oddech, wypadł zza drzewa i ile sił w nogach popędził zboczem w lewo.

Zaskoczony tym nagłym manewrem bandyta, który wciąż szedł w jego stronę, gwałtownie przystanął i zaklął. Zaklął i momentalnie otworzył ogień, siekając las krótkimi, trzystrzałowymi seriami.

Smith przyspieszył. Krok, dwa kroki przed nim w powietrze wytrysnęły trzy małe gejzery ziemi. Skręcił w prawo, ominął drzewo, przeskoczył mały głaz, na wpół zagrzebany w ziemi, i popędził dalej. Szczur przestał strzelać.

Jon wciąż biegł i żeby nie ułatwiać mu celowania, przez cały czas zygzakował szaleńczo między drzewami i drzewkami. Zbocze po lewej stronie zrobiło się jeszcze bardziej strome.

Kilkanaście metrów dalej przeszło w niemal pionową, wysoką na czterdzieści metrów ścianę.

Drzew było tu mniej, a z kamienistej ziemi sterczały bloki spękanego, zwietrzałego wapienia.

Nie zważając na bolące płuca, Smith pędził dalej i dalej. Potknął się, lecz utrzymał

równowagę i nawet nie zwolnił kroku. Swędziało go między łopatkami, jakby skóra, mięśnie i kości przygotowywały się do przyjęcia pocisku wystrzelonego z bliskiej odległości.

Nagle wypadł na dużą polanę, rozległą łąkę pokrytą kobiercem zbrązowiałych liści i kępami wysokich chwastów. Po drugiej stronie polany nęcił gęsty las, lecz dzieliło go od niego co najmniej sto metrów. Spojrzał w prawo. Łąka ciągnęła się aż do odległego brzegu doliny. Po lewej kończyła się raptownie skalistym urwiskiem, wzdłuż którego uciekał.

Wykrzywił usta. Wybiegając na otwartą przestrzeń, popełniłby fatalny błąd. Zanim dotarłby do lasu, ścigający go bandzior zdążyłby trzy razy go zabić. Znalazł się na skraju kolejnej strefy śmierci. Świetny ruch, Jon, pomyślał cierpko. Udała mu się nie byle jaka sztuka: z gorącej patelni wskoczył prosto do atomowego pieca.

Obejrzał się za siebie. Las, z którego przed chwilą wybiegł, mieszanina sosen, świerków i niskich, nagich drzew liściastych, był zbyt rzadki, żeby zapewnić dobre schronienie. Schronienia nie zapewniłyby mu również niskie, wapienne skały na wpół zagrzebane w ziemi.

Pozostawało mu tylko jedno. Urwisko.

Z głucho dudniącym sercem wyszedł na polanę i z pistoletem w ręku ruszył biegiem wzdłuż przepaści, szukając jakiegoś zejścia - rzędu dziur, skalnych występów i półek - którym mógłby dotrzeć na dno wąwozu. Przekrzywił głowę i wyciągnął szyję, wpatrując się intensywnie w poprzecinaną szczelinami ścianę. Miejscami porastały ją krzaki, a nawet małe drzewa, które jakimś cudem zapuściły korzenie w wyrwy i szczeliny w sterczących pod kątem występach szarego wapienia. Tu i ówdzie ze skał sączyły się nawet małe, leniwe strumyczki.

Jon przystanął, oceniając swoje szanse. Szanse? Jakie szanse? Na polanie, na otwartej przestrzeni, nie miał żadnych, a na skalnej ścianie w najlepszym wypadku nikłe. Westchnął, zabezpieczył pistolet i schował go za pasek spodni. Nachylił się nad przepaścią i przygotowując się psychicznie do zejścia, zrobił kilka głębokich wdechów. Drzewa i popękane, omszałe głazy na dnie wąwozu były tak małe, jakby patrzył na nie z odległości paru kilometrów. Zaszło mu w ustach. No schodź, pomyślał

gniewnie. Zostało ci mało czasu.

I nagle czasu zabrakło.

Rytmicznie za stukotała seria wystrzałów. Powietrze przeciął grad ołowiu, ziemię wokół jego nóg zryły pociski.

Przyczajony pięćdziesiąt metrów dalej Georg Liss usłyszał przeraźliwy krzyk i zobaczył, jak Amerykanin obraca się gwałtownie i niknie za krawędzią urwiska. Obnażył zęby w mściwym uśmiechu. I już po doktorze Smisie, pomyślał z satysfakcją.

Powoli, bardzo powoli opuścił dymiącą lufę MP5K i wychynął zza niskiego wapiennego głazu. Wstał i idąc ostrożnie w kierunku urwiska, zmienił magazynek. Ponownie podniósł broń, przyłożył ją do ramienia i nie spuszczać oka z przyrządów celowniczych, zaczął omiatać lufą brzeg przepaści. Palec trzymał na spuście.

Cisza. Słyszał tylko ciszę. I nagle w oddali zajęczały policyjne syreny.

Zmarszczył brwi. Będzie się musiał wycofać, zanim Czesi zaczną przeszukiwać las.

Amerykanin nie żyje. Nie mógł tego przeżyć. Nikt nie przeżyłby upadku z tej wysokości. Ale trzeba to sprawdzić. Moskwa Jeden na pewno zażąda potwierdzenia.

Wciąż uśmiechając się z okrutną satysfakcją, Praga Jeden podszedł do skraju urwiska.

Wychylił się i spojrzał na nierówną skalną ścianę, wypatrując zmasakrowanych zwłok na dnie wąwozu.

Jon leżał na skalnej półce ledwie kilka metrów niżej, zapierając się plecami o pień małej sosny, która uratowała go przed niekontrolowanym i śmiertelnym upadkiem. W wyciągniętych przed siebie rękach trzymał pistolet i zmrużonymi oczami obserwował skraj urwiska. Czekał. Po prostu czekał.

I nagle zobaczył głowę, a zaraz potem ramiona. Tamten był tak blisko, że widział nawet plamy zaschniętej krwi na przecinającym mu twarz bandażu.

Pa, pa, pomyślał ponuro. Żeby zminimalizować odrzut, zacisnął mocniej palce na rękojeści i pociągnął spust, raz i drugi.

Pierwszy pocisk przeszył bandycie gardło. Roztrzaskał mu kręgosłup i wyrwał dziurę w karku. Drugi trafił dokładnie między oczy.

Już martwy, mężczyzna o szurzej twarzy opadł na kolana i runął w dół. Jego bezwładne ciało spadło z głuchym łoskotem na skalny występ, odbiło się i koziołkując, w upiornej ciszy poszybowało w otchłań.

Smith leżał przez kilka sekund, patrząc na zachmurzone niebo. Bolał go każdy mięsień i każda kość,

ale przynajmniej żył. Kiedy tamten zaczął strzelać, podjął największe jak dotąd ryzyko w życiu i udając postrzelonego, spadł na małą, skalną półkę, od której miał rozpocząć w miarę bezpieczne zejście na dno wąwozu. Postawił wszystko na jedną kartę i jakimś cudem wygrał, chociaż zużył pewnie cały zapas szczęścia, jaki przydzieliła mu opatrzność.

Powoli opuścił pistolet, wcisnął przycisk bezpiecznika i schował broń do kieszeni wiatrówki. Lekko trzęsły mu się ręce. Krążąca we krwi adrenalina powoli przestawała działać.

Wciąż osłabiony i wstrząśnięty usiadł, odwrócił się i spojrzał w dół. Czterdzieści metrów niżej na wielkim głazie leżało roztrzaskane, nienaturalnie wygięte ciało człowieka, którego zabił.

Rozmazane plamy krwi wokół trupa wskazywały miejsce, gdzie spadł.

Syreny zawodziły na razie cicho, lecz stale się zbliżały. Pora wiać, pomyślał ze znużeniem. Natowscy sojusznicy czy nie, nie mógł liczyć na to, że czeskie władze spojrzą łaskawym okiem na amerykańskiego oficera zamieszanego w morderstwo i gangsterską strzelaninę na przedmieściach stolicy kraju. Jeszcze raz spojrzał na leżącego na dnie trupa.

I zmarszczył brwi. Uciekać? Nie tak prędko. Zanim ucieknie i rozplynie się w mroku, musi najpierw przyjrzeć się tamtemu na dole i sprawdzić, co facet przy sobie ma. Przecież nie wiedział nawet, co się dzieje. Ale jedno było pewne. Komuś bardzo zależało na jego śmierci.

Początkowo powoli, potem coraz szybciej i z coraz większą pewnością siebie, od skalnego występu do skalnego występu, od szczeliny do szczeliny, zaczął schodzić na dół. Gdy od dna wąwozu dzielił go metr, zeskoczył i zdecydowanym krokiem podszedł do roztrzaskanych zwłok.

ROZDZIAŁ 8

Bagdad, Irak

Nad Bagdadem zapadła noc. Na szerokich, nowoczesnych ulicach we wschodniej części miasta świeciły jaskrawe światła. Światło biło również z okien zabarykadowanych gmachów rządowych i ministerstw, płonęło na wciąż zatłoczonych bazarach. Ale ciasne, wąskie uliczki na zachodnim brzegu rzeki Tygrys były oświetlone jedynie mdłym światłem sączącym się ze sklepików i herbaciarni, zza zakratowanych okien i bram starych domów. Powietrze było chłodne i rześkie, z czystą, deszczową nutką po krótkiej, wieczornej burzy, która przeszła niedawno nad miastem. Przed herbaciarniami siedzieli grupkami mężczyźni w tradycyjnych arabskich kunach, kwadratowych kawałach kraciastego płótna złożonych na pół i zaciśniętych na głowie dwoma krążkami sznura. Paląc papierosy, przyciszonym głosem dzielili się nowinami dnia i wymieniali najnowsze plotki.

Jedną z takich uliczek szedł niepewnie Abdel Khalifa al Dulami, były pułkownik Mukhabaratu, irackiego wywiadu, organizacji, która budziła niegdyś powszechną grozę. Był

dużo chudszy niż w dniach sławy i chwały, a jego włosy i wąsy zdążyły już posiwieć. Trzęsły mu się ręce.

- To szaleństwo - syknął po arabsku do szczupłej kobiety, Która z koszem pełnym zakupów szła skromnie krok za nim. - To bastion mudżahedinów. Jeśli nas złapią, śmierć będzie prawdziwym błogosławieństwem, którego nie udzielią nam ani szybko, ani chętnie.

Kobieta, owinięta od stóp do głowy czarną, bezkształtną abayą, podeszła bliżej.

- W takim razie cała sztuka polega na tym, żeby nas nie złapali, prawda? Odparła chłodno w tym samym języku. - A teraz zamknij się i skup na zadaniu. Resztę zostaw mnie.

- Nie wiem, dlaczego to robię - wymamrotał cierpko Khalifa.

- Wiesz, wiesz - odparła lodowatym głosem kobieta. - Wolałbyś stanąć przed sądem za zbrodnie wojenne? Szubienica, pluton egzekucyjny czy zastrzyk: Co byś wybrał? Ludzie, których ty i twoje bandziory terroryzowaliście przez tyle lat, niechętnie wybaczą. Dobrze mówię?

Khalifa przełknął ślinę i zamilkł.

Kobieta zerknęła ponad jego ramieniem. Zbliżali się do dużego, piętrowego domu z błotnej cegły, zgodnie z iracką tradycją zbudowanego wokół podwórza. Przed bramą na podwórze stało dwóch Irakijczyków o hardych, surowych twarzach, uważnie przyglądając się przechodniom. Każdy trzymał w rękach gotowy do strzału karabin szturmowy AKM

Kałasznikowa.

- Uwaga wszystkie grupy, tu Atak Jeden - wymamrotała kobieta do mikrofonu na zasłoniętej abayą szyi. - Źródło Jeden i ja zajmujemy pozycję. Jesteście gotowi?

W słuchawce małego odbiornika radiowego, ukrytego w jej prawym uchu, rozbrzmiały ciche jak duch głosy:

- Snajperzy gotowi. Cele namierzone. Grupy szturmowe też. Grupa ewakuacyjna gotowa.

- Przyjęłam. - Kobieta zerknęła przed siebie. Od bramy dzieliło ich tylko kilka kroków. -

Czekajcie.

Jeden z uzbrojonych w AKM strażników zaszedł im drogę. Podejrzliwie zmrużył oczy.

- Co to za kobieta, pułkowniku? - warknął. - Generał wezwał na odprawę pana. I tylko pana. Nikogo innego.

Khalifa skrzywił się i niepewnie wydukał:

- To żona mojego... kuzyna. Była na rynku i bała się wracać do domu sama. Słyszała, że Amerykanie i

Shia, ich irackie pieski, gwałcą samotne kobiety. Ale zgodziłem się odprowadzić ją tylko do tego miejsca.

Kobieta skromnie spuściła ciemne oczy. Wciąż marszcząc brwi, strażnik podszedł bliżej.

- Naraził pan nas na niebezpieczeństwo - powiedział. - Muszę zameldować o tym generałowi. Niech pan wprowadzi ją do środka.

- Atak Jeden, tu Snajper Jeden - zabrzmiało w słuchawce. - Powiedz tylko słowo.

Kobieta uśmiechnęła się lekko i podniosła wzrok.

- Otworzyć ogień - odrzekła spokojnie. - Wszystkie grupy do ataku.

Teraz!

Zaniepokojony jej miną strażnik wytrzeszczył oczy. Podniósł i odbezpieczył karabin.

W tym samym momencie rozległo się stłumione tuf - tuf. Pociski wystrzelone z dachu odległego o ponad sto metrów domu trafiły obydwu w głowę i zwalili się na ziemię w obłoku krwawej mgły. Zanim jeszcze upadli, grupa sześciu mężczyzn, którzy siedzieli przed pobliską herbaciarnią, zerwało się z miejsca i wydobywszy spod luźnych kurtek zaopatrzone w tłumik pistolety maszynowe MP5SD6 Hecklera & Kocha, ruszyło biegiem w stronę bramy. Dwóch z nich chwyciło martwych strażników, zawlekło ich pod ścianę na podwórzu, po czym szybko wróciło na chodnik, zajmując ich miejsce. Ktoś, kto wyrzałby przez okno domu, nie zauważyłby niczego podejrzanego.

Kobieta sięgnęła do kosza i spod paczek z zakupami wyjęła berettę z tłumikiem.

Trzymając się cienia, razem z Khalifa i czterema pozostałymi mężczyznami weszła po cichu na podwórze. Zerknęła na zegarek. Minęło niecałe trzydzieści sekund. Zza okiennic sączyła się cicha muzyka, upiorne zawrosczenie popularnego arabskiego śpiewaka z syryjskiego radia.

Zadowolona dała znak i czterech mężczyzn z grupy szturmowej ruszyło w stronę frontowych drzwi domu.

Parami wbiegli na schody. Ubezpieczany przez pozostałych dowódca lekko poruszył

klamką, upewniając się, czy są otwarte. Kiwnął głową i bez słowa pokazał im trzy palce. Spięci znieruchomieli. Raz. Dwa. Trzy.

Dowódca kopnął drzwi i wpadł do środka, za nim pozostali. Ktoś krzyknął, lecz natychmiast uciszyła go seria z wyciszonego hecklera & kocha.

Kobieta przykucnęła pod otwartymi drzwiami z pistoletem w ręku. Dygoczący na całym ciele Khalifa czekał razem z nią - czekał i gorączkowo się modlił. Nie zwracając na niego uwagi, kobieta wsłuchiwała się intensywnie w krótkie, treściwe meldunki radiowe napływające z wnętrza domu.

- Korytarz i pokoje od frontu czyste. Dwóch mniej.

- Pokoje od tyłu czyste. Kolejna seria z MP5SD6.

- Schody czyste. Jednego mniej.

Znowu krzyk w głębi domu i krótka seria z broni maszynowej.

- Piętro czyste - zameldował spokojny, pewny siebie głos. - Dwóch mniej. Mamy jednego jeńca. Atak Jeden, tu Szturm Jeden. Dom jest czysty. Żadnych strat własnych.

Kobieta wstała.

- Przyjęłam - odparła. - Źródło Jeden wchodzi ze mną do środka. - Ruchem pistoletu dała znak pułkownikowi.

Podłoga była usiana trupami i łuskami. Większość ofiar zginęła, sięgając po broń, rosyjskie pistolety i pistolety maszynowe. Słaby, metaliczny zapach krwi mieszał się z ostrym zapachem nie przefiltrowanego dymu tytoniowego, taniego płynu po goleniu i gotowanego kurczaka. W głębi domu wciąż grało radio.

Pokonując po dwa stopnie naraz, kobieta weszła schodami na piętro i przystanąła w drzwiach kosztownie umeblowanego pokoju. Na podłodze leżały grube dywany. Na dywanach stały importowane stoły, stoliczki i krzesła z importowanego drewna tekowego oraz biurko z cicho mruczącym komputerem; wyglądało na to, że jest nieuszkodzony. Kobieta wykrzywiła usta w uśmiechu.

Na jednym z dywanów leżał mężczyzna w szlafroku i papuciach. Leżał twarzą do podłogi, skrępowany mocnymi, plastikowymi taśmami. Trzymało go na muszce dwóch ludzi z grupy szturmowej.

Na jej znak przewrócili jeńca na plecy.

Kobieta zmrużyła oczy, porównując jego twarz, haczykowaty nos i brodę ze zdjęciami, które wielokrotnie oglądała. Wpatrywały się w nią gniewne, zaczerwienione oczy. Z satysfakcją kiwnęła głową. Schwytali majora Hussaina Azziza al Douriego, byłego szefa ósmego dyrektoriatu irackiego wywiadu, departamentu bezpośrednio odpowiedzialnego za opracowanie, testowanie i produkcję irackiej broni biologicznej.

- Dobry wieczór, generale - zaczęła grzecznie z lekkim uśmiechem na ustach.

Irakijczyk łypnął na nią spode łba.

- Kim wy, u diabła, jesteście?

Kobieta zdjęła kaptur, odsłaniając krótkie blond włosy, prosty nos i zadziorny podbródek.

- Kimś, kto długo pana ścigał - odparła Randi Russell z amerykańskiej CIA.

Drezno, Niemcy

Z ciemnego, zachmurzonego nieba spadały wielkie płatki mokrego śniegu. Wirowały leniwie w powietrzu i osiadały miękko na placu wokół jasno oświetlonego gmachu drezdeńskiej Semper Opery. Cienka warstwa puchu łagodziła surowe kształty górującego nad placem pomnika saskiego króla.

Na środek placu spieszyli ciepło ubrani ludzie z wysoko uniesionymi parasolami, żeby dołączyć do podekscytowanego tłumu przed wejściem do opery. Rozwieszane w całym mieście plakaty tran Puenty ogłaszały premierę ultra awangardowej wersji Wolnego strzelca Carla Marii.

John stał w cieniu pod pomnikiem, uważnie obserwując grupki samo namaszczonego wielbicieli kultury idących przez plac. Niecierpliwym ruchem głowy strząsnął z włosów śnieg.

Przygarbił się, czując, jak zimno przenika przez cienką wiatrówkę i czarny golf.

Godzinę wcześniej wysiadł na przedmieściach Drezna, Porzucił go kierowca ciężarówki z Hamburga, którego podłapał w Pradze, i który przewiózł go przez czesko - niemiecką granicę.

Dwieście euro w zimnej, twardej gotówce zaspokoilo całą ciekawość i natychmiast przestał go wypytywać, dlaczego amerykański biznesmen chce podróżować zwykłą ciężarówką, w dodatku aż do Niemiec. Odstąpił mu nawet swoją koję z tyłu szoferki, gdzie można było ukryć się przed wścibskim wzrokiem celników. Na szczęście przejazd przez granicę nie obfitował w żadne wydarzenia. Czechi należały już do Unii Europejskiej, dlatego było tam ledwie kilka słabo obsadzonych posterunków. Ale dalsza podróż przez Niemcy czy zdobycie miejsca w samolocie do Stanów wymagało czegoś więcej niż szczęścia. W śmiertelnej zasadzce, na drodze na praskie lotnisko stracił komputer i torbę. A dla europejskich hotelarzy i tych z ochrony lotnisk widok gościa czy pasażera bez bagażu jest czymś bardzo podejrzanym. Co więcej, potrzebował nowych dokumentów. Prędzej czy później czeskie władze spróbują zarzucić sieć na amerykańskiego lekarza i wojskowego, który zamiast wyjechać do Londynu, tajemniczo zniknął. Mogą nawet powiązać go z poszatkowanymi zwłokami, które niewątpliwie znaleziono już przy drodze na praskie lotnisko.

Zauważył niskiego brodacza w eleganckim palcie i czerwonym szaliku, który szedł

niespiesznie w stronę pomnika. W jego grubych okularach odbijały się oślepiające światła reflektorów wokół gmachu opery. Pod pachą miał kolorowy, rzucający się w oczy program Don Giovanniego Mozarta. Jon wyszedł mu na spotkanie.

- Pan na operę? - spytał po niemiecku. - Maestro jest podobno w najwyższej formie.

Brodacz trochę się rozluźnił. „Maestro” było hasłem, które Jon dostał od Kleina, gdy zadzwonił do niego z prośbą o pilny kontakt.

- Tak słyszałem - odparł mężczyzna. Poklepał program pod pachą. - Ale ja wolę Mozarta.

- Cóż za zbieg okoliczności - powiedział znacząco Smith. - Ja też. Brodacz uśmiechnął się słabo.

Zajaśniały mu niebieskie oczy.

- Ci, którzy kochają największego europejskiego kompozytora, powinni trzymać się razem, przyjacielu. Dlatego przyjmij to z wyrazami uszanowania. - Podał mu program Don Giovanniego, bez słowa odwrócił się i odszedł, znikając w tłumie kłębiącym się przed łukowatym wejściem do opery.

Jon ruszył w przeciwnym kierunku. Idąc, przejrzał program i znalazł grubą, żółtą kopertę przypiętą do jednej z kartek. W kopercie był amerykański paszport na nazwisko John Martin z jego zdjęciem i stemplami niemieckiej kontroli celnej. Koperta zawierała również kartę kredytową na to samo nazwisko, bilet kolejowy do Berlina oraz kwit z przechowalni bagażu na dworcu Neustadt w Dreźnie.

Podniesiony na duchu uśmiechnął się do siebie. Fred Klein zawsze był człowiekiem dokładnym i trzeźwo myślącym. Schował dokumenty do kieszeni, wrzucił program do kosza na śmieci i skręcił w stronę jasno oświetlonego przystanku tramwajowego.

Pół godziny później zeskoczył lekko ze stopni tylnych drzwi żółtego tramwaju. Był

dokładnie naprzeciwko Neustadt Bahnhof. Zniszczoną, czarną od sadzy fasadę starego dworca przesłaniała teraz nowoczesna piramida ze stalowych dźwigarów i szkła. Ominął dwie taksówki, sunące zaśnieżoną ulicą w poszukiwaniu klientów i wszedł do prawie opustoszałej hali.

Pracownik przechowalni bagażu z kwaśną miną wziął od niego kwit, poszperał na zapleczu i mrużąc pod nosem, wrócił do lady z nowiutką torbą podróżną i laptopem. Jon podpisał formularz odbioru i stanął z boku, żeby obejrzeć nowy nabytek. W torbie były ubrania jego rozmiaru, łącznie z ciepłą, czarną, wełnianą kurtką. Włożył ją, z ulgą pozbywając się sponiewieranej wiatrówki. W drugiej torbie był szybki laptop w twardej, solidnej obudowie i przenośny skaner.

Spojrzał na tablicę z rozkładem jazdy. Do najbliższego pociągu do Berlina miał prawie godzinę. Zaburczało mu w brzuchu i uświadomił sobie, że ostatni raz jadł przed wieloma - zbyt wieloma - godzinami, na posterunku policyjnym w Pradze, gdzie poczęstowano go dwiema przypalonymi grzankami z dżemem. Zamknął obydwie torby, zarzucił je sobie na ramię i poszedł

do małej kafejki między peronami. Napis po niemiecku, francusku i angielsku zapraszał gości na kawę, zupę i kanapki oraz do skorzystania z bezprzewodowego Internetu.

Ucieszył się na myśl, że będzie mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Usiadł przy wolnym stoliku w kącie sali, zamówił czarną kawę i talerz Kartoffelsuppe, gęstej kartoflanki z majerankiem i kawałkami białej kiełbasy.

Gdy kelnerka odeszła, podłączył do sieci laptop i skaner. Pijąc kawę, wyjął dowód tożsamości, który znalazł przy zwłokach mężczyzny na dnie Dzikiej Sarki, i uważnie go obejrzał.

Podejrzewał, że nazwisko jest fałszywe. Ale zdjęcie mogło być źródłem wielu pożytecznych informacji - zwłaszcza gdyby trafiło w odpowiednie ręce.

Otworzył kłapkę telefonu, wybrał numer waszyngtońskiej kwatery głównej i w słuchawce zabrzmiał

spokojny głos Kleina.

- Słucham, panie pułkowniku.

- Spotkanie przebiegło zgodnie z planem - zameldował Jon. - Jestem na dworcu i czekam na pociąg.

- To dobrze. Masz rezerwację w Askanischer Hof w Kurfurstendamm. Odpoczniesz tam przez parę dni, a my zastanowimy się, co robić.

Jon kiwnął głową. Kurfurstendamm, niegdyś serce Berlina Zachodniego, wciąż było ruchliwym centrum handlowym i turystycznym. Nawet zimą można się tam dyskretnie wmieszać w tłum podróżnych na ulicach i w restauracjach. - Jaką mam teraz przykrywkę? - spytał.

- Jesteś farmaceutą, pośrednikiem handlowym - odrzekł Klein. - Odpoczywasz w Berlinie po konferencji. Dopasujesz się?

- Bez problemu - odparł z przekonaniem Smith. - Jeszcze jedno...

- Tak?

- Mam tu skan do wysłania. Zdjęcie bandziora, który zamordował Pietrenkę i który dwukrotnie próbował zabić mnie. Już nie żyje, ale warto by było przepuścić je przez komputer.

- Sprawdzić nigdy nie zaszkodzi - odparł oschle Klein. - Dobrze, pułkowniku. Proszę je przysłać. Czekamy.

Na granicy rosyjsko - gruzińskiej

Odizolowane od świata miasto Alagir leży na samym końcu doliny Ardon u stóp Kaukazu. Mniej więcej siedemdziesiąt kilometrów na południe od miasta, na wysokości dwóch tysięcy siedmiuset metrów, znajduje się zasypana śniegiem Przełęcz Roki, która prowadzi do spornego terytorium Południowej Oseti. Otaczające ją góry, wystrzępione masy skał, śniegu i lodu, lśniące blado w blasku księżyca, strzelają w niebo niczym gigantyczna ściana, zasnuwając cały południowy horyzont.

Dworzec kolejowy w Alagir oświetlały jaskrawe reflektory łukowe, zmieniając czarną noc w upiorną imitację czarno - białego dnia. Pocąc się mimo silnego mrozu, wokół długiego pociągu towarowego z trzema potężnymi lokomotywami uwijali się żołnierze i oficerowie wojsk inżynierskich w zimowych panterkach. Pracowali w grupach, sprawnie zdejmując brezentowe pokrowce ze stojących na wagonowych platformach czołgów T - 72, samobieżnych haubic kaliber 122 mm, ciężkich transporterów opancerzonych BTR - 90 i bojowych wozów piechoty BMP - 2.

Inne grupy kierowały świeżo rozładowany sprzęt na rampy łączące wagony z długim rzędem olbrzymich transporterów czołgowych. Transportery miały przewieźć sprzęt i pojazdy w głąb otoczonej górami doliny. Na czele konwoju czekały ciężkie pługi śnieżne, wyposażone w rozsypywarki soli i piasku, gotowe oczyścić kręte, zaśnieżone i oblodzone drogi i przeprowadzić

transport przez góry.

Opatulony wojskowym paltem generał - pułkownik Wasyli Sewalkin, dowódca Północno

- kaukaskiego Obwodu Wojskowego, stał przy swoim łaziku, z nieukrywaną satysfakcją obserwując przebieg rozładunku. Spojrzał na zegarek i przywołał jednego z podwładnych.

Major podbiegł do niego, stanął na baczność i zasalutował.

- No i jak? - rzucił Sewalkin.

- Skończymy za niecałą godzinę, panie generale - odparł dziarsko major.

- Bardzo dobrze - wymamrotał Sewalkin zadowolony, że jego przewidywania się sprawdzają. Zanim nadleci amerykański satelita szpiegowski, konwój czołgów, haubic i bojowych wozów piechoty zniknie w górach Kaukazu. A sam pociąg, załadowany prefabrykowanymi atrapami, wyruszy w drogę i da się sfotografować na węźle kolejowym pod Biesłanem. Ot, rutynowy transport sprzętu wojskowego dla rosyjskich sił zbrojnych walczących z czeczeńskimi buntownikami.

Generał uśmiechnął się lekko. Już wkrótce mała Gruzja znajdzie się w zasięgu działania dwóch w pełni uzbrojonych dywizji zmotoryzowanych, 27. i 56. Gwardyjskiej. Chociaż obydwie dywizje były wyposażone w sprzęt i czołgi starszego typu - tak zwane drugoliniowe - pod względem uzbrojenia przewyższały wszystko, na co stać było zabiedzoną, słabo zorganizowaną gruzińską armię.

Sewalkin odprawił majora niedbałym gestem ręki i wszedł do łazika.

- Do kwatery głównej we Władykaukazie - rozkazał kierowcy. A potem usiadł wygodnie, zastanawiając się, co też może przynieść im najbliższa przyszłość. Według rozkazów z Moskwy, ta ściśle tajna koncentracja sił była tylko „specjalnymi manewrami” sprawdzającymi mobilność i gotowość bojową. Gotowość bojowa, generał pogardliwie prychnął. Tylko głupiec uwierzyłby, że na zwyczajne ćwiczenia wojskowe Kreml wysyła prawie czterdzieści tysięcy żołnierzy i ponad tysiąc pojazdów pancernych i opancerzonych. W dodatku w samym środku surowej kaukaskiej zimy, w koszmarny mróz, ryczący wiatr i oślepiające burze śnieżne.

Nie, myślał generał. Dudarew i inni planują coś naprawdę śmiałego, coś, po czym wstrząśnięty i przywołany do porządku świat stanie przed nimi na baczność. Oby jak najszybciej.

Za długo on i jemu podobni w pełnym rozpaczy milczeniu patrzyli, jak z każdym mijającym rokiem maleją wpływy i potęga militarna Rosji. Ale już wkrótce wszystko się zmieni. Kiedy nadejdzie wreszcie rozkaz, kiedy każą im przywrócić ojczyźnie należne jej miejsce, on i jego żołnierze spełnią swój obowiązek.

Sam Castilla siedział przy dużym, ranczerskim stole z nowo meksykańskiej sosny, który służył mu za biurko, szybko przeglądając stertę wielostronicowych analiz legislacyjno -

politycznych z nadrukiem: PILNE. Nawet przepuszczona przez filtr, jakim był pierwszorzędny personel Białego Domu, ilość dokumentów wymagających jego osobistej uwagi była wprost zastraszająca. Skreślił krótki komentarz na jednym z okólników i natychmiast zajął się kolejnym.

Bolały go oczy, kark i ramiona.

Kącik ust drgnął mu i w krzywym uśmiechu powędrował do góry. Problem stary jak świat, dylemat jego wszystkich poprzedników. Udziel za dużo pełnomocnictw i prasa wyszydzi cię jako prezydenta, który wysługuje się innymi - albo uwikłasz się w jakiś głupi skandal wywołany przez podwładnego. Skup w rękach całą władzę i utoniesz w morzu bezsensownych notatek służbowych, które napisać mógłby każdy młodszy urzędnik - albo, tak jak biedny Jimmy Carter, zaczniesz tracić czas na bzdury w rodzaju opracowywania harmonogramu korzystania z kortu tenisowego za Białym Domem. Cała sztuka polegała na wypośrodkowaniu, na znalezieniu stosownej równowagi. Sęk w tym, że równowaga ta była bardzo chwiejna.

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

Castilla zdjął okulary. Przetarł zmęczone oczy i podniósł wzrok.

- Tak?

W progu stanęła jego osobista sekretarka.

- Już prawie szósta, panie prezydencie - powiedziała. - I pan Klein przyszedł - dodała cierpko, nie próbując nawet ukryć niezadowolenia na złośliwie wykrzywionej twarzy. -

Wpuściłam go do prywatnego gabinetu, tak jak pan sobie życzył.

Castilla z trudem ukrył uśmiech. Pani Pike wzięła na siebie rolę smoka strzegącego dostępu do Gabinetu Owalnego i traktowała ją bardzo poważnie. Uważała, że prezydent pracuje za dużo, że za mało ćwiczy i że powołując się na starą przyjaźń, marnuje bezcenny czas na spotkania ze starymi kompanami od polityki. Podobnie jak cały personel Białego Domu, nie znała sekretu Tajnej Jedyńki; ciężar ten Castilla dźwigał sam. Dlatego nie wiedząc, jak zakwalifikować Kleina, wrzuciła go do jednego worka z całą resztą „tych hulaków i utracjuszy”.

- Dziękuję, Estello - odparł pośpiesznie prezydent.

- Pierwsza Dama oczekuje pana na kolacji - przypomniała mu surowo sekretarka. -

Punktualnie o siódmej. W rezydencji.

Castilla z uśmiechem skinął głową.

- Bez obaw. Proszę powiedzieć Cassie, że przyjadę, żeby waliło się i paliło.

- Mam nadzieję - fuknęła Estella.

Castilla odczekał, aż wyjdzie z gabinetu. Gdy wyszła, uśmiech na jego ustach powoli zgasł. Wstał zza biurka i przeszedł do sąsiadującego z gabinetem pokoju. Pokój był pełen książek i wygodnych mebli. Podobnie jak prywatny gabinet na górze, w apartamentach rodzinnych, pomieszczenie to należało do nielicznych, które odzwierciedlały jego własny gust. Przy kominku, podziwiając obraz z Dzikiego Zachodu - oryginalne dzieło Remingtona wypożyczone z Galerii Narodowej - stał łysiejący mężczyzna w wymiętym, niebieskim garniturze. W ręku trzymał

spowiewieraną skórzaną teczkę.

Słyszając, że otwierają się drzwi, Nathaniel Frederick Klein oderwał wzrok od obrazu.

Płótno przedstawiało grupkę zmęczonych, obszarpanych żołnierzy, patrol amerykańskiej kawalerii zaciekle broniący się wokół wyschniętego, pustynnego źródła. Żołnierze leżeli za barykadą z martwych koni i rozpaczliwie ostrzeliwali się z jednostrzałowych springfieldów na czarny proch.

- Skąd my to znamy, co? - rzucił cicho prezydent. - Za wielu nieprzyjaciół, za mało pomocy.

- Tak to już jest, Sam. - Klein wzruszył wąskimi ramionami. - Ale z drugiej strony, nikt racjonalnie myślący nigdy nie twierdził, że jedyne supermocarstwo na świecie będzie miało lekko. I że wszyscy będą je lubili.

Castilla uśmiechnął się cierpko.

- Fakt. No i lepsze to niż alternatywa. Wolałbym być porządnym, lecz niekochanym dwustupięćdziesięciokilowym

gorylem

niż

żałosnym,

nieszczęśliwym,

czterdziestopięciokilogramowym słabeuszem. - Ruchem głowy wskazał czarną, skórzaną kanapę.

- Siadaj, Fred. Mamy nieciekawą sytuację i potrzebuję twojej pomocy.

Castilla zaczekał, aż Klein usiądzie i sam też usiadł sztywno w miękkim fotelu po drugiej stronie stolika do kawy.

- Widziałeś listę chorych analityków wywiadu? - spytał.

Klein ciężko westchnął. W ciągu ostatnich dwóch tygodni kilkunastu najlepszych ekspertów od spraw państw byłego bloku sowieckiego, w tym Rosji - analityków wojskowych, politycznych i gospodarczych - śmiertelnie zachorowało w domu lub w pracy.

- Przez cały dzień zbierałem dane - ciągnął z powagą prezydent. - Trzech już zmarło.

Pozostali leżą na oiomie, a ich stan szybko się pogarsza. Jest fatalnie. Co gorsze, nikt, ani szpitale, ani ośrodki zwalczania chorób zakaźnych, ani USAMRIID, dosłownie nikt nie potrafi określić, na co chorują, nie wspominając już o tym, że w tej sytuacji o skutecznym leczeniu nie ma nawet mowy. Lekarze próbują wszystkich możliwych sposobów - antybiotyków, środków antywirusowych, antytoksyn, chemio - i radioterapii - ale bez rezultatu. Tych ludzi zabija coś, czego nie zna nasza medycyna.

- Paskudna sprawa - mruknął Klein, poprawiając okulary w drucianej oprawie. Miał

zaniepokojone oczy. - Ale coś panu powiem, panie prezydencie: ta tajemnicza choroba atakuje nie pierwszy raz.

Castilla uniósł brew.

- Ach tak?

- W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin odebraliśmy kilka meldunków, z których wynika, że na chorobę o identycznych symptomach zapadło i zmarło kilkanaście osób. W

Moskwie. Ponad dwa miesiące temu. Na Zachód nie przedostały się żadne szczegóły, bo Kreml dokręcił śrubę i zakazał publikacji jakichkolwiek danych.

Prezydent zacisnął zęby.

- Mów dalej.

- Z dwojgiem moich najlepszych agentów terenowych, Fioną Devin i Jonem Smithem, skontaktowali się dwaj rosyjscy lekarze, którzy ich leczyli. Niestety, obydwu uciszono, zanim zdążyli przekazać nam kopię kart chorobowych oraz inne materiały. Pierwszy zmarł dwa dni temu na ulicy w Moskwie, podobno na atak serca. Drugiego zamordowano wczoraj w Pradze.

- Kto go zamordował? Rosjanie? Klein zmarszczył brwi.

- To niewykluczone. - Trzasnął zamkiem teczki i podał prezydentowi czarno - białe zdjęcie, które przysłał mu Smith. Pokazywało mężczyznę o wąskiej, szczurzej twarzy i zimnych, martwych oczach. - Ten człowiek dowodził grupą zabójców w Pradze. Kiedy przepuściłem zdjęcie przez nasze komputery, okazało się, że figuruje w sześciu kartotekach policyjnych i wywiadowczych i że w każdej z nich opatrzone je dopiskiem: „Poszukiwany - zatrzymać z zachowaniem najwyższej ostrożności”.

Castilla uważnie obejrzał zdjęcie i przeczytał widniejące pod nim nazwisko.

- Dietrich Liss? - powiedział zaskoczony. - Niemiec?

- Demokratyczny - poprawił go Klein. - Z byłego NRD. Przed upadkiem muru berlińskiego jego ojciec był wysokim oficerem Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, czyli Stasi. Obecnie odsiaduje wieloletni wyrok za zbrodnie przeciwko swemu narodowi.

Prezydent postukał palcem w zdjęcie.

- A jego syn?

- Też był członkiem tajnej policji - odparł Klein. - Młodszym oficerem w pułku Feliksa Dzierżyńskiego, czymś w rodzaju gwardii pretoriańskiej wschodnioniemieckiego rządu. Krążą plotki, że należał również do szwadronów śmierci, które na polecenie władz mordowały dysydentów politycznych i zagranicznych dziennikarzy, którzy przysparzali NRD zbyt wielu kłopotów.

- Czarujące - mruknął zde gustowany prezydent.

- Liss to podobno prawdziwy przyjemniaczek - ciągnął Klein. - Socjopata pierwszej klasy. Mordował z zimną krwią. Zaraz po zjednoczeniu Niemiec Berlin wysłał za nim list gończy, ale Liss uciekł, zanim policja zdążyła go zdjąć.

- Więc kto go utrzymywał przez te piętnaście lat?

- Według naszych danych, ostatnio pracował w Grupie Brandta, niezależnej, bardzo mętnej organizacji wywiadowczej z siedzibą w Moskwie.

- Znowu Moskwa... - Castilla rzucił zdjęcie na stolik. - A kto pociąga za sznurki w Grupie Brandta?

- Nasza wiedza jest w tym zakresie bardzo fragmentaryczna - przyznał Klein. - Nie wiemy zbyt dużo ani o samej organizacji, ani o tym, kto ją finansuje, chociaż wygląda na to, że mają bardzo pokaźny budżet. Krążą jednak pogłoski, że agenci z Grupy Brandta pracują czasem dla rosyjskich władz na zasadzie kontraktu, przeprowadzając operacje wywiadowcze, a nawet organizując zamachy na czeczeńskich uchodźców i na innych „wichrycyeli” poza bezpośrednim zasięgiem Kremla.

- Cholera jasna - mruknął Castilla.

- Jest jeszcze coś. - Klein pochylił się do przodu. Miał bardzo poważną twarz. -

Dyskretnie popytałem tu i tam. Wszystko wskazuje na to, że choroba, która zaatakowała naszych najlepszych specjalistów od spraw rosyjskich, zaatakowała również czołowych analityków wszystkich zachodnich służb wywiadowczych, brytyjskiej MI - 6, niemieckiej BND, francuskiej DGSE i kilku innych.

- Chcą nas oślepić - zrozumiał nagle Castilla. - Ta choroba to po prostu broń. Likwidując naszych najlepszych analityków, ktoś chce, żebyśmy pogubili się w tym, co dzieje się w Rosji.

- To możliwe, a nawet prawdopodobne - zgodził się z nim Klein. Ponownie otworzył

teczkę i wyjął pojedynczą kartkę z listą nazwisk i krajów. - W poszukiwaniu innych przypadków choroby o podobnych symptomach zaczęliśmy również przeglądać serwisy i bazy medyczne danych na całym świecie. Trochę to trwało, ale oto, co znaleźliśmy.

Castilla wziął listę, przestudiował ją bez słowa i cicho zagwizdał. - Ukraina. Gruzja.

Armenia. Azerbejdżan. Kazachstan... Wszystkie były republiki radzieckie.

- Tak, a ci, którzy zachorowali, byli wojskowymi lub politycznymi przywódcami tych krajów. Z tego, co widzę, większość z nich zastąpiono ludźmi mniej kompetentnymi lub bardziej spolegliwymi względem Rosjan.

- A to sukinsyn - zaklął głośno Castilla. - To ten podstępny sukinsyn Dudarew. Rosjanie próbowali już ustawić wybory na Ukrainie, ale im się nie udało. Ta publiczna kompromitacja musiała bardzo zboleć. Może znowu próbują, tym razem na większą skalę?

- Metoda postępowania jest dość znacząca - odrzekł powoli Klein. Przez szeroką twarz Castilli przebiegł cień krzywego uśmiechu.

- Nic na chybcika, zwłaszcza bez mocnych dowodów, co?

- Ostateczna decyzja należy do pana, panie prezydencie - zauważył Klein. Odchrząknął. -

Ale tak, teorii nam nie brakuje, w przeciwieństwie do faktów. W obecnej sytuacji światowej nie jestem pewien, jak odebrano by nie popartą dowodami sugestię, że Rosja coś knuje.

- Coś ty, nie gadaj - mruknął Castilla. Opadły mu ramiona, jakby przygniótł je wielki ciężar. -

Słusznie czy nie, od kilku lat zarzucają nam, że za często podnosimy fałszywy alarm.

Nasi starzy przyjaciele i sojusznicy z NATO uważają, że lubimy wyolbrzymiać niebezpieczeństwo, dlatego kiedy tylko zwietrzą coś kontrowersyjnego, natychmiast się od nas odcinają. Po kryzysie Łazarza zdołaliśmy częściowo odbudować naszą reputację, mimo to wciąż mamy pod górkę.

Prezydent nachmurzył czoło.

- Jedno jest pewne. Nikt w Londynie, Paryżu, Berlinie czy Warszawie nie podziękuje nam za nową zimną wojnę. - Spojrzał na zabytkowy globus w kącie gabinetu. - A ponieważ nasze wojska, okręty i samoloty są rozproszone po całej tej przeklętej planecie, nie jesteśmy przygotowani do otwartego konfliktu z Rosjanami. A już na pewno nie w pojedynkę.

Milczał przez chwilę, zastanawiając się nad sytuacją. Energicznie potrząsnął głową.

- Trudno - powiedział. - Nie cofniemy czasu, nie odwrócimy biegu wydarzeń. Co znaczy, że musimy znaleźć dowód, który przekona naszych sojuszników i w razie konieczności skłoni ich do współpracy. - Usiadł prosto. - Kluczem wydają się pierwsze przypadki zachorowań w Moskwie.

- Tak - odrzekł Klein. Miał zimne oczy. - Ktoś bardzo chce wyeliminować wszystkich tych, którzy próbują nam o nich opowiedzieć.

- Oczywiście jest jeszcze jedno - ciągnął Castilla. - Nie mogę zlecić tego CIA. Nie są przygotowani do działania w Moskwie, a przynajmniej nie do działania tajnego. - Pogardliwie prychnął. - Tak bardzo podlizywaliśmy się Rosjanom, żeby raczyli pomóc nam w walce z terroryzmem, że zamiast rekrutować agentów na Kremlu, Langley traciło czas i energię na współpracę z ich służbami wywiadowczymi. Gdybym nagle zażądał, żeby placówka w Moskwie wrzuciła wsteczny bieg i całkowicie zmieniła kierunek działania, od razu by coś spartaczyli. A wtedy wybuchłby dyplomatyczny skandal, wyszlibyśmy na ostatnich durniów i już nikt by nam nigdy nie uwierzył. Gniewnie błysnął oczami.

- Pozostajesz tylko ty i Jedyńka. Masz absolutny priorytet. Chcę, żebyś się tym zajął.

Szybko i dyskretnie.

Klein kiwnął głową.

- Mam już w Moskwie małą, za to bardzo dobrą ekipę. - Zamyślony wyjął z kieszeni chustkę i przetrął okulary. Włożył je i spojrzał na prezydenta. - I mojego najlepszego agenta terenowego. To człowiek twardy i pomysłowy. Pracował już w Rosji, ale najważniejsze jest to, że jako lekarz i naukowiec, na pewno zrozumie cały ten medyczny żargon.

- Najlepszego? - spytał ciekawie Castilla. - To znaczy kogo?

- Podpułkownika Jonathana Smitha - odparł cicho Klein.

17 lutego, Połtawa, Ukraina

W połowie drogi między Charkowem a Kijowem, na trzech wzgórzach wyrastających z bezkresnego, monotonnego ukraińskiego stepu, leży Połtawa. Wszystkie jej aleje i ulice rozchodzą się promieniście od wielkiego, okrągłego placu w centrum miasta. A dokładnie na środku tego placu wznosi się Żelazna Kolumna Chwały otoczona małymi działami i zwieńczona złotym, carskim orłem. Zbudowana w 1809 upamiętnia decydujące zwycięstwo cara Piotra Wielkiego nad Szwedami i ich kozackimi sojusznikami, zwycięstwo sprzed stu lat, które zapewniło Rosjanom trwałą dominację nad tym regionem Europy.

Wokół placu wznoszą się neoklasyczne dziewiętnastowieczne gmachy rządowe. Okna na najwyższych piętrach wychodzą na kolumnę.

Przez jedno z nich wyglądał właśnie Leonid Achmetow, przewodniczący regionalnej grupy parlamentarnej, tęgi, siwowłosy polityk i oligarcha. Łypnął spode łba na złotego orła, odwrócił się, zaklął pod nosem i zaciągnął zasłony.

- Nie podoba się panu widok? - spytał ironicznie jego gość, szczupły mężczyzna w brązowym garniturze; siedział na krześle po drugiej stronie bogato zdobionego biurka Achmetowa.

Przewodniczący nachmurzył czoło.

- Kiedyś się podobał, i to bardzo - mruknął ponuro. - Ale teraz przypomina mi tylko o wstydzie i naszym zaprzędaniu Zachodowi.

Rozmawiali po rosyjsku, pierwszym języku prawie połowy Ukraińców, z których większość mieszkała w rejonach przemysłowych na wschodzie kraju. Ostatnie wybory prezydenckie, z których jedno unieważniono pod zarzutem fałszerstwa, podzieliły Ukrainę na dwie wrogie obozy, jeden bardzo autorytarny i faworyzujący ponowne zacieśnienie więzów z Moskwą, drugi demokratyczny i ukierunkowany na Europę i Zachód. Achmetow i jego kompani należeli do tego drugiego i kontrolowali większą część przemysłu i handlu w Połtawie.

- Matka Rosja nigdy nie opuści swoich wiernych synów - powiedział cicho mężczyzna.

Zmrużył oczy. - I nigdy nie wybaczy tym, którzy ją zdradzili.

Achmetowi poczerwieniała twarz.

- Nie jestem zdrajcą - warknął. - Moi ludzie i ja byliśmy gotowi wyruszyć na Kijów już wiele miesięcy temu, ale wasz prezydent „doszedł do porozumienia” z nowym rządem. Kreml podciął nam nagle nogi, więc co mieliśmy robić? Musieliśmy dogadać się z nimi na własną rękę.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- ”Porozumienie”, o którym pan wspomina, to tylko chwilowy taktyczny odwrót.

Uznaliśmy, że jeszcze za wcześnie na otwartą konfrontację między Europejczykami i Amerykanami.

Achmetow znieruchomiał.

- A teraz? Nadeszła pora?

- Niedługo nadejdzie - odparł cicho mężczyzna. - Już wkrótce. Ale najpierw musicie coś zrobić.

- To znaczy?

- Po pierwsze, chcemy, żebyście zorganizowali masową demonstrację dwudziestego trzeciego lutego, w Dniu Obrońców Ojczyzny. Masową, rozumiecie? Niech ludzie domagają się pełnej autonomii, zerwania z Kijowem, zacieśnienia więzów z Matuszka Rassiją...

Gość z Moskwy przedstawił mu rozkazy z Kremla. Oligarcha słuchał go uważnie i z narastającym podnieceniem.

Godzinę później emisariusz wyszedł z gmachu administracji regionalnej i niespiesznym krokiem ruszył w kierunku Żelaznej Kolumny Chwały. Od grupy uczniów oglądających pomnik oderwał się wysoki mężczyzna o szerokiej, przyjaznej twarzy. Poprawił zwisający z szyi aparat fotograficzny i dołączył do swego kolegi z Trzynastego Dyrektoriatu Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

- No i jak? - spytał.

- Nasz przyjaciel Achmetow się zgodził. Za sześć dni on i jego zwolennicy zbiorą się u stóp tej kolumny.

- Ilu?

- Co najmniej dwadzieścia tysięcy ludzi. Niewykluczone, że dwa razy więcej. Wszystko zależy od tego, ilu robotników i ich rodzin posłucha wezwania.

- Bardzo dobrze. - Mężczyzna z aparatem uśmiechnął się promiennie. - Zorganizujemy im ciepłe przyjęcie. I pokażemy przerażonemu światu, jak daleko może posunąć się Kijów, tłumiąc pokojowy protest kłopotliwych Rosjan.

- A wy? Macie wszystko, co trzeba? Mężczyzna poklepał aparat.

- Wszystkie zdjęcia, potrzebne do zaplanowania operacji, są tutaj. Reszta to kwestia zwykłej matematyki.

- Na pewno? Iwanow będzie nalegał na stuprocentową pewność i dokładność. Chce krwawej masakry, a nie żałosnego niewypału.

- Spokojnie, Genadi Arkadjewiczu, odprężcie się. Nasi przełożeni dostaną stosowny pretekst. Dajcie mi tylko wystarczająco dużo materiałów wybuchowych, a wyślę tę kolumnę na księżyc.

ROZDZIAŁ 10

Piękne, prastare, umbryjskie miasto Orvieto przycupnęło na wulkanicznym płaskowyżu nad szeroką doliną Paglii, mniej więcej w połowie drogi między Rzymem i Florencją. Otaczające je strome skały od tysięcy lat służyły jako naturalne mury obronne.

Od przebiegającej u podnóża skał autostrady odchodziła kręta, boczna droga, która wiodła na zachód, omijając pasmo skalistych wzgórz naprzeciwko miasta. Na wzgórzach tych stało kilka ultranowoczesnych budynków ze stali i szkła, otoczonych ogrodzeniem ze zwojami ostrego jak brzytwa drutu kolczastego na szczycie.

Napis na tablicy przed bramą głosił, że kompleks ów jest siedzibą główną EOBL, Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych. Oficjalnym celem ośrodka było badanie przemieszczeń ludności w Europie i związanego z tym dryfu genetycznego. Naukowcy pracujący w laboratoriach EOBL rutynowo przemierzali Europę i Amerykę Północną, pobierając próbki DNA od przedstawicieli różnych społeczności i grup etnicznych. Próbek tych potrzebowali do licznych badań medycznych, genetycznych i historycznych.

Wczesnym, szarym, wilgotnym rankiem na teren kompleksu wjechał czarny mercedes.

Zaparkował przed dużym, stojącym nieco na uboczu budynkiem. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych kurtkach i futrzanych czapkach. Obydwaj byli wysocy i atletycznie zbudowani. Jeden z nich, niebieskooki dryblas słowiańskiej urody, został przy mercedesie, drugi ruszył w stronę budynku.

- Nazwisko? - spytał przez interkom głos z silnym włoskim akcentem.

- Brandt - odpowiedział wyraźnie mężczyzna i lekko odwrócił głowę do zamontowanych nad wejściem kamer, żeby mogły obejrzeć go z profilu i en face.

Po krótkiej zwłoce - obraz z kamer został w tym czasie porównany ze zdjęciami w komputerze sterującym systemem bezpieczeństwa - interkom ponownie ożył.

- Może pan wejść, signor Brandt. Proszę wprowadzić kod identyfikacyjny.

Mężczyzna wystukał dziesięciocyfrowy kod na wmontowanej w drzwi klawiaturze i jeden po drugim, trzasnęły potężne zamki. Gdy otworzyły się grube, stalowe drzwi, wszedł do środka i znalazł się w lśniącym, jasno oświetlonym korytarzu. Tuż za drzwiami była wartownia, a w niej czuwało dwóch uzbrojonych strażników z pistoletami maszynowymi w rękach. Jeden z nich ruchem głowy wskazał wieszak.

- Proszę zostawić tam kurtkę, czapkę i broń, signor.

Brandt uśmiechnął się lekko, zadowolony, że rygorystyczne środki bezpieczeństwa, które sam opracował i wprowadził, dotyczą nawet jego. Po złych wiadomościach z Pragi trochę go to pocieszyło. Zdjął kurtkę i szelki z kaburą. Powiesił je na wieszaku, po czym zdjął czapkę, odsłaniając czuprynę jasnych włosów.

- Powiadomiliśmy doktora Renkego - powiedział strażnik. - Czekaj w głównym laboratorium.

Erich Brandt, kryptonim Moskwa Jeden, lekko skinął głową.

- Dobrze.

Główne laboratorium zajmowało prawie połowę budynku. Na czarnych stołach roboczych stały rzędy komputerów, pudełkowatych sekwenserów DNA, syntetyzatorów, chromatografów, elektroporatorów wielkości młynka do kawy oraz szczelnie zamknięte pojemniki z reagentami, enzymami i chemikaliami. Za przeszkloną ścianą mieściły się hermetyczne komory, w których hodowano wirusy i bakterie. Technicy i naukowcy w sterylnych fartuchach, rękawiczkach, maskach chirurgicznych i plastikowych osłonach na twarz krok po kroku realizowali ściśle określone procedury konieczne do wyprodukowania unikatowych i niepowtarzalnych szczepów Hydry.

Brandt przystanął pod drzwiami, obserwując ten skomplikowany proces z zainteresowaniem, lecz w sumie bez zrozumienia. Chociaż Renke wielokrotnie próbował

wyjaśnić mu jego zawilości, Brandt szybko gubił się w naukowym żargonie.

Wzruszył ramionami. Co to za różnica? Umiał zabijać z zimną krwią, a Hydra była po prostu bronią, tak jak każda inna. Odarty z naukowej otoczki mechanizm jej wytwarzania i sposób działania był bardzo prosty w teorii, lecz o wiele bardziej skomplikowany w praktyce.

Najpierw trzeba było zdobyć DNA ofiary, z włosa, kawałka skóry, śluzu, wydzieliny, a nawet tłuszczu z odcisku palca. Potem następował żmudny proces segregowania wypełnionych genami chromosomów, poszukiwania określonych sekwencji genetycznych, unikatowych dla każdego człowieka i związanych z reprodukcją komórki. Jeszcze potem preparowano pojedynczą nić tak zwanego cDNA - DNA komplementarnego - tworząc lustrzane odbicie DNA przyszłej ofiary.

Następny krok wymagał modyfikacji pewnego wirusa obecnego w człowieku - wirusa o względnie krótkim, jednoliciowym DNA. Stosując określone procesy chemiczne, można było pozbawić go całego materiału biologicznego z wyjątkiem genów związanych z ich białkowym płaszczem ochronnym oraz tych, dzięki którym wirus mógł przeniknąć do samego serca komórki ludzkiej, czyli jej jądra. Geny te łączono ze starannie przygotowanymi fragmentami cDNA, uzyskanymi z genomu ofiary, ligowano je w pętlę i zmodyfikowany w ten sposób wirus stawał

się wówczas samoreplikującym się plazmidem.

Plazmidy te wprowadzano następnie do nieszkodliwego szczepu L - coli, fakultatywnie tlenowej, gram - ujemnej bakterii, która wchodzi w skład fizjologicznej flory bakteryjnej jelita grubego. Potem wystarczyło już tylko wyhodować je, odpowiednio zagęścić i szczep Hydry był

gotowy.

Tak zmodyfikowane bakterie były oczywiście zupełnie niewidoczne - nie miały też smaku ani zapachu - dlatego można je było zaaplikować ofierze w jedzeniu lub piciu. Połknięte docierały do jelita grubego i tam zaczynały się szybko rozmnażać. Rosnąc, nieustannie wydalają do organizmu człowieka genetycznie zmienione kapsydy wirusów, które krew rozprowadzała po całym organizmie.

Brandt wiedział, że kapsydy te są najbardziej zabójczym składnikiem Hydry, ponieważ zaprojektowano je tak, żeby przebijały ścianki komórki. Znalazłszy się w komórce, zaczynały wstrzykiwać do jej jądra zmodyfikowany rdzeń cDNA. W organizmie każdego innego człowieka nie zdarzyłoby się nic. Jednakże w organizmie ofiary rozpoczynał się natychmiast śmiertelny proces. W miarę podziału jądra komórkowego zmodyfikowane rdzenie cDNA automatycznie łączyły się z wybranymi fragmentami DNA w chromosomach, uniemożliwiając jego dalszą replikację. Skomplikowany proces podziału i rozmnażania komórek - proces absolutnie niezbędny do życia - zacinał się i gwałtownie ustawał, podobnie jak zacina się i blokuje zamek błyskawiczny, w którym utknał kawałek materiału.

Ponieważ zainfekowanych, niezdolnych do podziału komórek stale przybywało, zaatakowana przez Hydre ofiara cierpiała coraz silniejsze bóle; trawiła ją również wysoka gorączka, a jej skóra pokrywała się wysypką. Niewydolność komórek dzielących się najszybciej -

mieszków włosowych i szpiku kostnego - wywoływała symptomy podobne do anemii po napromieniowaniu lub zatruciu substancją promieniotwórczą. To katastrofalne, lawinowo postępujące zniszczenie obejmowało całe organy i systemy, nieuchronnie prowadząc do długiej, bolesnej śmierci.

Na Hydre nie było lekarstwa. Nie dawała się również w żaden sposób wykryć. Lekarzom, rozpaczliwie próbującym ustalić przyczynę nieznannej choroby, nie przyszłoby do głowy, żeby szukać jej w pospolitej, pozornie nieszkodliwej bakterii w jelicie grubym ofiary.

Brandt uśmiechnął się z satysfakcją. Niepowstrzymana i nieuleczalna, i niewykrywalna Hydra była bronią doskonałą. Przyszła mu do głowy ironiczna myśl, że Renke i jego naukowcy tworzyli w laboratorium mikroskopijne wersje precyzyjnie kierowanych pocisków i bomb, którymi tak bardzo chwalili się Amerykanie, z tym że ich Hydra nie powodowała kłopotliwych i żenujących zniszczeń ubocznych.

Wulf Renke, mężczyzna niski i drobny, oderwał się od sekwensera DNA i ruszył w jego stronę. Po drodze zdjął rękawiczki i maskę, odsłaniając krótkie, siwe włosy oraz starannie przyciętą hiszpańską bródkę i wąsy.

Z daleka wyglądał jowialnie i dobrotliwie. Dopiero z bliska w jego nieruchomych, ciemnobrązowych oczach dostrzec można było bezduszny fanatyzm. Renke dzielił ludzkość na dwie bardzo nierówne grupy: na tych, którzy sponsorowali jego badania, i na tych, na których mógł testować swoje biologiczno - chemiczne potworności. Z lekkim uśmiechem wyciągnął rękę.

- Erich! Witaj! Osobiście przyjechałeś po nową partię naszych zabaweczek? - Ruchem głowy wskazał przenośną lodówkę wypełnioną starannie oznakowanymi, przezroczystymi fiolkami. Komora lodówki była wyłożona suchym lodem; żeby pozbawione pokarmu bakterie nie zaczęły ginąć, szczepy

Hydry zamrażano. - Są spakowane i gotowe do drogi.

- Tak, panie profesorze - odparł Brandt, ściskając mu rękę. - Przyjechałem po szczepy do fazy numer dwa. Ale mam również kilka spraw do omówienia. Spraw... prywatnych - dodał znacząco.

Renke uniósł cienką, białą brew.

- Ach tak? - Zerknął przez ramię na pracujących w laboratorium techników i naukowców.

- W takim razie przejdźmy do mnie.

Weszli do pozbawionego okien pokoju w połowie głównego korytarza. Przy ścianie stała półka zapchana książkami, słownikami i encyklopediami. Nie licząc półki, biurka i komputera, było tam tylko wąskie łóżko i rozbabrana sterta koców, co Brandta bynajmniej nie zdziwiło.

Renke słynął z tego, że wygodę - tak ważne dla innych - zupełnie go nie interesowały. Żył niemal wyłącznie swoimi badaniami.

Zamknął drzwi i spytał:

- No więc? Cóż tak pilnego sprowadza cię z Moskwy? Wspomniałeś, że nie tylko Hydra.

- Dwie sprawy - odparł Brandt. - Po pierwsze, doszło do poważnego naruszenia systemu ochrony.

Renke zamarł.

- Gdzie?

- W Pradze, ale ślad prowadzi do Moskwy - odparł beznamiętnie Brandt i opowiedział mu pokrótce o udanym zamachu na Pietrenkę oraz o nieudanej próbie zlikwidowania amerykańskiego lekarza, podpułkownika Smitha. Rozpaczliwe sygnały od ocalałych członków grupy uderzeniowej dotarły do niego poprzedniego wieczoru, zaraz po powrocie z Rzymu.

Renke słuchał go, coraz bardziej wykrzywając do dołu usta. Zniesmaczony pokręcił głową.

- Liss był niechlujny - mruknął. - Niewybaczalnie niechlujny.

- To prawda - przyznał zimno Brandt. - Niechlujny i zbyt pewny siebie. Chciałem go zlikwidować, żeby dać przykład Ilionescu i pozostałym, ale teraz już nie muszę.

- A ten Smith? Namierzyliście go?

- Jeszcze nie - odparł krótko Brandt. Wzruszył ramionami. - Ale nie poleciał do Londynu i szukają go teraz Czesi. Mam w Pradze kilku informatorów i jeśli go znajdą, natychmiast dostanę wiadomość.

- Minęły prawie dwadzieścia cztery godziny - zauważył Renke. - Przez ten czas mógł przekroczyć granicę. Na dobrą sprawę może być teraz wszędzie, na drugim końcu świata.

Brandt ponuro kiwnął głową.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Renke zmarszczył czoło i potarł wypielegnowaną brodę.

- Co o nim wiemy? - spytał po namyśle. - Mimo oczywistych i odrażających błędów, Liss i jego ludzie byli zawodowcami. Jak to możliwe, że zwykły lekarz tak łatwo sobie z nimi poradził?

- Nie wiem - przyznał Brandt. - Najwyraźniej jest nie tylko lekarzem.

- Agentem? Agentem amerykańskiego wywiadu? Brandt wzruszył ramionami.

- Możliwe. Odkąd Liss zameldował, że Pietrenko umówił się z nim na spotkanie, moi ludzie sprawdzają jego akta wojskowe i medyczne, ale to praca żmudna i powolna. Jeśli Smith rzeczywiście ma coś wspólnego z wywiadem, nie chcę, żeby wiedział, że się nim interesujemy.

Mogłoby to nas przedwcześnie zdradzić.

- Oby tylko nie było za późno - odparł zimno Renke. - Jeśli jest agentem, Amerykanie mogą już grzebać w naszych moskiewskich testach.

Brandt nie odpowiedział, z trudem powstrzymując gniew. Nie było sensu przypominać mu, że to właśnie on nalegał na te pierwsze testy.

- Zawiadomiłeś Aleksieja Iwanowa? - spytał Renke. - Trzynasty Departament może mieć jego teczkę. Dobrze by było ich ostrzec. FSB zaostrzyłoby środki ostrożności w Moskwie.

Brandt pokręcił głową.

- Nic mu nie powiedziałem. Wie tylko, że Pietrenko i Kirjanow nie żyją.

Renke uniósł brew.

- Ukryłeś to? Przed Iwanowem? Czy to aby mądre posunięcie? Sam powiedziałeś: doszło do poważnego naruszenia systemu ochrony. To chyba ważniejsze niż wstyd czy zawodowa zazdrość.

- Najważniejsze są rozkazy od naszego sponsora - przypomniał mu chłodno Brandt. - A nasz sponsor oczekuje, że zamiast biec na Kreml jak przestraszone dzieci, posprzątamy po sobie sami. W tym przypadku chętnie go posłucham. Rosjanie mają za ciężką rękę. Ich interwencja pogorszyłaby tylko

sprawę. Jeśli Smith zacznie węszyć, mam wystarczająco dużo ludzi, żeby poradzić z nim sobie samemu.

Renke ściągnął usta.

- W takim razie, czego pan ode mnie chce?

- Pełnej listy tych, którzy wiedzą o pierwszych zachorowaniach, i którzy mogą nam zagrozić. Smith uciekł. Da pan głowę, że się z nim nie skontaktują? Nie wolno nam zakładać, że tylko Pietrenko i Kirjanow nie posłuchali rozkazu.

Renke podrapał się w brodę.

- Dobrze, przygotuję listę.

- Proszę mi ją przysłać jak najszybciej. - Brandt uśmiechnął się zimno, demonstrując rząd równych, białych zębów. - W razie konieczności będziemy musieli doprowadzić rzecz do końca.

- Tak, oczywiście - zgodził się z nim Renke. - A ta druga sprawa? Brandt jakby się zawahał. Popatrzył niespiesznie na wypełnioną książkami półkę i ponownie przeniósł wzrok na naukowca.

- Jest pan pewien, że nie ma tu podsłuchu? - spytał.

- Moi ludzie codziennie sprawdzają - odparł spokojnie Renke. - Są wierni mnie, i tylko mnie. Może pan mówić. - Uśmiechnął się sztywno. - Z pańskiej miny wnoszę, że chodzi o to drugie przedsięwzięcie, o „polisę ubezpieczeniową”, którą nasi rosyjscy przyjaciele tak bardzo chcieliby zdobyć. Prawda?

- Tak. - Mimo zapewnień naukowca, Brandt lekko zniżył głos. - Zurych potwierdził, że na nasz rachunek wpłynęła pierwsza wpłata. Ale zanim wpłynie druga, muszę dostarczyć im obiecaną przesyłkę.

Renke wzruszył ramionami.

- Żaden problem. Prace nad tym szczepem ukończyłem już kilka tygodni temu. -

Przeszedł przez pokój i dotknął główki gwoźdźca sterczącego z półki. Półka otworzyła się bezszelestnie, odsłaniając wbudowany w ścianę sejf. Renke wprowadził kod, przytknął kciuk do skanera odcisków palców i spod drzwiczek buchnął obłoczek pary. Naukowiec włożył grubą rękawicę, otworzył drzwiczki i wyjął z sejfu fiolkę z przezroczystym płynem.

- Proszę - powiedział. - Kiedy będzie pan wychodził, dadzą panu lodówkę i suchy lód.

W sejfie stał stojak z kilkoma innymi fiolkami. Brandt zauważył to i zmrużył szare oczy.

- Zaskoczony? - rzekł z uśmiechem Renke. - Niech pan przestanie, Erich, znamy się od lat. Powinien panu już chyba wiedzieć, że zawsze się zabezpieczam. Bez względu na to, dla kogo pracuję.

ROZDZIAŁ 11

Berlin

Jon dopił kawę i odstawił filiżankę na okrągły, nakryty obrusem stolik. Z nawyku dyskretnie obserwował ludzi siedzących w cichej, ze smakiem urządzonej sali śniadaniowej Askanisher Hof. Po raz pierwszy od przyjazdu miał okazję przyjrzeć się hotelowym gościom.

Większość była poważnymi biznesmenami, którzy czytali poranną gazetę lub notowali coś między szybkimi kęsami grzanki, miękkiej, słodkiej bułeczki czy łyżkami musli. Kilka stolików dalej siedziały dwa starsze małżeństwa, które zatrzymały się tu, korzystając zapewne z niższych zimowych stawek. Dzwonki alarmowe w jego głowie milczały.

Zostawiwszy na stoliku kilka euro napiwku, wstał i ruszył do drzwi. Z oprawionych w czarno - białe ramki zdjęć na ścianie za długim, błyszczącym barem patrzyli na niego słynni pisarze i aktorzy, którzy tu kiedyś bywali, w tym Arthur Miller i Franz Kafka.

W holu podszedł do niego recepcjonista.

- Herr Martin - powiedział przyciszonym głosem. - Przed chwilą przyszła do pana przesyłka kurierska.

Smith pokwitował odbiór i wrócił do pokoju. Duża koperta. Sądząc po adresie, nadała ją Waldmann Investments, LLC w Brukseli, jedna z firm, z których pośrednictwa korzystała Tajna Jedyńka. Cicho zagwizdał na widok godziny nadania na stemplu. Wysłano ją kilka godzin przed świtem, mimo to ktoś musiał się bardzo spieszyć, żeby trafiła do Berlina o tak wczesnej porze.

Usiadł na wygodnej, niebieskiej sofie pod oknem, otworzył kopertę i rozłożył jej zawartość na bogato zdobionym stoliku do kawy w stylu lat dwudziestych. Dokumenty.

Kanadyjski paszport, też na nazwisko Johna Martina i z jego zdjęciem. Stosownie podniszczony i z oślimi uszami, był ostemplowany rozmazanymi stemplami wizowymi wielu europejskich krajów, w tym Niemiec, Francji, Włoch, Polski, Bułgarii i Rumunii. Z pliku wizytówek na to samo nazwisko wynikało, że John Martin jest naukowcem zatrudnionym w Instytucie Burnetta w Vancouverze w Brytyjskiej Kolumbii, w prywatnej grupie konsultingowej świadczącej usługi publiczne. Pojedyncza kartka z nagłówkiem: ZNISZCZYĆ PO PRZECZYTANIU zawierała krótką biografię fikcyjnego Martina.

W kopercie była również rosyjska wiza służbowa, zaświadczająca, że pewna prywatna firma zaprosiła go do Moskwy na „konsultacje porównawcze w sprawie państwowego systemu ochrony zdrowia i ubezpieczeń społecznych”. Z załączonego planu podróży wynikało, że jeszcze tego samego

dnia leci Lufthansa do Moskwy.

Przez długą chwilę przyglądał się dokumentom i myślał. Moskwa? Wysyłali go do Moskwy? No i cóż, Danielu? Jak ci się podobają lwy? Otworzył klapkę telefonu i wybrał numer.

Klein odpowiedział po pierwszym dzwonku.

- Dzień dobry, Jon. Zakładam, że dostałeś już naszą przesyłkę.

- Bardzo dobre założenie, panie dyrektorze - odparł oschle Smith. - Mógłby mi pan wyjaśnić, co się, u licha, dzieje?

- Ależ oczywiście - odrzekł Klein i spoważniał. - Potraktuj to jako instruktaż przed misją.

Ale zanim zaczniemy, wiedz, że rozkazy przyszły z samej góry.

Czyli od prezydenta - Jon odruchowo się wyprostował.

- Rozumiem. Słucham.

I z narastającym zdumieniem wysłuchał długiej listy nazwisk zmarłych lub umierających analityków wywiadu, dowódców wojskowych, polityków amerykańskich, ich europejskich sojuszników i przywódców małych krajów sąsiadujących z Rosją.

- Boże - wyszeptał, kiedy Klein skończył. - Nic dziwnego, że moje spotkanie z Pietrenką poruszyło gniazdo os.

- Właśnie, my też tak to widzimy.

- Domyślam się, że chce pan, żebym zbadał pierwsze przypadki tej nieznanej choroby.

- Tak. Jeśli to możliwe, potrzebujemy konkretnych danych na temat jej pochodzenia, mechanizmu działania i sposobów przenoszenia. I to jak najszybciej, Jon. Mam nieprzyjemne wrażenie, że sprawy nabierają coraz szybszego tempa.

- To bardzo wygórowane żądanie, Fred.

- Wiem. Ale nie będziesz sam. Mamy tam ludzi, bardzo dobrych ludzi. Czekają na twój przyjazd.

- Jak się z nimi skontaktuję?

- Masz rezerwację w hotelu Budapeszt, niedaleko Teatru Bolszoi. Zamelduj się i o siódmej miejscowego czasu bądź w hotelowym barze. Do siódmej trzydzieści ktoś się do ciebie zgłosi.

- Jak go rozpoznam?

- Nie rozpoznasz - odparł cicho Klein. - Będzie to kontakt ściśle jednostronny. Siedź i czekaj. To ty zostaniesz rozpoznany. Hasło: „Chyba bierze mnie pan za kogoś innego”.

Jonowi zaschło w ustach. Kontakt jednostronny. Oznaczało to, że będzie musiał jechać do Rosji, nie znając ani nazwisk, ani przykrywki, ani nawet rysopisu pracujących tam agentów Tajnej Jedynki. Mimo nowych i na pewno mocnych papierów, Klein nie chciał ryzykować.

Dzięki temu nawet jeśli służba bezpieczeństwa aresztuje go na lotnisku, nie będzie mógł nikogo zdradzić. W tych okolicznościach było to bardzo rozsądne, lecz bynajmniej nie pocieszające.

- Ta moja przykrywka - spytał. - Długo wytrzyma?

- Jest w miarę solidna - odparł Klein. - Oczywiście wszystko zależy od sytuacji. Jeśli coś pójdzie nie tak, przy odrobinie szczęścia może wytrzymać do dwudziestu czterech godzin.

- A więc cała sztuka polega na tym, żeby nie dać tym z Kremla powodu do grzebania w życiorysie pana Martina, tak?

- Tak by było najlepiej - odrzekł beznamiętnie Klein. - Ale pamiętaj, w każdej chwili jesteśmy gotowi przyjść ci z pomocą.

- Rozumiem.

- W takim razie powodzenia. Odezwiw się z Moskwy, kiedy tylko będziesz mógł.

Kijów

Słuchając rozgorączkowanego głosu na drugim końcu linii, kapitan armii amerykańskiej Carlos Parilla miał kamienną twarz.

- Tak, rozumiem, Witali - powiedział, kiedy jego rozmówca skończył. - Natychmiast przekażę to moim przełożonym. Tak, masz absolutną rację, to potworne.

Odłożył słuchawkę i głośno wypuścił powietrze.

- Jezul!

Jego zwierzchnik w ataszacie obrony, pułkownik piechoty morskiej, oderwał wzrok od ekranu komputerowego monitora. Był zaskoczony. Wśród personelu kijowskiej ambasady Parilla uchodził za człowieka bardzo zasadniczego i opanowanego. Nie przeklinał i nie bluźnił nawet w największym stresie.

- Co się stało?

- To był Witali Czeczilo z ukraińskiego Ministerstwa Obrony - odparł ponuro kapitan. -

Mówi, że generał Engler jest w szpitalu w Czernihowie. Leży na oiomie. Wygląda na to, że zaraził

się tym samym świństwem, które zabiło generała Marczuka.

Pułkownik oniemiał. Generał brygady Bernard Engler był szefem amerykańskiej wojskowej misji specjalnej i dowodził grupą oficerów, którzy pomagali Ukraińcom w modernizowaniu i reformowaniu ich sił zbrojnych. Zaniepokojony powtarzającymi się meldunkami wywiadowczymi o rosyjskich manewrach nadgranicznych, poprzedniego dnia pojechał do Czernihowa, żeby nakłonić następcę Marczuka, generała - porucznika Eduarda Tymoszenkę, do przedsięwzięcia stosownych środków ostrożności.

Pułkownik podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer.

- Połącz mnie z ambasadorem - rzucił. - Natychmiast. - Zasłonił ręką słuchawkę i spojrzał

na Parillę. - Dzwon do szpitala, spytaj o jego stan i przekaz wiadomość oficerowi dyżurnemu w Waszyngtonie. Potrzebujemy zastępstwa, i to błyskawicznie!

Kapitan kiwnął głową. Generał był ciężko chory, niewykluczone, że umierający -

amerykańskiej misji wojskowej groził całkowity paraliż. Engler cieszył się dużym szacunkiem i uznaniem ukraińskiego rządu i armii. Ukraińcy zawsze przywiązywali dużą wagę do rangi i stopnia i jego podwładni, głównie młodszy oficerowie, nie mieli wśród nich tak dużych wpływów.

W sytuacji, gdy na granicy rosyjsko - ukraińskiej szykowały się kłopoty, rzeczą absolutnie konieczną było, żeby Pentagon natychmiast przysłał kogoś na jego miejsce.

Parilla zerknął na zegar i zmarszczył brwi. W Waszyngtonie był środek nocy. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach wybranie i mianowanie kandydata mogło zająć pentagońskim biurokratom wiele dni. Nawet następca tej samej rangi, człowiek o tych samych umiejętnościach, będzie potrzebował co najmniej kilku tygodni na szczegółowe zapoznanie się ze wszystkimi niuansami ukraińskich spraw wojskowych i administracyjnych. Dopóki Waszyngton go nie znajdzie, proces koordynowania amerykańsko - ukraińskiej polityki obronnej będzie bardzo utrudniony.

ROZDZIAŁ 12

Bagdad

Znużona Randi Russell siedziała u szczytu dużego stołu w głębi ufortyfikowanego gmachu amerykańskiej ambasady w zielonej strefie stolicy kraju. Miała ochotę potrzeć zmęczone oczy i z trudem się powstrzymała. Satelitarna wideokonferencja z szefostwem Langley to niezbyt odpowiednia chwila na zdradzanie ludzkich słabości. Na krześle tuż obok niej siedział niedbale Phil Andrissen, szef ich bagdadzkiej placówki. Obydwoje patrzyli na ekran projekcyjny, a ekran pokazywał kilku poważnie wyglądających dżentelmenów w garniturach, wykrochmalonych koszulach i starannie zawiązanych krawatach. Siedzieli przy podobnym stole konferencyjnym na szóstym piętrze kwatery głównej CIA w Langley pod Waszyngtonem.

Oto jeden z cudów współczesnej technologii, pomyślała uszczypliwie Randi. Wysyłamy sygnał, sygnał odbija się od satelitów na orbicie i w ułamku sekundy pokonuje przestrzeń i czas -

i robimy to wszystko tylko po to, żeby odbyć kolejną bezsensowną, niekończącą się naradę bez żadnych rozstrzygnięć.

Nicholas Kayne, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, pochylił się do przodu.

Krępy i przysadzisty miał sześćdziesiąt kilka lat i obfity podbródek. Przed kilkudziesięcioma laty służył krótko w agencji, ale zaraz wycofał się na spokojniejsze wody akademickie, by zostać doradcą w jednej z ekskluzywnych - i niesamowicie zdzierczych - firm konsultingowych w Waszyngtonie. Wrócił do CIA jako tymczasowy zastępca nazbyt agresywnego i nękanego skandalami Davida Hansona, a jego nawyki i maniery były czasem równie dziwne i niejasne jak decyzje, które podejmował.

- Rozumiem - zaczął - że generał Hussain al - Douri, którego schwytaliście, wciąż odmawia współpracy, tak?

Andrissen ze znużeniem kiwnął głową.

- Tak, panie dyrektorze. Jak dotąd nic z niego nie wyciągnęliśmy.

- Myślę, że w tej chwili - wtrącił zastępca do spraw operacyjnych - wszystkich nas bardziej interesują materiały z Ósmego Dyrektoriatu, które przy nim znaleźliście. Z waszych pierwszych meldunków wynika, że zawierają niezmiernie ważne informacje na temat ściśle tajnego programu budowy broni biologicznej, o którym nic przedtem nie wiedzieliśmy. Czy to podtrzymujecie?

- Tak, panie dyrektorze, jak najbardziej - odparł Andrissen i ruchem głowy wskazał

Randi. - Obecna tu Randi Russell zapozna panów ze szczegółami. Ponieważ to jej grupa ujęła al -

Douriego, kazałem jej przeanalizować materiały, które znaleźliśmy w jego kryjówce.

Andrissen nachylił się ku niej i półgłosem powiedział:

- Tylko spokojnie. Rozumiesz? Nie wkurz ich. Pamiętaj, że chcesz iść na polowanie poza granicami naszego teatru działań.

- Nie martw się, Phil. Obiecuję, że będę grzeczna.

- Jasne, jasne - mruknął z uśmiechem Andrissen. - A księżyc jest zrobiony z zielonego sera. - Pstryknął włącznikiem mikrofonu. - Wal.

- Udało nam się rozszyfrować i odczytać niemal wszystkie pliki z jego komputera -

zaczęła Randi, patrząc na siedzących tysiące kilometrów dalej urzędników. - Trzeci Korpus i dowództwo irackich sił specjalnych otrzymało już od nas wyselekcjonowany materiał na temat

działalności terrorystycznej, organizowanej i prowadzonej przez podległych mu ludzi. Chociaż raz nasi wojskowi przyjaciele byli nam bardzo wdzięczni.

Spoglądający na nią z ekranu dyrektorzy uśmiechnęli się z zadowoleniem i pokiwali głową. Al - Douri był kimś więcej niż tylko wysokim oficerem Saddama Husseina i jego wiernym zwolennikiem. Dowodził również sunnicką komórką terrorystyczną, która przeprowadziła kilkanaście zamachów bombowych i dokonała wielu morderstw. Dzięki znalezionym w komputerze listom nazwisk, liście jego płatnych agentów w irackiej policji, numerom telefonów i namiarom magazynów broni Amerykanie wraz ze swoimi irackimi sojusznikami powinni rozbić tę organizację łatwo i szybko.

- Pliki, które nas interesowały, ukryto znacznie głębiej - ciągnęła Randi. - Były zaszyfrowane wyrafinowanym systemem szyfrującym opartym na kodach używanych przez kierownictwo KGB pod koniec lat osiemdziesiątych.

- Zatem Rosjanie sprezentowali je swoim przyjacielom z Mukhabaratu - wtrącił dyrektor do spraw operacyjnych.

Randi kiwnęła głową.

- Na to wygląda, panie dyrektorze.

- Co do tej pory zdołaliście rozszyfrować?

- Wzmianki o ściśle tajnym programie budowy broni biologicznej - wypaliła prosto z mostu Randi. - O programie tajnym do tego stopnia, że Prowadzono go poza strukturami reżimu.

- Poza? Całkowicie poza?

- Tak, prawie całkowicie - odparła Randi i spokojnym, pewnym siebie głosem podrzuciła im kolejną bombę. - Mamy mocne dowody na to, że badania te ukrywano przed samym Saddamem Husseinem. Generał al - Douri zrobił wszystko, żeby raporty na ten temat przechodziły tylko przez jego ręce... i w jego rękach pozostały. Nigdy nie docierały wyżej.

Dwóch dyrektorów cicho zagwizdało z ekranu. Saddam Hussein wierzył we władzę absolutną. Rządził przez trzydzieści lat i przez ten czas wymordował wszystkich tych, którzy sprzeciwiali się jego woli, lub którzy mogli stanowić dla niego zagrożenie. Ukrywając coś przed swoim panem i władcą, szef Ósmego Dyrektoriatu grał w bardzo niebezpieczną grę.

- Czy celem tego programu było wyprodukowanie biologicznej broni masowego rażenia?

- spytał jeden z urzędników.

- Wszystko wskazuje na to, że nie - odparła Randi. - Ósmy Dyrektoriat chciał mieć broń działającą na mniejszą, za to niezwykle śmiertelną skalę. Jego głównym zadaniem było zaopatrywanie reżimu w bojowe gazy paraliżujące, biotoksyny oraz inne trucizny do likwidacji przeciwników politycznych w Iraku i poza jego granicami.

- O jakich wielkościach mówimy? - spytał dyrektor do spraw operacyjnych. - O małym laboratorium i kilku badaczach? Czy o czymś większym?

Randi wzruszyła ramionami.

- Powiedziałaabym, że był to program na małą skalę, przynajmniej pod względem logistycznym i przestrzennym.

- Wiadomo coś o jego kosztach?

- Były znaczne - odparła krótko Randi. - Z tego, co na razie wiemy, w ciągu roku, góra dwóch lat, pochłonął kilkadziesiąt milionów dolarów.

Kilku siedzących przy stole konferencyjnym urzędników znacząco uniosło brew. Były to duże sumy nawet dla reżimu, który pławił się w „lewych” pieniądzach.

- Wiadomo, skąd czerpali fundusze? - spytał dyrektor do spraw operacyjnych. - Pewnie z nieudanej operacji oenzetowskiej „ropa za żywność”.

- Nie, panie dyrektorze - odrzekła spokojnie Randi. - Wszystko wskazuje na to, że pieniądze przeznaczone na program napływały z anonimowych kont w bankach rozsianych po całym świecie. Mniej więcej milion dolarów trafiło do kieszeni naszego przyjaciela al -

Douriego, ale reszta poszła na sprzęt, wyposażenie i płace.

Nicholas Key zmarszczył brwi.

- Nie uważam, żeby były to jakieś wstrząsające rewelacje - mruknął opryskliwie. - Jeden nielegalny iracki projekt więcej, jeden mniej, co to za różnica?

Randi posłała mu słodki uśmiech.

- Z całym szacunkiem, panie dyrektorze - odparła grzecznie - ale różnica jest, ponieważ ten program nie był finansowany przez Irakijczyków.

Zapadła głucha cisza.

- To znaczy? - warknął w końcu Kaye.

- Notatki al - Dauriego są fragmentaryczne i niekompletne, ale wszystko wskazuje na to, że biorący w nim udział naukowcy byli, cytuję, „cudzoziemcami”.

- I gdzie ci naukowcy teraz są?

- Już dawno wyjechali. Kilka wzmianek sugeruje, że spakowali cały sprzęt i uciekli, zanim nasze

wojska wkroczyły do Bagdadu. Uciekli prawdopodobnie przez Syrię.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem pani teorię, panno Russell - wtrącił dyrektor do spraw operacyjnych. - Sugeruje pani, że ktoś wykorzystywał Irak jako przykrywkę do realizacji nielegalnego programu zbrojeń biologicznych?

- Tak, panie dyrektorze. - Randi uśmiechnęła się cierpko. - Ostatecznie gdzie lepiej można ukryć brudną igłę niż w stogu brudnych igieł, które należą do kogoś innego?

- Ustaliła pani jakichś podejrzanych?

- Na podstawie materiałów z komputera al - Douriego? - Randi wzruszyła ramionami. -

Nie. Jeśli nawet generał wiedział, kto zapłacił mu za pozwolenie na uruchomienie laboratorium biologicznego pod opieką jego organizacji, starannie to ukrył. Ale mam przecucie, że nie wiedział i że było mu wszystko jedno.

- W takim razie znowu ścigamy błędne ogniaki - burknął Kaye.

- Niezupełnie, panie dyrektorze - odparła z wymuszoną cierpliwością Randi. Kaye był

wiecznym pesymistą i odruchowo odrzucał każdą propozycję, którą łączyła się z jakimkolwiek ryzykiem czy stała w sprzeczności z powszechnie panującymi opiniami. W agencji - za jego plecami oczywiście - nazywano go Doktorem Nie.

- Proszę, niech pani mówi, słuchamy - wtrącił z łagodnym uśmiechem dyrektor do spraw operacyjnych. - Nie wiem dlaczego, ale podejrzewam, że chowa pani jakiegoś asa w rękawie.

Niemal wbrew swojej woli Randi odpowiedziała mu uśmiechem.

- Niezupełnie asa, panie dyrektorze. Raczej jokera, dziką kartę. - Pokazała im pojedynczą kartkę papieru, wydruk pliku z przechwyconego komputera. - Po pierwszym spotkaniu z naukowcem odpowiedzialnym za ów tajny program generał al - Douri sporządził ten oto zapissek w swoim zaszyfrowanym notatniku: „Człowiek ten jest jak szakal, a nie jak szlachetny teutoński wilk, za którego chce uchodzić. I tak jak żarłoczny szakal żywi się padliną tych, którzy byli niegdyś jego panami”.

- Arabskie wypociny - prychnął pogardliwie Kaye. - Poetyckie bzdury. Niby co nam to mówi?

- Nie, to nie są bzdury - odparła zimno Randi. - Raczej kiepski kalambur. Al - Douri bawił się nazwiskiem naukowca. Niemca. Niemieckiego specjalisty od broni biologicznej.

Teutońskiego... wilka.

Zamilkła. Czekala.

- Chryste! - rzucił gwałtownie jeden z tamtych. - Chodzi o Wulfa Renkego.

- Otóż to - potwierdziła Randi.

- To niemożliwe - warknął Kaye. - Renke nie żyje. Nie żyje od lat. Umarł

najprawdopodobniej zaraz po ucieczce z Berlina.

- Tak twierdzą Niemcy, rzecz w tym, że nikt nie widział nigdy jego zwłok - zauważyła ponuro Randi.

- A zważywszy to, czego dowiedzieliśmy się z komputerowych zapisków al -

Douriego, powinniśmy zrobić wszystko, żeby dowiedzieć się prawdy.

Wokół stołu konferencyjnego w Langley przetoczył się pomruk zgodnych głosów. Wulf Renke zajmował wysoką pozycję na agencyjnej iście najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy okresu zimnej wojny. Niegdyś członek enerdowskiej elity naukowej zasłynął swoimi błyskotliwymi odkryciami i tym, że z wyjątkową lubością testował swoje śmiertcionośne wytwory na ludziach, zwłaszcza na dysydentach politycznych i pospolitych kryminalistach.

Zniknął zaraz po upadku muru berlińskiego, zanim zachodnioniemiecka policja zdążyła go aresztować.

Zachodnie służby wywiadowcze tropiły go od wielu lat, ścigając plotki, według których ten renegat i uczonec miał przebywać w najbardziej zapalnych punktach kuli ziemskiej albo służyć najbardziej skompromitowanym reżimom czy sprawom. Pracował jakoby w Korei Północnej, Libii i w Serbii, pracował również dla al - Kaidy oraz dla wielu innych siatek terrorystycznych. Jednakże żadnej z tych zwodniczych i przerażających pogłosek nigdy nie udało się potwierdzić. Dlatego coraz więcej rządów skłaniało się do zaakceptowania spornego twierdzenia rządu niemieckiego, że Renke nie żyje i nie stanowi już żadnego zagrożenia.

Przynajmniej do teraz.

- Zatem co pani proponuje, panno Russell? - spytał sztywno dyrektor CIA.

- Żebyście wysłali mnie panowie na polowanie - odparła Randi, odsłaniając zęby w wesołym uśmiechu. - Na wilka.

Kaye ciężko westchnął.

- A gdzie chciałaby je pani rozpocząć? W Syrii? W Hindukuszu? A może na bezdrożach Timbuktu?

- Nie, panie dyrektorze - odrzekła spokojnie Randi. - Myślę, że najwyższa pora zacząć u źródła.

ROZDZIAŁ 13

Chociaż na dworze panował przejmujący mróz, w Irlandzkim Barze na pierwszym piętrze hotelu Budapeszt było pełno ludzi. Przed błyszczącą ladą z wiśniowego drewna kłębił się głęboki na dwie osoby rząd spragnionych gości, prosząc barmana o kolejne piwo czy szklankę whisky.

Po sali krążyły uśmiechnięte kelnerki z tacami. Wokół małych stolików i w wyłożonych pluszem boksach panował nieustanny gwar, często okraszany głośnymi wybuchami śmiechu, kiedy ten czy ów opowiedział jakiś dowcip.

Jon siedział samotnie w kącie sali i sącył powoli ciemne piwo. Wsłuchując się w strzępy głośnych rozmów po rosyjsku, angielsku, francusku i niemiecku, czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości, jakby rozmowy te docierały do niego z odległości wielu kilometrów. Miał na twarzy miły uśmiech, lecz wiedział, że jest to uśmiech sztuczny i kruchy i że lada chwila rozpadnie się na tysiąc kawałeczków. Zdał sobie sprawę, że nerwy ma napięte jak postronki.

Na każdym etapie podróży - podczas lotu z Berlina, podczas odprawy celno -

paszportowej na lotnisku Szeremietiewo - 2, w taksówce, a nawet w hotelowej recepcji -

nastawiał się psychicznie, że lada chwila zobaczy groźnie uniesione brwi jakiegoś urzędnika czy poczuje na ramieniu ciężką łapę milicjanta. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Szybko przeszedł

przez kontrolę i zameldował się w hotelu, gdzie z obojętną uprzejmością zaprowadzono go do pokoju. Zdawało się, że na ulicach jest więcej milicji niż podczas jego poprzednich wypraw do post zimnowojennej Moskwy, ale nie licząc tego, nie zauważył tu żadnych oznak szykujących się kłopotów.

Zmusił się do wypicia kolejnego łyku piwa i ukradkiem zerknął na zegarek. Umówiona godzina już dawno minęła; dochodziła ósma. Kontakt się spóźniał. Coś nie wypaliło? Klein twierdził, że jego ludzie działają poza zasięgiem radarów rosyjskich służb bezpieczeństwa, ale jeśli się mylił? Może jednak stąd wyjść? Wyjść, znaleźć ustronne miejsce, zadzwonić do Waszyngtonu i zameldować o nieudanym spotkaniu.

Podniósł wzrok znad szklanki i ponownie spojrzał na szczupłą, gibką, ładną kobietę o kręconych, sięgających ramion ciemnych włosach i jasnych oczach, które w łagodnym świetle baru były bardziej zielone niż niebieskie. Zauważył ją już przedtem, jak z wysokim kieliszkiem szampana w ręku rozmawiała z ożywieniem z grupą uśmiechniętych adoratorów. Ale teraz powoli, lecz zdecydowanie przesuwała się w jego stronę, przystając po drodze, żeby powitać kolejnych mężczyzn uśmiechem, krótkim pocałunkiem w policzek czy czułym słówkiem. Była w pięknej, wieczorowej sukni bez rękawów, zmysłowo podkreślającej krągłości jej ciała. Na ramieniu miała elegancką, wykończoną futrem kurtkę.

Zawodowa prostytutka, pomyślał beznamiętnie, odwracając wzrok. Nie chciał, żeby go zaczepiła. Nie było sensu zwracać na siebie uwagi. Elitarne hostessy i prostytutki zawsze trzymały się miejsc, gdzie mogły spotkać bogatych, zagranicznych biznesmenów. Widział tu kilka innych młodych,

pięknych kobiet, które pokręciwszy się po barze, wychodziły z brzuchatym Niemcem, Anglikiem czy Amerykaninem na dyskretną schadzkę w hotelowym apartamencie. Wyglądało na to, że Irlandzki Bar w hotelu Budapeszt jest główną bazą wypadową wysokiej klasy prostytutek.

- Robi pan wrażenie bardzo samotnego - wymruczał po rosyjsku cichy, zmysłowy głos. - I bardzo smutnego. Mogę przysiąc się na drinka?

Jon podniósł wzrok. Szczupła, ciemnowłosa kobieta w wieczorowej sukni uśmiechała się ujmująco. Zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie, dziękuję - odparł. - Nie szukam towarzystwa. Właśnie miałem wyjść.

Nie przestając się uśmiechać, kobieta niespiesznie usiadła obok niego. Doszedł go leciutki zapach jej perfum, delikatny, świeży i kwiatowy. Udając zaskoczoną, uniosła brew.

- Naprawdę? Tak wcześnie? Noc jeszcze taka młoda...

Smith zmarszczył brwi.

- Proszę posłuchać - odparł sztywno. - To chyba jakaś pomyłka...

- Pomyłka? Tak, całkiem możliwe. - Kobieta przeszła na angielski; mówiła z lekkim irlandzkim akcentem. W jej rozbawionych oczach rozbłysły zielone iskierki. - Ale jeśli tak, to raczej pańska, panie Martin. Chyba bierze mnie pan za kogoś innego.

Chryste, pomyślał zaszokowany Jon. Przecież to hasło. Znała hasło i chociaż się nie przedstawił, znała również jego fałszywe nazwisko. Była agentką Tajnej Jedyńki, dowodziła grupką pracujących w Moskwie ludzi Kleina. Poczuł, że pali go twarz.

- Cholera - wymamrotał zażenowany. - Chyba będę miał kłopoty.

- To bardzo prawdopodobne - odrzekła spokojnie kobieta. Wyciągnęła do niego rękę. -

Fiona Devin, niezależna dziennikarka. Nasz wspólny znajomy prosił mnie, żebym powitała pana w Moskwie.

- Dziękuję. - Jon odchrząknął. - Proszę posłuchać, bardzo panią przepraszam za tę...

pomyłkę. Zaczynałem się już denerwować. Myślałem, że coś się stało.

- Takie odniosłam wrażenie. - Wzruszyła ramionami. - Ja z kolei przepraszam za spóźnienie, ale uznałam, że tak będzie lepiej. Dobrze znam miejsca takie jak to i chciałam się najpierw upewnić, czy nie przyszli tu za panem niechciani goście. Rzucają się w oczy, bo tych stałych dobrze znam.

- Agenci FSB? Informatorzy?

- Tak. Hardzi chłopcy z Łubianki nie są jeszcze tak aktywni i wszechpotężni jak za czasów KGB,

mimo to świetnie dają sobie radę.

- W dodatku prezydent Dudarew robi, co tylko może, żeby przywrócić dawny porządek.

- To prawda - odrzekła ponuro Fiona. - Car Wiktor otoczył się grupą dość wrednych koleżków. Rosjanie nazywają ich siłowikami, ludźmi władzy. Tak samo jak Dudarew, pracowali kiedyś w KGB. Mają ciągotki do władzy absolutnej i potrafią zastraszyć każdego głupca, który stanie im na drodze.

- Skąd ja to znam - mruknął Jon, wracając myślą do Pragi, do mostu Karola i Walentina Pietrenki. - Poza tym, do brudnej roboty wykorzystują przeróżnej maści zbirów, jak choćby tych z tak zwanej Grupy Brandta.

- Na to wygląda, pułkowniku - odparła chłodno Fiona. - Ale proszę nie zapominać, że Grupa Brandta pracuje również dla tych, którzy dadzą najwięcej, nie tylko dla Kremla.

- Ach tak?

Fionie ściemniały oczy.

- Zebrałam o nich sporo materiału. Tak, pasują do Dudarewa i jego siłowików. Większość z nich pracowała kiedyś w Stasi, podobnie jak ich szef, ta bezwzględna kreatura Erich Brandt.

Dodać do tego bandziorów z byłej rumuńskiej Securitate i mamy pełny obraz sytuacji. Zrobią absolutnie wszystko, to tylko kwestia ceny.

Zacisnęła usta.

- Krążą pogłoski, że Grupa Brandta osłania największych narkotykowych bossów w Moskwie. Jeden pasożyt chroni drugiego. Wiedząc, że są powiązani z Kremlen, milicja chętnie odwraca głowę, udając, że nie widzi, jak tutejsza mafia morduje niewinnych ludzi.

W jej głosie zabrzmiała nutka ukrytego gniewu i bólu.

- Zabili kogoś, kogo pani znała? - spytał Jon.

- Siergieja, mojego męża - odrzekła z prostotą Fiona. - Był Rosjaninem. Jednym z optymistów, którzy naiwnie myśleli, że Rosja może odrodzić się jako bogate, w pełni demokratyczne państwo. Ciężko pracował, próbował rozkręcić interes. A potem przyszli do niego, żeby wymusić haracz. Odmówił. Zastrzelili go na ulicy. Sukinsyny.

Zamilkła, nie chcąc mówić nic więcej.

Jon wiedział, że tej granicy nie powinien przekraczać. Jeszcze nie teraz. Żeby wypełnić niezręczną ciszę, zatrzymał przechodzącą obok kelnerkę i zamówił dla Fiony kieliszek szampanskoje,

musującego mołdawskiego wina, i jeszcze jedno piwo dla siebie. Potem spojrział

na nią z wahaniem, nie bardzo wiedząc, jak kontynuować.

- Panno Devin, rozumiem, że Klein powiedział pani, po co tu przyjechałem. - Wzdrygnął się, słysząc, jak pompatycznie zabrzmiało.

- Pan Klein dokładnie wprowadził mnie w sytuację - odparła, litościwie ignorując jego drugą gafę. - Poza tym, ja też otarłam się o tę tajemniczą chorobę. Trzy dni temu umówiłam się z doktorem Nikołajem Kirjanowem. Zniknął w drodze na spotkanie. Przypuszczam, że chciał przekazać mi te same informacje, co Pietrenko panu w Pradze.

- A rano okazało się pewnie, że jest w kostnicy, tak? Fiona zmarszczyła czoło.

- Niezupełnie. Nie widziałam ciała. Biedak został skremowany. Smith uniósł brew.

- Tak szybko?

- Ustalono, że zmarł na „atak serca”. Przypuszczam, że nie chcieli, żeby ktoś to sprawdził.

- Co było potem?

- Potem chodziłam, szukałam, węszyłam i wypytywałam wszystkich i wszędzie.

- W tych okolicznościach to dość niebezpieczne.

Kącik jej pełnych ust powędrował do góry w krzywym uśmiechu.

- Władzom może się to nie podobać, ale niech pan nie zapomina, że zadawanie kłopotliwych pytań to mój zawód, że tego właśnie oczekują od zachodniej dziennikarki. Poza tym wiedzą, że Kirjanow mógł powiedzieć mi coś o tej chorobie, o tym, co tak naprawdę przydarzyło się tym biedakom. Gdybym wpadła na trop takiej sensacji i nic nie zrobiła, byłoby to jeszcze bardziej podejrzane.

- Poszczyściło się pani? Zniesmaczona pokręciła głową.

- Ani trochę. Schodziłam całą klinikę, wszystkie korytarze, zapach środków dezynfekcyjnych czułam nawet przez sen. Na próżno. Natknęłam się na mur. Wszędzie przeszkody, uniki i wymówki. Oczywiście cały personel zaprzecza, że w ogóle były jakieś tajemnicze zachorowania.

- Oczywiście - mruknął oschle Smith. - A karty chorobowe?

- Utajniono - odparła bezbarwnym głosem Fiona. - Dyrektor szpitala powiedział mi, że obowiązuje zakaz wglądu do kart wszystkich obecnych i byłych pacjentów. Żeby zdobyć pozwolenie z Ministerstwa Zdrowia, musiałabym chyba stanąć na głowie. Trwałoby to całymi tygodniami.

- Albo całą wieczność.

- Tak, to bardziej prawdopodobne. Ale jedno jest pewne: lekarze i pielęgniarki są bardzo zdenerwowani. Zastraszeni. Strach bije z nich jak zapach tego obrzydliwego mydła karbolowego.

Z cudzoziemcem ani z nikim obcym nie zechcą rozmawiać. Nigdy, za żadną łapówkę.

Jeśli szpital to ślepy zaułek, pomyślał Jon, trzeba będzie spróbować gdzie indziej. Z tego, co mówił Pietrenko, wynikało, że zakaz rozmów i publikowania jakichkolwiek wiadomości na temat tych dziwnych zgonów przyszedł z Kremla później, po tym, gdy mini epidemia samoistnie wygasła. Przedtem lekarze robili wszystko co w ich mocy, żeby zdiagnozować i wyleczyć dotkniętych chorobą nieszczęśników. Chociaż Rosjanie wyraźnie tego nie powiedzieli, był

pewien, że Pietrenko i jego koledzy wymieniali się między sobą zgromadzonymi informacjami -

przynajmniej do chwili, kiedy Kreml im tego nie zabronił. Jedną z naczelnych zasad obowiązujących wszystkich tych, którzy walczą z nieznaną chorobą, jest jak najszybsze rozpowszechnianie informacji, zaangażowanie jak największej liczby kompetentnych specjalistów oraz zintensyfikowanie badań laboratoryjnych w celu rozwiązania jej śmiertelnych tajemnic.

Jon znał kilku powszechnie znanych rosyjskich lekarzy i naukowców, wybitnych ekspertów od chorób zakaźnych, z którymi władze na pewno się konsultowały. Nie ulegało wątpliwości, że im też próbowano zatkać usta oficjalnym zakazem, ale przy odrobinie szczęścia któryś z nich mógłby umożliwić mu dostęp do kart chorobowych czy wyników badań laboratoryjnych.

Gdy podzielił się tymi myślami z Fioną, ta powoli kiwnęła głową.

- Rzecz w tym, że nawiązanie kontaktu byłoby bardzo ryzykowne - zauważyła. -

Przyjechał pan tu jako John Martin, kanadyjski naukowiec, nieszkodliwa płotka. Ale nie będzie pan mógł użyć tej przykrywki, rozmawiając z ludźmi, którzy o panu słyszeli lub znają pana osobiście. Wystarczy, że jeden z nich wpadnie w panikę i zawiadomi władze, że próbuje się z nim skontaktować pułkownik Jonathan Smith, amerykański specjalista od chorób zakaźnych, i na Kremlu rozdzwonią się wszystkie dzwonki alarmowe.

- To prawda - zgodził się z nią Jon. - Ale nie mam innego wyjścia. - Odsunął na bok nietknięte piwo. - Widziała pani listę tych, którzy zachorowali. Nie mamy czasu na nic subtelnego czy pośredniego. Po prostu muszę skontaktować się z tymi, którzy mogą coś wiedzieć.

- W takim razie pozwoli pan, że przynajmniej ich sprawdzę - odparła Fiona. - Ja i moi ludzie znamy teren lepiej niż pan. Może uda nam się wyeliminować tych, którzy współpracują z reżimem Dudarewa albo za bardzo się boją, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Długo to potrwa?

- Kilka godzin poczynając od chwili, kiedy poda mi pan ich nazwiska i miejsce pracy.

Jon sceptycznie uniósł brwi.

- Tylko kilka godzin? Tak krótko?

- Jestem naprawdę dobra, panie pułkowniku - odrzekła z uśmiechem Fiona.

- I mam dobrych informatorów zarówno na Kremlu jak i poza jego murami.

Niemal wbrew swojej woli Smith też się uśmiechnął. Ból i tłumiony gniew minął i Fionie wrócił dobry humor. Jej pewność siebie była zaraźliwa.

- Jak się z panią skontaktować?

Wyjęła z torebki wizytówkę i na jej odwrocie szybko zapisała numer telefonu.

- To czysta linia. Złapie mnie pan pod tym numerem o każdej porze nocy i dnia.

Jon schował wizytówkę do kieszeni.

- Tymczasem spróbuję przycisnąć biurokratów z Ministerstwa Zdrowia - dodała Fiona. -

Umówiłam się jutro na wywiad. Z Konstantinem Malkowiczem.

Smith cicho zagwizdał.

- Z tym finansistą? Z tym, który zbił fortunę na handlu surowcami i na spekulacjach walutowych?

- Tak, panie pułkowniku, z tym samym.

- To Amerykanin, prawda?

- Naturalizowany. Podobnie jak ja. Ale z urodzenia jest Serbem i od kilkunastu lat inwestuje ciężkie pieniądze w rosyjski przemysł. Przekazuje też olbrzymie sumy na cele dobroczynne, próbując przebudować tutejszy system ochrony zdrowia. Dzięki inwestycjom i darowiznom zbliżył się do nowych władców Kremla. Dudarew i jego ludzie chcą powrotu do dawnych czasów, ale nie są głupcami. Z człowiekiem, który szasta pieniędzmi, obchodzą się delikatnie jak z jajkiem.

- Rozumiem - domyślił się Jon. - Chce pani namówić Malkowicza, żeby zaczął zadawać kłopotliwe pytania na temat tej choroby, tak?

- Otóż to - odrzekła Fiona. - Podobno jest bardzo wybuchowy i zawsze stawia na swoim. -

W jej zielono - niebieskich oczach zatańczyły złośliwe ogniki. - Nie chciałabym być na miejscu pierwszego rosyjskiego urzędnika, który mu odmówi.

Na granicy rosyjsko - ukraińskiej

Cztery zarekwirowane autobusy, po brzegi wypełnione żołnierzami, sunęły wąską, zrytą głębokimi koleinami drogą, powoli zagłębiając się czarny las. Nisko zwisające gałęzie drzew ocierały się ze zgrzytem o ich dachy, szorowały po szybach i bokach.

Kapitan Andriej Judienicz przykucnął obok kierowcy i żeby nie stracić równowagi, przytrzymał się oparcia fotela. Przez popękaną szybę patrzył w ciemność, na próżno próbując domyślić się, dokąd wysyłają ich kompanię czołgów. Ostatnie wydarzenia bardzo go niepokoiły.

Dwudziestoczerogodzinna podróż z koszar pod Moskwą była jak dotąd Prawdziwym koszmarem. Pierwsze rozkazy wysłały ich koleją na południe, do Woroneża, na zgrupowanie batalionu przed wyjazdem do Czeczenii. Ale kiedy dotarli do Woroneża, kazano im przesiąść się na pociąg jadący na zachód, do Briańska. W Briańsku wsadzono ich do starych, rozklekotanych autobusów i świeżo przebitymi drogami wysłano do lasu.

W światłach reflektorów wyrósł nagle żołnierz w białej panterce. Stał na stercie śniegu na poboczu. Jaskrawoczerwona opaska na ramieniu, świecąca pałka w ręku - służył w pułku ochrony dowództwa, specjalnej jednostce działającej na szczeblu armii, której celem było zapewnienie bezpieczeństwa polowego i nadzorowanie ruchu.

Żołnierz machnął pałką, władczy gestem wskazując w prawo i jeden po drugim, autobusy skręciły w wyboistą, jeszcze węższą drogę, sądząc po sterczących na poboczu pniakach, świeżo wyciętą w dziewiczym lesie. Nachmurzony Judienicz zachwiał się i obiema rękami uchwycił fotela.

Kilkanaście minut później wjechali na polanę i tu się zatrzymali.

Wokół autobusów zaroilo się od uzbrojonych po zęby żołnierzy z czerwoną opaską na ramieniu.

- Wsiadać! - krzyczeli. - Wszyscy wsiadać! Szybko! Szybko! Judienicz wysiadł jako pierwszy. Zeskoczył lekko na zmarzniętą, twardą jak kamień ziemię i zasalutował najbliższemu stojącemu oficerowi, kapitanowi, tak samo jak on. Jego ludzie wysiedli za nim i ponaglani wrzaskiem sierżantów, spieszenie stanęli w dwuszeregu.

- Wasze rozkazy - warknął ten z pułku ochrony dowództwa. Judienicz bez słowa wyjął

zza pazuchy gruby plik dokumentów. Kapitan przewertował je szybko w świetle latarki, którą trzymał ordynans.

- Czwarta Gwardyjska Dywizja Pancerna, tak? - Oddał mu dokumenty i spojrział na jakąś listę. - Zgadza się. Kwatera piętnasta, namioty od czwartego do ósmego.

- Kwatera piętnasta? - powtórzył Judienicz, nie ukrywając zdziwienia.

- Za tamtymi drzewami - odparł znużonym głosem kapitan, ruchem głowy wskazując las za polaną. - Zaprowadzą was.

Judienicz spojrział w tamtą stronę i rozdziawił usta. Jego wzrok zdążył już przywyknąć do ciemności i dopiero teraz zobaczył, że stoją na skraju olbrzymiego obozowiska w środku lasu.

Nad ich głowami rozciągały się siatki pochłaniające promienie radarowe i podczerwone, a jak okiem sięgnąć wszędzie widział zwoje drutu kolczastego, które najwyraźniej ogradzały cały zajęty przez wojsko teren. Wzdłuż ogrodzenia przechadzały się ciężko uzbrojone patrole wojsk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z groźnie warczącymi psami.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - spytał cicho.

- Powiedzą wam, kiedy nadejdzie pora - odparł kapitan. Wzruszył ramionami. - Do tej chwili porozumiewacie się wyłącznie drogą służbową. Jasne?

Judienicz kiwnął głową.

- To dobrze - mruknął tamten. - I przypilnujcie, żeby ludzie się wam nie rozleźli. Każdy kto spróbuje wyjść poza teren bez rozkazu, dostanie kulę w łeb. Bez sądu, bez odwołania, bez litości. Zrozumiano?

Judienicz zadrżał.

Erich Brandt wszedł do wielkiej, przestronnej, rozbrzmiewającej echem podziemnej hali i otoczyły go tłumy zmęczonych robotników wracających do domu po nocnej zmianie. Nawet o tak później porze w tunelach dudniły pociągi nadjeżdżając i odjeżdżając w podmuchach ciepłego, pachnącego ropą powietrza. Kursowały bardzo punktualnie, co dwie, trzy minuty. Moskiewskie metro należało do najlepszych w świecie i codziennie przewoziło prawie dziewięć milionów pasażerów - więcej niż londyńskie i nowojorskie razem. W przeciwieństwie do nastawionych na funkcjonalność stacji na Zachodzie, wiele tutejszych było prawdziwymi perłami sztuki i architektury. Żeby zademonstrować światu swoją potęgę i kulturę, władze byłego Związku Radzieckiego kazały budować je z marmuru, ozdabiać rzeźbami, reliefami, mozaikami i gigantycznymi żyrandolami.

Stacja Nowokuzniecka.

Brandt przystanął, spoglądając na brązowe płaskorzeźby na ścianach. Przedstawiały żołnierzy i dowódców, poczynając od korpulentnego marszałka Kutuzowa, który walczył z Napoleonem pod Austerlitz i Borodino, kończąc na bohaterskich żołnierzach radzieckiej piechoty morskiej zeskakujących na brzeg z pokładu łodzi desantowych, by zasilić szeregi towarzyszy walczących pod Stalingradem, w jednej z kulminacyjnych bitew II wojny światowej. Mozaiki na łukowatym suficie przedstawiały zaś uśmiechniętych robotników i chłopów, ludzi wiodących szczęśliwe, idylliczne życie niewolników Stalina i komunizmu.

Brandt wykrzywił usta w uśmiechu. Nowokuzniecka oddano do użytku w 1943, kiedy to trwały

najcięższe walki z nazistowskimi Niemcami, dlatego zdobiące stację dzieła przedstawiały pewne i nieuniknione zwycięstwo nad Hitlerem i jego faszystowskimi pachołkami. Cały Aleksiej Iwanowicz. Tylko on wybrałby takie miejsce na spotkanie z niemiłe widzianym wschodniemieckim kolegą. Był znakomitym i ponoć niezwykle subtelnym szpiegiem, ale poczucie humoru miał wyjątkowo ciężkie.

Brandt dostrzegł go już po chwili. Siwowłose szef wywiadu siedział spokojnie na marmurowej ławce. Byli mniej więcej tego samego wzrostu.

- Herr Brandt - rzucił cicho Iwanow. - Witam.

- Mam szczep Hydry, o który pan prosił.

- Proszę pokazać.

Brandt otworzył dyplomatkę, w której znajdował się termos wielkości puszki coca - coli.

Nie zdejmując grubych rękawiczek, odkręcił pokrywkę i w obłoczku pary ukazała się mała fiolka wypełniona przezroczystym płynem. Brandt wyjął ją i podał Iwanowowi.

Ten podniósł ją do światła.

- Śmierć w jakże niewinnej szacie... - wymamrotał. - Niezwykle. - Zerknął na Brandta. -

Ale skąd mam wiedzieć, czy to nie woda z kranu?

- Niestety, można to sprawdzić jedynie w działaniu, na konkretnym celu. Musi mi pan zaufać.

Szef Trzynastego Departamentu uśmiechnął się posepnie.

- Ja ludziom tak łatwo nie ufam, Herr Brandt. Zwłaszcza jeśli mam im dać ponad milion euro z państwowych funduszy.

Brandt odpowiedział mu słabym, zimnym uśmiechem.

- To zrozumiałe, lecz nieuniknione. Prosił pan o coś, co zagwarantowałoby dalszą współpracę mojego chlebodawcy, o narzędzie, dzięki któremu mógłby pan w razie konieczności się na nim zemścić. Renke i ja spełniliśmy pańskie żądania. Uwierzy nam pan czy nie, to zależy wyłącznie od pana. Zważywszy okoliczności, cena jest bardzo rozsądna.

- Dobrze - burknął Iwanow. - Dostaniecie pieniądze. Wieczorem zatwierdzę przelew na to szwajcarskie konto. - Ponownie podniósł fiolkę do światła i ponownie spojrzął na Brandta. - A gdyby tak nasi naukowcy zbadali jej skład i na tej podstawie odtworzyli proces produkcyjny? Nie potrzebowalibyśmy już ani pana, ani Renkego, ani waszego chlebodawcy.

- Na pewno mogliby spróbować. - Brandt wzruszył ramionami. - Ale Renke twierdzi, że każda próba skończyłaby się fiaskiem. Wasi naukowcy odzyskaliby jedynie kilka niekompletnych fragmentów materiału genetycznego w morzu ginących bakterii.

Iwanow powoli kiwnął głową.

- Szkoda. - Schował fiolkę do termosu, a termos do kieszeni palta.

Brandt milczał.

- Jeszcze jedno - dodał nagle Iwanow. - Chcę, żeby mnie pan osobiście zapewnił, że Hydra, jej proces produkcyjny i wszystko, co się z nim łączy, jest pilnie strzeżone i że nie dojdzie do żadnego przecieku. Wchodzimy w ostatnią fazę przygotowań wojennych i najważniejsze jest teraz bezpieczeństwo. Amerykanie i ich sojusznicy nie mogą poznać naszych planów.

- Kirjanow i Pietrenko nie żyją - odparł beznamiętnie Brandt, nie wspominając o zaginionym pułkowniku Smisie. - Hydrze nic nie grozi.

- To dobrze. - Iwanow uśmiechnął się, lecz w jego ciemnych oczach nie było ani ciepła, ani rozbawienia. - Rozumie pan też, że w razie jakiegokolwiek wypadki winą obarczę osobiście pana.

Brandt poczuł, że na czoło występują mu krople potu.

- Tak, rozumiem.

- W takim razie dobrej nocy, przyjacielu. - Iwanow wstał. - Wszystko już omówiliśmy.

ROZDZIAŁ 15

18 lutego

Fiona Devin wyszła ze stacji Borowicka i skręciła na południe. W długim, ciepłym futrze szła ostrożnie oblodzonym chodnikiem, z gracją omijając spieszących do pracy przechodniów.

Chociaż według zegarka wstał już dzień, nad miastem wciąż trwała długa, zimowa noc.

Kilkadziesiąt metrów dalej nad ulicą górował wielki dom na masywnych, wysokich fundamentach. Jego białą fasadę zdobiły piękne kolumny i rzeźby, a na dachu stała rotunda o doskonale dobranych proporcjach. Domy i ulice stojące na wschód od niego opadały łagodnie w dół, w kierunku czerwonych murów i wież Kremla.

Fiona uśmiechnęła się do siebie. Nie dziwiło jej, że Konstantin Malkowicz założył swoją siedzibę akurat tutaj, w jednym z najpiękniejszych i najbardziej widowiskowych miejsc w Moskwie; ten urodzony w Serbii multimilioner słynął zarówno z zamiłowania do przydającego świetności zbytku, jak i z tego, że hojną ręką szastał pieniędzmi. Dom, do którego zmierzała, zbudowano pod koniec

XVIII wieku dla fantastycznie bogatego rosyjskiego oficera Piotra Paszkowa, który postanowił mieć najwspanialszą, najbardziej okazałą rezydencję w Moskwie: dom na zboczu wzgórza z widokiem na Kreml. Po rewolucji w 1917 budynek skonfiskowano i urządzono w nim bibliotekę imienia Lenina, liczącą około czterdziestu milionów bezcennych ksiąg, periodyków, zapisów dźwiękowych i zdjęć.

Postanowiwszy założyć w Moskwie jedną ze stolic swego globalnego imperium, Malkowicz podarował ponad dwadzieścia milionów dolarów na rekonstrukcję i utrzymanie podupadających rosyjskich archiwów państwowych. Warunkiem darowizny było to, że władze udzieli mu pozwolenia na założenie biura na najwyższym piętrze Domu Paszkowa. Pozwolenie dostał i mimo protestów kilku architektonicznych purystów, na które nowobogaccy urzędnicy pozostali oczywiście głusi, szybko wprowadził się do nowej siedziby.

Rozdzwoniły się dzwony w katedrze Chrystusa Zbawiciela, odbudowanej ostatnio po zniszczeniach z czasów Stalina, i w całej okolicy rozbrzmiało dźwięczne echo. Fiona zerknęła na zegarek. Minęła dziewiąta. Za dziesięć minut miała rozpocząć wywiad z Malkowiczem.

Przyspieszywszy kroku, szerokimi schodami weszła do głównego holu. Znudzony urzędnik sprawdził jej nazwisko na liście i wskazał schody. Stojący na ich szczycie ponurzy ochroniarze uważnie sprawdzili jej dokumenty, obejrzelik aparat i magnetofon, po czym kazali jej przejść przez bramkę wykrywacza metalu i materiałów wybuchowych.

Potem zajęły się nią dwie młode, ładne asystentki. Mówiąc grzecznym, przyciszonym głosem, przeprowadziły ją szybko przez duże biuro, wypełnione biurkami, komputerami i urzędnikami, którzy pracowicie stukali w klawiaturę, wprowadzając dane czy kupując lub sprzedając akcje na wszystkich europejskich giełdach. Jedna z asystentek zniknęła z jej futrem.

Druga wprowadziła ją do nieco mniejszego, nienagannie umeblowanego pokoju - do prywatnego gabinetu Konstantina Malkowicza.

Z trzech okien roztaczał się stąd wspaniały widok na zalane światłem mury Kremla, na jego wieże, wieżyczki i złociste kopuły. W kilku niszach wisały prastare ikony, bezcenne oryginały, starannie oświetlone reflektorkami ukrytymi na wysokim, zdobionym malunkami suficie. Wyciszonego splendoru dopełniał leżący na podłodze gruby, perski dywan. Pod środkowym oknem stało eleganckie, osiemnastowieczne biurko Malkowicza. Jedynym ustępstwem na rzecz XXI wieku był tu płaski monitor plazmowy i kilka supernowoczesnych aparatów telefonicznych.

Milioner wyszedł zza biurka i wyciągnął do niej rękę.

- Witam, pani Devin! Witam! - powiedział z szerokim uśmiechem, błyskając rzędem równych, idealnie białych zębów. - Uwielbiam czytać pani artykuły. Ten ostatni, w „Economist”, ten o konkurencyjności rosyjskiego systemu podatkowego, był naprawdę świetny.

- Dziękuję, jest pan bardzo miły - odparła spokojnie Fiona, ściskając mu rękę. Doskonale wiedziała, że swoją wylewnością Malkowicz chce jedynie zdobyć jej przychyłność. - Ale była to tylko krótka analiza jego możliwych skutków, ot, kilka tysięcy słów, nic więcej. A propos: powiedziano mi, że to właśnie pan maczał palce w jego tworzeniu. Czy to prawda?

- Palce? - Malkowicz wzruszył ramionami. - To za dużo powiedziane. - Błysnął oczami. -

Co najwyżej szepnąłem słówko tu i tam. Nic nadzwyczajnego. Jako biznesmen, nigdy nie wtrącam się w wewnętrzne sprawy żadnego kraju.

Fiona puściła tę bzdurę mimo uszu. Według jej źródeł, Malkowicz nigdy nie oparłby się pokusie ingerencji w sprawy polityczne, tak samo jak wygłodniały lew nie położyłby się spokojnie obok ładnej, pulchnej owieczki.

Był wyższy, niż myślała. Miał gęste, siwe włosy, długie na górze, lecz krótko przycięte z tyłu i na bokach. Jasnoniebieskie oczy i wystające kości policzkowe świadczyły o jego słowiańskim pochodzeniu, a urwane, lekko spłaszczone samogłoski o tym, że wiele lat spędził w Anglii i Stanach, najpierw jako student Oksfordu i Harvardu, potem jako biznesmen, inwestor i spekulant handlujący surowcami.

- Proszę, zechce pani spocząć. - Wskazał jeden z dwóch bogato haftowanych foteli stojących pod kątem naprzeciwko biurka.

Gdy usiadła, swobodnie zajął drugi fotel.

- Może napije się pani herbaty? - zaproponował. - Straszny dziś ziąb. Ja też dopiero co przyszedłem do pracy; no, może nie dopiero co, bo siedzę tu już od kilku godzin. Niestety, w dzisiejszych czasach rynki finansowe nie przestrzegają żadnych harmonogramów.

- Tak, chętnie, dziękuję - odparła, z trudem ukrywając rozbawienie. Malkowicz i ciężka praca: bezczelny chwalipięta.

Niemal natychmiast w gabinecie pojawiła się sekretarka ze srebrnym samowarem, dwiema wysokimi szklankami i dwiema miseczkami z cytryną i konfiturami zamiast cukru.

Nalała do szklanek herbaty i po cichu wyszła.

- A zatem do interesów - rzucił przyjaźnie, gdy wypili kilka łyków gołego naparu. -

Asystentka wspomniała, że interesują panią moje plany w nowej Rosji...

- Tak - odrzekła Fiona, wchodząc w znajomą rolę dziennikarki szukającej dobrego tematu. Przyszło jej to z łatwością. W ciągu ostatnich kilku lat wyrobiła sobie reputację ostrej, utalentowanej reporterki. Specjalizowała się w śledzeniu i wyjaśnianiu często zawiłych związków między rosyjską polityką i gospodarką. Jej artykuły ukazywały się regularnie w czołowych gazetach i dziennikach gospodarczych na całym świecie. Dlatego rozmowa ta -

wywiad z największym, najbardziej wpływowym prywatnym inwestorem przemysłowym w Rosji - byłaby czymś zupełnie naturalnym nawet wtedy, gdyby nie przyświecał jej ukryty cel: wydarcie tajemnic rosyjskiej biurokracji medycznej.

Na pierwszy rzut oka Malkowicz był łatwym rozmówcą. Czarujący i odprężony, bez uników

odpowiadał na pytania dotyczące swoich planów i kontraktów, zbywając taktownym milczeniem jedynie kilka tych, które nawet ona uznała za zbyt osobiste lub mogące ujawnić informacje cenne dla konkurencji.

Przez cały czas był niezwykle opanowany. Precyzyjnie dobierał słowa, wyraźnie chcąc, żeby przedstawiła go czytelnikom w jak najlepszym świetle. Wzruszyła ramionami - w duchu oczywiście. To była ta wielka gra, odwieczny taniec przed dziennikarzem - zwłaszcza przed dziennikarzem niezależnym, który nie pracował ani dla dużej gazety, ani dla wielkiej stacji telewizyjnej. Zadaj takiemu za dużo trudnych pytań i już nigdy nie zechce z tobą gadać. Zadaj za mało i skończysz, pisząc pusty, bezsensownie rozdęty artykuł, który mógłby napisać ktoś z drugorzędnej firmy PR.

Powoli i ostrożnie przeszła do polityki, koncentrując się na narastającym autorytaryzmie rządów Dudarewa.

- Na pewno dostrzega pan w tym ryzyko dla każdego inwestora, zwłaszcza zagranicznego

- powiedziała. - Widział pan, co się stało z właścicielami koncernu naftowego Jukos. Jedni trafili do więzienia, inni popadli w niełaskę i musieli odsprzedać wszystkie udziały. Wystarczy odpowiedni dekret Kremla i w mgnieniu oka straci pan każdy dolar czy euro, które pan tu zainwestuje. Jeśli wszystkie prawa i rozporządzenia są kaprysem garstki ludzi, jak można racjonalnie planować przyszłość?

Malkowicz wzruszył ramionami.

- Pani Devin - odparł wylewnie - ryzyko łączy się z każdym przedsięwzięciem. Proszę mi wierzyć, bardzo dobrze o tym wiem. Ale ja jestem człowiekiem, który zawsze wybiega myślą naprzód, który sięga dalej, poza dzisiejszą jakże kapryśną i skomplikowaną rzeczywistość. Mimo licznych wad, Rosja jest w dalszym ciągu ziemią obiecaną. Zaraz po upadku komunizmu całkowicie uległa rozbuchanemu kapitalizmowi, wchodząc w złoty wiek chciwych magnatów, potentatów i oligarchów finansowych. Dlatego naturalne jest, że teraz wahadło zaczyna cofać się w stronę nieco ostrzejszej kontroli państwowej zarówno nad życiem codziennym, jak i nad polityką. Ale wahadło ustabilizuje się z czasem w pozycji środkowej, wyważonej i umiarkowanej. A ci z nas, którzy byli mądrzy na tyle, żeby wesprzeć Rosję w tych trudnych czasach, zostaną wówczas sowicie wynagrodzeni.

- Widzę, że jest pan bardzo pewny swego - zauważyła spokojnie Fiona.

- Tak, jestem. Proszę pamiętać, że osobiście znam prezydenta Dudarewa. Nie jest święty, ale niech mi pani wierzy, że bardzo chce wprowadzić tu prawo i porządek, jakiego kraj ten bardzo pragnie i potrzebuje. Chce odbudować poczucie dyscypliny i przyzwoitości. Zniszczyć potęgę mafii, żeby ulice Moskwy znowu były bezpieczne.

Pytająco uniósł brwi.

- Myślałem, że akurat pani to doceni, pani Devin. Śmierć pani męża była straszną tragedią. Nie doszłoby do niej w społeczeństwie, które potrafi lepiej bronić życia i majątku obywateli. W społeczeństwie, które, jak mocno wierzę, nowi przywódcy Rosji chcą tu zbudować.

Fiona patrzyła na niego bez słowa, czując, że mimo całego opanowania, zalewa ją fala zimnego gniewu. Nawet po dwóch latach w jej psychice ziała otwarta rana, jaką była tragiczna śmierć Siergieja. To, że Malkowicz podniósł ten temat tak przypadkowo i od niechcienia, jako retoryczny wtręt na usprawiedliwienie narastającej tyranii Dudarewa, było dla niej makabrycznym świętokradztwem.

- To ja pomogłam postawić jego morderców przed sądem - odparła spokojnie, z trudem tłumiąc prawdziwe uczucia. Przez wiele miesięcy ścigała tych, którzy kazali go zabić, ryzykując życie i zbierając dowody ich zbrodni. W końcu głosy protestu opinii społecznej po jej artykułach zmusiły władze to działania. Mordercy, a przynajmniej bezpośredni wykonawcy wyroku mafii, odsiadawali teraz wieloletnie kary.

- Tak, to prawda - odrzekł Malkowicz. - Z wielkim podziwem śledziłem pani krucjatę przeciwko mafii. Ale musi pani przyznać, że zadanie to byłoby łatwiejsze, gdyby tutejsza milicja nie była tak skorumpowana, gdyby była bardziej zdyscyplinowana i skuteczna w działaniu.

Dlaczego zaczął nagle o tym mówić? - pomyślała Fiona. Dlaczego rzuca mi tym w twarz?

Ten człowiek nigdy nie mówi niczego bez powodu, dlaczego więc próbuje wytrącić mnie z równowagi? Chce odstraszyć mnie od kłopotliwego tematu? Nie chce, żebym napisała, że Rosja przekształca się powoli w państwo policyjne? Próbuje mnie zdekoncentrować i uniknąć kłopotliwych pytań na temat jego związków biznesowych z reżimem Dudarewa?

Jeśli tak, musiała działać szybko, zanim pod tym czy innym pretekstem skróci wywiad.

- Są gorsze rzeczy niż niekompetencja czy korupcja w milicji - odparła. - Na przykład coraz bardziej nasilająca się tendencja do utajniania wszystkiego, co się tylko da. Tendencja obsesyjna, niepotrzebna, a nawet niebezpieczna, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi zdrowie i bezpieczeństwo obywateli. To już prawie kult.

Malkowicz przekrzywił głowę.

- Nie bardzo panią rozumiem. Kult? Kult utajniania? Fiona wzruszyła ramionami.

- Jak inaczej nazwałby pan próbę zatajenia informacji o wybuchu nowej, śmiertelnej choroby nie tylko przed własnymi obywatelami, ale i przed światowymi organizacjami zajmującymi się ochroną zdrowia?

- Wybuch nowej choroby? - Malkowicz pochylił się do przodu z nagłym zainteresowaniem. Miał zaniepokojone oczy. - Proszę, niech pani mówi.

Z uwagą wysłuchał tego, czego ona i Smith dowiedzieli się od Kirjanowa i Pietrenki. Ale nie powiedziała mu wszystkiego: zataiła fakt, że obydwu zamordowano. I to, że tajemnicza choroba przekroczyła już granice Rosji. Gdy skończyła, zdumiony Malkowicz ściągnął usta.

- Ma pani dowody na potwierdzenie tych pogłosek?

- Dowody? Jeszcze nie. Nie chciał ze mną rozmawiać ani jeden lekarz, a wszystkie dokumenty są trzymane pod kluczem. - Fiona pokręciła głową i zmarszczyła brwi. - Mimo to, mam nadzieję, że dostrzeżecie pan tkwiące w tym niebezpieczeństwo. Prędzej czy później dojdzie do przecieku. Jeśli Kreml, czy nawet jakiś urzędnik w Ministerstwie Zdrowia, próbuje ukryć początek nowej epidemii, chcąc uniknąć paniki czy międzynarodowego skandalu, konsekwencje mogą być katastrofalne.

Malkowicz wykrzywił usta.

- To prawda. Koszty gospodarcze i polityczne byłyby straszliwe. Rynki finansowe nie wybaczyłyby państwu, które próbowało zataić coś, co mogło okazać się drugim AIDS. Albo czymś jeszcze gorszym.

- Nie zrozumieliśmy się - powiedziała cicho Fiona. - Miałam na myśli koszty ludzkie.

Na ustach Malkowicza zagościł lodowaty uśmiech.

- Trafiony, zatopiony. Przyjmuję tę reprimendę ze szczerą pokorą. - Spojrzał na nią z szacunkiem. - A więc czego pani tak naprawdę ode mnie oczekuje? Rozumiem, że poprzednie pytania były jedynie zgrabnym pretekstem i miały skierować rozmowę na temat rzekomych prób utajnienia wybuchu tej nieznannej choroby. Tak?

- Niezupełnie. - Fiona zarumieniła się z zażenowania. - Ale tak, mam nadzieję, że dzięki wpływom w odpowiednich ministerstwach rzuci pan trochę światła na przyczynę tych tajemniczych zachorowań.

- Mam pomóc pani zdobyć materiał na nowy, sensacyjny artykuł? - spytał oschle Malkowicz. - Tak z dobrego serca?

Fiona uśmiechnęła się, odruchowo przybierając ten sam ton głosu.

- Słynie pan z filantropii - odparła. - Ale nawet gdyby pan nie słynął, na pewno doceniłby pan znaczenie dobrej reklamy.

- I uświadomił sobie koszty złej. - Malkowicz roześmiał się ironicznie i z rezygnacją pokręcił głową. - Dobrze, Fiono. Zrobię, co będę mógł, żeby otworzyć przed panią ministerialne drzwi. Choćby tylko w moim własnym interesie.

- Dziękuję. - Fiona zamknęła notatnik i z wdziękiem wstała. - To bardzo miło z pańskiej strony. Pana sekretarka wie, jak się ze mną skontaktować.

- Proszę nie dziękować. - Malkowicz szarmancko wstał. Miał posępną minę. - Jeśli to, co mi pani dziś powiedziała, okaże się prawdą, obydwójce przyczynimy się do naprawy straszliwego, niewybaczalnego błędu.

Smith szedł wąską dróżką w głąb cichego, wysadzanego drzewami skwerku zwanego Patriarszymi Prudami. Buty chrzęściły na śniegu, który wciąż pokrywał ścieżki i alejki. Wokoło panowała prawie absolutna cisza. Szum samochodów na odległej, skrytej za drzewami ruchliwej obwodnicy Sadowaja był mocno przytłumiony i przypominał cichutkie mruczenie. W oddali śmiały się i krzyczały dzieci, budując śniegowe fortece i rzucając się śnieżkami wśród pokrytych białym puchem huśtawek i zjeżdżalni. Spomiędzy pni drzew i powyginanych, nagich gałęzi spoglądały na niego dziwaczne rzeźby, zniekształcone stwory z dziewiętnastowiecznych rosyjskich bajek i legend.

Doszedł do brzegu dużego, płytkiego, skutego lodem stawu i przystanął z rękami w kieszeniach; tego dnia było wyjątkowo zimno. Latem ten ustronny skwerek był ulubionym miejscem piknikowym moskwian i zwykle roiło się tu od opalających się, śpiewających i śmiejących się ludzi. W szare, zimowe dni skwer pokazywał swoje dużo posępniejsze oblicze.

- Kiedyś ukazał się tu diabeł. - Głos jakiejś kobiety, tuż za nim. Odwrócił głowę.

Stała ledwie kilka kroków dalej, między dwiema bezlistnymi lipami, była w eleganckim, futrzanym kapeluszu i od zimna miała zaróżowione Policzki. Podeszła bliżej.

- Diabeł? - powtórzył. - Dosłownie czy w przenośni?

W jej niebieskozielonych oczach rozbłysły wesole iskierki.

- Tylko w opowieści. Taką przynajmniej mam nadzieję. - Ruchem głowy wskazała staw. -

Michaił Bułhakow umieścił tu pierwszą scenę Mistrza i Małgorzaty. W tej scenie szatan przybywa do Moskwy, żeby rozprawić się ze stalinowskimi ateistami.

Smith zadrżał z zimna, które przeniknęło przez podszewkę czarnej, wełnianej kurtki. Czy aby tylko z zimna?

- Wspaniałe miejsce na spotkanie - rzucił z uśmiechem. - Zimne, posępne i przekłete.

Rosyjska trojka. Brakuje tylko sań i stada wyjących wilków.

Fiona zachichotała.

- Pesymizm i wisielczy humor, pułkowniku? Pasuje pan tu bardziej, niż myślałam. -

Przystanęła obok niego na zaśnieżonej dróżce. Głową sięgała mu ramienia. - Moi ludzie prześwietili tych z pańskiej listy - powiedziała zniżonym głosem. - Wytypowaliśmy kandydata.

Zaskoczony Jon cichutko zagwizdał.

- Kogo?

- Najbezpieczniej i najpewniej jest doktor Elena Wiedzienska.

Smith powoli kiwnął głową.

Elena Wiedzienska. Podobnie jak z Pietrenką, spotkał się z nią kilka razy na różnych konferencjach naukowych. Mgliście pamiętał poważną, niezbyt ładną kobietę w wieku pięćdziesięciu kilku lat, badaczkę, która dzięki swoim umiejętnościom, wiedzy i oddaniu nauce weszła na sam szczyt tej zdominowanej przez mężczyznę piramidy. Obecnie kierowała wydziałem genetyki i biologii molekularnej Głównego Instytutu Epidemiologicznego w Moskwie. Ponieważ był to najlepszy instytut w Rosji, nie ulegało wątpliwości, że musiała wiedzieć coś na temat tajemniczej choroby, której pochodzenie próbowali ustalić.

- Jest jakiś szczególny powód, dla którego miałbym jej zaufać?

- Jest - odrzekła Fiona. - Wiedzienska od zawsze była za demokracją i reformami politycznymi. Opowiadała się za tym już w czasach Breżniewa i jego następców.

Smith drgnął.

- W takim razie ci z KGB, a potem z FSB przez cały czas mieli ją na oku, jej akta muszą zajmować ze dwie półki. To ich główna podejrzana.

- Na to by wyglądało. - Fiona wzruszyła ramionami. - Na szczęście jej akta nie odzwierciedlają już rzeczywistości. W oczach Federalnej Służby Bezpieczeństwa doktor Wiedzienska jest rzetelną, uczciwą, apolityczną obywatelką. Jon uniósł brew.

- Ktoś je wyczyścił? Może mi pani wyjaśnić ten mały cud?

- Boję się, że nie, pułkowniku - odparła spokojnie Fiona. - Obydwoje kierujemy się zasadą, według której każdy dysponuje tylko takimi informacjami, jakie samu potrzebne do działania. A pan nie musi tego wiedzieć. Z oczywistych powodów.

Jon kiwnął głową, z pokorą przyjmując to łagodne upomnienie.

- W porządku. Jak pani myśli, jak się z nią najlepiej skontaktować? Przez instytut?

- Zdecydowanie nie. Jest więcej niż prawdopodobne, że linie naziemne wszystkich moskiewskich szpitali i instytutów badawczych są na podsłuchu. - Podała mu karteczkę z dziesięciocyfrowym numerem wypisanym staranną, kobiecą ręką. - Na szczęście Wiedzienska ma zastrzeżony numer.

- Zadzwoń do niej po południu. I spróbuję umówić się z nią na kolację gdzieś daleko od laboratorium. Czysto towarzyskie spotkanie dwojga starych znajomych. Tak chyba będzie najbezpieczniej.

- Całkiem rozsądnie - zgodziła się z nim Fiona. - Ale niech pan zarezerwuje stół na trzy osoby.

- Zamierza pani dotrzymać nam towarzystwa?

- Owszem - odrzekła z figlarnym uśmiechem. - Chyba, że chce pan uwieść panią doktor swoim męskim czarem.

Jon zaczerwienił się i odchrząknął.

- Niezupełnie.

Fiona uśmiechnęła się szerzej.

- Bardzo mądrze, panie pułkowniku. Bardzo mądrze.

Sto metrów dalej, na przednich siedzeniach srebrzystego bmw, parkującego w wąskiej, bocznej uliczce, siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, Niemiec nazwiskiem Wegner, miał w ręku aparat cyfrowy z silnym teleobiektywem i robił zdjęcia przez zaciemnioną szybę wozu. Drugi wprowadzał właśnie serię poleceń do laptopa na kolanach.

- Mam połączenie - zameldował; nazywał się Czernow i był kiedyś młodszym oficerem w KGB. - Mogę wysłać.

- Dobra - mruknął Wegner. Zrobił jeszcze kilka zdjęć i opuścił aparat. To powinno wystarczyć.

- Wiemy, kto to jest? Wegner wzruszył ramionami.

- Nie, ale niech kto inny się tym martwi. My trzymamy się rozkazów: chodzić za tą Devin i meldować, z kim się zadaje.

Czernow ponuro kiwnął głową.

- Wiem. Wiem. Ale to zaczyna być za bardzo ryzykowne. Już myślałem, że zgubiłeś ją w tym metrze. Jechałem jak wariat, żeby za wami nadążyć. - Nachmurzył czoło. - Nie podoba mi się to. Ta baba zadaje za dużo pytań. Powinniśmy ją zlikwidować.

- Zabić dziennikarkę? - odparł zimno Wegner. - Amerykanke? Taką decyzję musiałby podjąć Herr Brandt. I podejmie ją w odpowiednim czasie.

W pobliskiej bramie stał wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna. W brudnej, wyświechtanej kurtce i wypłowiałych, połatanych spodniach kiwał się powoli do przodu i do tyłu, obejmując się ramionami. Na pierwszy rzut oka był starym, biednym emerytem, jednym z wielu, którzy przemierzali ulice Moskwy w stanie alkoholowego upojenia. Ale jego ukryte pod siwymi, krzaczastymi brwiami oczy były czyste, bystre i czujne. Zmarszczył czoło, zapamiętując numer rejestracyjny bmw. Sytuacja szybko się komplikuje, myślał. I jest coraz groźniejsza.

ROZDZIAŁ 16

Nad wysokościami Kotelniczeska przetaczały się zwały gęstych chmur. Niebo powoli ciemniało.

W powietrzu znowu wirowały płatki śniegu, ocierając się delikatnie o okno gabinetu.

W oknie stał Erich Brandt, spoglądając przez śnieg na ruchliwą ulicę.

Czuł, że z napięcia sztywnieje mu kark i potężne ramiona. Nie znosił przymusowej bezczynności, czekania na meldunki podwładnych czy rozkazy przełożonych. Brakowało mu fizycznego i emocjonalnego wyładowania się w działaniu, płynącej z przemocy rozkoszy, która działała na niego jak narkotyku. Jednakże lata spędzone na tropieniu wrogów, najpierw w Stasi, potem na własną rękę, dla pieniędzy i przyjemności, nauczyły go, że panowanie nad prymitywnymi instynktami jest wprost niezbędne.

Odwrócił się, słysząc pukanie do otwartych drzwi.

- Tak! - warknął. - Co jest?

Do gabinetu wszedł z teczką jeden z jego podwładnych, były oficer Stasi, podobnie jak on. Szczupły, o ostrych rysach twarzy robił wrażenie zaniepokojonego.

- Myślę, że znowu mamy kłopoty - powiedział. - Poważne.

Brandt lekko zmarszczył brwi. Gerhard Lange nie należał do panikarzy.

- Co się stało?

- Grupa śledząca tę amerykańską dziennikarkę przysłała zdjęcia. - Lange wyjął z teczki plik czarno - białych zdjęć i rozłożył je na biurku. Pokazywały Fionę Devin pogrążoną w ożywionej rozmowie ze szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną. - Zrobili je dwie godziny temu podczas potajemnego spotkania na Patriarszych Prudach.

- No i?

- Niech pan sam zobaczy. - Lange położył na biurku kolejny dokument. - Przed chwilą przysłał nam to faksem jeden z informatorów.

Było to krótkie streszczenie przebiegu służby wojskowej niejakiego Jonathana Smitha, lekarza w stopniu podpułkownika. Na kartce widniało również niewyraźne, nieco zamazane zdjęcie.

Brandt przyjrzał mu się uważnie. Bez słowa porównał je ze zdjęciami znad stawu. Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Nie miał żadnych wątpliwości. To był ten sam człowiek. Smith był w Moskwie. I nawiązał kontakt z natrętną dziennikarką, która przysparzała im coraz więcej kłopotów.

Lekko zadrżał. Mimo solennej obietnicy danej Iwanowowi, bezpieczeństwo operacyjne Hydry ciągle strzępiło się na brzegach niczym stary dywan.

Podniósł wzrok.

- Gdzie ten Smith się zatrzymał? Lange ze znużeniem pokręcił głową.

- No właśnie, to pierwszy problem. Nie wiemy. Sprawdziliśmy listy pasażerów na wszystkich lotniskach i stacjach kolejowych w rejonie Moskwy. Tego nazwiska na nich nie ma.

Brandt usiadł za biurkiem.

- A więc przyjechał tu na fałszywych papierach... Na papierach tak dobrych, że kupiły je rosyjskie władze imigracyjne.

- Niemal na pewno - zgodził się z nim Lange. - Co znaczy, że jest agentem, że pracuje albo dla CIA, albo dla innej amerykańskiej organizacji wywiadowczej.

- Na to wygląda.

- Mogłaby nam pomóc FSB - zasugerował ostrożnie Lange. - Gdybyśmy mieli dostęp do formularzy paszportowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z ostatnich dwóch dni, moglibyśmy przepuścić zdjęcie przez komputer, porównać je...

- I dać Rosjanom pretekst do przejęcia Hydry? - przerwał mu Brandt.

- Nie, Gerhard. Załatwimy to sami. Nie chcę, żeby FSB w jakikolwiek sposób się w to mieszała. A już na pewno nie Trzynasty Dyrektoriat Iwanowa. Nie. Jeszcze nie teraz. Jasne?

Lange niechętnie skinął głową.

- Jasne.

- To dobrze. - Brandt ponownie spojrzął na zdjęcia znad stawu. Postukał palcem w to przedstawiające pogrążonych w rozmowie Amerykanów.

- Znajdziemy go przez nią. Raz się z nią skontaktował. Na pewno skontaktuje się ponownie. Gdzie ona teraz jest?

Lange ciężko wzruszył ramionami.

- No właśnie, to problem numer dwa. Zgubiliśmy ją. Brandt podniósł wzrok.

- Zgubiliście? Jak?

- Po spotkaniu ze Smithem przegoniła Wegnera i Czernowa przez całą Moskwę. Najpierw kilka razy zmieniała pociągi w metrze, potem zniknęła w sklepie na Pietrowskim Pasażu. Pewnie zmieniła kapelusz albo kurtkę, wyslizgnęła się na ulicę i wmieszała w tłum.

Brandt zacisnął zęby. W mieście tej wielkości istniało kilka sposobów na zgubienie ogona

- jeśli tylko wiedziało się, że ten ogon jest i umiało się to zrobić.

- Pojechali pod jej dom - ciągnął niepewnie Lange. - Mieli nadzieję, że wróci, ale chyba gdzieś się ukryła.

- To całkiem możliwe - mruknął Brandt. - Dwa lata temu wodziła za nos tych z mafii, i to samotnie, bez niczyjej pomocy. Może to i amatorka, ale na pewno nie idiotka. Pewnie zauważyła, że Wegner i Czernow ją śledzą i zaszyła się w jakimś hotelu albo u przyjaciół.

Lenge westchnął.

- Jeśli tak, nie ma sposobu, żeby znaleźć Smitha. Chce pan tego czy nie, będziemy musieli poprosić o pomoc tych z Trzynastego Dyrektoriatu.

- Nie ma? - myślał intensywnie Brandt. - Nie bądź tego taki pewny. Sposób jest.

Lange pytająco uniósł brwi.

- Smith nie przyjechał tu bez powodu - ciągnął Brandt. - A my ten powód znamy.

Prawda?

- Próbuje dowiedzieć się, co Pietrenko chciał powiedzieć mu w Pradze. Albo, co gorsze, zbiera dowody na to, co mu powiedział.

- Właśnie. - Brandt błysnął zębami. - Powiedz mi, Gerardzie, jak najlepiej polować na dzikie zwierzęta, zwłaszcza na niebezpieczne drapieżniki?

Lange milczał.

- Kluczem jest... woda - podpowiedział mu Brandt. - Wszystkie zwierzęta muszą pić.

Wystarczy więc znaleźć wodopój, zasadzić się tam ze strzelbą i zaczekać, aż przyjdą.

Odsunął zdjęcia i faks i zaczął przeglądać plik starannie poukładanych wydruków, szukając ostatniego e - maila od Wulfa Renkego. Renke przysłał mu listę, o którą Brandt prosił

podczas ich ostatniego spotkania: listę nazwisk moskiewskich lekarzy i naukowców, którzy wiedzieli o pierwszych zachorowaniach i mogli być przez to niebezpieczni.

Podał ją Langemu z lekkim uśmiechem na zaciśniętych ustach.

- Wodopój naszego Amerykanina jest gdzieś tutaj - powiedział. - Zacznij od tych, którzy mogli spotkać go na międzynarodowej konferencji czy czymś takim. Prędzej czy później Smith się z nimi skontaktuje. A kiedy to zrobi, będziemy na niego czekali.

Restauracja Karetnyj Dwór mieściła między Nowym Arbatem i Twerską, w starej, uroczej kamienicy, która jako jedna z nielicznych wśród ponurych, betonowych gmachów, cudem przetrwała sowiecką epokę przebudowy i rozbudowy miasta. Po drugiej stronie obwodnicy Sadowaja było

moskiewskie zoo i wysokościowiec Kudrinska, kolejna z Siedmiu Sióstr Stalina.

W ciepłe, letnie wieczory goście siedzieli na cienistym podwórku, jedząc sałatki i pijąc wino, wódkę czy piwo. Zimą przyjmowano ich w ciepłych, przytulnych, ozdobionych zielonymi pnączami salach, gdzie jedli pikantne azerskie potrawy.

Siedzący w narożnym boksie Jon podniósł wzrok i zobaczył Fionę Devin. Przystanąła w progu restauracji, strzepując śnieg z futra i z wdziękiem zerknęła to w prawo, to w lewo. Szukała go. Z ulgą wstał. Skinęła mu głową i ruszyła w stronę boksu, idąc szybko przez zatłoczoną, zadymioną sale.

- Rozumiem, że to pańska spóznialska - powiedziała spokojnie Elena Wiedienska, obserwując Fionę ciemnymi, chłodnymi oczami. Zgasiała papierosa i wstała na powitanie.

Wyglądała niemal dokładnie tak, jak Jon ją zapamiętał. Błada, pociągła, Pomarszczona twarz i sztywne, szare, upięte w wysoki kok włosy postarzały ją co najmniej o dziesięć lat. Była w szarej spódnicy i ciemnoszarej bluzce, które włożyła bardziej dla wygody niż dla elegancji.

Lecz umysł wciąż miała bystry i przenikliwy, a tutaj, w swoim rodzinnym mieście, nie okazywała już powściągliwej nieśmiałości, tak jak podczas ich ostatniego spotkania na konferencji biologów molekularnych w Madrycie.

- Fiona Devin, doktor Elena Borisowna Wiedienska - przedstawił je sobie Smith.

Kobiety skinęły sobie głową uprzejmie, acz chłodno, a potem usiadły po przeciwnych stronach półokrągłego boksu. Po chwili wahania Jon usiadł obok Wiedienskiej. Ta przesunęła się w prawo, robiąc mu miejsce.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała cicho Fona. - Zaszły drobne... komplikacje.

Przyczepiło się do mnie jakichś dwóch, chyba domokrażnych sprzedawców. Nie miałam ochoty z nimi rozmawiać.

Smith uniósł brew. Domokrażni sprzedawcy. W języku Tajnej Jedyunki oznaczało to, że agent jest pod obserwacją.

- Sprzedawali coś, co cię nie interesowało? - spytał, starannie dobierając słowa, żeby nie wystraszyć Rosjanki.

- Właśnie. - W głosie Fiony zabrzmiała nutka niepewności. - Są bardzo nachalni. Ale to nic. Pewnie chodzili od drzwi do drzwi, codziennie tak chodzą. Ostatnio coraz ich więcej.

Jon kiwnął głową. W miarę jak Dudarew i jego klika zaostrzali kontrolę nad państwem, dziennikarze, zwłaszcza zachodni, coraz częściej byli celem przypadkowej, często boleśnie oczywistej obserwacji. Zniechęcanie i zastraszanie mediów zachodnich było celową polityką władz, które obawiały się, że bardziej jawne restrykcje mogłyby wywołać masowe protesty za granicą.

Nadeszło dwóch młodych, uśmiechniętych kelnerów z wyładowanymi jedzeniem tacami.

Zgrabnie rozstawili półmiski na stole i zniknęli. Wtedy nadszedł trzeci kelner, starszy od tamtych. Przyniósł picie: butelkę lekko musującej wódki Moskowska i karafkę słodzonego soku ananasowego.

- Żeby nie tracić czasu, zamówiliśmy przed pani przyjściem - powiedziała Wiedienska.

Pytająco uniosła brwi. - Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- Ależ skąd - odparła z uśmiechem Fiona. - Nie wiem jak państwo, ale ja jestem głodna jak wilk.

Z półmisków biły apetyczne zapachy. Wiedienska i Smith też nagle zgłodnieli, więc wszyscy troje zaczęli nakładać sobie azerskich przysmaków. Były wśród nich satsiwi, marynowane piersi kurczęcia w gęstym sosie czosnkowym. Była słodka papryka nadziewana mieloną baraniną z miętą, koperkiem i cynamonem. Była również dowgra, gęsta, gorąca zupa jogurtowa z ryżem i szpinakiem. Kiedy uporali się z przystawkami, podano danie główne, szaszłyki z baraniny, cielęciny i kurczęcia z sosem z granatów, które pieczono na żarzących się węglach i serwowano z praśnym chlebem zwanym lawasz. Zaspokoivszy pierwszy głód, Wiedienska podniosła kieliszek wódki.

- Wasze zdrowie - powiedziała. Wychyliła kieliszek jednym haustem i popiła sokiem.

Fiona i Jon poszli za jej przykładem, delektując się kombinacją ostro kontrastujących ze sobą smaków, które doskonale pasowały do pikantnych azerskich potraw.

- A teraz przejdźmy do interesów - powiedziała Wiedienska, gdy odstawili kieliszki. -

Spojrzała na Fionę i ruchem głowy wskazała Smitha. - Nasz wspólny znajomy mówi, że jest pani dziennikarką.

- Tak.

- W takim razie, chciałabym, żebyśmy się dobrze zrozumiwały - ciągnęła stanowczo Wiedienska. - Nie chcę, żeby moje nazwisko ukazało się na pierwszej stronie jakiegoś goniącego za sensacją brukowca. - Uśmiechnęła się słabo. - A nawet poważnego, szanującego się dziennika.

- To zupełnie zrozumiałe.

- Chociaż nie podoba mi się rząd, który wypłaca mi pensję, jestem bardzo dobra w tym, co robię. Mam ważną pracę. Pracę, która ratuje życie. Dlatego nie chciałabym jej bezsensownie stracić.

- Daję pani słowo, że pani nazwisko nie ukaze się w artykule - odrzekła z powagą Fiona. -

Proszę mi wierzyć, bardziej zależy mi na prawdzie, niż na tej czy innej gazecie.

- W takim razie coś nas przynajmniej łączy - powiedziała oschle Rosjanka. Spojrzała na Smitha. - Przez telefon wspomniał pan, że przypadki tej samej choroby odnotowano również poza granicami Rosji.

- Bez dokładniejszych informacji na temat tych odnotowanych tutaj nie mogę mieć całkowitej pewności, ale wygląda na to, że symptomy są identyczne. A jeśli tak, znaczy to, że kremlowska cenzura zabija ludzi.

- Głupcy! Idioci! - Wiedenska soczyście zakłęła. Odsunęła na wpół Pełny talerz i zapaliła papierosa, żeby trochę ochłonać. - Ukrywanie czegoś takiego to przestępstwo. Szaleństwo i zbrodnia. Ostrzegałam ich, mówiłam, żeby tego nie robili. Moi koledzy też.

Nachmurzyła czoło.

- Zaraz po wykryciu pierwszych czterech przypadków powinni byli Umożliwić nam konsultacje z władzami międzynarodowych organizacji Ochrony zdrowia. - Opadły jej ramiona. -

Ja też powinnam była zareagować. Coś powiedzieć, coś zrobić, ostrzec innych. Ale kiedy minęło kilka tygodni i nikt więcej nie zachorował, odżyła we mnie nadzieja, że to jednak nie epidemia, że niepotrzebnie się bałam.

- A więc w Moskwie nie było już więcej przypadków? - spytała Fiona. Wiedenska stanowczo pokręciła głową.

- Ani jednego.

- Na pewno? - wtrącił zaskoczony Smith.

- Na pewno. To prawda, władze zakazały nam rozpowszechniania informacji na ten temat. Ale otrzymaliśmy również wyraźne polecenie, żeby kontynuować badania. Kreml domaga się szczegółów. Przyczyna choroby, sposób przenoszenia, sposób, w jaki zabija ofiarę, metody zatrzymania lub spowolnienia jej nieubłaganych postępów: ciągle się o to dopytują.

- Ale Pietrenko powiedział mi, że po pierwszych czterech przypadkach kazano wam zaprzestać jakichkolwiek badań.

- Bo to prawda - odrzekła Wiedenska. - Szpitalne zespoły badawcze zostały rozwiązane, pewnie po to, żeby łatwiej im było zapanować nad przepływem informacji. Wszystkie badania przeniesiono do instytutów wyższego szczebla, między innymi do wydziału genetyki i biologii molekularnej Głównego Instytutu Epidemiologicznego, gdzie pracuję.

- Do Bioaparatu też? - spytał cicho Jon, mając na myśli kompleks mocno strzeżonych laboratoriów, gdzie mieścił się główny ośrodek badań nad bronią biologiczną. Jeśli - tak jak podejrzewali Klein i prezydent Castilla - Rosjanie rzeczywiście chcieli wykorzystać tę tajemniczą chorobę jako broń, naukowcy i technicy z Bioaparatu musieli coś o niej wiedzieć.

Wiedenska ponuro pokręciła głową.

- Jekatierinburg, Kirów, Siergiejew Posad, Striżi... Nie wiem, co się tam dzieje. Za druty kolczaste mnie nie wpuszczają.

Smith na próżno próbował dopasować to do układanki. Jeśli choroba była nową bronią i jeśli Rosjanie wykorzystywali ją do zabijania ważnych osobistości na Zachodzie, dlaczego Kreml tak bardzo nalegał na kontynuowanie badań i zlecił je cywilnym specjalistom?

Zapadła niezręczna cisza.

- Tak jak pan prosił, przyniosłam notatki - powiedziała w końcu Wiedenska. - Są tutaj, między tymi starymi czasopismami medycznymi. Dam je panu, kiedy wyjdziemy. Za dużo tu ludzi.

- Dziękuję, Eleno - odrzekł ze szczerą wdzięcznością Jon. - Ale co z próbkami krwi i tkanek? Da pani radę je wynieść?

- Nie - odparła krótko Rosjanka. - To niemożliwe. Nie po śmierci Pietrenki i Kirjanowa.

Wszystkie próbki są zarejestrowane i trzymane pod kluczem. Dostęp do nich mają tylko ci, którym ministerstwo udzieliło specjalnego pozwolenia na konkretne badania.

- Czy może pani powiedzieć nam coś jeszcze? - spytała Fiona. - Przyda się każdy szczegół.

Wiedenska zawahała się, zerknęła na salę, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy i zniżyła głos. Mówiła tak cicho, że gwar i głośnie pobrzękiwanie talerzy prawie ją zagłuszało.

- Słyszałam plotki. Plotki, które bardzo mnie zaniepokoiły... Fiona i Jon czekali.

Rosjanka ciężko westchnęła.

- Jeden ze szpitalnych sanitariuszy, były więzień polityczny, który spędził wiele lat w obozie pracy, twierdził, że widział, jak jednego z umierających pacjentów badał... Wulf Renke.

Smith wyprostował się i zeszywniał.

- Renke? - wymamrotał z niedowierzaniem.

- Kto to jest Renke? - spytała Fiona.

- Wschodniemiecki naukowiec. Specjalista od broni biologicznej, badacz, którego bawiło wymyślanie nowych, okrutnych sposobów zabijania. - Jon pokręcił głową. - Ale to niemożliwe, to nie mógł być on. Ten sukinsyn nie żyje, i to od lat.

- Tak mówią - odparła cicho Wiedenska. - Ale ten sanitariusz dobrze go znał, znał go aż do bólu. Jako więzień był świadkiem serii okrutnych eksperymentów, jakie Renke przeprowadzał

na jego towarzyszach.

- Ten sanitariusz, gdzie on teraz jest? - spytała Fiona. - Możemy z nim porozmawiać?

- Tak, jeśli umiecie przywoływać duchy - odparła krótko Wiedenska.

- Wpadł pod tramwaj zaraz po tym, gdy zaczął gadać o Renkem.

- Wpadł? - rzucił ponuro Jon. - Czy go wepchnięto? Wiedenska wzruszyła ramionami.

- Podobno był pijany. Może to i prawda. Rosjanie często się upijają.

- Uśmiechnęła się gorzko przez papierosowy dym i żółtym od nikotyny palcem postukała w pusty kieliszek.

Śnieżycy przybierała na sile i sterty czarnego, zlodowaciałego śniegu na chodnikach przykryła gruba warstwa świeżego puchu. Niesiony przez wiatr śnieg hulał ulicami, osiadając na parkujących przy krawężniku samochodach, skrząc się w świetle latarni i wirując w migotliwym świetle samochodowych reflektorów.

Z Karetnego Dworu wyszedł młody mężczyzna o długim, trochę krzywym nosie. Zapiął

kurtkę, przystanął na chodniku, czekając, aż w sznurze pędzących samochodów zrobi się luka, po czym przeszedł na drugą stronę Powarskiej. Ocierając się o przechodniów, spieszących do domu w gąszczu podskakujących parasolek i parasoli, szybkim krokiem ruszył na wschód. Większość ludzi wracała z wieczornych zakupów w eleganckich butikach i galeriach Arbatu, większość miała parasole, on też. Jego był złożony; niósł go niedbale pod pachą.

Dwieście metrów dalej przystanął obok dużej, luksusowej limuzyny, która parkowała przy krawężniku z włączonym silnikiem. Przystanął i zapalił papierosa.

- Wiedenska jest jeszcze w restauracji - wymamrotał.

- Ci Amerykanie też? - spytał cichy głos z samochodu.

- Też. Pilnuje ich jeden z moich ludzi. Da znać, kiedy tylko wyjdą. Wygląda na to, że zaraz skończą.

- Twój są gotowi?

Mężczyzna kiwnął głową i głęboko zaciągnął się dymem. W ciemności rozjarzył się czerwony ognek papierosa.

- Jak zawsze.

Erich Brandt pochylił się lekko do przodu i na jego surową twarz padła smuga światła ulicznej latarni.

- To dobrze. - Błysnęła lodowatoszarymi oczami. - Miejmy nadzieję, że im smakowało.

Ostatecznie to ich ostatni posiłek w życiu.

ROZDZIAŁ 17

Smith przytrzymał im drzwi i wyszedł na ulicę. W restauracji było ciepło, więc tu, na dworze, przeszył go ziąb, który prawie natychmiast przeniknął przez wszystkie warstwy ubrania.

Zacisnął zęby, żeby przestały szczekać i skulił ramiona, ciesząc się, że ma przynajmniej grubą, wełnianą kurtkę.

Przeszli kawałek Poworskoją i przystanęli na chodniku, żeby się pożegnać. Przechodnie omijali ich, spiesząc za swoimi sprawami. Ulicą ciągnął sznur samochodów błyskających jaskrawymi reflektorami, gniewnie trąbiących klaksonami i chrzęszczących kolczastymi oponami na naniesionym przez wiatr śniegu.

- To dla pana, Jonathanie - powiedziała cicho Wiedzienska, sięgając za pazuchę obszernego palta i wyjmując gruby, plastikowy segregator. - Niech pan to mądrze wykorzysta.

Jon otworzył go bez słowa. Segregator zawierał kilkanaście czasopism medycznych, starych i z oślimi uszami, angielskich, rosyjskich i niemieckich. Zajrzał do styczniowego numeru

„Lanceta” i zobaczył kilkanaście zapisanych cyrylicą kartek: naukowe notatki Wiedzienskiej.

Zerknął na nią, dobrze wiedząc, czym badaczka ryzykuje.

- Dziękuję. Zrobię wszystko, żeby te informacje dotarły tam, gdzie trzeba.

- To dobrze - odrzekła Rosjanka. - Przy odrobinie szczęścia zdążymy ocalić życie wielu ludziom. - Spojrzała na Fionę. - Pamięta pani o naszej umowie?

- Tak - odparła Fiona. - Żadnych nazwisk, obiecuję. Może mi pani zaufać.

Wiedzienska odpowiedziała jej surowym uśmiechem.

- W takim razie cóż, życzę wam...

Nagle zatoczyła się, popchnięta przez mężczyznę, który wpadł na nią od tyłu. Szedł za szybko, miał nisko pochyloną głowę i podniesiony kołnierz. Wiedzienska przytrzymała się ręki Smitha, z trudem odzyskała równowagę, odwróciła się na pięcie i gniewnie krzyknęła:

- Hej ty! Może byś tak uważał, co?

Zmieszany mężczyzna - miał długi, trochę krzywy nos - szybko się cofnął.

- Izwinitie, izwinitie... - wymamrotał. Uśmiechając się głupio, podniósł parasol, który wypadł mu z

ręki w chwili zderzenia, i z przesadną ostrożnością poszedł dalej.

- Pijak! - prychnęła z odrazą Wiedenska. - A jeszcze wcześniej! Wódka to nasze przekleństwo. Nawet młodzi się nią trują.

- Nic się pani nie stało? - spyta Jon.

Wciąż zagniewana Wiedenska pokręciła głową.

- Nie, nic - odparła, pocierając ręką lewą nogę. - Dźgnął mnie tylko tym swoim parasolem. - Wzruszyła ramionami. - Ale to nic takiego.

- Mimo to, najwyższa pora, żebyśmy się pożegnali - wtrąciła niespokojnie Fiona, nie spuszczać z oczu oddalającego się mężczyzny. - Dostaliśmy to, czego szukaliśmy. Nie ma sensu stać tu i niepotrzebnie zwracać na siebie uwagę.

- Słusznie - zgodził się z nią Smith. Spojrzał na Wiedenska i poklepał ręką segregator. -

Dam pani znać. Kiedy tylko się czegoś dowiemy, napiszę... - Urwał. Rosjanka miała przerażoną minę.

- Eleno? Co się stało? Co się stało?

Wiedenska wzięła głęboki, chrapliwy oddech i zakrztusiła się, walcząc o kolejny haust powietrza. Stężały jej mięśnie szyi. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Chociaż oczy wychodziły jej z orbit, miała mocno zwężone źrenice. Ugięły się pod nią nogi.

Zaszokowany Smith wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

Ale zanim zdążył, Wiedenska upadła na chodnik jak szmaciana lalka. W upiornej ciszy miały ją silne konwulsje, spazmatycznie drgały jej ręce i nogi.

- Wezwij karetkę! - warknął Smith. - Szybko!

- Już. - Fiona wyjęła telefon i wystukała 03, numer moskiewskich służb ratowniczych.

Straszliwe konwulsje powoli ustępowały. Jon przyklęknął obok leżącej na plecach Rosjanki, odłożył segregator, ściągnął rękawiczki i przytknął dwa palce do jej szyi, żeby sprawdzić puls. Był bardzo szybki i bardzo słaby; serce trzepotało jej w piersi jak ptak ze złamanym skrzydłem. Niedobrze. Nachylił się i przyłożył ucho do jej ust i nosa. Wiedenska nie oddychała.

Chryste. Co się stało? Atak serca? Sądząc po tym, co widział, mało prawdopodobne.

Wylew? Może. Przemknęła mu przez głowę inna myśl, myśl ulotna i o wiele bardziej przerażająca, lecz dobrze wiedział, że nie ma teraz ani czasu, ani niezbędnych informacji, żeby dokładniej ją

przeanalizować. Nie, z diagnozą trzeba będzie poczekać. Tymczasem musiał zrobić wszystko, żeby utrzymać Rosjankę przy życiu do przyjazdu karetki.

- Już wysyłają - rzuciła Fiona w narastającym gwarze przerażonych głosów; zaczęli się wokół nich zbierać gapie. - Ale przyjedzie dopiero za pięć minut, może trochę później.

Pięć minut, pomyślał Jon. Szybko. Nawet bardzo szybko. Ale w tej sytuacji pięć minut to cała wieczność.

Zdjął kurtkę, zwinął ją, podłożył pod plecy Rosjanki i odchylił jej głowę, żeby odblokować przełyk i tchawicę. Potem rozwarł jej kciukiem usta podsunął język. Wytężył słuch.

Wciąż nie oddychała. Ostrożnie przekrzywił jej głowę i zbadał palcami gardło, szukając zastałego śluzu, zbitej grudki jedzenia, jakiegokolwiek przeszkody, która uniemożliwiała oddychanie. Ale nie znalazł nic.

Z ponurą twarzą, podniósł jej głowę, ułożył ją sobie na przedramieniu, palcami wolnej ręki ścisnął jej nos i zaczął stosować sztuczne oddychanie metodą usta w usta. Co jakiś czas przestawał, zerkając na jej podnoszące się i opadające piersi, żeby sprawdzić, czy Rosjanka oddycha już samodzielnie. Nie oddychała. Leżała jak sparaliżowana, patrząc w niebo nieruchomymi oczami.

Pompował powietrze do jej płuc, licząc umykające sekundy. Oddychaj, nakazywał jej w myśli. Oddychaj, Eleno, oddychaj. Dwie, trzy minuty minęły jak w gorączkowym półśnie. W

oddali zawyła syrena. Nadjeżdżała karetka.

Czubkami palców wyczuł, że jej puls osłabł jeszcze bardziej. Serce zatrzepotało i stanęło.

Niech to szlag. Natychmiast przeszedł na sztuczne oddychanie z masażem serca, na przemian wdmuchując jej powietrze do płuc i silnie ugniatając mostek. Nic nie skutkowało.

Uklękła obok niego Fiona.

- I jak? - spytała po rosyjsku. Sfrustrowany pokręcił głową.

- Chyba nie żyje.

Usłyszeli ich stojący najbliżej gapie i kilku z nich przeżegnało się szybko od prawego ramienia do lewego. Dwóch innych zdjęło czapkę, żeby oddać cześć zmarłej. Pozostali zaczęli się powoli rozchodzić. Dramat dobiegł końca.

- Powinniśmy iść, pułkowniku - powiedziała łagodnie Fiona. - Nie stać nas na komplikacje. - Podniosła z ziemi segregator z notatkami Wiedienskiej. - Nie teraz.

Jon pokręcił głową, nie przerywając sztucznego oddychania. Wiedział, że Fiona ma rację.

Elena niemal na pewno nie żyła i nikt nie mógł jej już pomóc, a uwikłanie się w milicyjne śledztwo było bardzo ryzykowne: jego przykrywka na pewno by tego nie wytrzymała. Ale przede wszystkim był lekarzem, a dopiero potem agentem amerykańskiego wywiadu. Miał moralny i etyczny obowiązek pomóc tej chorej kobiecie. Bo dopóki wślaczał do jej płuc ożywczy tlen, dopóki próbował zmusić do pracy serce, wciąż miała szansę, to nic, że niewielkie.

Zresztą było już za późno na odwrót.

Z zawodzącą syreną przy krawężniku zatrzymała się czerwono - biała karetka pogotowia.

Syrena ucichła, otworzyły się tylne drzwiczki i z samochodu wyskoczył szczupły mężczyzna w wymiętej lekarskiej kurtce. Miał ziemistą twarz, pod pachą niósł czarną torbę. Tuż za nim wysiadło dwóch krzepkich sanitariuszy.

Lekarz odprawił Smitha gestem ręki i nachylił się nad Wiedienska, żeby ją zbadać.

Jon ciężko wstał i otrzepał śnieg z kolan. Wyprostował się i odwrócił wzrok od nienaturalnie wygiętego ciała Rosjanki, próbując stłumić w sobie poczucie klęski i smutku.

Pacjenci umierali. To się zdarzało. Ale lekarzowi nigdy nie było wtedy łatwo. Ich śmierć zawsze była porażką.

Lekarz wziął Wiedienską za rękę i sprawdził puls. Potem przysiadł na piętach i wzruszył ramionami.

- Biedaczka - powiedział. - Za późno. Nic tu po mnie. - Dał znak czekającym obok sanitariuszom, którzy zdążyli już wyciągnąć nosze z karetki. - Do roboty, chłopcy. Uchrońmy ją przynajmniej przed wzrokiem chorobliwie ciekawskich gapiów.

Sanitariusze pochyłili się niezdarnie, żeby przygotować ciało do transportu.

Wciąż kręcąc głową, lekarz wstał i spojrzał pogardliwie na szybko kurczącą się grupkę gapiów. Wreszcie przeniósł wzrok na Fionę i Jona.

- Co się tu stało? To atak serca?

- Nie sądzę - odparł krótko Smith.

- Dlaczego?

- Zasłabła bardzo szybko. Miała konwulsje i gwałtowne skurcze mięśni, i to ledwie kilka sekund po całkowitym zatrzymaniu oddechu. Mięśnie źreniczne też wykazywały oznaki silnego napięcia. Zastosowałem sztuczne oddychanie metodą usta w usta, a kiedy serce stanęło, przeszedłem na masaż serca. Niestety, wszystko zawiodło.

Lekarz uniósł brwi.

- Krótko i treściwie. Jest pan lekarzem, panie...

- Martin. John Martin - odrzekł sztywno Smith, przeklinając siebie w duchu za medyczny żargon, który zupełnie nie pasował do jego przykrywki. Potworna śmierć Wiedenskiej musiała wstrząsnąć nim bardziej, niż myślał. Wzruszył ramionami. - Nie, nie jestem lekarzem. Ale przeszedłem kilka kursów pierwszej pomocy.

- Kilka kursów? Tylko? Naprawdę? - Lekarz uśmiechnął się z niedowierzaniem. - Ma pan talent, panie Martin. Bardzo dobrze, że pan tu jest.

- Tak? Dlaczego? - spytał niepewnie Smith.

- Muszę wystawić świadectwo zgonu i opisać ten tragiczny incydent. Pańskie wykszolenie i spostrzeżenia bardzo się przydadzą. - Spojrzał na Fionę. - Pani uwagi też. Dlatego muszę was prosić, żebyście zechcieli towarzyszyć mi do szpitala.

Fiona zmarszczyła brwi.

Lekarz podniósł rękę, żeby ubiec jej protest.

- Proszę się nie martwić, to rutynowe postępowanie. Zapewniam, że niedługo wrócicie do domu.

Sanitariusze przymocowali już ciało i dźwignęli nosze.

- Uważaj na jej lewą nogę - mruknął szorstko jeden. - Dotkniesz tego świństwa i będzie po tobie.

Świństwa? Jon poczuł, że ścina mu się krew w żyłach. Przypomniał mu się „pijak”, który wpadł na Wiedenską, „przypadkowo” dźgając ją w nogę złożonym parasolem. I nagle wszystkie symptomy ułożyły się w logiczną całość: zatrzymanie oddechu, konwulsje, mocno zwężone źrenice i w końcu zatrzymanie akcji serca.

Jezu Chryste, pomyślał. Tamten wstrzyknął jej jakąś truciznę, najprawdopodobniej szybko działający środek paraliżujący system nerwowy, odmianę sarinu czy VX. Śmierć powodowała już jedna kropla któregośkolwiek z nich, wystarczyło spuścić ją na nagą skórę człowieka. Wstrzyknięcie ich bezpośrednio do krwioobiegu było jeszcze bardziej zabójcze.

Podniósł wzrok. Lekarz obserwował go z zimną, wyrachowaną twarzą.

Smith zrobił krok do tyłu.

Z lekkim uśmiechem lekarz wyjął zza pazuchy mały pistolet, makarowa PSM, rosyjską odmianę walthera PPK. Trzymał go bardzo nisko, na wysokości pasa, celując prosto w jego serce. Powoli pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że oprze się pan pokusie i nie zrobi niczego głupiego, pułkowniku Smith.

W przeciwnym razie będę musiał zabić i pana, i pańską uroczą towarzyszkę, panią Devin. Byłaby

wielka szkoda, prawda?

Wściekły na siebie, że nie zauważył zasadzki, Jon wykrzywił twarz. „Lekarz” był poza zasięgiem jego rąk. Kątem oka zobaczył, że z karetki wysiadł kierowca, mężczyzna rosły i ponury jak tamci i stanął tuż za Fioną, przystawiając jej do pleców lufę pistoletu.

Fiona zbladła, z gniewu lub ze strachu albo z gniewu i strachu jednocześnie.

Jon zmusił się do zachowania spokoju. Ostrożnie pokazał im puste ręce.

- Nie mam broni - powiedział spięty.

- Bardzo mądra decyzja, pułkowniku - pochwalił go „lekarz”. - Bezsensowne bohaterstwo nie przyniosłoby nikomu pożytku.

Sanitariusze wsunęli do karetki nosze z owiniętym w koc ciałem Eleny Wiedenskiej.

Odwrócili się, czekając na rozkazy.

- Zapraszam do środka - rzucił cicho „lekarz”. - Najpierw pani Devin. Odrętwiała Fiona wsiadła do karetki. Nosze zajmowały środek podłogi, a wzdłuż ścian biegły dwie wąskie ławki.

Przycupnęła na końcu lewej. Za nią wsiadł jeden z sanitariuszy. Ciężko usiadł tuż przy drzwiczkach i wycelował w nią z pistoletu.

- Teraz pan, pułkowniku - rozkazał „lekarz”. - Proszę usiąść obok pani Devin i przez cały czas trzymać ręce na widoku. Dmitri jest nerwowy. Nie chcę, żeby skończył pan jak nasza biedna pani doktor.

Wciąż wściekły na siebie, Jon wsiadł i przysunął się do Fiony. Ta spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną. Pod pachą ścisnęła segregator z notatkami Rosjanki.

- Nie gadać - warknął sanitariusz toporną angielszczyzną, podkreślając rozkaz ruchem pistoletu.

Fiona bez słowa wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

Smith skrzywił się i zaklął w duchu. Wpakowali się w to przez niego. Gdyby nie przedłużał próżnych prób ratowania Eleny, uniknęliby sideł, zanim zdążyłyby się zatrzasnąć.

„Lekarz” wcisnął się do ciasnej karetki i usiadł naprzeciwko nich, tuż obok o wiele roślejszego podwładnego. Z lekkim, cynicznym uśmieszkiem wymierzył z pistoletu w pierś Jona.

Drugi sanitariusz i kierowca zatrzasnęli drzwiczki.

Chwilę później karetka drgnęła i ruszyła. Odjeżdżali. Zamigotał „kogut” na dachu, zawyła syrena. Przejeżdżające ulicą, coraz mniej liczne samochody ustąpiły im miejsca. Karetka zawróciła szerokim łukiem i pojechała w kierunku o wiele bardziej ruchliwej obwodnicy Sadowaja.

Jon czuł, jak po plecach ścieka mu zimny pot. Musiał wydostać ich jakoś z tego ruchomego więzienia, i to szybko. Nie miał złudzeń, jaki czekałby ich los, gdyby zawiódł i gdyby tamci dowieźli ich do celu podróży. Jemu i Fionie zostało niewiele czasu. I życia.

ROZDZIAŁ 18

Wysoki, siwowłosy mężczyzna, pochylony nad kierownicą granatowej, pudełkowatej niwy 4x4, rosyjskiej terenówki z napędem na cztery koła, parkującej kilkanaście metrów dalej, zaklął cicho, widząc, jak lekarz i sanitariusze bezceremonialnie wpychają Amerykanów do karetki. Zacisnął zęby.

Ciężko westchnął, sprawdził, czy ma dobrze zapięty pas i odpalił silnik. Podobno byli też święci, którzy czuwali nad głupcami i szaleńcami. Jeśli tak, miał głęboką nadzieję, że spoglądali na niego życzliwie, bo nie miał czasu na nic subtelnego czy rozsądnego.

Ożył potężny silnik. Mężczyzna bez wahania wrzucił jedynekę, wcisnął pedał gazu, ruszył i szarpnął kierownicą, mierząc prosto w bok zawracającej właśnie karetki.

Jon siedział sztywno, zerkając na lufę celującego w niego pistoletu. Gorączkowo myślał, opracowując i natychmiast odrzucając jeden szaleńczy plan ucieczki po drugim. Niestety, w każdym z nich prędzej czy później obydwójce ginęli.

Nagle kierowca głośno krzyknął. Fiona drgnęła i zesztyniała.

Za ścianą karetki narastał ryk samochodowego silnika. Przerażliwie zapiszczały hamulce, ostrzegawczo zawyły klaksony. Ten ryczący, pędzący z dużą prędkością wóz musiał na nich wpaść, bo raptem rozległ się ogłuszający huk i potężna siła rzuciła ich do przodu. Jon spadł z ławki prosto na Wiedenską. Przerażeni sanitariusze coś krzyczeli.

Wśród rozdzierającego zgrzytu metalu i brzęku sypiącego się szkła uderzona w bok karetka wpadła w poślizg. Ze skrytek wysypały się podręczne apteczki, leki, narzędzia i przybory. Rozszedł się ostry zapach benzyny i smród palącej się gumy.

Wciąż wirując wokół własnej osi, karetka wpadła na starą, zjedzoną przez rdzę wołgę.

Zadygotała, zachwiała się i znieruchomiła pod kątem z przednimi kołami na wysokim krawężniku. Miała przebite opony. Ogłuszający huk ucichł.

Jon podniósł głowę.

Siła uderzenia rzuciła „lekarzem” do tyłu. Musiał uderzyć się w głowę, bo był

oszołomiony. Po jego wąskiej, bladej, pociągłej twarzy spływały strużki krwi. Mimo to wciąż ścisnął w rękę makarowa.

Jon szybko ukląkł.

„Lekarz” otworzył szerzej oczy. Wykrzywił usta i podniósł pistolet. Położył palec na spuście i zaczął go naciskać.

Smith runął na niego i kantem prawej dłoni grzmotnął w lufę. Makarów wypalił. Wystrzał

w pistolecie w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu jest ogłuszający: pocisk kaliber 5,45 mm wybił dziurę w podłodze, z trzaskiem uderzył w asfalt i zrykoszetował.

W tym samym momencie Jon przyłożył tamtemu pięścią w twarz.

Głowa odskoczyła „lekarzowi” jak piłka i z potężną siłą uderzyła w ścianę. Polało się jeszcze więcej krwi. „Lekarz” głucho jęknął. Przewrócił oczami i nieprzytomny osunął się na podłogę. Pistolet upadł tuż obok niego.

Smith chwycił go i... zamarł.

Krępy, potężnie zbudowany sanitariusz wziął szybki zamach i zewnętrzną stroną dłoni uderzył Fionę w twarz. Ta upadła, zwinęła się w kłębek z zaczerwienionym policzkiem i znieruchomiała. W drugiej ręce sanitariusz trzymał pistolet, makarowa kaliber 9 mm. Celował

Jonowi w głowę.

I nagle Fiona ożyła.

Z oszłamiającą szybkością uklękła i jednym płynnym ruchem z eleganckiego, skózanego buta wyjęła nóż. Wcisnęła przycisk i gdy z czarnej rękojeści wyskoczyło dziesięciocentymetrowej długości ostrze, błyskając złowrogo w wieczornym świetle, z zimną determinacją wbiła je sanitariuszowi w szyję. Wąska klinga weszła głęboko, na całą długość, momentalnie przecinając tchawicę i tętnicę szyjną.

Przerażony Rosjanin wypuścił broń i chwycił się za potwornie okaleczone gardło. Na ścianę karetki trysnęła struga jaskrawoczerwonej krwi, początkowo silna i rytmicznie pulsująca, potem coraz słabsza i mniej obfita. Wraz z krwią z sanitariusza uciekało życie. Po chwili osunął

się bezwładnie na podłogę obok zawiniętej w koc Wiedeńskiej. Strumyk wypływającej spomiędzy jego zaciśniętych palców krwi był coraz mniejszy i mniejszy. Sanitariusz zadrżał i znieruchomiał.

Fiona szybko wytarła nóż w jego kurtkę. Lekko trzęsącymi się rękami złożyła go i schowała do buta. Była bardzo blada.

- Twój pierwszy raz? - spytał cicho Jon.

- Tak. - Uśmiechnęła się słabo. - Ale pomyślę o tym później... zakładając oczywiście, że pożyjemy jeszcze choć kilka minut.

Jon kiwnął głową. „Lekarz” i sanitariusze nie żyli, ale gdzieś tam wciąż czyhało na nich co najmniej dwóch bandziorów.

- Umiesz obchodzić się z bronią?

- Umiem.

Jon podniósł z podłogi obydwie pistolety i podał jej mniejszego makarowa. Trzasnął zamkiem swojego i sprawdził, czy jest odbezpieczony. Fiona poszła w jego ślady.

Ktoś zastukał głośno do wciąż zamkniętych tylnych drzwiczek karetki.

- Fiona? - zadudnił głęboki głos. - To ja, Oleg. Jesteście cali?

Smith odwrócił się na pięcie z gotowym do strzału pistoletem, ale Fiona delikatnie położyła mu rękę na dłoni.

- Nie - szepnęła. - To swój. - Cali! - zawołała w stronę drzwiczek. - i wolni! - Co z tamtymi?

- Niezdolni do walki - zameldowała krótko Fiona. - Jeden trwale. Drugi wciąż żyje, ale koszmarnie będzie bolała go głowa.

- No i dobrze. - Mocno szarpnięte drzwiczki otworzyły się na oścież i zobaczyli wysokiego, barczystego, szpakowatego mężczyznę. W jednym ręku trzymał pistolet z tłumikiem.

Drugą niecierpliwie machnął. - Szybko! Zaraz będzie tu milicja. Smith rozdziawił usta. Ten duży nos, ten wyniosły profil, żywcem wzięty ze starorzymskiej monety: Kirów!

- Ja chyba śnię. Generał - major Oleg Kirów z Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

- Już nie, doktorze, już nie. - Kirów wzruszył ramionami. - Wysłali mnie na emeryturę, na zieloną trawkę, jak to mówią. Ci z Kremla uznali, że jestem nielojalny i nie wierzę w ich sny o dawnym porządku.

Jon krótko kiwnął głową. Kilka lat wcześniej blisko z nim współpracował. Rozpaczliwie tropili wtedy ludzi, którzy z rosyjskiego ośrodka produkcji broni biologicznej ukradli kontener ze śmiertelnie zakaźnym szczepem ospy. Od tamtej pory często zastanawiał się, jak Kirów - tak mocno powiązany z grupą zwolenników reform demokratycznych - radzi sobie pod rządami prezydenta Dudarewa i jego twardogłowych towarzyszy.

Teraz już wiedział.

- Pogaduszki i wspominki muszą poczekać - wtrąciła Fiona. - Teraz trzeba wiać. Już zbiera się tłum.

- Fakt - mruknął Kirów, zerkając przez ramię. W poprzek i na skos, niemal na całej ulicy stały samochody, które ostro hamując, cudem uniknęły zderzenia. Kilku kierowców wysiadło, żeby

popatrzeć na rozbite, sczeplone ze sobą samochody. Z domów, restauracji i kawiarni wybiegali zwabieni hukiem ludzie. Kilku gapiów rozmawiało z ożywieniem przez telefon komórkowy, pewnie wzywając milicję i służby ratownicze.

- Macie to? - spytał Kirów. - Te notatki macie? Fiona podniosła z podłogi zakrwawiony segregator.

- Są tutaj.

Smith spojrział ponuro na leżącego w kącie „lekarza”. Oszołomiony bandzior cicho jęczał, to tracąc, to odzyskując przytomność.

- Bierzemy tego sukinsyna - zdecydował. - Chcę mu zadać kilka pytań. A najbardziej ciekawi mnie, skąd znał moje nazwisko i stopień.

- Otóż to. Poza tym, dobrze byłoby wiedzieć, pod kim służy i gdzie was chcieli zawieźć.

Wywlekli go na ulice. Włosy miał zlepione krwią, oczy przymknięte i nieprzytomne.

Wzięli go pod pachy i zaciągnęli za karetkę. Fiona szła obok, uważnie obserwując tłum gapiów, których przyciągnął ten pozornie straszny wypadek.

Jon cicho zagwizdał. Siła zderzenia zmiażdżyła niemal cały przód karetki, zmieniając ją w płataninę rozerwanych blach i obsypanej szkłem powyginanej stali. Kierowca i sanitariusz wciąż siedzieli w szoferce. Mocno odchyleni do tyłu obydwaj mieli w ręku pistolety. Obydwaj mieli też przestrelone głowy.

Smith zerknął na Kirowa.

- Twoja robota?

- Godne ubolewania, lecz konieczne - odparł ponuro tamten. - Nie było czasu na półśrodki. - Wskazał granatową niwę stojącą tuż obok karetki. - Chodźcie. Rydwan czeka.

Jon zmrużył oczy. Zmiażdżona chłodnica, pogięta maska, roztrzaskane reflektory...

Uniósł brew.

- Myślisz, że da się tym jechać?

- Oby - odparł z bladym uśmiechem Kirów. - Inaczej czeka nas długi, zimny spacer na oczach tych wszystkich ludzi.

Oparł nieprzytomnego „lekarza” o maskę samochodu i otworzył tylne drzwiczki.

- Do środka z nim. Fiona z przodu, ty z tyłu. Siedź i trzymaj naszego gościa na muszce.

Najlepiej niech leży na podłodze i nie wystawia głowy.

Jon spojrział na zamrozonego „lekarza”.

- Właż, kolego - warknął, popychając go lufą makarowa w stronę drzwiczek.

Trach!

Głowa „lekarza” eksplodowała rozerwana pociskiem o dużej prędkości początkowej.

Wnętrze terenówki zalała fontanna krwi i odłamków kości. „Lekarz” osunął się powoli na ziemię.

- Padnij! Kryć się! - ryknął Smith. Rzucił się na zaśnieżony asfalt w chwili, gdy kolejna kula roztrzaskała szybę bocznego okna. Na jego kark i na jezdnię spadł deszcz szkła.

Kirów i Fiona rozpląszczyli się na ziemi za samochodem.

Słyszac wystrzały, ogarnięci paniką ludzie, których przyciągnął wypadek, rozpierzchli się na wszystkie strony jak stado przerażonych gęsi. Jedni ukryli się za parkującymi na ulicy samochodami. Inni uciekli do najbliższych domów.

Zaskoczony na otwartej przestrzeni, po wystawionej na ogień stronie terenówki Kirowa, Jon przetoczył się w prawo, szukając schronienia za rozbitą karetką. Trzeci pocisk kaliber 7,62

mm trzasnął w ziemię ledwie kilkanaście centymetrów dalej. Kawałki asfaltu zaświstały mu koło ucha jak rój rozwścieczonych os.

Ciężko dysząc z wysiłku, Smith rzucił się w bok. Dotarł do karetki i znieruchomiał.

Czwarta kula przebiła karoserię i zrykoszetowała na stalowej ramie, zasypując go deszczem iskier i maleńkich, rozgrzanych do białości, niemal roztopionych kawałeczków metalu. Skrzywił

się i otrzepał kurtkę.

Szybko przeanalizował sytuację. Co teraz? Za grubą, twardą osłoną byli względnie bezpieczni. Bezpieczni, ale i przygwożdżeni, bez możliwości jakiegokolwiek ruchu. Nie mogli też skutecznie stawić czoła niewidocznemu snajperowi, tymczasem z kilku kierunków naraz dochodziło już wycie milicyjnych syren.

Pokręcił głową. Nie, poddanie się moskiewskiej milicji nie wchodziło w rachubę, nie w sytuacji, gdy mieli przy sobie notatki Eleny Wiedienskiej i gdy na ulicy leżały cztery trupy.

Przełożył pistolet do lewej ręki, szykując się do szybkiego skoku. Musiał dotrzeć do Kirowa i Fiony.

Sto pięćdziesiąt metrów dalej za otwartymi drzwiczkami czarnego mercedesa klęczał

Erich Brandt. Tuż obok niego leżał na ziemi mężczyzna z okiem przytkniętym do okularu celownika

optycznego, zamontowanego na rosyjskim karabinie strzelca wyborowego dragunow SVD.

- Ukryli się - zameldował beznamiętnie snajper. - Ale zdjąłem przynajmniej Sorokina.

Brandt zmarszczył czoło. „Lekarz”, były oficer KGB nazwiskiem Michaił Sorokin, jeden z jego najlepszych agentów, zimny, zawodowy zabójca, nie zawalił żadnego zlecenia. Do teraz.

Brandt wzruszył ramionami, odpędzając chwilowe wyrzuty sumienia. Nie chciał go likwidować, ale nie miał wyboru. Zaryzykować i pozostawić agenta w rękach wroga? Nigdy.

- Dasz radę wypłoszyć ich na otwarty teren? Snajper lekko pokręcił głową.

- Nie zdążę. Jeśli stamtąd wyjdą, położę ich jednym strzałem, ale nie trafię w coś, czego nie widać.

Brandt zacisnął zęby.

Snajper oderwał oko od celownika.

- Czekamy, aż zatrzyma ich milicja? - spytał. - Pierwsze radiowozy zaraz tu będą.

Brandt potarł czoło. Od Aleksieja Iwanowa dostał papiery, dzięki którym mógł

porozstawiać gliniarzy po kątach. Gdyby ujeli Amerykanów, mógł ich zastraszyć i skłonić do przekazania aresztantów jemu. Ale bez względu na bezpośrednie następstwa takiej zagrywki, podejrzliwy szef Trzynastego Dyrektoriatu odkryłby, że go okłamano, że co najmniej jeden oficer amerykańskiego wywiadu działa w Moskwie, zagrażając bezpieczeństwu operacyjnemu Hydry.

Jeśli tak, o wiele lepiej było postawić Iwanowa przed faktem dokonanym w postaci Smitha, Fiony Devin oraz ich tajemniczego współnika. Jeśli okaże się to konieczne, sprezentować mu ich nawet martwych, a jeżeli będzie to możliwe, żywych i zdolnych do składania zeznań. Zerknął na snajpera, który cierpliwie czekał na rozkazy.

- Będą chcieli się wycofać - powiedział. - Trzeba ich przyblokować. Rozwał samochód.

Snajper flegmatycznie kiwnął głową.

- Kaszka z mleczkiem, Herr Brandt.

Ponownie przytknął oko do okularu celownika, lekko przesunął lufę i pociągnął za spust.

Dobrze wyważony, zaopatrzony w długą lufę karabin wypalił prawie bez odrzutu.

Smith zerwał się z ziemi i popędził w stronę terenówki Kirowa. Huknął kolejny wystrzał.

Wciąż biegnąc, Jon rzucił się przed siebie, upadł na asfalt, przetoczył się przez prawe ramię i

przykucnął za rozbitą maską niwy. Obydwoma rękami ścisnął pistolet, gotowy otworzyć ogień w chwili, gdy cel znajdzie się w polu rażenia.

- Prawdziwy cyrkowiec z pana, doktorze - rzucił oschle Rosjanin; on i Fiona leżeli kilka metrów dalej. - Pozazdrościć młodzieńczej gibkości.

Jon wykrzywił usta w uśmiechu; ledwo go słyszał, bo w uszach dudniła mu krew.

Ostrzeliwujący ich snajper był cholernie dobry. Poza tym, strzelając z małej odległości, mógł celować dokładnie i - co gorsze - skutecznie.

Trafiona kolejnym pociskiem terenówka zakołysała się gwałtownie. Kula przebiła komorę silnika, trafiła w blok i wyleciała przez zgniecioną maskę. Sekundę później snajper zmienił cel i zaczął ostrzeliwać bak. Wystarczyło kilka pocisków i na asfalt zaczęła kapać benzyna. Kolejna kula trafiła w tablicę rozdzielczą. Roztrzaskała ją i rozerwała kable.

I nagle Jon zdał sobie sprawę, że metodycznie ostrzeliwując newralgiczne zespoły i podzespoły samochodu, snajper chce ich po prostu unieruchomić, uniemożliwić im ucieczkę.

- Próbują nas przygwoździć - rzucił ponuro. - Czekają, aż zgarnie nas milicja.

Fiona zagryzła wargę.

- Macie jakiś pomysł?

- Mamy - odparł Kirów. - Zabieramy się stąd. I to już. Fiona spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Niby jak? Za parę minut zaroi się tu od milicji. Na piechotę nie zdążymy przejść nawet do następnego skrzyżowania. A najbliższa stacja metra jest co najmniej kilometr stąd.

- Zarekwirujemy samochód - wyjaśnił z wyższością Kirów. Wskazał kciukiem za siebie. -

Spójrz. Do wyboru, do koloru.

Miał rację. Stało tam sześć czy siedem samochodów, które ogarnięci paniką właściciele porzucili, gdy zaczęła się strzelanina. Niektórzy byli tak wystraszeni, że zapomnieli nawet wyjąć kluczyk ze stacyjki. Silniki dwóch wozów wciąż pracowały.

- Dobra myśl - rzucił Jon. - Ale najpierw musimy odwrócić ich uwagę, i to czymś, co na pewno rzuci się w oczy. Inaczej wystrzelają nas jak kaczki, zanim przebiegniemy dziesięć metrów.

Niwa zadygotała - w bak trafił kolejny pocisk. Mdląco - słodki zapach benzyny był coraz silniejszy. Paliwo wyciekało spod samochodu, powoli żłobiąc kręte koryto w brudnym śniegu pod kołami.

- Święte słowa - zgodził się z nim Kirów. Spokojnie sięgnął do kieszeni, wyjął zapalnik i odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu. - Na szczęście mamy pod ręką odpowiednie narzędzia.

Zapalił zapalnik, przytknął ją do tekturki i gdy ogniem zajęły się pozostałe, bez wahania wrzucił tę małą pochodnię pod samochód, w największą kałużę benzyny. Woosz! Buchnął ogień.

Jaskrawobiałe płomienie strzeliły do góry, podpalając paliwo chlupoczące w dziurawym baku. W ciągu kilku sekund ogniem zajął się cały tył samochodu.

Brandt zobaczył, jak spod terenówki buchają płomienie i jak po chwili ogarniają cały samochód. Z opon buchały kłęby czarnego dymu.

- Świetna robota, Fadiejew - pochwalił snajpera.

Tamci utknęli w potrzasku. Przy odrobinie szczęścia ogień wypłoszy ich z ukrycia prosto pod lufę Dragunowa. Jeśli natomiast nie, strata samochodu pozbawi ich szans na uniknięcie spotkania z milicją spieszącą na miejsce zdarzenia.

Lecz gdy chmura dymu zaczęła gęstnieć i się rozszerzać, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Dym zasnuł domy i niemal całą ulicę za płonąca niwą, był doskonałą zasłoną.

- Widzisz ich? - warknął.

- Nie. Dym jest za gęsty. - Snajper podniósł głowę. - Co robimy? Syreny wyły coraz głośniej. Brandtowi ściemniała twarz. Wiedział, że Rosjanie będą tu lada chwila.

- Piechotą daleko nie uciekną. Zostawimy ich milicji. Niech ich zgarną.

Jon leżał tak blisko płomieni, że paliła go twarz. W oczy szczypał dym. Oddychał płytko, żeby nie wciągać do płuc trujących oparów. Widoczność spadła do kilku metrów. Zerknął na Fionę i Kirowa.

Rosjanin kiwnął głową.

- Teraz - powiedział.

Nie zwlekając, wstali i nisko pochyleni ruszyli przed siebie. Kirów zaprowadził ich do małego, dwudrzwiowego samochodu, brudnego, białego moskwicza, który przeżył co najmniej kilka wypadków i wiele srogich, rosyjskich zim. Jego dobitny silnik, wielkości silnika kosiarki do trawy, wciąż kichał i prychał, bo w stacyjce tkwił kluczyk.

Jon pochwalił w duchu ten wybór. Ze wszystkich porzuconych na ulicy samochodów moskwicz był najtańszy, najmniej krzykliwy i rzucający się w oczy. Po Moskwie jeździło tysiące wozów takich jak ten. Nawet gdyby ktoś zauważył, jak go kradną, milicja miałaby sporo trudności z jego

odnalezieniem.

Fiona wcisnęła się na wąskie siedzenie z tyłu. Kirów usiadł za kierownicą, Smith obok niego. Rosjanin wrzucił wsteczny, zwolnił sprzęgło i mocno skręcił w lewo. Moskwicz zatoczył łuk, zahamował, stanął tyłem do płonącej niwy i ruszył w przeciwnym kierunku.

Jechali powoli, celowo nie przekraczając dozwolonej prędkości.

- Oleg. - Fiona nachyliła się ku niemu z wyciągniętą ręką. Prosto na nich pędził radiowóz z migającym na dachu „kogutem”. - Mamy towarzystwo.

Na miejscu strzelaniny zjawił się pierwszy patrol. Kirów spokojnie kiwnął głową.

- Widzę. - Gwałtownie szarpnął kierownicą i skręcił w boczną ulicę. Podjechał kawałek dalej i zaparkował przed mongolską ambasadą; dokładnie naprzeciwko, w eleganckiej, dziewiętnastowiecznej kamienicy, mieściła się ambasada Litwy. Pstryknął przełącznikiem i zgasił światła. Silnika nie wyłączył.

Jon odwrócił się w ciasnym fotelu, wyciągnął szyję i spojrzał w tylne okno.

Sekundę później przez skrzyżowanie przemknął milicyjny radiowóz. Nie zwalniając, pędził Paworską w kierunku płonącej terenówki. Tuż za nim, jeden po drugim, przejechały kolejne, wszystkie z wyjątkami syrenami i „kogutami” na dachu.

Odetchnęli. Kirów niespiesznie wrzucił bieg i pojechali na południe, w głąb Arbatu.

- Co teraz? - spytał cicho Smith. Rosjanin wzruszył ramionami.

- Najpierw pozbędziemy się samochodu, dyskretnie, jeśli się da. Potem znajdziemy jakieś lokum.

- A potem?

- Wymyślę coś, żeby jak najszybciej wywieźć was z Rosji. Po tej strzelaninie Kreml zmobilizuje wszystkie służby bezpieczeństwa, żeby was wytropić.

- Oleg, my nie możemy wyjechać - odrzekła stanowczo Fiona. - A przynajmniej nie teraz.

- Nie bądź głupia! - warknął Kirów. - Niby co chcesz osiągnąć, pozostając w Moskwie?

- Jeszcze nie wiem - odparła z uporem Fiona. - Ale wiem, że mamy tu coś do zrobienia.

Dlatego nie zamierzam uciekać z podwiniętym ogonem.

Postukała ręką w zakrwawiony segregator.

- Te sukinsyny zamordowały Wiedenską, żebyśmy tego nie dostali, tak?

Smith i Kirów bez słowa skinęli głową.

- Tak. Dlatego najpierw trzeba sprawdzić, co tu jest. Odkryć tajemnicę.

ROZDZIAŁ 19

Berlin

„Bundeskriminalamt (BKA) - Federalna Policja Kryminalna” - jest niemieckim odpowiednikiem amerykańskiej FBI. Podobnie jak FBI, zatrudnia tysiące agentów, techników i kryminologów, których zadaniem jest pomaganie, wspieranie i koordynowanie pracy sił

policyjnych we wszystkich szesnastu landach. I podobnie jak FBI, BKA prowadzi również wszystkie śledztwa w sprawach o najcięższe przestępstwa, takie jak międzynarodowy przemyt broni i narkotyków, pranie brudnych pieniędzy i terroryzm.

Bundeskriminalamt była akurat w trakcie reorganizacji na wielką skalę. Gros specjalistów i większą część zaplecza technicznego przenoszono stopniowo do Berlina, do nowej siedziby, co nieuchronnie pociągnęło za sobą graniczące z chaosem zamieszanie.

Wydział Bezpieczeństwa Państwowego - prowadzący śledztwa w sprawach poważnych przestępstw politycznych, zagrażających bezpieczeństwu republiki - nie należał w tej kwestii do wyjątków. Zajmował obecnie czwarte piętro gmachu w Nikolaiviertel, labiryncie zatłoczonych uliczek, alejek, zaułków, restauracji i małych muzeów na wyłożonym cegłą brzegu Szprewy.

Sam gmach był nowoczesną rekonstrukcją średniowiecznej budowli, niegdysiejszej siedziby cechów kupieckich i rzemieślniczych.

Za ladą w holu głównym siedział Otto Fromm, który właśnie rozpoczął długą, nocną służbę. Ziewnął - kolorowa bulwarówka, którą wziął, żeby się czymś zająć, zdążyła go już znudzić. Gdy zaraz po ukończeniu technikum wstąpił do BKA, by zostać zwykłym ochroniarzem, wyobrażał sobie, że pewnego dnia awansują go na detektywa za same zasługi.

Dwadzieścia lat później wciąż zajmował to samo stanowisko, chociaż miał teraz znacznie wyższą pensję i przysługiwało mu sześć tygodni urlopu.

Otworzyły się drzwi i do holu wpadł podmuch czystego, zimnego powietrza.

Otto podniósł wzrok znad czasopisma. Do lady szła młoda, wysoka, długonoga kobieta.

Miała krótkie, modnie ostrzyżone, niemal sterczące kasztanowe włosy, prosty nos, ostro zarysowany podbródek i bardzo jasne, bardzo niebieskie oczy. Po drodze zdążyła rozpiąć długie, zimowe palto, demonstrując szczupłą sylwetkę i małe, lecz jędrne piersi, na których widok szybciej zabiło mu serce

i wyjaśniały oczy.

Tak, kobieta była niezwykle atrakcyjna, w dodatku nie miała na palcu obrączki. Przed sześcioma miesiącami dziewczyna, z którą mieszkał, wyrzuciła go z domu i kumple od kieliszka namawiali go, żeby „znowu zapolował”. Dlatego odruchowo wyprostował się i przyglądał

niesforne, rzednące już włosy.

- Tak, Freulein? - spytał usłużnie. - W czym mogę pani pomóc?

Z oszłamiającym uśmiechem kobieta podała mu legitymację służbową BKA.

- Nazywam się Vogel. Petra Vogel. Jestem z Wydziału Informatyczno - -

Technologicznego w Wiesbaden. - Ostrożnie położyła na ladzie skórzaną dyplomatkę, otworzyła ją i pokazała mu rząd tkwiących w przegródkach płyt kompaktowych. - Przyjechałam zainstalować nowe oprogramowanie sieciowe.

Fromm nie mógł ukryć zaskoczenia.

- Teraz? O tej porze? Nikogo już nie ma.

- Właśnie o to chodzi - odparła z miłym uśmiechem kobieta. - Żeby zainstalować aktualizacje, na parę godzin muszę wyłączyć część systemu. Dzięki temu nikt nie będzie musiał

przerywać pracy ani tracić cennego czasu.

- Ale musi mieć pani oficjalne upoważnienie - wymamrotał Otto, szperając w stercie papierów na biurku. Skonsternowany podniósł wzrok. - Poza tym, nie widzę tu zgody na instalację oprogramowania. Na liście nic nie ma. A Herr Zentner, szef informatyków, jest na urlopie i będzie dopiero za trzy tygodnie. Wyleguje się teraz na plaży, chyba w Tajlandii.

- Dobrze mu - odparła z zazdrością kobieta. - Ja też bym chciała poleżeć trochę na słońcu.

- Ciężko westchnęła. - Nie wiem, dlaczego nie dostaliście zawiadomienia. Ktoś musiał coś pokręcić. Miało przyjść z Wiesbaden już wczoraj.

Poszperała w wewnętrznych kieszeniach dyplomatki i wyjęła złożoną kartkę papieru.

- Widzi pan? To moja kopia.

Nerwowo zagryzając wargę, Otto wstał z krzesła i szybko przeczytał zlecenie. Napisana na papierze firmowym z nagłówkiem i podpisane przez dyrektora Wydziału Informatyczno -

Technologicznego zlecało Petrze Vogel przeprowadzenie aktualizacji oprogramowania sieciowego w

ich oddziale BKA.

Nagle pojaśniały mu oczy - wypatrzył pewną rozbieżność.

- Oto i powód całego zamieszania! - powiedział, stukając palcem w kartkę. - Wysłaliście zlecenie pod zły numer. Nasz numer faksu kończy się na 4646, a zlecenie poszło pod 4647, pewnie do jakiejś kwiaciarni czy piekarni.

Kobieta nachyliła się, żeby to sprawdzić i jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. Otto z trudem przełknął ślinę, jakby krawat i kołnierzyk koszuli zaczęły go nagle uwierać. Doszedł go czysty, świeży zapach perfum.

- Niewiarygodne - wymruczała kobieta. - Spartaczyli, pomylili numery. A nasze biuro otwierają dopiero rano. - Westchnęła. - I co ja mam teraz zrobić? Wrócić do hotelu i czekać w nieskończoność, aż ta tępa sekretarka uprzątnie bałagan, którego narobił dyrektor?

Otto bezradnie wzruszył ramionami.

- Przykro mi - powiedział - ale nie umiem pani pomóc.

- Szkoda. - Odeła usta i zaczęła zamykać dyplomatkę. - Chciałam to dzisiaj skończyć, żeby mieć jutro wolne i pozwiedzać Berlin.

Otto usłyszał w jej głosie subtelną, acz znaczącą nutkę, a przynajmniej tak mu się wydawało. Odchrząknął.

- Ma tu pani przyjaciół? Albo rodzinę?

- Nie. - Posłała mu wymowne spojrzenie spod długich, lekko spuszczonej rzęs. -

Miałam nadzieję, że kogoś tu poznam. Kogoś, kto dobrze zna miasto. I zechce mnie oprowadzić, zaprosić do jakiegoś miłego klubu nocnego... - Znowu westchnęła. - Ale wygląda na to, że, zamiast zwiedzać, do samego powrotu będę siedziała tu i grzebała w komputerze...

- Nie, nie, Freulein - odparł zduszonym głosem Otto. - To nie będzie konieczne. -

Podniósł upoważnienie. - Proszę spojrzeć, to proste. Zrobię z tego kopię do akt. I udamy, że przyszło faksem, tak jak powinno. Będzie mogła pani skończyć pracę dziś wieczorem, tak jak pani chciała.

- Zrobiłby to pan? - spytała kobieta. - To znaczy, nagiąłby pan dla mnie Przepisy?

- Och, tak - odrzekł wylewnie Otto, wypinając pierś. - Absolutnie. Jestem starszym oficerem i akurat mam służbę. To nie problem. To żaden problem.

- Byłoby cudownie - powiedziała kobieta z uśmiechem, od którego zaschło mu w ustach.

Dwadzieścia minut później stała na opustoszałym półpiętrze, patrząc, jak Otto Fromm schodzi

ociężała na parter. Gdy zniknęła jej z oczu, z odrazą zmarszczyła nos.

- Co za idiota - mruknęła. - Mam fart.

Wzięła głęboki oddech, przygotowując się psychicznie do ryzykownego przedsięwzięcia.

Podstępnie pokonawszy bramę zamku, musiała teraz dostać się do głównej wieży. Z kieszeni palta wyjęła rękawiczki chirurgiczne.

Włożyła je i weszła do pomieszczenia, które odtworzył dla niej usłużny Otto Fromm. Co prawda miała przy sobie zestaw wytrychów, ale to miło, że zaoszczędził jej pracy. Poza tym, nawet najdoskonalszy wytrych zawsze pozostawiał w zamku ślady, które prędzej czy później by odkryto. Tymczasem założeniem tej operacji było wejście i wyjście z gmachu BKA bez pozostawiania po sobie dowodów, które mogłyby powiązać CIA z dziwnymi i niewytłumaczalnymi poczynaniami Randi Russell alias Petra Vogel.

Starannie zamknęła drzwi i uważnie zbadła rozkład pomieszczenia. Wzdłuż ścian stały baterie cichutko szumiących i klikających komputerów, połączonych ze sobą wyrafinowanych serwerów, modularnych koncentratorów i routerów. Miała przed sobą serce sieci berlińskiego oddziału Federalnej Policji Kryminalnej. Każde stanowisko pracy, każdy komputer i każda drukarka w tym gmachu była połączona kablem z serwerami stojącymi w tej sali. Z tej też sali rozchodziły się wiązki szybkich, specjalnie zabezpieczonych światłowodów łączących główne systemy komputerowe, bazy danych oraz archiwa z kwaterą główną BKA w Wiesbaden.

Randi kiwnęła głową. Tak, tu powinna się znaleźć i tu się znalazła. A ponieważ Karl Zentner, ich główny technolog - informatyk, wygrzewał się na słońcu w Tajlandii, było mało prawdopodobne, żeby ktoś tracił czas na grzebanie w podlegającej mu sieci, zwłaszcza o tej porze. Dzięki sfalszowanej legitymacji służbowej i sfalszowanemu zleceniu - oraz dzięki rozbuchanej seksualności Otto Fromma - mogła pogrzebać w niej sama.

Zerknęła na zegarek. W najlepszym wypadku miała godzinę, zanim Otto nie wytrzyma, zrobi sobie przerwę na kawę i przylezie tu, żeby ją nagabywać. Musiała się spieszyć. Podeszła do stanowiska pracy w kącie sali. Po stertach na śmierć zaczytanych podręczników obsługi i dziesiątkach przyklejonych do monitora żółtych karteczek poznała, że większość czasu spędza tu sam Karl Zentner. Przystawiła sobie najbliższe krzesło, usiadła i otworzyła dyplomatkę.

Trzy z sześciu płyt kompaktowych zawierały zwykłe programy zarządzające, programy dostępu i odzyskiwania danych, jakich używano w BKA. Dwie płytki były czyste. Natomiast płytka szоста zawierała coś zupełnie innego: wyspecjalizowany, niezwykle zaawansowany program stworzony przez informatyków z Biura Badań i Wdrożeń CIA.

Cicho nucąc, wcisnęła klawisz pojedynczego odstepu, budząc uspijony monitor Zentnera.

Na płaskim, plazmowym ekranie pojawiło się logo BKA - stylizowany niemiecki orzeł z rozpostartymi skrzydłami - witając ją w sieci berlińskiego oddziału Bundeskriminalamt. Wsunęła do komputera płytkę z programem. Napęd cicho zaszumił, przelewając dane na twardy dysk.

Powitalne logo znikło.

Przez prawie minutę czekała z wstrzymanym oddechem. I nagle na ekranie pojawiło się okienko dialogowe z napisem: ładowanie ukończone SYSTEM GOTOWY.

Zesztywniały jej ramiona. Zwężyły się oczy. Miała się za chwilę przekonać, czy informatycy CIA, autorzy programu, są rzeczywiście warci więcej niż ich skromna pensja i emerytura. Jeśli okaże się, że nie, od Berlina po Wiesbaden włączą się wszystkie komputerowe systemy alarmowe.

Skupiona, ze zmarszczonymi brwiami pochyliła się do przodu i uważnie wystukała polecenie: uruchom JANUSA.

Janus, program nazwany tak od rzymskiego boga bram, drzwi, domostw i wszelkiego początku, miał po kryjomu złamać lub obejść wszystkie systemy zabezpieczające danej sieci i pokonawszy je, zidentyfikować i rozszyfrować hasła użytkowników przechowywane w pamięci serwerów. Gdyby zadziałał, mogłaby podać się za dowolnego pracownika BKA, za zwykłą urzędniczkę czy samego dyrektora naczelnego, i przeszukać ich najtajniejsze archiwa.

Przynajmniej teoretycznie.

Sęk w tym, że o ile wiedziała, Janus nie był jeszcze testowany operacyjnie. Gdyby były w nim jakieś błędy, przekonałaby się o tym jako pierwsza, i to na własnej skórze.

Przez całą wieczność komputer szumiał, mruczał i cicho popiskiwał. Macki Janusa rozpełzały się po całym systemie, najpierw po serwerach instalowanych na wszystkich piętrach gmachu, potem w komputerach w Berlinie, Bonn, wreszcie tych w kwaterze głównej BKA w Wiesbaden.

Z trudem zwalczyła pokusę, żeby wstać, trochę pochodzić i w ten sposób rozładować narastające napięcie. Chociaż zdawała sobie sprawę, że musi polegać na wiedzy i umiejętnościach kolegów z Langley, zawsze drażniła ją świadomość, że jej los zależy od kogoś innego. Wołała być panią samej siebie i nigdy tego nie ukrywała. W jej aktach osobowych figurowało kilka wpisów, które z biurokratycznym zatroskaniem odnotowywały zarówno jej

„samotniczy charakter”, jak i tendencje do naginania przepisów.

Na ekranie pojawiło się kolejne okienko dialogowe z napisem: SYSTEM

BEZPIECZEŃSTWA ZŁAMANY. WSZYSTKIE PLIKI DOSTĘPNE. ALARMU NIE WYKRYTO.

Randi oparła się wygodniej i z ulgą odetchnęła, czując, jak wiotczeją jej mięśnie ramion i karku. Weszła do systemu BKA. Pochyliła się i skupiona na kolejnej fazie operacji wprowadziła nową serię poleceń. Janus miał znaleźć i odzyskać wszystkie meldunki, raporty, akta, a nawet fragmenty korespondencji, w których pojawiało się nazwisko Wulfa Renkego.

I znowu musiała czekać, aż program odprawi swoje czary, dopasowując hasła do poziomów autoryzacji i przesiewając cyfrowe wersje papierowych akt, zarówno tych sprzed prawie trzydziestu lat, jak i tych współczesnych. Na ekranie pojawiły się jednolinijkowe streszczenia znalezionych dokumentów. Z każdą sekundą ich przybywało, przesuwały się do góry coraz szybciej i szybciej. Większość pochodziła z baz danych BKA, ale były wśród nich i dokumenty wywiadu wschodniemieckiego, które zdobyto po zjednoczeniu Niemiec.

Randi cierpliwie czekała, aż komputer znajdzie wszystkie pliki - ich lista była gigantyczna - następnie kazała mu zapisać je na płytce. Sterowana przez Janusa maszyna wykonała rozkaz, posłusznie kopiując pliki na dwie płyty kompaktowe. Ostatnie polecenie, jakie Randi wydała, usunęło program z systemu, skutecznie zacierając najbardziej oczywiste ślady jej działalności.

Gdy ekran ponownie wyświetlił powitalne logo BKA, wstała, schowała płytki do dyplomacji i ruszyła do drzwi. Zamierzała teraz pojechać do domu - kryjówki CIA i przebrać się w normalne ciuchy. Ku zaskoczeniu i konsternacji biednego Otto Fromma, Petra Vogel, namiętny wamp, specjalistka z Wydziału Informatyczno - Technologicznego BKA w Wiesbaden, miała zniknąć i już nigdy więcej się nie pojawić.

Płytki zaś trafią do berlińskiej placówki CIA, gdzie zajmą się nimi analitycy wywiadu, szukając wszelkich anomalii, tropów i wskazówek. Czegoś, co wyjaśniłoby, dlaczego Wulf Renke tak skutecznie unikał aresztowania, wymykając się niemieckim władzom.

Godzinę później jeden ze standardowych podprogramów, ukrytych głęboko w systemie komputerowym Bundeskriminalamt, rozpoczął rutynową kontrolę specjalnie oznaczonych plików, badając, czy nikt niepowołany nie próbował ich otwierać. Niemal natychmiast wykrył

szereg znaczących anomalii i zaczął je rejestrować. Zebrane przez program informacje uruchomiły część ukrytego w nim kodu i uruchomiły alarm, który za pośrednictwem automatycznej poczty elektronicznej trafił do skrzynki odbiorczej komputera nie podłączonego do sieci BKA.

Stamtąd zaszyfrowany e - mail powędrował na wschód i przemknąwszy po drodze przez kilkanaście internetowych serwerów, trafił wreszcie do odbiorcy - moskiewskiego biura Grupy Brandta.

Gerhard Lange przejrzał raport w pełnej niepokoju ciszy. Zastanawiając się nad płynącymi zeń implikacjami, ściągnął usta. Zważywszy, że raport przyszedł zaraz po raporcie donoszącym o udanej ucieczce Jonathana Smitha i Fiony Devin, sytuacja wyglądała naprawdę groźnie.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer komórki Brandta.

- Tak? - warknął szef po pierwszym sygnale. - Co znowu?

- Ktoś grzebał w aktach Renkego - ostrzegł go spokojnie Lange.

- Kto?

Lenge westchnął.

- W tym problem. Według podprogramu, który zainstalowaliśmy w systemie BKA, w ciągu dziesięciu minut pliki dotyczące Wulfa Renkego otworzyło ponad dwudziestu różnych użytkowników, łącznie z dyrektorem naczelnym. Co więcej, polecenie ich znalezienia i otwarcia zostało wydane z jednego komputera podlegającego berlińskiemu administratorowi systemu.

Brandt długo milczał. Wreszcie warknął:

- To niemożliwe.

- Ja też tak uważam - odparł cicho Lange.

- Wiem, myślisz, że to robota Amerykanów.

- To jedyne sensowne wytłumaczenie. Tylko CIA i NSA dysponują środkami technicznymi, żeby spenetrować archiwa BKA na tak dużą skalę.

No i mają motyw - zauważył niechętnie Brandt.

- Tak. Zakładając oczywiście, że naruszyli nasz system bezpieczeństwa bardziej, niż myślimy.

Brandt zacisnął zęby.

- Na to wygląda. Cóż, miejmy nadzieję, że nie dowiedzą się o tym Rosjanie.

- Jeśli Amerykanie grzebią w przeszłości Renkego - odparł Lange, starannie dobierając słowa - mogą przy okazji namierzyć naszych informatorów i współpracowników w niemieckim rządzie...

- Wiem - przerwał mu Brandt. - Posłuchaj uważnie. Zbierz ludzi i lećcie do Berlina. Jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj.

- Z jakimi rozkazami?

- Znaleźć i zlikwidować tych, którzy zagrażają bezpieczeństwu Hydry - odparł

łodowatym głosem Brandt. - Bez względu na koszty.

ROZDZIAŁ 20

Waszyngton, D.C.

Hotel Hay - Adams na placu Lafayette'a naprzeciwko Białego Domu należy do najbardziej znanych gmachów w Waszyngtonie. Jego pięknie urządzone apartamenty, restauracje i sale bankietowe od prawie osiemdziesięciu lat przyciągają wszelkiego rodzaju osobistości, wpływowych polityków,

wysokich urzędników rządowych, prezydenckich doradców, słynnych aktorów i dyrektorów największych firm.

Jego najlepsza restauracja, Lafayette Room, słynie z nagradzanych na konkursach dań i najprzedniejszych win. Od prawie roku restauracja ta była ulubionym miejscem spotkań grupy wpływowych członków komitetu do spraw wywiadu i służb wojskowych izby reprezentantów i senatu. Raz w tygodniu przychodzili tu na „roboczy lunch” w towarzystwie wysokiej rangi analityków i doradców z Pentagonu, CIA i Departamentu Stanu. Te regularne spotkania były okazją do wymiany informacji w bardziej przyjaznych, swobodnych warunkach, do przyciszonej polemiki politycznej, a czasem do spięć personalnych, ostrych, lecz w sumie łagodniejszych niż te, w jakich uczestniczyli na Kapitolu.

W sterylnie czystej restauracyjnej kuchni pracował rumuński imigrant Dragos Bratianu, nowy specjalista od sosów, wprawnie mieszając w dużej misce groszek cukrowy, szparagi i zieloną fasolkę z kilkoma łyżeczkami świeżo posiekanego szczypiorku i estragonu. Właśnie kończył specjalną sałatkę dla wysokiego urzędnika z Departamentu Stanu, jednego z najwybitniejszych ekspertów od rosyjskiej polityki zagranicznej.

Zaryzykował i ukradkiem zerknął przez ramię. Jego ubrani w białe fartuchy koledzy i koleżanki byli zajęci przygotowywaniem potraw dla czekających w sali gości. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Zaszło mu w ustach. Teraz. Nadarzała się okazja.

Włożył rękę do kieszeni fartucha i wyjął małą fiolkę z przezroczystego szkła. Jednym szybkim, zdecydowanym ruchem otworzył ją i wlał jej zawartość do miski z sałatką. Następnie skropił sałatkę oliwą z orzechów włoskich, jeszcze raz ją wymieszał i trącił ręką przycisk dzwonka.

Weszła kelnerka.

- Tak, szefie?

- Salade de Printemps na stolik numer pięć - powiedział spokojnie Bratianu.

Bez chwili zwłoki kelnerka postawiła miskę na srebrnej tacy, otworzyła wahadłowe drzwi i zniknęła w eleganckiej sali jadalnej. Rumun odetchnął. Właśnie zarobił kolejne dwadzieścia tysięcy dolarów - dwadzieścia tysięcy wolnych od podatku, które pojawią się na jego koncie w panamskim banku, kiedy tylko zamelduje o sukcesie kontrolerowi.

Kolejny szczerp Hydry wędrował ku swemu przeznaczeniu.

Moskwa

Wodootwodnyj Kanał biegnie szerokim łukiem od wschodu na zachód i mniej więcej kilometr na południe od Kremla łączy się z rzeką Moskwą. Kanał ten jest granicą Zamoskworiecza, dzielnicy, gdzie z każdym rokiem przybywa obcokrajowców, głównie europejskich i amerykańskich

biznesmenów i ich rodzin. Wzdłuż jego południowego brzegu stoi rząd jasnożółtych, dwu- i trzypiętrowych domów. Zbudowane jako luksusowe domy miejskie już dawno temu zostały podzielone na mniejsze apartamenty i mieszkania.

W saloniku jednego z takich mieszkań od okna odwrócił się właśnie podpułkownik Jonathan Smith. Dochodziła północ i ciemne ulice były już niemal całkowicie opustoszałe. Przed domem przejechał milicyjny radiowóz. Przejechał, skręcił na prowadzący do Kremla most i jego czerwone światła zniknęły w gęstym, zimowym mroku. Jon zaciągnął zasłony i spojrzał na Kirowa.

- To bezpieczna meta? - spytał. - Na pewno?

Rosjanin wzruszył ramionami.

- Na pewno? Nie. Tego nie mogę obiecać. Ale najbezpieczniejsza, jaką mogłem znaleźć w tak krótkim czasie. - Uśmiechnął się lekko. - Właściciel jest moim starym przyjacielem. Dużo mi zawdzięcza, w tym życie i wolność. Ale za moim wyborem najbardziej przemawiało to, że większość jego lokatorów to ważni dyrektorzy, którzy przyjeżdżają do Moskwy na krótkoterminowe kontrakty, konferencje, i tak dalej. Ty i Fiona nie będziecie przynajmniej rzucać się w oczy.

Jon przyczesał ręką włosy. Kirów miał rację. Sąsiad, który zobaczy coś niezwykłego - lub kogoś obcego - łatwo nabiera podejrzeń i natychmiast dzieli się nimi z odpowiednimi władzami.

Ale jeśli w tym czy innym domu mieszkają sami obcy, nie ma na kogo donosić. Tak, w miejscu takim jak to nie zwrócą na siebie niepotrzebnej uwagi.

- Jak długo możemy tu zostać, żeby nie narobić kłopotów tobie i twojemu przyjacielowi?

- Dwa, trzy dni - odrzekł Kirów. - Może trochę dłużej. Potem trzeba będzie przenieść was gdzie indziej, może nawet poza miasto.

- A co będzie z tobą? - spytała cicho Fiona. Błada i wycieńczona po krwawym zamieszaniu w karetce, siedziała na sofie, uważnie ich obserwując. Na stoliku do kawy leżały notatki Eleny Wiedienskiej i notes, w którym razem z Jonem zapisywała roboczą wersję tłumaczenia obcego, miejscami zupełnie niezrozumiałego żargonu medycznego. Pracę przerwało im nadejście Kirowa, który wrócił z miasta z szybkich zakupów. Przyniósł jedzenie i przybory toaletowe. Z zakupem nowych ubrań musieli zaczekać do rana.

- Ze mną? - Kirów pokręcił głową. - Mnie nic nie grozi. Jestem pewien, że ci, którzy na was polują, nie widzieli mojej twarzy. - Pociemniały mu oczy. - A przynajmniej ci, którzy jeszcze żyją.

- A ta terenówka? Nie dojdą przez nią do ciebie?

- Nie - odparł z przekonaniem Kirów. - Kupiłem ją za gotówkę, przez pośrednika. Numer rejestracyjny nic im nie da.

- Jest jeden problem - rzucił Smith. Kirów uniósł brew.

- Tak? Jaki?

- Kiedyś pracowaliśmy razem, tu i w Waszyngtonie. Przymierze Kasandry. Pamiętasz? Ci ludzie, kimkolwiek są, znają moje nazwisko i wiedzą, czym się zajmuję. Może nie do końca, ale wiedzą. I prędzej czy później mogą zacząć wypytywać o niejakiego Olega Kirowa, byłego generała Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

- Mało prawdopodobne. - Rosjanin błysnął zębami w uśmiechu. - Widzisz, przed odejściem z FSB dopilnowałem, żeby moje akta osobowe zostały... wyczyszczone. Zapewniam cię, że ktoś, kto pojechałby dzisiaj na Łubiankę i dokładnie je przekopał, nie znalazłby w nich żadnej wzmianki na temat moich związków ze złej sławy pułkownikiem Jonathanem Smithem. -

Wzruszył ramionami. - Poza tym, jeśli pamiętasz, szczegóły naszej chwilowej współpracy znało ledwie kilka osób.

Jon kiwnął głową. Tak, pamiętał.

Nagle ogarnęło go potworne zmęczenie. Przeszedł przez pokój i opadł na zniszczony fotel naprzeciwko Fiony. Adrenalina przestała działać i był teraz słaby i wyczerpany. Potrzebował odpoczynku i z ulgą usiadł, chociaż na kilka minut. Spojrzał na Kirowa.

- Dobra, powiedzmy, że jesteś czysty. To dobrze. To bardzo dobrze. Ale chciałbym wiedzieć, jaką rolę odgrywasz w całym tym bałaganie. - Uśmiechnął się ze znużeniem. - Nie, żebym narzekał, nie po tym, jak uratowałeś nam głowy. Jestem po prostu ciekaw, jakim cudem się tam zjawiłeś. W dodatku w ostatniej chwili, uzbrojony i w samochodzie, którego właściciela nie da się namierzyć.

- Fiona prosiła mnie, żebym dyskretnie ubezpieczał was podczas spotkania z Wiedzienską

- wyjaśnił spokojnie Kirów. - A ja tę prośbę chętnie spełniłem.

- Oleg prowadzi prywatną firmę ochroniarską - wtrąciła Fiona. - A raczej ochroniarsko -

konsultingową. Doradza tym, którzy chcą rozpocząć działalność gospodarczą w Moskwie. - Po raz pierwszy odkąd próbowano ich uprowadzić, w jej oczach rozbłysły wesołe iskierki. - I ma bardzo różnych klientów...

- W tym tajemniczego pana Kleina - dodał z szerokim uśmiechem Kirów. - Jak z tego widać, znowu jesteśmy kolegami.

Kawałki układanki zaczęły układać się w logiczną całość. Kirów, były oficer FSB, był

jednym z moskiewskich współpracowników Fiony, starannie wybranym agentem Tajnej Jedynki.

Na emeryturze czy nie, można było bezpiecznie założyć, że wciąż ma zaufanych przyjaciół na każdym szczeblu rosyjskiego rządu. Nic dziwnego, że Fiona tak szybko zdążyła przeświecić lekarzy z listy potencjalnych informatorów. Nic też dziwnego, że KGB - owskie akta Wiedzińskiej zostały tak dokładnie wyczyszczone. Ciekawe ile jeszcze akt Kirów wyczyścił, zanim Dudarew „wyczyścił” jego?

Jon przyglądał mu się bez słowa. Jak ten wysoki, lojalny oficer rosyjskich służb bezpieczeństwa, wojskowych i cywilnych, a obecnie właściciel prywatnej firmy ochroniarskiej czy konsultingowej, godził przeszłość z pracą dla amerykańskiego wywiadu? Przypadki podwójnej lojalności często kończyły się źle. Agenci, nawet ci najlepsi, nie wytrzymywali pod wpływem stresu, który kazał im wybierać między abstrakcyjnymi ideałami i o wiele bliższymi związkami krwi. Nie zastanawiając się, jak to zabrzmiał, ujął myśli w słowa.

- Wciąż jestem rosyjskim patriotą, Jon - odparował Kirów przez mocno zaciśnięte zęby. -

Ale nie patriotą ślepym czy bezmyślnym. Dudarew i jego zwolennicy spychają moją ojczyznę w mrok, wiedzą ją ku tyranii, która może sprowadzić na nas tylko jeno: klęskę. Jeśli więc nie szkodzi to interesom mojego kraju, nie widzę nic złego w tym, że mogę ci pomóc.

- Był bardzo spięty. Mówiąc, ani razu nie mrugnął. - Walczyliśmy kiedyś ramię w ramię, razem przelewaliśmy krew. Dlatego proszę, żebyś zaufał mi raz jeszcze. Czy to za dużo po tym, co dla was zrobiłem, dla ciebie i Fiony?

- Nie - przyznał Smith, zdając sobie sprawę, jak bardzo go dotknął. Wstał i spojrzał mu prosto w oczy. - Przepraszam - dodał cicho, wyciągając do niego rękę. - Nie miałem prawa wątpić w twój honor i prawość.

- Na twoim miejscu ja też bym wątpił - odrzekł Rosjanin. - Nieufność czy podejrzliwość to część niebezpieczeństw nieodłącznie związanych z naszą grą. Z grą szpiegów i agentów.

Mocno zmieszani uścisnęli sobie ręce.

- No, dobrze, Jon - powiedziała Fiona, nie mogąc ukryć rozbawienia.

- Skoro już ustaliliście, że obydwaj jesteście lojalni i godni zaufania, jak niedościgniony wzór cnót, może byś tak pomógł mi z tymi notatkami?

- Ruchem głowy wskazała rozrzucone na stoliku papiery. - Rosyjski znam dobrze. Ale moja znajomość żargonu medycznego jest prawie zerowa. Jeśli nie wyjaśnisz mi, co to wszystko znaczy, za nic nie przełożę tego na nasze.

Jon uśmiechnął się, ze skruchą przyjmując nagane. Zaczerwienił się lekko, usiadł na sofie i wziął notatki.

- Możesz zaczynać, kiedy tylko zechcesz - powiedział. - Mój umysł jest do pani dyspozycji, panno Devin.

Kirów zachichotał i poszedł do kuchni, żeby rozpakować zakupy, lecz już po chwili wystawił głowę zza drzwi, żeby spytać, czy napiją się herbaty. Fiona i Jon byli śpiący, więc chętnie przyjęli poczęstunek. Wstawiwszy wodę, Oleg dołączył do nich i we troje zaczęli przebijać się przez gęsto zapisano cyrylicą kartki, próbując rozszyfrować przeróżne skróty, w tym skróty stenograficzne, jakich używali Wiedienska i współpracujący z nią lekarze.

Ta mozolna, nużąca praca zajęła im wiele godzin; siedzieli tak prawie do rana. Chociaż trudne do odczytania, a momentami zupełnie nieczytelne, notatki Wiedienskiej były nadzwyczaj dokładne. Badaczka wyszczególniła w nich wszystkie możliwe dane dotyczące pierwszych czterech ofiar: ich nazwiska, wiek, płeć, status socjoekonomiczny, znaczące cechy fizyczne i psychiczne. Załączyła również szczegółowy opis przebiegu tajemniczej choroby od chwili przyjęcia pacjenta do szpitala do chwili śmierci. Były tam wyniki wszystkich możliwych testów, w tym protokoły sekcji zwłok wraz z dokładną, wielopłaszczyznową analizą danych.

Wreszcie Smith oparł się wygodniej z pełnym rezygnacji westchnieniem. Zaczerwienione oczy piekły go tak bardzo, jakby potarł je papierem ściernym, przy najmniejszym ruchu bolał go zeszywniały kark i ramiona.

- No i co o tym myślisz? - spytała Fiona.

- Wiedzieli tyle samo, co my, czyli nic - odparł bez ogródek Jon. - Te notatki potwierdzają tylko to, co przed śmiercią powiedział mi Pietrenko. Ofiary się nie znały. Mieszkały w różnych, oddalonych od siebie dzielnicach Moskwy albo na przedmieściach. Nie miały wspólnych przyjaciół czy znajomych. Każda z nich żyła w innych warunkach społecznych, każda pracowała gdzie indziej. Nie widzę tu nic, co można by uznać za naturalny wektor.

- Wektor?

- Wektor to człowiek, zwierzę czy mikroorganizm, który przenosi daną chorobę - wyjaśnił Jon.

Kirów zmrużył oczy.

- To ważne? - spytał.

- Nawet bardzo, ponieważ wskazuje, że choroba ta nie jest chorobą naturalną. To, co zabiło tych ludzi, mogło powstać na przykład w laboratorium, przypadkiem lub celowo, a potem...

Urwał, intensywnie myśląc. Mocno zacisnął usta.

- Co się stało? - spytała Fiona.

- Przyszła mi do głowy bardzo paskudna myśl - odrzekł cicho Jon. - Posłuchajcie: zarażeni nią moskwianie różnią się od siebie tak, że bardziej się nie da, prawda?

Fiona i Kirów bez słowa skinęli głową.

- Różnią się tak zasadniczo, jakby wybrano ich do celów eksperymentalnych, jako króliki doświadczalne do przetestowania jakiegoś śmiertelnośnego organizmu czy procesu na ludziach w różnym wieku, różnej płci i o różnym metabolizmie.

- Rzeczywiście, paskudna myśl... - odparła posępnie Fiona. Uniosła brwi. - Myślisz o tej zasłyszanej przez Wiedenską plotce, o tym niemieckim naukowcu?

- Tak. Jeśli Wulf Renke żyje, wybuch tej choroby może być próbą jakiejś potwornej broni biologicznej, którą ten zboczony sukinsyn wynalazł. To by do niego pasowało. - Bezwładnie opadły mu ramiona. - Ale nawet, jeśli tak jest, nie posunęliśmy się ani o krok dalej. Opisane, przez Wiedenską przypadki nie układają się w żaden konkretny wzór. Nie zawierają żadnych danych, na których podstawie moglibyśmy ustalić, skąd ta choroba się bierze, w jaki sposób zabija ofiarę i jak jest przenoszona.

- I tym sposobem dochodzimy do niepokojącego paradoksu - zauważył spokojnie Kirów.

Miał zimne oczy. - Jeśli notatki Wiedenskiej są zupełnie bezużyteczne, dlaczego zamordowano aż tylu tych, którzy chcieli, żebyś się z nimi zapoznał?

ROZDZIAŁ 21

10 lutego Berlin

Leżące osiemnaście kilometrów na południe od centrum lotnisko, Brandenburg International, wciąż tonęło w porannej mgle, gdy na pasie 25R wylądował mały samolot pasażerski. Dwa silniki odrzutowe zawyły na odwróconym ciągu, gdy maszyna zwolniła i potoczyła się wzdłuż rzędu czerwono - zielonych świateł na obrzeżach długiego, betonowego pasa. W połowie drogi do jasno oświetlonego kompleksu terminali pasażerskich samolot skręcił, pokołował w stronę luku towarowego w pobliżu olbrzymiego hangaru technicznego Lufthansy, wreszcie się zatrzymał.

Kilkanaście metrów dalej na mokrym, lśniącym asfalcie parkowało czarne bmw.

Z samolotu wysiadło czterech szczupłych, wysportowanych mężczyzn w futrzanych czapkach. Wysiadło i szybkim krokiem ruszyło do czekającego samochodu. Każdy z nich niósł

lekką torbę podróżną, żaden nie miał bagażu. Ich zimne, czujne oczy były w ciągłym ruchu, omiatając okolicę w poszukiwaniu zagrożenia czy czegoś, co mogłoby zapowiadać kłopoty.

Z bmw wysiadł piąty mężczyzna. Niższy, bardziej krępy i trochę od nich starszy, powitał

ich przywódcę chłodnym, formalnym skinieniem głowy.

- Witam w Berlinie, mein Herr - powiedział. - Jak tam w Moskwie? Ładnie?

- Ciemno i zimno - odparł ponuro Lange. - Tak jak tutaj. - Poprawił czapkę. - Formalności celne

załatwione? Papiery są? - Co do jednego.

Władze nie przysporzą wam żadnych kłopotów.

- Znakomicie. - Lange z zadowoleniem kiwnął głową. - A sprzęt? Jest?

- W bagażniku - odrzekł mężczyzna.

- Pokaż.

Całą piątką podeszli do bmw. Mężczyzna teatralnym gestem otworzył duży bagażnik i odsunął się na bok.

W środku stało pięć metalowych kuferków. Cztery z nich zawierały broń. Lange uśmiechnął się ponuro na widok pistoletów maszynowych Hecklera & Kocha, pistoletów Walthera, zapasowych magazynków, kostek plastiku, detonatorów i zapalników czasowych. W

piątym kuferku były kamizelki kuloodporne, sprzęt łącznościowy, czarne kombinezony, kamizelki bojowe oraz ciemnozielone berety podobne do tych, jakie nosili żołnierze elitarnego niemieckiego oddziału antyterrorystycznego GSG - 9. Widać było, że Brandt nie chce ryzykować. Wyposażył myśliwych na niemal każdą okazję.

- Znacie już cel? - spytał ciekawie ten z bmw.

Lange zacisnął cienkie usta.

- Jeszcze nie. - Zamknął bagażnik i się cofnął. - Ale już wkrótce z Moskwy nadejdą rozkazy.

Kazachstan

Na północ od rzeki Derkuł ciągnęło się pasmo niskich, nagich wzgórz. Ich szczyty były porośnięte rzadkimi kępami karłowatych drzew, zbocza wysoką, suchą trawą. Po drugiej stronie rzeki teren był zupełnie płaski i ciągnął się na południe aż po horyzont. Był to północno -

zachodni skraj szerokich stepów, które pokrywały niemal cały Kazachstan.

Porucznik Specnazu Juri Tomofiejew leżał ukryty w wysokiej trawie tuż pod szczytem jednego ze wzgórz. W brązowo - beżowym polowym mundurze maskującym i kapturze wtapiał

się w teren do tego stopnia, że z odległości dwudziestu metrów był zupełnie niewidoczny. Przez silną lornetkę obserwował biegnącą równoległe do rzeki szosę i tory kolejowe. Po chwili opuścił

ją i zerknął na czuwającego obok podwładnego.

- Godzina: 0700. Dwie dziesięcotonowe cywilne ciężarówki i jeden pełny autobus. I jeszcze czarna wołga, najprawdopodobniej służbowa. Prędkość: około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Kierunek: na wschód, do Uralska. Droga na zachód wciąż pusta.

Choraży Pausin posłusznie zanotował to w małym notesie, dodając kolejny punkt do długiej listy pojazdów i pociągów, jakie widzieli tu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

- Zapisalem, panie poruczniku - zameldował.

- Długo jeszcze będziemy siedzieli tu na dupie i liczyli te pieprzone samochody i lokomotywy? - mruknął trzeci żołnierz leżący kilka metrów dalej; był uzbrojony w AKSU - 74, automatyczny karabin szturmowy, nieco krótszą wersję klasycznego kałasznikowa.

- Dopóki wam każe - odparł krótko Timofiejew. Wzruszył ramionami. - I dopóki kwatera główna nie przyśle nam innego rozkazu przez to cacuszko. - Delikatnie poklepał pudło przenośnej radiostacji dalekiego zasięgu ukrytej w zwiędłej trawie tuż obok niego.

Wszyscy trzej komandosi, doświadczeni, zaprawieni w czeczeńskich bojach weterani, byli członkami specjalnej grupy rozpoznania taktycznego. Dwa dni wcześniej przekroczyli nocą kazachstańską granicę i założyli ukryte stanowisko obserwacyjne w pobliżu skrzyżowania dwóch głównych szos i linii kolejowej na północny wschód od rzeki. Mieli monitorować ruch drogowo -

kolejowy, zwracając szczególną uwagę na patrole wojskowe i graniczne. Większość słabo uzbrojonej i wyposażonej armii kazachskiej stacjonowała daleko na wschód stąd, na granicy z Chinami.

- Czysta strata czasu - powiedział ten trzeci, znudzony i wyraźnie niezadowolony sierżant Biełukow.

- Wolałbyś uganiać się za muhadżami? - spytał z uśmiechem Pausin, mając na myśli mudżahedinów, twardych, nieustraszonych partyzantów z Czeczenii.

- O Chryste... - Biełukow zadrżał. Ich ostatnia tura w Czeczenii była ciągnącym się w nieskończoność koszmarem pełnym zdradzieckich zasadzek i niespodziewanych, gwałtownych ataków, podczas których obydwie strony ponosiły bardzo wysokie straty w ludziach. - Ale po jaką cholere my tu siedzimy? To bez sensu. Chyba, że nasi szykują inwazję, wtedy to tak. Tylko właściwie po co nam to? - Pogardliwym machnięciem ręki wskazał pusty, ponury step ginący w szarówce dnia.

- Po co? - powtórzył cicho Tomofiejew. - Kazachstan był kiedyś nasz. Prawie połowa Kazachów to etniczni Rosjanie, nasza krew. Poza tym, są tu olbrzymie złoża ropy, gazu, łupków bitumicznych, złota, chromu i uranu, skarby, o jakich marzy nasz prezydent...

Urwał, słysząc za plecami ciche rżenie konia. Wszyscy trzej odwrócili się zaskoczeni i zobaczyli małego chłopca, który przyglądał im się ze zdumieniem ze szczytu wzgórza.

Miał nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat, był w długiej, wełnianej kurtce, luźnej, białej koszuli i workowatych, brązowych spodniach przewiązanych w pasie grubym sznurem.

Wyglądał jak kazachski pasterz. W rękach ścisnął wodze kudłatego konia stepowego, który właśnie pochylił łeb i trącił pyskiem kępkę zwiędłej trawy. Na siodle miał zwiniętą matę, namiot i zapasy jedzenia.

Timofiejew i jego podwładni ostrożnie wstali.

- Co ty tu robisz? - warknął porucznik. Powolnym, niemal niedostrzegalnym ruchem jego ręka powędrowała do kabury u pasa. - No?

- Sprawdzamy z tatą pastwiska, wiosna idzie - odrzekł szybko chłopiec, gapiąc się na nich wytrzeszczonymi oczami. - Nasze stada zimują pod Orałem i zanim je popędzimy, musimy sprawdzić, gdzie jest najlepsza trawa.

- Tato też tu jest? - spytał łagodnie Timofiejew.

- O nie. - Chłopiec dumnie pokręcił głową. - Pojechał na zachód. Te wzgórza to moja działka.

- Dobry z ciebie syn - mruknął z roztargnieniem Timofiejew. Szybkim ruchem wyciągnął z kabury pistolet - makarowa P6 z tłumikiem - trzasnął zamkiem, wymierzył i pociągnął za spust.

Trafiony w pierś chłopiec zachwiał się pod wpływem uderzenia. Przerażony, jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy, patrząc na swoją zakrwawioną koszulę. Osunął się powoli na kolana.

Tomofiejew przeładował broń i wystrzelił ponownie, tym razem celując w głowę.

Chłopiec runął na ziemię i zwinięty w kłębek znieruchomiał w wysokiej trawie.

Jego koń niespokojnie zarżał. Poczul gorący, miedziany zapach świeżej krwi, ogarnięty paniką stanął dęba i pogalopował za wzgórze. Biełukow zaklął i wraz z kolegami popędził za nim.

Stanąwszy na szczycie wzgórza, przytknął do ramienia kolbę karabinu i wymierzył w uciekającego konia. Kciukiem przesunął skrzydełko selektora, ustawiając broń na ogień ciągły.

- Nie! - Zanim zdążył wypalić, Timofiejew zbił mu lufę w dół. - Za duży huk. Im dalej ucieknie, tym lepiej dla nas. Jak przyjdą szukać chłopca, nie będą wiedzieli, gdzie zacząć.

Biełukow ponuro kiwnął głową.

- Idź tam z Pausinem i wykop dół. - Porucznik wskazał najbliższą kępę drzew. - Jak go pochowacie, zamelduję dowództwu, że zmieniamy pozycję.

- Nie lepiej wycofać się za granicę, do naszych? - spytał zaskoczony Biełukow. -

Niedługo będą tu Kazachowie.

- Mamy rozkazy - przypomniał mu lodowato Timofiejew. Wzruszył ramionami. - Ta godna ubolewania śmierć ich nie zmieni. Kiedy bomba pójdzie w górę, będzie jeszcze więcej niewinnych ofiar. Taka jest wojna.

ROZDZIAŁ 22

Berlin

Randi Russell wbiegła na drugie piętro ambasady, pokonując po trzy stopnie naraz. Na półpiętrze przystanęła, żeby przypiąć do piersi identyfikator ze zdjęciem. Potem pchnęła drzwi ewakuacyjne, skręciła w lewo, w szeroki korytarz, i energicznym krokiem pomaszerowała przed siebie. Zagonieni urzędnicy ze stertami formularzy wizowych i innymi dokumentami w rękach szybko schodzili jej z drogi.

Na spotkanie wyszedł jej żołnierz piechoty morskiej czuwający przed drzwiami sali konferencyjnej. Z ręką na kaburze, uważnie przyjrzał się zdjęciu na identyfikatorze i kiwnął głową.

- Proszę wejść. Pan Bennett już czeka.

Gdy weszła, Curt Bennett, szef grupy techników przysłanych do Berlina z Langley, ledwo na nią zerknął. Zmęczony, nieogolony, z zaczerwienionymi oczami i zmierzwionymi włosami siedział przed dwoma połączonymi komputerami na końcu długiego stołu. Wraz ze swoimi pracownikami przesiedział całą noc nad dokumentami, które skopiowała z archiwów Bundeskriminalamt. Wszędzie stały papierowe kubki z zimną kawą. Na stole, na podłodze, a nawet na krzesłach wały się puste i na wpół opróżnione puszki po napojach. W sali panował

nieprzyjemny zaduch.

Randi przystawiła sobie krzesło i usiadła.

- Wzywałeś mnie - powiedziała. - Znaleźliście coś?

Bennett, niski, ruchliwy, prawie łysy okularnik, uśmiechnął się krótko, lecz szeroko.

- Ci z BKA mają u siebie bardzo niegrzecznego chłopczyka - odparł. - Ten chłopczyk musi bardzo lubić Renkego.

Randi odetchnęła, jakby z ramion zdjęto jej monstrualny ciężar. Im dłużej studiowała przeszłość Wulfa Renkego, tym bardziej była przekonana, że przez cały czas chronił go ktoś z niemieckich służb wywiadowczych, w dodatku ktoś wysoko postawiony. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że po upadku muru tak łatwo uniknął schwymania? Albo to, że bez żadnych przeszkód jeździł, gdzie chciał, że był w najbardziej bandyckich państwach świata, w Iraku, Korei Północnej, Syrii, Libii i wielu innych?

Oczywiście przecucie to jedno. Włamanie się do tajnych archiwów BKA i narażanie kariery to drugie. Dlatego słysząc, że ryzyko się opłaciło, odczuła wielką ulgę. Gdyby akcja nie wypaliła, lub

gdyby Bennett nie znalazł nic w dokumentach, szefowie Langley mogli rzucić ją wilkom na pożarcie. A tak udowodniła im przynajmniej, że miała rację.

Nachyliła się ku niemu.

- Pokaż.

- Większość ściągniętych przez Janusa plików to szajs. - Palce Bennetta zatańczyły na klawiaturze, błyskawicznie przywołując na ekran dokument za dokumentem i równie szybko wysyłając je na powrót do elektronicznej otchłani niebytu. - Nuda, standard. Prawie dokładnie to samo, co mamy na Renkego w naszych bazach danych: zarejestrowane przez agentów plotki, pogłoski, niepotwierdzone doniesienia o jego ruchach, rutynowe analizy uzupełniające starszych analityków, cały ten dżez.

- Więc czym różnią się te od tych naszych? - spytała Randi.

- Tym - odrzekł z uśmiechem Bennett - że w systemie komputerowym BKA grasują...

duchy.

- Aha, duchy - powtórzyła spokojnie Randi. - Duchy?

- Skasowane e - maile i pliki - wyjaśnił Bennett. - Widzisz, większość edytorów tekstu i programów zarządzających ma jedną wspólną wadę; przynajmniej z punktu widzenia kogoś, kto chce pozbyć się niewygodnych materiałów.

- To znaczy?

Bennett wzruszył ramionami.

- To znaczy, że stukasz w klawisz i puf! - plik znika. Rzecz w tym, że naciskając klawisz, wcale nie rozłożyłaś go na czynniki pierwsze, na nieczytelne bity i bajty. Plik zostaje po prostu przesunięty i spokojnie czeka, aż na dysku zabraknie miejsca. Gdy go zabraknie, system zapisze na nim nowe dane, jednocześnie kasując poprzednie. Ponieważ większość plików, w tym e -

maile, nie zajmują tak dużo miejsca, zwłaszcza w wielkich, połączonych w sieć systemach, zapisane w nich informacje wciąż tam są i prawie w nienaruszonym stanie można odzyskać je za pomocą odpowiedniego oprogramowania.

- Hm, niech no zgadnę - wtrąciła oschle Randi. - Dołączyliście to oprogramowanie do Janusa. Tak?

- Otóż to.

- Ale są przecież programy, które potrafią skasować plik na amen.

- Są i wiele prywatnych firm i agencji rządowych codziennie ich używa. Ale prawie nikt nie zawraca

sobie głowy szperaniem i wyszukiwaniem starych, pozornie usuniętych już plików, które nagromadziły się z czasem w zakamarkach systemu.

- I to są te „duchy”, tak?

- Tak. W ten sposób odkryliśmy, że ktoś z BKA chroni Renkego. Spójrz tylko na to. To fragment jednego z pierwszych zapisów na jego temat. - Wprowadził do komputera kilka poleceń i na ekranie pojawił się kolejny dokument.

Strona po stronie, Randi przeczytała go bez słowa. Była to cyfrowa wersja oficjalnych, wschodnioniemieckich akt personalnych, łącznie z czarno - białym zdjęciem Renkego, jego odciskami palców, szczegółowym rysopisem, metryką oraz krótkim CV. Zdjęcie pokazywało okrągłą twarz mężczyzny o ciemnych, kręconych włosach, gęstych, krzaczastych brwiach i obfitym podbródku.

- To z jego aktualnej teczki - wyjaśnił beznamiętnie Bennett. - BKA wysłała te materiały do zachodnich agencji zainteresowanych tropieniem Renkego, na przykład do nas, do FBI czy do MI - 6, krótko mówiąc, do wszystkich tych, którzy zwrócą się do niemieckiego rządu z prośbą o pomoc - Rozumiem, że istnieją również inne akta, tak? - domyśliła się Randi. - Wcześniejsza wersja tych, które ktoś skasował.

Bennett kiwnął głową.

- Uważaj. - Zastukał w klawiaturę i na ekranie sąsiedniego monitora ukazał się zestaw wschodnioniemieckich dokumentów.

Randi porównała je, spoglądając to na jeden ekran, to na drugi. Zdumiona uniosła brwi.

- Chryste - wymamrotała.

Zdjęcie dołączone do tych oryginalnych pokazywało kogoś zupełnie innego, szczupłego mężczyznę o siwych włosach i starannie przystrzyżonych wąsach i brodzie. Rysopis całkowicie pasował do zdjęcia, poza tym, już na pierwszy rzut oka było widać, że do późniejszej wersji akt dołączono zupełnie inne odciski palców.

- Nic dziwnego, że nie mogli go złapać - powiedziała z goryczą Randi.

- Dzięki tym fałszywkom szukaliśmy nie tego, kogo trzeba, pewnie kogoś, kto już nie żyje, i to co najmniej od 1989. Dlatego prawdziwy Renke może spokojnie jeździć po całym świecie. Dobrze wie, że jego twarz i odciski palców nie uruchomią żadnych alarmów.

- Właśnie. - Bennett delikatnie poklepał jeden z komputerów. - A im dłużej grzebiemy w twoich materiałach, tym więcej mamy dowodów, że ktoś konsekwentnie i skutecznie go osłania.

To jeden i ten sam człowiek. Robi to już od piętnastu lat, zmieniając każde doniesienie na jego temat i myląc każdy trop. A ci, co tymi tropami szli... Szukaj wiatru w polu.

Randi przyjrzała się mu zmrużonymi oczami.

- Dobra, Curt - powiedziała z uśmiechem. - Wiem, że coś wiesz i chcesz mi zaimponować. Wal. Kto to jest? Kto go kryje?

- Niejaki Ulrich Kessler - odparł rzeczowo Bennett. - Jego odciski palców, hasła i IP jego komputera, są na wszystkich usuniętych plikach. No i pracując na tym stanowisku, mógł pomóc Renkemu uniknąć aresztowania po upadku muru.

- Jak to?

- To on prowadził wtedy śledztwo w jego sprawie. Od bardzo obiecującego początku do haniebnego i frustrującego końca.

- Cudownie. Po prostu cudownie. - Randi popatrzyła na ekran monitora i z odrazą pokręciła głową. - Gdzie ten sukinsyn teraz jest?

- Tutaj, w Berlinie - odrzekł Bennett. - Dostawał awans za awansem.

- Uśmiechnął się cynicznie. - Pewnie w nagrodę za tę pierwszą wielką wpadkę, oczywiście zakładając, że Niemcy pracują tak samo jak my.

- No, mów - mruknęła Randi. - Uwielbiam złe wiadomości.

- Ulrich Kessler jest dzisiaj wysokim urzędnikiem BKA - powiedział cicho Bennett. -

Bardzo wysokim. Prawą ręką ministra Spraw Wewnętrznych.

ROZDZIAŁ 23

Prowadzący klucza 164. Gwardyjskiego Pułku Bombowego

Podwójnie usterzony myśliwiec szturmowy Su - 34 leciał z rykiem nad łagodnymi wzgórzami na południowy - zachód, mknąc przez czarną noc z prędkością prawie ośmiuset kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu lekko dygotał wstrząsany zmiennymi prądami zimnego i cieplejszego powietrza.

Pilot - dowódca siedział po lewej stronie szerokiej kabiny, nawigator - operator systemu uzbrojenia po prawej. W obcisłych kombinezonach ciśnieniowych, całkowicie skupieni na wykonywanym zadaniu, obydwaj spływali potem. Dzięki podświetlonym łagodnym światłem wielofunkcyjnym wskaźnikom mogli na bieżąco śledzić stan wszystkich najważniejszych systemów maszyny. Jednakże pilot, dowódca dywizjonu, atletycznie zbudowany major Rosyjskich Sił Powietrznych, przez cały czas wpatrywał się w zaopatrzonego w noktowizor wyświetlacz przezierny, uważnie obserwując niebo i ziemię.

Żeby uniknąć wykrycia przez wrogie radary, lecieli na wysokości niecałych stu metrów, co -

zważywszy prędkość maszyny - nie pozwalało na żadne błędy. Z zielonkawej ciemności mknęły ku nim małe oazy światła, odizolowane wioski i samotne gospodarstwa - mknęły i błyskawicznie znikwały pod brzuchem maszyny.

- Dwadzieścia kilometrów do celu głównego - zameldował spokojnie nawigator, młody lotnik w stopniu kapitana. Wcisnął przycisk na konsolcie przy prawym kolanie. - Włączam znacznik.

- Zrozumiałem - mruknął major, niecierpliwie mrugając, żeby przestało go piec oko, do którego wpadła kropelka potu. Na wyświetlaczu HUD, kilka stopni w lewo od ich aktualnego kursu, pojawił się mały kwadrat, znacznik wygenerowany przez komputer pokładowy, graficzny wskaźnik współrzędnych celu. Major pociągnął za dźwizek. Weszli na dwa tysiące metrów, lekko skręcili i znacznik wpadł na środek ekranu wyświetlacza.

Na horyzoncie pojawiła się blada luna. Miasto. Zbiegała się tam coraz gęstsza sieć dróg i torów przecinających mroczny krajobraz. Na wschodzie wykwitła szeroka wstęga Dniepru. Dni i tygodnie intensywnego studiowania map przyniosły owoce: major rozpoznał wschodnie przedmieścia Kijowa, stolicy Ukrainy.

- Piętnaście kilometrów - zameldował nawigator. Wcisnął kolejny przycisk. - System naprowadzania aktywny. Współrzędne wprowadzone.

I nagle w słuchawkach majora zabrzmiał pulsujący sygnał ostrzegawczy.

- Radar! - rzucił nawigator, gorączkowo sprawdzając systemy obronne maszyny. - Alarm radarowy! Prawy dolny kwadrant!

- Zagłusz bydlaka - warknął major. Namierzył ich ukraiński radar, najprawdopodobniej jeden z tych w wielkim kompleksie obronnym pod Konopotem. Pilot prychnął z odrazą. Według informacji, jakie przekazano im na odprawie, operujące na tym terenie grupy Specnazu miały zniszczyć te przeklęte radary przed piętnastoma minutami. No i masz, pomyślał zimno. Oto nasi dzielni, butni komandosi, nad którymi wszyscy pieją z zachwytem.

Ale po chwili wzruszył ramionami. Stare powiedzenie, że każdy plan bierze w łeb już podczas pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem, było aktualne nawet teraz, w epoce walki elektronicznej, w czasach satelitów i naprowadzanych laserem pocisków raketowych. Wojnę zawsze rządził przypadek, niepewność i błędy - człowieka i maszyny.

Nawigator robił co mógł, żeby zagłuszyć potężny radar elektronicznymi środkami obrony myśliwca. Wiedział, że udać mu się może tylko cudem, ale każda dodatkowa sekunda była na wagę złota. Zerknął na HUD. Do celu, połowej kwatery głównej Ukraińskiej Rady Obronnej, pozostało tylko dwanaście kilometrów. Kwadratowy znacznik pulsował czerwonym światłem.

Byli prawie w zasięgu.

W słuchawkach majora zabrzmiał inny dźwięk, głośniejszy i bardziej przenikliwy.

- Namierzyli nas! - ostrzegł go nawigator. - Siedzimy w więzce! Odpalili rakiety! Dwie S

- 300 na naszym kursie. Uruchamiam aktywne i pasywne systemy obronne!

- Kurwa mać! - zaklął cicho major. S - 300, pocisk dalekiego zasięgu typu ziemia -

powietrze, był jedną z najpotężniejszych rakiet w ukraińskim arsenale, odpowiednikiem amerykańskiego systemu Patriot.

Kadłub maszyny lekko zadygotał: odpaliły ładunki zakłócające. Wystrzeliły spod brzucha samolotu, eksplodowały za pędzącym myśliwcem i w powietrzu wykwitł obłok złożony z tysięcy cieniutkich pasków folii z mylaru. Każdy pasek był precyzyjnie przycięty, tak żeby odbijał fale wysyłane przez namierzający ich radar. Przy odrobinie szczęścia, szybko rozszerzający się obłok mógł zmylić nadlatujące rakiety.

- Szybciej. Szybciej! - mruknął major, walcząc z instynktem, który nakazywał mu natychmiastową zmianę kursu i rozpoczęcie serii manewrów obronnych. Znacznik zaświecił się na zielono. Byli w zasięgu.

- Poszły! - rzucił, wciskając przycisk na drążku sterowniczym. Cztery naprowadzane laserowo bomby oderwały się spod skrzydeł i o kilka ton lżejszy samolot gwałtownie poderwał

się do góry. Nie zwlekając ani sekundy dłużej, major szarpnął drążkiem w lewo, przewrócił maszynę na plecy i z potężnym przeciążeniem zanurkował w ciemność.

Wyrównał ledwie sto metrów nad ziemią, tak nisko, że drzewa, domy, stodoły i słupy wysokiego napięcia wychynęły z ciemności szybciej, niż mózg zdążył zarejestrować ich obecność. Sygnał ostrzegawczy w słuchawkach ucichł.

- Zgubiliśmy je! - Nawigator odetchnął. - Jesteśmy poza zasięgiem radaru.

Major zerknął przez ramię. Na horyzoncie rozbłysła kaskada oślepiających wybuchów i noc zmieniła się w dzień.

- Bomby - rzucił spokojnie nawigator. - Według komputera, wszystkie w celu.

Świat za przezroczystą kabiną samolotu poszarzał i zgasł. W słuchawkach zabrzmiał głos operatora:

- Symulacja ataku ukończona. Proszę czekać.

Kabina podniosła się z hydraulicznym jękiem i ponownie znaleźli się w olbrzymiej hali, w której stało kilka wielkich, pudełkowatych symulatorów. Pozostałe wciąż były w ruchu, pochylając się gwałtownie i przechylając w wygenerowanej przez komputery rzeczywistości.

Nachmurzony major szybko przeanalizował wydarzenia z ostatniej godziny.

- Operator, zresetuj nas - rzucił do mikrofonu. - Chcę polecieć trochę innym kursem i sprawdzić, czy da się uniknąć radarów, jeśli zrzucimy bomby z szybkiego wysokości.

Nawigator spojrział na niego ze znużonym uśmiechem.

- To już piąty raz, Siergieju Nikołajewiczu - powiedział. - Od trzech dni siedzimy tu przez dwanaście godzin na dobę. Sprawdziliśmy każdą możliwość, każdy drobiazg. Nie dałoby się zrobić krótkiej przerwy na rozprostowanie nóg?

Major pokręcił głową.

- Jeszcze nie, Władymir - odparł stanowczo. - Znasz rozkazy. Zostały nam tylko dwa dni, a potem cały pułk przenoszą do Brińska. I nie wierz w te głupoty o niezapowiedzianych ćwiczeniach w osiągnięciu pełnej gotowości bojowej.

Z powagą spojrział na nawigatora.

- Pamiętaj - dodał. - Nad Kijowem nie będzie miejsca na błędy czy złe założenia. Jeśli coś spieprzymy, nie będzie też drugiego podejścia. Chcemy przeżyć? To lepiej trochę poćwiczmy.

ROZDZIAŁ 24

Kreml

Prywatny gabinet prezydenta Wiktora Dudarewa mieścił się w środkowej części trójkątnej, żółto - białego gmachu senatu. W przeciwieństwie do niezwykle bogato zdobionych komnat audiencyjnych w pozostałych kremlowskich pałacach, ten mały, prostokątny pokój był

umeblowany bardzo skromnie i nosił ledwie kilka śladów eleganckiej klasyki.

Na ścianie za malachitowym biurkiem prezydenta wisiała tarcza herbowa Federacji. Po lewej stronie biurka stała biało - niebiesko - czerwona flaga rosyjska, po prawej bardziej kunsztowna flaga prezydencka. Ciemna, dębowa boazeria, ciemnożółty i żółtawobiały, wysoko sklepiony sufit, stary astrachański dywan w ciemnoczerwone, żółto - brunatne i zielonkawe wzory - flagi były tu jedynymi plamami koloru. Pod ścianami stały półki wypełnione rzadkimi woluminami i współczesnymi encyklopediami. Między oknami stał długi, dębowy stół otoczony krzesłami z wysokim oparciem. Jedno z krzeseł zajmował Konstantin Malkowicz.

Serbski miliarder zerknął na prezydenta, a potem na siwowłosego mężczyznę, który siedział obok niego. Spojrział i lekko nachmurzył czoło. Spotkanie było niezmiernie ważne i nieoczekiwana obecność Aleksieja Iwanowa, ponurego szefa Trzynastego Departamentu Federalnej Służby Bezpieczeństwa, trochę go niepokoiła. Wyczuł, że niepokoi również siedzącego po jego prawej stronie Ericha Brandta. Przed przyjazdem na Kreml Brandt uprzedził

go, że Iwanow może narobić im kłopotów w związku z Hydrą, a konkretnie z tym nieszczęsnym przeciekiem. I sondując jego kamienną twarz, doszedł do wniosku, że Erich miał chyba rację.

Iwanow przypominał wielkiego kota - tygrysa albo lamparta - który przygląda się leniwie swoim przyszłym ofiarom.

I właśnie to go niepokoiło.

Przed pierwszą rozmową z Rosjanami Niemiec przestrzegął go przed związanymi z układem niebezpieczeństwami. „Jeśli chcesz pojeździć na tygrysie, wiedz, że tygrys może cię pożreć”, tak wtedy powiedział. Malkowicz to zlekceważył, dochodząc do wniosku, że Brandt przesadza. Ale teraz, w obecności szefa Trzynastego Dyrektoriatu, zrozumiał, że ostrzeżenie nie było bezpodstawne.

Z trudem odpędził niechciane myśli. Może to tylko nerwy. Przecież czekał go wielki triumf, zapłata za wiele lat kosztownych, jakże ryzykownych badań i starannego planowania. Nie pora na strach. Spojrzał na duży ekran na końcu stołu. Stał tam pułkownik Piotr Kiriczenko, doradca wojskowy Dudarewa, i wciskając guziki pilota, pokazywał jedną ściśle tajną mapę po drugiej.

- Dywizje pancerne i zmotoryzowane, oddziały Specnazu i jednostki wojsk lotniczych, wyznaczone do operacji „Żuków”, przemieszczają się do rejonów koncentracji - mówił, wyświetlając na mapie szereg punktów wzdłuż granicy z Ukrainą, Gruzją, Azerbejdżanem i Kazachstanem. - Jak dotąd nic nie wskazuje, żeby Stany Zjednoczone czy ich sojusznicy wykryli skalę tej dyslokacji. Nic też nie wskazuje, żeby rozumieli jej prawdziwe znaczenie.

- A wszystko to dzięki Hydrze, mojej specjalnej broni - wtrącił Malkowicz. Nie wiedział, co robi tu Iwanow, mimo to uznał, że dobrze będzie przypomnieć Rosjanom, ile mu zawdzięczają. - Dzięki temu, że moi ludzie zlikwidowali ich najlepszych analityków, ani CIA, ani MI - 6, ani żadna inna zachodnia agencja wywiadowcza nie przebije płaszcza ochronnego, jaki rozpostarliście nad Rosją, żeby ukryć ruchy wojsk. - Uśmiechnął się układnie. - Naturalnie odnosi się to również do krajów, które chcecie zaatakować. Kiedy Hydra zrobi swoje, ocaleje jedynie kilku dowódców wojskowych i przywódców politycznych, a ci nie dadzą rady skoordynować działań opozycji.

- Tak, jest zupełnie oczywiste, że pańska broń udowodniła swoją skuteczność - zgodził się z nim chłodno Dudarew. - A przynajmniej skuteczność dotychczasową.

Iwanow tylko wzruszył ramionami. Z jego szerokiej twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji.

Dudarew dał znak pułkownikowi.

- Proszę dalej, Piotrze.

- Tak jest, panie prezydencie - odparł Kiriczenko. - Natychmiast po rozpoczęciu operacji

„Żuków” pułki lotnictwa dalekiego zasięgu przeprowadzą jednoczesny atak na szereg celów: na kwatery główne i ruchome punkty dowodzenia, na stanowiska obrony powietrznej, lotniska i na obszary zgrupowania sił nieprzyjaciela. - Pstryknął przyciskiem pilota i na mapie ukazały się dziesiątki czerwonych gwiazd oznaczających cele rozsiane po pięciu byłych republikach radzieckich.

- Jednocześnie nasze dywizje pancerne i zmotoryzowane przekroczyły granicę, posuwając się szybko w kierunku wyznaczonych celów - kontynuował entuzjastycznie pułkownik. Na mapie pojawiły się strzałki sięgające setek kilometrów w głąb wrogich krajów i wskazujące ważniejsze miasta, mosty, węzły drogowe i kolejowe oraz większe ośrodki przemysłowe. Wielkie połacie mapy, cały Kazachstan, Gruzja, Azerbejdżan, Armenia i wschodnia część Ukrainy - przyszłe państwa okupowane, które Rosja zamierzała ponownie zająć - zmieniły kolor na czerwony.

Pułkownik zaczął rozwódzić się nad składem, uzbrojeniem, wyposażeniem i rozkazami dla poszczególnych jednostek bojowych, ale Malkowicza mało to interesowało. Uważał, że są to jedynie szczegóły taktyczne, ważne dla generałów i zaangażowanych w operację wojskowych.

Jego natomiast pochłaniał problem znacznie szerszy, a mianowicie to, jak atak na byłe republiki radzieckie wpłynie na światową równowagę sił.

Operacja „Żuków” była niezwykle sensowna pod względem strategicznym, politycznym i gospodarczym. Zapewniała Rosji dodatkową strefę buforową, dostęp do niezmiernych bogactw naturalnych i regionów przemysłowych, umożliwiała odzyskanie dziesiątków milionów etnicznych Rosjan i włączenie ich do rzeszy obywateli podległych Kremlowi. Na dłuższą metę była początkiem gigantycznego przedsięwzięcia mającego na celu odzyskanie przez Rosję dawnego statusu, statusu supermocarstwa, mocarstwa imperialnego, państwa, które pewnego dnia ponownie będzie mogło rywalizować ze Stanami Zjednoczonymi. Na krótszą zaś, zdławienie demokracji w otaczających Rosję krajach umożliwiało Dudarewowi przetrwanie. Większość obywateli popierała jego autorytarne rządy, jednak coraz częściej w kraju pojawiały się również oznaki niezadowolenia, które - jak uważał prezydent - brały się z demokratycznego przykładu, jaki dawały podległe im kiedyś kraje.

Dla samego Malkowicza natomiast operacja „Żuków” była okazją do stania się najbogatszym i najpotężniejszym człowiekiem w historii ludzkości. Marzył o tym już od dzieciństwa jako biedny, pogardzany przez wszystkich uchodźca włączający się po całej Europie.

Kiedy był starszy i zrozumiał, jak wielkie ma umiejętności - zwłaszcza nieprawdopodobną wręcz zdolność do przewidywania ruchów na rynkach finansowych i surowcowych - marzenie to przekształciło się w gorące pragnienie, w porywającą pasję.

Dzisiaj, jako człowiek fantastycznie bogaty, dzięki swej sławie - i dzięki łapówkom, którymi przekupywał uległych polityków i biurokratów - wywierał znaczny wpływ na rządy kilku krajów europejskich, afrykańskich i azjatyckich. Olbrzymie pieniądze umożliwiały mu również dyskretne manipulowanie operacjami bankowymi, transakcjami maklerskimi, firmami inwestycyjnymi, laboratoriami farmaceutycznymi, towarzystwami naftowymi, producentami broni oraz holdingami przemysłowymi na całym świecie. Za pośrednictwem Grupy Brandta zatrudniał armię płatnych zabójców i agentów, dzięki czemu mógł usuwać z drogi konkurentów i wrogów osobistych. Mimo to ostatnio stwierdził, że nawet on ma ograniczoną władzę. Ku swemu zdumieniu odkrył, że istnieją politycy, których nie da się ani przekupić, ani zastraszyć, korporacje, których nie da się kupić, prawa i przepisy, których nie da się zmienić ani obejść.

I tak zaczął szukać sposobu na co najmniej dziesięciokrotne powiększenie swojego majątku i wpływów. Gdy zimna wojna dobiegła końca, zwerbował wielu specjalistów od broni z krajów byłego bloku wschodniego, w tym Wulfa Renkego. Wtedy myślał jedynie o przedsięwzięciu na małą skalę, o czymś działającym pod przykrywką jednej z jego firm, o małej fabryczce produkującej niekonwencjonalną broń dla najbogatszych bandyckich krajów świata, no i oczywiście o olbrzymich, całkowicie nielegalnych pieniądzach, jakie pobierałby za swoje usługi.

Ale kiedy Renke przyszedł do niego z przełomowym projektem Hydry - precyzyjnie naprowadzanej broni biologicznej, idealnej dla każdego zamachowca - doznał nagłego olśnienia.

Natychmiast dostrzegł drzemiący w projekcie potencjał. Niewykrywalna, niepowstrzymana i nieuleczalna Hydra dałaby mu władzę, o jakiej od dawna marzył. Dzięki niej mógłby niszczyć kraje, których przywódcy mu się sprzeciwiali, i nagradzać te, które go popierały. A pod rządami Wiktora Dudarewa Rosja obrała bardzo mądrą drogę. W ramach zapłaty za wykorzystanie Hydry do zmiękczenia wrogów na Zachodzie i w byłych republikach radzieckich Dudarew i jego kremlowscy przyjaciele zawarli z nim tajny, obopólnie korzystny układ. Neutralizując zachodnie agencje

wywiadowcze,

Hydra

umożliwiła Rosji zaplanowanie, zorganizowanie i

przeprowadzenie kampanii wojennej bez interwencji Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

Było oczywiste, że gdy padną pierwsze strzały, zaskoczona Ameryka gwałtownie zaprotestuje, jednak istniało nikłe lub nawet zerowe prawdopodobieństwo, że zaryzykuje otwartą wojnę.

Stawiając czoło nieubłaganym faktom, widząc, że rosyjskie wojska całkowicie panują nad sytuacją, Amerykanie w końcu ucichną i niechętnie pogodzą się z rzeczywistością.

A gdy podboje Dudarewa dobiegną końca, on dostanie lwią część przejętych zasobów ropy naftowej, gazu ziemnego, węgla, rud, fabryk zbrojeniowych i wielu innych. Dzięki dochodom z nowych nabytków w krótkim czasie zostanie najbogatszym człowiekiem w świecie, zdecydowanie prześcigając najgroźniejszych rywali.

Delektował się tą myślą i rozkoszował. Głupcy twierdzili, że bogactwo jest źródłem wszelkiego zła. Mędrcy wiedzieli lepiej: jedynym skutecznym środkiem nacisku są pieniądze.

Pieniądze są jedynym narzędziem kształtowania świata.

- Kiedy zaatakujecie? - spytał Brandt.

Pułkownik spojrzał na Dudarewa. Ten lekko skinął głową.

- Operacja „Żuków” rozpocznie się za pięć dni - odrzekł Kiriczenko. - Pierwsze oddziały Specnazu wkroczą do akcji dwudziestego czwartego lutego, kilka minut po północy. Zaraz potem granice przekroczą nasze czołgi.

- Bez prowokacji? - rzucił cynicznie Brandt. - Proszę wybaczyć, pułkowniku, ale czy nie jest to trochę zbyt... toporne?

Iwanow pochylił się do przodu z lekkim, ponurym uśmiechem.

- Prowokacje będą, Herr Brandt - odparł zimno. - Ot, weźmy choćby Ukrainę. Nasz wywiad donosi, że dojdzie tam wkrótce do pożałowania godnego ataku terrorystycznego, w którym zginie wielu niewinnych Rosjan.

Brandt chłodno skinął głową.

- Rozumiem. Tak, to co innego. Zamach ten będzie oczywiście wymagał natychmiastowej interwencji waszych sił zbrojnych.

- Oczywiście - potwierdził lakonicznie Iwanow. - Jeśli Kijów nie potrafi obronić Rosjan przed atakami ukraińskich nacjonalistów, musimy to zrobić za nich.

Malkowicz pogardliwie wydał wargi i spojrział na Dudarewa.

- A jaki pretekst wynajdziecie, żeby wkroczyć do Gruzji i pozostałych krajów?

Prezydent wzruszył ramionami.

- W Gruzji i w pozostałych republikach obserwujemy nasilające się oznaki niestabilności politycznej. Naturalnie tylko dzięki temu - dodał z uśmiechem - że tamtejsi przywódcy wojskowi i polityczni zarazili się wirusem Hydry.

Malkowicz skinął głową.

I właśnie wtedy Iwanow zaatakował.

- Niestety, naszym największym zagrożeniem jest obecnie sama Hydra powiedział, przeszywając wzrokiem Brandta. - To, że nie wyeliminował Pan na czas Pietrenki, było poważnym błędem. Natomiast to, że nie udało się panu schwytać i zabić tego Smitha i jego współników, to już potencjalna klęska. Im dłużej Smith będzie na wolności, tym większe ryzyko, że wydrze nam tajemnicę Hydry. Mówiąc bez ogródek, na takie ryzyko po prostu nas nie stać.

- To prawda - wtrącił Dudarew. Ruchem głowy wskazał mapę z czerwonymi strzałkami sięgającymi w głąb Ukrainy, Gruzji i pozostałych republik. - Nasza operacja zależy od całkowitego zaskoczenia. Jeśli Amerykanie dowiedzą się, że maczaliśmy palce w zabójstwie tych ludzi, narazimy na ryzyko wszystko to, co chcemy osiągnąć.

- W takim razie, co proponujecie? - spytał sztywno Malkowicz.

- Po pierwsze, mój dyktoriat przejmie pełną kontrolę nad poszukiwaniami Smitha i tej dziennikarki - odparł Iwanow. Ponownie spojrział na Brandta. - Ale tym razem żądam pełnej współpracy, Herr Brandt. Nie może pan niczego ukrywać ani zatajać. Niczego. Czy to jasne?

Brandt milczał. Zacisnął zęby, jakby próbował stłumić gniew. Wreszcie z przesadą wzruszył ramionami, udając, że jest mu to całkowicie obojętne.

- Jak pan sobie życzy - odrzekł.

Malkowicz nie spuszczał oczu z Dudarewa. Mimo swej bezwzględności, Iwanow -

podobnie jak Brandt - był tylko pionkiem, zwykłym podwładnym. To on, to prezydent pociągał za sznurki.

- Czy to już wszystko, Wiktorze? - spytał.

- Nie, przyjacielu. - Dudarew zabębnił palcami w stół. - Niepokoją mnie poczynania amerykańskiego

wywiadu. Mimo początkowego sukcesu, Hydra nie oślepiła Białego Domu, a jeśli nawet, to nie do końca. Boję się też, że zamiast mądrym, Castilla okaże się człowiekiem upartym. Jeżeli nie zechce uznać naszych podbojów, ryzyko niechcianej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi gwałtownie wzrośnie. Zważywszy naszą przewagę strategiczną na Ukrainie i w środkowej Azji, powinniśmy z nimi wygrać, ale koszty, w ludziach i sprzęcie, nie wspominając już o kosztach finansowych, byłyby olbrzymie.

Iwanow i Kiriczenko pokiwali głowami.

- Dlatego - ciągnął Dudarew - postanowiłem zrobić wszystko, żeby Castilla przestał nam zagrażać. - Spojrzał na Malkowicza. - Proszę polecić swoim ludziom, żeby wyhodowali odpowiedni szczep Hydry i niezwłocznie przekazali go kurierowi Iwanowa.

Zaskoczony Malkowicz zeszywniał.

- Ale ryzyko związane z zabójstwem prezydenta...

- Jest do przyjęcia - przerwał mu spokojnie Dudarew. Zerknął na Iwanowa. - Prawda?

Szef Trzynastego Departamentu kiwnął głową.

- Mamy kreta w Białym Domu - wyjaśnił. - Dostarczenie Hydry na miejsce i zainfekowanie celu nie powinno sprawić żadnego kłopotu.

Malkowicza przeszedł zimny dreszcz.

- Jeśli Stany Zjednoczone zaczną podejrzewać, że to nasza sprawka, rozpęta się piekło - powiedział.

Dudarew wzruszył ramionami.

- Niech sobie podejrzewają, kogo chcą, i tak niczego nie udowodnią. - Uśmiechnął się słabo. - A propos. W sytuacji, kiedy zaczęli tu węszyć, nie sądzi pan, że stwarza to poważne zagrożenie dla waszego laboratorium?

- Laboratorium jest bezpieczne - odparł krótko Malkowicz. - Amerykanie go nie znajdą.

Siedzący obok Brandt kiwnął głową.

Dudarew popatrzył na nich z pełnym rozbawienia cynizmem.

- To dobrze - odrzekł, zwlekając z odpowiedzią na tyle, żeby dać im do zrozumienia, że w to nie wierzy. - Mimo to, bezpieczniej by było, gdyby doktor Renke i jego naukowcy przenieśli się tutaj, do jednego z kompleksów Bioaparatu. Nie uważa pan?

Malkowicz wykrzywił usta. Już rozumiał, w co gra prezydent. Całkowita kontrola nad Hydrami, nad

procesem jej wytwarzania, była w tej ryzykownej grze asem, głównym atutem.

Dzięki unikatowej broni Renkego był niezastąpionym sojusznikiem, kimś, z kim Dudarew musi rozmawiać jak równy z równym. Ale gdyby stracił monopol na tę śmiertelna technologię, Kreml mógłby robić, co chce. Dlatego miejsce pobytu Renkego było tajemnicą, której strzegł

najpilniej - zwłaszcza przed Rosjanami.

- Laboratorium jest bezpieczne - powtórzył zimno. - Macie na to moje słowo.

Dudarew westchnął.

- Dobrze, przyjmuję pańskie zapewnienie. - I nagle jego łagodna, na wpół rozbawiona twarz spoważniała. - Ale jedno musi być całkowicie jasne. Ponieważ nie chce pan przenieść laboratorium, będzie pan osobiście odpowiedzialny za wszelkie wpadki i niepowodzenia. Do rozpoczęcia operacji „Żuków” pozostało tylko pięć dni. Pięć krótkich dni. Ale dopóki nasi żołnierze nie wkroczą do akcji, Amerykanie nie mają prawa dowiedzieć się o istnieniu Hydry.

Jeśli się dowiedzą, straci pan życie. Proszę o tym pamiętać.

Podczas krótkiej jazdy do Domu Paszkowa zaszępiły Malkowicz rozważał groźbę prezydenta. A więc tygrys pokazał wreszcie kły i pazury... Nachmurzył czoło. Tym lepszy powód, żeby dalej trzymać go za gardło.

Zerknął na Brandta. Niemiec gapił się w okno.

- Iwanow ich złapie? - spytał cicho. - I zabije?

- Wątpię - prychnął Niemiec.

- Dlaczego?

- Dlatego, że na milicji i na służbach bezpieczeństwa nie można polegać - wyjaśnił Brandt przez zaciśnięte zęby. - Mimo czystek Dudarewa, i w milicji, i w bezpieczeństwie jest pełno ludzi albo do cna skorumpowanych, albo takich, którzy za pieniądze sprzedadzą każdą informację i zapewnią schronienie każdemu uciekinierowi. No i są jeszcze tak zwani reformatorzy. Dlatego istnieje duże prawdopodobieństwo, że Smith i Devin znajdą kogoś, kto im pomoże, albo przynajmniej przymknie oko, kiedy postanowią uciec. Jeśli Iwanow tego nie widzi, to jest głupcem.

Gorzkie, cyniczne słowa - Malkowicz rozważył je w milczeniu. Chodziło o jego głowę, dlatego opinia Brandta była wielce niepokojąca. Wreszcie podjął decyzję.

- Niech pan kontynuuje poszukiwania. Niech pan znajdzie tych Amerykanów, i to szybko.

I niech pan naśle na nich swoich ludzi. Nie chcę mieszać w to Rosjan.

- A co z Trzynastym Dyrektoriatem? Słyszał pan, co mówił Iwanow. Żąda wszystkich informacji, każdego skrawka. Trudno będzie ich tropić, nie wpadając przy okazji na tych z FSB.
- Tak, wiem. - Malkowicz wzruszył ramionami. - Dla świętego spokoju niech pan podrzuci im coś na temat tego Smitha. I jednocześnie nasili poszukiwania.
- Schwytać ich tuż pod nosem Iwanowa? To będzie trudne - ostrzegł go Brandt. - Ale obiecuję, że ja i moi ludzie zrobimy, co w naszej mocy, a przynajmniej spróbujemy.
- Nie płacę panu za próbowanie, Herr Brandt - odparł zimno Malkowicz. - Płacę panu za sukcesy. To duża różnica, proszę o tym pamiętać.
- A jeśli ich schwytam? - spytał spokojnie Niemiec, ignorując tę ukrytą groźbę. - I jeśli Iwanow się o tym nie dowie? Co z nimi zrobić?
- Niech pan wyciśnie z nich, co się da - odparł brutalnie Malkowicz. - Niech pan dowie się, dla kogo pracują, ile wiedzą o Hydrze, co zdążyli przekazać przełożonym...
- A potem?
- Potem niech ich pan zabije - warknął Serb. - W razie konieczności szybko. I powoli, jeśli znajdzie pan na to czas. Pułkownik Smith i pani Devin przysporzyli mi masę kłopotów.
- Bardzo się przez nich denerwuję? - Niech gorzko tego pożałują.

ROZDZIAŁ 25

Moskwa

Ciche pukanie do drzwi. Jon zareagował odruchowo: zerwał się z sofy, na której próbował się zdrzemnąć, chwycił ze stolika pistolet, odbezpieczył go, wprowadził nabój do komory, ujął broń obiema rękami, zrobił szybki obrót i z palcem na spuście wycelował w drzwi.

Powoli wypuścił powietrze, żeby się uspokoić. Muszka i szczerbinka makarowa ułożyły się w jednej linii, lufa znieruchomiła.

Z gotowym do strzału pistoletem z sypialni wychynęła Fiona. Na bosaka, bezszelestnie jak kot podeszła bliżej i przywarła do ściany.

- Kto tam? - spytała po rosyjsku trzęsącym się głosem wiekowej staruszki.

- To ja, Oleg.

Smith trochę się odprężył. Kirów. Co ważniejsze, przedstawiając się tylko imieniem, Rosjanin dał im do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Gdyby użył obydwu imion i nazwiska, znaczyłoby to,

że działa pod przymusem, że schwytała go albo milicja, albo ci, którzy na nich polowali.

Jon powoli opuścił i zabezpieczył pistolet. Fiona zabezpieczyła swój, po czym trzasnęła zasuwą i otworzyła drzwi.

Wysoki, krzepki Rosjanin wszedł szybko do środka z dwiema ciężkimi walizkami. Na widok broni w ich rękach uniósł siwe brwi.

- Zdenerwowani? - rzucił. I kiwnął głową. - Nic dziwnego.

- Co się dzieje?

Kirów postawił walizki i podszedł do najbliższego okna. Zrobił szparę w zasłonach.

- Sami zobaczcie.

Jon i Fiona podeszli bliżej.

Wszystkie mosty na Wodootwodnym Kanale były zakorkowane. Umundurowani milicjanci w szarych paltach i czapkach chodzili parami od samochodu do samochodu, sprawdzając dokumenty i rozmawiając z kierowcami. Na pobliskim skrzyżowaniu stali żołnierze w zimowych panterkach, uzbrojeni w karabiny szturmowe.

- Wojska Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - wyjaśnił beznamyślnie Kirów. - Z tego, co widziałem, pilnują wszystkich głównych skrzyżowań stacji metra.

- Cholera jasna - mruknął Smith. - Powiedzieli dlaczego? Kirów wzruszył ramionami.

- W radiu mówią, że to rutynowa akcja przeciwko czeczeńskim terrorystom. Ale podkrađłem się do tych tam na moście i udało mi się zerknąć na papiery, którymi wymachują, sprawdzając samochody. - Popatrzył na Fionę i Jona. - Mają kserokopię waszych paszportów.

Fiona westchnęła.

- To była tylko kwestia czasu.

- Tak - odparł ponuro Rosjanin. - Musimy stawić czoło faktom. Nie możemy dłużej zwlekać. Musicie mieć nowe dokumenty. Nowe twarze i nowe nazwiska.

Smith zmarszczył czoło. Uderzyło go coś, co Kirów przed chwilą powiedział. W

zakamarkach umysłu zagnieździła się niejasna myśl, może nawet nie myśl, a załątek myśli, ale kiedy fragmenty układanki zaczęły się do siebie dopasowywać, mglisty zarys nowej teorii -

niczym tłące się łuczywo, które bucha na wietrze płomieniem - zaczął przybierać coraz konkretniejszy, coraz bardziej namacalny kształt.

Rozszerzyły mu się oczy.

- Nazwiska - powiedział ni z tego, ni z owego. - Umknęły nam nazwiska.

Zastanawialiśmy się, dlaczego tylu ludzi zginęło, żeby notatki Wiedenskiej nie wpadły w nasze ręce. Może odpowiedź kryje się w nazwiskach, może przez cały czas była tuż pod naszym nosem...

- Jon, o czym ty mówisz? - spytała cicho Fiona. Sądząc po minie, Kirów też nic z tego nie rozumiał.

Podeksytowany nowym pomysłem Jon usiadł na sofie, oni przy stoliku.

- Nazwiska - powtórzył, grzebiąc w notatkach Wiedenskiej i w pliku zapisanych przez Fionę kartek. Czerwonym długopisem szybko zakreślił kilka fragmentów. - Zobaczcie sami. W

notatkach Eleny są... nazwiska pierwszych ofiar. I nazwiska ich rodzin. I adresy. Tak?

Kirów i Fiona powoli kiwnęli głową, wciąż nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Gdzieś tutaj - ciągnął Jon - musi kryć się związek między zmarłymi i ich rodzinami.

Związek, który pozwoli nam lepiej zrozumieć, jak ta choroba zabija i skąd się wzięła.

Fiona zmarszczyła brwi.

- Ja go nie widzę - odparła. - Sam mówiłeś, że ci biedacy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Nie byli rodziną. Nawet się nie znali. Nie łączy ich nic, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego zachorowali i umarli.

- To prawda - zgodził się z nią Jon. - Elena, Pietrenko i trzech innych rosyjskich naukowców, którzy badali tę chorobę, nie potrafiło ustalić żadnego związku między jej ofiarami.

- Postukał palcem w notatki. - Ale co, jeśli związek ten jest mniej widoczny, dyskretniejszy? Jeśli jest to jakaś wspólna cecha, genetyczna czy biochemiczna albo wcześniejsze schorzenie, które zabiło w nich odporność na tę nową chorobę?

- Naprawdę myślisz, że udałoby się to ustalić? - spytał Kirów. - Nawet teraz?

- Tak, tak myślę - odparł Jon. - Ale to nie będzie łatwe. Najpierw musielibyśmy z tymi ludźmi porozmawiać, przeprowadzić z nimi wywiad. Gdyby pozwolili nam pobrać próbki krwi, tkanki i DNA, seria testów laboratoryjnych mogłaby wskazać, co ich łączy.

- Niby jak chcesz to zrobić? - wtrącił trzeźwo Kirów. - Ci z Kremla umieścili wasze nazwiska na liście najbardziej poszukiwanych.

- Na to wygląda... - Jon uśmiechnął się z przymusem. - Jak brzmi to stare powiedzenie?

„Jeśli się z ciebie naśmiewają, a ty nie potrafisz tego znieść, nie wstępuj do wojska”. Ja do wojska wstąpiłem. Pora zacząć zarabiać na życie.

Berlin

Grunewald leży w lesie na skraju miasta, wśród kilku małych, lecz pięknych jezior i jest jedną z najbardziej ekskluzywnych i kosztownych dzielnic Berlina. Domy stoją tu daleko od siebie, w nienagannie utrzymanych i elegancko ukształtowanych ogródkach za kamiennymi murami, wysokimi żywopłotami i starymi drzewami.

Przy Hagenstrasse, jednej szerszych ulic przecinających dzielnicę, parkowała mała, czerwono - biała furgonetka Deutsche Telekomu, niemieckiej spółki telefonicznej. Blade, zimowe słońce wisiało tuż nad horyzontem i na jezdni kładły się długie cienie. Było bardzo mroźno, dlatego uliczki prawie opustoszały. Furgonetkę minął brzuchaty biegacz, pochłonięty rytmem muzyki pulsującej w słuchawkach - lekarz zalecił mu pewnie ćwiczenia na świeżym powietrzu - i głośno sapiąc, zniknął w gęstniejącym za drzewami mroku. Kilka minut później przeszło tamtędy starsze małżeństwo, ciągnąc za sobą nieszczęśliwego, drżącego z zimna teriera.

Oni też skręcili za róg, zniknęli.

Za kierownicą furgonetki pólleżała Randi Russell. Była w cienkich, skórzanych rękawiczkach, czarnej czapce baseballowej, która ukrywała jej krótkie, jasne włosy, i w luźnym, ciemnoszarym kombinezonie. Niecierpliwie zerknęła na zegarek. Chryste, jak długo jeszcze?

Spojrzała na ręce i wykrzywiła usta. Wszystko wskazywało na to, że będzie sterczała tu w nieskończoność, więc jeszcze trochę i zacznie żuć skórę rękawiczek.

W słuchawce zatrzeszczało.

- Służący wyszli - zameldował głos młodej kobiety. - Chyba skończyli na dzisiaj.

Randi usiadła prosto. Z podjazdu przed pobliskim domem na ulicę wyjechało stare, wysłużone audi. Dwoje nielegalnych słowackich imigrantów, którym Ulrich Kessler płacił za sprzątanie, gotowanie i pielęgnowanie ogrodu, wracało do swego zapchlonego domu na przedmieściach Berlina. Audi skręciło w Hagenstrasse i minęło furgonetkę. Patrząc w lusterko, Randi odprowadziła je wzrokiem aż do rogu.

- Gdzie Kessler? - rzuciła cicho do mikrofonu.

- Wciąż siedzi u siebie - odparł głos mężczyzny, oficera CIA, który obserwował gmach Federalnej Służby Bezpieczeństwa. - Ale ma zaproszenie na wielki raut, który kanclerz wydaje wieczorem w Staatsbibliothek. Potwierdził, że przyjdzie. Z akt wynika, że to cholerny lizus. Na raucie będzie sama elita, nie przepuści takiej okazji. Dom powinien być czysty.

- Dobra - odrzekła Randi. Nareszcie mogła coś zrobić i natychmiast się uspokoiła. - Jadę.

Nie czekając na odpowiedź, wrzuciła bieg i skręciła na podjazd wijący się między drzewami otaczającymi willę Kesslera; zbudowana we wczesnych latach dziewiętnastych -

porośnięte dzikim winem białe ściany, szeroka weranda na piętrze - była repliką wiejskiej rezydencji z epoki edwardiańskiej.

Randi zaparkowała z boku, obok dużego garażu, gdzie musiała mieścić się kiedyś powozownia i stajnia. Wsiadła i wyteżyła słuch. Cisza. Nie wyczuła żadnego ruchu, ani w domu, ani między drzewami.

Na szary kombinezon szybko włożyła kamizelkę wzorowaną na kamizelkach bojowych SAS. Zamiast broni i zapasowej amunicji, w zapinanych za rzepy kieszonkach i kieszeniach miała kilka kompletów małych narzędzi i przyborów elektronicznych. Zapięła ją i obesła dom, zmierzając prosto do frontowych drzwi. Wiedziała, że tylko te nie mają zasuw i zatrasku.

Przystanąła, przyklękła, szybko sprawdziła zamek i wyjęła odpowiedni komplet wytrychów. Wsunęła jeden z nich do maleńkiego otworu i znieruchomiła.

- Carla, jestem pod drzwiami - rzuciła cicho do mikrofonu. - Na mój znak zacznij liczyć.

Jasne?

- Jasne - odparł głos młodej kobiety. - Masz trzydzieści sekund.

- Jesteś tam, Mike? - spytała Randi, wywołując przydzielonego do grupy elektronika.

- Jestem, jestem - odrzekł spokojnie tamten.

- Dobra. - Zaryzykowała i zerknęła przez ramię. Zauważyłby ją każdy przechodzień, chociaż tylko wtedy, gdyby uważnie patrzył. Tym lepszy powód, żeby szybko stąd zniknąć, pomyślała. Wzięła głęboki oddech, czując, jak płuca wypełnia jej świeże, zimne, bogate w tlen powietrze. - No, to zaczynamy.

Przytrzymując wytrych palcami obydwu rąk, delikatnie wsunęła go między zapadki zamka. Kilka ostrożnych ruchów, cichy trzask i zamek ustąpił. Z pełnym satysfakcji westchnieniem schowała wytrychy do kieszeni i się wyprostowała.

- Teraz uważajcie - rzuciła do mikrofonu. - Przekręcę klamkę i... wchodzę.

Bez wahania pchnęła drzwi, weszła do środka i natychmiast je zamknęła. Stała w szerokim korytarzu ze zwisającym z sufitu żyrandolem. Po obydwu stronach korytarza były drzwi do pokoi, do bawialni po lewej, do salonu po prawej. Na piętro prowadziły szerokie, kręte schody.

- Trzydzieści sekund - zameldowała Carla, czystym, wyraźnym głosem, odmierzając upływający czas.

Randi rozejrzała się w poszukiwaniu tablicy rozdzielczej alarmu. Tam. Mała, szara skrzynka na wysokości oczu tuż za drzwiami. Nad dziesięciocyfrową klawiaturą mrugało czerwone światło, wskazując, że alarm włączył się, gdy tylko otworzyła drzwi. Randi zmrużyła oczy. W najlepszym razie miała trzydzieści sekund - dokładnie tyle, ile właściciel domu na wprowadzenie kodu dezaktywującego system. Po trzydziestu sekundach na najbliższym posterunku policji rozdzwoni się dzwonek informujący, że ktoś włamał się do willi Kesslera.

Rozpięła kieszeń i wyjęła mały śrubokręt elektryczny. Włączyła go i szybko wykręciła dwie śruby mocujące plastikową pokrywę skrzynki.

- Dwadzieścia pięć sekund.

Podstawiła rękę i śruby wylądowały na rękawiczce. Jeszcze dwie - poddały się bez oporu.

Teraz obudowa: zdjęła ją i zajrzała do środka. Płytkę montażowa, płatanina kolorowych kabli...

Szukała maleńkiej tabliczki z nazwą i numerem identyfikacyjnym systemu. - Dwadzieścia sekund.

Zaschło jej w ustach. Gdzie ten przeklęty identyfikator? Wreszcie go dostrzegła: był

przyklejony do tylnej ścianki.

- Mike, to Turing 3000.

- Przyjąłem - odparł elektronik. - Karta numer pięć. Odłącz zielony kabel i wetknij go do pierwszego gniazda karty. Potem odłącz czarny i wetknij go do drugiego. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparła Randi, wyjmując z kieszeni płytkę z odpowiednio skonfigurowanymi obwodami elektronicznymi.

- Dziesięć sekund.

Wypełniając instrukcje Mike'a, szybko zaczęła odłączać kable i podłączać je do nowej płytki. Miała mocno rozszerzone oczy, w uszach pulsowała jej krew. Przerażony głos w głowie zrzędził, że pracuje za wolno, że bez względu na jej wysiłki, za chwilę włączy się alarm.

Próbowała go nie słuchać, skupiając się na pracy.

- Pięć sekund. Cztery. Trzy...

Końcówka czarnego kabla zniknęła w gnieździe. Z karty momentalnie popłynął impuls identyczny jak ten, który w przypadku fałszywego alarmu wysłano by zdalnie z firmy ochraniającej dom. Czerwone światło zgasło i zapaliło się zielone.

Randi odetchnęła. Wykonawszy zadanie, mogła ten proces odwrócić, ponownie zamienić płytki i nie

pozostawiając po sobie żadnych śladów, spokojnie wyjść.

- Alarm wyłączony - zameldowała. - Przystępuję do rozpoznania terenu.

Zaczęła metodycznie przeszukiwać dom, najpierw pokoje na parterze, potem na piętrze.

Od razu uderzyło ją jedno: Ulrich Kessler był kolekcjonerem dzieł sztuki - kolekcjonerem bardzo poważnym - i gustował w niezwykle kosztownym malarstwie współczesnym. Nie była znawczynią, ale na honorowym miejscu w kilku pokojach widziała obrazy Diebenkorna, Kadinsky'ego, Klee, Pollocka i Picassa.

Przed każdym przystawała z cyfrowym aparatem fotograficznym w ręku.

- Nieźle, Herr Kessler, nieźle - mruknęła, fotografując oryginalnego de Kooninga. - Jak na zwykłego urzędnika państwowego, całkiem nieźle... - Nie potrafiła powiedzieć, ile te wszystkie obrazy kosztują, ale wyceniła ich wartość na ponad dziesięć milionów dolarów. Nic dziwnego, że tak niechętnie zapraszał do domu kolegów z pracy.

Z odrazą pokręciła głową. Wyglądało na to, że za ochronę Wulfa Renkego Kessler zgarniał tęgie pieniądze. Była pewna, że zdjęcia, które mieli obejrzyć i przeanalizować zatrudnieni przez CIA historycy sztuki, pozwolą rozwikłać tajemnicę jego finansów. A kiedy prawda wyjdzie na jaw, Herr Kessler będzie bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwy.

Schowawszy aparat do kieszeni, weszła ostrożnie do jego sypialni, a stamtąd do gabinetu.

Okna tego położonego w głębi domu, z przepychem umeblowanego dużego pokoju wychodziły na las i odległe, jasno oświetlone centrum Berlina.

Przystanąła w progu i zmrużyła oczy. Komputer i telefon na bogato zdobionym antycznym biurku, półki, książki i kolejny obraz - pod tym musiał kryć się mały sejf. Otworzyć go? Przeszukać szuflady? Pokusa była silna, ale nie, nic z tego.

Kessler był sprzedawczykiem, ale nie idiotą. Bardzo wątpiła, żeby w sejfie czy w którejś z szuflad znalazła jego wspomnienia opatrzone tytułem: Moje sekretne życie i Wulf Renke. Była pewna, że wszystkie mogące go zdradzić materiały dobrze ukrył, może nawet zabezpieczył

wyrafinowanym systemem alarmowym. Gdyby niechcący go uruchomiła, cały plan wzięłby w łeb.

Rozpięła kieszenie i wyjęła z nich kilka miniaturowych urządzeń podsłuchowych.

Uśmiechnęła się zimno. Herr Kessler mógł być człowiekiem niezwykle podejrzliwym, ale i tak zdradzi im swoje największe tajemnice. Miała na to swoje sposoby.

ROZDZIAŁ 26

Moskwa

Była wieczorna godzina szczytu i na stromych schodach stacji Smoleńska tłoczyły się setki zmęczonych dniem pracy moskwian. Szło wśród nich troje ludzi. Jeden z nich, wysoki, krzepki mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat, dźwigał na ramieniu ciężką, płócienną torbę i z umęczoną twarzą cierpliwie prowadził za rękę swoją stareńką matkę i równie starego ojca.

- To już prawie koniec, matuszka - przemawiał łagodnie. - Jeszcze tylko kawałeczek. -

Spojrzał przez ramię na ojca. - Chodź, tato, chodź, nie odstawaj.

Na szczycie schodów tłum zgęstniał, ponieważ coraz bardziej zdenerwowani pasażerowie napierali na metalowe bramki, chcąc wsunąć magnetyczny bilet do czytnika i jak najszybciej wyjść na ulicę. Rzecz w tym, że większość czytników nie działała i musieli przepychać się przez trzy bramki, których jeszcze nie zamknięto. Przez czekający w kolejce rozdrażniony tłum przetoczył się pomruk niezadowolenia: ci stojący najbliżej zrozumieli wreszcie, skąd ten tłok.

Przed każdym wejściem i wyjściem stało kilku umundurowanych milicjantów, którzy uważnie przypatrywali się twarzom wszystkich tych, którzy wchodzili i wychodzili ze stacji. Od czasu do czasu odciągali kogoś na bok na krótkie przesłuchanie - często, choć nie zawsze, ciemnowłosych mężczyzn i ładne, ciemnowłose kobiety. Sprawdziwszy ostatnią parę, porucznik Grigori Pronin rzucił im dokumenty i niecierpliwie machnął ręką.

- W porządku - burknął z wykrzywioną twarzą. - Wszystko w porządku. Dalej.

Przechodzić dalej!

Miał tego dość. Chwalebna służba wartownicza na rozkaz Kremla. Co za kretynizm. On i jego ludzie sterczeli tu od wielu godzin, chociaż żaden czeczeński terrorysta nie mógł, po prostu nie mógł wyglądać tak jak ci ze zdjęcia. Tymczasem nasi złodzieje i włamywacze mają święto, pomyślał z goryczą. Mogą kraść, napadać i włamywać się ile dusza zapragnie.

Zirytowany odwrócił się, słysząc gwar podniesionych głosów i stek przekleństw.

Zmarszczył brwi. Zakorkowała się jedna z bramek. Co się, do diabła, tam działo? Z ręką na kaburze podszedł bliżej.

Ludzie zobaczyli go i zapadła cisza. Większość się cofnęła i przed wąską bramką pozostało tylko troje. Jeden z nich, wysoki, siwowłosy mężczyzna, próbował przepchnąć przez nią pulchną staruszkę. Opierając się ciężko o barierkę po drugiej stronie bramki, stał wąsaty staruszek o pozlepianych brudem siwych włosach. Dwa medale na jego piersi mówiły, że brał

udział w wielkiej wojnie ojczyźnianej.

- Co się tu dzieje? - warknął Pronin.

- To moja matka, panie władzo - odparł przeprasząc ten wysoki.

- Nie umie włożyć biletu do czytnika. Ciągłe wkłada go nie tym końcem.

- Spojrzał na kobietę. - Widzisz, co narobiłaś, matuszko, aż pan milicjant przyszedł.

- Nie szkodzi - mruknął Pronin. Nachylił się, wyrwał bilet z trzęsących się rąk staruszki i włożył go do czytnika. Bariarka powędrowała do góry. Staruszka przeszła przez bramkę, za nią przyszedł syn. Pronin zmarszczył nos. Doszedł go kwaśny smród, smród tak potworny, że omal nie wymiotował.

Zaskoczony zrobił krok do tyłu.

- Boże święty - wymamrotał. - Co to za zapach?

Syn ze smutkiem wzruszył ramionami.

- To moja matuszka - wyjaśnił. - Choruje na pęcherz. Już nad nim nie panuje. Każę jej zmieniać pieluchy, ale jest bardzo uparta. Zdzieciniała, biedaczka. Jest jak małe dziecko.

Pronin cofnął się jeszcze dalej i z odrazą machnął ręką. A więc tak może wyglądać starość, pomyślał ponuro, odwracając głowę. Popatrzył na kłębiący się tłum i szybko zapomniał o tym przykrym incydencie.

Staruszka z trudem dokuśtykała do ławki i ciężko usiadła. Ojciec i syn stanęli przed nią.

- Chryste - mruknęła gniewnie Fiona do „syna”. - Jeśli natychmiast nie zrzucę tych śmierdzących ubrań i tych wszystkich poduszek, przysięgam Bogu, że wymiotuję!

- Bardzo mi przykro, ale to konieczne - odrzekł z rozbawieniem Kirów. - Z drugiej strony, musisz przyznać, że odrobina wymiocin byłaby miłym i jakże malowniczym akcentem.

Przydałaby ci autentyzmu.

Niewiele brakowało i wspierający się na lasce Jon parsknąłby śmiechem. Koszmarnie swędziała go peruka i przyklejone wąsy, ale jego spodnie były tylko polane olejem maszynowym i uwalane ziemią. Fiona, opatulona kilkoma warstwami straszliwie cuchnących ubrań, miała znacznie gorzej.

Zauważył, że przechodnie omijają ich szerokim łukiem, że marszczą nos, odwracają głowę i szybko idą dalej. Tak, nawet na otwartym powietrzu zapach był nie do zniesienia.

Przebranie, choć niewygodne i bardzo kłopotliwe, okazało się nadzwyczaj skuteczne.

- Chodź - powiedział Kirów. - To już niedaleko. Najwyżej sto metrów, w tej bocznej uliczce.

Wciąż mruczając pod nosem, Fiona wstała, po raz kolejny przeklęła co najmniej o numer za małe buty i

pokuśtykała przed siebie. Powoli przeszli Arbatem i skręcili w zaułek pełen małych antykwariatów, sklepików z nowymi i używanymi ubraniami, perfumerii i sklepów z antykami.

Rosjanin cierpliwie prowadził ich dalej, do wąskich drzwi maleńkiego sklepu w połowie zaułka. W brudnym oknie wystawowym tuż obok drzwi stała słabo oświetlona kolekcja antycznych samowarów, matrioszek, szkatulek z laki, waz, kryształów, sowieckiej porcelany i starych lamp. Wypłowiałe złote litery nad oknem głosiły, że jest to Antik - Waz - Awiabari.

W sklepiku panował jeszcze większy bałagan. Bez żadnego ładu i składu na zakurzonych półkach i kontuarach leżały sterty przedmiotów, nowych i używanych: kopii słynnych religijnych ikon, klamer od pasów żołnierzy Armii Czerwonej, wyłożonych miękką podszewką czołgowych hełmofonów, połączanych świeczników, wyszczerbionych chińskich kompletów do herbaty, sztucznej biżuterii i oprawionych w ramki sowieckich plakatów propagandowych.

Gdy weszli, właściciel przybytku, tęgi mężczyzna z kólkim siwych, kręconych włosów na czubku, łysej głowy, sklejał właśnie pękniętą filiżankę do herbaty. Na widok Kirowa pojaśniały mu oczy. Wygramolił się zza lady i wyszedł im na spotkanie.

- Oleg! - zagrzmiął, z lekkim gruzińskim akcentem. - Rozumiem, że to są „przyjaciele”, o których wspominałeś przez telefon.

Kirów chłodno skinął głową.

- Tak. - Spojrzał na Fionę i Jona. - A ten zapasiony obżartuch to Lado Jaszwili, zmora moskiewskich handlarzy antykami.

Jaszwili tolerancyjnie wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko, demonstrując zniszczone, żółte od nikotyny zęby.

- Generał ma rację. Ale cóż, każdy musi jakoś zarabiać na życie, he? Oni zarabiają swoje, ja swoje i wszyscy są zadowoleni.

- Powiedzmy - mruknął Kirów.

- Ale przejdźmy do interesów. - Jaszwili zatarł ręce. - Nie martw się, Oleg. Myślę, że twoi przyjaciele będą zadowoleni z jakości moich wyrobów.

- Myśli pan? - rzuciła Fiona, rozglądając się podejrzliwie po zagraconym sklepie.

Jaszwili cicho zachichotał.

- Babuszka, nie wie pani, czym się tak naprawdę zajmuję. Ten sklep? Ta rupieciarnia? -

Pogardliwie machnął ręką. - To tylko na pokaz, żeby zmylić ciekawskich milicjantów i tych z urzędu podatkowego. Chodźmy. Pokażę wam moją prawdziwą pasję!

Gruzin obrócił się na pięcie i poprowadził ich do drzwi na zaplecze. W sąsiednim pomieszczeniu znajdował się magazyn po brzegi wypełniony tą samą mieszaniną antyków i bezużytecznych szpargałów. W rogu były schody. Prowadziły do piwnicy i kończyły się stalowymi drzwiami.

Jaszwili wyjął klucz, otworzył je, pchnął i teatralnym gestem zaprosił ich do środka.

- Proszę - powiedział z dumą. - Oto moje studio, moja mała świątynia sztuki.

Fiona i Jon rozejrzeli się z podziwem. Stali w dużym, jasno oświetlonym pokoju wypełnionym kosztownym sprzętem fotograficznym, komputerami, drukarkami laserowymi, fotokopiarkami i grawerkami. Na dziesiątkach półek, ryza na ryzie, leżał chyba każdy rodzaj papieru, jaki kiedykolwiek wyprodukowano, a tuż obok stały butle z tuszem oraz chemikalia używane do postarzania dokumentów. Część pomieszczenia zajmowało profesjonalnie wyposażone studio fotograficzne z kompletem różnokolorowych zasłon służących jako tło, umywalką, mydłem, szamponami, ręcznikami i parawanem. Gruzin uśmiechnął się i klepnął w pierś.

- Ja, Lado Jaszwili, jestem w tym fachu najlepszy, z całą skromnością naturalnie. Na pewno najlepszy w Moskwie, a może i w całej Rosji. Generał o tym wie, dlatego was przyprowadził.

- Tak, to prawda - powiedział Kirów. - Jesteś bardzo utalentowanym fałszerzem. -

Zerknął na Smitha i Fionę. - Monopol na jego wyjątkowe usługi miało kiedyś KGB, ale teraz Lado przeszedł do prywatnego sektora i trzeba przyznać, że jako przedsiębiorca radzi sobie całkiem nieźle.

- Mam dużo klientów - pochwalił się Jaszwili. - Różnych klientów. Ale najwięcej jest tych, którzy chcą zapomnieć o swojej pechowej przeszłości.

- Ci z mafii też do pana przychodzą? - spytała Fiona. Miała obojętną twarz, ale Smith usłyszał gniewną nutkę w jej głosie. Nie przepadała za ludźmi, którzy pomagali moskiewskim bandziom.

Jaszwili wzruszył ramionami.

- A któż to wie, może i przychodzą. Ale tym, którzy hojnie płacą, nigdy nie zadaję kłopotliwych pytań. - Posłał jej oschły uśmiech. - Powinniście się chyba z tego cieszyć, he?

- Oleg - spytała bez ogródek Fiona. - Ufasz mu? Kirów uśmiechnął się zimno.

- O tak, nawet bardzo. Po pierwsze, jego zarobki zależą całkowicie od tego, czy będzie dyskretny. Po drugie, Lado bardzo ceni swoją skórę. - Spojrzał na Gruzina. - Lado, wiesz, co będzie, jeśli ktoś dowie się, co robisz dla moich przyjaciół?

Pierwszy raz, odkąd przyszli, Gruzinowi zabrakło słów. Gwałtownie pobladał.

- Wiem - wychrypiał. - Zabijesz mnie.

- Tak - odparł spokojnie Kirów - zabiję. A jeśli nie będę mógł zabić cię osobiście, zrobi to ktoś za mnie. W obydwu przypadkach śmierć będzie bardzo długa i bolesna. Rozumiesz?

Jaszwili nerwowo oblizał usta i kiwnął głową.

- Tak, rozumiem.

Kirów położył na stole marynarski worek i zaczął go wypakowywać. W ciągu kilku chwil blat stołu zniknął pod grubą warstwą czyściutkich, eleganckich ubrań, butów, różnokolorowych peruk, trossów, farb do włosów, barwników i charakterystycznych zestawów kosmetycznych.

- Wciąż chcesz te... te dokumenty, o których mówiliśmy? - spytał niepewnie Gruzin, zmrużonymi oczami patrząc na rosnącą stertę rzeczy.

- Tak - odparł Kirów. - Moi przyjaciele potrzebują nowych paszportów, najlepiej szwedzkich. Paszportów, wiz służbowych i kart imigracyjnych; dobrze by było, gdyby karty wystawiono w Petersburgu. Potrzebują też zaświadczenia, że są przedstawicielami Światowej Organizacji Zdrowia. Na wszelki wypadek zrób też komplet dokumentów rosyjskich, na dobre, typowe, rosyjskie nazwiska. Poradzisz sobie? A może wolisz, żebym poszedł do kogoś innego?

Jaszwili gwałtownie pokręcił głową odzyskując dawną werwę i pewność siebie.

- Ależ skąd! - odparł. - Nie będzie żadnego problemu.

- Ile to potrwa?

Gruzin wzruszył ramionami.

- Ze trzy godziny. Najwyżej cztery.

- A cena?

- Milion rubli - odparł bez namysłu Jaszwili. - Gotóweczką.

Smith cicho zagwizdał. Przeliczył to po aktualnym kursie i wyszło mu grubo ponad trzydzieści tysięcy amerykańskich dolarów. Mimo to, cena była uczciwa. Jeśli on i Fiona chcieli mieć mocne papiery, dokumenty, które przejdą każdą milicyjną kontrolę, musieli mu zapłacić.

Kirów wzruszył ramionami.

- Dobrze. Połowa teraz. - Wyjął z worka gruby plik banknotów i dał go Gruzinowi. -

Drugą dostaniesz potem. Oczywiście pod warunkiem, że moi przyjaciele będą zadowoleni.

Jaszwili od razu poweselał. Wziął pieniądze i poszedł na górę, żeby je schować.

- Spotkamy się, kiedy skończycie - szepnął Kirów. - Reszta pieniędzy jest w worku. Będę czekał w

hotelu Belgrad, w barze; Smoleńska 8, to zaraz za mostem, koło Ministerstwa Spraw Zagranicznych. - Posłał im bladły uśmiech. - Przy odrobinie szczęścia, pewnie was nie rozpoznam.

- Nie zostajesz? - spytała ze zdziwieniem Fiona. Kirów z żalem pokręcił głową.

- Mam spotkanie. Ważne spotkanie ze starym przyjacielem, który dużo wie i może nam pomóc.

- Jak każdy przyjaciel w mundurze - domyślił się Jon. Kirów uśmiechnął się lekko.

- Mundur nosi rzadko - odparł. - Na spotkania towarzyskie starsi oficerowie Federalnej Służby Bezpieczeństwa wolą chodzić po cywilnemu.

ROZDZIAŁ 27

Kiedy weszli do hotelowego baru, było już dobrze po dziesiątej wieczorem, mimo to wciąż panował tam tłok. Goście - elegancko ubrani mężczyźni i kobiety, głównie Rosjanie, chociaż byli wśród nich i obcokrajowcy - zajmowali wszystkie boksy i stoliki i ramie przy ramieniu stali przy barowej ladzie. W tle grała cicha muzyka jazzowa, ale niemal całkowicie zagłuszał ją głośny gwar rozmów. Belgrad był hotelem wielkim, pudełkowatym i pozbawionym architektonicznego czaru, ale dzięki dogodnej lokalizacji - blisko metra i Arbatu - i umiarkowanym cenom, nawet w zimie brakowało tu wolnych miejsc.

Oleg Kirów siedział samotnie w kącie sali, w zamyśleniu pałac papierosa. Na stoliku stała na wpół opróżniona butelka wódki i dwa kieliszki.

Fiona i Smith przebili się przez tłum.

- Można się przysiąść? - spytał Jon silnie akcentowaną ruszczyzną. Kirów spojrzał na nich i ponuro kiwnął głową.

- Oczywiście. Będzie mi bardzo miło. - Wstał, odsunął krzesło dla Fiony i poprosił

kelnerkę o czyste kieliszki. - Można spytać o nazwisko? A może to niegrzeczne przy tak krótkiej i przelotnej znajomości?

- Nie, bynajmniej - odparł Smith. Usiadł i położył na stole szwedzki paszport. Jaszwili był

chwalipiętą, ale odwalił kawał dobrej roboty. Podrobiony paszport wyglądał tak, jakby Jon nosił

go od lat, i były w nim wizy wielu różnych krajów. - Doktor Kalle Strand, do usług. Epidemiolog ze Światowej Organizacji Zdrowia.

- Berit Lindkvist - przedstawiła się Fiona z figlarnym uśmieszkiem. - Osobista asystentka pana doktora.

Oleg uniósł brew.

- Z naciskiem na... „osobista”? Fiona pogroziła mu palcem.

- Panie generale, nie wszystkie Szwedki mają bzika na punkcie seksu. Mnie i doktora Stranda łączą stosunki czysto służbowe.

- Nie chciałem szanownej pani urazić - odrzekł z uśmiechem Oleg. Zamilkł i długo przyglądał się ich przebraniu. - Nieźle. Powinno wystarczyć.

- Oby - mruknął Smith. Swędziały go brwi i miał coraz większą ochotę się podrapać.

Włosy ukrył pod jasną peruką, ale brwi musiał wybielić. Dwie plastikowe wkładki w ustach poszerzyły mu twarz, płaskie poduszeczki wokół pasa dodały osiem, dziewięć kilogramów wagi, a okulary w grubej, czarnej oprawce odwracały uwagę od jego niebieskich oczu. Przebranie było niewygodne, ale dzięki tak zmienionej fizjonomii miał szansę przejść przez każdy posterunek, nie wzbudzając podejrzeń milicji.

Fiona też zmieniła wygląd. Skróciła długie do ramion włosy i pofarbowała je na rudo.

Buty na grubych podszewkach podwyższyły ją o dwa, trzy centymetry, a dodatkowa warstwa ubrania zmieniała jej sylwetkę na tyle, że mogła uchodzić za kogoś innego.

Jon zaczekał, aż kelnerka zabierze brudne kieliszki i postawi na stole czyste, a potem spytał:

- Czy twój znajomy z FSB powiedział coś ciekawego?

- Powiedział. - Kirów ciężko westchnął. Miał zatroskane oczy. - Po pierwsze, potwierdził, że polują na was na rozkaz z samej góry, bo aż Kremla. Milicja i wojska Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeszły pod osobisty nadzór Aleksiej a Iwanowa.

- Iwanowa? - powtórzyła Fiona. - Niedobrze. Jon pochylił się do przodu.

- Co to za typ ten Iwanow?

- Szef Trzynastego Dyrektoriatu - wyjaśnił Kirów. - Podlega bezpośrednio Dudarewowi i nikomu więcej. Ze względów praktycznych Trzynastka funkcjonuje poza strukturami dowódczymi FSB. Jego ludzie bezkarnie gwałcą prawo i konstytucję, takie przynajmniej krążą plotki. I ja w nie wierzę.

- To człowiek bezwzględny i amoralny - dodała Fiona. - I bardzo dobry fachowiec. -

Pociemniała jej twarz. - Dlatego zastanawiam się, jakim cudem udało nam się uniknąć tej pierwszej zasadzki. Dlaczego Wiedenską zamordowali na ulicy, a nas chcieli uprowadzić podstawioną karetką? Dlaczego po prostu nie wezwali milicji?

- Bo to nie była robota Iwanowi - odparł cicho Kirów. - Przynajmniej nie do końca. Mój znajomy widział meldunki, które milicja sporządziła zaraz po zabójstwie Wiedenskiej, zanim Kreml

wstrzymał dalsze śledztwo.

- No i?

- Udało im się zidentyfikować zwłoki tamtych dwóch. To byli agenci KGB, spece od mokrej roboty, którym zlecano głównie zabójstwa dysydentów i podejrzanych o zdradę.

- Powiedziałeś: „byli agenci”? - upewnił się Jon.

- Tak - odrzekł Kirów. - Od kilku lat pracowali w Grupie Brandta. - Wzruszył ramionami.

- To ci sami, którzy próbowali zlikwidować cię w Pradze.

- Ale przecież Brandt i jego bandziory pracują dla tych, którzy najwięcej zapłacą -

wtrąciła Fiona. - Nie zabijają ot tak, dla kaprysu. Więc kto wystawił im rachunek za to porwanie?

Kreml za pośrednictwem Iwanowa? Czy ktoś inny?

- Tego jeszcze nie wiem - przyznał Kirów. - Ale mój kolega twierdzi, że karetka należała do Świętego Cyryla.

- Do Centrum Medycznego Świętego Cyryla - wyjaśniła Fiona, widząc, że Smith nie zna tej nazwy. - To sponsorowana klinika. Współpracuje z Zachodem, żeby podnieść standard ochrony zdrowia w Rosji. - Spojrzała na Kirowa. - Ukradli ją?

- Nawet, jeśli tak, nikt nie zgłosił tego milicji.

- Ciekawe... Konkretnie, kto tę klinikę sponsoruje? - spytał Jon.

- To konsorcjum prywatno - państwowe - odrzekła Fiona. - Mniej więcej jedna trzecia budżetu pochodzi z Ministerstwa Zdrowia. Reszta z sieci zagranicznych fundacji dobroczynnych... - Nagle urwała, w zamyśleniu potarła czoło i spojrzała na nich skonsternowana.

- W tym fundacji dobroczynnej Konstantina Malkowicza.

- No proszę, robi się coraz ciekawiej - mruknął Smith, ponownie analizując wydarzenia ostatnich dwóch dni. Przyszła mu do głowy paskudna myśl i nie mógł jej zlekceważyć. -

Posłuchaj, załóżmy, że jest tak: mówisz Malkowiczowi, że w Moskwie zarejestrowano kilka przypadków nieznannej, śmiertelnej choroby i że władze próbują to zatuszować. Malkowicz mówi, że to potworne i obiecuje pomóc ci dowiedzieć się prawdy. I już dwie godziny później jesteś pod obserwacją kilku dziwnych typów. Nadażasz?

Fiona kiwnęła głową.

- Dobra - ciągnął Smith. - Gubisz ich, ale tuż przedtem widzą nas razem w Patriarszych Prudach. Wszędzie rozdzwiają się dzwonki alarmowe i jeszcze tego samego dnia próbują zgarnąć nas ci z Grupy Brandta. Teraz z kolei okazuje się, że karetka należy do kliniki, która rok w rok dostaje górę pieniędzy od naszego dobrego, hojnego pana Malkowicza.

- Myślisz, że Malkowicz macza w tym palce? - spytał Kirów. - Razem z Dudarewem?

- Czy myślę? - powtórzył Smith. - Myśleć każdy może. To mógł być zwykły przypadek.

Ale sami przyznacie, że wokół tego Malkowicza unosi się za dużo dymu.

- Fakt - przyznała z goryczą Fiona. - A tam, gdzie jest dym, musi być i ogień. - Z

wykrzywioną gniewem twarzą przypomniała sobie ich rozmowę i ujrzała ją teraz w zupełnie innym świetle. Jeszcze mocniej zacisnęła zęby. - Sęk w tym, że sam dym to za mało.

- Otóż to - wtrącił Kirów. - Jeśli Malkowicz jest w zмовie z Kremlem, na pewno zabezpieczył się już na wszystkie możliwe sposoby. Dopóki żyjecie, nie zbliży się do niego nikt obcy, to wam gwarantuję. Ścigając Malkowicza, dobrowolnie zarzucilibyśmy sobie pętlę na szyję.

- Racja - mruknął Smith. - Tym bardziej trzeba skontaktować się z rodzinami ofiar tej choroby. Najważniejsze jest teraz zdobycie miarodajnych danych. Ale najpierw musimy zawiadomić o wszystkim Kleina.

- Klein powinien wiedzieć jeszcze o czymś - powiedział powoli Kirów. - Mój znajomy twierdzi, że w kraju szykuje się coś dużo gorszego, coś, co może mieć związek z tą tajemniczą chorobą. I groźniejsze od niej następstwa.

On mówił, a Jon i Fiona słuchali go z narastającym niepokojem. Na Łubiance, wśród wysokich funkcjonariuszy Federalnej Służby Bezpieczeństwa, krążyły pogłoski o wzmożonych przygotowaniach wojskowych. Plotki o tajnych manewrach i ćwiczeniach wojskowych, o wielkich transportach amunicji, żywności i paliwa do tajnych składów na rosyjskiej granicy, o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa na Kremlu i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Wszystko to zdawało się wskazywać na rzecz nie do pomyślenia: Rosja szykowała się do ataku na byłe republiki radzieckie.

ROZDZIAŁ 28

Biały Dom

Pan Klein przyszedł - fuknęła Estella Pike, wprowadzając do gabinetu bladego, długonosego mężczyznę. - Prosi o spotkanie. Prezydent Castilla oderwał wzrok od sterty dokumentów na sosnowym stole i posłał jej krzywy uśmiech. Pod oczami miał ciemne worki, rezultat kilku dni wyętej pracy i wielu nieprzespanych nocy. Wskazał Kleinowi krzesło naprzeciwko biurka. -

Siadaj, Fred. Zaraz się tobą zajmę.

Klein usiadł, czekając, aż Castilla skończy czytać jakąś notatkę. Duży, czerwony napis na górze kartki mówił, że jest to ściśle tajny meldunek z wywiadu satelitarnego. Zdegustowany prezydent gniewnie prychnął i schował dokument do teczek.

- Kłopoty? - spytał ostrożnie Klein. - Znowu?

- Cała masa. - Rozkojarzony Castilla przeczesał ręką włosy i wskazał stertę teczek. - Nasz wywiad satelitarny przechwycił sygnały o podwyższonej gotowości bojowej i wzmożonej ruchliwości rosyjskich wojsk na granicy z Ukrainą, Azerbejdżanem i Kazachstanem. Sęk w tym, że są to dane bardzo fragmentaryczne, niepełne, dlatego nikt z Pentagonu czy CIA nie chce zaryzykować konkretnej prognozy.

- Dlatego, że dane są niepełne czy dlatego, że nie umieją ich poprawnie zinterpretować?

- I dlatego, i dlatego - burknął Castilla. Przerzucił kilka teczek, wyjął jedną i podał ją Kleinowi. - Masz tu przykład. Sam zobacz.

Był to raport Wywiadowczej Agencji Obrony na temat wzmożonego ruchu wojsk w Czeczenii i na Kaukazie. Na podstawie zdjęć satelitarnych, wskazujących na wzmożony ruch kolejowy i stale zwiększającą się liczbę żołnierzy pod Groźnym, niektórzy analitycy spekulowali, że Rosja przygotowuje kolejną ofensywę przeciwko tamtejszym republikom islamskim. Inni się z tym nie zgadzali, twierdząc, że jest to tylko rutynowa wymiana wojsk. Jeszcze inni, choć ci byli w zdecydowanej mniejszości, uważali, że czołgi i piechota zmotoryzowana, którą Rosjanie przerzucali jakoby do Czeczenii, jest następnie kierowana gdzie indziej, chociaż nikt nie wiedział

gdzie.

Coraz bardziej rozczarowany Klein szybko przejrzał zawartość teczek. Z natury rzeczy analizy tego typu nigdy nie są aptekarsko dokładne. Ale ta była wyjątkowo ogólnikowa.

Przedstawione w niej sprzeczne ze sobą teorie zawierały tyle mglistych określników, że brakowało im precyzji i zdecydowania, poza tym wszystkie hipotezy przedstawiono bardzo chaotycznie, bez jakiegokolwiek próby uporządkowania ich pod względem prawdopodobieństwa.

Dlatego z punktu widzenia kogoś odpowiedzialnego za kształtowanie polityki zagranicznej, tym bardziej z punktu widzenia prezydenta USA, były po prostu bezużyteczne.

Skonsternowany Klein podniósł wzrok.

- To pisał jakiś stażysta.

- W dodatku początkujący - mruknął ponuro Castilla. - Nasi najlepsi eksperci od spraw rosyjskich albo nie żyją, albo robią w portki, że teraz ich kolej. Podlegający im ludzie nie mają takiego

doświadczenia, i to widać.

Klein kiwnął głową. Oddzielenie ziarna od plew - zniekształconych przekazów lub ich fragmentów, trudnych do zinterpretowania zdjęć satelitarnych, pogłosek krążących wśród agentów i pracowników ambasad - było sztuką, której opanowanie wymagało doświadczenia i wielu lat praktyki.

Castilla zmarszczył czoło, zdjął okulary i rzucił je na stół.

- Dlatego znowu wracamy do Tajnej Jedyńki i przyczyn tej nieznanej choroby. Co zdołałeś ustalić?

- Mniej, niżbym chciał - przyznał Klein. - Ale otrzymałem pilną wiadomość od pułkownika Smitha i Fiony Devin.

- No i?

- Jedno jest pewne: wpadli na trop czegoś paskudnego. - Klein potarł ręką usta. Miał

wielką ochotę wyjąć z kieszeni swoją starą, obgryzioną fajkę i z trudem oparł się pokusie. - Ich raport potwierdza częściowo informacje zawarte w twoim, ale niestety, wciąż brakuje nam konkretnych.

Klein streścił mu meldunek Smitha, wspominając o podejrzeniach, że w sprawę może być zamieszany Konstantin Malkowicz i że - według źródeł w rosyjskich służbach bezpieczeństwa -

Rosja może szykować się do zmasowanej akcji zbrojnej.

Im dłużej mówił, tym zmarszczki na czole prezydenta były głębsze.

- Nie podoba mi się to. Ani trochę. A więc nie ma już wątpliwości, że zaatakowała nas ta sama choroba, na którą dwa miesiące temu umarli ci moskwianie, tak?

- Żadnych - odparł bez ogródek Klein. - Smith potwierdza, że symptomy i wyniki badań, które zdobył, są całkowicie zgodne z wynikami uzyskanymi w Centrum Chorób Zakaźnych, ale...

- Klein urwał.

- Ale co?

- Bez mocnego dowodu, że Rosjanie wykorzystują tę chorobę jako broń biologiczną, nie możemy oczekiwać, że NATO czy kraje sąsiadujące z Rosją podejmą zdecydowane kroki, żeby temu zapobiec. - Klein przepaszająco wzruszył ramionami. - To, że Kreml próbuje zatuszować epidemię, można uznać za głupotę, ale głupota to za mało, żeby nasi europejscy sojusznicy nałożyli na nich sankcje gospodarcze czy zgodzili się na podwyższenie poziomu gotowości bojowej wojsk NATO.

- Mnie to mówisz? - burknął Castilla. - Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybym zadzwonił do Paryża, Berlina czy Kijowa i na podstawie notatek jednego, w dodatku nieżyjącego już lekarza poprosił ich o nałożenie sankcji gospodarczych na Rosję? Wyobrażasz sobie ten cierpienny jęk?

Kilka zdjęć satelitarnych i plotek o trwającej w Rosji mobilizacji też ich nie przekona.

Prezydent ciężko westchnął.

- Cholera jasna! Potrzebujemy twardych faktów. Bo na razie walczymy z cieniem.

Klein bez słowa skinął głową.

- Jak tylko skończymy - zdecydował Castilla - zwołam nadzwyczajne posiedzenie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Trzeba wzmóc obserwację rosyjskich wojsk. A już na pewno zmienić trasę naszych satelitów zwiadowczych, żeby częściej przelatywały nad rejonami granicznymi.

Nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, prezydent odepchnął krzesło i podszedł do okna wychodzącego na trawnik przed Białym Domem. W Waszyngtonie trwała wieczorna godzina szczytu. W gęstniejącym mroku samochody pełnzące odległą Constitution Avenue wyglądały jak malutkie, kolorowe koraliki. Castilla zerknął przez ramię.

- Znasz tego Malkowicza? - spytał.

- Nie, nie miałem tej przyjemności - odparł z lekkim uśmiechem Klein. - Za mało zarabiam, żeby zadawać się z miliardarami.

- Ja go poznałem - rzekł cicho Castilla. - To bardzo wpływowy człowiek. Potężny.

Przebojowy. I ambitny.

- Bardzo ambitny? Prezydent uśmiechnął się blado.

- Na tyle, że gdyby nie urodził się w Serbii, tylko w Stanach Zjednoczonych, zrobiłby wszystko, żeby zasiąść za tym biurkiem.

- Tak... - mruknął Klein. - Pogrzebiemy trochę w jego przeszłości i finansach. Jeśli potajemnie współpracuje z Rosjanami, może znajdziemy coś, co naprowadzi nas na ślad tego, co knują.

- Pogrzebcie. - Castilla nachmurzył czoło. - Tylko nie wiem, czy czegoś się dogrzebiecie.

Kilka lat temu próbowała go dopaść nasza skarbówka; o ile pamiętam, chodziło o uchylanie się od płacenia podatków. Natrafiła na mur i musiała się wycofać. Wygląda na to, że finanse Malkowicza to labirynt holdingów, spółek zagranicznych i prywatnych fundacji. Departament Skarbu i Handlu podejrzewa, że Malkowicz kontroluje po kryjomu wiele innych firm, że robi to za pośrednictwem podstawionych osób, żeby uniknąć podejrzeń o nielegalną działalność, która postawiłaby go w nieciekawym świetle. Sęk w tym, że nikt nie może mu nic udowodnić.

- Znakomita przykrywka - zauważył Klein. - Może przeprowadzić każdą operację i wszystkiego się wyprzeć.

- Prawda? - rzucił gorzko Castilla. Odwrócił się od okna. - Porozmawiajmy o twoich ludziach w Moskwie. Mało nie wpadli.

- Tak.

- Rozumiem, że kazałeś im się stamtąd wynosić.

- Zasugerowałem, żeby jak najszybciej wyjechali - odparł Klein, starannie dobierając słowa.

Castilla uniósł brwi.

- Tylko zasugerowałeś? Fred, z tego, co mówiłeś, ściga ich cała moskiewska milicja. Co w tej sytuacji mogą osiągnąć?

Klein uśmiechnął się krzywo.

- Sam, nie znasz Fiony Devin, ale znasz Jona Smitha. Jest strasznie uparty. Obydwoje są strasznie uparci. - Powoli pokręcił głową. - Znam tylko jednego człowieka bardziej upartego od nich: ciebie. Dlatego żadne z nich nie chce i nigdy nie zechce uznać porażki.

- Bardzo cenię odwagę i wytrwałość - powiedział cicho Castilla. - Ale czy oni na pewno rozumieją, że w razie aresztowania pozostawimy ich samym sobie? Że się ich wyprzemy? Że umyjemy od tego ręce?

- Tak, Sam, rozumieją - odparł z powagą Klein. - Wiedzą, jak pracujemy. Wstępując do Tajnej Jedyńki, znali związane z tym ryzyko. Jestem przekonany, że w razie konieczności będą gotowi zapłacić każdą cenę.

ROZDZIAŁ 29

20 lutego Berlin

Gwałtownie wyrwany z głębokiego, męczącego snu Ulrich Kessler próbował początkowo zignorować dzwoniący przy łóżku telefon. Potem otworzył jedno oko, ale tylko troszeczkę.

Otworzył i spojrzał na elektroniczny budzik z podświetlanym cyferblatem. Kilka minut po szóstej

- po szóstej rano! Zbulwersowany jęknął, przewrócił się na drugi bok i żeby nie słyszeć natarczywego, doprowadzającego do szału dzwonienia, nakrył głowę poduszką. Od czego jest ta przeklęta automatyczna sekretarka? - pomyślał. Niech odbierze. Jeśli to nawet coś pilnego, zdąży załatwić to później, o bardziej cywilizowanej porze...

Szeroko otworzył oczy. Coś pilnego - wystarczyły dwa słowa i natychmiast się ocknął.

Wysoką pozycję w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zawdzięczał temu, że wśród przełożonych

uchodził za człowieka pracowitego, rzetelnego i niezastąpionego, za wyższego urzędnika, któremu mogli zaufać zawsze i wszędzie, o każdej porze nocy i dnia.

Głucho stęknął, usiadł i aż się skrzywił. Z bólu pękała mu głowa, w ustach miał

koszmarny smak. Za dużo wypił na kanclerskim przyjęciu, a potem, tuż przed powrotem do domu, kazał sobie podać mocną turecką kawę, żeby trochę wytrzeźwieć, ale poczuł się jeszcze gorzej. Zanim podrażniony żołądek w końcu się uspokoił, było już po trzeciej nad ranem.

Na oślep wymacał słuchawkę.

- Ja? Kessler hier.

- Dzień dobry, Herr Kessler. - Nienaganna niemczyzna, dźwięczny, kobiecy głos, zważywszy godzinę, głos niemal obscenicznie wesoły. - Nazywam się Isabelle Stahn. Jestem prokuratorką z Ministerstwa Sprawiedliwości. Pracuję w wydziale do walki z korupcją i dzwonię, żeby umówić się z panem na spotkanie w sprawie...

Ból omal nie rozerwał Kesslerowi czaszki. Czyżby obudziła go przed świtem jakaś nadgorliwa biurwa? Zirytowany mocniej chwycił słuchawkę.

- Co to, do diabła, jest? Dzwoni pani do mnie do domu, w dodatku o tej porze? Zna pani obowiązujące procedury. Jeśli ministerstwo prowadzi jakieś śledztwo i chce naszej pomocy, musi pani zgłosić to odpowiednimi kanałami! Proszę przefaksować dokumenty do naszego biura koordynacyjnego i w stosownym czasie się z wami skontaktujemy.

- Nie zrozumiał mnie pan, Herr Kessler - odrzekła kobieta z nutką rozbawienia w głosie. -

Dzwonię do pana, ponieważ podejrzanym w naszym śledztwie jest... pan.

- Co takiego? - Kessler momentalnie wytrzeźwiał.

- Ciężą na panu bardzo poważne zarzuty, Herr Kessler - ciągnęła kobieta. - W tym związane z ucieczką profesora Wulfa Renkego szesnaście lat temu...

- Renkego? Kompletna bzdura! - wypalił gniewnie Kessler.

- Czyżby? - Kobieta spoważniała. Mówiła teraz głosem zimnym i pełnym pogardy. - W

takim razie chętnie wysłucham pańskich wyjaśnień w prawie zakupu wielu kosztownych dzieł sztuki, zakupów wyłącznie za gotówkę, których, jak z pewnym trudem ustaliliśmy, dokonał

właśnie pan. W 1990 kupił pan w Antwerpii obraz Kadinsky'ego za kwotę dwustu pięćdziesięciu tysięcy euro, po dzisiejszym kursie naturalnie. W 1991 kupił pan kolaż Matisse'a za...

Coraz bardziej przerażonego Kesslera oblał zimny pot. Koszmar. Prawdziwy koszmar. Ta baba czytała mu dokładną listę tak drogich jego sercu obrazów, dzieł, których nigdy by nie nabył, gdyby od tyłu lat nie krył Renkego. Walcząc z narastającymi mdłościami, z trudem przełknął

ślinę. Jakim cudem ci z Ministerstwa Sprawiedliwości tyle się dowiedzieli? Był taki ostrożny: nigdy nie kupował dwóch obrazów u tego samego agenta, zawsze podawał inne nazwisko i adres.

Gdyby nawet chodzili od galerii do galerii i od agenta do agenta, nigdy w życiu by go nie wytropili.

Gorączkowo myślał. Pogadać z kimś, żeby zablokował śledztwo? Jego szef, minister Spraw Wewnętrznych, był mu winien wiele przysług... Natychmiast tę możliwość odrzucił.

Minister nie naraziłby się na kompromitację, próbując zatuszować tak wielki skandal.

Nie, zdał sobie sprawę, że będzie musiał uciekać, porzucając majątek, za który poręczył swoją prawością i honorem. Ale żeby to zrobić bezpiecznie, potrzebował pomocy.

W ciemnozielonym fordzie, parkującym kilka ulic od willi Kesslera, Randi Russel właśnie odkładała słuchawkę telefonu.

- To powinno sukinsyna nastraszyć - mruknęła ze złośliwym uśmiechem. - Stawiam dziesięć do jednego, że zaraz poleci po pomoc.

Jeden z dwojga techników - dźwiękowców, siedzących w ciasnej, wypełnionej sprzętem furgonetce, pokręcił głową.

- Ja się nie zakładam - odparł i ruchem głowy wskazał ekran monitora, który pokazywał

rozkład stresu w głosie Kesslera podczas przed chwilą nagranej rozmowy. - Kiedy tylko zaczęłaś mówić o obrazach, facet kompletnie spanikował.

- Uwaga - rzuciła nagle jego koleżanka. Uciszyła ich gestem ręki, poprawiła słuchawki i pstryknęła kilkoma przełącznikami na konsolecie, wsłuchując się w sygnały z mikrofonów, które Randi zainstalowała w willi podczas włamania. Podniosła głowę. - Cel się przemieszcza.

Wyszedł z sypialni. Idzie do gabinetu.

- Będzie dzwonił z drugiego telefonu - domyśliła się Randi. - W sypialni jest bezprzewodowy, za duże ryzyko.

Telefony bezprzewodowe są jak małe nadajniki radiowe. Przechwycenie i nagranie rozmowy z takiego aparatu nie stanowi żadnego problemu, dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie wykorzystywałby ich do omawiania spraw tajnych czy poufnych.

Technik wystukał na klawiaturze serię poleceń.

- Wszedłem do sieci Deutsche Telekomu - powiedział spokojnie. - Mogę namierzać.

Złany potem Kessler usiadł powoli przy pięknym, antycznym biurku i przez chwilę patrzył w milczeniu na telefon. Czy zdobędzie się na odwagę? Pod numer ten miał dzwonić tylko w ostateczności, w nagłych wypadkach. Roześmiał się chrapliwie. W nagłych wypadkach! -

pomyślał ponuro. A co to jest, jeśli nie nagły wypadek?

Trzęsącą się ręką podniósł słuchawkę i dokładnie wybrał długi, międzynarodowy numer.

Mimo wczesnej godziny, telefon odebrano już po trzecim sygnale.

- Tak? - Zimny, oschły głos. Głos, który wydawał mu rozkazy prawie od dwudziestu lat.

Kessler przełknął ślinę.

- To ja.

- Wiem, że to pan - odparł Renke. - Nie traćmy czasu na uprzejmości. Czego pan chce?

- Natychmiastowej ewakuacji i nowych dokumentów.

- Jaśniej, proszę.

Z trudem zachowując spokój, Kessler streścił mu rozmowę z prokuratorką.

- Sam pan widzi, że muszę jak najszybciej wyjechać z Niemiec - zakończył. - Obiecałem, że za kilka godzin wpadnę do ministerstwa, więc mam jeszcze trochę czasu, ale oni za dużo wiedzą. Nie będę z nią rozmawiał, nie mogę aż tak ryzykować.

- I myśli pan, że ta Stahn naprawdę dzwoniła z ministerstwa? Kessler zdębiał.

- Jak kto? A skąd mogła dzwonić?

- Jest pan ostatnim głupcem, Ulrich - powiedział beznamiętnie Renke.

- Czy zadał pan sobie chociaż odrobinę trudu, żeby to potwierdzić, zanim wpadł pan w panikę i zadzwonił do mnie?

- Co to za różnica? Nie mam zielonego pojęcia, kim ona jest, ale i tak za dużo wie. Ziemia pali mi się pod nogami! Jest mi pan to winien - dodał z urazą.

- Nic nie jestem panu winien - odparł lodowatym głosem Renke.

- Otrzymał pan hojne wynagrodzenie za swoje usługi. To, że ktoś dowiedział się o pańskich występkach, jest godne ubolewania, ale nie daje panu podstaw do dalszych roszczeń.

- Więc nic pan dla mnie nie zrobi? - spytał przerażony Kessler.

- Tego nie powiedziałem. Spełnię pańską prośbę, ale tylko dlatego, że z różnych powodów tak będzie dla mnie wygodniej. Niech pan uważnie posłucha i dokładnie wypełni wszystkie polecenia. Proszę zostać w domu.

Proszę nigdzie nie dzwonić. Absolutnie nigdzie. Kiedy wszystko przygotuję, przekażę panu dalsze dyspozycje. Czy to jasne?

- Tak. Tak, całkowicie.

- To dobrze. Jest pan sam?

- Chwilowo tak. - Kessler zerknął na zegarek na biurku. - Ale za godzinę przyjadą służący...

- Proszę ich odesłać - przerwał mu Renke. - Niech pan im powie, że źle się pan poczuł.

Musi pan zniknąć bez żadnych świadków.

- Tak, dobrze, powiem - odrzekł szybko Kessler.

- Cieszę się. - Renke powiedział to tak, jakby rzeczywiście się z tego cieszył. - To bardzo ułatwi sprawę.

Technik spojrzał na Randi i ze zrezygnowaną miną zdjął słuchawki.

- Masz, posłuchaj - powiedział. - Nagranie z aparatu w gabinecie. Wcisnął przycisk odtwarzania i ze słuchawek popłynął wysoki, piskliwy dźwięk, elektroniczne zawodzenie, od czasu do czasu przerywane cichymi trzaskami. Randi uniosła brew.

- Zakodowane?

- I to jak - odparł technik. - Nie wiem, jakiego programu używają, ale nigdzie się z takim nie spotkałem. No, może tylko u nas.

- Ciekawe - mruknęła Randi.

- Prawda? Ci z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego mogliby to pewnie rozgryźć, ale trwałoby to tygodniami.

- Udało ci się przynajmniej ustalić, pod jaki numer dzwonił? Technik pokręcił głową.

- Nie. Ten, kto zakładał tę sieć, zna się na swojej robocie. Sygnał ciągle skacze, z numeru na numer, a ilekroć skoczy, komputer automatycznie się resetuje i musi zaczynać wszystko od początku.

Randi nachmurzyła czoło.

- Dałbyś radę założyć taki system?

- Ja? - Technik kiwnął głową. - Jasne. - Wzruszył ramionami. - Daj mi tylko dwa miesiące czasu, kupę szmalu, nieograniczony dostęp do central kilku spółek telefonicznych, i załatwione.

- Co znaczy, że profesor Renke ma bardzo wpływowych przyjaciół, którzy pilnie go strzegą... - myślała na głos Randi.

- Dobrze, że założyłaś ten dodatkowy podsłuch - wtrąciła z uśmiechem współpracująca z technikiem kobieta. - Gdyby nie to...

- Powiedzmy, że miałam nosa. Nos czasem się przydaje, zwłaszcza w pracy z takimi typami.

- Mikrofon zadziałał przepięknie, wychwycił każde słowo Kesslera. A kiedy oczyścimy nagranie i wzmocnimy dźwięk, usłyszymy też każde słowo tego drugiego.

- Dasz radę wyizolować sygnał klawiatury? - spytał technik.

- Jasne, bez problemu.

- Bomba. - Technik spojrzał na Randi. - No to mamy wszystko, czego nam trzeba. Każdy klawisz klawiatury telefonu generuje swoisty ton. Jeśli uda nam się ułożyć je w sekwencję, dowiemy się, pod jaki numer dzwonił. Chwytasz?

Randi kiwnęła głową.

- Potem - ciągnął technik - spróbujemy przebić się przez ten cholerny labirynt.

Namierzemy pierwszy numer, potem drugi, trzeci, i tak dalej. Trochę to potrwa, ale w końcu znajdziemy docelowy.

- Czyli numer Wulfa Renkego - dodała zimno Randi. Zmrużyła oczy. - A wtedy pan profesor i ja odbędziemy miłą pogawędkę. Wypytam go o popleczników, którzy przez tyle lat mu pomagali, a potem wrzucimy go do celi, gdzie będzie gnił do końca życia.

- A co z Kesslerem? - spytał technik. Randi odpowiedziała mu bladym uśmiechem.

- Z Herr Kesslerem? Niech się trochę poboï. Podniósł alarm, zrobił to, o co nam chodziło.

Teraz musimy tylko zobaczyć, kto po niego przyjedzie.

Moskwa

Erich Brandt krążył nerwowo po gabinecie. Właśnie rozmawiał z Berlinem.

- Dostałeś rozkazy - warknął. - Wystarczy je tylko wykonać.

- Z całym szacunkiem - odparł Lange - ale nie przyjechaliśmy tu, żeby popełnić zbiorowe samobójstwo.

- To znaczy?

- Amerykanie na pewno obserwują jego dom. Zdejmą nas, kiedy tylko wkroczymy do akcji.

- Amerykanie? - spytał Brandt, z trudem powstrzymując gniew. - CIA? Jesteś pewny?

- Tak. Zaraz po naszej ostatniej rozmowie skontaktowałem się z kilkoma informatorami w niemieckiej administracji.

- No i?

- Isabelle Stahn naprawdę istnieje i jest prokuratorką w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Chodzi o to, że prawdziwa Frau Stahn przebywa na urlopie macierzyńskim i wróci do pracy dopiero za miesiąc. No i oczywiście nikt nie słyszał, żeby przeciwko Kesslerowi wszczęto jakieś śledztwo.

- Rozumiem - mruknął ponuro Brandt. - Amerykanie chcieli go sprowokować.

- Tak. Sprowokowali go i próbują teraz namierzyć numer Renkego. Brandt gwałtownie przystanął. Gdyby Amerykanie namierzyli Renkego, znaleźliby również laboratorium, wytwórnię Hydry. A wtedy pozostałoby mu najwyżej kilka godzin życia.

- Dadzą radę? - spytał.

- Nie wiem - odrzekł powoli Lange. - Ale wiem, że w tego rodzaju operacjach technicznych najlepsza jest Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i CIA.

Brandt przeczesał ręką włosy. Lange miał rację. Amerykanie byli żalonymi agentami, ale ich spece od wywiadu elektronicznego bili wszystkich na łeb.

- W takim razie trzeba ich zlikwidować. I to teraz, bo potem może być za późno.

- Tych z CIA? - odparł Lange. - Jak zlikwidować coś, czego nie widać? Mogą siedzieć w samochodzie albo w jakimś domu w promieniu paru kilometrów od willi Kesslera. Mamy tracić czas, jeżdżąc po całej dzielnicy z nadzieją, że się na nich natkniemy? To niewykonalne. Żeby ich namierzyć, musimy mieć więcej danych na temat operacji CIA w Berlinie, i to jak najszybciej.

No tak, pomyślał Brandt. Lange znowu ma rację.

- Dobrze - odparł zimno. - Natychmiast skontaktuję się z Malkowiczem. Nasz protektor ma kogoś w

Kolonii. Człowieka, który powinien nam pomóc.

ROZDZIAŁ 30

Za moskiewską obwodnicą ciągną się niezliczone rzędy szarych, ponurych bloków mieszkalnych, pozbawionych duszy pszczelich uli, które komunistyczni biurokraci wzniesli dla anonimowych mas, jakie ściągały kiedyś do stolicy w poszukiwaniu pracy. Choć od upadku poprzedniego systemu minęło już prawie dwadzieścia lat, w domach tych wciąż mieszkali setki tysięcy najbiedniejszych mieszkańców Moskwy.

Schodami w jednym z tych bloków szli ostrożnie Jon Smith i Fiona Devin. Migotliwe światło nagich żarówek, zwisających z upstrzonego dziurami sufitu, tworzyło na podłodze nieregularne, żółtawe plamy. Betonowe schody były popękane, wyszczerbione i potwornie brudne. Zardzewiała poręcz w kilku miejscach odpadła od podtrzymujących ją wsporników.

I ten potworny fetor: piekący w oczy odór taniego środka dezynfekującego, zapach gotowanej kapusty, smród moczu i brudnych pieluch bijący ze stosów nie wywiezionych śmieci w ciemnych zakamarkach korytarzy. A nad tym wszystkim unosił się kwaśny odór ludzi zmuszonych do życia w potwornej ciasnocie, bez dostatecznej ilości ciepłej wody, którą mogliby się porządnie umyć.

Maleńka, dwupokojowa klatka, której szukali, mieściła się na trzecim piętrze, na końcu długiego korytarza z dwoma rzędami identycznych, brudnych, zniszczonych drzwi. Przyszli tu, żeby odwiedzić rodziców Michaiła Woronowa, siedmioletniego chłopca, pierwszej ofiary choroby, której pochodzenie próbowali wyjaśnić.

Trudno było uwierzyć, że cicha, zamknięta w sobie kobieta, która otworzyła im drzwi, jest jego matką. Była o wiele za stara i wyglądała raczej na babkę. Miała zupełnie siwe włosy, a jej straszliwie wychudzona twarz była zryta głębokimi zmarszczkami. Ale wtedy Jon zobaczył jej smutne, zaczerwienione od ciągłego płaczu oczy. Były to oczy kobiety, która przez całe życie znała tylko biedę i której odebrano jedyny prawdziwy skarb: dziecko. Choć od jego śmierci upłynęły już dwa miesiące, wciąż była w żałobie.

- Tak? - spytała zaskoczona widokiem dwojga elegancko ubranych obcokrajowców. - O

co chodzi?

- Proszę przyjąć nasze najgłębsze wyrazy współczucia - zaczął cicho Smith. - To tragiczna strata. Przepraszamy, że przychodzimy w tak trudnych dla pani chwilach. Gdyby nie było to absolutnie konieczne, nie śmielibyśmy pani przeszkadzać.

Pokazał jej oenzetowską legitymację.

- Nazywam się Strand. Jestem lekarzem i pracuję w Światowej Organizacji Zdrowia. A to jest pani

Lindkvist - dodał, wskazując Fionę - moja asystentka.

- Nie rozumiem - powiedziała wciąż zaskoczona kobieta. - Czego od nas chcecie?

- Prowadzimy badania nad chorobą, która odebrała pani syna - wyjaśniła łagodnie Fiona. -

Próbujemy ustalić, co się mu stało, żeby ocalić innych.

Na spustoszonej przez smutek twarzy kobiety powoli zagościł wyraz zrozumienia.

- Ach! Oczywiście, tak! Proszę, zapraszam, wejdźcie. - Cofnęła się, wpuszczając ich do środka.

Był jasny, zimowy poranek, ale w pokoju, do którego ich zaprowadziła, panował mrok.

Świeciła tylko lampa pod sufitem, a w jedynym oknie wisały grube zasłony. Róg małego pokoju zajmowała umywalka i kuchenka elektryczna z pojedynczym grzejnikiem; pod ścianą stała wytarta sofa, a na środku dwa rozchwierutane, drewniane krzesła i niski stolik.

- Proszę, siadajcie - powiedziała kobieta, wskazując sofę. - Pójdę po męża. - Lekko się zaczerwieniła. - Próbuje zasnąć. Musicie mu wybaczyć. Bardzo się zmienił, odkąd nasz syn...

Nie chcąc się rozplakać, szybko wyszła do drugiego pokoju.

Fiona trąciła Jona w bok, wskazując oprawione w ramkę zdjęcie małego, uśmiechniętego chłopczyka. Stało na stoliku i było przewiązane czarną wstążką. Po obu stronach paliły się świece.

Smith kiwnął głową. Działali w dobrej wierze, mimo to miał wyrzuty sumienia, że podszywając się pod kogoś, kim nie byli, muszą tych biedaków oszukiwać. Ale nie mieli innego wyjścia. Po ostatniej rozmowie z Fredem Kleinem stało się całkowicie jasne, że kluczową sprawą jest teraz zdobycie informacji o przyczynach i przebiegu tej potwornej choroby. Jednego po drugim, zachodnie służby wywiadowcze traciły swoich najlepszych ekspertów, i to w chwili, kiedy najbardziej ich potrzebowały. A sąsiadujące z Rosją republiki, osłabione stratą swoich najbardziej utalentowanych przywódców politycznych i wojskowych, z każdą chwilą stawały się podatniejsze na ewentualny atak.

Kobieta wróciła. Towarzyszył jej mąż. Podobnie jak ona, Jurij Woronow był cieniem człowieka. Mocno przygarbiony miał zapadnięte, nabiegłe krwią oczy i trzęsące się ręce.

Cuchnące potem i alkoholem ubranie zwisało z niego jak z wieszaka.

Na ich widok powoli się wyprostował. Z pełnym zażenowania uśmiechem przyglądał

rzadkie, zmierzwiłone włosy i powitał ich z bolesnym wysiłkiem, przepaszając, że z braku czegoś mocniejszego może poczęstować ich tylko herbatą. Żona poszła wstawić wodę, a on usiadł na krześle naprzeciwko sofy.

- Tatiana mówi, że jesteście naukowcami - zaczął. - Pracujecie w ONZ? Badacie chorobę, która odebrała nam syna?

- Tak - odrzekł Smith. - Jeśli to możliwe, chcielibyśmy zadać państwu kilka pytań na temat jego życia i zdrowia. Odpowiedzi pomogą nam zwalczyć chorobę, zanim zabije dzieci w innych częściach świata.

- Da... - Woronow szybko zamrugał, żeby się nie rozpląkać. - Zrobimy, co tylko będziemy mogli. Nikt nie powinien tak cierpieć.

- Dziękujemy - powiedział cicho Smith.

Fiona otworzyła notes i tak rozpoczęło się znużające przesłuchanie, które miało ustalić, na co chorowali kiedyś członkowie ich rodziny i znaleźć to, co mogli przeoczyć Pietrenko i Wiedzińska. Rodzice chłopca odpowiadali na pytania bardzo cierpliwie, chociaż - jak się wkrótce okazało - większość z nich zadawano im już kilka razy.

Tak, Michaił przeszedł typowe dziecięce choroby, różyczkę i świnkę, od czasu do czasu chorował również na powszechną w Rosji grypę. Ale ogólnie rzecz biorąc, był silnym, zdrowym i w miarę szczęśliwym dzieckiem. Ani jego ojciec, ani matka nigdy nie brali narkotyków, chociaż ojciec przyznał ze wstydem, że „od czasu do czasu lubi sobie wypić”. Nikt z ich najbliższej ani z dalszej rodziny nigdy nie chorował na poważne, przewlekłe choroby, nikt nie miał raka, wad wrodzonych czy zaburzeń powodujących inwalidztwo. Dziadek chłopca, traktorzysta w kołchozie, został ranny w wypadku i umarł dość młodo. Ale drugi dziadek dożył

siedemdziesięciu kilku lat, zanim uległ typowym chorobom wieku starczego: miał atak serca, potem wylew i ostre zapalenie płuc.

Smith był coraz bardziej sfrustrowany. Jak dotąd nie wychwycił niczego, co wyjaśniłoby, jak i dlaczego Michaił Woronow zaraził się tą nieznaną, zabójczą chorobą. Co łączyło go z innymi moskwanami, którzy też na nią zapadli?

Mocno podejrzewał, że odpowiedzi na to pytanie - jeśli w ogóle istniała - należy szukać w ich biochemii lub kodzie genetycznym. Jeśli tak, od krewnych ofiar musiał pobrać próbki krwi, tkanek i DNA. To z kolei oznaczało, że potrzebowałby swobodnego dostępu do skomplikowanego sprzętu laboratoryjnego, żeby przeprowadzić niezbędne testy, co w Rosji nie wchodziło oczywiście w rachubę. Chociaż Kirów mógłby zapewne przemyścić próbki do Stanów, potrwałoby to co najmniej kilka dni, same testy zaś jeszcze dłużej. A czas szybko upływał.

Jon westchnął. Jeśli pozostał ci tylko jeden strzał, lepiej od razu pociągnij za spust i módl się, żebyś trafił.

Ku jego wielkiej uldze rodzice Michaiła Woronowa chętnie zgodzili się na pobranie próbek; bał się, że odmówią na myśl o igłach i krwi.

- Biedacy - wymruczała cicho Fiona, pomagając mu układać przyborniki, strzykawki, igły, waciki i

tamponiki, które ktoś od Kirowa kupił na czarnym rynku. Miała poważną twarz. -

Co innego mogą zrobić, żeby nadać życiu chociaż odrobinę sensu? Chcą zwalczyć chorobę, która zabiła ich syna. Większość rodziców, których znam, przeszłaby przez ogień, żeby pomóc innym.

Ty nie? Jon powoli skinął głową i z pokorą zwrócił się do Woronowów.

- Zaczniemy od próbek DNA. - Podał im waciki na długich patyczkach. - To proste.

Musicie państwo...

Ale zanim zdążył dokończyć, Rosjanie włożyli waciki do ust i zaczęli pocierać nimi wewnętrzną stronę policzków. Smith nie mógł ukryć zaskoczenia.

- Robiliście to już przedtem? - spytał cicho. Obydwoje skinęli głową.

- O, tak - odrzekł Woronow. - Kiedy byli u nas ci od tych badań.

- Nasz Miszka też to robił - szepnęła Tatiana i natychmiast zwilgotniały jej oczy. - Był taki dumny. - Zerknęła na męża. - Pamiętasz? Jaki był dumny?

- Pamiętam. - Woronow wytarł oczy. - Tak, nasz syn był wtedy bardzo dzielny.

- Przepraszam, ale jakie to były badania? - spytała ostrożnie Fiona.

- Zaraz pokażę. - Woronow wstał, wyszedł do drugiego pokoju i słyszeli, jak grzebie w jakichś papierach. Wrócił z dużym, pięknie wyłaczanym dyplomem. Podał go Jonowi.

Z Fioną, która spoglądała mu przez ramię, Smith przeczytał krótki, napisany ozdobnymi literami tekst. Było to coś w rodzaju dyplomu uznania czy może raczej podziękowań rodzinie Woronowów za „wielką pomoc w realizacji programu słowiańskich badań genetycznych prowadzonych przez Europejski Ośrodek Badań Ludnościowych”. Pod spodem widniała data.

Dyplom wystawiono przed rokiem.

Zaskoczony Jon zerknął na Fionę. Ją też olśniło. Powoli kiwnęła głową. A więc ktoś pobrał od tych ludzi próbki DNA, i to ledwie kilka miesięcy przed tym, jak ich siedmioletni syn zapadł na nieznaną chorobę, śmiertelną chorobę, która niszczyła wszystkie systemy i organy człowieka.

Przez długą chwilę Jon siedział bez słowa z dyplomem w ręku. Miał zwężone oczy.

Nareszcie wiedział, czego szukać.

Zurych, Austria

Nikołaj Nimierowski przystanął w drzwiach Alpenblick Baru, szukając kuriera. Jego wzrok

prześlizgnął się po siedzących przy stolikach samotnych podróżnych, głównie biznesmenach, i spoczął na bladym, siwowłosym mężczyźnie z „International Herald Tribune” w ręku. Idąc w jego stronę, zauważył, że mężczyzna ma czarną, skórzaną dyplomatkę - identyczną jak jego - i że w klapie jego niebieskiej marynarki tkwi szpilka z główką w kształcie helisy, podwójnie zwiniętej spirali DNA.

Z coraz mocniej bijącym sercem Rosjanin podszedł jeszcze bliżej. Lata pracy w Trzynastym Dyrektoriacie Iwanowa nauczyły go ostrożności. Stanął przed stolikiem i wskazał

wolne krzesło.

- Można? - spytał po angielsku z silnym amerykańskim akcentem. Mężczyzna podniósł

wzrok znad gazety i otaksował go spojrzeniem.

- Oczywiście - odrzekł. - Zaraz mam samolot. Jestem tu tranzytem. Hasło, pomyślał

Nimierowski, słysząc, że tamten lekko akcentuje ostatnie słowo. Usiadł i postawił dyplomatkę tuż obok jego dyplomatki.

- Ja też - powiedział. - Mam tu krótki postój. Świat to jedna wielka wioska, prawda?

Odzew.

- To prawda, przyjacielu, to prawda - odrzekł z lekkim uśmiechem siwowłosy. Złożył

gazetę, wstał, wziął dyplomatkę, obojętnie skinął mu głową i odszedł.

Nimierowski odczekał kilka minut, po czym wyjął spod stolika tę drugą. Położył ją sobie na kolanach i trzasnął zamkiem. Był w niej plik dokumentów, kilka czasopism i małe, szare, plastikowe pudełko z napisem: SC - 1. Wiedział, że w tym grubo izolowanym pudełeczku spoczywa szklana fiołka. Zamknął dyplomatkę.

Z głośników popłynął miły kobiecy głos, najpierw po niemiecku, potem francusku, włosku i angielsku.

- Uprzejmie informujemy, że samolot linii Swissair, lot numer 3000 non stop do Nowego Jorku, jest już podstawiony. Pasażerów prosimy...

Rosjanin wstał i wyszedł z baru. W dyplomatce miał szczep Hydry przeznaczony dla prezydenta Samuela Adamsa Castilii.

Było przedpołudnie. Strzeliste wieże kolońskiej katedry ginęły za ścianą zimnego deszczu, ukrywając się przed wzrokiem spieszących ulicami Przechodniów. W katedrze było tylko kilkunastu najbardziej zatwardziałych turystów, którzy oglądali z podziwem zgromadzone tam bezcenne skarby, między innymi piękne witraże, misternie rzeźbione marmurowe posągi i prastary, ponad tysiącletni krucyfiks arcybiskupa Gerona, dębowy krzyż z nadnaturalnej wielkości figurą Chrystusa. Tu i tam klęczeli samotnie pogrążeni w modlitwie wierni; inni przystawali, żeby zapalić świeczkę przed powrotem do szarych obowiązków w czekającym za drzwiami świecie. Poza tym, wielka, cienista katedra była niemal zupełnie opustoszała i spowita wieczną, nieziemską wprost ciszą.

Z poszarzałą ze strachu twarzą Bernhard Heichler przyklęknął przed głównym ołtarzem.

Przeżegnał się, wszedł między ławki, poprawił szare palto, ciężko ukląkł i nisko pochylił głowę.

W katedrze rozbrzmiało echo kroków. Ktoś szedł po kamiennej posadzce, ktoś się powoli zbliżał. Heichler jeszcze mocniej zacisnął powieki, czując, że serce wali mu jak młotem. „Ojciec -

pomyślał rozpaczliwie, jeśli można, niech mnie ten kielich minie...” Zagryzł wargi przerażony tym makabrycznym bluźnierstwem. Kto jak kto, ale on nie miał prawa cytować słynnej prośby Chrystusa w Ogrodzie, tym bardziej tutaj, w tym świętym miejscu. Przecież był Judaszem, był

zdrajcą.

I jako wyższy urzędnik Bundesamtes für Verfassungsschutz, Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, miał dużo do zdradzania. BKA był główną agencją kontrwywiadowczą Niemiec, odpowiednikiem brytyjskiej Imperial Security Intelligence, czyli MI - 5. Dzięki swemu stanowisku miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic rządowych.

Ktoś usiadł w ławce za nim.

Heichler podniósł głowę.

- Proszę się nie odwracać, Herr Heichler. - Cichy głos jakiegoś mężczyzny. - Przyszedł

pan, w dodatku punktualnie. Winszuję.

- Nie miałem wyboru - odparł sztywno Heichler.

- To prawda. Przyszedł pan do nas z chwilą, kiedy wziął pan pieniądze. I będzie pan nasz aż do śmierci.

Heichler wykrzywił twarz. Przez sześć długich, pełnych strachu lat czekał, aż jego dobroczyńcy odbiorą dług. Przez ten czas miał nadzieję, że ten potworny dzień nigdy nie nadejdzie.

Ale nadszedł.

- Czego chcecie? - spytał.

- Daru - odparł tamten z lekkim rozbawieniem. - Na ołtarzu stoi Szkatuła Trzech Mędrców. Prawda?

Heichler niepewnie kiwnął głową. Powiadano, że szkatuła, złoty relikwiarz wysadzany szlachetnymi kamieniami, zawiera szczątki trzech wschodnich mędrców, którzy przyszli złożyć dary maleńkiemu Jezusowi.

Przywieziona z Mediolanu w XII wieku była największym skarbem katedry, powodem, dla którego ją wzniesiono.

- Spokojnie - powiedział mężczyzna. - Nie chcemy od pana złota, mirry czy kadzidła.

Chcemy jedynie tego, do czego ma pan dostęp. Informacji, Herr Heichler. Chcemy od pana informacji.

Na ławkę tuż obok niego spadł z trzaskiem modlitewnik. Przestraszony Heichler drgnął.

- Proszę to otworzyć.

Trzęsącymi się rękami Heichler otworzył książeczkę. W środku znalazł kartkę z dwunastocyfrowym numerem telefonu.

- Przefaksuje pan informacje pod ten numer. I zrobi pan to w ciągu najbliższych dwóch godzin. Czy to jasne?

Heichler kiwnął głową. Niechętnie wyjął karteczkę z modlitewnika i schował ją do kieszeni palta.

- Ale jakie informacje? - wychrypiął.

- Numery rejestracyjne samochodów używanych obecnie przez berlińską placówkę Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Heichlerowi krew odpłynęła z twarzy.

- To niemożliwe!

- Wprost przeciwnie - odparł zimno tamten. - Wysoki urzędnik wydziału piątego nie będzie miał z tym najmniejszych trudności. Wysoki urzędnik, czyli pan, Herr Heichler. Wydział

piąty - ciągnął bezlitośnie mężczyzna - nadzoruje obce operacje wywiadowcze w Niemczech, łącznie z operacjami wywiadowczymi krajów sojusznicznych, takich jak choćby Stany Zjednoczone. Oficerowie łącznikowi tychże krajów dostarczają wam na bieżąco aktualizowane listy agentów działających na terenie Niemiec oraz spisy używanego przez nich sprzętu. Zgadza się?

Heichler powoli kiwnął głową.

- W takim razie zdobędzie pan ten spis i zrobi to, co panu każemy.

- Za duże ryzyko! - zaprotestował jękliwie Heichler. Wstydził się, że powiedział to z paniką w głosie i rozpaczliwie próbował się opanować. - Jeżeli zażądam tych informacji, jeśli zażądam ich natychmiast, mogą zacząć mnie podejrzewać. A jeśli Amerykanie dowiedzą się, co zrobiłem...

- Kogo boi się pan bardziej, Herr Heichler? - przerwał mu ostro mężczyzna. - Musi pan wybrać: Amerykanów czy nas? Człowiek rozsądny dobrze by się zastanowił.

Heichler wił się na ławce świadom, że żaden wybór nie istnieje. Że musi wykonać rozkaz albo zapłacić straszliwą cenę za swoje przestępstwa i zdrady. Zrezygnowany oklapł jak balon, z którego zeszło powietrze.

- Dobrze - wyszeptał. - Zrobię co się da.

- Dokonał pan mądrego wyboru - pochwalił go ironicznie tamten. - Proszę pamiętać: ma pan tylko dwie godziny. I jeszcze jedno: porażka nie wchodzi w rachubę. My porażek nie tolerujemy.

Pod Orvieto, Włochy

Wulf Renke powoli przesuwiał szkło powiększające nad najświeższym wydrukiem z sekwensera DNA. Przyglądając się uważnie skomplikowanym wzorom, szukał niepowtarzalnych fragmentów kodu genetycznego - rzadko spotykanych polimorfizmów nukleotydowych -

niezbędnych do wytworzenia kolejnego szczepu Hydry. Ale właśnie wtedy zapiszczał zegarek, przypominając mu, że pora obejrzeć zestaw kultur bakterii E. coli. Miał ledwie kilka minut na dokończenie analizy, która powinna trwać co najmniej godzinę dłużej.

Poirytowany tym nadmiernym pośpiechem zmarszczył brwi. Moskwa jak zwykle żądała przyspieszenia produkcji i te nieustanne żądania powodowały, że on, jego technicy i sprzęt pracowali w zawrotnym tempie. Każdy szczep Hydry był miniaturowym dziełem sztuki, dziełem wymagającym czasu, precyzji, czułości i miłości. Natomiast Malkowicz i Dudarew kazali mu produkować je jak na linii montażowej, jakby zamiast supernowoczesnego laboratorium, miał tu starodawną fabrykę pocisków armatnich.

Uważał, że niepotrzebnie zastosowano Hydrę natychmiast, że lepiej by było trochę zaczekać. Jeszcze tylko kilka miesięcy i uniknęliby tego przekłętą pośpiechu, bo miałyby do dyspozycji wszystkie niezbędne składniki. Niestety, jego chlebobawcy byli ludźmi porywczymi i gniewnymi. Co gorsze, wzorem swoich poprzedników z II wojny światowej wciąż wierzyli w skuteczność ataku zmasowanymi siłami wojsk pancernych, piechoty i lotnictwa szturmowego, dlatego powodzenie operacji „Żuków” zależało niemal całkowicie od pogody, skuteczności transportu kolejowego i drogowego i od tego, jak szybko Rosjanie zajmą wyznaczone cele.

Renke pogardliwie prychnął. Ani Malkowicz, ani Dudarew nie doceniali subtelności i długotrwałości działania broni, jaką była Hydra. A przecież mogliby nią nastraszyć wszystkich

potencjalnych przeciwników, postawić ich na baczność bez konieczności wielkiej, krwawej i kosztownej wojny. Ale nie, oni widzieli w Hydrze tylko jedno: kolejny rodzaj broni. Typowi Słowianie, pomyślał szyderczo. Znają tylko jedną formę przemocy: nagą, brutalną siłę.

Wzruszył ramionami. Błąd pociąga za sobą błąd. Szaleństwo karmi się szaleństwem. Tak było zawsze, czy to w Niemczech Wschodnich, czy to w Związku Radzieckim, czy w Iraku.

Laicy nie potrafią jasno myśleć, a tym bardziej działać. Ich ignorancja i zachłanność zakłócają proces racjonalnego podejmowania decyzji. Na szczęście on był wolny od tych słabości.

- Professore? - zawołał jeden z asystentów, zasłaniając ręką słuchawkę telefonu. - Signor Brandt do pana.

Renke niecierpliwie zerwał z twarzy plastikową osłonę i maskę chirurgiczną. Zdjął rękawiczki, podszedł do telefonu i wziął słuchawkę.

- Tak? - warknął. - Co znowu?

- To samo co przedtem, profesorze - odparł oschle Brandt. - Berlin i Moskwa.

Berlin i Moskwa. Renke potarł brodę. Tak, mieli prawo mu przerwać.

- Słucham.

Brandt przekazał mu najświeższe wiadomości. Te z Berlina dodały Renkemu otuchy.

Kiedy tylko Lange dostanie niezbędne informacje, na pewno wykona zadanie. Wiadomości z Moskwy natomiast były znacznie gorsze.

- Po tych Amerykanach ciągle ani śladu? - spytał z niedowierzaniem.

- Ani śladu. Słynna moskiewska milicja nie znalazła niczego, dosłownie niczego, co mogłoby wskazywać, gdzie teraz przebywają. Iwanow twierdzi, że gdzieś przywarowali, że mają kryjówkę pod miastem. Albo że uciekli za granicę.

- A pan co o tym myśli?

- Że Iwanow jest optymistą - odparł Brandt. - Ta Devin może jest i amatorką, ale Smith to twardy zawodowiec. On tak łatwo nie zrezygnuje.

Renke zmarszczył czoło. Tak, Brandt miał rację.

- No i co? - spytał chłodno. - Jaki będzie wasz kolejny ruch? Brandt lekko się zawahał.

- Nie jestem pewien.

Renke z niedowierzaniem uniósł brew.

- Nie jest pan pewien? - warknął. - Ci Amerykanie nie są głupcami. Wie pan, co znajdą w notatkach Wiedenskiej?

- Panie profesorze - syknął Brandt. - Zapomina pan, że nie jestem naukowcem. Natura obdarzyła mnie innymi umiejętnościami.

- Nazwiska - odparł rozdrażniony Brandt. - Znajdą tam nazwiska obiektów, na których robiliśmy pierwsze próby. Nie wiem, kim ten Smith jest, ale na pewno jest też lekarzem, naukowcem i odkrywca nową chorobę, będzie chciał ustalić jej wektor. Wniosek? Musicie tylko zastawić pułapkę i poczekać, aż w nią wpadnie.

ROZDZIAŁ 32

Berlin

Gerhard Lange, który czekał na meldunek we wnętrzu głębokiego, podziemnego garażu kilka kilometrów od Grunewaldu, usłyszał w słuchawce głośnie trzaski i ginący w nich głos.

Mueller był wyraźnie podekscytowany i próbował mu coś powiedzieć, ale uniemożliwiały to silne zakłócenia. Lange wyprostował się, wepchnął głębiej słuchawkę i rzucił:

- Nie zrozumiałem, powtórz.

Tym razem Mueller, krępy agent, który dzień wcześniej powitał ich na lotnisku, zdołał zapanować nad głosem.

- Namierzyłem cele - powiedział. - Powtarzam: cele namierzone i potwierdzone.

Lange odetchnął. Czekanie się skończyło. Przez otwarte okno czarnego bmw wyjął listę, którą przefaksowano mu przed dwiema godzinami.

- Czytaj.

Mueller przeczytał mu numery rejestracyjne i marki samochodów, które zauważył

podczas zwiadu, a on porównał je z numerami rejestracyjnymi pojazdów używanych w Berlinie przez CIA. Pasowały idealnie. Lange schował kartkę do kieszeni i rozłożył na masce plan miasta.

- Dobra robota - powiedział. - Teraz mów, gdzie oni są.

Ponownie poprawił słuchawkę i czerwonym długopisem zaznaczył na planie dwa miejsca.

Przyjrzał się im uważnie, odnotowując odległości, planując trasę dojazdu i ucieczki. Miał już zarys planu. Będzie szybko i krwawo, pomyślał. A im szybciej, tym lepiej.

- Spremite se - rzucił po serbsku do podwładnych. - Nanišanili su cilj! - Szykujcie się.

Namierzyli cel!

Na jego rozkaz trzech ponurych mężczyzn, byłych funkcjonariuszy Serbskiej Służby Bezpieczeństwa, znanej z krwawych czystek etnicznych w Bośni i Kosowie, zgasiło papierosy i wstało. Lange otworzył bagażnika i szybko rozdał im broń i amunicję. Ci sprawdzili ją wprawnie i zaczęli przygotowywać sprzęt.

Chociaż było dopiero wczesne popołudnie, szybko zapadał zmrok. Niebo pokrywała gruba warstwa ołowianych chmur. Wiał silny, wschodni wiatr i na prawie opustoszałych ulicach Grunewaldu szalała zamieć. Wiatr nieustannie się wzmacniał. Wył między drzewami pobliskiego lasu i zrzucił łachy śniegu ze stromych dachów okolicznych domów.

Żeby nie zmarznąć, Randi Russell przyspieszyła kroku. Była na Clayallee; tę szeroką aleję na wschodnim skraju leśnego rezerwatu nazwano nazwiskiem amerykańskiego generała, Luciusa Cleya, który podczas zimnej wojny zorganizował most powietrzny między głodującym Berlinem i wolnym Zachodem. Obszedłszy willę Ulricha Kesslera, w modnej kurtce narciarskiej, czarnym golfie i w dżinsach wracała właśnie do furgonetki, ich ruchomego punktu dowodzenia.

Jak dotąd nie działo się praktycznie nic. Czujka przed willą donosiła, że na ulicy panuje normalny ruch. Sam Kessler wciąż siedział w domu, a ponieważ Renke jeszcze się z nim nie skontaktował, Ulrichowi zaczynały puszczać nerwy. Zainstalowane w willi mikrofony wychwytywały stłumione przekleństwa, odgłos niecierpliwych kroków i brzęk kieliszków z dobrze zaopatrzonego barku.

Tak, Renke się nie odzywał. Dziwne. Czyżby postanowił zapobiec dalszym stratom i pozostawić Kesslera własnemu losowi? Im dłużej to wszystko trwało, tym bardziej było to prawdopodobne. Wiedziała, że Renke tak łatwo się nie podda. Wyszedł cało z niejednej opresji, miał nadzieję wyjść i z tej. Nigdy nie był lojalny, nigdy nie dochował nikomu wierności, ani innemu człowiekowi, ani krajowi, ani ideologii. Skoro tak, uratowałby Kesslera tylko wtedy, gdyby coś na tym zyskał. Musiał już wiedzieć, że jego wieloletni informator i obrońca z Federalnej Policji Kryminalnej jest pod ścisłą obserwacją. Jeśli tak, czy nie warto by było go zgarnąć? Kesslera oczywiście. Zgarnąć i wycisnąć z niego co się da, zanim ci z Langley wyjdą z siebie i przekażą go niemieckim sojusznikom?

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie reakcję tych uczulonych na ryzyko biurokratów, gdyby ich podwładna uprowadziła wysokiego urzędnika BKA. Nie, taki numer nie przejdzie. Na razie musiała się wycofać. Ale później znajdzie dyskretny sposób, żeby poinformować przełożonych o przestępczej działalności Herr Kesslera. Naturalnie będzie musiała to zrobić, nie zdradzając, że włamała się do świetnie zabezpieczonej sieci komputerowej BKA...

Tymczasem jej technicy wciąż próbowali namierzyć numer telefonu, pod który dzwonił

Kessler. Jak dotąd zdołali ustalić tylko tyle, że pierwszy ślad prowadzi do telefonu komórkowego w Szwajcarii. Dokąd trafia stamtąd, tego jeszcze nie wiedzieli.

Z rykiem silnika minął ją żółty autobus z garstką pasażerów. Podniosła głowę, żeby zorientować się, gdzie jest. Po prawej stronie szumiał otulony śniegiem las. Po lewej, po drugiej stronie ulicy, były domy i kilka sklepików. W tej części alei zauważyła kilka prywatnych samochodów i kilka ciężarówek dostawczych, które wyjechały na miasto mimo pogarszającej się pogody. Kilkadziesiąt metrów dalej, między starym audi i nowiutkim oplem, stała ich furgonetka.

Wcisnęła guzik srebrzystego iPod'a na pasku; to zaprojektowane do tajnych operacji urządzenie zawierało skomplikowany radionadajnik działający na kilku bezpiecznych częstotliwościach.

- Baza, tu Jedyńka. Zaraz będę.

- Przyjąłem - odrzekł jeden z czuwających w furgonetce techników. - Zaczekaj! - dodał

podniesionym głosem. - Ktoś dzwoni do Kesslera... Każe mu się przygotować, bo już po niego jadą!

Nareszcie! Randi uderzyła pięścią w otwartą dłoń. Najwyższa pora.

- Zrozumiałam. Przygotujcie się. Kiedy tylko go zgarną, ruszamy za nimi.

- Przyjąłem - stęknął technik, gramoląc się z tylnego siedzenia na przednie.

Wciąż idąc w kierunku furgonetki, Randi przełączyła się na częstotliwość młodej berlińskiej agentki patrolującej teren za skrzyżowaniem z ulicą Kesslera.

- Obserwator, tu Jedyńka. Zgłoś się. Cisza.

Randi zmarszczyła czoło.

- Carla, to ja. Zgłoś się.

Wciąż cisza. I trzaski zakłóceń radiowych. Randi odwróciła się na pięcie. Przeszedł ją zimny dreszcz. Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Rozpięła kurtkę, żeby mieć lepszy dostęp do beretty w kaburze pod pachą...

I w tym samym momencie zobaczyła czarne bmw, które pędziło aleją, wymijając jadące wolniej samochody i ciężarówki. Odruchowo wsunęła rękę pod kurtkę, ale nie, limuzyna minęła ich furgonetkę i pojechała dalej. Randi odetchnęła.

Lecz nagle bmw gwałtownie zahamowało. Wpadło w kontrolowany poślizg, paląc gumy zawróciło o sto osiemdziesiąt stopni i znieruchomiło ledwie kilka metrów od furgonetki.

Otworzyły się drzwiczki - jedne, drugie, trzecie - i na ulicę wyskoczyło trzech szczupłych, zwinnych mężczyzn. Błyskawicznie ustawili się półkolem. Każdy trzymał przy ramieniu MP5SD, zaopatrzone w tłumik pistolet maszynowy Hecklera & Kocha. Randi wytrzeszczyła oczy, widząc, że są w

czarnych kombinezonach i ciemnozielonych, ozdobionych orłem beretach elitarniej grupy antyterrorystycznej GSG - 9, Grenzschutzgruppe - 9.

- O cholera... - wymamrotała. Musiał wypatrzeć ich któryś z sąsiadów albo jakiś sklepikarz. Wypatrzył, nabrał podejrzeń i zadzwonił na policję. Po horrorze z jedenastego września i po masakrze na dworcu kolejowym w Madrycie siły szybkiego reagowania Niemiec, Francji, Hiszpanii i innych krajów europejskich utrzymywano w stanie ciągłej gotowości bojowej. Nie było sensu ich wkurzać. Jeśli zakładali, że wysłano ich na akcję przeciwko terrorystom, musieli być straszliwie spięci.

Jeszcze bardziej przyspieszyła kroku i powoli sięgnęła za pazuchę po identyfikator. Może zdąży zainterweniować, zanim skorzy do działania Niemcy zepsują tę starannie przygotowaną operację. Bo kiedy na oczach ciekawskich gapiów wywloką ich z furgonetki na chodnik, wszystko trafi szlag i niemieckie media będą miały używanie, donosząc o lekkomyślnych agentach CIA, których przyłapano na obserwowaniu spokojnych berlińczyków.

- Jedyńka, tu Baza - zaskrzeczało w słuchawce. - Co robimy? Randi przełączyła się na częstotliwość furgonetki.

- Siedźcie tam - odparła. - Już idę. Zaraz to załatwię.

Dzieliło ich najwyżej pięćdziesiąt metrów, kiedy niczym nie sprowokowani komandosi bez ostrzeżenia otworzyli ogień.

Strzelali ogniem ciągłym, szatkując kulami furgonetkę z odległości ledwie kilku metrów.

Trysnęły snopy iskier. Dziesiątki pocisków przebiło karoserię, roztrzaskując elektroniczny sprzęt i rozdzierając ludzkie ciało. Większość wyleciała drugą stroną i z prawie ponaddźwiękową prędkością poszybowała dalej, jednak kilkanaście trafiło w cel i zmieniło furgonetkę w krwawą komorę do uboju zwierząt. Przez chwilę z tkwiącej w uchu Randi słuchawki dobiegały potworne krzyki, które na szczęście szybko ucichły, bo tamci nie przestawali strzelać.

Randi struchlała. Chryste, to ludzie Renkego! Nie przyjechali tu ratować Kesslera.

Przyjechali, żeby zabić tych, którzy go obserwowali.

Wściekle wykrzywiła usta. Wyszarpnęła z kabury berettę, wymierzyła w najbliższej stojącego komandosa i oddała dwa strzały. Pierwsza kula poszła za wysoko. Druga trafiła prosto w pierś. Ale zamiast go powalić, siła uderzenia pocisku odrzuciła go tylko parę kroków do tyłu.

Ubrany na czarno mężczyzna stęknął i zgiął się wpół, ale szybko się wyprostował. Miał rozdarty kombinezon, lecz nie było na nim ani śladu krwi.

Boże, pomyślała Randi. Te sukinsyny są w kamizelkach kuloodpornych, w tym momencie włączył się instynkt samozachowawczy: rzuciła się na ziemię i ukryła za stojącym przy krawężniku volvo.

Komandos odwrócił się w jej stronę, jednym płynnym ruchem wycelował i puścił długą serię.

Randi przywarła do zimnego asfaltu i zasłoniła rękami głowę. Przeszyte kulami volvo zadygotało i na jezdnię posypał się grad odłamków metalu, szkła i plastiku. Zaświstały rykoszety, bębniąc po karoserii stojących najbliższych samochodów, rozrywając asfalt i rozrzucając wokoło kawałki betonu. Zawyły samochodowe alarmy.

I nagle strzały ucichły.

Ciężko dysząc, Randi wytoczyła się z powrotem na chodnik. Dwóch komandosów wsiadało już do bmw. Trzeci, z pistoletem maszynowym na ramieniu, pochylał się nad małym, zielonym workiem.

Ścisnęła pistolet obiema rękami i tym razem wymierzyła starannie. Zaczekała, aż muszka i szczerbinka ustawią się w jednej linii i pociągnęła za spust. Beretta kaszlnęła, mocno odbijając do góry. Nic. Pudło. Randi zmrużyła oczy i ponownie skupiła się na celu. Wymierzyła i oddała drugi strzał.

Pocisk kaliber 9 mm trafił w górną część nogi. Roztrzaskał kość i w fontannie krwi przebił na wylot udo. Komandos usiadł, patrząc z niedowierzaniem na pokiereszowaną kończynę.

Worek wypadł mu z ręki.

Ogarnięty paniką, lecz i zdesperowany kopnął go zdrową nogą jak najdalej od siebie i worek potoczył się pod podziurawioną kulami furgonetkę. Komandos coś krzyknął, głośno i gardłowo, chyba po serbsku, w każdym razie w jakimś słowiańskim języku. Jeden z jego kolegów wychylił się z samochodu, chwycił go pod pachy i wciągnął do środka. Na zaśnieżonym asfalcie pozostała jedynie kałuża jasnoczerwonej krwi.

Kierowca czarnego bmw wdepnął pedał gazu. Limuzyna ruszyła, błyskawicznie przyspieszyła i z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę popędziła ulicą w tym samym kierunku, skąd przyjechała. Randi zerwała się na równe nogi, podniosła pistolet, wymierzyła i zataczając ręką szeroki łuk, odprowadziła ją lufą aż do najbliższego skrzyżowania.

Strzelała spokojnie i metodycznie, chociaż cel przesuwiał się bardzo szybko.

Jeden z pocisków roztrzaskał tylną szybę. Inny wybił dziurę w bagażniku. Ale pozostałe chybiły. Randi cicho zaklęła i zdjęła palec ze spustu. Nie chciała ryzykować - mogła trafić jakiegoś przechodnia.

Pędząc na północ, bmw minęło skrzyżowanie i znikło w gęstniejącym mroku.

Randi wciąż stała z berettą w wyciągniętych przed siebie rękach. Nie mogła w to uwierzyć. Ogrom tego zdecydowanego, morderczego zamachu zaszokował ją i sparaliżował.

Chryste, jak to się stało? Jakim cudem ludzie Renkego ich namierzili, w dodatku tak dokładnie?

Powoli opuściła broń i z trudem przesunęła skrzydełko bezpiecznika. Trzęsły jej się ręce.

Napięcie i podniecenie zaczynało powoli opadać, ustępując miejsca smutkowi i głębokiemu, zapiekłemu gniewowi. Zerknęła przez ramię na furgonetkę.

Worka nie było prawie widać. Leżał na boku za tylnym kołem.

Worek, powtórzył chłodno jej umysł. I nagle, ułamek sekundy później, wprowadził do tej myśli małą poprawkę. Nie, to nie worek. To bomba - ładunek wybuchowy w płóciennej torbie.

Uciekaj! - podpowiedział umysł, znowu pracując na najwyższych obrotach. Uciekaj, szybko! Randi odwróciła się i pobięła przed siebie ile sił w nogach, jak najdalej od furgonetki. Z

pistoletem w rękę, pędziła wzdłuż rzędu samochodów, których kierowcy - wciąż wstrząśnięci widokiem strzelaniny - gapili się tępo na wrak furgonetki.

- Uciekajcie! - krzyknęła po niemiecku, wymachując berettą. - Uciekajcie! Bomba!

I wtedy ładunek eksplodował.

Ciemność rozdarł nagły rozbłysk oślepiającego światła. Randi rzuciła się na ziemię i zwinęła w kłębek, żeby stawić jak najmniejszy opór potężnej fali uderzeniowej biegnącej z ośrodka wybuchu. Twarda ściana gorącego powietrza poderwała ją z chodnika, obróciła i cisnęła kilka metrów dalej. Jednocześnie uderzyła ją w plecy gigantyczna pięść - wywołane eksplozją nadciśnienie - która wycisnęła jej z płuc każdy centymetr sześcienny powietrza.

Białe światło powoli zgasło. Wszystko pogrzyżyło się w aksamitnej czerni. Świat zniknął.

Odzyskała przytomność kilkanaście sekund później, przyciśnięta do boku samochodu, który siłą eksplozji wypchnęła na środek ulicy. Była na wpół ogłuszona i przeraźliwie dzwoniło jej w uszach. Z trudem usiadła, a potem, krzywiąc się z bólu, ostrożnie wstała. Miała posiniaczone ręce i otarte do krwi dłonie.

Z samochodów i półciężarówek, przesuniętych siłą wybuchu lub pokieroszowanych odłamkami, wysiadali oszołomieni i poranieni kierowcy. Podtrzymując połamane ręce, ze zniszczonych domów i sklepów wychodzili zszokowani ludzie, którzy najpierw przystawali niepewnie na chodniku, a potem jak ślepcy kuśtykali przed siebie. Eksplozja porozrywała dachy, poprzewracała kominy, wybiła wszystkie okna od strony ulicy, zasypując deszczem szkła pokoje, kuchnie i sypialnie.

Randi odwróciła się i popatrzyła tam, gdzie jeszcze przed chwilą parkował ich samochód.

Furgonetka zniknęła. Na jej miejscu stał teraz czarny, rozerwany na strzępy i niemal doszczętnie wypalony wrak. Prawie całkowitemu zniszczeniu uległy wszystkie samochody w promieniu

pięćdziesięciu metrów od niego. Zmiażdżone i roztrzaskane płonęły ciemnopomarańczowym

płomieniem. Ulicę zasnuwały kłęby czarnego dymu.

Randi otarła łzy. Nie, nie czas na smutek, pomyślała. Smucić się będę później - jeśli przeżyję.

Skupiła się i szybko sprawdziła sprzęt. Radionadajnik? Nie działał; musiała roztrzaskać go, padając na ziemię. Teraz to już bez znaczenia, pomyślała ponuro. Bo niby kogo mogła wywołać? Kilka metrów dalej zobaczyła berettę i niezdarnie pokuśtykała w tamtą stronę.

Podniosła ją i uważnie obejrzała. Rękojeść i lufa były mocno porysowane, ale iglica, sprężyna spustu, kurek i suwadło zdawały się nieuszkodzone. Wykrzywiła usta w gorzkim, przyprawionym ironią uśmiechu. Sądząc po wyglądzie, broń była w lepszym stanie niż ona.

Wyjęła na wpół opróżniony magazynek i schowała go do kieszeni. Wsunęła do rękojeści pełny, trzasnęła zamkiem i powoli opuściła kurek. Była gotowa.

Wetknęła broń do kabury pod pachą i po raz ostatni spojrzała na płonące samochody.

Władze już zareagowały, bo z oddali dochodziło wycie syren. Nadjeżdżała policja, straż pożarna i karetki pogotowia.

Musiała uciekać.

Pokuśtykała na zachód, coraz bardziej zagłębiając się w las i już wkrótce ulica zniknęła jej z oczu. Kilkadziesiąt metrów dalej skręciła na północ i zmusiła się do biegu, najpierw powolnego i bolesnego, potem coraz szybszego. Była sama. Towarzyszyły jej tylko mroczne cienie i ciche drzewa w zimowych czapach.

ROZDZIAŁ 33

Centrum Dowodzenia Rosyjskich Sił Kosmicznych pod Moskwa Generał - pułkownik Leonid Awierkowicz Niestrenko, wysoki, zawsze elegancki dowódca rosyjskich sił kosmicznych, siedł korytarzem łączącym kwatery mieszkalne z salą główną centrum operacyjnego. Dzięki jaskrawym jarzeniówkom na suficie i stałemu napływowi świeżego powietrza z szybów wentylacyjnych łatwo się zapominało, że ta gigantyczna instalacja wojskowa mieści się kilkaset metrów pod ziemią i że zabezpieczają ją przed atakiem grube warstwy wzmocnionego stala betonu. Prowadzące do niej tunele - strzeżone przez uzbrojonych po zęby żołnierzy - były ukryte w gęstym, brzoźowym lesie na północ od Moskwy.

Czuwający przed drzwiami wartownicy wyprężyli się na baczność, lecz Niestrenko ich zignorował. Jako gorący zwolennik wszelkich form wojskowego ceremoniału, zawsze przestrzegał regulaminu, ale teraz za bardzo się spieszył.

Pchnął drzwi, wszedł do olbrzymiej sali i szybko zamrugął, żeby przyzwycząić wzrok do półmroku. Roztaczał się przed nim znajomy widok. Konsoleta za konsoletą, rzędy konsolet.

Siedzący przy nich technicy i oficerowie albo nadzorowali powierzone im systemy wczesnego ostrzegania radarowego i satelitarnego, albo rozmawiali cicho z kolegami w podziemnych wyrzutniach raketowych, naziemnych stacjach radarowych i w ośrodkach dowodzenia rozrzuconych po całej Rosji.

Cało ścienny ekran na końcu sali pokazywał mapę świata z obiegającymi go najważniejszymi satelitami i pojazdami kosmicznymi. Jasnożółtymi kropkami oznaczono ich przewidywaną orbitę, zielonymi zaś aktualną pozycję.

Do generała podszedł spieszenie oficer dyżurny Baranów, mężczyzna o kwadratowej szczęce, dużo od niego niższy.

- Obywatelu generale - zameldował. - Amerykanie zmieniają trajektorię Lacrosse'a.

Niestrenko zmarszczył brwi.

- Pokażcie - rzucił.

Oficer odwrócił się do technika siedzącego przy najbliższej konsolce.

- Daj na ekran Lacrosse'a - 5.

Jedna z mrugających na ekranie strzałek zmieniła kolor z zielonego na czerwony.

Jednocześnie wykwitł za nią zakrzywiony rząd kropek odchylający się powoli od poprzedniego kursu.

- Odpalili silniki mniej więcej pięć minut temu - dodał Baranów. Niestrenko patrzył gniewnie na ekran.

- Co też nasi przyjaciele knują? - wymamrotał i spojrzął na Baranowa. - Dajcie zbliżenie miejsca, gdzie satelita przetnie naszą granicę. I pokażcie, jak zmieni się jego zasięg i pole widzenia.

Obraz zamigotał i gwałtownie się powiększył, obejmując o wiele mniejszy obszar, Ukrainę, Białorus i zachodnią część Rosji. Na przekątnej, biegnącej na północny wschód od Kijowa do Moskwy i jeszcze dalej, rozbłysły świetliste kwadraciki obejmujące olbrzymie połacie terenu: jeden z nich był miejscem koncentracji dywizji czołgowych i zmotoryzowanych, gotowych do ataku na Ukrainę.

- Niech to szlag - mruknął Niestrenko. Lacrosse był wyposażony w potężny system radarowo - syntetyzujący, który „widział” przez chmury i pył, we dnie i w nocy. Sprzęt biorący udział w operacji „Żuków” był zamaskowany siatkami pochłaniającymi fale radarowe, lecz skąd pewność, że eksperymentalny materiał, z którego siatki te zrobiono, skutecznie stawi czoło tak wnikliwej obserwacji?

- Mamy tam Pajaka - rzucił cicho Baranów, wskazując inną mrugającą na ekranie strzałkę. - Według komputera naprowadzającego, znajdzie się w zasięgu za trzydzieści minut.

Niestrenko krótko kiwnął głową. Pajaki były najtajniejszymi rosyjskimi satelitami wojskowymi. Udawały zwykle satelity cywilne, meteorologiczne, telekomunikacyjne i nawigacyjne, lecz oprócz standardowej aparatury, każdy z nich miał na pokładzie broń przeciwko wrogim satelitom nisko - orbitalnym. Teoretycznie rzecz biorąc, ewentualny atak można było przeprowadzić potajemnie, w sposób zupełnie niewykrywalny. Pytanie tylko, jak wyglądałoby to w praktyce. Gdyby Amerykanie ich przejrzeni, atak na satelitę zostałby poczytany jako akt wojny.

Generał wzruszył ramionami. Decyzja wykraczała daleko poza jego kompetencje.

Podszedł do najbliższej konsoli i podniósł słuchawkę czerwonego telefonu.

- Mówi generał - pułkownik Niestrenko - rzucił stanowczo. - Połączcie mnie z Kremlem.

Muszę natychmiast rozmawiać z prezydentem. Proszę mu powiedzieć, że to sprawa o nadrzędnym priorytecie wojennym.

Na orbicie

Czterysta kilometrów nad tonącymi w słońcu oceanami i brązowo - zielonymi kontynentami, po regularnej, eliptycznej orbicie z prędkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę leciał rosyjski satelita meteorologiczny, oficjalnie zarejestrowany jako Cosmos - 8B. W rzeczywistości jednak był to uzbrojony satelita wojskowy o kryptonimie Pajak -

12. Przelatując nad wybrzeżem Afryki, zaczął odbierać zakodowane sygnały z nowymi poleceniami dla komputerów pokładowych i sześćdziesiąt sekund po odebraniu ostatniego uaktywnił swoje systemy.

Odpaliły małe silniki wysokościowe, wyrzucając w przestrzeń obłoczki spalin. Długi, cylindryczny satelita zatoczył łagodny łuk i jego tępy nos wycelował w punkt nad zakrzywionym horyzontem Ziemi. Gdy ustawił się pod odpowiednim kątem, silniczki odpaliły ponownie, wyhamowując rotację.

Z otwartych luków satelity wysunęło się sześć niewielkich, stożkowo zakończonych rakiet. Gdy odplynęły od Pajaka na ściśle określoną odległość, silniczki sterujące skierowały je w dół. Rakiety zaczęły opadać ku Ziemi płaską trajektorią przebiegającą w stosunkowo niewielkiej odległości od wyznaczonego punktu, którego współrzędne były na bieżąco korygowane.

Gdy znalazły się kilkanaście kilometrów dalej, komputery pokładowe satelity wydały satelicie ostatnie polecenie. Rozmieszczone w newralgicznych punktach ładunki wybuchowe eksplodowały w serii krótkich, oślepiających rozbłysków, jasnych na tyle, że mogły je wychwycić czujniki amerykańskich i rosyjskich systemów wczesnego ostrzegania orbitujących wysoko nad Ziemią. Denotacje rozerwały Pajaka na strzępy; zniszczyły anteny, baterie słoneczne, przebiły wszystkie zbiorniki. Wirujący jak bąk wrak satelity zaczął powoli opadać ku górnym warstwom atmosfery,

ciągnąc za sobą smugę zamrożonej pary wodnej, paliwa raketowego i drobniejszych odłamków.

Wykorzystując towarzyszący wybuchowi rozbłysk, eksplodowały również główce sześciu rakiet anty satelitarnych. Każda eksplozja wysłała w przestrzeń kosmiczną grad tysięcy małych, ostrych jak brzytwa kawałków tytanu. Wszystkie razem utworzyły gigantyczny obłok szrapneli, śmiercionośną chmurę pędzącą przed siebie z prędkością ponad siedmiu kilometrów na sekundę.

Czterdzieści pięć sekund później - i ponad trzysta kilometrów dalej - chmura przecięła trajektorię Lacrosse'a - 5, jednego z dwóch amerykańskich satelitów zwiadowczych wyposażonych w radar odwzorowujący.

Centrum Dowodzenia Rosyjskich Sił Kosmicznych I

- Radar potwierdza liczne trafienia! - zawołał triumfalnie Baranów, I uważnie wysłuchawszy meldunku jednego z obserwatorów. - Według oceny wstępnej, Lacrosse uległ

całkowitemu zniszczeniu. Generał bez słowa kiwnął głową. Ponownie podniósł słuchawkę czerwonego telefonu.

- Mówi Niestrenko - powiedział spokojnie. - Połączcie mnie z Dowództwem Amerykańskich Sił Kosmicznych.

Czekając na połączenie, z lekkim uśmiechem spojrzał na Baranowa.

- Muszę przekazać im wyrazy szczerego ubolewania i przeprosić ich za straszliwą stratę, którą ponieśli na skutek przypadkowej eksplozji paliwa na pokładzie jednego z naszych satelitów meteorologicznych.

- Myślicie, że w to uwierzą? Generał wzruszył ramionami.

- Najważniejsze, że nie zdążą wystrzelić kolejnego Lacrosse'a. A czy uwierzą? Może. A może i nie. Ale już wkrótce nie będziemy musieli się tym przejmować. Ani tym, w co uwierzą, ani tym, co zrobią.

Biały Dom

Był wczesny ranek, gdy umundurowany agent Secret Service wpuścił Kleina do prywatnego gabinetu prezydenta. Gabinet - pełen starych książek, kopii obrazów Frederica Remingtona, Georgii O'Keeffe i zdjęć surowych krajobrazów Meksyku - był wszystkim, co Castilla posiadał: jego schronieniem przed rozgorączkowaną rutyną bardziej publicznych miejsc Białego Domu.

Prezydent siedział w dużym, wygodnym fotelu z podnóżkiem, posępnie przeglądając poranny raport wywiadu. Obok fotela stała taca z nietkniętym śniadaniem. Ruchem głowy wskazał drugi, identyczny fotel i rzucił:

- Siadaj, Fred. Klein usiadł.

Znużonym gestem Castilla odsunął papiery.

- Są nowe wiadomości od Smitha?

- Jeszcze nie - odparł Klein. - Ale spodziewam się, że wkrótce będą. To kwestia godzin.

Prezydent kiwnął głową.

- To dobrze, bo będę potrzebował jak najwięcej informacji, i to już niebawem. W ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin.

Klein uniósł brew.

- Nie wiem, co szykują nam Rosjanie - wyjaśnił Castilla - ale jestem przekonany, że zrobią to już niedługo. Co oznacza, że mamy coraz mniej czasu, żeby wyprzedzić ewentualny cios.

- To fakt - odrzekł Klein. Jeśli przechwycone przez Smitha pogłoski o wzmożonym tempie mobilizacji rosyjskich wojsk były prawdziwe, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy musieli działać bardzo szybko.

- Zamierzam zwołać tajną naradę naszych najważniejszych sojuszników - ciągnął

prezydent. - Krajów, które wciąż dysponują budzącą respekt armią. Na początek zaproszę przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Japonii. Chcę, żebyśmy dali Kremlowi wspólną i jednoznaczną odpowiedź i podjęli stanowcze kroki, które zmuszą Dudarewa do wycofania się z tego, co knuje, zanim będzie za późno.

- Na kiedy chce pan ją zwołać? - spytał cicho Klein.

- Na dwudziestego drugiego lutego rano. Dłużej zwlekać nie możemy. Klein zmarszczył czoło.

- To bardzo napięty termin - powiedział po długim namyśle. - Nie wiem, czy zdążymy.

- Rozumiem. Ale tylko tyle czasu mi zostało. Wierz mi, Fred, od innych też żądam rzeczy niemożliwych. Na wczorajszej naradzie Krajowej Rady Bezpieczeństwa rozkazałem, żeby natychmiast zmieniono główne kierunki działania naszego wywiadu. Satelity szpiegowskie, stacje przechwytyjące i wszystkie sieci wywiadowcze mają skupić się na jednym i tym samym.

Kiedy w Gabinetecie Ovalnym zjawią się nasi sojusznicy, chcę mieć pod ręką mocne i przekonujące dowody agresywnych zamiarów Rosji.

- A jeśli nie zdążymy? Castilla ciężko westchnął.

- Odbędę spotkanie i tak, ale się nie oszukujmy. Jeśli przedstawię im tylko moje obawy i kilka mglistych domysłów, żaden z nich nie zechce wesprzeć nas w konfrontacji z Moskwą.

Klein nerwowo przeczesał ręką włosy.

- Natychmiast przekazę to pułkownikowi Smithowi.

- Koniecznie. Nie chcę narażać go na jeszcze większe niebezpieczeństwo, ale naprawdę nie mam wyboru... - Zadzwoił telefon. Castilla szybko podniósł słuchawkę. - Tak? - Jego szeroka, zryta zmarszczkami twarz zapadła się w sobie i postarzała o dziesięć lat. - Kiedy? -

Ścisnął słuchawkę tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Zdecydowanie kiwnął głową. - Rozumiem

- powiedział cicho. - Dziękuję, admirale.

Odłożył słuchawkę na widełki i wcisnął guzik interkomu, łącząc się z szefem sztabu Białego Domu.

- Natychmiast zwołaj posiedzenie Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Sprawa jest nagła i bardzo pilna.

Spojrzał na Kleina.

- To był admirał Brose. - Miał zmęczone i zrezygnowane oczy. - Przed chwilą dostał wiadomość z dowództwa sił kosmicznych w Kolorado. Na orbicie doszło do wybuchu.

Straciliśmy naszego najnowocześniejszego satelitę, Lacrosse'a - 5.

ROZDZIAŁ 34

Na północ od Moskwy

Było już zupełnie ciemno, kiedy Jon Smith i Fiona Devin dotarli do kolejnego celu podróży, dużej daczki, której właścicielem był kiedyś Aleksandr Zacharów, druga ofiara podejrzanej epidemii, której przyczyny próbowali ustalić. Przed przejściem na emeryturę Zacharów był wpływowym członkiem partii komunistycznej i dyrektorem wielkiego zjednoczenia przemysłowego. Po upadku Związku Radzieckiego, podczas pierwszych lat

„kapitalizmu kolegów i kolesiów”, zbił pokaźny majątek na sprzedaży „udziałów” podlegających mu fabryk.

Luksusowa dacza, którą kupił za nielegalnie zarobione pieniądze, znajdowała się godzinę drogi na północ od moskiewskiej obwodnicy. Jadąc powoli wąskimi, zaśnieżonymi drogami przez posępne lasy i maleńkie wioski z opustoszałymi, zapomnianymi przez Boga i ludzi cerkwiami, Jon zastanawiał

się, dlaczego, u licha, wdowa po Zacharowie postanowiła zamieszkać tak daleko od miasta. Odległość ta dawała się we znaki zwłaszcza podczas długich, mroźnych i ciemnych zim. Dla większości bogatej moskiewskiej elity dacha była po prostu letnim domem, miejscem ucieczki i odpoczynku od lipcowych i sierpniowych upałów. Wraz z nadejściem pierwszych śniegów bardzo niewielu decydowało się na porzucenie miejskich wygód, nie licząc rzadkich wypadów na narty w weekend czy święto.

Pięć minut po tym, gdy wprowadzono ich do elegancko umeblowanego saloniku, odpowiedź na pytanie, dlaczego wdowa po byłym aparaczyku mieszka na wiejskim wygnaniu, stała się oczywista. Otóż niechętna, wzgardliwa pani domu po prostu nie chciała i nie lubiła towarzystwa. Woląca żyć samotnie, ograniczając się do garstki służących, którzy dla niej sprząтали, gotowali i spełniali każdą jej zachciankę czy ekscentryczny kaprys.

Madame Irina Zacharowa miała ostry, podobny do dzioba nos i małe, ciemne, drapieżne oczy, zawsze ruchliwe, czujne, przenikliwe, osądzające i pogardliwe. Jej wąska, mocno pomarszczona twarz była wiecznie skwaszona i nachmurzona jak twarz kogoś, kto nigdy się po nikim niczego nie spodziewa, i kto niemal zawsze stwierdza, że jego bezdennie niskie oczekiwania były całkowicie słuszne i uzasadnione.

Dokonawszy cynicznych oględzin podrobionej legitymacji służbowej Smitha, madame obojętnie wzruszyła ramionami i rzekła:

- Cóż, niech pan pyta, doktorze. Ale wątpię, czy moje odpowiedzi na coś się panu przydadzą. Szczerze mówiąc, choroba męża okropnie mnie nudziła. - Kąciki jej ust opadły jeszcze niżej. - Wszyscy ci śmieszni lekarze, pielęgniarki i urzędnicy z Ministerstwa Zdrowia zadający w kółko te same pytania. Co ostatnio jadł? Czy był kiedykolwiek napromieniowany?

Jakie brał leki? To było jak niekończące się przesłuchanie. Czysty absurd.

- Absurd? - spytał ostrożnie Smith. - Dlaczego?

- Po prostu dlatego, że Aleksandr był chodzącym spisem wszystkich możliwych chorób i złych nawyków zdrowotnych - odparła zimno madame Zacharowa. - Pił, palił i jadł o wiele za dużo, i to przez całe życie. Mógł umrzeć dosłownie na wszystko, na serce, na raka, mógł mieć wylew. Dlatego to, że jego organizm w końcu nie wytrzymał, przyjęłam bez żadnego zdziwienia i w sumie bez szczególnego zainteresowania. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego lekarze narobili tyle szumu wokół jego śmierci.

- Na tę samą chorobę umarło wielu innych - zauważyła rzeczowo Fiona. - Między innymi, mały, niewinny chłopiec, który nie miał nawyków pani męża.

- Naprawdę? - rzuciła obojętnie madame. - Zupełnie zdrowe dziecko? Jon kiwnął głową, z trudem ukrywając niechęć do tej zimnej, niezwykle egoistycznej kobiety.

- Dziwne. - madame chłodno wzruszyła ramionami. I leniwie westchnęła. - Cóż, w takim razie chyba będę musiała wam pomóc, chociaż to dla mnie dość uciążliwe.

Cierpliwie - nawet nie podejrzewał siebie o tak wielką cierpliwość - Smith zadał jej tę samą serię pytań, jaką zadał Woronowym. I tak samo jak u Woronowych Fiona notowała jej irytująco niekompletne odpowiedzi.

W końcu, gdy madame zaczęła wykazywać nieomyślne oznaki zniecierpliwienia, Jon uznał, że najwyższa pora przejść do tego, co interesowało ich najbardziej: do badań DNA, jakie przeprowadzał w Moskwie Europejski Ośrodek Badań Ludnościowych.

- Dziękujemy, że zechciała pani poświęcić nam tyle czasu, madame - powiedział. -

Bardzo nam pani pomogła. - Zaczął zbierać dokumenty i notatki. Nagle pochylił się w jej stronę i dodał: - Aha, jeszcze tylko drobnostka...

- Tak?

- Z naszych dokumentów wynika, że mężowi badano DNA. - Smith zacisnął kciuki. - W zeszłym roku, prawda?

- Mówi pan o tych badaniach genetycznych? O tym „projekcie słowiańskim”? - madame aż się skrzywiła. - O, tak. Pędzłowanie ust w imię nauki. Okropność. Ale on się tym bardzo ekscytował. - Z odrazą pokręciła głową. - Mój mąż był głupcem, doktorze. Naprawdę wierzył, że ten tak zwany projekt, który miał jakoby ustalić pochodzenie wszystkich Słowian, potwierdza jego ulubioną teorię, że jeśli chodzi o rozwój rasowy i etniczny, Rosjanie są szczytowym osiągnięciem ewolucji w Europie.

Smith uśmiechnął się dyplomatycznie, z trudem ukrywając radość. Teraz był już pewien, że odkryli istotny element, który może doprowadzić ich do źródła tajemniczej choroby.

Po porannej rozmowie z Woronowymi wrócili do kryjówki na Zamoskworieczu. Tam Jon jeszcze raz przejrzał notatki i wykonał kilka telefonów, żeby umówić się na spotkanie z madame, a Fiona spędziła kilka godzin, szukając w Internecie wszelkich informacji na temat Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych i projektów badawczych, jakie ostatnio tam realizowano. Ponieważ obydwójce uznali, że rozmowa z jej stałymi informatorami jest zbyt ryzykowana, trudno było o konkrety i szczegóły. Mimo to dowiedzieli się kilku ważnych rzeczy.

Po pierwsze, chociaż „projekt słowiański” był przedsięwzięciem ambitnym i kosztownym, badacze pobrali DNA ledwie od tysiąca spośród mniej więcej dziewięciu milionów ludzi mieszkających w rejonie wielkiej Moskwy. Do określenia historycznych zmian populacyjnych próbka ta była w pełni wystarczająca, zwłaszcza jeśli uwzględnić fakt, że w krajach Europy Wschodniej oraz w byłych republikach radzieckich pobrano setki tysięcy innych.

Ale oznaczało to również, że związek między siedmioletnim Michałem Woronowem i siedemdziesięcioletnim Aleksandrem Zacharowem nie jest li tylko dziełem ślepego przypadku. Bo jakie było prawdopodobieństwo, że jednak jest? Takie jak osiemdziesiąt jeden milionów do

jednego.

Po drugie, znowu wyskoczyło nazwisko Konstantina Malkowicza. Jego korporacje i fundacje wpłacały pokaźne sumy na rozwój badań prowadzonych przez ECBP. Szczegółowego podziału budżetu centrum w Internecie nie było, jednak Fiona nie miała wątpliwości, że miliarder bezpośrednio je finansuje.

Smith wykrzywił usta. To, że karetka pogotowia, która po nich przyjechała, należała do Świętego Cyryla, kliniki finansowanej częściowo przez Malkowicza, można by uznać za przypadek. Ale dwa przypadki to stanowczo za dużo. Serbski miliarder maczał w tym palce. On i jego kumpel z Kremla: Wiktor Dudarew.

Oleg Kirów leżał za ośnieżonym pniem drzewa, uważnie obserwując zrytą koleinami drogę, która odbijała od pobliskiej szosy. Chociaż wokoło panowała aksamitna ciemność, w obiektywie wojskowego noktowizora noc zmieniała się zielonkawy dzień. Dwadzieścia metrów za nim, osłonięty gałęziami i konarami drzew, stał przysadzisty gazik, odpowiednik amerykańskiego jeepa wranglera.

Kirów przyjechał do daczki Zacharowów przed Smithem i Fioną. Jego pierwszym zadaniem było szybkie sprawdzenie terenu. Drugim założenie ukrytego punktu obserwacyjnego w miejscu, skąd mógł mieć oko na drogę, którą mogliby nadjechać niepożądani goście. Oleg ponuro wykrzywił usta. Miał nadzieję, że Smith i Fiona się pospieszą.

Chociaż był w grubej, wełnianej kurtce, czapce i rękawicach, zadrżał z zimna.

Temperatura już dawno spadła poniżej zera i szybko spadała dalej.

Wiedział, że jego przyjaciele muszą potwierdzić informacje, jakie uzyskali od Woronowów, ale miał poważne obawy przed tak daleką wyprawą. Tu, na tym groźnym, surowym odludziu, byli straszliwie odsłonięci. Nie mogli wmieszać się w anonimowy tłum, bo nie było tu tłumów. Nie było też stacji metra ani zatłoczonych domów towarowych, gdzie mogliby się schronić. Były jedynie drzewa, śnieg i kilka krętych dróg, które po zachodzie słońca zupełnie pustoszały.

Kirów westchnął, skupiając wzrok na parkującym przed drzwiami samochodzie, madame Zacharowa trzymała swego mercedesa w ogrzewanym garażu, jej rzadkim gościom zaś musiał

wystarczyć kawałek oblodzonego podjazdu. Nie, w pobliżu granatowej wołgi, którą wypożyczył dla Amerykanów, nie dostrzegł niczego podejrzanego.

Nagle zeszytniał. W lesie rozległ się warkot potężnych silników. Samochody. Były jeszcze daleko, ale szybko się zbliżały. Podniósł głowę, żeby się rozejrzeć i szybko ją opuścił.

Rozpłaszczył się na śniegu i pospiesznie sięgnął do kieszeni.

ROZDZIAŁ 35

Cicho zapiszczała komórka. - Przepraszam - powiedział Smith. Otworzył klapkę telefonu.

- Tak? Dzwonił Kirów.

- Uciekajcie stamtąd, i to już! W lesie są dwa samochody, jadą prosto do daczy. Szybko!

Uciekajcie!

- Już wychodzimy - mruknął Jon. Zamknął klapkę i wstał, chwytając kurtkę. W kieszeni kurtki miał pistolet, makarowa, i przez chwilę kusiło go, żeby zamiast wychodzić na otwartą przestrzeń, zabarykadować się w domu. Ale natychmiast ten pomysł odrzucił. Była tu Zacharowa i służący - nie chciał prowokować niepotrzebnej strzelaniny. Gdyby do niej doszło, mogłoby zginąć wielu niewinnych ludzi.

- Jakieś... kłopoty? - spytała po angielsku Fiona; ona też wstała i już wkładała palto i rękawiczki.

- Mamy towarzystwo - odrzekł cicho Jon. - Zostawiamy samochód i wiejemy. Oleg już czeka.

Fiona kiwnęła głową. Była blada i spięta. Madame patrzyła na nich skonsternowana.

- Skończyliście? - spytała. - Już wychodzicie?

- Tak, szanowna pani - odparł Jon - wychodzimy, i to natychmiast. - Nie zważając na protesty Zacharowej, wypchnął Fionę z saloniku. W korytarzu wpadli na krępa pokojówkę z tacą zastawioną filiżankami, talerzykami, ciasteczkami i herbatą, którą gospodyni niechętnie zaproponowała, kiedy przyjechali. - Gdzie tylne drzwi? - warknął Smith.

Zaskoczona pokojówka ruchem głowy wskazała w lewo, w stronę, skąd właśnie przyszła.

- Tam, w kuchni.

Smith i Fiona wyminęli ją i poszli dalej. Ktoś załomotał do frontowych drzwi.

- Milicja! - zadudnił czyjś głos. - Otwierać! Jon i Fiona przyspieszyli kroku.

Kuchnia była duża i nowocześnie wyposażona; była tam kuchenka gazowa, lodówka, zamrażalnik, mikrofalówka i cała reszta. W powietrzu unosiły się apetyczne zapachy. W kącie siedział służący, młody, atletycznie zbudowany mężczyzna; kończył jeść kolację, klopsiki w kwaśnej śmietanie, obficie polane topionym masłem. Na ich widok zdumiony podniósł wzrok.

- Hej, dokąd...?

Chciał wstać, ale Smith pchnął go z powrotem na krzesło.

- Pani źle się poczuła - wyjaśnił. - Musi odetchnąć świeżym powietrzem.

Jednym szarpnięciem otworzył ciężkie, drewniane drzwi i lodowatą ciemność rozcięła smuga ciepłego światła. Wąski pas głębokiego, białego śniegu, wydeptana w nim ścieżka do stojących pod domem pojemników na śmieci i tonąca w mroku leśna polana - najbliższe drzewa były ledwie kilka metrów dalej.

- Szybko - szepnął. - Kiedy będziemy już w lesie, pobiegiesz w lewo. Nie zatrzymuj się, dopóki nie okrążysz domu i nie zobaczysz Kirowa. Jasne?

Fiona kiwnęła głową.

Zapadając się niemal po kolana w lodowatym puchu, ruszyli w stronę lasu. Jon wziął

szybki oddech, czując, jak czyste, arktyczne powietrze szczypie go w płuca. Jeszcze tylko kilka sekund, pomyślał. Jeszcze tylko kilka sekund i będziemy bezpieczni.

I wtedy spośród drzew wyszło trzech uzbrojonych mężczyzn. Wszyscy trzej byli w białych kurtkach z kapturem, wszyscy trzej celowali w nich z kałasznikowów. Dwóch było niższych od niego, jednak obydwaj poruszali się ze spokojem i pewnością siebie dobrze wyszkolonych żołnierzy. Trzeci był parę centymetrów wyższy. Miał szare, zimne oczy i pasemka siwizny w blond włosach.

Jon i Fiona zamarli.

- Rączki do góry, poproszę - rozkazał po angielsku blondyn. - W przeciwnym razie moi ludzie będą zmuszeni was zastrzelić. Bardzo byśmy tu nabrudzili, co byłoby godne ubolewania.

Chcąc pokazać, że jest nieuzbrojony, Smith powoli podniósł ręce wnętrzem dłoni do nich.

Kątem oka zobaczył, że Fiona robi to samo. Z twarzy odpłynęła jej cała krew.

- Bardzo rozsądna decyzja - pochwalił ich blondyn i z zimnym uśmiechem dodał: -

Nazywam się Erich Brandt. A państwo? Pan pułkownik Smith, jak mniemam. I równie znana pani Fiona Devin.

- Smith? Devin? - powtórzył Jon. - Nie wiem, o czym pan mówi. Nazywam się Strand.

Doktor Karl Strand. A to jest pani Lindkvist. Jesteśmy pracownikami Organizacji Narodów Zjednoczonych. - Wiedział, że to próżny gest, ale nie chciał tak łatwo się poddawać. Jeszcze zdąży. Taką przynajmniej miał nadzieję. - Kim jesteście? Przystępcami? Złodziejami?

Porywaczami?

Wciąż uśmiechnięty Brandt pokręcił głową.

- Panie pułkowniku, darujmy sobie te niemądre gierki. Jest pan takim samym Szwedem jak ja. -
Podszedł krok bliżej. - Ale szczerze wam gratuluję. Niewielu tak długo mi umykało.

Jon milczał zły, że tak łatwo dał się wciągnąć w zasadzkę. Z goryczą zdał sobie sprawę, że
nadjeżdżające od frontu samochody były zwykłą podpuchą, podstępem, który miał wypłoszyć ich z
domu.

Brandt wzruszył ramionami.

- Stoicyzm również podziwiam. Ale tylko do pewnego stopnia. - Lufą kałasznikowa wskazał otwarte
drzwi. - Do środka - rzucił. - Szybko.

Smith i Fiona zawrócili.

W daczce czekało trzech innych. Spędzili do saloniku pokojówkę, młodego służącego z kuchni i
starszego mężczyznę z kilkoma kosmykami włosów na tysej głowie i trzymali ich na muszce.

Siedząca na krześle Zacharowa spojrzała z wściekłością na Brandta.

- Co to wszystko znaczy? - syknęła. - Jak pan śmie mnie nachodzić! Niemiec ciężko westchnął.

- Niestety, to konieczność, madame - odrzekł uprzejmie. - Ci ludzie - wskazał Smitha i Fionę - są
szpiegami. Wrogami naszego państwa.

- To śmieszne - prychnęła Zacharowa.

- Tak pani myśli? - odparł z uśmiechem Brandt. Spojrzał na swoich ludzi. - Skrępować ich. I
dokładnie przeszukać.

Świadom, że celuje w niego kilka pistoletów maszynowych, Smith znieruchomiał, rezygnując z
oporu. Tamci wykręcili mu ręce i związali je samozaciskowymi opaskami, takimi samymi, jakich
amerykańscy żołnierze używają do krępowania irackich buntowników i terrorystów. Fionę też
skrępowali; słyszał, jak syknęła z bólu.

A potem wprawnie ich przeszukali, sprawdzając wszystkie miejsca, gdzie można było ukryć broń czy
przydatny do ucieczki sprzęt. Im dłużej to trwało, tym Jon bardziej wściekał się na nich i na siebie
samego. Zdarli mu z głowy perukę, zmusili go do wyplucia zmieniających kształt twarzy wkładek
policzkowych. Wiedział, że dla Fiony rewizja jest jeszcze bardziej poniżająca.

Znaleźli jego pistolet, potem makarowa Fiony, ich podrobione paszporty i legitymacje, wreszcie
telefony komórkowe Tajnej Jedyńki. Położyli to wszystko na stoliku do kawy. Brandt obserwował
ich z obojętną miną i ożywił się dopiero wtedy, kiedy jeden z jego podwładnych wyciągnął nóż z
buta Fiony.

Wziął go i wcisnął guzik. Z rękojeści wyskoczyła długa, błyszcząca, ostra jak brzytwa klinga.
Niemiec uniósł brew i uśmiechnął się oschle.

- No, no. Widziałem, jakie rany może zadać ta zabaweczka - powiedział. - A Dmitri był dobrze wyszkolonym agentem. Aż trudno uwierzyć, że jest pani zwykłą dziennikarką...

Fiona buntowniczo wzruszyła ramionami.

- Niech pan wierzy, w co pan chce. Nie odpowiadam za pańską chorą wyobraźnię.

Brandt zachichotał.

- Odważne słowa, panno Devin, bardzo odważne słowa. Obawiam się tylko, że puste. -

Spojrzał na Zacharowa, która obserwowała ich z wściekle wykrzywioną twarzą. - Widzi pani, madame? Broń. Peruki. Fałszywe paszporty. Skomplikowany sprzęt elektroniczny. Jak pani myśli, czy są to rzeczy, jakie noszą przy sobie szwedzcy badacze, czy raczej szpiegdy?

- Szpiegdy - szepnęła Zacharowa i pobladła jeszcze bardziej.

- Właśnie. - Brandt wyjął z kieszeni cienkie, lateksowe rękawiczki i zaczął je wkładać, niespiesznie i metodycznie. Wszyscy obserwowali to w milczeniu, nie mogąc oderwać od niego oczu. - Pani zmarły mąż był kiedyś wpływowym członkiem partii. Nie należy pani do tego ciemnego, niewykształconego motłochu. Proszę mi powiedzieć, jak karano wtedy szpiegostwo?

- Śmiercią - wyszeptała Zacharowa. - Szpiegostwo karano śmiercią.

- Otóż to. - Brandt poprawił rękawiczki i zerknął na przerażonych służących, którzy wciąż siedzieli na haftowanej złotem dziewiętnastowiecznej sofie. - Który z was to Klimuk?

Ten starszy, prawie zupełnie łysy, niepewnie podniósł rękę.

- To ja - wykrztusił. Brandt uśmiechnął się blado.

- To wy zadzwoniliście do mnie z wiadomością, że madame spodziewa się zagranicznych gości?

Klimuk kiwnął głową.

- Tak - odparł. - Zrobiłem, co kazaliście. Obiecał pan, że dostanę nagrodę, jeśli o tym zamelduję.

- Zgadza się, obiecałem - przyznał zimno Brandt. - I ją dostaniecie. Bez chwili wahania wziął ze stolika pistolet Smitha, odbezpieczył go, wycelował i z kilku kroków strzelił Klimukowi w sam środek czoła. Trysnęła krew i kolorowe obicie sofy zabarwiło się na czerwono.

Zanim pozostali służący zdążyli zareagować - wciąż patrzyli z przerażeniem na martwego kolegę - Niemiec przesunął lufę pistoletu i oddał jeszcze dwa strzały. Pokojówka i ten młodszy osunęli się na oparcie z przestrzeloną głową.

Brandt ledwo na nich spojrzał. Miał kamienną twarz. Wstrząśnięta Zacharowa znieruchomiała.

- Dlaczego? - wychrypiała z wściekłością. - Dlaczego pan ich zabił? Przecież nie byli szpiegami. Owszem, byli ignorantami i głupcami, ale nie zasłużyli na śmierć.

Niemiec wzruszył ramionami.

- Niewielu zasługuje - odparł. Podniósł pistolet i pociągnął za spust po raz czwarty.

Zacharowa zwiotczała na krześle jak szmaciana lalka. Miała przestrzelone serce, a w jej wpatrzonych w sufit oczach na zawsze zastygł wyraz gniewu, pogardy i przerażającej świadomości, że ją też skazano na śmierć.

Brandt ostrożnie położył pistolet na podłodze i kopnął go pod sofę. Spojrzał na Smitha.

- Milicja znajdzie na nim pańskie odciski palców - powiedział. - Nie sądzi pan, że bardzo ich to zainteresuje? - Z rozbawieniem pokręcił głową. - Wy, Amerykanie, tak łatwo sięgacie po broń. Nic dziwnego, że nikt na świecie was nie lubi.

- Ty sukinsynu! - syknęła przez zaciśnięte zęby Fiona. - Ty pozbawiony serca morderco!

- Sukinsyn i morderca - powtórzył spokojnie Brandt. - Tak, jestem sukinsynem i mordercą. - Spojrzał jej prosto w oczy. - A pani jest moim więźniem, panno Devin. Proszę o tym pomyśleć. Dobrze?

Odwrócił się do swoich ludzi.

- Wyprowadzić ich - warknął. - Szybko.

Ktoś szturchnął ich lufą pistoletu w plecy i pod czujnym okiem trzech innych wyprowadził na dwór, gdzie wepchnięto ich na tylne siedzenie terenówki marki Ford. Brandt z kierowcą usiedli z przodu. Jeden z bandziorów wskoczył za kierownicę wołgi, a pozostali wsiedli do drugiego forda.

Z terenówką wiozącą Smitha i Fionę na czele, konwój trzech samochodów zawrócił na zaśnieżonym podjeździe i wąską, wyboistą drogą powoli dojechał do szosy. Na szosie skręcił w prawo i przyspieszył.

Nie zważając na ból otartych nadgarstków, Jon lekko się wyprostował. Kierowali się na zachód. Drzewa, wysokie, ośnieżone stoki i stare, porośnięte krzakami przecinki migwały w świetle silnych reflektorów i znikały w ciemności.

Smith zerknął na Fionę, żeby sprawdzić, czy ona też to zauważyła. Fiona leciutko skinęła głową. Niemiec i jego ludzie gdzieś ich wieźli - gdzieś, ale na pewno nie do Moskwy.

Dlaczego? - myślał Jon. Jeśli Brandt pracował dla Malkowicza, a Malkowicz dla Kremla, dlaczego nie chcą ich po prostu przekazać Rosjanom? Czyżby Brandt i jego bogaty chlebobawca prowadzili podwójną grę?

Władik Fadiejew leżał nieruchomo w kępie brzoź przy drodze. Dzięki temu, że był w śnieżnobiałej kurtce z kapturem, na którą naciągnął poprzetykaną gałązkami siatkę maskującą, każdy, kto spojrzałby w jego stronę z odległości większej niż dwa metry, zobaczyłby tylko niską zaspę śniegu, jakich w lesie było wiele.

Mimo dokuczliwego zimna Fadiejew był zadowolony. Jako młody człowiek przez dwa lata walczył w górach Afganistanu, zabijając mudżahedinów ze swojej ukochanej snajperki. To właśnie tam polubił trudną i niebezpieczną grę, jaką było polowanie na ludzi. Gdy po długiej wojnie Armia Czerwona wycofała się z Afganistanu i nastał pokój, Fadiejew przeżył wielkie rozczarowanie. A potem... Potem mu się poszczęściło. I to bardzo: znalazł pracę u Ericha Brandta, u człowieka, który doceniał jego wyjątkowe umiejętności i potrafił je dobrze wykorzystywać.

Jedno po drugim, tylne światła samochodów w konwoju Niemca zniknęły za zakrętem.

Warkot silników powoli rozmył się w nocnej ciszy.

Fadiejew ani drgnął. Wciąż czekał.

Jego cierpliwość została wynagrodzona.

Z lasu wytoczył się z rykiem duży gazik. Zazgrzytały biegi. Samochód skręcił ostro w wąską drogę i przyspieszył, pędząc na zachód. Z jego dachu i bagażnika spadały grudy śniegu, gałęzie i połamane konary drzew.

Snajper uśmiechnął się leciutko i zbliżył usta do mikrofonu nadajnika.

- Tu Fadiejew. Mieliście rację. Amerykanie nie są sami. Ktoś za wami jedzie.

Słyszając skrzekliwy komunikat z głośnika na desce rozdzielczej forda, Smith z trudem zapanował nad wyrazem twarzy. Usłyszał, jak Fiona gwałtownie wciąga powietrze. Obydwoje wiedzieli już, że tamci wypatrzyli Kirowa. Olegowi groziło niebezpieczeństwo, a oni nie mogli zrobić nic, żeby go ostrzec.

Brandt nachylił się do mikrofonu.

- Zrozumiałem - odrzekł. - Poradzimy sobie sami. Bez odbioru. - Zerknął przez ramię. -

To zapewne wasz kolega.

Fiona i Jon nawet się nie poruszyli.

Niemiec uśmiechnął się na widok ich kamiennych twarzy.

- Macie mnie za głupca? - dodał spokojnie. - Jesteście zawodowcami. Wiedziałem, że bez wsparcia tu nie przyjedziecie.

Żeby ukryć rozpacz, Smith spojrział w okno. Po ciemku prawie nic nie widział, ale wyglądało na to, że przez cały czas jadą pod górę krętą drogą w gęstym lesie. Jakież wzgórze?

Chyba tak. Jego łagodne zbocze było porośnięte sosnami i poprzecinane głębokimi jarami, w których migwały głązy, krzaki i karłowate drzewa.

Brandt ponownie włączył nadajnik.

- Wszystkie wozy stać - rozkazał beznamiętnie. - Zająć pozycje i ubezpieczyć tył.

Gdy minęli kolejny zakręt, ford zwolnił, zjechał na pobocze i się zatrzymał. Wołga i drugi ford stanęły tuż za nim. Trzasnęły drzwiczki i na leśną drogę wysypali się jego ludzie. Z gotową do strzału bronią przycupnęli za drzewami.

W głuchej ciszy Jon i Fiona usłyszeli warkot nadjeżdżającego samochodu. Niezdarnie wykręcili głowę, żeby spojrzeć w tylną szybę.

Smith zacisnął zęby. Co mógł zrobić? Szybko przeanalizował wszystkie możliwości, ale ponieważ miał związane ręce, nie było ich wiele, a praktycznie rzecz biorąc, tylko jedna: mógł

rzucić się na przednie siedzenie, na Brandta i kierowcę. Tak, mógł, pytanie tylko, czy Kirów miałby dzięki temu większe szanse. Wzruszył ramionami. Chociaż było to zupełnie bezsensowne, nic innego nie zdołał wymyślić. Ukradkiem poruszył rękami i nogami, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

- Spokojnie, pułkowniku - powiedział cicho Brandt. - Bo odstrzelę panu głowę.

Smith ostrożnie zerknął przez ramię.

Niemiec celował mu z pistoletu prosto w skroń.

Gazik wypadł zza zakrętu wcześniej, niż można się było tego spodziewać. Pędził przed siebie na długich światłach.

Ludzie Brandta otworzyli ogień. Nocną ciszę zimowego lasu rozdarł suchy trzask i terkot wystrzałów. Kule siekały rozpędzony samochód, wybijając wielkie dziury w karoserii i wzbijając fontanny metalowych odłamków. Roztrzaskana na tysiące kawałków przednia szyba wpadła do środka.

Nie zwalniając, poszatkwany pociskami gazik gwałtownie skręcił i zjechał z drogi na porośnięte drzewami zbocze. Zsuwając się szybko w dół, z ogłuszającym trzaskiem wpadł na kępę brzoź, obrócił się wokół własnej osi, powoli przekoziółkował i zatrzymał się na skraju wąwozu. Blade światło lewego reflektora zatańczyło na pochylonych nad nim gałęziach, zamigotało i zgasło. Las i wzgórze ponownie pogrzyżyło się w aksamitnej ciemności.

Jon i Fiona wymienili przerażone spojrzenia. Stracili ostatnią nadzieję. Kirów nie mógł, po prostu nie mógł przeżyć tego morderczego ataku i wyjść cało z kraksy.

Brandt zaczął, aż na niego spojrzę. Wtedy, wciąż celując w Smitha, sięgnął po mikrofon nadajnika.

- Fadiejew? Tu Brandt. Skończyliśmy. Wsiądź do samochodu, podskocz na wzgórze, obejrzyj ten gazik i obszukaj trupa. Jeśli znajdziesz jakieś dokumenty, zobacz, jak się nazywał.

Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - zaskrzeczał płaski, pozbawiony emocji głos. Brandt kiwnął głową.

- Kiedy skończysz, wracaj do Moskwy i zamelduj się w kwaterze. My jedziemy do klasztoru. Bez odbioru.

Niemiec pstryknął przełącznikiem.

- I to by było na tyle - powiedział z zimnym uśmiechem. - Przyjaciel nie żyje, a my jedziemy porozmawiać. Bardzo mnie ciekawi, dla kogo pracujecie i co zdążyliście mu powiedzieć. O tak, to będzie bardzo długa i bardzo bolesna pogawędka. Nie mogę się już doczekać...

ROZDZIAŁ 36

Baku, Azerbejdżan

Szerokie bulwary i wąskie uliczki Baku, największego i najbardziej rozwiniętego miasta Kaukazu, ciągnęły się kilometrami wzdłuż brzegu Morza Kaspijskiego. Ponieważ do kraju coraz szerszą rzeką płynęły miliardy dolarów i euro na realizację nowych przedsięwzięć naftowo -

gazowych, Baku - jak nigdy dotąd w swojej historii - było miastem uderzających kontrastów.

Ruchliwa, bogata, kwitnąca i pełna lśniących w słońcu drapaczy chmur ze stali i szkła, w labiryncie cienistych, brukowanych uliczek ta nowoczesna, dwudziesto - pierwszo wieczna metropolia kryła również prastare meczety, królewskie pałace i tanie bazy.

Na wzgórzu tuż za murami starówki stał brzydki, betonowy gmach, gdzie urzędował

prezydent Azerbejdżanu i jego sztab. Okoliczne ulice patrolowali patrzący wilkiem żołnierze, pilnując, żeby odwiedzający miasto przedstawiciele spółek naftowych i ciekawscy turyści, zmierzający do muzeów czy do pobliskiej filharmonii, szybko przechodzili dalej.

Z windy w prezydenckim gmachu administracyjnym wysiadł kelner. Pchał przed sobą ciężki wózek zastawiony talerzami, półmiskami i wazami. Zaniepokojona groźną koncentracją rosyjskich wojsk w sąsiadującym z Azerbejdżanem Dagestanie Rada Obrony Narodowej odbywała właśnie pilną naradę. Ponieważ było już późno, a narada wciąż trwała, generałowie i ministrowie zamówili w kuchni kolację.

Kelner ruszył przed siebie, lecz drogę zaszło mu dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach.

- Ochrona - powiedział jeden, migając mu przed oczami legitymacją. - My się tym zajmiemy. Dalej wstęp mają tylko upoważnieni.

Kelner ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Tylko dopilnujcie, żeby każdy dostał co trzeba - odparł, podając mu listę nazwisk członków rady. Ziewnął i zawrócił do windy.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, oficer ochrony zaczął szybko podnosić pokrywki, często zerkając na listę. Wreszcie znalazł talerz z pitą, tłustym gulaszem baraniną, przyprawionym szafranem i ciecierzycą. Spojrzał na kolegę.

- To jego - szepnął.

- Wygląda apetycznie - odparł tamten z cynicznym uśmiechem.

- Fakt. - Ochroniarz zerknął w głąb korytarza, upewniając się, czy nikt nie nadchodzi.

Potem wyjął z kieszeni małą fiolkę i polał gulasz jej zawartością. Fiolka powędrowała z powrotem do kieszeni, a drugi ochroniarz niespiesznie pchnął wózek w stronę drzwi sali konferencyjnej. Kolejny szczerp Hydry zmierzał do wyznaczonego celu.

Biały Dom, pokój sytuacyjny

Patrząc na posępne, stężone twarze siedzących przy stole członków Krajowej Rady Bezpieczeństwa, prezydent Castilla zdał sobie sprawę, że sytuacja jest naprawdę fatalna.

Większość z nich szczerze martwiła się, że Stany Zjednoczone czeka nieuchronne starcie z Rosją, ale z braku konkretnych informacji wywiadowczych żaden nie czuł się na tyle pewnie, żeby podsunąć rozwiązanie koszmarnego konfliktu dyplomatycznego i kryzysu militarnego, który im zagrażał.

Castilla wiedział, że mają dość błędzenia po omacku. Dysponowali jedynie skrawkami danych: narastającą falą śmiertelnych przypadków tajemniczej choroby, pogłoskami o mobilizacji rosyjskich wojsk i systematycznym dudnieniem kremlowskiej propagandy o

„niebezpiecznym braku równowagi politycznej” w sąsiadujących z Rosją krajach. Niestety, wciąż brakowało im konkretnych dowodów i wnikliwych analiz, dzięki którym mogliby połączyć te skrawki w wyraźny wzór, w coś, co przekonałoby wszystkich, że Dudarew i jego generałowie rzeczywiście szykują się do ataku. Bez dowodów nikt w Europie ani na świecie nie zechciałby pójść na konfrontację z Moskwą.

Spojrzał na Williama Wexlera, nowego szefa wywiadu.

- Czy możemy zmienić orbitę tego ostatniego Lacrosse'a, żeby objąć obserwacją obszary, które najbardziej nas niepokoją?

- Boję się, że nie, panie prezydencie - odparł niechętnie były senator. - Lacrosse - 5 był

nowsą wersją Lacrosse'a - 4. Lacrosse - 4 przebywa na orbicie już od kilku lat i nie starczy mu paliwa na taki manewr.

- Jak długo potrwałoby wystrzelenie nowego?

- O wiele za długo, panie prezydencie - wtrąciła obojętnie Emily Powell - Hill, doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. - CIA twierdzi, że minimum sześć tygodni, ale gdybym miała obstawiać, powiedziałabym raczej, że od trzech do pięciu miesięcy. To bardziej realistyczny termin.

- Boże święty... - wymamrotał Castilla. Do tego czasu Rosjanie zdążyliby przerzucić swoje wojska na Syberię i z powrotem. Spojrzał na admirała Stevensa Brose'a, przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. - A pan, admirale? Co pan sądzi o zniszczeniu Lacrosse'a? Czy był to wypadek czy celowy atak, który miał nas oślepić?

- Nie wiem, panie prezydencie - odparł ostrożnie atletycznie zbudowany oficer. -

Dowództwo wojsk kosmicznych przeprowadziło analizę obrazów przesłanych przez satelity wczesnego ostrzegania, ale jest to tylko analiza wstępna. Mimo to generał Collins i jego zespół

twierdzi, że eksplozje, zaobserwowana na pokładzie Cosmosa - 8B, były bardzo silne.

- Na tyle silne, żeby zniszczyć satelitę odległego o setki kilometrów?

- Szczerze mówiąc, wątpię, panie prezydencie. Zważywszy, że satelity leciały na zupełnie różnych i odległych orbitach, prawdopodobieństwo, że aż tyle fragmentów trafiło w Lacrosse'a jest astronomicznie małe. - Brose wzruszył ramionami. - Ale to tylko domysły. W tej chwili nie dysponujemy żadnymi dowodami, że tak było.

Castilla kipiał gniewem. Bez dowodu, że był to zamierzony atak, Stany Zjednoczone nie miały wyjścia i mogły tylko spisać satelitę na straty. Zaciśnął usta. - A satelity rozpoznawcze KH? - spytał.

- Kilka z nich zmieniło orbitę i przelatują obecnie nad interesującymi nas obszarami -

odrzekła Emily Powell - Hill. - Największym problemem jest gruba pokrywa chmur. Niemal cała Ukraina i Kaukaz mają teraz bardzo złą pogodę. W tych warunkach nie poradzą sobie nawet czujniki termiczne.

Castilla zdał sobie sprawę, że wszyscy pomijają milczeniem fakt, iż bez odpowiedniej interpretacji i analizy nawet najlepsze zdjęcia satelitarne są zupełnie bezużyteczne. Tymczasem ich najlepsi analitycy i fachowcy od zdjęć albo ciężko chorowali, albo już nie żyli.

Z końca stołu odezwał się Charles Ouray, szef sztabu Białego Domu.

- W takim razie dlaczego nie przeprowadzimy zwykłego zwiadu powietrznego? Mamy radary, samoloty. Nie możemy przelecieć się nad ich granicą?

- Technicznie rzecz biorąc, możemy - wtrącił oschle sekretarz stanu Padgett. - Ale w żaden sposób nie przeskoczmy tego dyplomatycznie.

Ponieważ wielu głównych przywódców politycznych i wojskowych zachorowało lub zmarło, rządy Ukrainy, Gruzji, Azerbejdżanu i pozostałych byłych republik radzieckich ledwo utrzymują się przy władzy. W tej sytuacji żaden z tych krajów nie chce prowokować Kremla, pozwalając nam na przelot przez swoją przestrzeń powietrzną. Nasze dotychczasowe prośby, a składaliśmy je wszystkimi możliwymi kanałami, zostały stanowczo odrzucone.

Castilla kiwnął głową. Koszmarny scenariusz, który od kilku dni tak bardzo niepokoił

jego i Kleina, powoli stawał się rzeczywistością. Jeśli to Rosjanie stali za tą nową chorobą - a wszystko wskazywało na to, że tak jest - wykorzystywali ją nader skutecznie do siania zamętu i chaosu. Teraz najważniejsze było jedno: jak daleko posunie się Dudarew? Czy zadowolony się osłabieniem młodych, demokratycznych państw sąsiadujących z Rosją czy też ma ambitniejsze plany?

Otworzyły się drzwi i do pokoju sytuacyjnego weszła młoda, poważnie wyglądająca kobieta w rogowych okularach. Rozejrzała się i ruszyła spieszenie w stronę zajętego notatkami Wexlera. Nachyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Opalona twarz szefa wywiadu gwałtownie pobladła.

- Coś się stało, Bill? - spytał szorstko Castilla. Wexler odchrząknął. Było widać, że czuje się nieswojo.

- Bardzo możliwe, panie prezydencie - odparł. - Boję się, że CIA straciła właśnie jedną z grup operacyjnych działających w Berlinie. Pierwsze doniesienia są bardzo skąpe i niejasne, ale wygląda na to, że zaskoczyli ich na ulicy zamachowcy uzbrojeni w broń automatyczną i materiały wybuchowe. Szef berlińskiej placówki już tam jedzie, ale wygląda to źle. Bardzo źle.

Prawdopodobnie nikt nie ocalał.

- O Chryste... - szepnął Charles Ouray.

- Amen - dodał cicho Castilla. Opadły mu ramiona, jakby przygniótł je na chwilę ciężar kolejnej śmierci, ciężar nowych, złotych gwiazdek na marmurowej tablicy w kwaterze głównej CIA. Zmarszczył brwi. Najpierw Lacrosse, a teraz masakra amerykańskich agentów. Czyżby się to w jakiś sposób łączyło? Podniósł wzrok. - Bill, co ci ludzie tam robili? Jakie wykonywali zadanie?

Szef wywiadu robił wrażenie zbitego z tropu.

- Zadanie? - powtórzył niepewnie. I żeby zyskać na czasie, zaczął szperać w leżących przed nim papierach.

Zapadła niezręczna cisza. Nikt z siedzących przy stole nie darzył go zbyt wielkim szacunkiem. W najlepszym wypadku traktowano go jak powietrze. W najgorszym uważano, że stanowi poważne zagrożenie, że jest kolejną przeszkodą, którą musi pokonać spętany przepisami wywiad.

- Boję się, że nie mam przy sobie odpowiednich dokumentów - przyznał w końcu Wexler,

czerwieniąc się ze wstydu. Zerknął na asystentkę, która przyniosła mu wiadomość o berlińskiej tragedii. - Czy Langley przekazało nam coś na ten temat?

- Śledzili wschodnioniemieckiego naukowca, specjalistę od broni biologicznej - odrzekła powoli kobieta. - Wulfa Renkego.

Castilla miał wrażenie, że ktoś zdzielił go toporem w głowę. Renke! Boże święty, pomyślał zdumiony. Ten sam Renke, którego ludzie Freda Kleina podejrzewali o wywołanie tej tajemniczej choroby. A to sukinsyn...

Przeprosił zebranych, przekazał przewodnictwo obrad szefowi sztabu i wyszedł. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, w pokoju sytuacyjnym wybuchła awantura. Castilla nachmurzył

czoło, ale nie zwolnił kroku. Jako całość, Krajowa Rada Bezpieczeństwa była ciałem niezwykle kompetentnym, lecz kiedy musiała działać na oślep, bez wiarygodnych informacji wywiadowczych, jej członkom natychmiast puszczały nerwy. Ale teraz nie mógł tracić czasu na przywoływanie ich do porządku.

Wszedł do Gabinetu Owalnego, podniósł słuchawkę i wybrał numer, który znał on i tylko on.

- Klein. - Szef Tajnej Jedyńki odebrał telefon już po pierwszym sygnale.

- Fred, słyszałeś, co się stało w Berlinie?

- Tak, panie prezydencie - odrzekł ponuro Klein. - Właśnie przeglądam meldunki CIA i pierwsze doniesienia tamtejszej policji.

- No i?

- Bardzo znamienity jest związek z Wulfem Renkem. I niezwykle gwałtowna reakcja na naszą obecność w Berlinie.

- Rosjanie boją się, że możemy się o nim dowiedzieć?

- Albo, że możemy dowiedzieć się czegoś od niego - zauważył Klein. - Gdyby pracował pod kluczem w którymś z laboratoriów Bioaparatu, czuliby się znacznie bezpieczniej.

- Myślisz, że Renke pracuje na własną rękę gdzieś poza granicami Rosji?

- Uważam, że to bardzo prawdopodobne. Przejrzałem jego akta. Ten człowiek nigdy by się od nikogo dobrowolnie nie uzależnił. Jeżeli produkuje dla Rosjan nową broń, na pewno robi to poza ich zasięgiem.

- Przekazałeś to pułkownikowi Smithowi?

- Nie, panie prezydencie - odrzekł cicho Klein. - Bardzo mi przykro, ale ja też mam złe wiadomości.

Mniej więcej godzinę temu straciliśmy kontakt z naszą moskiewską grupą.

Pułkownik Smith, Fiona Devin i Oleg Kirów zniknęli.

ROZDZIAŁ 37

Berlin

Ulica przed willą Ulricha Kesslera już dawno opustoszała. Pod stojącymi w nieregularnych odstępach żelaznymi latarniami pulsowały kręgi łagodnego światła, które padało również na kilka parkujących przy krawężniku samochodów. W ciemności po obydwu stronach Hagenstrasse, w kępach sosen, dębów i brzoź, mrugały żółtawe światełka okien domów stojących dalej od ulicy.

Sto metrów od willi Kesslera, w głębokim cieniu między dwoma wielkimi dębami, stała bez ruchu Randi Russell. Oddychała powoli i łagodnie, czekając, aż uspokoi jej się serce po długim, bolesnym biegu przez grunewaldzki las. Rozszerzone źrenice jej oczu przywykły już do mroku, dlatego całą uwagę skupiała teraz na dokładnej obserwacji terenu. Wypatrywała ludzi.

Wypatrywała kogoś, kto podobnie jak ona krył się w mroku, polując na innych. Nie, nic się tam nie poruszało. Wszędzie panował spokój i cisza. Żadnych sylwetek między samochodami czy mrocznych kształtów za rosnącymi wzdłuż ulicy drzewami i krzakami.

To dobrze, pomyślała zimno. Nawet ci źli robią czasem błędy.

Schowała pistolet do kabury. Tym razem nie zapięła kurtki. Wyszła z cienia i demonstracyjnie ruszyła przed siebie. Liczyła na to, że ten, kto ją ewentualnie zauważy, weźmie ją za mieszkankę Grunewaldu wracającą do domu z pracy, z szybkich zakupów czy późnego spaceru.

Minęła srebrzyste audi. Stało przy krawężniku, w miejscu, skąd roztaczał się dobry widok na posiadłość Kesslera. Z odległości kilku kroków wydawało się, że samochód jest nieuszkodzony i dopiero gdy podeszła bliżej, zobaczyła małą dziurę po kuli w tylnej szybie.

Kątem oka zerknęła do środka. Z głową na kierownicy siedziała tam młoda kobieta o kasztanowych włosach. Siedziała zupełnie nieruchomo, jakby spała. Na desce rozdzielczej i przedniej szybie zakrzepła czarna krew.

Randi odwróciła wzrok, dławiąc w sobie smutek i żal. To była jej obserwatorka, bystra, żwawa dziewczyna nazwiskiem Carla Voss, stażystka, którą niedawno przyjęto do wydziału operacyjnego CIA. Zginęła, zanim zdążyła dostrzec mordercę.

Zaswędziało ją kark, jakby ona też miała zaraz oberwać. Zadrżały napięte mięśnie wokół

prawego oka. Spokojnie, nie trać głowy, nakazała sobie stanowczo i poszła dalej, jakby nie

zauważyła niczego dziwnego. Gdyby obserwował ją w tej chwili któryś z tamtych, zdradziłaby ją każda podejrzana reakcja. Zdradziła i zabiła.

Czterdzieści metrów od podjazdu przed willą Kesslera przystanęła i włożyła rękę do kieszeni spodni, jakby szukała kluczy. Potem pchnęła małą furtkę w wysokim, kamiennym murze i weszła do dużego ogrodu przed sąsiednim domem. Nagie, przysypane śniegiem klomby, szerokie, kręte alejki i mała lampa nad drzwiami. Ale w oknach willi - zbudowanej na wzór renesansowego, włoskiego palazzo - światło się nie paliło. Miała szczęście. Prawdziwi właściciele jeszcze nie wrócili.

Teraz musiała działać szybko i zdecydowanie. Alejki były wysypane chrzęszczącym żwirem, więc żeby nie narobić hałasu, zeszła na pobocze i puściła się biegiem w stronę muru odgradzającego posesję Kesslera. Prawie nie zwalniając, odbiła się, podskoczyła, chwyciła się krawędzi i wciągnęła na szczyt. Przywarła do zimnych, chropowatych kamieni i znieruchomiała.

W uszach dudniła jej krew, mimo to spróbowała skupić się na docierających zza muru odgłosach.

Początkowo słyszała jedynie szum wiatru w nagich gałęziach drzew. Ale już po chwili zaczęła wychwytywać inne dźwięki, najpierw czyjeś kroki i cichy chrzęst żwiru, potem przytłumione trzaski z radionadajnika. Oceniała, że odgłosy te dochodzą z odległości dwudziestu, maksymalnie trzydziestu metrów.

Zmrużyła oczy. Wysokie drzewa i krzewy wokół willi Kesslera dawały jej dobrą osłonę.

Chociaż w kilku oknach na pierwszym piętrze paliło się światło, malując na trawnikach żółtawe prostokąty, wąskie pasmo lasu, rosnącego tuż za ogrodzeniem, tonęło prawie w całkowitej ciemności. Ostrożnie zsunęła się z muru i tuż przy ziemi ruszyła w prawo. Szła bardzo ostrożnie, kryjąc się za szerokimi pniami drzew i ośnieżonymi krzakami i uważnie patrząc pod nogi, żeby nie nastąpić na jakąś gałązkę.

Nagle zamarła i przypadła do ziemi. Ledwie kilka metrów dalej coś się poruszyło i w smudze mdławego światła z okna domu mignęła sylwetka człowieka.

Randi wyteżyła wzrok, patrząc przez płataninę krzaków i nisko zwisających gałęzi. Jakiś mężczyzna. Niski, przysadzisty, w grubej, wełnianej kurtce. Krążył powoli po podjeździe. W

wielkie, mięsistej ręce trzymał mały, wojskowy nadajnik. W drugiej pistolet z tłumikiem. Robił wrażenie zdenerwowanego. Mimo zimna, czoło błyszczało mu od potu.

Spojrzała ponad jego ramieniem. Między willą i garażem stały dwa samochody, ciemnoczerwony mercedes i czarne bmw, do którego strzelała podczas krótkiej, krwawej akcji na Clayallee. Na ziemi, opierając się o drzwiczki bmw, siedział bezwładnie drugi mężczyzna. Prawą nogę miał mocno owiniętą zakrwawionym bandażem. Był albo nieprzytomny, albo martwy.

A jednak. Zlikwidowawszy ich grupę, zamachowcy Renkego przyjechali prosto tutaj. Ci dwaj zostali na zewnątrz, reszta wciąż gadała z Kesslerem.

Ten krępy ponownie zawrócił w stronę samochodów. Spojrzał na zegarek i przytknął nadajnik do ust.

- Lange, tu Mueller - rzucił spięty. - Długo jeszcze?

- Pięć minut - zaskrzeczał szorstki głos. - Siedź tam i nie blokuj pasma. Bez odbioru.

Randi podjęła decyzję. Będzie musiała tam wejść. Sama. Nie było czasu na wzywanie wsparcia. Czekać, aż tamci wyjdą z domu? Bez sensu. Przy odrobinie szczęścia mogłaby paru zdjąć, ale zaopatrzone w tłumik pistolety maszynowe dawały im zbyt dużą przewagę. Tu, na otwartej przestrzeni, nie miała z nimi żadnych szans. Natomiast w domu, w walce na bliską odległość, jej szanse rosły.

Uśmiechnęła się ironicznie. „Rosły”? Tak, od zerowych do prawie zerowych. Uśmiech szybko zgasł. Nawet te prawie zerowe były lepsze od tych, jakie mieli jej martwi koledzy.

Przyjrzała się uważnie nerwowo krążącemu Muellerowi. Wziąć go żywcem? Nie. To zbyt ryzykowne. Gdyby zdążył krzyknąć albo włączyć nadajnik, mogłaby od razu kłaść się do trumny.

Coraz bardziej zdenerwowany Mueller chodził tam i z powrotem, tymczasem ona wyjęła z kieszeni tłumik. Nakręciła go mocno na lufę beretty.

Gotowa do akcji, spokojnie zgrała przyrządy celownicze. Puf! Puf! Pistolet cichutko kaszlnął, raz i drugi. Metalicznie szczęknął zamek, a ponieważ w ogrodzie panowała głucha cisza, zdawało się, że odgłos ten nigdy nie przebrzmi; naturalnie wiedziała, że w rzeczywistości zarówno same wystrzały jak i towarzyszące im odgłosy mechaniczne słychać było jedynie z odległości mniejszej niż dziesięć metrów.

Pierwszy pocisk trafił Muellera w pierś. Drugi rozerwał mu gardło. Agent runął na ziemię jak kłoda i przez chwilę leżał tam drgając, charcząc, gulgocząc i wykrwawiając się na zimnym betonie. Po kilku sekundach ucichł i znieruchomiał.

Randi przesunęła lufę pistoletu w lewo, na mężczyznę opierającego się o drzwiczki samochodu. Gotowa do strzału, zacisnęła palec na spuście i... powoli opuściła rękę. Tamten ani drgnął. Tuż przy ziemi wybiegła spod drzew, trzymając się za samochodem, przecięła podjazd i uklękła na jedno kolano przy nieruchomym mężczyźnie. Siedział tak samo jak przedtem, z zakrwawioną, sztywno wyprostowaną nogą.

Jedną ręką przytknęła mu lufę do skroni, drugą wzięła go za nadgarstek. Nie miał pulsu i był już prawie zimny. Tuż obok leżała pusta strzykawka. Randi z odrazą wykrzywiła usta.

Potężna dawka morfiny albo jakiegoś innego narkotyku. Ludzie Renkego nie zabierali rannych - nawet swoich.

Nagle dostrzegła coś jeszcze, czarny, kanciasty kształt na ziemi obok trupa. Pistolet maszynowy,

MP5SD Hecklera & Kocha. Pewnie zostawili go tu jego towarzysze, czekając, aż morfina zrobi swoje.

Nie dowierzając własnemu szczęściu, odkręciła tłumik i wraz z berettą schowała go do kabury. Potem obejrzała hecklera i wyjęła magazynek. Trzydzieści naboju kaliber 9 mm - był

pełny. Trzasnęła zamkiem i ustawiła przełącznik na ogień krótkimi, trzy nabojuowymi seriami.

Pieszczotliwie poklepała karabinek. Teraz mogła się z nimi zmierzyć, chociaż wciąż mieli nad nią przewagę liczebną. Trzech na jednego, pomyślała. Trzech dobrze wyszkolonych zabójców. Trzech dobrze wyszkolonych zabójców w kamizelkach kuloodpornych.

Wzruszyła ramionami. Zwlekanie niczego nie ułatwi. Wzięła głęboki oddech i zaczęła po cichu odliczać. Trzy. Dwa. Jeden. Teraz!

Zerwała się z ziemi i popędziła w stronę domu, na wpół oczekując, że lada chwila z oświetlonych okien na piętrze huknie seria strzałów. Ale nie, nic nie huknęło. Przywarła plecami do ściany. Zaraz ktoś krzyknie, zaraz ją wypatrzą.

Nic. Cisza.

Z kolbą hecklera przy ramieniu ostrożnie wyjrzała zza rogu. Drzwi. Kilka metrów dalej.

Dzięki krążącej we krwi adrenalinie docierały do niej bodźce z zakończeń wszystkich włókien nerwowych, wyczuwała każdy, najmniejszy nawet ruch. Miała nienaturalnie wyostrzone zmysły.

Chociaż była posiniaczona i poobijana, przestała odczuwać ból. Słyszała najcichsze dźwięki: chrzęst śniegu, metaliczne potrzaskiwanie stygnącego silnika samochodu, odległe wycie syren wozów strażackich, karettek i policyjnych radiowozów pędzących na miejsce masakry.

Dotarła do drzwi, które...właśnie się otwierały. Przez szybko poszerzającą się szparę na śnieg padła smuga światła. Czas stanął w miejscu. Co teraz? Co robić? I nagle świat ożył. Nie miała czasu na myślenie - mogła tylko działać.

Z wściekłością runęła na ciężkie drzwi i staranowała je prawym ramieniem. Drzwi gwałtownie odskoczyły i grzmotnęły tego, kto za nimi stał. Rozległo się głośnie stęknienie i głuchy łoskot. Ramię najpierw zdrętwiało, a zaraz potem przeszył je oślepiający ból. Poruszała się za szybko i nie zdążyła wyhamować: wpadła do środka, poślizgnęła się na wyłożonej terakotą podłodze, odbiła się od ściany i odwróciła, omiatając lufą korytarz.

Kilka kroków dalej leżał jeden z ludzi Renkego, szczupły, ciemnooki szatyn. Zamroczony niespodziewanym ciosem ukląkł na jedno kolano. Jego pistolet maszynowy leżał tuż obok. Z

trudem dźwignął głowę, popatrzył na nią nieprzytomnie i rozdziawił usta. Potem rozpaczliwie chwycił broń i spróbował złożyć się do strzału.

Nie zdążył. Randi pociągnęła za spust.

Dwie pierwsze kule trafiły w pierś. Kamizelki nie przebiły, zmiażdżyły za to organy wewnętrzne i odrzuciły go aż na ścianę. Trzecia trafiła w twarz i rozerwała mu głowę.

- Karic? - Zaskoczony głos z góry.

Równie zaskoczona Randi spojrzała na kręte, szerokie schody prowadzące na piętro. Na ich szczycie przez poręcz wychylał się ubrany na czarno mężczyzna. Błyskawicznie podniósł

broń i wypalił.

Randi cofnęła się pod ścianę. Zaświstały kule, w podłodze pojawiły się wielkie dziury. Na wszystkie strony buchnął grad ceramicznych odłamków. W korytarzu zajęczały rykoszety.

Randi rzuciła się na podłogę i przetoczyła dalej, żeby zejść z linii strzału. Policzek przeciął jej ostry fragment płytki. Kolejna seria ze szczytu schodów roztrzaskała dwa krzesła, stojące obok oprawionego w złotą ramę lustro, zmieniając je w stos rozłupanego drewna i podartej tkaniny. Zaraz potem w deszczu szkła eksplodowało samo lustro. Zbłąkane kule strąciły ze ściany obraz, bezcennego Diebenkurna, który smyrgnął po podłodze przez całe foyer. Gdy znieruchomiał, zostało z niego tylko wystrzępione, kolorowe płótno na pogruchotanej pociskami ramie.

- Żebyś zdechł - mruknęła Randi. Facet pruł do niej jak do kaczki i szeroki korytarz stał się śmiertelną pułapką. Musiała coś zrobić, i to szybko.

Znieruchomiała. Nie zważając na ryjące podłogę kule, podniosła pistolet i wymierzyła w wielki żyrandol. Skupiła się i pociągnęła za spust. Heckler zadygotał.

Trafiony trzema pociskami żyrandol rozpadł się na tysiące kryształowych odłamków, które zatańczyły w powietrzu i zagrzechotały na podłodze. Światło zgasło i korytarz pogrążył się w ciemności.

Tamten natychmiast przestał strzelać - wiedział, że rozbłysk z lufy zdradzi jego pozycję.

Randi wykrzywiła usta. Dobry był, sukinsyn. Bardzo dobry. Miała nadzieję, że da się podpuścić. Ale się nie dał i teraz spokojnie czekał, aż Randi nie wytrzyma i przepuści szturm na schody.

Pat, pomyślała. Ona nie mogła tam wejść, a oni nie mogli zejść. Potrzywać ich tak do przyjazdu policji?

Gniewnie potrząsnęła głową. Zbytnią pewność siebie kiedyś ją zgubi. Tamtych było co najmniej dwóch. Podczas gdy jeden trzymał ją w szachu, drugi mógł zakraść się od tyłu. Te wielkie, szerokie schody nie mogły być przecież jedyną drogą na dół...

Ostrożnie usiadła.

Poprzednim razem spędziła tu ponad godzinę. Szukając dowodów obciążających Kesslera i

zakładając podsłuch, przeczesła willę od dachu po piwnicę, sprawdziła każdy pokój, każde pomieszczenie i każdy korytarz. Wiedziała, że w głębi domu są drugie schody, o wiele węższe i mniej okazałe.

Schody te, ukryte za niepozornymi drzwiami w kuchni, zbudowano dla służby na początku lat dziewięćsetnych. Dom należał do ludzi z wyższych sfer, a w tamtych czasach służący nie mogli płatać się po wspaniałych salonach zarezerwowanych wyłącznie dla gospodarzy i ich gości; przychodzili tam tylko wtedy, gdy ich wezwano.

Randi uśmiechnęła się w ciemności. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ludzie Renkego jeszcze tych schodów nie znaleźli. Całą uwagę skupiali teraz na niej, na tej stronie domu.

Zabezpieczyła karabinek, zarzuciła go sobie na plecy, położyła się i bezszelestnie poczołgała w głąb willi. Sunąc po podłodze, starannie odgarniała łuski, kawałki terakoty i szkła.

Jeśli jej plan miał wypalić, nie mogła narobić hałasu. Hałas zdradziłby jej zamiary czyhającemu na schodach zabójcy.

ROZDZIAŁ 38

Gerhard Lange nachmurzył czoło. - Mueller - rzucił do mikrofonu. - Zgłoś się.

Ale w słuchawce słyszał tylko trzaski.

- Mueller - powtórzył, próbując nawiązać łączność z podwładnym na podjeździe przed domem. - Zgłoś się!

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Poirytowany Lange zaprzestał próżnych prób. Mueller albo już nie żył, albo wpadł w łapy tamtego, albo wiał gdzie pieprz rośnie. On i Stiepanowicz zostali sami.

Spojrzał na nienaturalnie wygięte ciało Kesslera na dywanie obok starego, kunsztownie zrobionego biurka. Pogardliwie wykrzywił usta. Wbrew logice ten głupiec naprawdę sądził, że przyjechali go ratować.

Co teraz? - pomyślał. Musiał starannie rozważyć wszystkie możliwości. Rozkazy Brandta były jasne i wyraźne. Zlikwidować agentów CIA, którzy śledzili Kesslera. Zabić Kesslera, a potem spalić dom, żeby pozbyć się wszystkich dowodów na jego związek z Wulfem Renkem.

Niemiecka policja ma zastać tylko zgliszcza i popioły, podkreślił Brandt. Niech je sobie przesiewają. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie wpadł tu ten szaleniec. Zabił Karica, wyszedł cało z ostrzału Stiepanowicza, no i się porobiło.

Lange cicho zaklął. Tak, Mueller musiał przeoczyć kogoś, kto obserwował posiadłość Kesslera. I

teraz ten ktoś zapędził ich w pułapkę z trupem i stosem obciążających dowodów. Ale potulne czekanie na policję nie wchodziło w rachubę. Erich Brandt miał długie ręce i każdy, kto tak sromotnie go zawiódł, nie zdążyłby nawet tego pożałować czy to na wolności, czy w pozornie bezpiecznej więziennej celi.

Nie, zdecydował. On i Stiepanowicz będą musieli się przebić, ufając, że w szarzy schodami pomoże im broń i kamizelki kuloodporne. Ale najpierw trzeba do końca wypełnić rozkazy Brandta. Poza tym, kiedy już uciekną, pożar willi skutecznie odwróci uwagę policji.

Wzruszył ramionami, podniósł z podłogi ciężki kanister i cofając się do drzwi, zaczął polewać benzyną wykładzinę, zasłony i biurko. Trupa polał już przedtem. Teraz wystarczyła jedna zapalka...

Skradając się po cichutku ciemnymi schodami dla służby, Randi dotarła wreszcie na mały podest. Położyła się i gotowa do strzału, z kolbą hecklera przy ramieniu, ostrożnie popatrzyła przed siebie. Tuż przed nią były drzwi na główny korytarz pierwszego piętra. Drzwi zamknięte, z wąską szparą na dole. Przez szparę sączyło się słabe światło.

Randi zmarszczyła brwi. Niedobrze. Na korytarzu wciąż paliło się światło. Oznaczało to, że otworzywszy drzwi, znajdzie się na otwartej, oświetlonej przestrzeni, że nie będzie miała się gdzie ukryć. Tamci zastrzelą ją jak głupią kaczkę.

Doszedł ją dziwny zapach. Początkowo słaby, z każdą sekundą przybierał na sile.

Zmarszczyła nos. Benzyna? Tutaj? W domu? Rozszerzyły jej się oczy. Ludzie Renkego chcieli zatrzeć ślady. Chcieli spalić willę!

Zerwała się z podłogi. Jeśli w ogóle miała coś zrobić, musiała zrobić to teraz. Jedyne szansa to działać, działać jak najszybciej. Przytrzymałszy hecklera prawą ręką, lewą ostrożnie przekręciła klamkę. Klamka obróciła się łatwo i bez oporu. Kliknął zamek i... przeraźliwie zaskrzypiały od lat nie oliwione zawiasy.

Teraz! Wzięła krótki oddech, kopniakiem otworzyła drzwi na oścież, rzuciła się na podłogę, przetoczyła w bok, przykłęka na jedno kolano i wycelowowała w głąb korytarza tonącego w żółtawej poświacie sączącej się zza drzwi kilku pokoiów.

Tam, na szczycie głównych schodów, coś się poruszyło, ciemna, przysadzista sylwetka na tle niemal czarnego tła. To tamten, ten, który strzelał do niej, gdy była na dole. Już się odwracał, w rękach trzymał broń.

Za późno, sukinsynu, pomyślała. Pociągnęła za spust, wystrzeliwując dwie serie pocisków. Heckler gniewnie zadygotał.

Kule roztrzaskały poręcz i rykoszetując na marmurze i mosiężnych okuciacz, wzbily snop iskier. Inne trafiły w zwisające z sufitu resztki żyrandola i na schody znowu spadł kryształowy deszcz.

Kilka pocisków z miażdżącą kości siłą wbiło się w kevlarową kamizelkę. Ciemnowłosa mężczyzna zgął się wpół, zatoczył do tyłu, wpadł na nadwątloną poręcz i przeraźliwie krzyknął, bo poręcz

nagle puściła.

Randi nie przestawała strzelać. Heckler dygotał jej w rękach i podskakiwał.

Wciąż krzycząc i rozpaczliwie wymachując rękami, żeby odzyskać równowagę, trafiony kolejną serią męczyzna runął w dół. Rozległ się głuchy huk, przyprawiające o mdłości mlaśnięcie i krzyk ucichł.

Randi zdjęła palec ze spustu i wypuściła powietrze. Heckler zamilkł.

- Scheisse!

O cholera!

Odwróciła się na pięcie i w drzwiach gabinetu Kesslera zobaczyła szczupłego mężczyznę o cienkich ustach. Podobnie jak tamci, on też był w czarnym kombinezonie i kamizelce kuloodpornej.

Ale broń miał zarzuconą na plecy, a w rękach trzymał duży, prostokątny kanister. Dzieliło ich niecałe dziesięć metrów.

Męczyzna drapieźnie wyszczerzył zęby i upuścił kanister. Na jego nogi i wykładzinę chlusnęła benzyna. Jednym płynnym ruchem zabójca wyszarpnął z kabury półautomatycznego walthera.

Z tak bliskiej odległości broń wydawała się olbrzymia. Męczyzna wypalił i z lufy trysnął płomień.

Kula przeleciała tak blisko, że ciągnąca się za nią smuga gazów sparzyła Randi w twarz.

Zadzwoniło jej w uszach, w ustach poczuła słony smak świeżej krwi. Rozpaczliwie, zupełnie na oślep, wystrzeliła serię pocisków tylko po to, żeby zmusić tamtego do odskoku.

Jedna z kul trafiła w kanister.

Kanister zakołysał się i przewrócił. Na podłogę znowu chlusnęła benzyna. Strzeliła iskra.

Szuuu! Benzyna zapaliła się z cichym szumem. W poszukiwaniu pokarmu płomień rozpiechły się momentalnie na wszystkie strony, pożerając każdą kroplę rozlanej cieczy.

Męczyzna spojrział w dół. Jego spodnie stały w ogniu. Prerażony wykrzywił twarz, rzucił pistolet i zaczął rozpaczliwie klepać się po nogach. Lecz ogniem zajęły się i mokre od benzyny ręce - ręce, ramiona, pierś i twarz. Z jego gardła dobył się nieludzki krzyk. W ułamku sekundy płomień spowiły go od stóp po głowę, w ułamku sekundy zmienił się w żywą pochodnię. Rycząc z bólu, ruszył na oślep w jej stronę. Płonął żywcem.

Randi zrobiło się niedobrze. Wymierzyła i strzeliła mu w głowę. Męczyzna runął na podłogę i

zneruchomiał. Płomienie buchały coraz wyżej, wpełzając na ściany i wykładzinę.

Korytarz wypełniał się gęstym, dławiącym dymem.

Przez otwarte drzwi widziała, że gabinet Kesslera również stoi w ogniu. Przez kłęby dymu widziała też ciało płonące obok dużego, antycznego biurka. Kessler, pomyślała, z trudem powstrzymując wymioty. Prysła ostatnia nadzieja, że doprowadzi ją do nowej kryjówki Wulfa Renkego.

Rzuciła hecklera na podłogę i wstała. Musiała przyjrzeć się mężczyźnie, którego przed chwilą zabiła. Pobiegnęła korytarzem, nie zwalniając, wpadła do najbliższego pokoju gościnnego, zerwała z łóżka gruby, wełniany koc i popędziła z powrotem.

Płomienie były już wyższe, dym gęstszy.

W biegu narzuciła sobie koc na głowę. Mocno zamknęła oczy i przeskoczyła przez kurtynę ognia. Na ułamek sekundy załała ją fala palącego gorąca, ale zaraz potem wylądowała ciężko tuż obok szerniałego trupa. Przypadła do podłogi i pod warstwą sunącego korytarzem dymu szybko stłumiła płomienie pożerające jego ubranie i ciało.

Krzywiąc się z bólu, w rozpaczliwym pośpiechu przeszukała mu kieszenie. Znalazła coś, co wyglądało na telefon komórkowy w nadpalonej i nadtopionej obudowie. Znalazła też nadpalone dokumenty, paszport i portfel. Schowała to wszystko za pazuchę.

Płomienie strzelały z rykiem coraz wyżej. Tańcząc w rozgrzanym powietrzu, z sufitu spadały wielkie płaty płonącej farby. Wykładzina, ściany i sufit były litą ścianą ognia.

Musiała uciekać, i to szybko.

Chwyciła nadpalony koc i owinęła nim sobie głowę, ręce i ramiona. Mocno kaszląc od gryzącego w płuca dymu, chwiejnie wstała i puściła się biegiem w stronę schodów.

Znowu załała ją upiorne gorąco i tym razem poczuła smród płonącej wełny. Przebiwszy się przez ogień, rozpaczliwie zerwała z siebie koc, rzuciła się na podłogę i kilkakrotnie przetoczyła, żeby stłumić płomyki na dzinsach i kurtce.

Potem szybko wstała i przeskakując po trzy stopnie naraz, zbiegła na dół. Ogień błyskawicznie się rozprzestrzeniał. Trawił kosztowne, antyczne meble, bezcenne książki i obrazy. Z każdą sekundą buchał wyżej, z każdą sekundą robił się gorętszy.

Przeraźliwie kaszląc, znalazła frontowe drzwi i wypadła na świeże, zimne powietrze, którego tak bardzo potrzebowała. Ze znużeniem spojrzała za siebie. Płonęło już całe piętro willi.

Tańcząc swój obłąkany taniec, pomarańczowe, czerwone i białe jęzory ognia buchały oknami i strzelały w niebo dziurami w stromym, pokrytym dachówką dachu.

Patrzyła na to gorejące piekło, drżąc na całym ciele. Była dziwnie odrętwiała. Mało brakowało. Otarła się o śmierć. Przesadziła. Wsunęła rękę za pazuchę. Telefon komórkowy i nadpalone dokumenty. Wątpiła, żeby zawierały informacje, dla których warto by było aż tak ryzykować. Żeby były cenniejsze niż życie jej kolegów i koleżanek, którzy zginęli w ulicznej masakrze.

Ciężko westchnęła. Musiała to sprawdzić. Była im winna chociaż tyle. Powoli odwróciła się od płonącego domu i pokuśtykała w noc.

ROZDZIAŁ 39

Pod Bukwi

Władik Fadiejew wjechał na szczyt niskiego wzgórza i zaparkował na poboczu leśnej drogi. Wyłączył światła i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik dobitej, przerdzewiałej, rosyjskiej łady kaszlnął, prychnął i zgasł.

Po tylu latach pracy u Brandta Fadiejew miał dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na lepszy samochód, lecz mimo licznych wad, on wolał ten. Nowe samochody, zwłaszcza te kosztowne, zachodnie, rzucały się w oczy, a on lubił wtapiać się w anonimowe tło.

Ze schowka na mapy wyjął długą, ciężką latarkę, otworzył drzwiczki, wysiadł i stanął na twardej, przemarzniętej ziemi. Poświecił wokoło. Miał doświadczenie i od razu zrozumiał, co się tu stało. Ślady opon w miejscu, gdzie zatrzymały się ciężkie terenówki Brandta. Połyskujące w świetle łuski, na wpół zagrzebane w śniegu pod drzewami, skąd jego ludzie prowadzili ogień.

Łuski. Fadiejew był zniesmaczony. Łuski to niechlujstwo. Prawdziwy zawodowiec szczyści się tym, że uderza i wycofuje się bez żadnych śladów. Cóż. Podejrzewał, że Brandt za bardzo się spieszył, żeby po sobie posprzątać.

Powoli pokręcił głową. Nie podobał mu się ten nowy kontrakt Niemca. Ponaglany przez tajemniczego pracodawcę Brandt ciągle się spieszył, narażając życie podwładnych. Pośpiech był

niebezpieczny. Niewskazany. Niezdrowy. Fadiejew wolałby, żeby wróciły stare, dobre czasy, kiedy to Grupa Brandta pracowała powoli i dyskretnie, likwidując dysydentów politycznych czy też porywając i zabijając konkurentów.

Poświecił w drugą stronę i zobaczył głębokie koleiny w śniegu. Prowadziły w dół zbocza.

To tam. Tam spadł gazik. Trasę upadku, która kończyła się na skraju głębokiego jaru, znaczyły połamane gałęzie, kawałki pogiętego metalu i roztrzaskane szkło.

Sięgnął do samochodu po starego, ciężkiego tokariewa kaliber 7,62. Wolał zabijać na odległość, ale tam, na zboczu wzgórza, pistolet był przydatniejszy. Poręczniejszy niż długa snajperka, no i lepiej

nadawał się do dobijania rannych - co ewentualnie go teraz czekało.

Schował pistolet do kieszeni zimowej kurtki.

Początkowo powoli, potem z coraz większą pewnością siebie zaczął schodzić na dół i już kilka minut później dotarł prawie na skraj wąwozu. Przystanął, wyjął pistolet, drugą ręką mocniej ujął latarkę i zrobił jeszcze kilka kroków.

Ciekawie zajrzał w głąb jaru.

Wrak gazika leżał na boku dziesięć metrów niżej, między wielkimi kamieniami.

Połamane drzewka i krzaki wskazywały drogę, którą się staczał, zanim wpadł na wystrzępione głazy. Karoseria była pogięta i poszatkowana kulami. W powybijanych oknach sterczały ostre kawałki szkła.

Fadiejew westchnął.

Nie chciało mu się schodzić tam po ciemku. Sensowniej byłoby zaczekać do rana.

Ostatecznie trup nigdzie nie ucieknie, nie uciekną też dokumenty, które przy sobie ma. Ale rozkaz to rozkaz, zwłaszcza że Brandt nie należał ostatnio do ludzi cierpliwych czy wybaczących. Nie, lepiej załatwić to teraz, od razu. Załatwi to i wróci do swego wygodnego moskiewskiego mieszkania.

Zejście na dno jaru zajęło mu kilka minut.

Zszedł, poświecił latarką i pewnym krokiem ruszył w stronę wraka. Wspiął się na głazy, zeskoczył w dół, do małej niecki, ostrożnie oparł się o bok samochodu, wyciągnął szyję i zajrzał

do środka.

Zajrzał i wybałuszył oczy.

W środku nikogo nie było. Nad fotelem kierowcy zwisał pas bezpieczeństwa, co oznaczało, że...

Zamarł, czując lodowaty dotyk lufy pistoletu na potylicy.

- Rzuć broń - rozkazał stanowczy głos.

Odrętwiały Fadiejew rzucił pistolet. Tokariew zaklekotał na Kamieniach.

- Bardzo dobrze - ciągnął zimno głos. - Teraz latarkę. Oszołomiony snajper zrobił, co mu kazano. Nie, to niemożliwe. Nie mógł w to uwierzyć. Nigdy dotąd nikt go tak nie zaskoczył. To on był zawsze myśliwym, a nie wróg. Latarka potoczyła się po ziemi i znieruchomiła, oświetlając kamienie i krzaki u jego stóp. Głośno przełknął ślinę. Zaszło mu w ustach.

- Znakomicie - powiedział tamten z nutką czarnego humoru w głosie. - Kto wie, może i dożyjesz do

rana.

- Czego chcesz? - wychrypiał Fadiejew.

- Wielu rzeczy. Zaczniemy od kilku łatwych, podstawowych pytań. Ale pamiętaj, ta gra ma dwie proste zasady. Zasada numer jeden: jeśli powiesz prawdę, nie wystrzelę. Zasada numer dwa: jeśli skłamiesz, twój kręgosłup wyfrunie ci gardłem. Zrozumiałeś?

Fadiejew nerwowo kiwnął głową.

- Tak, zrozumiałem.

- To dobrze. - Lufa pistoletu dźgnęła go w kark. - W takim razie zaczynamy...

Dowództwo Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, Wjow, Ukraina W bunkrze pod gmachem ministerstwa zebrali się starsi oficerowie odpowiedzialni za obronę kraju przed atakiem lotniczym i raketowym.

Podlegały im pułki myśliwskich migów - 29 i maszyn szturmowych Su - 27, baterie pocisków raketowych dalekiego zasięgu i stacje radarowe systemu wczesnego ostrzegania. Z

uwagą słuchali wystąpienia pułkownika, który zapoznawał ich najnowszymi wydarzeniami.

- Mamy dowody na wzrastającą aktywność w nadgranicznych bazach myśliwskich i bombowych - mówił z powagą oficer. - Przechwyciliśmy kilka rozmów z wieżą, które mogą wskazywać, że na lotniska pod Briańskiem, Kurskiem i Rostowem Rosjanie przerzucają kilka pułków lotniczych.

- Rozumiem, że nie są to wnioski całkowicie jednoznaczne, prawda? - spytał jeden z generałów.

- Nie, panie generale - potwierdził pułkownik. - Ale w kilku przypadkach podsłuchaliśmy pilotów, którzy podawali nazwę bazy macierzystej i prosili o wskazówki niezbędne do lądowania na lotniskach, które przed chwilą wymieniłem. W każdym przypadku wieża przypominała im surowo o konieczności zachowania całkowitej ciszy radiowej i korzystania ze wskazówek wizualnych, jakie otrzymali przed wylotem.

- No to wszystko jasne - mruknął ponuro generał - major lotnictwa; dowodził pułkiem migów - 29 stacjonujących pod Kijowem. - Żaden rozsądnie myślący dowódca nie rozkaże pilotowi lecieć do nowej bazy w ciszy radiowej, a już na pewno nie po to, żeby ten sobie poćwiczył. I nie zimą! Chyba, że chce stracić i pilota, i maszynę, bo w takich warunkach o wypadek nietrudno. Dlaczego Rosjanie to robią? Bo nie chcą, żebyśmy się o tym dowiedzieli, ot co.

Pułkownik kiwnął głową.

- Tak, panie generale. Świadczy o tym choćby to, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin liczba transmisji na ich częstotliwościach drastycznie spadła. Dotyczy to jednostek lotniczych, raketowych i wielu innych.

Zapadła posępna cisza. Ograniczenie łączności radiowej to środek bezpieczeństwa, który podejmuje

się czasem w celu zamaskowania koncentracji wojsk szykujących się do walki. W

czasie pokoju lotnictwo, jednostki wojsk pancernych, artylerii i piechoty porozumiewały się z dowództwem drogą radiową, ponieważ tak było łatwiej, szybciej i bezpieczniej.

- Czy są jakieś inne dowody na to, że Rosjanie szykują się do ataku? - spytał spokojnie dowódca jednego z kompleksów raketowych.

- Zwiększyli liczbę lotów zwiadowczych w pobliżu i wzdłuż naszej granicy - odrzekł

pułkownik. - Odnotowaliśmy kilka przypadków „nieumyślnego” naruszenia naszej przestrzeni powietrznej sięgającego dwudziestu, trzydziestu kilometrów w głąb kraju.

- Sprawdzają nas - rzucił bez ogródek jeden z generałów; miał pięćdziesiąt kilka lat i dowodził największą stacją radarową pod Konotopem na wschodniej granicy. - Sprawdzają naszą obronę, czas reakcji na pojawienie się wrogich samolotów. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że kiedy dochodzi do tych „przypadkowych” naruszeń, samoloty ich zwiadu elektronicznego monitorują nasze częstotliwości radarowe, rejestrują rozmowy z ziemią i próbują rozgryźć nasz system przechwytywania.

Spojrzał na szczyt stołu. Siedział tam siwowłosy generał - porucznik Rystern Lissenko, naczelny dowódca sił obrony powietrznej kraju. Z nisko zwieszoną głową, przysłuchiwał się dyskusji, analizując jednocześnie przygotowane przez sztabowców materiały.

- Co pan na to, panie generale? Lissenko nie odpowiedział.

- Panie generale?

Siedzący obok Lissenki oficer lekko trącił go w ramię. Generał runął twarzą na dokumenty. Z głowy wypadły mu kępki włosów, odsłaniając zjadliwą wysypkę na skórze. Zaczął

się mocno trząść, jakby trawiła go wysoka gorączka.

Oficerowie zachłysnęli się ze zdumienia i na chwilę zaniemówili.

Pułkownik, który dotknął generała, z przerażeniem popatrzył na swoją rękę. Potem chwycił słuchawkę najbliższego telefonu i krzyknął:

- Połączcie mnie z centrum medycznym! Natychmiast!

Godzinę później w oknie swego małego gabinetu stanął kapitan wojsk obrony powietrznej kraju, jeden z przeciętnych, nie rzucających się w oczy sztabowców, żeby z nieukrywaną satysfakcją popatrzeć na wewnętrzne podwórze ministerstwa, gdzie trwała gorączkowa krzątanina. Ubrani w hermetyczne kombinezony lekarze i sanitariusze pomagali wsiąść do karet mocno zaniepokojonym generałom i pułkownikom. W ciągu ostatniego tygodnia zachorowało tylu dowódców i przywódców politycznych, że Kijów nie chciał dłużej ryzykować.

Na polecenie najwyższych władz, wszyscy ci, którzy brali udział w odprawie, mieli poddać ścisłej kwarantannie.

Kapitan pozwolił sobie na lekki uśmiech. Trzy dni wcześniej zawartością małej fiolki polał kaszę, którą Lissenko zwykł był jadać na śniadanie. Rezultaty tego jednego, prostego czynu przeszły jego najśmielsze oczekiwania: wojska obrony przeciwlotniczej kraju zostały pozbawione dowództwa, i to w najgorszym momencie.

Kapitan, Ukrainiec wedle prawa, lecz wierny Rosjanin z pochodzenia, odwrócił się od okna, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer, który przekazano mu przed wieloma tygodniami.

- Tak? - spytał cicho czyjś głos.

- Mówi Rybaków. Mam dobre wiadomości.

Kreml

Prezydent Wiktor Dudarew spojrział zza biurka na stojącego przed nim krępego, siwowłosego mężczyznę. Zmarszczył brwi.

- Castilla chce iść na konfrontację i zwołuje tajną naradę sojuszników? Jesteście pewni?

Aleksiej Iwanow kiwnął głową.

- Meldunek naszego współpracownika z Białego Domu jest bardzo szczegółowy.

Potwierdzają to również informatorzy z krajów, które mają wziąć w niej udział.

- Kiedy?

- Za niecałe dwa dni - odrzekł szef Trzynastego Dyrektoriatu. Dudarew wstał i podszedł

do okna. Przez chwilę spoglądał na zalany światłem dziedziniec. Potem zerknął na Iwanowa.

- Co Amerykanie wiedzą?

- Niewiele - zapewnił go Iwanow. - Plotki, pogłoski, spekulacje... - Wzruszył ramionami.

- Za to my wiemy, że wciąż rozpaczliwie szukają dowodów.

Prezydent łypnął na niego spode łba.

- Kurier dotarł już do Stanów?

- Tak. Jest w Nowym Jorku, w drodze do Waszyngtonu.

- Dobrze. - Dudarew ponownie spojrział w okno. Zobaczył swoje zniekształcone odbicie i jeszcze bardziej nachmurzył czoło. - Dajcie znać waszemu współpracownikowi. Castilla ma zejść mi z drogi,

i to jak najszybciej. Ma umrzeć, zanim dojdzie do tej narady. - Odwrócił się do Iwanowa. - Czy to jasne?

- Całkowicie, panie prezydencie - odparł spokojnie Iwanow. - Rozkaz będzie wykonany.

ROZDZIAŁ 40

21 lutego

Ambasada Amerykańska w Berlinie

Randi Russell zeszywniała. Zalała ją fala bólu, bólu tak intensywnego, że ściany sali konferencyjnej na drugim piętrze ambasady na chwilę poczerwieniały. Czoło miała gorące i lodowato zimne zarazem. Przez zaciśnięte zęby powoli wypuściła powietrze, rozluźniając mięśnie. Ból osłabł.

- Troszkę piecze, co? - rzucił wesoło lekarz, przyglądając się ranie, którą właśnie zaszył.

- Jeśli „trochę” znaczy „cholernie”, to tak - odparła oschle Randi. - Rzeczywiście, trochę zapiekło.

Lekarz wzruszył ramionami i zaczął pakować narzędzia.

- Gdybym miał coś do gadania - odrzekł cicho - rozmawialibyśmy teraz w izbie przyjęć.

Tymi oparzeniami, zadrapaniami, draśnięciami i skaleczeniami mogłaby pani obdzielić trzech pacjentów.

Randi zmrużyła oczy.

- Czy te obrażenia mogą przykuć mnie do łóżka?

- Same w sobie? Nie - przyznał niechętnie lekarz. - Ale jeśli pani trochę zwolni i jeśli organizm zorientuje się, w jak kiepskim jest stanie, pożałuje pani, że nie leży pani w miękkim, wygodnym

szpitalnym

łóżku, podłączona do kroplówki z najlepszymi środkami przeciwbólowymi na rynku.

Randi posłała mu krzywy uśmiech.

- Wynika z tego, że nie mogę zwolnić. Cóż, jakoś sobie poradzę. Nie lubię siedzieć beczynnio.

Lekarz ciężko westchnął, godząc się z porażką i postawił na stole buteleczkę z jakimś lekiem.

- Ma pani wysoki próg bólu, ale proszę mi przynajmniej obiecać, że jeśli ból stanie się naprawdę nie do wytrzymania, weźmie pani to, dwie tabletki. Powinno pomóc.

Randi obejrzała buteleczkę.

- Ma jakieś skutki uboczne?

- Znikome. Może pani odczuwać lekką senność, to wszystko. - Lekarz uśmiechnął się i na odchodnym dodał: - Ale proszę się potem zbytnio nie forsować, to znaczy, nie strzelać z broni automatycznej, nie uganiać się za bandytami i nie podpalać luksusowych willi.

- Postaram się o tym pamiętać - odparła chłodno Randi.

Gdy lekarz wyszedł, wrzuciła buteleczkę do najbliższego kosza na śmieci. Potem wstała z krzesła i pokuśtykała do Curta Bennetta, szefa specjalnej ekipy technicznej z Langley, który wciąż próbował rozszyfrować skomplikowaną sieć łączności Wulfa Renkego. Wykorzystywał do tego celu numer telefoniczny z podsłuchu w willi Kesslera - ten zarejestrowany w Szwajcarii -

oraz numery z pamięci nadpalonego telefonu komórkowego zabójcy z willi Kesslera.

Randi spojrzała mu przez ramię. Stojący na stole ekran monitora wypełniało coś, co laik wziąłby za chaotyczne ciągi wybranych na chybił trafił cyfr i symboli. Niektóre były połączone liniami, inne rzędami kropek. Jeszcze inne wyodrębniono i oddzielono od pozostałych.

- Jak idzie?

Bennett podniósł wzrok. Miał zaczerwienione, choć wciąż jasne i przytomne oczy.

- Robię postępy - odrzekł. - Ale ten, kto stworzył tę sieć, jest bardzo, ale to bardzo dobry.

Mnóstwo numerów, mnóstwo odnóg, mnóstwo pętli i ślepych zaułków, prawdziwa pajęczyna.

Ale zaczynam już dostrzegać pewien wzór.

- To znaczy?

- Jak dotąd zidentyfikowałem numery zarejestrowane w kilku krajach. W Szwajcarii, Rosji, Niemczech i we Włoszech. Ale to dopiero początek.

- Któryś z nich należy do Renkego?

- Jeszcze nie wiem. Większość wygląda na fałszywe. To coś w rodzaju skrytki pocztowej wynajętej na fałszywe nazwisko i lewe papiery.

- Cholera.

- Jeszcze nie wszystko stracone. - Bennett podniósł brew. - Załóżmy, że znalazłaś prawdziwą skrytkę. Co byś wtedy zrobiła?

- Kazałbym śledzić każdego, kto przyszedłby odebrać pocztę. A gdyby listy przesyłano dalej, spróbowałabym namierzyć adresata.

- Właśnie. - Bennett posłał jej zębaty uśmiech. - Robimy to samo, tyle że elektronicznie.

Sygnal przechodzi przez te wszystkie telefony, a my idziemy za nim. Krok po kroku, coraz dalej i wyżej, jak po drabinie.

- Kiedy namierzysz numer tego, do którego ma trafić?

- Trudno powiedzieć. Może za kilka godzin. A może za parę dni. Dużo zależy od ruchu w sieci. Przebiliśmy się przez zewnętrzną warstwę, więc im więcej będą rozmawiali, tym więcej zbierzmy informacji.

- Dobra. Działaj, Curt. Muszę wiedzieć, gdzie ten sukinsyn się ukrywa. I to jak najszybciej. - Odwróciła głowę. Do sali konferencyjnej weszła spieszenie współpracowniczka Bennetta. - Tak?

- Langley ma nazwisko tego z kanistrem - odrzekła szybko kobieta. - Paszport jest zdecydowanie fałszywy, ale to nadpalone zdjęcie pasowało do zdjęcia z archiwum.

- Pokaż - rzuciła Randi. Wiadomość pochodziła z kwatery głównej CIA i była ściśle tajna.

Na górze widniał skan starego, czarno - białego zdjęcia mężczyzny o pociągłej twarzy i ciemnych włosach. Mężczyzna był we wschodniemieckim mundurze, w wojskowej marynarce z czterema rombami kapitana na ramieniu. Randi porównała zdjęcie z obrazem ubranego na czarno zbira, który wciąż przechowywała w pamięci. Kiwnęła głową. To był ten sam mężczyzna.

Przeczytała na głos widniejący pod zdjęciem tekst.

- "Gerhard Lange, kapitan wschodniemieckiej Stasi. Po upadku muru berlińskiego zatrzymany przez zachodnio niemiecką policję w związku z zabójstwami politycznymi w Lipsku, Dreźnie i Berlinie Wschodnim. Wkrótce potem zwolniony z braku dowodów. Miesiąc po zwolnieniu

wyemigrował do Serbii. Od 1990 do 1994 współpracował z reżimem Slobodana Miloszewicza jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. W 1994 wyemigrował ponownie, tym razem do Rosji. Dalszych informacji brak”. Proszę, proszę, wygląda na to, że nasz pan profesor lubi pracować z rodakami. Ciekawe, ilu jeszcze bandziorów ze Stasi ma na każde zawołanie...

Kolonia

Bernhard Heichler siedział odrętwiały przy biurku w kwaterze głównej BKA, Bundesamtes für Verfassungsschutz, patrząc tępo na plik pilnych meldunków z Berlina -

meldunków, które mogły go zniszczyć. Głośno jęknął i natychmiast zacisnął usta przerażony echem, jakie niesło się w tym upiornie cichym budynku.

O trzeciej nad ranem biura BKA były niemal całkowicie opustoszałe, gdyż na nocnej zmianie czuwała jedynie garstka urzędników i oficerów kontrwywiadu. Heichler wiedział, że jego obecność prędzej czy później wywoła zdziwienie i zgryźliwe komentarze, zwłaszcza wśród podległych mu pracowników wydziału piątego. Zawsze uchodził za wielkiego zwolennika rutyny i umiarkowania, za kogoś, kto nie znosi podlizywania się, popisywania i mędrkowania. Dlatego to, że został do późna w biurze, aby na bieżąco monitorować przebieg śledztwa w sprawie zabójstwa trojga amerykańskich agentów CIA, którzy zginęli w berlińskiej masakrze, na pewno zostanie odebrane jako dowód, że stara się o kolejny awans.

Nikt nie domyśliłby się, dlaczego chciał przeczytać policyjne meldunki jako pierwszy, zanim trafią do rąk innych oficerów kontrwywiadu.

Wciąż nie wierząc własnym oczom, przejrzał je jeszcze raz. Policyjni technicy zdołali ustalić, że broń, z której zastrzelono agentów CIA, jest tą samą bronią, którą znaleziono - wraz z sześcioma trupami - w spalonej willi wysokiego urzędnika Bundeskriminalamt. Głośno przełknął

ślinę, czując gorzki smak żółci. Chryste, w co on się wpakował?

Cichy terkot telefonu, przerażająco głośny w nienaturalnie cichym biurze, omal nie przyprawił go o atak serca. Podniósł słuchawkę.

- Tak? Co jest?

- Telefon ze Stanów, Herr Heichler - powiedziała telefonistka z centrali. - Dzwoni Herr Andrew Coates, starszy doradca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Chce rozmawiać z kimś z kierownictwa piątki.

- Proszę łączyć - warknął Heichler. Trzęsły mu się ręce. - Halo?

- Bernhard? - Znajomy głos. Coates, łącznik między CIA i skomplikowaną siecią niemieckich służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych. Często wymieniali się informacjami.

- Rany, jak to dobrze, że jeszcze tam jesteś! Chcę zapoznać cię z postępami śledztwa i mam dobre wiadomości. Jeden z naszych wyszedł cało z tej przeklętej zasadzki. Mało tego, wpadł mu w ręce

ważny dowód, który może doprowadzić nas do tych sukinsynów...

Nadzieja rozwiała się jak dym na wietrze. Coraz bardziej przerażony Heichler słuchał, czując, jak na szyi zaciska mu się pętla zdrady i przekupstwa. Chciało mu się krzyczeć, wrzeszczeć i wyć, i tylko cudem zdołał dotrzeć do końca rozmowy. Kiedy Amerykanin wreszcie się rozłączył, przez kilka długich minut siedział, gapiąc się w pustkę.

Potem trzęsącymi się jak nigdy dotąd rękami podniósł słuchawkę. Jeśli Amerykanie schwyтали odpowiedzialnych za zabójstwo berlińskich agentów CIA, bardzo szybko znajdą dowody, które doprowadzą ich do BKA, czyli... do niego. Znowu nie miał szans. Absolutnie żadnych szans.

ROZDZIAŁ 41

Moskwa

Konstantin Malkowicz siedział spokojnie przy stole w swoim luksusowym apartamencie na najwyższym piętrze wieżowca górującego nad KitajGorodem, obszarem wąskich uliczek na wschód od placu Czerwonego. Właśnie dopijał poranną herbatę, przeglądając zestawienia nocnych transakcji jego amerykańskich i azjatyckich brokerów. Pierwszy raz od kilku dni mógł

skupić się na rutynowych operacjach finansowych swego rozległego imperium. Brandt nareszcie schwytał Smitha, a wieczorne doniesienia z Berlina też napawały go poczuciem głębokiego zadowolenia.

Hydra znowu była bezpieczna.

Bezszelestnie wszedł służący z telefonem.

- Pan Titow do pana. Lekko poirytowany Malkowicz podniósł wzrok. Titow zarządzał

jego moskiewskim przedstawicielstwem. Nie mógł z tym zaczekać? Przecież już niedługo mieli spotkać się w biurze. Podniósł słuchawkę.

- Kirił? Co się stało?

- Przyszedł e - mail. Adresowany osobiście do pana. Pilny. Uznałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

Malkowicz z trudem stłumił gniew. Podobnie jak wielu innych wychowanych w komunizmie Rosjan, Titow nie umiał zrobić nic na własną rękę, bez wyraźnych poleceń przełożonego.

- Dobrze - westchnął. - Proszę mi go przeczytać.

- Niestety nie mogę - odparł niepewnie Titow. - Jest zaszyfrowany Sovereignem.

Malkowicz zmarszczył brwi. Programem Sovereign były szyfrowane wyłącznie wiadomości dotyczące jego najtajniejszych i najbardziej nielegalnych przedsięwzięć. Odczytać je potrafił tylko on i garstka jego najbardziej zaufanych pracowników.

- Rozumiem - odrzekł po namyśle. - Dobrze, że pan zadzwonił. Zaraz się tym zajmę.

Odłożywszy słuchawkę, wstał od stołu, wszedł do gabinetu, ściągnął e - mail i przepuścił

go przez program deszyfrujący. Był to gorączkowy meldunek jego najważniejszego niemieckiego agenta, człowieka, który kierował siecią marionetek i szpicli w najważniejszych ministerstwach Bundesrepublik.

Malkowicz czytał go z narastającym niepokojem. Całkowicie rozbito grupę, którą Brandt wysłał do Berlina. Co gorsze, Lange i jego ludzie nie wypełnili głównego zadania i Amerykanie wciąż siedzieli Renkemu na ogonie. Tajemnica Hydry była w wielkim niebezpieczeństwie.

Na zimno rozważył, jak może zareagować na to rosyjski prezydent. Wykrzywił twarz.

Jego groźby były aż nadto wymowne. Dowie się o tym czy nie? Dowie się. Na pewno. Ma swoje własne źródła informacji. Liczyć na jego wyrozumiałość? Bzdura. Nie w sytuacji, kiedy rosyjskie wojska szykowały się do ataku na nic nie podejrzewającego przeciwnika. Dudarew grał o zbyt wysoką stawkę.

Z nachmurzoną miną Milkowicz skasował wiadomość i wyłączył komputer. Przez chwilę patrzył ponuro na czarny ekran monitora, rozważając możliwości. Doszedł do wniosku, że Hydrę można jeszcze uratować, ale że musi zrobić to osobiście, poza zasięgiem długich rąk Dudarewa.

Podjąwszy decyzję, odepchnął się od biurka i podszedł do sejfu ukrytego za prastarą ikoną Michała Archanioła. Czytnik zeskanował odciski palców, kliknął zamek i jego oczom ukazał się rząd płytek kompaktowych, pliki zdjęć i małe pudełko z kasetami zawierającymi dziesiątki potajemnie nagranych rozmów. Materiał ten był dokumentacją jego transakcji z Kremlem. I szczegółowym streszczeniem militarnych planów Rosjan.

Szybko przełożył to wszystko do dyplomacji. Wyjechawszy z Rosji, będzie mógł

wykorzystać te informacje do renegocjacji umów z Dudarewem i do zagwarantowania mu bezpieczeństwa osobistego w zamian za obietnicę ukończenia prac nad Hydrą. Uśmiechnął się ironicznie, wyobrażając sobie minę prezydenta na wieść o niespodziewanym szantażu tak bliskiego sojusznika. Wzruszył ramionami. Dudarew był na szczęście wyrachowanym realistą, tak samo jak on. Ich alians nigdy nie opierał się na wzajemnym zaufaniu.

Pod Moskwa

Jon tonął, zapadał się powoli w bezdenną otchłań. Walczące z miażdżącym ciśnieniem płuca płonęły żywym ogniem, a on wirował i koziółkował, opadając w czarne głębiny. Zwinął się i skręcił w rozpaczliwej próbie wydostania się na powierzchnię i ku swemu przerażeniu stwierdził, że nie może poruszyć kończynami, że ręce i nogi są jak skute lodem. Był skępowany, zupełnie bezbronny i głową

naprzód coraz szybciej zanurzał się w nicość. Ucieczka? Ucieczki nie było.

- Niech się pan obudzi, pułkowniku! - warknął czyjś surowy głos.

Smith zadrzał, zachłysnął się i omal nie zwymiotował, gdy chluśnięto mu w twarz kubłem lodowatej wody. Gwałtownie zakaszłał i zwinął się w pół. Bolał go każdy mięsień, bolały zakończenia wszystkich włókien nerwowych. Ostrożnie otworzył oczy.

Leżał na boku w kałuży zimnej wody, na nierównej, wytartej, kamiennej posadzce.

Zdrętwiały mu związane z tyłu ręce i skrępowane w kostkach nogi. Przez długą chwilę nic do niego nie docierało, nic nie miało sensu. Gdzie był? Co się, u diabła, z nim działo? Doszedł go cichy jęk jakiejś kobiety. Powoli, krzywiąc się z potwornego bólu, jaki towarzyszył

najmniejszemu nawet ruchowi, odwrócił głowę i spojrzał do góry.

Stał tam wysoki blondyn, taksując go spojrzeniem zimnych, szarych oczu. Długo się nie odzywał, wreszcie z okrutnym zadowoleniem kiwnął głową.

- Skoro odzyskał pan przytomność, możemy zaczynać od początku. Niechciane wspomnienia zalały obolały umysł jak wezbrana woda, która przedarła się przez nadwątloną tamę. Ten szarooki blondyn to Erich Brandt. On i Fiona byli jego więźniami. Zawleczono ich do tej wilgotnej piwnicy wkrótce po tym, gdy w zasadzce zginął Oleg Kirów.

Piwnica mieściła się pod ruinami cerkwi, która była częścią starego, rosyjskiego klasztoru zamkniętego przez bolszewików po rewolucji w 1917. Pamiętał, że widział na ścianach setki śladów po kulach i że z ponurym rozbawieniem blondyn wyjaśnił mu, iż w miejscu tym funkcjonariusze NKWD, tajnej policji Stalina, rozstrzeliwali więźniów politycznych w okresie krwawych czystek, jakie urządzał dyktator. Klasztorne budynki, a raczej to, co z nich zostało, były teraz zupełnie opustoszałe i powoli porastał je las.

Brandt i jego oprawcy przez wiele godzin poddawali ich straszliwym torturom. Każde pytanie było okraszane bólem, krótkim, ostrym ciosem w żebra czy w głowę, uderzeniem otwartą dłońią w twarz albo elektrowstrząsami. W krótkich przerwach między przesłuchaniami polewano ich lodowatą wodą, bombardowano seriami przeraźliwych, ogłuszających dźwięków i oslepiano błyskającymi światłami, co miało ich zdezorientować i osłabić ich opór.

Brandt zmrużył oczy, uśmiechnął się zimno i ruchem głowy dał znak stojącemu za Smithem podwładnemu.

- Nasz przyjaciel jest gotowy - powiedział. - Posadź go.

Pod pachy chwyciły go szorstkie, zrogowaciałe ręce. Dźwignęły go z kałuży, rzuciły na krzesło, obwiązały mu piersi skórzanym pasem i przywiązały go do kanciastego, drewnianego oparcia. Bezlitośnie zacisnęły się węzły.

Jon zagryzł wargę. Zerknął w lewo.

Na krześle tuż obok siedziała Fiona. Ona też miała skrępowane ręce i nogi. I bezwładnie zwieszoną głowę. Z kącika jej ust płynęła strużka krwi.

- Panna Devin nie wykazuje chęci do współpracy, podobnie jak pan - wyjaśnił swobodnie Brandt. Na jego twarzy wykwitł posępny uśmiech.

Wykwitł i szybko zgasł, nie pozostawiając po sobie śladu ani w oczach, ani na ustach. -

Ale ja jestem bardzo wyrozumiały, dlatego żeby zaoszczędzić wam niepotrzebnego bólu, dostaniecie jeszcze jedną szansę. Zerknął przez ramię.

- Jurij, pannie Devin chce się pić. Na co czekasz?

Jego podwładny, muskularny, na łyso ostrzyżony osiłek, chlusnął jej w twarz kubłem wody. Fiona zakrzuszyła się, zakaszła i odchyliła się do tyłu, żeby uniknąć lodowatego prysznica. Na próżno. Kilka sekund później powoli otworzyła oczy i na widok zgnębnego Smitha posłała mu krzywy uśmiech.

- Fatalną mają tu obsługę - wychrypiała. - Następnym razem wybiorę inne miejsce.

- Bardzo zabawne - prychnął Brandt i spojrzał na Jona. - Panie pułkowniku, pozwoli pan, że po raz ostatni zachowam się rozsądnie i spytam: dla kogo pan pracuje? Dla CIA? Dla Wywiadowczej Agencji Obrony? Dla jakiejś innej organizacji?

Smith przygotował się na kolejny cios. Podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Już mówiłem - odparł ze znużeniem zdumiony, że tak bardzo bełkocze. - Nazywam się Jon Smith. Jestem podpułkownikiem i pracuję w Amerykańskim Wojskowym Instytucie...

Ale zamiast uderzyć jego, Brandt odwrócił się na pięcie i uderzył na odlew Fionę.

Odskoczyła jej głowa, z ust trysnęła krew. W wilgotnej ciszy głuchy odgłos uderzenia zabrzmiał jak wystrzał.

- Już po tobie, sukinsynu - syknął przez zaciśnięte zęby Smith, wstrząśnięty tym, co zobaczył. Szarpnął się gwałtownie, zapominając o skórzanym pasie.

Brandt spojrzał na niego z pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Och, przepraszam. Czyżbym zapomniał pana uprzedzić? Zmieniły się zasady. Od tej chwili to panna Devin będzie cierpiała za pańskie kłamstwa, nie pan. - Wzruszył ramionami. - I to pan będzie miał ją na sumieniu. Ja umyvam ręce. Chryste, pomyślał oszołomiony Jon. Ten jasnowłosy skurwysyn przejrzał go na wylot. Torturowano go już przedtem i znał swoją wytrzymałość. Ale jak długo wytrzyma dla zaspokożenia własnej dumy i uporu, patrząc, jak ktoś katuje kogoś innego?

- Nie zwracaj na mnie uwagi, Jon - szepnęła Fiona, plując krwią. - Powiemy mu coś czy nie, ten bydlak i tak nas zabije.

Kolejny cios w twarz i głowa odskoczyła jej w drugą stronę.

- Proszę milczeć, panno Devin - powiedział zimno Brandt. - Rozmawiam z panem pułkownikiem, a nie z panią. Pani miała już swoją szansę. Tego jego kolej.

Rozwścieczony bezsilnością Smith gotował się w środku. Gdyby mógł się tylko uwolnić, chociaż na sekundę... Nie, wiedział, że nic z tego nie będzie. Wiedział też, że Fiona ma rację, że obydwójce umrą w tej ciemnej, zatęchłej piwnicy nawiedzanej przez duchy setek tych, których pomordowali tu oprawcy podobni do Brandta i jego siepaczy. Jedynym pytaniem było to, czy odniosą chociaż jedno małe zwycięstwo, nie udzielając im odpowiedzi, na których tak bardzo im zależało.

Zamknął oczy, przygotowując się na długie godziny wypełnione bólem i krwią. Potem spojrzał na Brandta.

- Nazywam się Jon Smith - powtórzył silnym, donośnym i spokojnym głosem. - Jestem podpułkownikiem i pracuję w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych...

Brandt był coraz bardziej sfrustrowany. Dawał głowę, że Smith jest na skraju załamania, że zaraz pęknie. Po prostu to czuł. I nagle ten przeklęty jankes się zawział. A czas uciekał.

Milicja mogła w każdej chwili odkryć stertę trupów w domu Zacharowych i zaraz potem znaleźć w wąwozie poszatkowany kulami gazik. Gdyby tak się stało, Aleksiej Iwanow zacząłby zadawać bardzo, ale to bardzo kłopotliwe pytania...

Potańczał policzek. Przynajmniej Fadiejew nie zawałił i zadzwonił w końcu z wiadomością, że kierowca gazika na pewno nie żyje i że ma jego papiery. Dzięki temu Iwanow nie tak prędko skojarzy sobie jedno z drugim. Ale skojarzy. Skojarzy na pewno.

Zadzwonił telefon.

Nachmurzony Brandt sięgnął do kieszeni.

- Tak? - warknął z wściekłością, odchodząc w stronę schodów, żeby nikt go nie podsłuchał. - Co się stało?

- Ten cały Lange zawałił sprawę - zaczął z wyrzutem Malkowicz. - A CIA grzebie w naszej sieci.

Brandt słuchał go, nie wierząc własnym uszom. Porażka w Berlinie? Lange nie żyje?

Lange i jego starannie dobrani ludzie? To niemożliwe.

- Teraz nie mamy już żadnego wyboru - zakończył stanowczo Malkowicz. - Musimy przenieść

laboratorium w inne miejsce, i to bezzwłocznie. Dopilnuję tego osobiście, ale chcę, żeby pan też tam był. Zarówno ze względów bezpieczeństwa, jak i po to, żeby profesor Renke zrozumiał konieczność natychmiastowego działania.

Tak, pomyślał Brandt. Malkowicz ma pietra i chce, żebym robił za goryla. Śmiertelnie boi się reakcji Rosjan na wiadomość, że wbrew jego obietnicom bezpieczeństwo operacyjne Hydry może poważnie ucierpieć.

Zacisnął zęby. Tak, Serb miał powody do strachu.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Mój samolot startuje za trzy godziny. Ale najpierw niech pan zamknie cały interes, wyśle ludzi za granicę i gdzieś się z nimi umówi. Niech pan zlikwiduje łączność, pokasuje pliki, archiwa, i tak dalej. Jasne?

- Tak. - Brand już rozmyślał, co trzeba zrobić i jak długo to potrwa. Kiwnął głową. -

Powinniśmy zdążyć.

- Oby - odparł zimno Malkowicz. - Nie będę tolerował żadnych błędów. - Odłożył słuchawkę.

Brandt odwrócił się na pięcie.

- Jurij! - warknął. - Chodź tu.

Łysy osiłek podszedł do niego, nie ukrywając zaciekawienia.

- Tak?

- Mamy nowe rozkazy - rzucił lakonicznie Brandt. - Natychmiast wracam do Moskwy.

Posprzątajcie tu, oczyśćcie teren i jak najszybciej przyjeżdżajcie do mnie.

- A co z nimi?

Niemiec wzruszył ramionami.

- Już nie są nam potrzebni. Wykończcie ich.

ROZDZIAŁ 42

Wyprowadzili ich z piwnicy na muszce pistoletów, ze związanymi z tyłu rękami. I znowu znaleźli się w ruinach cerkwi, kwadratowego budynku z resztkami cebulowatej kopuły na górze.

Przez dziury po oknach i szerokie szpary w kopule widać było szare, mocno zachmurzone niebo.

Z kolorowych fresków, przedstawiających postacie świętych i sceny ze Starego i Nowego Testamentu, które zdobiły niegdyś wnętrza świątyni, pozostały jedynie małe placki wypłowiałej farby na porośniętych mchem ścianach. Wszystko to, co miało jakąkolwiek wartość -

marmurowy ołtarz, złote tabernakulum, żyrandole i kandelabry - już dawno rozkradziono. Przy drzwiach Brandt przystanął i ironicznie zasalutował.

- Tutaj się z panem pożegnam, panie pułkowniku - powiedział. - Z panią również, panno Devin. - Błysnął w ciemności białymi zębami. - Już się nie zobaczymy.

Smith milczał, patrząc na niego z kamienną twarzą. Nie okazuj strachu, powtarzał sobie w duchu. Nie daj sukinsynowi satysfakcji. Zauważył, że Fiona ma podobną, lekko znudzoną minę.

Patrzyła na Brandta tak, jakby był natrętną muchą, która bzyczy za kuchennym oknem.

Wyraźnie rozdrażniony tym, że nie zareagowali, Niemiec odwrócił się i wyszedł. Zaraz potem usłyszeli warkot silnika i chrzęst opon na śniegu i lodzie.

- Dalej! - warknął jeden z prowadzących ich bandytów. Lufą makarowa wskazał małe, łukowate drzwi w bocznej ścianie cerkwi. - Tamtędy!

Jon zerknął na niego z nieukrywaną pogardą.

- A jeśli nie pójdziemy?

Łysy osiłek, którego Brandt nazywał Jurijem, wzruszył ramionami.

- Zastrzelę was tutaj - odparł. - Dla mnie to bez różnicy.

- Rób, co mówi - szepnęła Fiona. - Zyskamy trochę czasu. I odetchniemy przynajmniej świeżym powietrzem.

Jon skinął głową. Opór niczego by nie zmienił, poza tym, lepiej było umierać na dworze, pod otwartym niebem niż w tych cuchnących ruinach.

Oczywiście najlepiej by było nie umierać wcale, pomyślał szyderczo. Próbował ostrożnie poluzować więzy, naprężając nadgarstki i rozciągając gruby kabel, którym ich skrzepowano.

Takie nieustanne rozciąganie mogłoby z czasem osłabić plastik i kto wie, może by się uwolnił.

Ciężko westchnął. Może - gdyby zamiast minut, podarowano mu dziesięć, dwanaście godzin.

- Szybko! - warknął bandzior. Jego towarzysz, dużo niższy, z czupryną brudnych, kasztanowych włosów, pchnął ich lufą pistoletu maszynowego.

Boczne drzwi, popękane, kamienne schodki i klasztorny dziedziniec zasypany śniegiem, porośnięty chwastami, krzakami i kępami małych drzewek. Przecinało go kilka wydeptanych w śniegu ścieżek, które wijąc się między starymi, rachitycznie powyginanymi drzewami, ginęły wśród czarnych stert gruzu, ruin małego szpitala, mnisich cel, szkoły i refektarza. Za ruinami widać było resztki niskiego, kamiennego muru.

Pchnęli ich w lewo i kazali iść w stronę otwartej bramy w klasztornej murze, która prowadziła na mały, zaniedbany, porośnięty zielskim cmentarz. Wiele prastarych pomników z czasem się przewróciło i leżały tam teraz na wpół przykryte śniegiem. Inne były poznaczone starymi śladami po kulach, pochodzącymi pewnie z czasów, gdy enkawudziści Stalina zabawiali się tu w przerwach między egzekucjami. Wszystkie porastała żółta trawa, zielsko i chaszczę.

Na końcu cmentarza widać było płytki dół, w którym kiedyś palono zapewne śmieci. Na jego skraju stały kanistry z benzyną i leżały nasączone olejem brudne szmaty. Smith stanął jak wryty. Teraz ich los był oczywisty. Zepchną ich tam, zastrzelą, poleją benzyną i spalą.

Tamtych dwóch szło z tyłu, cicho rozmawiając. Musieli być co najmniej kilka metrów za nimi.

Jon wykrzywił usta. Brakowało im czasu i możliwości. Ale skoro i tak mieli umrzeć, lepiej było umrzeć w walce. Usłyszał ciche, stłumione sapnięcie. Fiona też zauważyła dół i kanistry. Zerknął w bok.

- Jesteś ze mną? - szepnął, lekkim ruchem ramienia wskazując idących za nimi bandytów.

Miała łzy w oczach. Ale dumnie podniosła głowę i odparła:

- Do samego końca, panie pułkowniku. - Zdołała się nawet słabo uśmiechnąć.

Smith odpowiedział jej tym samym.

- Tak trzymaj. Spróbujemy zwabić ich bliżej. Ja wezmę tego po lewej, ty tego po prawej.

Jeśli dasz radę, podstaw mu nogę. Jeśli nie, kop i wierzgaj ze wszystkich sił. Dobra?

Kiwnęła głową.

- Nie gadać! - warknął ten łysy. - Dalej, ruszać się!

Smith ani drgnął. Stał tyłem do nich i czekał. Zaraz wpakują mi kulę w kark, pomyślał ponuro i zaswędziało go skóra na plecach. Bliżej. Podejdźcie trochę bliżej...

Chrzęst kroków na śniegu. Napiął mięśnie, przygotowując się do skoku. Na ramię padł

cień.

Teraz!

Odwrócił się i prawą nogą zadał błyskawiczny cios z wysokoku. Kątem oka zobaczył, że Fiona wyprowadziła podobny.

Nic z tego.

Tamci musieli się spodziewać, że podejmą ostatnią, rozpaczliwą próbę ucieczki i z pełną pogardą łatwością uniknęli obydwu ciosów. Po prostu cofnęli się szybko z okrutnym uśmiechem na ustach.

Jon potknął się i zachwiał, a ponieważ miał związane ręce, nie mógł odzyskać równowagi i upadł na kolana. Tuż obok niego ciężko dysząc, upadła Fiona.

Łysielec szyderczo pogroził im palcem.

- To było głupie - powiedział. - Ale i bez znaczenia. Kiedy przychodzi koniec, nic nie ma znaczenia. - Dał znak koledze. - Zabij ich, Kostia.

Ten z czupryną kasztanowych włosów pewnym ruchem podniósł pistolet maszynowy.

Zaskoczony swoim spokojem, Smith spojrzał mu prosto w groźnie zmrużone oczy.

Walczył o dobrą sprawę i walczył dzielnie. Pozostało mu tylko odważnie stawić czoło śmierci.

Bo czy mógł zrobić coś jeszcze? Słyszał, jak Fiona mruczy cicho jakąś modlitwę.

Bandzior powoli zaciskał palec na spuście. Lekki wiatr rozwiał mu włosy.

Trrrach!

Z jego piersi wytrysnęła fontanna krwi i odłamków kości. Pistolet maszynowy wypadł z pozbawionych władzy rąk. Bandzior zachwiał się, obrócił i runął bokiem na krzaki między dwoma nagrobkami.

Na ułamek sekundy czas stanął w miejscu.

Łysielec spojrzał nieprzytomnie na martwego kolegę. Błyskawicznie doszedł do siebie i rzucił się na ziemię.

Trrrach!

Kula roztrzaskała ośnieżony krzyż. Bryzgnęły odłamki marmuru.

Jon przetoczył się na bok, za kamienny nagrobek. Nagrobek ledwo stał, lecz wciąż stał, to było

najważniejsze; anonimowy kamieniarz wyrzeźbił na nim śpiącą matkę z dzieckiem w ramionach. Dołączyła do niego Fiona. Przycupnęli tam mocno pochyleni.

- Co się, u diabła, dzieje? - wydyszała Fiona. Miała mocno rozszerzone oczy. Jej gładka niegdyś twarz była zaczerwieniona od uderzeń, pełna skaleczeń, zadrapań, sińców i pręg.

- Nie mam pojęcia - szepnął Jon.

Na zapuszczonym, porośniętym zielskim cmentarzu zapadła martwa cisza. Smith powoli odwrócił głowę i ostrożnie się rozejrzał. Cmentarz leżał na dnie małej niecki otoczonej zewsząd łagodnymi zboczami. Po jednej stronie były ruiny klasztoru. Po drugiej kępy brzoź i sosen.

Doszedł go cichy szmer, potem trzask gałązki - odgłos, jaki wydaje człowiek pełznący przez suche zarośla i chaszczę. Czołgał się ku nim łysielec. Robił to bardzo wprawnie i ostrożnie, kryjąc się za nagrobkami i krzakami, żeby nie wypatrzył go czatujący między drzewami snajper.

Sądząc po odgłosach, zataczał szeroki łuk w lewo.

- Pójdiesz tędy - szepnął Jon, ruchem głowy wskazując w prawo, w stronę przeciwną do tej, z której dochodziły złowieszcze szmery i trzaski. - Odejdź na kilka kroków, ukryj się gdzieś i zacznij hałasować. Jęcz, krzycz, wołaj, rób, co chcesz. Jasne?

Fiona bez słowa skinęła głową i przetoczyła się szybko po ubitej ziemi i śniegu.

On przetoczył się w lewo. Luka między grobami, dwa solidne, kamienne nagrobki podtrzymujące się wzajemnie jak wracający do domu pijacy - zamarł za tym większym i wytrzymał

słuch. Cichy szelest. I znowu. Łysielec wciąż pełznął przez śnieg i wysoką trawę. Był coraz bliżej.

Jon położył się na plecach i podciągnął nogi, szykując się do zadania ciosu. Wiedział, że przy odrobinie szczęścia może mieć szansę. Ale tylko jedną. Jeśli ją zmarnuje, będzie po nim.

Głuchy stukot, jeden, drugi i trzeci. Stamtąd, z prawej strony. Stukot, a potem cichy płacz przerażonej, sfrustrowanej, ogarniętej paniką kobiety. Fiona. Udawała, że ucieka, że rozpaczliwie próbuje odpelznąć jak najdalej od dołu, i świetnie jej to wychodziło.

Smith wstrzymał oddech. Czekał.

Bandyta wypełznął zza wysokiego, zniszczonego nagrobka. W wyciągniętej przed siebie ręce trzymał odbezpieczony pistolet. Namierzywszy pozycję Fiony, wyraźnie przyspieszył, skrzył prosto na Jona i wybałuszył oczy. W tym samym momencie Smith wyprostował obydwie nogi i ze wszystkich sił kopnął go w twarz. Usłyszał przyprawiający o mdłości chrzęst kości i na buty trysnęła mu krew.

Kopnął jeszcze raz.

Łysielec zwinął się w kłębek i w ostatniej chwili odskoczył do tyłu. Wybite zęby, zmiądzony nos - zamiast twarzy miał teraz krwawą maskę. Rozwścieczony i miotany bólem zerwał się na równe nogi i

starannie wycelował Smithowi w głowę.

Huknął trzeci strzał i przez nieckę przetoczyło się głośnie echo.

Trafiony w plecy łysielec krzyknął, rozpaczliwie chwycił się za rozerwany kulą brzuch, zgiął się wpół, upadł i bezwładnie zawisł na nagrobku. Jego głowa i ręce zniknęły w chaszczach.

Nagrobna płyta spłynęła krwią. Zlodowaciały śnieg zabarwił się na ohydny, różowy kolor.

Jon powoli usiadł. Centymetr po centymetrze odczołgał się od trupa i oparł głowę o sąsiedni nagrobek, czekając, aż przestaną mu drżeć ręce i nogi.

- Jon? - Cichy głos Fiony. - Pułkowniku? Żyjesz?

- Na to wygląda! - zawołał, nie ukrywając ulgi. Dostrzegł jakiś ruch na zboczu niecki i usiadł prosto. Spomiędzy drzew wychynął wysoki, siwowłosy mężczyzna o długim nosie. Ruszył

ku nim z rosyjską snajperką w rękach i szerokim uśmiechem na zrytej zmarszczkami twarzy.

Smith rozdziawił usta. Miał przed sobą kogoś, kto powinien już nie żyć. Miał przed sobą... Olega Kirowa.

- Jakim cudem... - wymamrotał zaskoczony, gdy generał podszedł bliżej.

Rosjanin bez słowa rozpiął porwaną kurtkę. Pod spodem miał grubą, czarną kamizelkę kuloodporną. Była poznaczona śladami po kulach i smugami roztopionej miedzi. Poklepał ją czule i rzekł:

- Angielska. Lepszej nie znajdziesz.

- I tak się przypadkiem złożyło, że postanowiłeś ją wczoraj włożyć, tak?

Kirów wzruszył ramionami.

- Zanim zostałem szpiegiem, byłem żołnierzem. A czy zdrowy na umyśle żołnierz poszedłby na zwiad bez odpowiedniego sprzętu? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Stare nawyki trudno wykorzenić, a starych żołnierzy trudno zabić.

ROZDZIAŁ 43

Maryland

Dziesięć minut po zjeździe z waszyngtońskiej obwodnicy Nikołaj Nimierowski zerknął

na licznik wynajętego taurusa. Przejechał osiem kilometrów. Wstawał świt, cel podróży był już blisko. Spojrzał w okno. Po obydwu stronach drogi ciągnęły się rzędy drzew i krzewów.

Oświetlone reflektorami szybko znikwały w mroku. Dostrzegł drogowskaz, skręt w drogę, która - według mapy - przecinała park narodowy i kończyła się kilka kilometrów dalej, w nowym osiedlu mieszkaniowym.

Zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i wysiadł z dyplomatką, którą dostał w Zurychu.

Kierując się wskazówkami, jakie przekazano mu w Moskwie, bez trudu znalazł skrytkę. Mieściła się w dziupli starego drzewa kilka metrów od drogowskazu. Szybko włożył dyplomatkę do dziupli, sprawdził, czy nie widać jej z drogi i niespiesznie ruszył z powrotem do samochodu.

Idąc, wyjął telefon i wybrał numer.

- Tak? - warknął ktoś poirytowany tym, że obudzono go o tak wczesnej porze.

- Czy to dom państwa Millerów, numer 555 - 8705? - spytał niepewnie Nimierowski.

- Nie - burknął głos. - Pomyłka.

- Bardzo przepraszam - powiedział agent.

Usłyszał jeszcze trzask odkładanej słuchawki i połączenie zostało przerwane.

Wsiadł z uśmiechem do samochodu i odjechał. Misja była zakończona. Szczep Hydry trafił tam, gdzie trzeba.

Berlin

Bennett zaklął, głośno, nagle i zupełnie niespodziewanie. Pochylił się do przodu i wbił wzrok w ekran monitora, a jego palce zatańczyły nerwowo na leżącej na kolanach klawiaturze.

Randi spojrzała na niego z drugiego końca stołu i zaskoczona uniosła brwi. Curt nigdy nie klął.

- Kłopoty? - spytała.

- Duże - mruknął spięty analityk. - Sieć siada. Randi natychmiast podbiegła bliżej.

- Jak to siada?

- Normalnie. - Bennett wskazał ekran. Większość numerów, które próbował namierzyć, zmieniła kolor na czerwony, co oznaczało, że przestały być aktywne. Co gorsze, numerów tych stale przybywało.

- Pan Renke i jego przyjaciele zwijają interes - zrozumiała Randi.

- To jeszcze nie wszystko. - Bennett zastukał w klawisze i przełączył się na inny ekran.

Ten pokazywał długie kolumny danych, dat, godzin i lokalizacji przypisanych poszczególnym numerom. Jeden po drugim numery te po prostu znikwały. - Czyszczą bazy danych, namiary wszystkich połączeń przychodzących i wychodzących.

Randi cicho zagwizdała.

- Myślałam, że to niemożliwe.

- Bo i niemożliwe. - Curt poprawił okulary i zmarszczył czoło. - Chyba, że ma się dostęp do ściśle tajnych, zabezpieczonych kodami programów używanych przez firmy, które te połączenia realizują.

- Kto może go mieć?

- Jeszcze przed chwilą myślałem, że nikt. - Spojrzał na ekran i zniesmaczony odwrócił

wzrok. - Większość tych firm to zagorzali rywale. Nie dzielą się takimi informacjami.

- A więc ktoś z zewnątrz - myślała na głos Randi. - Hacker, który złamał zabezpieczenia.

- Możliwe - przyznał Bennett i jeszcze bardziej zmarszczył czoło. - Ale ten, kto potrafiłby tak szybko włamać się do ich komputerów, mógłby zrobić absolutnie wszystko.

- Na przykład co?

- Oczyszczyć ich konta bankowe. Skraść dane dziesiątek milionów klientów. Doprowadzić do zawieszenia całego systemu, do zawieszenia tak skutecznego, że upłynęłoby wiele tygodni, zanim abonent zaatakowanej sieci mógłby uzyskać połączenie. - Curt wzruszył ramionami. -

Mógłby zrobić, co by tylko chciał.

Randi intensywnie myślała.

- Tymczasem oni - zauważyła - mając w zasięgu ręki tak wielką władzę, zadowolili się jedynie zorganizowaniem hermetycznie szczelnej sieci telefonicznej...

- No, właśnie - mruknął sfrustrowany Bennett. - To bez sensu. Po co aż tak zawracali sobie głowę? Żeby chronić jednego, jedyne go człowieka, żeby nie wiem jak bardzo ważnego naukowca?

- Nie, myślę, że chodzi o coś większego. O wiele większego. - Randi wskazała ekran monitora. - Daleko doszedłeś, zanim Renke wyciął ten numer ze znikaniem?

- Niezbyt - przyznał niechętnie Bennett. - Zdawało mi się, że dane zaczynają układać się w konkretny wzór, ale nie wiem, czy są to numery docelowe, czy nie.

- Pokaż.

Curt pokazał jej ekran z serią oddzielnych okręgów, zawierających grupy pozornie niezwiązanych ze sobą numerów. Każdy okrąg przecinały grube i cienkie linie ilustrujące częstotliwość połączeń, każdy oznaczono tabliczką z przybliżonymi namiarami geograficznymi.

Randi przyjrzała im się uważnie i zrozumiała, co Bennett miał na myśli, mówiąc o konkretnym wzorze. Większość połączeń wychodzących skupiała się w dwóch miejscach.

Najwięcej było ich w Moskwie. Zważywszy afiliacje Renkego, uznała, że to całkiem logiczne - w przeciwieństwie do drugiego miejsca. Oznaczone kilkoma koncentrycznymi okręgami pokazywało gwałtowny wzrost liczby połączeń telefonicznych we Włoszech, zwłaszcza w grupie numerów zarejestrowanych w Umbrii na północ od Rzymu.

Umbria, pomyślała skonsternowana. Wzgórza, starożytne miasta, oliwne gaje i winnice.

Renke i Umbria? Dlaczego?

- Pani Russell?

Oderwała wzrok od ekranu monitora. Stał za nią jeden z młodszych agentów przydzielonych do berlińskiej placówki. Podobnie jak jej zamordowana obserwatorka, należał do grupy bardzo inteligentnych, lecz zupełnie niedoświadczonych nowicjuszy, którzy w ramach odbudowy potencjału wywiadowczego CIA po tragedii z 11 września zaliczyli pospieszny kurs w Camp Peary. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa, lecz w końcu przypomniała. Flores. Jeff Flores.

- O co chodzi, Jeff?

- Prosiła mnie pani, żebym popracował na tym kawałkiem papieru, który znalazła pani w kieszeni Lange'a...

Nie licząc paszportu, portfela i zniszczonego telefonu, ten porwany, szerniały kawałek papieru był jedynym namacalnym dowodem, który udało jej się ocalić z pożogi w willi Kesslera -

niestety, wyglądało na to, dowodem zupełnie bezużytecznym. Już na pierwszy rzut oka widać było, że papier jest za bardzo zwęglony, by można było coś z niego odczytać.

- No i? - spytała. - Odczytałeś coś? Zafrasowany Flores potarł czoło.

- Prościej by było, gdyby pani to obejrzała. - Zerknął niepewnie na Bennetta. - U mnie w biurze.

Z trudem poskromiwszy niecierpliwość, poszła z nim do pozbawionego okien boks na końcu korytarza. Boks był tak mały, że prawie całą podłogę zajmowało biurko i zaopatrzone w szyfrowy zamek szafka na tajne dokumenty i nagrania. Randi rozejrzała się z krzywym uśmiechem.

- Śliczny gabinecik - powiedziała. - Miło jest widzieć, jak nagradza się patriotyzm i poświęcenie.

Flores uśmiechnął się, lecz oczy miał wciąż zatroskane.

- Moi instruktorzy na Farmie zawsze powtarzali, że po pierwszych dwudziestu latach tajnej służby ma się wybór: albo Medal Wolności, albo gabinet z ładnym widokiem.

- Niestety, muszę pana rozczarować, Jeff - odparła Randi. - Bezczelnie pana okłamano.

Gabinet z ładnym widokiem dostaje się po trzydziestu latach, i to co najmniej. - Spoważniała. -

Dobra, a teraz słucham. Co pana tak przeraziło?

- Ten papier - odparł Flores. - Najpierw go zeskanowałem, a kiedy był już w formie cyfrowej, elektronicznie oczyściłem szernienia i poprawiłem obraz. Udało mi się odzyskać około czterdziestu procent oryginalnego tekstu.

- I?

Flores wprowadził kod, otworzył szafkę i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru.

- To wydruk tego, co zdołałem odczytać.

Randi przeczytała go w milczeniu. Był to fragment czegoś, co wyglądało na długą listę numerów rejestracyjnych, modeli samochodów i ich opisów. Zmrużyła oczy. Kilka numerów skądś znała. Zaraz potem jej wzrok padł na SREBRZYSTE AUDI A4, SEDAN; BERLIŃSKI NUMER REJESTRACYJNY: B AM 2506. Przechodziła obok tego wozu nie dalej jak poprzedniego wieczoru. Miał dziurę po kuli w tylnej szybie, a za jego kierownicą siedziała martwa Carla Voss. Wstrząśnięta Randi podniosła głowę. Tak, to nasze samochody - powiedział

Flores. - Wszystkie, co do jednego. Zostały zakupione lub wypożyczone przez agencję i przekazane Berlińskiej placówce.

- Chryste - szepnęła Randi. - Nic dziwnego, że ci od Renkego tak szybko nas namierzyli. -

Zacisnęła zęby, próbując opanować narastający gniew.

I - Ta lista... Kto mógł ją sporządzić?

Flores przełknął ślinę, jakby czuł jakiś niesmak.

- To musiał być ktoś od nas - odrzekł. - Stąd, z Berlina. Albo z Langley. Albo ktoś z BKA.

- BKA?

- Niemcy są naszymi sojusznikami, współpracujemy z ich kontrwywiadem. Informujemy ich na bieżąco o większości naszych poczynaniach.

- Cudownie - syknęła jadowicie Randi. - Po prostu cudownie... Kto Jeszcze wie o tej liście?

- Nikt.

- To dobrze. I niech tak zostanie. - Postukała palcem w wydruk. - Zabieram to. To i oryginał. A ty siadaj do komputera i skasuj wszystkie związane z tym pliki. Jeśli ktoś zacznie cię wypytywać, udawaj głupiego. Powiedz, że ci nie szło i że kazałam ci zająć się czymś innym.

Jasne?

- Tak jest - odparł z powagą Flores.

Randi spojrzała na listę. Rysował się przed nią kolejny wzór zdrady i przekupstwa - wzór paskudny i bardzo niepokojący. Ktoś, kto znał wyniki jej polowania na Wulfa Renkego, pracował

dla wroga.

Biały Dom

Prezydent Sam Castilla z narastającym niepokojem słuchał sprawozdania admirała Stevensa Brose'a, przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Przygotowując się tajnej narady z sojusznikami, poprosił go o najświeższe informacje na temat coraz liczniejszych i coraz bardziej alarmujących sygnałów, jakie dochodziły zarówno z Rosji, jak i krajów z nią sąsiadujących. Musiał mieć w ręku twarde dowody, tymczasem nic, co dotąd usłyszał, nie było zbyt przekonujące. Nie było też jednak krzepiące. Chociaż jakoś docierających do Pentagonu materiałów wywiadowczych pozostawiała wiele do życzenia, powoli stawało się oczywiste, że z map sytuacyjnych departamentu obrony znika coraz większa liczba najlepiej wyszkolonych i wyposażonych jednostek rosyjskiego lotnictwa, piechoty i wojsk pancernych.

- Co to właściwie znaczy? - spytał.

- Mówiąc bez ogródek - odparł Brose - nie mamy zielonego pojęcia, gdzie te dywizje teraz są, dokąd się przemieszczają i co zamierzają.

- Ilu to może być żołnierzy?

- Co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy, panie prezydencie. Sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, tysiące dział samobieżnych i opancerzonych wozów bojowych piechoty i setki samolotów myśliwskich i bombowych.

- Mogliby rozpętać nielichą wojnę - zauważył Castilla.

- Nawet kilka - zgodził się z nim Brose. - Zwłaszcza, jeśli uwzględnić możliwości obronne sąsiadów Rosji. Ze wszystkich byłych republik radzieckich tylko Ukraina ma silną, dobrze wyposażoną armię i siły powietrzne.

- Byłoby zupełnie inaczej, gdyby ich najlepsi dowódcy nie zachorowali na tę przeklętą chorobę.

Brose ciężko kiwnął głową.

- To prawda, panie prezydencie. Rzecz w tym, że Ukraina też pogrąży się powoli w chaosie i miałyby olbrzymie trudności z zorganizowaniem porządnej obrony. A co do reszty? -

Admirał wzruszył ramionami. - Nawet podczas pokoju Kazachowie, Gruzini, Azerowie i pozostali mogą wystawić co najwyżej kilka oddziałów lekko uzbrojonej milicji. A pod naporem rosyjskich wojsk pancernych i najlepszych jednostek piechoty żadna milicja nie będzie miała szans - Rosjanie myśleli tak w Groźnym - przypomniał mu Castilla, mówiąc o pierwszej wielkiej bitwie wojny w Czeczenii. Zbyt pewne siebie rosyjskie oddziały zostały rozgromione w dobrze skoordynowanych zasadzkach zastawionych przez tamtejszych partyzantów. Zdobycie Groźnego wymagało ostatecznie zaangażowania olbrzymich sił i przeprowadzenia potężnej kampanii, w której zginęły dziesiątki tysięcy cywilów, i która obróciła miasto w gruzy.

- To było dziesięć lat temu - zauważył przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. - Od tamtej pory rosyjskie wojska lądowe i siły powietrzne dużo się nauczyły zarówno z własnego doświadczenia, jak i z obserwacji naszych wojsk w Iraku. Jeśli rzeczywiście chcą odzyskać dawne terytoria, tym razem nie popełnią błędów.

- Cholera. - Castilla spojrział mu prosto w oczy. - Dobrze. Admirale, zakładając, że spełnią się nasze najgorsze obawy, jak pan sądzi, kiedy bomba pójdzie w górę?

- Wszystko, czym obecnie dysponuję, to tylko domysły, panie prezydencie - ostrzegł go Brose.

- Nie znając faktów, muszę zadowolić się tym, co mamy - odparł oschle Castilla.

- Tak, rozumiem. - Admirał zmarszczył brwi i pogrążył się w zamyśleniu. Po chwili podniósł wzrok. - Moim zdaniem, ostatnie przygotowania do ataku zajmą Rosjanom od dwudziestu czterech do dziewięćdziesięciu sześciu godzin.

Castillę przeszedł zimny dreszcz. Czas uciekał coraz szybciej. Szybciej, niż przypuszczał.

Zaterkotał jeden z telefonów na biurku.

- Tak?

Dzwonił Fred Klein.

- Pułkownik Smith i Fiona Devin żyją - zameldował triumfalnie. - Odezwali się. Co więcej, znaleźli bardzo ważny fragment naszej układanki...

- Ale czy mają konkretne dowody? - spytał ostrożnie prezydent, świadom, że słyszy go siedzący naprzeciwko Brose.

- Nie, jeszcze nie - odparł Klein. - Ale wiedzą, gdzie je zdobyć. Chodzi o to, że najpierw trzeba wy dostać ich jakoś z Rosji.

Castilla uniósł brew. Wiedział, że agenci Kleina trafili na kremłowską listę najbardziej poszukiwanych, że na wszystkich lotniskach, dworcach kolejowych i we wszystkich portach morskich roi się od funkcjonariuszy rosyjskich służb bezpieczeństwa.

- Boże drogi - mruknął. - To nie będzie łatwe.

- Nie, panie prezydencie - odparł trzeźwo Klein. - Nie będzie.

Na granicy rosyjsko - ukraińskiej

Ze wschodu wiał silny, porywisty wiatr, zasypując śniegiem puste pola i lesiste wzgórza.

Słońce skryło się za grubą warstwą szarych chmur, których czujniki amerykańskich satelitów zwiadowczych starszego typu w żaden sposób nie mogły przeniknąć. Wszystkie trakty, przecinki i wąskie drogi, wijące się przez las w kierunku granicy, były wypełnione długimi rzędami czołgów T - 90 i T - 72, bojowych wozów piechoty BMP - 3 i ciężkich dział samobieżnych.

Setki pojazdów stały nieruchomo pod z minuty na minutę grubszą warstwą śniegu. Obok nich prężyły się na baczność tysiące żołnierzy czekających na rozkaz wymarszu.

Nad południowym horyzontem wystrzeliła w niebo biała flara. Wybuchła tuż pod chmurami i w tej samej chwili przenikliwie zagwizdały gwizdki. Stojące w zwartym szyku formacje momentalnie się rozpiechły, dzieląc się na załogi czołgowe, oddziały piechoty i artylerzystów. Żołnierze popędzili do swoich pojazdów.

Kapitan Andriej Judienicz podciągnął się, wdrapał na niską, zaokrągloną wieżyczkę czołgu T - 90, otworzył właz dowódcy i wskoczył do kabiny. Z wprawą nabytą dzięki nieustannym ćwiczeniom włożył hełmofon, wetknął wtyczkę do radionadajnika i zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy ma włączony interkom. Podobnie jak wszystkie pozostałe jednostki, 4.

Gwardyjską Dywizję Pancerną obowiązywała całkowita cisza radiowa.

Dla Judienicza i jego podwładnych ostatnie dwadzieścia cztery godziny minęły jak z bicza trząśł. Przez cały czas gorączkowo pracowali, tankując paliwo, układając amunicję, po raz setny sprawdzając wszystkie najważniejsze podzespoły i wykonując dziesiątki innych czynności, jakie wykonuje się w czołgu przed walką. Nikt nie wiedział, po co tu przyjechali, lecz po olbrzymim, starannie zamaskowanym obozowisku coraz częściej krążyły pogłoski o nadciągającej wojnie. Zapewnienia niektórych oficerów, że są to tylko wielkie manewry, brzmiały coraz bardziej niewiarygodnie.

Kapitan podniósł wzrok. W niebo wystrzeliła kolejna flara, tym razem czerwona.

Judienicz włączył mikrofon.

- Uwaga - rzucił. - Kierowca, zapuścić silnik!

Ryknął potężny diesel, ryknęły dziesiątki innych. Nad kolumną czołgów, nad białymi polami i

ciemnymi lasami, buchnęły kłęby czarnego dymu.

Pod chmurami eksplodowała zielona flara.

Judienicz zmrużył oczy, uważnie obserwując stojące przed nim maszyny i czekając, aż ruszą. Wreszcie ruszyły. Jeden po drugim, poczynając od tych na czele kolumny, drgnęły i z łoskotem potężnych gąsienic potoczyły się na południe, w kierunku rejonów koncentracji na granicy z Ukrainą.

Zegar tykał, odmierzając ostatnie minuty pokoju.

ROZDZIAŁ 44

Rzym

Lotnisko Ciampino leży na przedmieściach Rzymu, ledwie piętnaście kilometrów od centrum miasta. Otaczają je orne pola, lasy, parki, domy, bloki mieszkalne i tereny przemysłowe.

Przyćmione blaskiem swego większego rywala, lotniska Fiumicino, Ciampino wykorzystywane jest głównie do obsługi tanich międzynarodowych lotów czarterowych oraz małych samolotów, zarówno rządowych, jak i prywatnych.

Kilka minut po piętnastej czasu miejscowego przez cienką warstwę chmur nad Rzymem przebił się dwusilnikowy samolot odrzutowy. Powoli zniżając lot, przeleciał nad Via Appia Nuova i zszedł jeszcze niżej. Kilka metrów za pierwszym markerem dotknął kołami pasa startowego, gwałtownie wyhamował i niespiesznie potoczył się przed siebie, mijając po drodze mały terminal czarterowy.

Na końcu głównego pasa skręcił w lewo, na pas dla maszyn transportowych. Czekały tam dwa mercedesy.

Z samolotu wysiadło ośmiu pasażerów w zimowych ubraniach. Sześciu z nich utworzyło ciasny krąg wokół siódmego, starszego, siwowłosego mężczyzny, który zdecydowanym krokiem ruszył w stronę samochodów. Mężczyzna ósmy, o wiele od nich wyższy blondyn, wyszedł

naprzeciwko zmierzającemu ku nim włoskiemu celnikowi.

- Pańskie dokumenty, signore. Blondyn sięgnął za pazuchę po paszport.

Uśmiechając się układowie, celnik szybko go przejrzał. Uniósł brwi.

- Aaaa, pan z EOBL - powiedział. - Widuję tu wielu pańskich kolegów. Czym się pan zajmuje?

Erich Brandt uśmiechnął się ponuro.

- Jestem rewidentem i kontrolerem jakości.

- A tamci panowie? - spytał celnik, wskazując Konstantina Malkowicza i jego goryli, którzy wsiadali już do samochodów. - Też pracują w ośrodku?

- Też. - Brandt ponownie sięgnął do kieszeni i tym razem wyjął z niej białą kopertę. -

Proszę, to ich dokumenty. Powinny być w porządku.

Celnik otworzył kopertę na tyle, by dostrzec gruby plik banknotów, wysokich nominałów euro. Uśmiechnął się chciwie.

- Tak, jak najbardziej. - Schował kopertę do kieszeni. - Interesy z panem to prawdziwa przyjemność, signore Brandt. Polecam się na przyszłość.

Kilka minut później Brandt, Malkowicz i sześciu po zęby uzbrojonych goryli jechali już Via Appia Nuova, rozpoczynając kolejny etap podróży do Orvieto.

Międzynarodowe lotnisko Szeremietiewom

Otoczające lotnisko brzozowe i sosnowe lasy pograżyły się już w nocnym mroku.

Ciemność przecinała jedynie sieć precyzyjnie wytyczonych i jaskrawo oświetlonych dróg dojazdowych. Na wszystkich stały długie kolejki samochodów, ciężarówek i autobusów, czekając, aż skontroluje je milicja na posterunkach przed głównym terminalem pasażerskim, brzydkim gmachem z betonu i żelaza. Granice lotniska patrolowały niewidoczne dla podróżnych opancerzone wozy zwiadowcze z komandosami elitarnych wojsk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Rozkazy z Kremla były jasne. Dwoje amerykańskich uciekinierów w żadnym wypadku nie może wyjechać z Rosji. W ramach zorganizowanego na nich polowania środki bezpieczeństwa wokół lotniska i na samym lotnisku zaostrzono do poziomu, jakiego nie widziano tu od czasów zimnej wojny.

Boeing 747 - 400 amerykańskiej firmy transportowej TransAtlantic Express stał na pasie dojazdowym przed terminalem towarowym na końcu lotniska. Z kilkunastu ciężarówek wyładowywano paki, paczki, pakunki i kartony z listami, które układano następnie na paletach, przymocowywano i przewożono do głównej ładowni samolotu.

Między rampami załadowniczymi krążyły patrole ubranych w szare kurtki milicjantów, którzy czujnym okiem obserwowali wszystko to, co się tam działo. Mieli rozkaz aresztować każdego, kto próbowałby przekraść się na pokład któregośkolwiek samolotu odlatującego z Szeremietiewa - 2.

Porucznik Anatolii Siergunin stał ze splecionymi z tyłu rękami, patrząc, jak wielkie wózki widłowe dźwigają z betonu ciężkie palety i wsuwają je do przepastnego brzucha maszyny TransEksu. Pracownicy obsługi naziemnej kierowali je na odpowiednie miejsca, ustawiali i przymocowywali do pokładu. Przez kilka pierwszych godzin służby zafascynowany Siergunin śledził ten proces z zapartym tchem. Teraz był znudzony, przemarznięty i zmęczony.

- Panie poruczniku, brama mówi, że jedzie jeszcze jeden - zameldował towarzyszący mu sierżant, poprawiając słuchawki radiotelefonu.

Zaskoczony Siergunin spojrzął na zegarek. Samolot miał odlecieć za niecałą godzinę i cały ładunek powinien być już na pokładzie. Segregowanie, układanie i przymocowywanie różnej wielkości pakunków było procedurą długotrwałą i skomplikowaną, ponieważ zawsze kierowała nią absolutna konieczność bezpiecznego wyważenia ładunku. Porucznik odwrócił się i popatrzył w ciemność. Rzeczywiście. Zobaczył jaskrawe reflektory pędzącej ku nim furgonetki.

Zerknął na sierżanta.

- Co wiozą?

- Dwie trumny, panie poruczniku.

- Trumny? - powtórzył zdumiony Siergunin.

- Tak, panie poruczniku - wyjaśnił cierpliwie sierżant. - To karawan z moskiewskiej kostnicy.

Kilka minut później rozpoczął się wyładunek. Siergunin stał z boku i uważnie wszystko obserwował. Ubrany w biały kitel kierowca wyciągnął z samochodu ciężkie, metalowe trumny i ustawił je na składanym wózku. Obydwie były zapieczętowane taśmą, co oznaczało, że zostały już prześwietlone i odprawione.

Porucznik podejrzliwie zmrużył oczy. Celnika można przekupić. Trumna - czy istnieje lepszy sposób na ukrycie amerykańskiego szpiega i przeszmuglowanie go na pokład zagranicznego samolotu? Zwłaszcza, że samolot ten leciał najpierw do Frankfurtu, potem do Kanady, a jeszcze potem do Stanów Zjednoczonych. Siergunin położył rękę na uchwycie pistoletu. Temu, kto złapie poszukiwanych Amerykanów, obiecano bardzo wysoką nagrodę, a temu, kto pozwoli im uciec, równie wysoką karę. W tych okolicznościach usprawiedliwiona była nawet przesadna czujność.

Zaczekał, aż pracownik kostnicy, wysoki, siwowłosy mężczyzna, skończy robić swoje.

Potem podszedł do niego i spytał:

- To wy odpowiadacie za ten ładunek?

Mężczyzna, który właśnie wycierał spocone czoło czerwoną chustką, kiwnął głową.

- Tak, panie poruczniku - odrzekł grzecznie. - Dwadzieścia lat pracy i ani jednej skargi od klienta.

- Przestańcie żartować i pokażcie list przewozowy tych... tych zwłok.

- Służę uprzejmie, panie władzo. - Mężczyzna wzruszył ramionami i podał mu papiery. -

Jak sami widzicie, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Siergunin przejrzał je podejrzliwie. Według dokumentów, w trumnach były zwłoki starszego małżeństwa, które zginęło w wypadku samochodowym.

Chociaż byli obywatelami rosyjskimi, ich mieszkające w Toronto dzieci chciały pochować je tam, na obczyźnie.

Siergunin zmarszczył brwi. Wypadek? Dzieci w Kanadzie? Mało to przekonujące. Oddał dokumenty siwowłosemu kierowcy i rozkazał:

- Otwórzcie je.

- Otworzyć... trumny? - powtórzył tamten. Był bardzo zdziwiony.

- Nie lubię się powtarzać - warknął Siergunin. Wyjął i odbezpieczył pistolet. Wolną ręką dał znak sierżantowi i jego ludziom, którzy natychmiast otoczyli karawan. - Otwierajcie. Szybko.

- Spokojnie, panie poruczniku, spokojnie - odparł siwowłosy. - Chce pan tam zajrzeć, proszę bardzo. Ale muszę pana ostrzec, że to niezbyt ciekawy widok. Powiedziałbym nawet, że paskudny. Zderzyli się czołowo z autobusem. Kosmetyka niewiele dała...

Siergunin nie zwracał na niego uwagi. Zrobił krok do przodu i lufą służbowego pistoletu zastukał w najbliższą trumnę.

- Najpierw tę - rzucił. - Szybko!

Kierowca ciężko westchnął i wziął się do roboty. Najpierw przeciął scyzorykiem taśmy, którymi oklejono trumnę w urzędzie celnym. Potem, jeden po drugim, otworzył zatrzaski mocujące wieko. Jeszcze potem zerknął przez ramię na porucznika.

- Naprawdę chcecie tam zajrzeć? - spytał.

- Otwieraj! - warknął Siergunin, mierząc w trumnę z pistoletu. Siwowłosy kierowca wzruszył ramionami i podniósł wieko. Porucznik zajrzał do środka. Twarz zbladła mu i posiniała.

Miał przed sobą zwłoki tak potwornie okaleczone i spalone, że nie sposób było powiedzieć, czy jest to kobieta czy mężczyzna. Patrzyły na niego pustymi oczodołami, uśmiechały się wyszczerzonymi zębami, straszyły czaszką pokrytą skrawkami zwęglonej skóry. Uschnięte ręce, wykręcone i zakrzywione przez ogień niczym szpony, sterczały do góry, jakby po raz ostatni błagały o pomoc.

Siergunin zgiął się wpół i gwałtownie zwymiotował na buty i asfalt. Sierżant i milicjanci odwrócili się z obrzydzeniem.

Siwowłosy kierowca opuścił wieko.

- Zaraz po zderzeniu wybuchło paliwo - wymruczał przeprasząco. - Powiniennem był was uprzedzić. - Podszedł do drugiej trumny i ponownie wyjął scyzoryk.

- Dość! - wychrypiał porucznik, wycierając usta wierzchem dłoni. Rozpaczliwym ruchem ręki kazał kierowcy odejść. - Załadujcie to ohydztwo i odjeżdżajcie.

Z trudem wyprostował się i chwiejnie odszedł, szukając odosobnionego miejsca, gdzie mógłby wyczyścić tak poniżająco zapaskudzone buty. Przepelniony odrazą sierżant i jego ludzie też odeszli, żeby przyjrzeć się innym samolotom i ładunkom. Dlatego kiedy dziesięć minut później karawan zniknął w ciemności, ani Siergunin, ani jego podwładni nie zauważyli, że siedzący za kierownicą mężczyzna jest teraz dużo niższy i ma kasztanowe włosy.

Godzinę później, gdy lecący nad pogrążoną w ciemności Rosją boeing 747 - 400 osiągnął

pułap dziesięciu tysięcy pięciuset metrów i wziął kurs na zachód, ubrany w kombinezon TransEksu Kirów zerwał siatkę mocującą, ukląkł i zaczął odkręcać śruby w dnie pierwszej trumny. Wykręciwszy ostatnią, podważył metalową osłonę tajnego schowka długości stu osiemdziesięciu, szerokości sześćdziesięciu i głębokości trzydziestu centymetrów.

Powoli i z wielkim trudem ze schowka wypełzła Fiona. Była w masce tlenowej podłączonej do małej, stalowej butli.

Kirów ostrożnie pomógł jej usiąść i zdjąć maskę.

- Jak się czujesz? - spytał. - Nic ci nie jest? Pokręciła głową.

- Jakoś przeżyję. - Posłała mu słaby uśmiech. - Ale chyba nabawiłam się klaustrofobii.

- Jesteś bardzo dzielna - powiedział z powagą Oleg. - Zawstydzasz mnie. - Pocałował ją lekko w czoło i zaczął odkręcać dno drugiej trumny.

Jon wypadł ze schowka i z głuchym stukotem wylądował na podłodze. Był poobijany i mocno posiniaczony. Bolały go wszystkie mięśnie, płuca paliły żywym ogniem. Krzywiąc się z wysiłku, zerwał z twarzy maskę, wziął głęboki oddech, zadrżał i dopiero wtedy zobaczył

przyglądających się mu z zatroskaniem Fionę i Olega.

- Nigdy więcej - wychrypiał ze szczerą pasją. - Nie warto oszczędzać. Zaskoczona Fiona zmarszczyła brwi.

- Słucham?

Smith usiadł i wskazał trumnę.

- Już nigdy w życiu nie polecę w trumnie. Następnym razem kupię sobie zwykły bilet.

Kirów zachichotał.

- Przekażę pańską skargę kierownictwu, pułkowniku. - Spoważniał. - Albo sam to zrobisz, kiedy będziesz gotowy.

- Mamy łączność z Jedyką? - spytał Jon.

- Mamy - odrzekł Kirów i ruchem głowy wskazał kabinę pilotów. - Już podłączyłem szyfrator. Klein czeka.

Nie zważając na ból, Smith wstał. Fiona poszła w jego ślady i z podtrzymującym ich z tyłu Kirowem pokuśtykali chwiejnie do kabiny. Ból mięśni zaczął powoli ustępować i po kilku krokach Jon szedł już sam.

Kapitan i drugi pilot siedzieli w fotelach, udając, że są zajęci sterami i wskaźnikami. Ani jeden, ani drugi nie zwrócili najmniejszej uwagi na nieoczekiwanych „gości”.

- Nas tu nie ma - wyjaśnił cicho Kirów. - Tak jest dla nich bezpieczniej.

Smith kiwnął głową i włożył słuchawki. Fred Klein, niezrównany mistrz zakulisowych wpływów i rozgrywek, po raz kolejny pociągnął za sznurki, demonstrując swoje niezwykle możliwości.

- Fred? Tu Smith.

- Miło pana słyszeć, pułkowniku. - Mimo, że dzieliły ich tysiące kilometrów, w głosie szefa Tajnej Jedyki słychać było wyraźną ulgę. - Zaczynałem się już martwić.

- Ja też - odparł Jon. - Płakać mi się chciało na myśl, że będzie pan musiał wypełniać te wszystkie świstki związane z moim pochówkiem.

- Jestem szczerze wzruszony. Dobrze, a teraz mów. Co wiesz o tej chorobie?

- Po pierwsze, to nie choroba - odrzekł z powagą Smith. - W każdym razie nie w tradycyjnym słowa tego znaczeniu. Moim zdaniem, mamy do czynienia z wyrafinowaną bronią biologiczną, bronią, która atakuje geny konkretnego człowieka. Sądząc po symptomach, polega to chyba na modyfikacji systemu rozmnażania komórek. Nie wiem, jak dochodzi do zarażenia, ale przypuszczam, że można to zrobić w bardzo prosty sposób, choćby poprzez zatrucie jedzenia czy picia. Kiedy substancja znajdzie się w organizmie ofiary, procesu nie da się w żaden sposób zahamować czy odwrócić. No i oczywiście substancja ta jest groźna wyłącznie dla tego, dla kogo jest przeznaczona.

- Co wyjaśniałoby, dlaczego chorzy nikogo nie zarażają - wtrącił Klein.

- Właśnie. - Jon potarł czoło. - Renke wymyślił broń doskonałą, która atakuje tylko tego, kogo ma

zaatakować...

- Pod warunkiem, że ma się próbkę jego DNA.

- Tak, słusznie. I tu na scenę wydarzeń wkracza Europejski Ośrodek Badań Ludnościowych, który od wielu lat pobiera próbki na Ukrainie, w Gruzji, Armenii i w pozostałych byłych republikach radzieckich. Jestem pewien, że jeśli tylko dobrze pogrzebiemy, okaże się, że większość ofiar brała w tych badaniach udział, niewykluczone, że wielokrotnie.

- A co z tymi, którzy nie brali? - myślał na głos Klein. - Jakim cudem Renke zdołał

wyhodować szczepy, które zabiły naszych dowódców i analityków? Naszych, brytyjskich, francuskich, niemieckich i innych?

Jon wzruszył ramionami.

- Fred, mogę wyodrębnić twoje DNA z odcisków palców na brudnej szklance albo choćby z włosa, wystarczy, że pogadam z twoim fryzjerem. To trudne i kosztowne, ale możliwe.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Renke, Rosjanie czy ten Malkowicz przekupili wszystkich fryzjerów i barmanów w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu i Berlinie...

- Nie, nie en masse.

- To jak?

Smith zeszywniał. Przyszła mu do głowy koszmarna myśl.

- Trzeba dobrze prześwietlić wszystkich tych, którzy mają nieograniczony dostęp do medycznej bazy danych Omega.

Zapadło długie milczenie. Klein myślał. Celem Omegi, ściśle tajnego programu wojskowego, było zapewnienie ciągłości rządów w razie katastrofalnego ataku terrorystycznego na Waszyngton i jego przedmieścia. Medyczna baza danych stanowiła tylko jego część i zawierała próbki DNA dziesiątek tysięcy amerykańskich urzędników rządowych i pracowników wojskowych, które miały ułatwić identyfikację ofiar zmasowanego ataku.

- Boże święty... - mruknął wreszcie Klein. - Jeśli jest tak, jak mówisz, grozi nam o wiele większe niebezpieczeństwo, niż myślałem. I zaczyna brakować nam czasu.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie jest to tylko zagrożenie teoretyczne - wyjaśnił spokojnie Klein. -

Pogłoski, które pracownik rosyjskiej FSB przekazał Kirowowi, okazały się prawdziwe. Jest niemal pewne, że wykorzystując wywołany przez tę broń chaos, Dudarew i jego kremlowscy zwolennicy są gotowi rozpocząć wielką kampanię wojskową.

Gdy Klein zapoznał go z najnowszymi wydarzeniami wojskowymi i politycznymi w sąsiadujących z Rosją państwach, Jon doszedł do wniosku, że przewidywany przez Pentagon czas ewentualnego ataku jest stanowczo zbyt odległy. Rosyjskie czołgi i samoloty mogły uderzyć w każdej chwili. Zmroziło go na myśl o wojnie na prorokowaną przez Kleina skalę.

- Jakie podejmujemy przeciwdziałania?

- Za niecałe dwadzieścia cztery godziny prezydent zwołuje naradę przedstawicieli naszych najważniejszych sojuszników - odparł Klein. - Chce przekonać ich, że musimy powstrzymać Rosjan, zanim będzie za późno, zanim spadną pierwsze bomby.

- Posłuchają go? Klein ciężko westchnął.

- Wątpię.

- Dlaczego?

- Potrzebujemy dowodów, Jon, dowodów. Nic się nie zmieniło. Sytuacja jest niemal dokładnie taka sama jak wtedy, kiedy wysyłałem cię do Moskwy. Możemy przekonywać ich i przekonywać, ale sama teoria nie wystarczy. Bez dowodu, że za tą chorobą stoją Rosjanie, do niczego ich nie namówimy ani nie zmusimy Kremla do ustępstw.

- Fred, przerzuć nas tylko do Włoch, załatw nam odpowiedni sprzęt i gwarantuję, że zdobędziemy te cholerne dowody.

- Wiem, Jon - odrzekł ponuro Klein. - Prezydent i ja bardzo na was liczymy.

ROZDZIAŁ 45

Waszyngton, D.C.

Klein spojrział na duży monitor na ścianie gabinetu. Widniała na nim elektroniczna mapa Europy. Na mapie mrugała ikonka pokazująca pozycję samolotu wiozącego jego agentów. Przez chwilę śledził ją wzrokiem. Samolot powolutku skręcał na południowy zachód, by przeleciawszy nad Węgrami, wylądować w bazie Amerykańskich Sił Powietrznych w Aviano w północno -

wschodnich Włoszech. Druga ikonka pokazywała podwyższony stan gotowości bojowej stacjonującego tam skrzydła myśliwców.

Wcisnął klawisz na klawiaturze komputera i na mapie pojawiły się kolejne ikonki, kilka w Niemczech, kilka w Wielkiej Brytanii. Podobnie jak ta w Aviano, symbolizowały skrzydła gotowych do startu samolotów szturmowych, bombowych i samolotów - cystern, które na rozkaz prezydenta Castilli miały przyjść z pomocą Ukrainie, Gruzji i innym sąsiadującym z Rosją krajom.

Klein zdjął okulary i znużonym gestem potarł grzbiet długiego nosa. Tak, amerykańskie samoloty były gotowe do startu, ale jak dotąd nie wystartowały. F - 16, F - 15 i latające cysterny stały w betonowych schronach przy pasie startowym i po prostu czekały. W nieoficjalnych rozmowach natowscy sojusznicy wyrażali głębokie wątpliwości co do ewentualnego wykorzystania ich przestrzeni powietrznej do przelotu amerykańskich maszyn na wschód. O

ironio, to, że Castilla zwołał naradę, działało teraz na jego niekorzyść, ponieważ Francuzi, Niemcy i pozostali zdobyli w ten sposób pretekst, żeby opóźnić podjęcie decyzji do powrotu uczestniczących w niej wysłanników. Co gorsze, żaden z zagrożonych przez Rosję krajów, nie chciał, żeby wkroczyły tam amerykańskie wojska.

Tak, nowa broń biologiczna Renkego zrobiła swoje. Zginęło zbyt wielu najlepszych i najodważniejszych przywódców politycznych i wojskowych. A ci, którzy jeszcze żyli, za bardzo bali się gniewu Moskwy. Byli sparaliżowani strachem, myślą, że Kreml może ich zniszczyć, jednocześnie nie potrafili lub nie chcieli zrobić nic, co mogłoby powstrzymać Rosjan. Gdyby Stany Zjednoczone zdołały udowodnić, że Dudarew szykuje się do wojny, niewykluczone, że wzięłyby się w garść, zebrały na odwagę. W przeciwnym razie na pewno nie zrobią nic, woląc bierność i niepewność niż niebezpieczeństwo związane z działaniem.

Klein włożył okulary i niemal z niechęcią spojrział na ikonkę symbolizującą samolot wiozący Fionę, Jona i Olega. Patrzył na nią długo i tak intensywnie, jakby chciał przyspieszyć jej ruch samą siłą woli.

- Nathaniel?

Podniósł wzrok. W drzwiach stała Maggie Templeton, jego wieloletnia współpracownica i asystentka.

- Tak?

- Skończyłam - powiedziała Maggie, wchodząc do gabinetu. - Porównałam wszystkie informacje, jakie mamy na temat Omegi, z informacjami w bazach danych FBI, CIA i innych agencji.

- I?

- Znalazłam jedną ciekawą zbieżność. Zajrzyj do komputera.

Klein otworzył folder z plikami, które mu przesłała. Pierwszy zawierał artykuł z

„Washington Post” sprzed pół roku. Drugi kopię policyjnego raportu na temat tego samego incydentu. Trzeci i ostatni kopię akt osobowych pracownika Ośrodka Medycznego Marynarki Wojennej w Bethesda. Klein szybko je porównał. Uniósł brew i podniósł wzrok.

- Bardzo dobra robota, Maggie - powiedział. - Jak zawsze. Jeszcze zanim zdążyła wyjść, wybrał zastrzeżony numer Castilli.

Prezydent podniósł słuchawkę już po drugim sygnale.

- Tak?

- Niestety, pułkownik Smith miał rację - zaczął bez wstępów Klein. - Jestem pewny, że ktoś dostał się do baz danych Omegi.

- Jakim cudem?

Klein zerknął na artykuł z „Postu”.

- Pół roku temu waszyngtońska policja znalazła w Georgetown trupa; pływał w kanale.

Szybko go zidentyfikowano. Był to niejaki Horne, doktor Conrad Horne. Według policji, padł ofiarą zwykłego rabunku i zginął zupełnie przypadkowo. Nikogo nie aresztowano, nikogo nie zatrzymano. Śledztwo zostało umorzone.

- No i?

- Okazuje się, że Horne był pracownikiem Ośrodka Medycznego Marynarki Wojennej w Bethesda...

- I miał dostęp do baz danych Omegi - domyślił się ponuro Castilla.

- Otóż to. - Klein zajrzał do policyjnego raportu. - Był rozwiedziony i płacił wysokie alimenty. Ciągle brakowało mu pieniędzy. Według kolegów, często narzekał, że rządowi naukowcy mało zarabiają. Tymczasem przeszukujący jego mieszkanie policjanci znaleźli kilka tysięcy dolarów w gotówce i dziesiątki tysięcy w nowiuteńkich meblach i kosztownym sprzęcie elektronicznym. Horne przymierzał się również do zakupu nowego samochodu, prawdopodobnie jaguara...

- I myślisz, że sprzedawał próbki DNA? - przerwał mu Castilla.

- Tak. Myślę też, że zrobił się zachłanny albo niedyskretny i że ktoś postanowił go uciszyć.

Castilla westchnął.

- Chcesz powiedzieć, że Renke i jego mocodawcy mają próbki DNA wszystkich najważniejszych członków naszego rządu?

- Tak, panie prezydencie - odparł Klein. - Łącznie z próbką pańskiego.

Baza Amerykańskich Sił Powietrznych w Aviano

Aviano leży w regionie administracyjnym Friuli - Wenecja Julijska, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na północ od Wenecji, u podnóża włoskich Alp. Nad północnym horyzontem dominuje tu

górze Cavallo wznosząca się na wysokość dwóch tysięcy trzystu metrów.

Gdy nocą patrzy się na nią z pokładu samolotu, w bladych promieniach księżyca widać rozległe połacie śniegu i lodu pokrywające jej strome, wystrzępione zbocza.

Z silnikami ryczącymi na odwróconym ciągu boeing 747 TransEksu toczył się głównym pasem startowym, ostro wyhamowując przed rzędem betonowych schronów samolotowych.

Wszystkie były otwarte i jasno oświetlone, we wszystkich kręcili się technicy z obsługi naziemnej, przygotowując maszyny 31. Skrzydła Myśliwców Taktycznych do dalekiego lotu na wschód.

Na końcu pasa potężny transportowiec zatoczył szeroki łuk, skręcił na asfalt i powoli się zatrzymał. Nadjechała ciężarówka z ruchomymi schodami. Gdy tylko je podstawiono, na płytę lotniska zeszli spiesznie Smith, Fiona Devin i Oleg Kirów.

Czekał już na nich młody kapitan lotnictwa w zielonej kurtce. Pod pachą trzymał hełm z zamontowanym na osłonie noktowizorem.

- Pułkownik Smith? - spytał niepewnie na widok trzech cywilów, z których każdy wyglądał tak, jakby bił się przed chwilą z niedźwiedziem.

- Tak, to ja - odparł Jon i uśmiechnął się, widząc jego minę. - Proszę się nie obawiać, kapitanie. Nie zakrwawimy panu samolotu, przynajmniej się postaramy.

Kapitan lekko się zmieszał.

- Przepraszam, panie pułkowniku.

- Nie ma za co. Gotowi do startu?

- Tak jest. Stoimy tam. - Kapitan wskazał duży, czarny śmigłowiec czekający kilkadziesiąt metrów dalej. Był to MH - 53 Pave Low, jedna z najnowocześniejszych i najbardziej zaawansowanych technicznie maszyn w świecie. Solidnie opancerzona, naszpikowana wszelkiego rodzaju bronią, wyrafinowanym sprzętem nawigacyjnym i środkami do walki elektronicznej, miała przerzucać komandosów na tyły wroga, lecąc na wysokości od trzydziestu do czterdziestu metrów w celu uniknięcia radarów i wrogich rakiet ziemia -

powietrze.

- A sprzęt? - spytał Smith.

- Jest już na pokładzie, broń, ubranie, i tak dalej. Mamy rozkaz natychmiast startować.

Pięć minut później Smith, Fiona i Kirów przypinali się już pasami do foteli w pomalowanej na szaro kabine dwudziestojednotonowego śmigłowca. Jeden z załogantów - było ich w sumie sześciu -

rozdał im hełmy i zatyczki do uszu.

- Przydadzą się, kiedy odpalimy silniki - powiedział. - Hałas robi papkę z mózgu.

Drgnęły wielkie rotory. W miarę jak dwa turbośmigłowe silniki nabierały obrotów, rotory wirowały coraz szybciej i szybciej. Gdy silniki osiągnęły pełną moc, jękliwy ryk stał się nie do zniesienia. Śmigłowiec dygotał, wibrował i chwiał się na boki.

Inżynier pokładowy, sierżant z silnym teksańskim akcentem, sprawdzał listę startową z pilotami. W końcu zameldował:

- Możemy kołować.

Trzech siedzących z tyłu żołnierzy wychyliło się przez otwarte drzwi i rampę załadunkową, uważnie obserwując teren przez noktowizory. Podczas lotu mieli ostrzegać kapitana przed przeszkodami, które mogłyby zagrozić maszynie, zwłaszcza przed drzewami i liniami wysokiego napięcia.

Pave Low powoli oderwał się od ziemi. W kabinie zaświstały podmuchy wiatru bijącego spod łoskoczących śmigieł głównego wirnika. Smith zacisnął pas bezpieczeństwa. Kątem oka zauważył, że Kirów pomaga zapiąć pas Fionie, i ukrył uśmiech.

Kilka minut później śmigłowiec zawisł w powietrzu i piloci przeprowadzili ostatni test nawigacyjno - systemowy. Zaraz potem silniki ryknęły jeszcze głośniej, zgasły światła pozycyjne, maszyna przechyliła się na prawą burtę i z prędkością prawie stu dwudziestu węzłów poleciała na południe.

Pod Orvieto

Erich Brandt z trudem poskromił rosnącą niecierpliwość. Wulf Renke zapędził

wszystkich do pakowania sprzętu i archiwizowania danych i w głównym laboratorium Hydry wrzała gorączkowa praca. Zadanie było bardzo skomplikowane, ale po jego wykonaniu Renke i jego naukowcy mieli nadzieję zniknąć i otworzyć nową linię produkcyjną w bezpieczniejszym miejscu. Co ważne, a może nawet najważniejsze, gdyby im się udało, amerykańscy agenci, węszący wokół Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych, znaleźliby tu tylko zwykłe laboratorium zajmujące się rutynowymi badaniami genetycznymi.

- Długo jeszcze?

Renke wzruszył ramionami.

- Kilka godzin. Moglibyśmy pójść na czas, ale musielibyśmy zostawić tu masę bezcennego sprzętu.

Stojący obok Brandta Malkowicz zmarszczył brwi.

- O ile opóźniłoby się uruchomienie nowego laboratorium?

- Co najmniej o kilka tygodni - odparł Renke. Malkowicz stanowczo pokręcił głową.

- Obiecałem Moskwie, że zdążymy, zanim ich wojska przekroczą granicę. Castilli praktycznie już nie ma, ale nasi rosyjscy sojusznicy chcą mieć możliwość działania na wypadek, gdyby nowy prezydent okazał się równie uparty i nie zechciał pogodzić się z faktami dokonanymi.

- Dudarew zechce z panem rozmawiać? - spytał ciekawie Renke.

- A jaki ma wybór? To ja umiem produkować Hydrę, nie on. Poza tym, zapewniłem go, że naszemu programowi nic już nie zagraża. Kiedy wywieziemy z Włoch ludzi i sprzęt, czy Waszyngton zdąży znaleźć jakieś dowody, zwłaszcza że Smith i Devin już nie żyją? Tak czy inaczej, kiedy padną pierwsze strzały, będzie za późno na interwencję.

Zapiszczała komórka. Serb otworzył klapkę.

- Malkowicz. Tak, słucham... - Zerknął na Brandta. - To Titow. Brandt kiwnął głową.

Titow został w Moskwie, żeby na bieżąco śledzić rozwój wydarzeń.

Malkowicz słuchał i jego twarz zmieniła się powoli w pozbawioną wyrazu kamienną maskę.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Będziemy w kontakcie. Schował telefon.

- Moskiewska milicja znalazła dwa trupy w ruinach klasztoru, gdzie urządziliście sobie strzelnicę.

- Biedny pan pułkownik, biedna panna Devin - zażartował ponuro Niemiec.

- Niech pan sobie daruje - warknął lodowato Malkowicz. - Oni żyją. Te trupy to wasi.

Brandt wytrzeszczył oczy. Smith i Devin uciekli? Jak to możliwe? Przeszedł go zimny dreszcz zabobonnego strachu. Kim, u diabła, ci ludzie byli?

ROZDZIAŁ 48

Pod Orotalą

Z łoskotem wirników Pave Low przeleciał nad stromą, lesistą granią i zanurkował w szeroką dolinę. Ledwie kilka metrów pod brzuchem maszyny śmignęły wierzchołki drzew.

Skąpana w księżycowym blasku Paglia wiała się wąską wstęgą na południe, niemal równoległe do autostrady i torów kolejowych. Łagodne wzgórza były porośnięte winnicami, tysiącami sękatych drzewek oliwnych oraz rzędami kształtnych, strzelistych cyprysów.

Mroczne, kwadratowe plamy znaczyły miejsca, gdzie stały stare, kamienne domy. W

oddali widać już było oświetlone wieże i wieżycy Orneto, które zdawały się unosić w powietrzu.

Jeszcze więcej świateł mrugało na zachodnim krańcu miasta.

- Cel w polu widzenia - zameldował pilot. - Dwie minuty do punktu infiltracji.

Zbliżając się do strefy lądowania, śmigłowiec zaczął stopniowo zwalniać. Od czasu do czasu gwałtownie zadzierał nos, gdy pilot ściągał na siebie drążek, żeby uniknąć zderzenia z wyższym drzewem czy przecinającymi dolinę liniami elektrycznymi i telefonicznymi.

Smith trzymał się kurczowo skórzanego uchwytu pod sufitem. Żołądek co chwilę podjeżdżał mu do gardła.

- Niezła jazda, co? - rzucił jeden z żołnierzy, uśmiechając się przez ramię. - Żadna kolejka górską mu nie dorówna.

Jon z trudem przełknął ślinę.

- W wesołym miasteczku zawsze wołałem... samochodziki.

- To znak, że pisane były panu kamasze - odparł ze śmiechem tamten i znowu wystawił

głowę za otwarte drzwiczki, żeby śledzić teren. - Lądowy z pana szczur. Z całym szacunkiem, rzecz jasna.

- Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina - odparł z uśmiechem Jon i z udawaną skruchą zwiesił głowę.

Siedząca naprzeciwko niego Fiona współczująco wzruszyła ramionami. Kirów chyba spał, bo opierał się bezwładnie o burtę i miał zamknięte oczy.

Śmigłowiec zwolnił jeszcze bardziej i skręcił lekko na zachód, przecinając pasmo wzgórz na północ od ośrodka. Zszedł niżej i przeleciał tuż nad lesistym zboczem. Od podmuchu powietrza, bijącego spod potężnych rotorów, zakołysały się gałęzie drzew.

- Strefa lądowania w polu widzenia - zameldował inżynier pokładowy. - Trzydzieści metrów, pięćdziesiąt węzłów.

Smith puścił uchwyt, usiadł prosto i trącił nogą worek marynarski pod fotelem, sprawdzając, czy wciąż tam jest. Worek zawierał ubranie, broń oraz sprzęt z magazynów Amerykańskiego Dowództwa Sił Specjalnych w Aviano. Kirów i Fiona zaczęli się już przygotowywać. Oleg pokazał mu uniesiony kciuk.

Wspomagany przez załogę pilot bezpiecznie dotarł do strefy lądowania, rozległej leśnej polany. Po lewej stronie ciągnęło się pasmo wzgórz, czarnych i majestatycznych na tle bledszego, bo rozświetlonego przez księżyc nieba. Koła dotknęły ziemi. Ryk silnika momentalnie ucichł. Przenikliwy wizg przeszedł w głębokie zawrodożenie, a potem zapadła głucha cisza.

Wirniki zwolniły jeszcze bardziej, wreszcie znieruchomiały.

Załoga - sześciu żołnierzy i oficerów - miała rozkaz czekać na polanie, dopóki nie wezwie ich Smith, Fiona lub Kirów. Ale otrzymała też wyraźny rozkaz, żeby nie robić absolutnie nic więcej. Z chwilą zejścia z pokładu śmigłowca członkowie zaimprovizowanej grupy specjalnej Kleina mieli być zdani wyłącznie na samych siebie. Gdyby włamując się do laboratorium Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych, wpadli w tarapaty, amerykański rząd by się ich wyparł.

Jon z ulgą rozpiął pas bezpieczeństwa. Nie, żeby bał się tego niskiego, karkołomnego i ryzykownego lotu - chodziło po prostu o to, że dużo lepiej czuł się wtedy, gdy wiedział, że jego los zależy wyłącznie od niego. Pochylił się i wyciągnął worek spod fotela. Fiona i Oleg poszli w jego ślady. Zrzucili worki na ramię, zbiegli rampą na ziemię i ruszyli na wschód. Przecięli polanę i zniknęli w ciemności między drzewami.

Jon szedł na czele, wspinając się szybko na łagodne wzgórze. Pod szczytem wzgórza natrafili na inną polanę, znacznie mniejszą niż ich lądowisko. Dokładnie na jej środku leżała sterta grubo ciosanych kamieni i głazów, popękanych i porośniętych mchem. Ruiny starożytnej świątyni? - pomyślał Smith. Tylko tyle z niej pozostało? Przez tysiące lat na tych prastarych ziemiach toczyły się walki między Umbryjczykami, Etruskami, Rzymianami, Gotami i Lombardczykami. Cały teren był upstrzony ruinami i grobowcami, z których jedne zostały pochłonięte przez rozbudowujące się miasta, a drugie przez lasy, pnącza i zarośla. W świetle księżyca polana lśniła upiornym blaskiem.

- Tu będzie dobrze - szepnął Smith. - Przebieramy się. - Położył worek na ziemi, ukląkł i zaczął go rozpakowywać.

Drżąc na chłodnym, nocnym powietrzu, zrzucili cywilne ubranie i szybko włożyli czarne swetry i dżinsy. Poczernili sobie twarz i czoło. Włożyli wygodne traperki i grube, skórzane rękawice, które zapewniały pewniejszy chwyt. Dzięki noktowizorom mogli teraz widzieć nawet po zachodzie księżyca. W miękko wyłożonych kieszeniach worków znaleźli nowoczesne aparaty cyfrowe, lekkie radionadajniki taktyczne, laserowy sprzęt podsłuchowy, nożyce do cięcia metalu oraz inne narzędzia.

- Idziemy bez pancerzy? - spytał Kirów, wyciągając z worka kamizelkę bojową. Włożył

ją, zapiął i sprawdził kieszenie. - Co z nas za rycerze?

Jon pokręcił głową.

- Kamizelki kuloodporne byłyby nieporęczne i za ciężkie. Mamy tam wejść, zobaczyć, co knują i po cichu wyjść. Ale jeśli już będziemy musieli wiać, trzeba będzie wiać szybko.

- A jak zaczną do nas strzelać? - spytał obojętnie Kirów. - Co wtedy?

- Wtedy trzeba będzie unikać kul - odparł z krzywym uśmiechem Jon. Podał mu makarowa z trzema zapasowymi magazynkami, a sam wziął sigsauera. Obydwaj przerzucili przez ramię pistolety maszynowe MP5 Hecklera & Kocha. Zapasowe magazynki z trzydziestoma nabojami każdy

powędrowały do kieszeni w kamizelce.

Fiona wetknęła do kabury lekkiego glocka 19 i stanęła z boku, patrząc, jak Smith i Kirów kończą sprawdzać broń. - Imponujący arsenał - skostatowała z figlarnym uśmieszkiem. - Może źle cię zrozumiałam, ale czy nie powiedziałeś przed chwilą, że mamy załatwić to po cichu?

- Jak najbardziej. - Jon poklepał swój pistolet. - Ale szczerze mówiąc, zmęczyło mnie już to, że ciągle przewyższają nas siłą ognia. Tym razem jeśli zaczną strzelać, odpowiemy tak, że nas popamiętają.

Kompleks Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych otaczały drzewka oliwne i prastare winnice dochodzące do wysokiej siatki na skraju pięćdziesięciometrowej szerokości trawnika. O tak późnej porze większość nowoczesnych budynków kompleksu - stal i szkło -

tonęła w ciemności. Jedynym wyjątkiem było duże laboratorium stojące w pewnym oddaleniu od pozostałych zabudowań. W jego wszystkich zaopatrzonych w żaluzje oknach paliło się światło.

Zamontowane na płaskim dachu silne reflektory i kamery telewizyjne omiały każdy centymetr kwadratowy podjazdu i trawnika. Ponieważ nie było tam żadnej osłony, nikt nie zdołałby podejść doń niezauważenie.

W płytkim rowie melioracyjnym na skraju winnicy, mniej więcej sto metrów od laboratorium, leżała szczupła, ubrana na czarno kobieta. Poprzetykana liśćmi i gałązkami siatka znakomicie maskowała i ją, i zaopatrzoną w noktowizor lornetkę, przez którą obserwowała budynek. Z odległości już kilku metrów była praktycznie niewidoczna nawet w świetle księżyca.

A gdyby księżyc zaszedł, zauważyłby ją tylko ten, kto przypadkiem by na nią wpadł.

Zaniepokojona dochodzącym z tyłu cichym szmerem kobieta nagle zeszywniała. Powoli, bardzo ostrożnie odwróciła się i skierowała lornetkę na skraj rowu i na tonącą w gęstym mroku winnicę, wypatrując tam ruchu. Wstrzymała oddech.

Tak. Jeden z cieni pod rzędem szarych, nagich, przyciętych na zimę winorośli przybrał kształt przycupniętego mężczyzny. Kilka sekund później dołączył do niego drugi. Potem trzeci.

Nie, trzecią była kobietą.

Randi przesunęła lornetkę na twarz tego drugiego, wyostrzyła obraz i zdumiona uniosła brwi.

- Proszę, proszę - wymamrotała cichutko. - Wygląda jak półtora nieszczęścia...

Westchnęła, schowała lornetkę, zdjęła siatkę i ostrożnie wstała. Ręce trzymała daleko od siebie, wnętrzem dłoni w ich stronę. Zaskoczeni jej nagłym pojawieniem się intruzi przypadli do ziemi. Dwóch z nich natychmiast sięgnęło po broń.

- Tylko mnie nie zabij, Jon, bardzo cię proszę. Przyjaciół nigdy za dużo.

Oslupiały Smith zdjął palec ze spustu.

- Randi? - szepnął zdumiony. - Co ty tu, do diabła, robisz?

Randi podeszła bliżej i z ponurym rozbawieniem na twarzy przykucnęła w mroku tuż obok nich.

- Byłam tu pierwsza, więc to ja powinnam zadać to pytanie, nie ty. Niemal wbrew swojej woli Jon rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Celny strzał. Obojętnie wzruszył ramionami.

- Fakt, to prawda.

Intensywnie myślał, próbując wymyślić coś, co by kupiła. Była siostrą jego zmarłej narzeczonej, starą przyjaciółką, która wiele razy uratowała mu życie. Rzecz w tym, że była również agentką CIA, co oznaczało, że nie mogła - nie miała prawa - wiedzieć nic o Tajnej Jedynce. Dlatego musiał zrobić wszystko, żeby dać odpór jej wścibskim pytaniom. Ciężko i westchnął i dodał:

- Kilku wysoko postawionych urzędników Pentagonu prosiło mnie, żebym zbadał źródło tej przeklętej choroby. Tej, która zabija naszych analityków wywiadu i przywódców byłych republik radzieckich. Wiemy już, że jest to choroba stworzona przez człowieka, rodzaj genetycznej broni snajperskiej...

- Ale dlaczego poprosili akurat ciebie? - przerwała mu dociekliwie Randi.

- Bo na konferencji medycznej w Pradze zgłosił się do mnie pewien rosyjski naukowiec, mój dobry kolega. - Jon zapoznał ją szybko z teoriami Walentina Pietrenki i opisał morderczy atak na moście, z którego ledwo uszedł z życiem. - Ci z Pentagonu uznali, że mam doświadczenie i znajomości i wysłali mnie do Moskwy, żebym to wszystko sprawdził i zweryfikował.

Randi wdzięcznie przekrzywiła głowę.

- Hm, prawie trzyma się kupy... - Sceptycznym spojrzeniem obrzuciła Kirowa, którego poznała przed laty podczas misji w Moskwie. - Rozumiem, że w tym momencie na scenę wydarzeń wkroczył pan generał Kirów z Federalnej Służby Bezpieczeństwa, tak? Oleg z uśmiechem pokręcił głową.

- Zwyczajny „Kirów”, panno Russell, bez „generała”. Jestem na emeryturze.

- Na pewno - prychnęła Randi i wskazała pistolet maszynowy na jego ramieniu. - I jak każdy rosyjski emeryt, uzbrojony po zęby spaceruje pan po ciemku po włoskich winnicach.

- Oleg ze mną pracuje - wtrącił Smith. - Jako prywatny konsultant.

- A ona? - spytała uszczypliwi Randi, patrząc na Fionę. - Jako twoja sekretarka?

Fiona gniewnie zeszywniała, Jon boleśnie się skrzywił.

- Pani Devin jest niezależną dziennikarką z Moskwy. Kiedy tam przyjechałem, prowadziła śledztwo w sprawie tej epidemii.

- Dziennikarką? - powtórzyła z niedowierzaniem Randi. - Jon, czy ja dobrze to wszystko rozumiem? Naprawdę zabrałeś ze sobą dziennikarkę? Na tajną misję? Wiem, że Pentagon namawia was do szerszej współpracy z mediami, ale to już chyba lekka przesada.

- Nie przyjechałam tu jako dziennikarka - odezwała się po raz pierwszy Fiona; była lekko zdenerwowana, bo znowu mówiła z silnym, irlandzkim akcentem. - Nie, na pewno niejako dziennikarka.

- Tylko jako kto? - spytała Randi.

Smith opowiedział jej o zamachach na ich życie, zorganizowanych przez Ericha Brandta działającego w imieniu Konstantina Malkowicza. Nie omieszkął również wspomnieć o tym, że Kreml wydał na nich rozkaz natychmiastowego aresztowania.

- W tych okolicznościach Oleg i ja uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli Fiona zostanie z nami

- zakończył kulawo, doskonale zdając sobie sprawę, jak nieprawdopodobnie to brzmi.

Zapadła cisza.

W końcu Randi podniosła rękę i spytała:

- Naprawdę myślisz, że uwierzę w tę poronioną historyjkę?

- Może i jest trochę zwariowana, ale prawdziwa - parł dalej Jon, ciesząc się, że jest ciemno i nie widać, jak bardzo się czerwieni. Przynajmniej częściowo prawdziwa, pocieszał się w duchu, żeby uspokoić sumienie.

- Aha, rozumiem - rzuciła ironicznie Randi. - I po prostu wyjechaliście z Moskwy na oczach tych wszystkich milicjantów i ubeków, tak?

- Mam przyjaciół w transporcie - wyjaśnił spokojnie Kirów.

- Jasne. - Randi otaksowała ich wzrokiem, ciekawie zerkając na broń i sprzęt. - I ci przyjaciele zaopatrzyli was w te zmyślne zabaweczki, tak?

- Niezupełnie - wtrącił z uśmiechem Jon. - Zabaweczki to moje dzieło. Nie zapominaj, że mam przyjaciół w lotnictwie.

- Oczywiście. - Randi westchnęła, godząc się z porażką, przynajmniej chwilowo. - Dobra, poddaję się. Jesteście trojgiem zupełnie przypadkowych bohaterów, tak jak mówicie.

- W takim razie może teraz pani powie nam, co pani tu robi - zaproponowała lodowato Fiona.

Randi najeżyła się jak rozwścieczona kotka. I nagle, ku ich zaskoczeniu, uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Jeju, jeju, umie się pani odgryźć, nie ma co. - Wzruszyła ramionami. - To proste. Wy szukacie źródła tej genetycznej „choroby”. Ja człowieka, który ją stworzył.

- Wulfa Renkego - powiedział cicho Jon.

- We własnej osobie. - Randi opisała im długi, krwawy szlak, który doprowadził ją z Bagdadu do Berlina i wreszcie do Orvieto. - Pod koniec musiałam zgadywać - przyznała. -

Telefoniczna sieć, którą rozpracowywaliśmy, padła, zanim zdążyliśmy ich namierzyć. Ale wystarczyło, że trochę pogłótkowałam i Orvieto wyskoczyło samo. Jest tu sporo medycznych instytutów badawczych, ale EOBL pasował idealnie: kupa pieniędzy, mnóstwo naukowców z całej Europy i najlepszy sprzęt, jaki tylko można sobie wymarzyć.

- I od razu przyleciałaś tutaj?

- Nie, najpierw do Rzymu. Tam wynajęłam samochód. Siedzę tu już od południa.

Od pewnego czasu Smith słyszał spiętą nutkę w jej głosie.

- Ciągłe mówisz w liczbie pojedynczej - zauważył. - Gdzie reszta grupy?

- Nie ma żadnej grupy - odparła ponuro Randi. - Jestem tylko ja. Nikt w Langley nie wie, gdzie teraz jestem. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Teraz z kolei Jon był zaskoczony.

- Pracujesz sama? Bez wsparcia agencji? Dlaczego? Randi wykrzywiła usta.

- Bo Renke, a może ten sukinsyn Malkowicz, ma kreta, i to gdzieś wysoko. Zawsze był na bieżąco, bo tamten sprzedawał mu wszystko to, czego się dowiedziałam. - Zacisnęła usta. -

Uczciwa gra kosztowała już życie trojga ludzi. Nie zamierzam dłużej ryzykować.

Smith, Fiona i Kirów powoli kiwnęli głową, doskonale rozumiejąc zarówno jej gniew, jak i kierujące nią motywy. Zdrajca wśród swoich to koszmar każdego agenta.

- Powinniśmy połączyć siły, panno Russell - powiedział cicho Kirów. - Przyznaję, że to trochę niezwykle, ale w obliczu tak niebezpiecznego przeciwnika zdrowy rozsądek nakazuje współpracę. Poza tym, czas ucieka. Nie możemy sobie pozwolić na kłótnie.

Randi patrzyła na nich przez długą, pełną napięcia chwilę. Wreszcie kiwnęła głową.

- Dobra, zgoda. - Uśmiechnęła się krzywo. - Ostatecznie, nie pierwszy raz spotykam się z Jonem w terenie.

- To prawda - potwierdził Smith.

- Może jesteście sobie pisani - dogryzła jej Fiona.

- Och tak, na pewno - prychnęła Randi. - Tworzymy bombowy duet. Flip i Flap szpiegowskiej branży to my.

Smith doszedł do wniosku, że najlepiej będzie się nie odzywać. Była to jedna z tych cudownych chwil, w których cokolwiek by powiedział, natychmiast obróciłoby się przeciwko niemu. Tak, groziła mu kąpiel w gorącej wodzie. Może nawet we wrzącej, pomyślał, zerkając na jadowicie zaciśnięte usta Randi.

Lecz Randi szybko doszła do siebie.

- Chodź - powiedziała. - Pokażę ci, co nas czeka. Może i jesteście bohaterami, ale wierz mi, nie będzie łatwo.

ROZDZIAŁ 47

Bunkier Dowództwa Sztabu Generalnego, pod Moskwą

Jedną z betonowych ścian głębokiego bunkra zajmowała wielka mapa Rosji i jej najbliższych sąsiadów. Rozrzucone na niej symbole pokazywały aktualną pozycję i stan gotowości głównych jednostek bojowych biorących udział w operacji „Żuków”. Przestronną salę bunkra wypełniały rzędy konsol, z których każda była wyposażona w najnowocześniejsze systemy telekomunikacyjne do utrzymywania stałej łączności z przygotowującymi się do walki dowódcami.

Prezydent Wiktor Dudarew stał z tyłu, obserwując generałów, pułkowników i majorów, bez pośpiechu wykonujących skomplikowane zadanie, które miało urzeczywistnić jego długo odkładane plany. Jedną z ostatnich żółtych ikonek - symbolizująca dwie dywizje w ośnieżonych górach Kaukazu - zmieniła kolor na zielony.

- Generał - pułkownik Siewalkin melduje, że jego jednostki zajęły pozycję - szepnął

major Piotr Kirczenko, doradca wojskowy prezydenta.

- Wszystkie siły lądowe, biorące udział w operacji „Żuków”, są już w wyznaczonych rejonach koncentracji. Za dwanaście godzin dowódcy jednostek zwołają odprawę dowódców pułków i batalionów.

Dudarew z zadowoleniem kiwnął głową. To on rozkazał, żeby liniowe odprawy operacyjne zwołać praktycznie w ostatniej chwili - chciał uniknąć ewentualnych przecieków, które mogłyby zagrozić jego planom. Zerknął na Kirczenkę.

- Jak reagują? Zauważyliście coś?

- Nie, panie prezydencie - odparł pułkownik. - Wywiad potwierdza, że Ukraińcy i wojska pozostałych państw wciąż stacjonują w swoich stałych kwaterach i że nie przeszły nawet na wyższy stan gotowości bojowej.

- A Amerykanie i NATO? Kirczenko lekko zmarszczył brwi.

- Odbieramy fragmentaryczne sygnały, że amerykańskie dywizjony lotnicze w Niemczech, Włoszech i w Wielkiej Brytanii podniosły stan gotowości, ale nic nie wskazuje na to, żeby zamierzały przegrupować się w pobliże naszych granic.

Dudarew spojrzał na stojącego za nim krępego, siwowłosego mężczyznę. Uniósł brew.

- Aleksiej?

- Amerykanie nie uzyskali jak dotąd pozwolenia na przerzut samolotów na wschód -

potwierdził Iwanow. - Europa schowała głowę w piasek. Wszyscy czekają na Castillę. Chcą sprawdzić, czy i co zdoła nam udowodnić.

- A z oddziału intensywnej opieki medycznej będzie mu bardzo trudno - dodał z zimnym uśmiechem Dudarew. - Tymczasem miejmy nadzieję, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin rządy krajów europejskich będą decydowały mądrze i rozważnie. Zanim zrozumieją, że równowaga sił uległa nieodwracalnej zmianie, będzie już o wiele za późno.

Pod Ocleni

- Teraz rozumiesz? - szepnęła. Leżeli obok siebie w zamaskowanej kryjówce naprzeciwko jasno oświetlonego kompleksu Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych.

Smith powoli opuścił lornetkę. Spięty i zaniepokojony oddał ją Randi.

- Niech to szlag. To prawdziwa forteca.

- Fakt. - Randi podniosła rękę i zaczęła wyliczać na palcach to, co zdołała wypatrzeć. -

Reflektory, zdalnie sterowane kamery systemu bezpieczeństwa, czujniki ruchu, kuloodporne szyby w oknach, grube, stalowe drzwi, zamki jak w bankowym skarbcu, nie wspominając już o kilkunastu czujnych i dobrze uzbrojonych strażników w środku.

Jon ponuro pokiwał głową.

- Pora zwołać naradę wojenną.

Wypętlili ostrożnie z rowu melioracyjnego i zniknęli w ciemnej winnicy. Kirów i Fiona rozłożyli sprzęt za niskim pagórkiem, poza zasięgiem reflektorów i kamer na dachu laboratorium.

Głowa przy głowie, oglądali właśnie zdjęcia, które Randi zrobiła po południu i wieczorem.

Na ich widok Kirów podniósł wzrok.

- Tak - rzucił z powagą - to na pewno tutaj. Sam zobacz.

Włączył podgląd i pokazał Smithowi kilka kolorowych zdjęć zrobionych teleobiektywem.

Pierwsze przedstawiało dwie czarne limuzyny przed budynkiem laboratorium. Kolejne grupę mężczyzn idących do drzwi. Kirów zrobił zbliżenie.

Jon cicho zagwizdał. Znajome gęby: Erich Brandt i Konstantin Malkowicz. Na widok zimnych, szarych oczu Niemca poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Kiedy ich torturowano, poprzysiągł sobie, że go zabije. Odwrócił głowę, żeby zapanować nad gniewem. Nie, to nie pora na krwawą zemstę. To pora na chłodne, logiczne rozumowanie.

- Brandt i Malkowicz ciągle tam są?

- Tak - odparła Fiona; miała zaskakująco spokojny głos. - Zestaw zdjęć pani Russell jest doprawdy fascynujący i nadzwyczaj kompletny. Nikt inny tam nie wszedł, nikt nie wyszedł.

- Zawsze to coś... - mruknął Jon i ukucnął. Pozostali ukucnęli przed nim. - Złe nowiny -

zaczął Smith. - Nasz pierwotny plan, szybki skok i cichy odskok, idzie do kosza. System ochrony jest zbyt szczelny. Od razu by nas zauważyli.

Kirów wzruszył ramionami.

- Skoro wiemy już, że to laboratorium Renkego, proponuję zapomnieć o ostrożności i uderzyć otwarcie. Przeciwnicy zrobili nam przysługę i zebrali się w jednym miejscu.

Powinniśmy ten błąd wykorzystać.

- Tak, chętnie poszedłbym na całość - odrzekł ze spiętym uśmiechem Jon. - Pod warunkiem, że miałbym do dyspozycji kompanię piechoty i ze dwa abramsy na dokładkę. Ale nawet z piechotą i czołgami byłoby cholernie ciężko.

- Tak dobrze się tam obwarowali? - spytał Kirów. Smith kiwnął głową.

- Aż za dobrze.

- W Aviano stacjonują F - 16 - wtrąciła przytomnie Randi. - Mogłyby być tu w ciągu godziny. Może nawet szybciej.

- Chcesz ich zbombardować? - spytał Jon.

- Czemu nie? - Randi przeszła go spojrzeniem. - Jedna naprowadzana laserem bomba rozwiązałaby

wszystkie problemy.

Smith dobrze ją rozumiał. Mordercza broń genetyczna, zaprojektowana, wyprodukowana i zastosowana przez Renkego, Malkowicza i Brandta, zabiła już dziesiątki niewinnych ludzi na całym świecie. Myśl, że naukowiec i jego kompani mogliby zginąć w jednej ognistej eksplozji, w dodatku na ich oczach, była bardzo kusząca. Jednakże przeciwko bombardowaniu przemawiało za dużo czynników, zarówno praktycznych, jak i politycznych.

- Rozkaz musiałby nadejść z samej góry, od prezydenta, a prezydent nigdy by go nie wydał. Większość wykonywanych w tym laboratorium prac jest całkowicie legalna, poza tym, nie obeszłoby się bez strat ubocznych. Wyobrażasz sobie, jak zareagowałaby Unia, gdybyśmy zrzucili tu kilka bomb, w dodatku bez pozwolenia, a nawet bez konsultacji z Włochami? Nasze sojusze są kruche i bez tego.

- Zburzenie laboratorium zniszczyłoby dowody, których tak bardzo potrzebujemy -

zauważyła cicho Fiona. - Dowody, że w produkcję i zastosowanie tej broni są zamieszani Rosjanie. Śmierć Renkego, Malkowicza i pozostałych też niczego nam nie da. Bez ich zeznań Kreml się z tego wywinie.

Kirów ciężko westchnął.

- Fiona ma rację. Nie wiem, jak to zrobimy, ale jednego z nich, Renkego albo Malkowicza, musimy wziąć żywcem.

- Cudnie - mruknęła Randi. - Robi się coraz ciekawiej. - Spojrzała na Smitha. - Podobno masz chody w Pentagonie. Czemu nie ściągniesz tu komandosów, najlepiej tych z Delta Force czy z Fok? - Wskazała kciukiem za siebie. - Oni lubią takie imprezy, po to ich szkolą, nie?

- Wierz mi, że bardzo bym chciał - odrzekł spokojnie Jon. - Ale Delta i Foki są za daleko.

Część ćwiczy w Stanach, część siedzi w Iraku i Afganistanie. - Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - Boję się, że jedynych fachmanów od operacji specjalnych masz przed sobą: to nasza czwórka.

- A Włosi? - wtrąciła Fiona. - To ich kraj. Nie mają tu żadnych jednostek specjalnych, policyjnych czy wojskowych, które mogłyby zaatakować laboratorium?

Smith też o tym myślał. Włosi dysponowali cieszącymi się powszechnym respektem oddziałami takimi jak GIS (Groupe Interventional Speciale) czy NOCS (Nucleo Operativo Centrale de Sicurezza). Poza tym, mieli pełne prawo działać na swoim terenie. Czemu nie poprosić Kleina i prezydenta, żeby zrzucili odpowiedzialność na Włochów i przydzielili to im?

Tylko czy Włosi poszliby na współpracę, gdyby Castilla przedstawił im mgliste dowody i poszlaki?

Nagle przyszła mu do głowy inna nieprzyjemna myśl.

- Od Randi wiemy, że Malkowicz ma w Niemczech wysoko postawionego informatora, w Niemczech, a może i w Langley. Skąd pewność, że nie ma wtyki we włoskich służbach bezpieczeństwa?

- To całkiem prawdopodobne - przyznał Kirów. - Ten człowiek potrafi przekupić Rosjanina, Niemca i każdego innego. Miałby być ślepy i głuchy we Włoszech? Wątpię.

Fiona zmarszczyła czoło.

- Oleg, to tylko domysły...

- Tak, domysły - zgodził się z nią Smith. - Ale nawet jeśli Malkowicz nie ma tu żadnego informatora, wciągnięcie w to Włochów wymagałoby wyrafinowanych manewrów politycznych...

- Na które nie ma czasu - dokończył z mocą Kirów. Spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

- Nieprzyjaciel wie - wyjaśnił Oleg - że jego przykrywka jest mocno nadszarpnięta, a może nawet zupełnie spalona. - Uśmiechnął się lekko. - Pomyślcie tylko. Po co ktoś taki jak Malkowicz fatygowałby się aż do Orneto? Zwłaszcza teraz, kiedy Rosja zmierza do wojny...

- Renke i jego kumple znowu chcą zniknąć - zrozumiał Jon.

- Zniknąć? - spytała ciekawie Randi. - Daliby radę?

- Bez trudu. - Smith potarł policzek. - Do założenia nowego laboratorium Renke potrzebuje tylko próbek DNA, specjalistycznego sprzętu i kilku dobrze wyszkolonych techników.

A większość sprzętu i materiałów da się zapakować do małej ciężarówki albo do dwóch furgonetek.

- W takim razie to proste - powiedziała Randi. - Zaczekamy, aż wyjadą i zaatakujemy ich z zaskoczenia.

- Proszę przyjrzeć się zdjęciom, panno Russell - odparł Kirów. - Widzi tam pani jakąś ciężarówkę czy furgonetkę?

Randi niechętnie pokręciła głową.

- Nie.

- Jest za to spory betonowy plac, prawda?

Jon zrozumiał, do czego Kirów zmierza.

- Niech to szlag - mruknął. - Oni nie odjadą, tylko odlecą.

- Tak, śmigłowcem do Rzymu, Florencji czy na inne pobliskie lotnisko, gdzie czeka na nich samolot. - Kirów ponuro wzruszył niedźwiedziowatymi ramionami. - Serbia jest niedaleko, to ledwie godzina lotu przez Adriatyk. Do Libii czy Syrii też spokojnie doleczą. Jest wiele podejrzanych państw, które chętnie zaoferują schronienie każdemu bogatemu uciekinierowi.

- Co oznacza - podsumował Smith - że jeśli będziemy za długo czekali, Renke znowu zapadnie się pod ziemię. Renke i wszystko to, czego Malkowicz potrzebuje do ponownego otwarcia interesu.

- Dobra - powiedziała Randi, z trudem panując nad gniewem. - Nie możemy ich zaatakować, nie możemy czekać, aż stamtąd wyleżą. Możesz mi powiedzieć, co nam pozostało?

Sfrustrowany Smith zacisnął zęby.

- Nie wiem - odparł. - Ale musimy zrobić coś, co zmusiłoby ich do zmiany strategii, do gry według naszych zasad.

Nie mogąc dłużej znieść bezczynności, wstał i zaczął nerwowo krążyć po małym obozowisku. Jak ich stamtąd wyciągnąć? Jak wyciągnąć ich z tego ufortyfikowanego laboratorium, zanim będzie za późno? Przecież musiał istnieć jakiś sposób...

Nagle przystanął i znieruchomiał, czekając, aż mglista myśl przybierze konkretną formę i kształt. Randi. Czyżby dała im haczyk, którego tak bardzo potrzebowali? Gniewnie zalśniły mu oczy.

- Oleg - warknął. - Dawaj telefon. Szybko! Kirów rzucił mu komórkę.

- Używaj go mądrze i rozsądnie, Jon. Smith posłał mu zimny uśmiech.

- Rozsądek to ostatnia rzecz, jaka chodzi mi teraz po głowie. Odszedł na bok, połączył się z Kleinem i zapoznał go z sytuacją. Szef tajnej Jedyнки wysłuchał go uważnie i westchnął.

- Paskudny dylemat - mruknął. - Masz jakiś plan?

- Mam, ale bez natychmiastowej pomocy Waszyngtonu nie wypali.

- Dobrze. Co mam zrobić? Jon wyłuszczył mu szczegóły.

Klein długo milczał. Gdy się wreszcie odezwał, w jego głosie zabrzmiała nutka troski.

- Każesz mi stąpać bo bardzo cienkim lodzie, Jon.

- Wiem.

- Prezydent i ja damy pewnie radę zataić sprawę, przynajmniej tutaj, w Waszyngtonie.

Ale martwi mnie ta Russell. Ona za dużo wie, to nierozważne. Twoja propozycja może naprowadzić

ją na trop i będzie po Jedyńce.

- Fakt, już mnie podejrzewa.

- Między podejrzeniami i pewnością jest wielka przepaść, panie pułkowniku - odrzekł ostro Klein. - I wolałbym, żeby panna Russell pozostała na właściwym jej brzegu.

Jon wzruszył ramionami.

- Ale jaki mamy wybór?

- Żadnego - przyznał po namyśle Klein. - Dobrze, Jon. Zostańcie tam i czekajcie. Dam ci znać, kiedy będę gotowy.

- Rozumiem. Czekam. Klein przerwał połączenie.

22 lutego Wideokonferencja przedstawicieli wywiadu amerykańskiego i niemieckiego Wielkie ekrany telewizyjne w Waszyngtonie, Langley, Berlinie, Bonn i Kolonii zamigotały i ożyły, łącząc zasiadających przy stołach konferencyjnych ludzi poprzez przestrzeń i czas. Ci w Niemczech robili wrażenie zmęczonych i zdenerwowanych. Było już dobrze po północy, gdy ściągnięto ich nagle z biur i urzędów na niezwykle pilną konferencję z Williamem Wexlerem, nowym dyrektorem wywiadu narodowego.

Wexler był opanowany i skupiony. Biła z niego pewność siebie i głęboka wiara w słuszność tego, co miał zaraz powiedzieć. Mówił, patrząc prosto w obiektyw kamery, co dawało złudzenie, że przemawia do wszystkich i do każdego z osobna.

Żaden z uczestników konferencji nie wiedział, że jest ona transmitowana do Białego Domu. A Fred Klein, który oglądał ją w Gabinetcie Ovalnym z prezydentem Castillą, cynicznie podejrzewał, że pozorna swoboda i opanowanie Wexlera bierze się stąd, że ten był senator przywykły do wygłaszania przemówień telewizyjnych, których ani nie rozumiał, ani w które nie wierzył.

Po kilku słowach wstępu dyrektor przeszedł do sedna problemu. Mówił jasno i zwięźle.

- Wywiad Stanów Zjednoczonych zlokalizował wytwórnię broni biologicznej, która jest wykorzystywana przeciwko nam, naszym sojusznikom z NATO i przeciwko krajom sąsiadującym z Rosją.

Oglądający i słuchający go urzędnicy usiedli prosto.

Ekran podzielił się na pół i pojawiło się na nim zdjęcie satelitarne sprzed kilku miesięcy.

Pokazywało duży, ogrodzony kompleks na zboczu łagodnego wzgórza. Jeden z budynków kompleksu był zakreślony kółkiem.

- Broń ta jest wytwarzana w laboratorium pod Orvieto we Włoszech - oznajmił dobitnie Wexler. - W

laboratorium należącym do EOBL, Europejskiego Ośrodka Badań Ludnościowych.

W głośnikach zabrzmiał szum zszokowanych głosów.

- Doniesienia naszego wywiadu są całkowicie jednoznaczne i niepodważalne - ciągnął

Wexler. - Dlatego prezydent Stanów Zjednoczonych upoważnił mnie do przeprowadzenia natychmiastowego ataku zbrojnego na tę tajną wytwórnię.

Niemieccy i amerykańscy urzędnicy zamilkli, wyraźnie wstrząśnięci tym, co właśnie usłyszeli.

W miejsce zdjęcia pojawiła się mapa Włoch i otaczających je mórz. Na Morzu Śródziemnym, na zachód od włoskiego wybrzeża, wykwitł kolejny krąg opasujący grupę okrętów.

- Na pokładzie okrętów Szóstej Floty przygotowuje się do ataku grupa szybkiego reagowania Amerykańskiego Korpusu Morskiego - kontynuował Wexler. - Zajmie pozycję w ciągu najbliższych dwóch godzin. Kilka grup z Dowództwa Operacji Specjalnych jest już na miejscu, pod Orvieto. Grupy te mają zablokować przebiegającą tam autostradę.

Odezwał się jeden z Niemców. Według pełniącego na dole ekranu napisu był to Bernhard Heichler, wysoki urzędnik Bundesarntes fur Verfassungsschutz.

- To bardzo ryzykowny plan - powiedział sztywno. - Co myślą o tym Włosi?

- Żeby zapewnić całkowite zaskoczenie - odparł spokojnie Wexler - atak ten zostanie przeprowadzony bez ich wiedzy i zgody.

Heichler rozdziawił usta, podobnie jak większość jego kolegów, zarówno amerykańskich, jak i niemieckich.

- W takim razie dlaczego mówi pan o tym nam?

Z lekkim uśmiechem Wexler odpalił kolejną bombę.

- Ponieważ człowiekiem, który tę broń stworzył, jest profesor Wulf Renke. Wasz rodak, niebezpieczny przestępca, którego od dawna ścigacie. - Mówiąc jasno i stanowczo, zapoznał ich z informacjami w posiadaniu amerykańskiego wywiadu, nie omieszkając nadmienić, że w ucieczce z Niemiec pomógł Renkemu Ulrich Kessler.

- Dlatego chcielibyśmy, żebyście stworzyli grupę ekspertów, którzy pomogą nam przeanalizować każdy skrawek informacji, jakie zdobędą nasi żołnierze. Eksperci ci zbadają twarde dyski wszystkich komputerów, przejrzą wszystkie zapiski i archiwa, billingi wszystkich rozmów telefonicznych, wszystkie faktury i przesłuchają schwytanych w Orvieto ludzi.

- Uśmiechnął się triumfalnie do kamery. - Czy są jakieś pytania? Natychmiast wybuchł

gwar, ponieważ wszyscy zaczęli mówić naraz. Castilla wyłączył dźwięk i poirytowane głosy

umilkły. Prezydent uśmiechnął się lekko i spojrział na Kleina.

- Wygląda na to, że twoja sztuczka podziałała na nich jak kojot na stado bydła.

- Oby, panie prezydencie - odrzekł Klein. - Oby.

- Myślisz, że to wypali? Że pomoże Smithowi?

- Mam nadzieję - odparł cicho Klein. - Bo jeśli nie, w ciągu kilku najbliższych godzin pułkownik Smith, Fiona Devin i Oleg Kirów zginą.

- Spojrzał na zegarek i jeszcze bardziej zmarszczył czoło. - Tak czy inaczej, wkrótce się o tym przekonamy.

ROZDZIAŁ 48

Estella Pike siedziała sztywno przy biurku w sekretariacie, przepisując odręczny okólnik prezydenta do członków Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Oderwawszy wzrok od ekranu monitora, zerknęła na plik notatek, a potem rozejrzała się wokoło. Była sama. Uśmiechnęła się leciutko. Jej asystentki i asystenci biegali teraz po wszystkich skrzydłach Białego Domu - dobrze wiedziała, gdzie i kiedy ich wysłać. Do sekretariatu wszedł ubrany na biało steward z przykrytą tacą. Estella przestała pisać i zmarszczyła brwi.

- Tak? Co to jest?

- Sałatka dla pana prezydenta - odrzekł grzecznie steward. Estella wskazała róg biurka.

- Proszę zostawić to tam. Za chwilę mu podam.

Zdziwiony steward uniósł brew. Personel Białego Domu dobrze ją znał - znał i nie lubił, bo najważniejszy był dla niej protokół i ranga. Rzadko kiedy - jeśli w ogóle - podejmowała się dobrowolnie obowiązków, które uważała za niegodne jej stanowiska.

- Pan prezydent jest bardzo zajęty - wyjaśniła chłodno Estella. - I nie życzy sobie, żeby mu teraz przeszkadzano.

Steward zerknął na zamknięte drzwi Gabinetu Ovalnego i wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Tylko proszę zbyt długo nie czekać. Sałata zwiędnie. Estella zaczęła, aż steward zamknie za sobą drzwi i otworzyła torebkę.

Wyjęła z niej zawiniętą w bibułkę małą fiolkę ze skrytki w dziupli przy drogowskazie.

Otworzyła ją ostrożnie, spokojnie podniosła srebrną pokrywkę, popatrzyła na przezroczystą ciecz i poliała nią kawałki grillowanego kurczaka w salsie i kwaśniej śmietanie i posypaną żółtym serem

sałatkę. Wrzuciła pustą fiolkę do torebki, wstała i sięgnęła po tacę.

- Już pani nie musi. - Czyjś głos. Z tyłu, od strony drzwi do Gabinetu Ovalnego.

Zaskoczona zamarła i powoli się odwróciła. W drzwiach stał Nathaniel Klein. Miał

kamienną twarz. Obok niego stało dwóch umundurowanych agentów Secret Service z bronią w ręku.

- Co to wszystko znaczy, panie Klein? - spytała lodowato Estella, nadrabiając bezczelnością.

- To znaczy - odparł bez ogródek Klein - że jest pani aresztowana.

- Na jakiej podstawie?

- Na początek wystarczy usiłowanie zabójstwa prezydenta Stanów Zjednoczonych. -

Klein zmrużył zimne oczy. - Ale kiedy przyjrzymy się bliżej pani zachowaniu i przeszłości, na pewno znajdziemy coś jeszcze.

Usiadłszy naprzeciwko wstrząśniętego Castilli, Klein położył na sosnowym stole fiolkę i przesunął ją w jego stronę.

- Oczywiście zbadamy resztki, ale jeśli podejrzenia pułkownika Smitha są trafne, wątpię, czy coś nam to da.

Prezydent z niedowierzaniem pokręcił głową i wskazał fiolkę.

- Estella Pike! Pracowała u mnie przez tyle lat, od samego początku. - Spojrzał na Kleina.

- Jak na to wpadłeś? Podejrzewałeś ją?

Klein wzruszył ramionami.

- "Podejrzewałem" to za mocno powiedziane, Sam. Kiedy dowiedzieliśmy się, jak łatwo można tę broń zastosować, odbyłem krótką pogawędkę z szefem Secret Service. Od tamtej pory wszystkie stadia przygotowywania posiłków w Białym Domu były uważnie obserwowane.

Jedynym potencjalnie słabym punktem systemu ochrony był sekretariat, królestwo panny Pike, dlatego to miejsce kazałem obserwować ze szczególną uwagą. Kiedy zaraz po tym, jak zadzwoniłeś do kuchni po sałatkę, panna Pike zaczęła wynajdywać pretekst za pretekstem, żeby odprawić wszystkich asystentów i asystentki, uznałem, że dobrze byłoby sprawdzić, co knuje.

Castilla delikatnie postukał palcem w fiolkę. Miał smutne oczy.

- Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

- Myślę, że to kobieta o wielu obliczach - odparł beznamyślnie Klein.

- Czasem mnie zastanawiała. Dzięki swemu stanowisku miała praktycznie nieograniczony dostęp do najtajniejszych informacji. A jej przeszłość? Wcześniej owdowiała, bez rodziny, bez przyjaciół: to było aż zbyt doskonale, zbyt dogodnie. Gdybym chciał stworzyć dla kreta przykrywkę idealną, poszedłbym właśnie w tym kierunku.

- Myślisz, że szpiegowała dla Rosjan?

- Prawie na pewno. - Klein wstał. - Ale już wkrótce się tego dowiemy. Możesz na to liczyć.

- I liczę, Fred - odrzekł Castilla, dziękując mu uśmiechem. - Jak zawsze. - Nagle spoważniał. - Podobnie jak na pułkownika Smitha i jego przyjaciół.

Pod Orvieto

Zatrwożony Malkowicz gapił się tępo na ekran laptopa.

- To niemożliwe! - wymamrotał i spojrzał na stojącego obok Brandta.

- Jakim cudem?

- Amerykanie są bliżej, niż myśleliśmy - warknął Brandt, jeszcze raz czytając pilną wiadomość z Niemiec. - To wszystko.

- Co my teraz zrobimy? - Zamiast dźwięcznego barytonu, z ust Malkowicza wydobył się piskliwy skowyt.

Brandt popatrzył na niego z odrazą. Malkowicz pękał, Malkowicz umierał ze strachu. Te wszystkie głośne przechwałki, ta słynna pewność siebie to tylko maskarada. O tak, był odważny, kiedy wygrywał albo kiedy miał do czynienia z abstrakcjami - z walutami, giełdą, ropą naftową, gazem ziemnym lub czymś życiem - lecz tak naprawdę był tchórzem, panikarzem, który w chwili realnego zagrożenia nie potrafił trzymać twarzy. Tak jak większość chciwców, zawsze żądnych władzy i pieniędzy, był człowiekiem zupełnie pustym.

- Musimy się natychmiast ewakuować - odparł ostrożnie Niemiec.

- Próbkę DNA i schematy produkcyjne są już spakowane. Zabieramy Renkego i wyjeżdżamy.

- Ale sprzęt jest... - wybełkotał zbity z tropu Serb.

- Do zastąpienia - przerwał mu brutalnie Brandt.

- A zespół Renkego? Jego asystenci? Śmigłowce nie zdążą przylecieć, a w samochodach nie wystarczy dla nich miejsca.

- Fakt - zgodził się z nim Brandt, spoglądając w stronę laboratorium, gdzie naukowcy i technicy wciąż demontowali kosztowną aparaturę, przygotowując ją do przenosin, których miało już nie być. Wzruszył ramionami.

- Musimy ich tu zostawić. Ich i włoskich ochroniarzy. Malowicz pobladł.

- Co takiego? Czy pan zwariował? Amerykanie wedrą się tu, schwytają ich i wszystko z nich wyciągną.

- Nie wyciągną - odparł beznamiętnie Brandt. - Wyjął z kabury pistolet i szybko go obejrzał. Wyjął magazynek, sprawdził, czy jest pełny i wprawnym ruchem wsunął go z powrotem do rękojeści.

W jaskrawym świetle jarzeniówek zdawało się, że Malkowicz posiniał. Ciężko usiadł i wbił wzrok w podłogę. Niemiec odwrócił się i gestem ręki przywołał jednego z ochroniarzy.

- Sepp?

- Tak, Herr Brandt? - Sepp był wyraźnie znudzony. - O co chodzi? - zbierz w holu cały personel. Wszystkich bez wyjątku. - Niemiec zniżył głos. - I powiedz Karlowi, że czeka nas mała egzekucja. Aha, i niech Fiodor skoczy do ciężarówki po materiały wybuchowe. Okazuje się, że będą jednak potrzebne.

W szklistych oczach Seppa po raz pierwszy zagościł wyraz czegoś w rodzaju zainteresowania.

- Z przyjemnością, Herr Brandt. Niemiec chłodno skinął głową.

- Wiem, Sepp, wiem. Dlatego tak bardzo was sobie cenię. - Odprowadził go wzrokiem.

Ochroniarz zaczął wypędzać z laboratorium zmęczonych naukowców i techników.

Nadszedł Renke. Miał ściągnięte usta i widać było, że jest zirytowany. Nie skończył

pracy, zabierano mu asystentów: miał powody do zdenerwowania.

- Co ty robisz, Erich? - spytał.

- Niech pan to przeczyta - odparł zimno Brandt, wskazując wciąż włączony laptop na kolanach Malkowicza.

Renke zerknął na ekran i zaskoczony uniósł brew.

- Pech - mruknął i spojrzał na Brandta. - Wyjeżdżamy?

- Tak.

- Kiedy?

- Za kilka minut. Proszę zabrać z gabinetu najpotrzebniejsze rzeczy. - Popatrzył na Serba.

- I jego. Proszę go dobrze pilnować. Pieniądze i koneksje mogą się nam jeszcze przydać.

Brandt odwrócił się i z pistoletem w ręku wyszedł z laboratorium. Renke patrzył za nim przez chwilę, a potem spojrział na wstrząśniętego Malkowicza.

- Idziemy - rzucił. - Tędy.

Odrętwiały Serb wstał, wziął dyplomatkę i komputer i ruszył za Renkem jak na ścięcie.

W swoim pozbawionym okien gabinecie Renke podszedł szybko do półki z książkami, za którą był zaopatrzony w lodówkę sejf. Wprowadził kod i przytknął kciuk do skanera odcisków palców. Zza otwartych drzwiczek buchnął obłoczek zimnej pary.

W głębi budynku huknęły wystrzały, prawie niesłyszalne przez grube, dźwiękoszczelne ściany. Wystrzałom towarzyszył czyjś przeraźliwy krzyk. Gdy kanonada umilkła, w upiornej ciszy słychać było tylko jęk i łkanie przerażonego mężczyzny. Trzy razy szczeknął pistolet i wszystkie odgłosy ucichły.

- Boże! - wykrzyknął Malkowicz. - Amerykanie już tu są! - Skurczył się w sobie i przywarł plecami do ściany, tuląc do piersi swoją bezcenną dyplomatkę, jakby militarne plany Dudarewa i dowody na jego uczestnictwo w procesie wytwarzania i zastosowania Hydry mogły uchronić go przed kulami.

- Niech się pan uspokoi - prychnął szyderczo Renke. - To tylko Brandt. Zlikwidował tych nieszczęsnych asystentów. - Włożył grubą rękawicę, wyjął z sejfu stojak z fiolkami, ostrożnie schował go do przenośnej lodówki i popatrzył nań z zadowoleniem. Każda fiołka zawierała inny szczep Hydry, każda była oznaczona nazwiskiem; wiele nazwisk napisano cyrylicą. Za niecałe czterdzieści osiem godzin materiały z dyplomatki Malkowicza będą zupełnie bezużyteczne.

Kiedy rosyjskie czołgi przekroczą granicę, tajność planów Dudarewa przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie i strachliwy Serb, straci narzędzie szantażu. A wówczas Kreml będzie mógł robić, co zechce.

Nie przestając się uśmiechać, zamknął lodówkę. Malkowicz był skazany na zgubę, bez względu na to, czy zdawał sobie z tego sprawę czy nie. Tymczasem on, pan profesor Wulf Renke, dzięki swej niewykrywalnej i nieuleczalnej Hydrze do końca życia będzie miał haka i na Dudarewa, i na jego najbliższych współpracowników.

Smith przykucnął za maską ciemnozielonego, czterodrzwiowego volvo Randi. Samochód stał w poprzek dwupasmówki, blokując główną szosę u stóp wulkanicznego płaskowyżu.

Dwupasmówka, Strada Stratale nr 7, rozdzielała się w tym miejscu na dwie odnogi: jedna prowadziła na stację kolejową, potem na przedmieścia Orvieto, a jeszcze potem odbijała na wschód, w kierunku odległych Apeninów. Druga pięła się po zboczu stromego klifu i wpadała prosto do

leżącego na skałach miasta.

Jon spojrział w lewo. Piętrzył się tam płaskowyz, olbrzymi, czarny cień na tle skrzącego się gwiazdami nieba. Tuż za skrzyżowaniem teren się wznosił, przechodząc w stromy stok porośnięte trawą, małymi drzewami i krzewami. Stok kończył się pionową ścianą spękanego tufu, piaskowca i bazaltu.

Zerknął w prawo. Kilka metrów dalej za volvo klęczał Kirów z odbezpieczonym hecklerem & kochem w rękach. Rosjanin beznamiętnie skinął głową - był gotowy. Tuż za szosą rozciągała się płytka dolina porośnięta nagimi drzewami owocowymi i winoroślami. Zza drzew tu i tam mrugały światełka odległych domów.

- Jadą - szepnęła przez radio Randi. Ukrywała się na niskim pagórku, skąd roztaczał się dobry widok na jasno oświetlone laboratorium mniej więcej kilometr dalej. Była ich czujką, wysuniętą obserwatorką. - Dwa samochody, czarne mercedesy. Jadą bardzo szybko. - Zawahała się i dodała: - Chyba miałeś rację, Jon. Nabierasz wprawdy w wojaczce.

- Przyjąłem - odparł cicho Jon.

Mimo pełnej świadomości, że już za chwilę czeka ich walka, trochę się odprężył. Randi namawiała ich zażarcie, żeby zastawić zasadzkę bliżej ośrodka. Chciała mieć całkowitą pewność, że Malkowicz, Renke i ich podwładni nie ominą blokady, skręcając w którąś z węższych dróg krzyżujących się z szosą i przecinających dolinę. Ale Jon powiedział: „Nie”, dowodząc, że jeśli uderzą zbyt blisko ufortyfikowanego laboratorium, tamci zdążą zawrócić. A gdyby zawróciwszy, zdali sobie sprawę, że atak amerykańskiej piechoty morskiej to tylko wielki bluff, mogliby powrócić do pierwotnego planu, zaczekać na śmigłowce i spokojnie odlecieć.

Zaryzykował i założył, że Brandt poprowadzi ich tą drogą. Dlaczego akurat tą? Dlatego, że Renke i Malkowicz chcieli znaleźć się jak najdalej stąd, a ta była najwygodniejsza i najszybsza. Wystarczyło, że dojechaliby do stacji kolejowej, przecięli przebiegającą tamtędy autostradę, bocznymi drogami pokonali Apeniny i znaleźliby się na włoskim wybrzeżu Adriatyku.

Zesztywniał, słysząc warkot potężnych silników. Odciągnął zamek, wprowadził nabój do komory, sprawdził, czy przełącznik jest ustawiony na ogień krótkimi seriami i jeszcze niżej pochylił głowę.

Warkot silników szybko przybierał na sile.

I nagle volvo omyły światła reflektorów, rzucając dziwnie zniekształcone cienie na trawiaste zbocze. Przerażliwie zapiszczały opony: mercedes gwałtownie zahamował, żeby nie wpaść na ich prowizoryczną zaporę. Sekundę później opony zapiszczały ponownie, bo tuż za pierwszym mercedesem zahamował drugi. Tył samochodu mocno zarzucił i wóz znieruchomiał

na środku drogi. Smith i Kirów natychmiast wstali i z odległości piętnastu metrów wymierzili w ten pierwszy. Na zboczu coś się poruszyło i zza wielkiego głazu, który musiał stoczyć się ze skał

przed wiekami, wychynęła Fiona. Starannie wycelowwała z glocka w drugi wóz i znieruchomiła.

- Wysiadać! - krzyknął Smith, mrużąc oczy w jaskrawym blasku reflektorów. - Szybko! I ręce do góry!

Słyszał tylko pulsowanie krwi w uszach. Nadeszła najbardziej krytyczna chwila. Musieli, po prostu musieli wziąć ich żywcem. To było najważniejsze, ważniejsze niż wszystko inne, nawet ich bezpieczeństwo.

Mercedesy stały prawie w poprzek drogi. Przez zaciemnione okna nie widać było żadnego ruchu.

- To ostatnie ostrzeżenie! - krzyknął Jon. - Wysiadać, ale już! - Zacisnął palec na spuście.

Otworzyły się drzwiczki i z samochodu stojącego najbliżej nich powoli wysiadł

ochroniarza Malkowicza. Ręce trzymał daleko od siebie, wnętrzem dłoni w ich stronę.

- Jestem nieuzbrojony - powiedział silnie akcentowaną angielszczyzną. - Czego chcecie?

Jesteście z policji?

- Żadnych pytań - warknął Kirów. - Powiedz Malkowiczowi i reszcie, żeby wysiedli.

Macie dziesięć sekund. Potem zaczniemy strzelać.

- Rozumiem - odparł szybko tamten. - Dobrze, powiem im. Odwrócił się, jakby chciał

zajrzeć do samochodu i w tej samej chwili zrobił pół obrotu w ich stronę, wyjmując spod wełnianej kurtki małe uzi.

Smith i Kirów wypalili jednocześnie.

Przeszyty kilkoma kulami ochroniarz runął do tyłu. Umarł, zanim zdążył upaść na ziemię.

W tym samym momencie kierowca pierwszego mercedesa wdepnął pedał gazu. Ryknął

silnik i samochód ruszył, celując w przód volvo. Drugi mercedes lekko skręcił i popędził za nim.

Jon za późno zrozumiał swój błąd. A to sukinsyny. Poświęcili ochroniarza, żeby wywabić ich z ukrycia. Przesunął lufę hecklera w prawo i wypalił ponownie, tym razem mierząc w maskę, w przedział silnikowy pierwszego mercedesa. Kule wybiły kilka wielkich dziur w karoserii, w powietrzu zatańczyły iskry i kawałki wystrzępionego metalu.

Stojący za nim Kirów celował w opony, na zboczu zaś widać było rozbłyski z lufy pistoletu Fiony, która jak najszybciej naciskając spust, strzelała do drugiego wozu. Podobnie jak Oleg, mierzyła w opony, próbując unieruchomić go, zanim przebije się przez blokadę i zniknie w ciemności.

Pierwszy mercedes pędził coraz szybciej, szarżował jak rozwścieczony słoń. Jon wytrzymał do ostatniej chwili i posłał w jego stronę jeszcze trzy kule. Jęknęły rykoszety, ponownie trysnął snop iskier.

Ale potem Smith musiał uciekać.

Rzucił się w lewo, upadł na asfalt i czując, jak grzechoczą mu zęby, rozpaczliwie przetoczył się na trawę. Z ogłuszającym hukiem mercedes grzmotnął w przód ich samochodu i obydwa wozy, złączone przez chwilę siłą zderzenia, zaczęły sunąć po drodze w fontannach chrzęszczącego szkła, rozłupanego włókna szklanego i pogiętego metalu. Volvo powoli odtoczyło się na bok, odblokowując prawą odnogę skrzyżowania.

Ze zgrzytliwym jękiem dartych blach pierwszy mercedes przebił się przez zaporę i ruszył

w kierunku Orneto. Trzy opony miał przestrzelone, więc rozsiewał wokoło wystrzępione kawałki bieżników, które podskakiwały i turlały się po szosie jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Spod nagich felg buchały snopy gorących iskier. Zaraz po nim mocno pokieraszowane volvo minął drugi wóz.

Smith ukląkł i ponownie otworzył ogień. Tuż za nim stał Kirów: mierzył nisko, strzelał

spokojnie i celnie. Ze zbrocza zsunęła się Fiona, zmieniając po drodze magazynek. Była zła i sfrustrowana.

- Uciekają! - krzyknęła.

Kirów oddał jeszcze kilka strzałów. W końcu opuścił broń; tamci byli już dwieście metrów dalej.

- Nie - powiedział. - Spójrz.

Silnik pierwszego mercedesa prychnął, kichnął i zdechł. Z samochodu wyskoczyło czterech mężczyzn, którzy wbiegli na zbrocze i popędzili w kierunku Orneto. Jeden z nich miał

gęste, siwe włosy. Biegł niezdarnie, obiema rękami ściskając dyplomatkę. Jasne włosy innego, znacznie wyższego, połyskiwały blado w świetle księżyca.

- Malkowicz i Brandt - wysapał Smith. Zerwał się na równe nogi. - Szybko!

Drugi mercedes skręcił na pobocze. Próbował ominąć unieruchomiony samochód, ale zarył się w miękkiej ziemi i kilka metrów dalej znieruchomiał na dobre. Z tego też wyskoczyło czterech. Dwóch stanęło na szosie z bronią w rękę, osłaniając towarzyszy. Ostatni z uciekających, szczupły mężczyzna z białą brodą i walizeczką w rękę, zawahał się, spoglądając na drogę. Zawahał się, ale ostatecznie skręcił na wzgórze i zniknął za drzewami i krzakami u podstawy skalnego klifu.

Ktoś biegł, ktoś pędził szosą. Jon odwrócił się z hecklerem w rękach.

Randi.

- To Renke! - wysapała, wskazując z bocze i klif. - Wy bierzcie tamtych, ja jego!

- Powodzenia!

Nie zwalniając kroku, Randi klepnęła go w ramię.

- Tobie też! - Skręciła i wbiegła na z bocze.

Jon zmienił magazynek i spojrzał na Kirowa i Fionę.

- Gotowi?

Podobnie jak on, obydwójce mieli błyszczące oczy. Podobnie jak jego, ich też ogarnęło graniczące z szaleństwem podniecenie walką.

- Dobra. - Smith ruszył przodem. - Dokończmy to!

ROZDZIAŁ 49

Biegł lewą stroną szosy, Kirów i Fiona prawą. W oddali widzieli Malkowicza, Brandta i dwóch ochroniarzy, którzy wdrapywali się na z bocze, próbując dotrzeć na płaskowyż, zanim będzie za późno. Renke z gorylem zniknęli po prawej stronie, w małym sadzie pełnym nagich jabłoni, drzew brzoskwiniowych i winorośli u podnóża klifu. Na skraju sadu stał drogowskaz z napisem, że jest to droga do Tombe del Crocifisso del Tufo, etruskiej nekropolii, miasta zmarłych.

Najbardziej niepokoił Jona dwaj ochroniarze, którzy czaili się gdzieś z tyłu. Zabić ich, a przynajmniej opóźnić pościg i osłaniać odwrót Brandta i Malkowicza - takie zapewne dostali rozkazy. Jeden z nich przywarował za drzewami na z boczku. Drugi ukrywał się po prawej, nieco wyżej, za głązami i krzakami.

Smith zmarszczył czoło. Szarża dwupasmówką była czystym samobójstwem. Odwaga na polu walki to jedno. Szaleństwo to drugie.

Zwolnił, przyklęknął na jedno kolano i lufą hecklera omiół splątane zarośla. Kirów i Fiona padli na ziemię i z bronią gotową do strzału też uważnie obserwowali teren.

- Widzicie coś? - syknął cicho Jon. Kirów pokręcił głową.

- Nie. - Zerknął na Smitha. - Ale chociaż to ryzykowne, musimy iść dalej. Narobiliśmy takiego huku, że zaraz będzie tu policja.

Jon wykrzywił usta w uśmiechu.

- Powiesz im, że jesteśmy turystami na nocnej przechadzce. Może to kupią. Kirów opuścił

pistolet i przetarł ręką poczerwione policzki i czoło.

- Jakoś w to wątpię - odparł.

- W takim razie przestańcie gadać, i do roboty - ponagliła ich Fiona. Ni to rozbawiona, ni zirytowana wstała i ruszyła przed siebie skrajem szosy. - Ściągnę na siebie ogień. Będziecie mieli ich jak na widelcu.

Zaskoczony Kirów wyciągnął rękę.

- Nie, zaczekaj! My to zrobimy. Jesteśmy żołnierzami, ty nie. To zbyt ryzykowne.

- Oleg ma rację - rzucił Smith. Fiona niecierpliwie pokręciła głową.

- Nie ma. Ty też nie. - Podniosła pistolet. - Trafię z tego z dwudziestu, najdalej z trzydziestu metrów. Hecklery są celniejsze i mają większy zasięg. Trzeba to wykorzystać.

Jon spojrzał na Kirowa i niechętnie wzruszył ramionami.

- Dobrze mówi.

Oleg nachmurzył czoło.

- Fakt - burknął. - Aż za często. - Opuścił rękę i z błagalną nutką w głosie dodał: - Ale proszę cię, nie daj się zabić. Jeśli coś ci się stanie...

Ścisnęło go w gardle i umilkł.

Fiona uśmiechnęła się i poklepała go po głowie.

- Tak, wiem. Będę ostrożna. - Pochyliła się i odeszła.

Smith i Kirów odczekali kilka sekund i ruszyli za nią. Szli trawiastym poboczem. Kiedy tylko mogli, trzymali się cienia.

Sepp Nedel leżał za stertą zwietrzałych, porośniętych krzakami głązów. Obserwował

drogę, wypatrując tam ruchu. Chwilę przedtem rozłożył kolbę uzi, przytknął ją mocno do ramienia i teraz spokojnie czekał. Owszem, egzekucja bezbronnych naukowców i techników Renkego była miłą rozrywką, ale o wiele bardziej odpowiadał mu pojedynek z przeciwnikiem uzbrojonym.

Między krzewami po drugiej stronie drogi coś się poruszyło. Nedel wykrzywił usta w szyderym uśmiechu. Cały Bażenow, pomyślał. Bierze do ręki broń i od razu puszczają mu nerwy. Niezły z

niego saper, to prawda. Ale tu, w terenie, zagraża i sobie samemu, i innym.

Znowu to samo. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Nie, to nie Bażenow. Ktoś szedł drogą.

Nedel zacisnął palce na kolbie uzi i lekko przesunął lufę. Ubrany na czarno mężczyzna. Skradał się nisko pochylony, od czasu do czasu przystając i nasłuchując. Zwiadowca. Właściwy ruch?

Był oczywisty. Przepuścić go i zabić tych, którzy nadejdą po nim.

Tamten był coraz bliżej.

Nedel zmarszczył brwi. Zaintrygowała go jego sylwetka. Coś w niej było nie tak. I nagle wszystko zrozumiał. To nie mężczyzna, tylko kobieta! Obnażył zęby. Najpierw zlikwiduje jej towarzyszy, a potem... Hm. Potem z przyjemnością zajmie się tą miłą zwiadowczynią.

I nagle zaterkotało drugie uzi, siekąc kulami szosę. U stóp kobiety bryzgnęły kawały asfaltu, buchnęły fontanny ziemi i trawy. Zwiadowczym upadła, zwinęła się w kłębek i znieruchomiała.

Nedel zaklął pod nosem. Bażenow spanikował.

Spanikował i wystawił głowę zza krzaka, żeby łatwiej mu było celować. Podniósł broń i w skupieniu wymierzył w leżącą na poboczu kobietę.

Wtedy huknęły trzy wystrzały. Gdzieś stamtąd, ze zbocza.

Trafiony w twarz Bażenow przeraźliwie krzyknął i bezwładnie runął na krzaki. Kolejna seria kul przecięła go niemal na pół.

Ubrany na czarno strzelec zerwał się na równe nogi i podbiegł do leżącej nieruchomo kobiety. Przyklęknął i zaczął szperać po kieszeniach, pewnie w poszukiwaniu bandaża.

Nedel kiwnął głową. Oto dobry cel, cel wart zachodu. Ostrożnie wstał. Oddychając powoli i spokojnie, zgrał przyrządy celownicze. Położył palec na spuście i zaczął go łagodnie naciskać.

Leżący sto metrów dalej Smith otworzył ogień. Heckler zaszczekał, kopiąc go mocno w ramię. Trzy łuski poszybowały łukiem w trawę. Pierwszy pocisk trafił tamtego w szyję, drugi w ramię. Ochroniarz zwałił się na ziemię. Czarna w świetle księżyca krew trysnęła na kamienie, ale szybko przestała płynąć.

Jon wstał i podbiegł do Kirowa i Fiony.

Fiona już siedziała.

- Nic mi nie jest. - Choć blada i lekko wstrząśnięta, uśmiechała się do nich z wyraźną ulgą. - Spudłowali.

- Tak? - warknął Kirów, spoglądając na jej sweter. Na ramieniu miała długie rozdarcie.

Oleg dotknął go ostrożnie i spytał: - To co to jest? - Rana była płytka, lecz zdążyła już wezbrać krew.

- To? - odrzekła z uśmiechem Fiona. - To tylko draśnięcie.

- Miałaś szczęście - powiedział Smith. Serce wciąż waliło mu jak młotem. Podobnie jak Kirów, był przekonany, że Fiona nie żyje albo że jest ciężko ranna.

- Fakt, miałam. - Spojrzała ze smutkiem na przypięty do kamizelki radionadajnik.

Roztrzaskała go kula albo jakiś kamień, gdy padała na ziemię. Zdjęła bezużyteczne już słuchawki. - Wygląda na to, że nie mam łączności. Będziecie musieli dzwonić za mnie.

W niebo buchnął snop jaskrawego światła. Noc zmieniła się w dzień, na zboczu wzgórza zatańczyły ich cienie. Odwrócili się gwałtownie i zdążyli jeszcze zobaczyć olbrzymią kulę ognia na zachodzie. Kawały betonu i poskręcane stalowe blachy poszybowały sto metrów w górę, zawisły w powietrzu i wirując, runęły na ziemię. W tym samym momencie doszedł ich huk wybuchu, grzmiący ryk, który przetoczył się po okolicy niczym łoskot rozpędzonego pociągu towarowego. Potem zaległa głucha cisza.

- Laboratorium Renkego - mruknął z goryczą Smith, patrząc na słup ognia trawiącego ośrodek. - Laboratorium i nasze dowody.

Kirów ciężko westchnął.

- Tym bardziej trzeba złapać Malkowicza i Brandta. - Wzruszył ramionami. - Ale nie musimy się przynajmniej martwić, że nas zgarną.

- Słusznie. - Jon nie mógł oderwać oczu od płomieni trawiących ruiny laboratorium. - Za dziesięć minut będzie tam cała policja z Orneto. - Pomógł Fionie wstać. - Nie można zmarnować takiej okazji.

Ruszyli na wschód, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Nie musieli już bać się ochroniarzy. Biegli środkiem szosy.

Przedzierając się ostrożnie przez gąszcz pnączy, Randi dostrzegła gwałtowny rozblýsk, który oświetlił wysoką trawę, bezlistne drzewa owocowe, wysokie do pasa ploty i porośnięte krzakami skalne tarasy. Rzuciła się na ziemię, czekając, aż znowu zapadnie ciemność.

Gdy przebrzmiało echo wybuchu, usłyszała cichy szmer zaskoczonych głosów. Ktoś się tam czał. Tam, ledwie kilka kroków dalej. Ostrożnie wstała i ruszyła w lewo. Głosy umilkły.

Doszła do najbliższego plotu i przykucnęła. Duża, zalana bladą poświatą łąka. Sęk w tym, że nie mogła rozróżnić żadnych szczegółów. Widziała jedynie rzędy trawiastych pagórków z szarymi głazami na szczycie, lecz przejścia między pagórkami tonęły w nieprzeniknionym mroku. Nadeszła pora na elektronikę. Przytknęła do oczu noktowizor. Urządzenie to wzmacniało światło o

najmniejszym nawet natężeniu, czy to światło gwiazd czy księżycy, zmieniając noc w jasny dzień.

Obraz natychmiast wyostrzył się i wzbogacił.

Miała przed sobą coś w rodzaju sieci wąziutkich, prostopadłych do siebie ulic wykutych w zboczu wzgórza. Przy ulicach stały małe domy z bloków tufy, rodzaju porowatego piaskowca.

Jedne miały dachy stożkowate, inne płaskie, ale wszystkie były pokryte ziemią i porośnięte trawą. W ścianie każdego ział wąski, trapezoidalny otwór. Nad otworem - nad wejściem? -

widniał wyryty w kamieniu napis. Za domami dostrzegła poręcz stromych schodów wiodących na pusty parking.

Etruskie miasto zmarłych. Czytała o nim, lecąc tu z Niemiec. Niektóre groby miały ponad trzy tysiące lat. Odkryto je w połowie XIX wieku, a znalezione w grobowcach wazy, puchary, broń i zbroje przewieziono do Orvieto, do muzeum obok katedry.

Zmarszczyła brwi. Musieli się tam ukrywać Renke i jego ochroniarz. Zamierzali zaczekać, aż ucichnie strzelanina, a potem ukradkiem zejść na dół. Niezły plan. Każdego, kto zechciałby szukać ich w tych ciemnych uliczkach, miałoby jak na talerzu.

Schowała noktowizor do kieszeni, uważając, żeby nie zaczepić o coś kamizelką, przeczołgała się pod najniższą żerdzią płotu i w wysokiej trawie, od cienia do cienia, po cichutku popęzła w kierunku grobowców.

Co chwilę nieruchomiła i nasłuchiwała odgłosów, które zdradziłyby kryjówkę tamtych.

Ale nie słyszała absolutnie nic, nie licząc syren straży pożarnej i radiowozów pędzących do płonącego ośrodka.

Wreszcie dotarła tam, gdzie chciała, do małej kępy karłowatych drzew na zboczu nad nekropolią. Widziała stąd prawie wszystkie uliczki, zwłaszcza te, które biegły w kierunku szosy do Orvieto.

Znowu wyjęła noktowizor i zaczynając od wejścia, skąd - jak myślała - roztaczał się najlepszy widok, dokładnie obejrzała wszystkie grobowce. Renke i ochroniarz musieli wybrać taki, z którego dostrzegliby każdego, kto wszedłby na teren cmentarza od strony drogi lub parkingu.

Prześlizgnęła się wzrokiem po grobowcu w połowie głównej uliczki i... zawróciła. Czy ten bledszy kształt w mrocznej czeluści wejścia to jakiś gład czy odblask księżycowego światła?

Wstrzymała oddech. Cierpliwie czekała. Kształt poruszył się, zmieniając się w sylwetkę człowieka. Widziała głowę i ramiona mężczyzny, który przykucnąwszy tuż za niskim wejściem, obserwował uliczkę. Gdy znowu zmienił pozycję, zobaczyła broń w jego rękach. Zastygła bez ruchu. A Renke? Był z nim czy ukrył się gdzieś indziej? Ochroniarz zerknął za siebie, kiwnął

głową i ponownie odwrócił się w stronę cmentarza.

Randi rozciągnęła usta w uśmiechu. A jednak! Renke też tam był. Przywarował w ciemności, czekając na okazję, żeby wyslizgnąć się z zasadzki i zniknąć, tak jak wiele razy przedtem. Randi schowała noktowizor, ostrożnie szczołgała się z pagórka i skręciła w bok, omijając ich uliczkę.

Przebiegła wąską ścieżkę na północnym skraju cmentarza i wpełzła do najbliższego grobowca. Schowała pistolet, zapieła kaburę, wysunęła się na zewnątrz i podciągnęła na porośnięty trawą dach.

Stamtąd przeskoczyła na sąsiedni, potem na kolejny i tak - przeskakując lekko z dachu na dach - dotarła do grobowca tuż obok kryjówki Renkego. Wyjęła pistolet, położyła się, podczołgała do rogu i ostrożnie spojrzała w dół.

Ledwie kilka metrów dalej było wejście, w którym kilka minut wcześniej widziała ochroniarza. Wyciągnęła przed siebie obie ręce i wycelowowała, czekając, aż wzrok przywyknie do ciemności. Ciemność stopniowo przeszła w szary mrok i w mroku tym ponownie dostrzegła głowę i ramiona mężczyzny z pistoletem maszynowym na kolanach. Położyła palce na spuście, ale po namyśle go zdjęła. Postanowiła dać tamtemu szansę.

- Rzuć broń! - powiedziała cicho.

Zaskoczony ochroniarz zareagował szybko i odruchowo. Podniósł głowę i odwrócił się z uzi w rękach.

Trafiła go w sam środek czoła.

Jeszcze zanim między kamiennymi ścianami przebrzmiało echo wystrzału, stoczyła się z dachu, na ugiętych nogach wylądowała na ziemi, podniosła broń i wymierzyła w czelusć wejścia.

Cisza. I stężały bezruch.

- Renke! - powiedziała płynną niemiecką na tyle głośno, żeby ją usłyszał. - Gra skończona. Nigdzie stąd nie uciekniesz. Wyjdź z łapami do góry, to może przeżyjesz. Jeśli nie, zginiesz.

Przez chwilę myślała, że Renke nie odpowie, że nie zechce rozmawiać. Ale nie, odpowiedział.

- A więc taki mam wybór? - spytał spokojnie. - Albo się poddam i skończę w więzieniu, albo mnie pani zabije?

- Otóż to.

- Bardzo się pani myli - prychnął pogardliwie Niemiec. - Zawsze istnieje trzecie wyjście.

Wybiorę właśnie to.

W ciemności rozległ się chrzęst szkła, głośnie sapnięcie, długie, przeciągłe westchnienie i zapadła cisza.

- Cholera jasna... - mruknęła Randi, ruszając do wejścia. Ale było już za późno.

Profesor Wulf Renke leżał bezwładnie na kamiennej ławie, gdzie Etruskowie składali niegdyś zmarłych. Patrzył na nią szklistymi, nieruchomymi oczami. Na starannie przystrzyżoną siwą brodę ściekała mu ślina z kącika obwisłych ust. Na posadzce, tuż obok walizeczki, leżała rozbita ampulka. W komorze unosił się leciutki zapach migdałów.

Cyjanek, pomyślała Randi. Pochyliła głowę, weszła do środka i szybko przeszukała mu kieszenie. Nie znalazłszy nic wartościowego, wzięła walizkę i wyszła na zalaną światłem księżycy uliczkę.

Walizka, a raczej - jak się okazało - lodówka, była wypełniona suchym lodem. W lodzie tkwił stojak z rzędem szklanych fiolek. Każda była opatrzona nalepką. Gdy na nie spojrzała, z przerażenia wytrzeszczyła oczy. Miała przed sobą broń biologiczną, genetyczną truciznę przeznaczoną dla Wiktora Dudarewa, jego najważniejszych ministrów i najwyższych rosyjskich dowódców wojskowych. Szybko zamknęła wieko, chwyciła lodówkę i puściła się biegiem przez wąskie uliczki etruskiego miasta zmarłych.

ROZDZIAŁ 50

Skradając się po cichu w cieniu strzelistych sosen, dotarł na skraj małego parku z fundamentami etruskiej świątyni pośrodku, stertą prastarych głazów, porośniętym trawą podwyższeniem i okrągłymi podstawami czegoś, co musiało być kiedyś wysokimi kolumnami.

Droga skręcała w tym miejscu na wschód. Pięła się na zbocze i wpadała do miasta.

Smith przykląkł i dał znak Kirowowi i Fionie. Jak duchy wychynęli zza drzew i szybko do niego dołączyli.

Po prawej stronie rozciągało się średniowieczne miasto, labirynt krętych, wąziutkich uliczek i koślawych, kamiennych domów, z których większość miała od ośmiuset do dziewięciuset lat. W wielu miejscach uliczki były poprzecinane kamiennymi łukami, tak że domy i jezdnia to ginęły w styksowych ciemnościach, to tonęły w srebrzystej poświacie księżyca.

Wschodni kraniec płaskowyzu opadał stromo ku Orvieto Scalo, dolnej części miasta. Był

tam szeroki taras, który dochodził aż do wysokich, okrągłych wież i potężnych murów Fortezza del Falbornoz, papieskiej fortecy z przełomu XIV i XV wieku. - Którędy mogli pójść? - mruknął

Jon. - Na zachód, do starówki?

- Do starówki na pewno nie - odparła zdecydowanie Fiona. - To ślepy zaułek. Musieliby zawrócić do ośrodka, bo to jedyna droga, a pod ośrodkiem roi się już od policji i ratowników.

- Poszli tam. - Kirów wskazał małą tabliczkę ze strzałką wskazującą na południe. Biegła tam wysadzana drzewami aleja prowadząca do Piazza Cahen i do Stazione Funicalora, stacji kolejki

linowej łączącej górne Orvieto z dolnym. - Ich jedyną realną szansą to pożyczyć, kupić albo ukraść samochód, a jedynym miejscem, gdzie mogą to zrobić w miarę bezpiecznie, jest stacja kolejki. Nocą kolejka nie jeździ, ale w tej części miasta jest na pewno dużo ulic i uliczek, którymi da się uciec.

- Brzmi rozsądnie - podsumował Smith. - Dobra. Ja wezmę lewe skrzydło, ty prawe.

- A ja pójdę za wami środkiem, jak mała, grzeczna dziewczynka - powiedziała z uśmiechem Fiona.

Rozstawiwszy się w tyralierę, weszli do małego parku. Ominęli ruiny etruskiej świątyni i skręcili na południe, trzymając się lewego pobocza szerokiej alei prowadzącej na rozległą Piazza Cahen.

- Gdzie jest ten Renke? - wysapał ciężko Malkowicz, tuląc dyplomatkę do szybko wznoszącej się i opadającej piersi. Siedział pod zamkniętymi drzwiami stacji kolejki linowej.

Miał zmierzwiłone, mokre od potu włosy, pot spływał mu struzkami po przerażonej twarzy.

- Nie żyje albo wpadł w łapy Amerykanów - warknął Brandt. - Powinien był iść z nami.

Wściekły na siebie i na swego ogarniętego paniką chlebodawcę analizował sytuację. A sytuacja z minuty na minutę była coraz gorsza. Wiedział, że ponieważ Renke przepadł, a laboratorium diabli wzięli, Rosjanie będą tolerowali go dopóty, dopóki Amerykanie nie dowiedzą się o planach inwazji na Ukrainę i pozostałe byłe republiki radzieckie. Kątem oka zerknął na dyplomatkę Malkowicza. Zawierała informacje, które nie mogły wpaść w łapy jankesów.

Tymczasem sam Malkowicz był już tylko kulą u nogi, i to kulą coraz cięższą.

Brandt zacisnął palce na rękojeści walthera. Tak, ci Kremla darowaliby mu życie tylko wtedy, gdyby zlikwidował strachliwego Serba i wręczył im jego dyplomatkę. Spojrzał na głowę Malkowicza, podniósł pistolet, ale szybko go opuścił. Nie, nie tutaj. Plac był zbyt otwarty, echo wystrzału poniosłoby się po całym mieście. Zabije go później, kiedy wyrwą się wreszcie z tego przeklętego średniowiecznego labiryntu. Gdy będą w Apeninach, ukryje podziurawionego kulami trupa gdzieś, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie.

Pochylił się i szarpnął go za rękę.

- Idziemy! - rozkazał. - Za fortecą jest droga. Trzęsąc się ze strachu i zmęczenia, Malkowicz wstał.

W tym samym momencie ich ochroniarze przypadli do ziemi.

- Herr Brandt! - szepnął jeden. - Amerykanie! Już tu są! - Krótką lufą uzi wskazał w stronę wejścia na plac.

Zaskoczony Brandt odwrócił się i trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika. Trzy ciemne sylwetki. Tam, w mroku. Wchodzili na plac. Byli niecałe sto metrów dalej.

- Zabijcie ich! - wychrypiał.

Smith dostrzegł gwałtowny ruch pod ścianą stacji, małym, nowoczesnym budynkiem na wschodnim krańcu Piazza Cahen. Czaiło się tam czterech mężczyzn. Dwóch przycupnęło za rzędem glinianych donic. Tuż za nimi krył się wysoki blondyn: Brandt. Ten czwarty, Malkowicz, już uciekał, pędząc przed siebie, aby dalej od stacji. Biegł w kierunku łukowatej bramy przed papieską fortecą i wkrótce zniknął w ciemności.

- Padnij! - ryknął Jon, ostrzegając Fionę i Kirowa. Rzucił się na ziemię. - Padnij!

I wtedy ochroniarze Brandta otworzyli ogień.

Nad głową Smitha zaświstały kule. Inne rykoszetowały na kamieniach i z przeraźliwym jękiem fruwały na wszystkie strony. Spadł na niego deszcz odłamków betonu i asfaltu.

Jon rozpaczliwie przetoczył się na bok, próbując zejść z linii strzału.

Fiona głośno krzyknęła, upadła i zwinęła się w kłębek kilka metrów dalej. Miała mocno zaciśnięte usta i ze wszystkich sił ścisnęła rękami prawe udo. Między jej palcami zbierała krew.

Przerażony Kirów rzucił się ku niej, nie zważając na grad kul.

Nagle kanonada ustała. Tamci w ciągu ledwie paru sekund wystrzelili po dwadzieścia nabojów, opróżnili cały magazynek i musieli go teraz zmienić.

Smith przywarł do chłodnego asfaltu. Wiedział, że albo odpowie ogniem, albo będzie po nich. Zmrużył oczy, wymierzył w donice i pociągnął u za spust, przesuwając lufę od jednego końca rzędu do drugiego. Heckler zaszczeakał, wypluwając grad ołowiu. Jedna z trafionych seria donic eksplodowała w fontannie gliny, grud ziemi, kawałków kory i liści.

Kucający za nią ochroniarz runął do tyłu i znieruchomiał. Jego uzi zaklekotało na betonie.

Jednego mniej, pomyślał zimno Jon. Wycelował w drugiego ochroniarza. Tuż obok niego klęczał Brandt z pistoletem w ręku.

Wypalili jednocześnie, wszyscy trzej.

Znowu zaświstały i zagrzechotały kule. Jedna z nich drasnęła go w ramię. Druga musnęła kamizelkę, zrywając z niej torbę na sprzęt. Torba smyrgnęła po asfalcie i wysypały się z niej szczątki roztrzaskanego lasera. Jeden z rykoszetów grzmotnął go w lewy bok tak mocno, że pękło mu żebro.

Smith z trudem zapanował nad instynktownym strachem, który kazał mu przypaść do ziemi, i raz po raz naciskał spust. Heckler podskakiwał w rękach i kopał w ramię, ale on nie zważał na ból i strzelał dalej, uparcie naprowadzając muszkę na cel.

Kule zryły ścianę stacji. Roztrzaskały szyby, przebiły drzwi, powyrywały w nich wielkie dziury. Ostatnie donice poszły w drobny mak. Brandt i jego goryl zwalili się bezwładnie jeden na drugiego.

Zamek odskoczył do tyłu, metalicznie szczęknęła iglica. Trzydzieści nabojęw i po trzydziestu nabojach. Smith wyjął magazynek, sięgnął do ładownicy, wbił w otwór zapasowy, szarpnął dźwignią i wprowadził nabój do komory.

Z palcem na spuście, powiódł wzrokiem po resztkach roztrzaskanych donic na zrytym kulami betonie. Nie, nic się tam nie ruszało. Nagle zapadła dziwna cisza, całkowity bezgłos po jazgotliwym stukocie broni maszynowej.

- Jon! - krzyknął Kirów. Klęczał przy Fionie, rozpaczliwie próbując zatamować krwotok z uda. - Pomóż!

Smith wstał i zalała go fala bólu. Przekłęte zebro. Zatoczył się, zachwiał i ruszył w ich stronę. Fiona była przytomna, tylko bardzo blada. Z szoku drżała na całym ciele.

Kirów był równie blady jak ona.

- Oleg - rzucił cicho Jon. - Idź za Malkowiczem. Ucieka do fortecy. Ja się nią zajmę.

Kirów gniewnie pokręcił głową.

- Nie, muszę...

- Jestem lekarzem - przerwał mu stanowczo Smith. - Ja zrobię swoje, ty swoje. Jeśli Malkowicz ucieknie, wszystko to, co do tej pory zrobiliśmy, pójdzie na marne. Idź. Szybko!

Kirów spojrzał na niego, nachmurzył czoło, nachylił się bez słowa i delikatnie dotknął czoła Fiony. Potem chwycił broń, wstał i pobiegł w kierunku fortecy.

Smith przyklęknął i ostrożnie rozchylił rozerwany materiał, żeby lepiej przyjrzeć się ranie wlotowej i wylotowej. Obmacał udo, ostrożnie uciskając mięśnie i sprawdzając, czy kula nie naruszyła kości. Fiona syknęła z bólu.

- Przepraszam - powiedział Jon. Rozerwał opakowanie, wyjął bandaż i zaczął mocno owijać zakrwawione udo. Fiona drgnęła i zacisnęła zęby. Skończywszy, Smith zdjął kamizelkę, zwinął ją w kłębek i podłożył pod jej nogę.

- Jak to wygląda? - spytała Fiona.

- Miałaś szczęście. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Mówisz mi to już drugi raz, ale jakoś tego nie czuję. Jon odpowiedział jej uśmiechem.

- Szczęście to bardzo względna sprawa. - Spoważniał. - Kula ominęła tętnicę i kość.

Mięśnie masz poszarpane, ale zawieziemy cię do porządnego szpitala i powinny się ładnie zagoić.

Rozerwał kolejne opakowanie, wyjął bandaż, zdjął sweter i okleił plastrem bok. Z

bandaża zrobił prowizoryczny temblak na lewą rękę. W słuchawkach zabrzmiał podekscytowany głos Randi.

- Jon, Renke nie żyje, ale mam jego walizkę. Jestem na wzgórzu. Co u was?

- Brandt też nie żyje. Ale Malkowicz zwiął, a Fiona jest ranna. - Szybko zapoznał ją z sytuacją i podał jej ich pozycję. - Kiedy możesz tu być?

- Za pięć minut.

- Przyjąłem. Bądź jak najszybciej. I wywołaj tych ze śmigłowca. Niech tu przylecą.

Pamiętasz kod, który ci podałem?

- Pamiętam. A ty? Gdzie będziesz?

- Dam ci znać. Na razie idę za Malkowiczem. Bez odbioru. - Podniósł z ziemi hecklera i spojrzał na Fionę. - Zaraz będzie tu Randi. Wytrzymasz?

Kiwnęła głową.

- Wytrzymam. Idź pomóc Olegowi. Złapcie tego bydlaka.

- Siedź tu i czekaj. Nie próbuj nigdzie chodzić. To rozkaz. Jon odwrócił się i pobiegł przez plac.

Brandt wypływał z mrocznych głębin, walcząc z bólem, który co chwilę pozbawiał go przytomności. Wreszcie zamrugał i otworzył oczy. Leżał na betonie i coś przygniatało mu nogi.

Doszedł go ostry, miedziany zapach świeżej krwi. Lekko obrócił głowę i omal nie zemdlął z bólu. Na beton pociekło jeszcze więcej krwi.

To trup. Przygniatał go trup poszatowanego kulami ochroniarza.

Powoli podniósł rękę i ostrożnie dotknął czoła. Było draśnięte i piekło jak wszyscy diabli.

Pod zwisającym kawałkiem skóry poczuł kość. Musnął ją czubkiem palca i się poruszyła.

Natychmiast pociemniało mu w oczach. Zabrał rękę. Wolał nie myśleć, co to znaczy.

Usłyszał kroki na placu. Przymknął oczy i wstrzymał oddech. Minął go ciemnowłosy mężczyzna z ręką na temblaku. W drugiej ręce miał pistolet maszynowy.

Smith. Chryste, jakim cudem? Uciekł z Rosji i był teraz tutaj, w Orneto. Ścigał

Malkowicza. To pchnęło go do działania. Powoli, centymetr po centymetrze, wypełznął spod trupa. Znalazł pistolet i poczołgał się w stronę drzew i krzaków pod wysoką bramą do Fortezza del l'Albornoz. Tam wstał i zataczając się, ruszył za Smithem.

Fiona podciągnęła się, usiadła i ostrożnie wyprostowała zabandażowaną nogę. Z wysiłku zakręciło jej się w głowie. Odczekała chwilę i spojrzała na tonący w blasku księżyca plac. Z tyłu dochodziły ją głosy wystraszonych mieszkańców miasta, których obudziła strzelanina.

Zmarszczyła brwi. Spojrzała na zegarek. Gdzie ta Randi? Gdyby przed nią przyjechała tu policja, miałyby poważne kłopoty. Nie pomógłby jej ani Klein, ani prezydent, a podejrzewała, że włoskie władze raczej nie uwierzą, że jako niezależna dziennikarka lubi chodzić po nocy i po zęby uzbrojona, rozstrzeliwać gliniane donice na miejskich placach.

Popatrzyła na podziurawioną kulami ścianę stacji i na dwa trupy pod jej roztrzaskanymi oknami. Zmrużyła oczy. Dwa trupy? Powinny być trzy...

Zesztywniała. Przeszedł ją zimny dreszcz. Jeden z ludzi Brandta - może nawet sam Brandt - przeżył i niewykluczone, że ruszył na pomoc Malkiewiczowi. A bez radionadajnika nie mogła ostrzec ani Olega, ani Jona, ani Randi. Z trudem wstała i pokuśtykała w kierunku fortecy.

Gdy tam dobiegł, Kirów i Malkowicz stali na wale obronnym. Tuż za wałem był

porośnięty drzewami i krzakami klif, który niemal pionową ścianą opadał w dół, ku dolnemu Orneto i biegnącej tamtędy autostradzie. Malkowicz miał podniesione ręce. U jego stóp leżała otwarta dyplomata.

Oleg trzymał go na muszce hecklera. Zerknął na Jona i powiedział:

- Zgodził się z nami współpracować. Wie, że pomagając Dudarewowi w spisku, podjął niemądrą decyzję i gorzko tego żałuje.

- Jasne, na pewno - odparł oschle Smith. - Co tam jest?

- Tu? - odrzekł szybko Malkowicz. - Szczegółowe informacje o wojskowych planach Rosjan.

Po raz pierwszy tego dnia Jon poczuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar.

Malkowicz żył i chciał mówić, a dzięki dowodom, że Dudarew zamierza najechać na byłe republiki radzieckie, Stany Zjednoczone mogły uniknąć otwartego konfliktu zbrojnego z Rosją.

- Rzućcie broń! - Chrapliwy, przepelniony bólem głos z tyłu. - Rzućcie to, bo zabiję!

Smith zeszytniał. Brandt? Ale przecież Brandt nie żył. Sam tego sukinsyna zastrzelił!

- Liczę do trzech. Raz. Dwa...

Szczęście się od nich odwróciło. Dobity tym Smith upuścił hecklera. Pistolet zaklekotał na kamieniach. Kirów poszedł w jego ślady i ostrożnie położył broń na kamiennym murku.

- Znakomicie - powiedział Niemiec. - A teraz odwróćcie się. Tylko powoli. Chcę widzieć wasze ręce.

Posłuchali go i tym razem.

Brandt stał kilka metrów dalej. Zamiast twarzy miał potworną maskę z zakrzepłej krwi.

Pośrodku czoła bieląca odsłonięta kość. Nieustannie przesuwając lufę pistoletu, celował to w Smitha, to w Kirowa.

- Erich! - Uradowany Malkowicz ruszył w jego stronę. - Dzięki Bogu!

- Uśmiechnął się szeroko. - Wiedziałem, że mnie uratujesz...

- Cofnij się! - warknął Brandt, dźgając go lufą w brzuch. Malkowicz przestał się uśmiechać.

- Erich, przecież...

- Myślałeś, że dożyjesz rana? - prychnął szyderczo tamten. - Boję się, że tym razem twoje założenia były mylne. Tak, popełniłeś fatalny błąd.

- Wciąż trzymając ich na muszce, wzruszył ramionami. - Dudarew pewnie nie da mi nagrody za twoją głowę. Ale twoja śmierć uchroni mnie przynajmniej od jego gniewu.

- Chcesz nas zabić? - spytał bez ogródek Kirów.

- Oczywiście. - Brandt zrobił krok do tyłu, żeby nie rzucili się na niego, zanim naciśnie spust. - Pytanie tylko, którego najpierw.

Lufa walthera przesunęła się w prawo, w lewo, wreszcie znieruchomiała.

- Pana, pułkowniku - zdecydował. - Pan będzie pierwszy.

I wtedy Smith zobaczył szary, gibki cień, który wychynął za nim z ciemności.

- Nie sądzę - odparł spokojnie. - Pamiętasz, co ci obiecałem? Brandt uśmiechnął się zimno.

- Tak, że mnie zabijesz. - Starannie wymierzył mu w głowę. - Ale bardzo się myliłeś.

Huknął wystrzał, ostry, suchy i ogłuszający.

Uśmiech na twarzy Brandta zgasł. Powoli, bardzo powoli Niemiec odwrócił się na pięcie, upadł na kamienny murek i runął w dół, w przepaść. Zapadła cisza, a zaraz potem usłyszeli chrzęst i głuchy stukot.

Jon podniósł broń, podszedł do murku i spojrzał w dół. Ciało Brandta leżało dwadzieścia metrów niżej, na zwirowce u stóp fortecy. Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie mówiłem, że zabiję cię własnoręcznie - mruknął. Spojrzał za siebie.

Fiona zdążyła już opuścić glocka. Bandaż na jej nodze był czarny od świeżej krwi.

- Kazałem ci tam zostać.

Uśmiechnęła się i w jej oczach zatańczyły przekorne ogniki.

- Owszem - odparła. - Ale jestem cywilem i nie lubię słuchać rozkazów.

- Na szczęście dla nas - dodał Kirów, obejmując ją delikatnie i tuląc. - Dziękuję - szepnął.

- Dziękuję. - Pochylił się i pocałował ją w usta.

Jon odwrócił głowę i spojrzał na dygoczącego ze strachu finansistę. Z oddali dochodził stłumiony łopot wirnika. Śmigłowiec. Był coraz bliżej. Mogli wracać do domu.

23 lutego Air Force One ">EPILOG

23 lutego Air Force One

Rytmicznie mrugając światłami pozycyjnymi, Air Force One, prezydencki boeing 747 -

200B, leciał spokojnie nad pogrążoną w mroku Europą. Pod brzuchem maszyny rozciągała się gruba warstwa chmur, ale tutaj, na tej wysokości, niebo jarzyło się od gwiazd. Samolotowi towarzyszyła eskorta złożona z kilku F - 15 i F - 16 Amerykańskich Sił Powietrznych, a kilkanaście kilometrów za ogonem maszyny mrugały światła dwóch gigantycznych KC - 10, gotowych do natychmiastowego działania samolotów - cystern.

- Przewidywany czas przybycia: sześćdziesiąt minut - zameldował steward, stanąwszy w drzwiach kabiny służącej za prezydencki gabinet.

Castilla podniósł wzrok.

- Dziękuję, James. - Gdy drzwi się zamknęły, spojrzął na Kleina, który siedział cierpliwie na małej sofie. - Gotowy na wielkie przedstawienie?

Szef Tajnej Jedyńki kiwnął głową.

- W każdej chwili, panie prezydencie, w każdej chwili. Miejmy nadzieję, że będą oklaski.

- Och, na pewno - odrzekł z uśmiechem Castilla. - Wymuszone, ale będą. - Podniósł

słuchawkę interkomu. - Panie generale? Mówi Castilla. Gorąca linia gotowa? W takim razie proszę połączyć mnie z Moskwą.

Musieli zaczekać kilkanaście sekund, zanim pokładowy komputer nawiązał łączność z Kremlen.

- Prezydent Dudarew już czeka, panie prezydencie - zameldował generał Wallace.

- Dzień dobry, panie prezydencie - zaczął wesoło Castilla. - Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze, ale to bardzo pilna sprawa.

Z zewnętrznych głośników popłynął miękki, spokojny głos Dudarewa.

- Nic nie szkodzi. Ostatnio pracuję do późnej nocy. Przypuszczam, że obydwaj dzielimy ten smutny los.

Zgrabne, sprytne i aksamitne, pomyślał szyderczo Castilla. Nadeszła pora grzmotnąć pięścią w stół.

- Tak, wiem, że jest pan ostatnio niezwykle zajęty, Wiktorze - odparł, celowo mówiąc mu po imieniu. Bezpośredniość była czasem równie dobrą bronią jak subtelne niedomówienia i aluzje. - Knucie nie

sprovokowanych wojen przeciwko mniejszym i słabszym sąsiadom jest bardzo czasochłonne, prawda?

Zapadła lodowata cisza. Dudarew odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza, panie prezydencie.

- Niech pan przestanie udawać. - Castilla zerknął na Kleina i puścił do niego oko. -

Widziałem wasze plany mobilizacyjne, plany operacyjne i listę celów. Słyszałem nawet taśmę, na której pan te plany omawia. A ukraińska policja i saperzy znaleźli niedawno materiały wybuchowe, które pańscy agenci podłożyli w Połtawie w ramach dętej sztuczki o „antyrosyjskim terroryzmie”.

- Nie mam pojęcia, kto naopowiadał panu tych potwornych bzdur - odparł sztywno Dudarew.

Castilla usiadł wygodniej.

- Kto? Pański dobry znajomy, Wiktorze: Konstantin Malkowicz.

- Malkowicz to kapitalista i spekulant, który robi interesy w moim kraju - prychnął

Dudarew. - Nic więcej o nim nie wiem.

Castilla wzruszył ramionami.

- To kłamstwo nie przejdzie, Wiktorze. Radziłbym panu wymyślić coś bardziej prawdopodobnego, i to szybko. - Spojrzał w okno, gdzie mrugały czerwone i zielone światełka myśliwców eskorty. - Ale pomówmy lepiej o tym, jak zamierza pan odesłać do domu te trzysta tysięcy żołnierzy, których wysłaliście na granicę z Ukrainą, Gruzją, Kazachstanem, Armenią i Azerbejdżanem.

- Czy mogę mówić szczerze, panie prezydencie? - spytał ponuro Dudarew.

- Ależ jak najbardziej - odparł z szerokim uśmiechem Castilla. - Bardzo cenię sobie szczerłość. Zwłaszcza, że jest pan jej tak niechętny.

- Gdybym rzeczywiście miał tylu żołnierzy, tyle gotowych do walki czołgów i samolotów, dlaczego miałbym tak łatwo rezygnować z planów i zawracać ich do domu? Myśli pan, że przestraszę się pańskiego głosu?

- Bynajmniej, Wiktorze - odparł swobodnie Castilla. - Po prostu myślę, że nie jest pan gotowy na otwarty konflikt ze Stanami Zjednoczonymi i NATO. Zaplanował pan błyskawiczną kampanię przeciwko wojskom słabym i zdezorganizowanym, a nie długotrwałą batalię z najpotężniejszą koalicją w historii.

- Nie macie dwustronnych układów obronnych ani z Ukrainą, ani z Gruzją, ani z resztą -

zauważył gniewnie Dudarew. - Ani swoich wojsk na ich terytorium. I jakoś nie wierzę, żeby pański

kraj czy kraje pańskich sojuszników stawiały nam zwarty opór. Nikt z Londynu, Berlina, Paryża czy Nowego Jorku nie poprze wojny z Rosją, żeby ratować kilku głupich Azerów czy innych gołodupców!

- Może i nie - zgodził się z nim Castilla. Usiadł prosto. - Ale na pewno ją poprze, jeśli wasz atak narazi na niebezpieczeństwo Amerykanów, a zwłaszcza znanych i powszechnie szanowanych przywódców politycznych. - Zrobił pauzę i skromnie dodał: - Jak choćby mnie.

- Co takiego? - nie zrozumiał Dudarew. - O czym pan mówi?

Castilla zerknął na zegarek. Monotonne buczenie czterech wielkich silników boeinga stało się głośniejsze i bardziej jęklive. Maszyna obniżała lot.

- Powinien pan wiedzieć, że za niecałe czterdzieści pięć minut będę w Kijowie. I że wracam do kraju dopiero za kilka dni. Nowi przywódcy Ukrainy i ja mamy dużo do omówienia.

Interesuje nas zwłaszcza nowy traktat obronny.

- To niemożliwe...

- Ależ możliwe - odparł wesoło Castilla. Stwardniał mu głos. - Ukraina jest niezależnym państwem, Wiktorze. Chyba pan o tym zapomniał.

Dudarew milczał.

- Pozostałe były republiki radzieckie też - ciągnął Castilla. - I właśnie dlatego przez kilka najbliższych dni w krajach tych będą przebywali z wizytą wysocy przedstawiciele NATO, Japonii i Stanów Zjednoczonych, łącznie z moimi sekretarzami stanu i obrony. Jeśli w tym czasie ich granicę przekroczy choćby jeden rosyjski żołnierz, czołg czy bombowiec, gwarantuję panu, Wiktorze, że wciągnie pan Rosję w wojnę, na którą was nie stać. W wojnę z góry przegraną.

- Jest pan bezczelny - warknął Dudarew.

- Wprost przeciwnie - odparł zimno Castilla. - Jestem niezwykle cierpliwy. Ale zapewniam pana, że ani ja, ani mój kraj nie zapomni panu tego, że zastosował pan przeciwko nam nową broń biologiczną, tak zwaną Hydrę.

- Hydrę? - powtórzył Dudarew i w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiała nutka niepewności, a może nawet strachu. - Co to za bzdura?

Castilla puścił tę uwagę mimo uszu.

- Stare powiedzenie mówi, że ten, kto sypia z psami, wstaje z pchłami. Wulf Renke był

wrednym, zapchlonym kundlem i sprzedał panu wszystkie swoje pchły. Kiedy go dopadliśmy, miał

przy sobie małą walizeczkę. Znaleźliśmy w niej coś bardzo interesującego: zestaw szklanych fiolek z przezroczystym płynem.

Dudarew milczał.

- Ale najciekawsze jest to, że na wielu z nich są naklejki z rosyjskimi nazwiskami.

Między innymi z pańskim.

Dudarew głośno przełknął ślinę i chociaż dzieliły ich tysiące kilometrów, Castilla wyraźnie to słyszał.

- Jednakże w przeciwieństwie do pana, Wiktorze - ciągnął z nieukrywaną pogardą -

jestem człowiekiem cywilizowanym. Dlatego postanowiłem nie sprawdzać, co by pan zrobił, gdybyśmy odbili piłeczkę i wypróbowali tę broń na was. Nie, po prostu zatrzymamy ją i tymczasem przechowamy jako coś w rodzaju zabezpieczenia na przyszłość, na wypadek, gdyby panu albo pańskim kolegom z Kremla znowu przyszło do głowy coś niestosownego.

- To szantaż! - burknął Dudarew.

- "Szantaż" to takie brzydkie słowo, Wiktorze - odrzekł spokojnie Castilla. Wzruszył

ramionami. - Dam panu znać, kiedy wymyślę lepsze. Do swidania.

Wcisnął guzik, przerywając połączenie i spojrzał na Kleina.

- No i jak?

- Widzę, że dobrze się bawiłeś - odparł z krzywym uśmiechem szef Tajnej Jedyńki. - Jak na polityka, nigdy nie byłeś ani zbyt polityczny, ani zbyt dyplomatyczny.

- To prawda - odrzekł z zadowoleniem prezydent. - Ale z przyjemnością popatrzę, jak chwieje się tron cara Wiktora, nie mogę się już doczekać. A co tam, może nawet kilka razy go kopnę, żeby szybciej się przewrócił. Przy odrobinie szczęścia Rosjanie będą mieli szansę na lepszy start, być może już w niedalekiej przyszłości.

Klein uniósł brew.

- Myślisz, że jego reżim będzie miał kłopoty?

- Na pewno. - Prezydent z powagą kiwnął głową. - Kiedy ludzie dowiedzą się, co knuł, w Rosji rozpęta się piekło. Ci najbardziej wpływowi będą na niego wściekli, że omal nie wciągnął

ich w wojnę, inni powiedzą, że jest mięczakiem, bo w ostatniej chwili się wycofał. To będzie pierwsza dziura w jego pancerzu. A kiedy niedoszły dyktator traci opinię człowieka niezwycięzonego, to już początek końca. Trochę to potrwa i przypuszczam, że zanim Dudarew

ostatecznie upadnie, przysporzy nam jeszcze kłopotów, ale myślę, że właśnie wręczył swoim przeciwnikom politycznym sznur, na którym prędzej czy później go powieszają.

15 marca Baza Amerykańskiej Marynarki Wojennej, Guantanamo, Kuba W obozie numer pięć, jednym z kilku oddziałów więzienia o zaostrozonym rygorze w Guantanamo, przetrzymywano najgroźniejszych terrorystów, najważniejszych członków al -

Kaidy oraz członków innych niebezpiecznych grup terrorystycznych. Przechowywano tam również, choć rzadko, tak zwane „duchy”, ludzi, których nazwiska - ze względów bezpieczeństwa - nie pojawiały się w żadnych oficjalnych dokumentach.

Sierżant sztabowy Henry Farmer zapukał cicho w drucianą siatkę celi więźnia numer sześć.

- Pora na lunch - powiedział, przesuwając tacę przez otwór na dole drzwi.

Więzień, wysoki, siwowłosa mężczyzna o wystających kościach policzkowych i jasnoniebieskich oczach, ciężko wstał z pryczy.

- Dziękuję, sierżancie - odrzekł z uśmiechem. - Mam nadzieję, że po wczorajszej katastrofie szef kuchni trochę się podszkolił.

- Możliwe. - Farmer obojętnie wzruszył ramionami. - Aha, przesunięto dzisiejszą nasiadówkę. Odbędzie się trochę później.

Więzień posępnie kiwnął głową. Rozmowy z agentami CIA nie należały do przyjemności.

Wziął tacę, usiadł na pryczy i zaczął jeść.

Farmer obserwował go przez chwilę, a potem odszedł do swoich obowiązków.

Pod wieczór znalazł czas na krótką przechadzkę po plaży. Cekał tam na niego krępy mężczyzna o szarych włosach i wyglądzie biznesmena, niejaki Klaus Wittmer, oficjalny przedstawiciel Czerwonego Krzyża, przynajmniej według paszportu.

- Były jakieś kłopoty? Sierżant pokręcił głową.

- Żadnych. - Rzucił coś Wittmerowi. Ten złapał to jedną ręką i ukrył w dłoni. - A reszta pieniędzy?

- Na pewno ją pan dostanie - zapewnił go łagodnie Wittmer. - Wszystko zgodnie z umową.

Kiedy Farmer odszedł, Aleksiej Iwanow, szef Trzynastego Dyrektoriatu, otworzył dłoń i na szkle małej fiolki zagrały promienie ciepłego, karaibskiego słońca. Iwanow patrzył na nią przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Pusty gest, pomyślał ponuro. Ale cóż innego nam pozostało?

Wziął szybki zamach i wrzucił fiolkę do morza, hen, daleko za omywające brzeg fale.

Potem odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

Ostatni szczepek Hydry trafił do adresata.

22 marca Alexandria, Wirginia

Mała wietnamska restauracja przy King Street na drugim brzegu Potomacu była ulubionym miejscem spotkań tych, którzy lubili dobrą kuchnię, rozsądne ceny i bezpretensjonalną obsługę. Innymi słowy, pomyślał Smith, przeglądając menu, nie jest to knajpka modna, tylko popularna.

- Można się przysiąść? - Czyjś znajomy głos.

Z uśmiechem podniósł głowę. Przy stoliku stała piękna, szczupła kobieta o krótkich, złocistych włosach. Uśmiechała się do niego, choć oczy miała nieufne.

- Cześć. - Wstał, żeby się z nią przywitać. - Już się bałem, że cię przymknęli.

Randi wzruszyła ramionami.

- CIA? Ci z szóstego piętra ciągle nie mogą się zdecydować - odparła spokojnie. -

Połowa, łącznie z naczelnym, uważa, że za bardzo lubię chadzać własnymi drogami, że stanowią zagrożenie i że trzeba przełożyć mnie przez kolano i porządnie zlać, zanim wywołam kolejny skandal. Druga połowa, w tym dyrektor do spraw operacyjnych, twierdzi, że schwytanie Renkego warte było pójścia na skróty.

Jon zaczekał, aż Randi usiądzie. Wtedy też usiadł i spytał:

- I która połowa wygra?

- E tam, nie wyrzucą mnie - odparła z przekonaniem i na jej ustach zagościł leciutki uśmiezek. - Ci z góry pójdą na kompromis, jak zawsze.

Skończy się na tym, że w aktach przybędzie mi kilka stron uszczypliwych komentarzy.

No i pewnie dadzą mi tydzień urlopu, którego i tak nie wykorzystam, bo nie mam czasu. Smith parsknął śmiechem.

- Robisz się cyniczna.

- Urodziłam się cyniczna. Dlatego tak dobrze do nich pasuję. - Wzięła jadłospis, ale zaraz go odłożyła. - Słyszałeś, że Niemcy znaleźli tego kreta?

- To Heichler, tak? Ten, który zastrzelił się dzień po tym, jak schwytaliśmy Malkowicza?

Kiwnęła głową.

- Trochę to trwało, ale w końcu go namierzyli. Po przekazach od jednej z firm Malkowicza.

- O Malkowiczu też słyszałem. Okazuje się, że Guantanamo nie jest aż takie bezpieczne.

Randi uniosła brew.

- Nie wiem, w jakich kręgach się obracasz, ale widzę, że są to kręgi hm... dobrze poinformowane. Ktoś ostro zawalił i Rosjanie dopadli go, zanim zdążył nam wszystko wyśpiewać, a aferę tej skali utrzymuje się w ścisłej tajemnicy.

- Masz rację - przyznał Smith. - Przyjaciele mówią mi czasem rzeczy, których nie powinni mówić.

- Daruj sobie - prychnęła Randi. Ponownie sięgnęła po jadłospis i obojętnym głosem dodała: - Słyszałam, że pani Devin wyszła już ze szpitala.

- Podobno - odparł ostrożnie Jon.

- Nie przypuszczam, żeby powitali ją w Moskwie z otwartymi ramionami.

- I raczej nie powitają. - Jon rozciągnął usta w uśmiechu. - Ale wygląda na to, że Fiona jest jak kotka: zawsze spada na cztery łapy. Dostała pracę w Stanach, w Nowym Jorku, w jednej z najbardziej prestiżowych firm konsultingowych.

Naturalnie wiedział, że to Klein ją tam wkręcił. Ona była agentką Tajnej Jedyńki, a firma konsultingowa świetną przykrywką.

- W Nowym Jorku? - powtórzyła chłodno Randi. - To niedaleko.

- Z Waszyngtonu niedaleko - przyznał Jon i wreszcie się nad nią zlitował. - Ale z Moskwy to kawał drogi, a bilety lotnicze nie są takie tanie. Dlatego mam dziwne przeczucie, że rachunki klientów Olega szybko wzrosną...

Randi zmrużyła oczy.

- Olega Kirowa?

Jon kiwnął głową. Klein, pewny, że Kreml nic nie wie o jego udziale w ostatnich wydarzeniach, pozwolił mu wrócić do kraju. Tak więc Kirów, świetnie zakamuflowany agent Tajnej Jedyńki, nie wypadł jeszcze z gry.

- Kirów? - rzuciła sceptycznie Randi. - I Fiona Devin? Jon przyłożył rękę do serca.

- Słowo honoru.

- Jej, to... miło - rzuciła niewinnie Randi. Uśmiechnęła się do siebie, usiadła wygodniej i z zainteresowaniem zajrzała do jadłospisu. - Dobrze. A więc co byś mi polecił?

